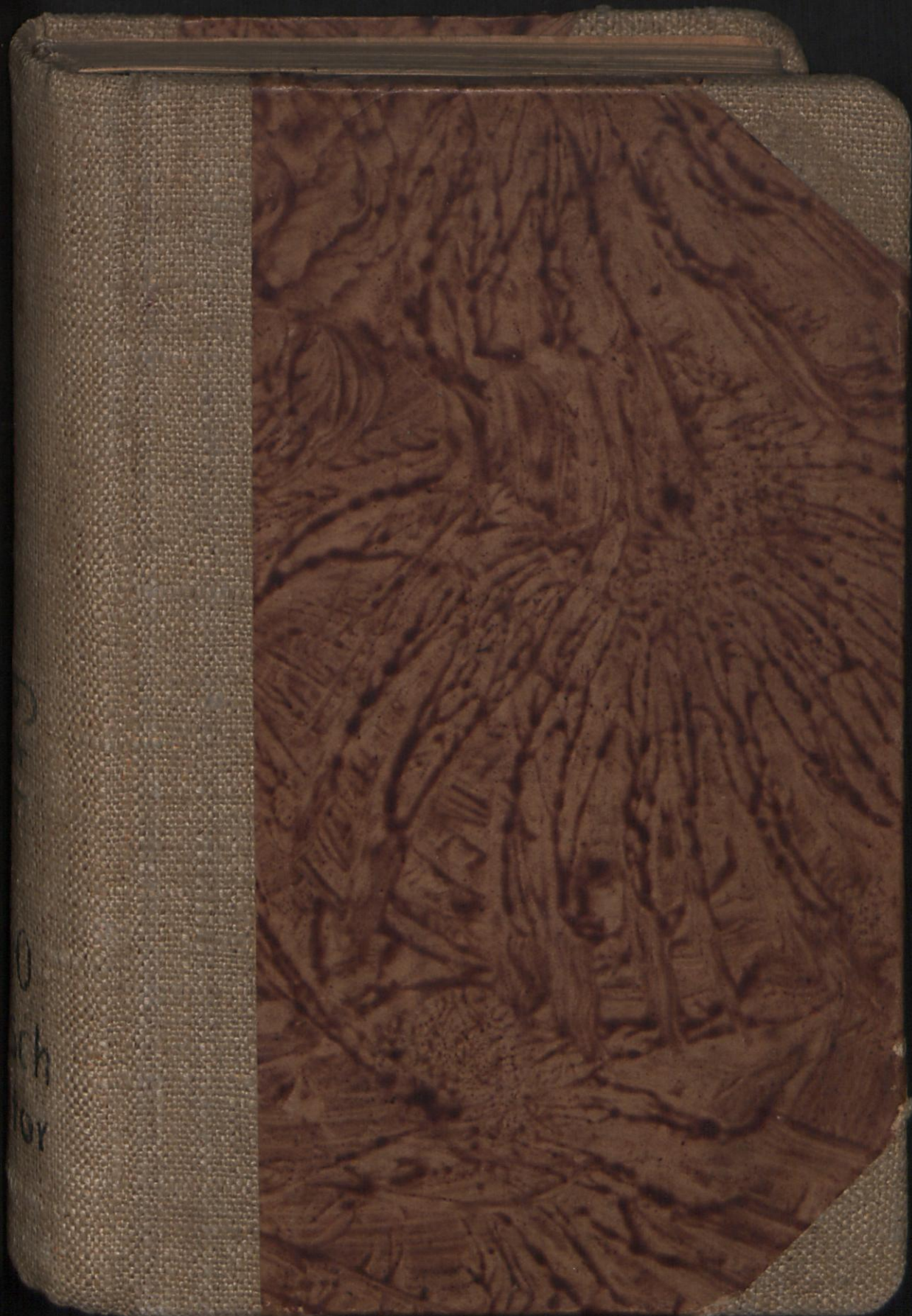
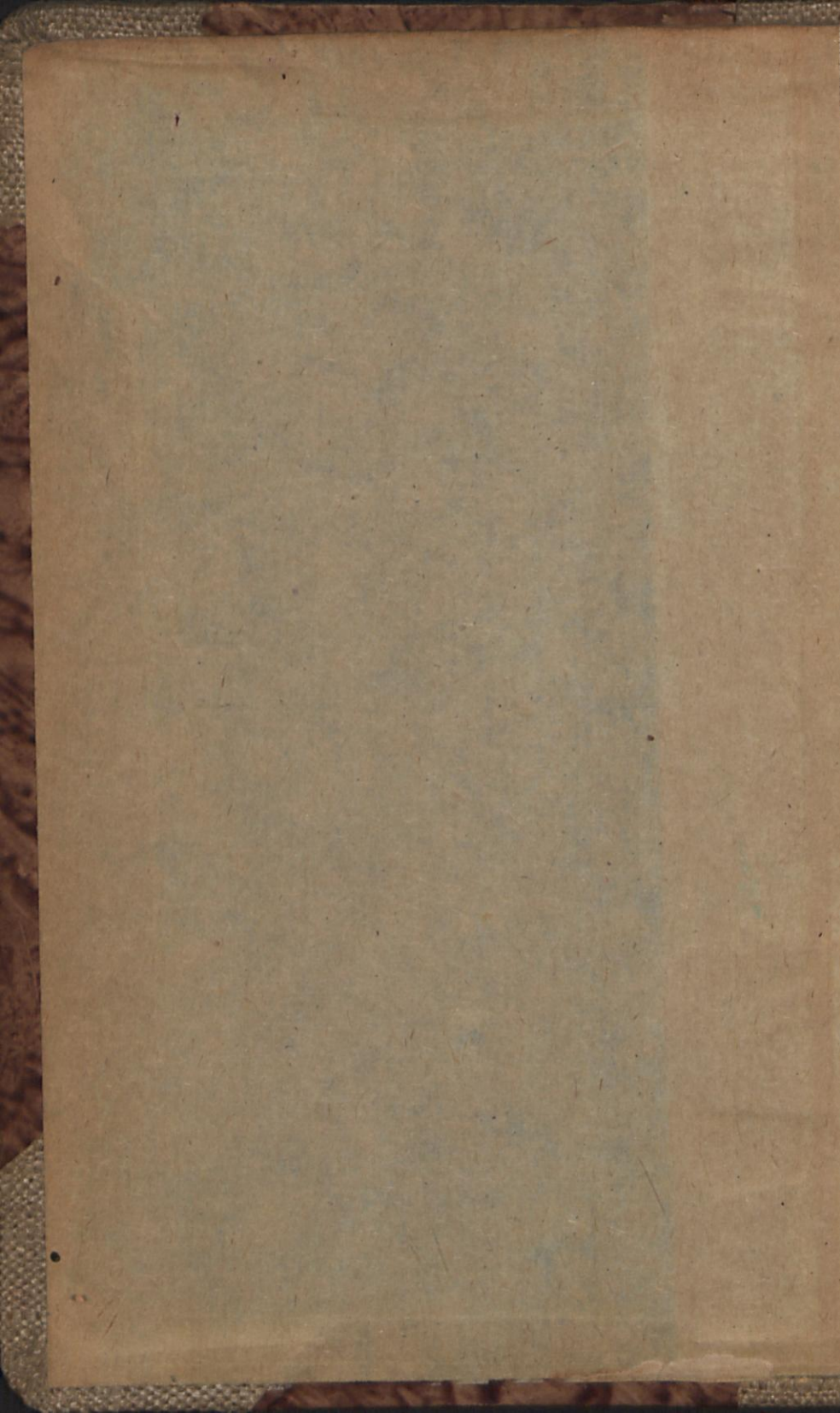






Peschet
Phsshell Uskar

Historia Miellrich oolkrye

121

158

KSIEGA PIERWSZA.

Nr 179.

DOJRZEWANIE WIELKICH ODKRYĆ.



Oficyna dla Biblioteki Chępciej
w Zamościu H. Banachiewicz
Zamość, dnia 7 listopada 1948r.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
Zamość

179

910.93

P25

His

S

910.9(100)(080) "14/15"

Księgozbiór BP



10085525

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

14155/P

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

STOSUNKI ZE WSCHODEM W STAROŻYTNOŚCI.

Aryjczycy na Sokotorze. Kanał między Nilem a morzem Czerwonym. Chrześcijaństwo w Indjach. Stosunki Chin z Indjami. Arabowie w Chinach. Zachodnie mocarstwa morskie w wiekach średnich. Wojny krzyżowe i kolonie syryjskie. Mongołowie. Drogi karawanowe Azji środkowej. Misyjonarze w Pekinie. Rozkwit Aleksandryi. Egipska blokada handlowa. Wyczerpanie szlachetnych kruszców w Europie. Kompas. Budowa okrętów. Upadek państw Śródziemnego morza. Osmanie.

Niemowlęcym wysiłkom starożytnej żeglugi wielką pomoc podawała głęboko wciskająca się pomiędzy lądy zatoka arabska. W czasach, dla których brak nam dotąd chronologicznego wyrazu, żeglujący po morzu Indusi osiedli przy wejściu do erytrejskiej cieśniny na wyspie Sokotora, którą nazwali „szczęśliwą“.

Malabarczycy osiedli w jemeńskiej Arabii pomiędzy Sabejczykami, wnieśli tam swoją kastowość i wiele rodzinnych obyczajów, i kwitnące miasto portowe Arabia było pośrednikiem handlowym pomiędzy morzem Śródziemnem a Indjami, dopóki potrzeba była takiego pośredniczącego miejsca.

Bardziej się ożywiło morze Czerwone od czasu regularnych wypraw do Abhira, okolicy nadbrzeżnej, na wschód leżącej od ujścia Indu. Wyprawy te przedsiębrane były na okrętach, które król Salomo kazał zbudować koło Ezeon Geber w zatoce Akaba, a którym król Hiram dał fenicką załogę. Zamknięta przez Faraonów, lękających się wszystkiego obcego, i sama sobie wystarczająca, dolina Nilu przez długi czas zaniedbywała swego powołania — pośre-

dniczyć pomiędzy śródziemnym a indyjskim światem. Jeżeli dawniej na podstawie oszukańczego odkrycia chińskich porcelanowych flaszek w grobach z epoki XVIII. dynastyi wnioskowano o najdawniejszych stosunkach handlowych, to dziś świadczą o tych stosunkach tylko muszlinowe przepaski i materye błękitne indygiem zabarwione w których obwiniete są mumie. Wprawdzie wielki Ramses — jak opowiada Herodot (II. 102) — objeżdżał morze Czerwone na długich okrętach, ale czynił to tylko dla podbijania nadbrzeżnej ludności. Temu Faraonowi, przezwanemu Sezostrysem, przypisuje Herodot pierwszą próbę połączenia Nilu z morzem Czerwonem. Po upływie siedmiu wieków Egipt za Psammetychów otwierał łatwiej swoje wrota cudzoziemcom, i Neku, drugi król XXVI. dynastyi, budował kanał ku morzu Czerwonemu, ale przed ostatniem zagłębieniem rydla dał się zastraszyć wyroczni, która zagroziła wkroczeniem barbarzyńców.

Dopiero obcy zdobywca, Achemenida Dareios Hystaspis, otworzył Egipt dla erytrejskiej żeglugi za pomocą kanału, który połączył Nil z morzem Czerwonem powyżej Bubastis. Handlową tę drogę, opisaną przez Herodota (460 przed Chr.) musiał na nowo uczynić żeglowną Ptolomeusz Filadelf; pielęgnowana przez rzymskich cesarzy, była do użytku aż do czasów Marka Aureliusza i Septymiusza Sewera.

Przeciwnie wiatry północne, prawie nieustannie wiejące w północnej części morza Czerwonego, utrudniały za czasów Strabona korzystanie z Nilowego kanału. Uznawano za rzecz daleko dogodniejszą dopływać tylko do Myos Hormos ($26^{\circ} 80'$ półn. szer.), a stamtąd w siedem dni dostawać się do Koptos nad Nilem, albo jeszcze więcej skracano żeglugę, przybijając do Bereniki ($23^{\circ} 95'$ półn.), skąd prowadziła droga opatrzona karawanserajami i studniami, którą Ptolomeusz Ptolomeusz Filadelf kazał pobudować;

ta drogą we dwanaście dni można się było dostać do Koptos (Keft) nad Nilem.

Okolo połowy pierwszego stulecia zdarzyło się, że grecki majtek, Hippalus, skorzystawszy z monsunów, znanych już w czasach macedońskiego Aleksandra, puścił się przez środek indyjskiego oceanu do malabarskich wybrzeży.

Odtąd żeglarze, płynący do Indyi, opuszczali w lipcu egipskie porty, w 30 dniach dostawali się do Okelis na arabskim brzegu cieśniny Babel-Mandeb i w 30 dniach z północno-zachodnim monsunem przybijali do indyjskich wybrzeży. W zatoce Kamby przed portem Barygaza oczekiwali na nich królewscy przewodnicy okrętowi, ażeby kupców bezpiecznie przez zdradzieckie głębiny przeprowadzić, albo też okręta skierowywały się ku południowi, ażeby się w wielkich malabarskich składach handlowych Muziris (Mangalore), Nelkynda (Nelisseram) i Kottonarike (Cochin) zaopatrzyć w cukier, pieprz i kość słoniową. Tam kupowali także klejnoty z Ceylonu i perły z ławic po tamtej stronie przylądka Comorin w kolchickiej zatoce, i w ogóle wszystko, cokolwiek z ziem gangesowych dostawało się na indyjskich okrętach na brzeg malabarski.

W czasach Pseudo-Arriana, mianowicie wkrótce po śmierci Pliniusza (80 do 89 po Chr.), żegluga helleńskiego Egiptu zazwyczaj nie sięgała po za przylądek Comorin, gdyż chcąc w jednym roku odbyć podróż tam i napowrót, potrzeba było korzystać z północno-wschodniego monsunu, który poczynał wiać już od połowy października.

Ponieważ w dawniejszych czasach granice handlu były zarazem granicami ziemioznawstwa, to Kl. Ptolomeusz, który korzystał z Pseudo-Ariana, temu handlowi zawdzięczał znajomość indyjskiego świata. Powinniśmy zatem wymienić tu imię najdalszego wybrzeża, o którym nieco wiadomości dosięgło zachodu za pośrednictwem helleńskich okrętów. Niektórzy kupcy aleksandryjscy odwiedzali w isto-

cie zatokę bengalską. Z pomiędzy zaś krajów, do których z koromandelskiego brzegu wypływały indyjskie okręta, zwracają uwagę z powodu swej nazwy dwie wyspy, srebrna i złota, Aigyre i Chryse. Pod Chryse rozumiano Borneo lub jakąś bliższą wyspę; bliżej leżał Pegu, którego półwyspowe przedłużenie tworzyłoby złoty półwysep Malacca starożytnych geografów. Daleko bezpieczniej możemy twierdzić, że miano wiadomości o Jawie. Jeszcze przed początkiem jawańskiej ery (87 po Chr.) indyjskie okręta z Kalingu odwiedzały tę wyspę, a później powstało tam państwo z bramańskim podziałem na kasty. Dostał się tam był pewien helleński awanturnik, Jambolos, który na wyspach podrównikowych przebywał lat siedm i który swoją tam obecność zadokumentował opisaniem abecadła mieszkańców Archipelagu. Znał też Klaudiusz Ptolomeusz jawańską i sanskrycką nazwę wyspy, mianowicie Jawa, to jest Jęczmienną wyspę.

Stosunki te nie zagięły potem. Dowodem ich trwania i znaczenia dla historii jest wcześnie zawitanie chrześcijaństwa do Indyi. Gminy chrześcijańskie, po grecku mówiące, znajdujemy naprzód na Sokotorę, ojczyźnie misjonarza Teofila za cesarza Konstantyna, gdzie w szóstym wieku podróżujący do Indyi Kosmas, w dziewiątym Arabowie, a wreszcie Portugalczycy pod Tristao da Cunha (w kwietniu 1507), znaleźli chrześcijańską ludność. Podług podań syryjskich chrześcian, apostoł przybył z Sokotory i wylądował przy Cranganor, gdzie nastąpiło pierwsze nawrócenie; potem zakładając gminy na malabarskim i koromandelskim brzegu, w Beit-Tuma krwią własną dał świadectwo nauce. Głęboką starożytność tego podania poręcza nam Grzegorz Nanzyanzeński (koniec IV. wieku) a podług wiadomości pewnego aleksandryjskiego kupca o Indyach z r. 530 po Chr., istniały wówczas gminy chrześcijańskie nie tylko na Malabarze, ale i na wyspie Ceylon.

Podczas tego znajdujemy na Ceylonie i Chińczyków, czy to jako handlarzy, czy jako pielgrzymów do miejsc świętych. Z paką książek buddyjskich wracał pewien taki pielgrzym do swojej ojczyzny. Jakiś kupiecki okręt przywiózł go do bramińskich kolonii na Jawie, a ztamtąd z innymi okrętami dostał się do Tsing-czeu-fu. Wkrótce potem (436) udaje się pewne poselstwo z Jawy do chińskich cesarzy z dynastji Sung i odtąd poczynają chińskie okręta kupieckie odwiedzać wody indyjskie, ażeby potem podróżach swoich dosięgać aż miasta Sassanidów, Hira nad Eufratem.

Aleksandrya wprawdzie nigdy nie utraciła swego handlowego znaczenia i ciągle, dając i biorąc, jedną ręką sięgała Indji, drugą Zachodu. Coroczne też pielgrzymki do grobu świętego wznowiły stosunki łacińskiego świata z tym ważnym punktem. Ale gdy kultura zmieniła swoje ognisko, to i kierunek międzynarodowego handlu musiał doznać przemiany. Przyciągnięty ku Bagdadowi handel znowu ożywił osamotnioną zatokę perską, gdzie podług wyrażenia proroka, już Chaldejczycy „pokrzykiwali radośnie na swoich okrętach“, gdzie niegdyś Fenicyanie zajmowali wyspy Bahrein (Aradus i Tylos), gdzie Nebukadnesara Babilon był targiem dla indyjskich towarów, dopóki Achemenidzi, w celach obrony od nieprzyjacielskiej eskadry, nie przegrodzili Eufratu groblami. Po krótkim kwitnieniu Hiry i Oboleh (Apologos nad Eufratem), którego handlową ważność spostrzegł był już Pseudo-Arrian, wschodni handel opanowała arabska Bassra, jak długo panowanie Abbasydów rzucało blask na Bagdad.

Obraz wspaniałego handlu, który Chińczyków i Arabów wprawiał w żywe, codzienne zetknięcie, przechował się nam na szczęście w opisach świadków. Wprawdzie płaskie statki Arabów, składające się z powiązanych dylów

kokosowych — ponieważ na mocy tradycyjnego przesądu nie używano żelaza przy budowie okrętów — nie zdatne były do długich podróży. Pozostawiono to zgrabnym kupieckim statkom chińskim, czyli dżonkom, które brały na pokład 4—500 uzbrojonych ludzi dla obrony od korsarzy, i napastników zapalały naftowymi pociskami. Z Basry i Omanu szły arabskie produkta do Siraf, gdzie ładowano chińskie statki. Podróż ich odbywała się potem wzdłuż brzegu do arabskich osad na malabarskim brzegu, Kulam-Malai (Coulam, Quillon) albo do Ceylonu. Trzymano się dalej wschodniego wybrzeża Indyi i mijając Beitumę dosięgano pod Kedrenez ujścia Kistny. Ztamtańd przeprawiano się poprzek morza do wysp Andamańskich, których ludożercza ludność zostawiła Arabom tylko wrażenie brzydkich form ciała. Jeżeli zostawiano tę grupę na lewo, to trochę niżej na południe napotymano uwieńczone kokosowymi lasami Nikobary. Ztamtańd łatwo się dostać do zachodniego brzegu Sumatry. Wprawdzie wyspa ta u Arabów nosi nie objaśnioną nazwę Al-Ramny, ale łatwo nam ją poznać, jako pierwotne gniazdo kamfory Fansur i ojczyznę ludożerczych plemion Batta; rozciągało się też jeszcze wówczas na tę wyspę panowanie dawnych jawańskich monarchów. Przez cieśninę Sunda pływały dalej dżonki wzdłuż brzegów Kochinchiny i Tonkinu do pewnego portu chińskiego, który Arabowie nazywali Kanfu. Tak silnie z czasem rozwinął się ten handel, że Arabowie mieli w tym porcie chińskim własnego kadi'ego, który rozstrzygał ich spory, i że w kwartale cudzoziemskim podług urzędowych obliczeń mieszkało 200.000 mahometan, chrześcian, Żydów i Persów.

Ta wczesna obecność chrześcijańskich gmin w Chinach znów nas poucza, jak pełnem znaczenia stać się może zbliżenie się odległych ludów za pomocą handlu i jak na jednym wozie z błahymi towarami ziemskiego wyrobu

posuwają się naprzód idee i objawienia. Tak oto odkryliśmy na wyspie Sokotora, w handlowych miastach malabarskiego i koromandelskiego wybrzeża, na Ceylonie i w Kanfu, ślady wczesnego rozszerzenia się naszej wiary. Chiny, gdzie wówczas porządkująca władza wykształconej hierarchii urzędników tworzyła cuda, sprawiły na Arabach wrażenie nadzwyczajnej dojrzałości społecznej. Ale tym szczęśliwym stosunkom zbyt wcześnie położył koniec upadek dynastji Tang, tak łagodnej dla cudzoziemców i innowierców. W r. 264 (878 po Chr.) w południowych prowincjach chińskich wybuchł bunt, Kanfu splondrowano, a wszystkich obcych osadników wymordowano. W czasach anarchji, która towarzyszyła zmianie dynastji, wygasły bezpośrednie stosunki z niebieskiem państwem, i na pośredniej stacyi, w porcie jawańskim wątpliwego położenia, zwanym Kala, miała teraz miejsce wymiana produktów arabskiego i chińskiego świata.

Po upadku zachodnio-rzymskiego państwa samotne tylko Bizancyum szerzyło jeszcze blask starożytnej kultury. Zato morze Śródziemne coraz bardziej pustoszało, od czasu jak arabscy korsarze usadowili się na wszystkich wyspach, ażeby ztamtąd niepokoić portowe miasta. Krótkie kwitnienie Rawenny za Ostrogotów, przed tym czasem, stanowi nieznaczny epizod w historyi handlu. Żywszy handel międzynarodowy na morzu Śródziemnem wznawia się dopiero ze wzrostem wolnych miast włoskich. Po upadku Rawenny pozyskały znaczenie Ankona, Neapol i Gaeta. Tych sąsiadów prześcigło Amalfi, które już około 840 posiadało flotę handlową, a w Konstantynopolu własny kościół, w dziesiątym wieku wysyłało już statki do Aleksandryi, z przewozu pielgrzymów do miejsc świętych umiało ciągnąć zyski i założyło w Syryi pierwsze faktorye. O wiele dawniejsze są początki Wenecyi, która przez dobywanie soli doszła do dobrobytu a swoim stosunkom z Konstan-

tynopolem zawdzięczała rozgłos kupiecki. Jeszcze przed 820 odwiedzały kupieckie statki weneckie Aleksandryę, z kąd przywiozły kości świętego Marka. Na zachodniej połowie morza Śródziemnego rozwój handlu pozostawał z początku w tyle, ponieważ Genuenńczycy musieli naprzód od Saracenów odebrać Korsykę i pomódz Pizańczykom 1017 do wypędzenia korsarzy arabskich z Sardynii. Pizańczycy, przodujący w tej wyprawie, prowadzili dalej swoje zabory. Napadli Bonę w Afryce, zajęli Palermo i zburzyli znakomite miasto portowe Arabów w Afryce, Almadie. Również i trzecia największa potęga morska morza Śródziemnego, katalońska, nie mogła się rozwinąć, jak długo korsarze arabscy, wypadając ze swoich kryjówek w Tortosa, Almeryi i na wyspach Balearskich, prowadzili swoje rzemiosło. W r. 1114 flota pizańska znalazła się przy brzegach Katalonii, ale tak mało znano wybrzeża morza Śródziemnego, że pizańskim żeglarzom wydało się, iż są przy brzegach Majorki. Przeciwnie wiatry zmusiły Pizańczyków do przezimowania w Barcelonie; połączywszy się z hrabią Rajmundem Berangerem zdobyli 1115 Iwizę, a 1116 odebrali od Saracenów po krwawych walkach Majorkę. Jeszcze ważniejszym był alians Genuenńczyków z Katalończykami, hrabią Barcelony i Templaryuszami, którzy w 1147 wspólnymi siłami zburzyli Almerię, najważniejszy port hiszpańskich Arabów, a 1148 odebrali od nich Tortosę.

Potężny wpływ wojen krzyżowych sprzyjał i wzrostowi portowych miast morza Śródziemnego. Eskadrami swemi pomagały one do zdobycia portów syryjskiego wybrzeża; ich okręta wysadzały na ląd wojska chrześcijańskich zdobywców i zaopatrywały ich wojennym materiałem.

We wszystkich miastach, na które się rozciągało panowanie łacińskie, używali koloniści z włoskich republik największej swobody obywatelskiej. Dziecię wielkich repu-

blik na obcym gruncie odnajdywało ojczyznę w kwartale swego narodu. Były tam municypalne miary i wagi; za sędziego uznawał oskarżony tylko konsula swego miasta, który sądził podług ojczystego prawa; tylko do kościołów i łazienek własnej gminy uczęszczał kolonista, a żadna opłata obcym nie podnosiła ceny jego chleba.

Te udzielne kwartały miejskie, istne odłamki Wene-cyi, Genui, Pizy, rozproszone po Lewancie, odźwierciadlały wiernie oblicze swojej ojczyzny. Takież kwartały posiadali łacińscy kupcy i w mahometańskich miastach, jako też i na chrześcijańskich wybrzeżach morza Śródziemnego. Te osady pod ojczystym konsulem były gwarancją uczciwego handlu i wzajemnego wypełnienia traktatów, zastępowały niejako zastawy i zakładników. Znacznie też łagodziły dzikość stosunków, jaka wówczas panowała na morzu. Przywilej brzegowy — zabierania na własność rzeczy, po rozbiciu okrętu na brzeg wyrzuconych — powoli został usunięty wzajemnymi zobowiązaniami, i ustał, jakkolwiek późno, zwyczaj, że miasta nie zostające w wojnie z sobą, wysyłały pomimo to korsarskie statki wzajem przeciw swoim okrętom. Dawniej wszelki towar na morzu należał tylko do tego, który go umiał obronić i ukryć; każdy obcy okręt uważany był za korsarski i stawał się łupem; i jeśli tylko pokój nie był wyraźnie poręczony, to na morzu każdy w każdym widział swego nieprzyjaciela.

Zupełnie inaczej oddziaływało niespodziane zjawienie się Mongołów na zachodzie. Podczas gdy ich hordy konne na wschodnich krańcach naszego lądu pozostawiły tylko po sobie łożysko zniszczenia, w Syrii panowanie tych ludów północnych dosięgło swej klimatycznej granicy. Tam niszczyciele kalifatu byli naturalnymi sprzymierzeńcami chrześcijańskich państw w Małej Azji i Franków w Syrii, szczególnie od czasu, gdy po r. 1260 Czingischani dzielił państwo mongolskie na kawałki i wzajem na sie-

bie napadali. Jeżeli dwie sfery cywilizacyi — na zachodnim i wschodnim krańcu azyatycko-europejskiego lądu — pozostały zupełnie sobie obcemi, to przecież Mongołowie pełnili, że tak powiemy, kuryerską służbę pomiędzy chińskim a romańskim światem. Nadzieja nawrócenia cesarzy mongolskich wywoływała ciągle missye. Jako oddawcy bulli papieskiej zjawiają się naprzód 22. lipca 1246 w Sira ordu czyli żółtym namiocie cesarza Mongołów trzej Franciszkanie. Jeszcze dalej dotarł (1248) wysłaniec Luwika Świętego André de Lonjumel wraz z towarzyszami, mianowicie aż do Karakorum nad Orchonem, letniej rezydencji cesarza Mongołów, (47° półn. szer. 99° wschodn. długości paryskiej). W cztery lata potem znajdujemy tam braciszka Minorytę Wilhelma z Ruysbroek, który całe pół roku bawił na dworze Mangu-Chana. Jeżeli się misyonarzom nie zupełnie udało pozyskać mongolskich książąt dla zachodniego kościoła, to zato pilnie się przypatrywali wojennym urządzeniom zdobywców, ich uzbrojeniu i właściwościom ich zaczepnej taktyki, tak że Mongołowie mieli do pewnego stopnia słuszność, podejrzewając misyonarzy o szpiegostwo. Niemcy, Węgrzy, Francuzi, uprowadzeni przez Mongołów, zaszczepili europejskie rzemiosła na najdalszym wschodzie Azyi. Przez tych to duchownych posłów doszła po raz pierwszy do Europy wiadomość o kraju Kathai, zamieszkanym przez lud grzeczny i przemysłny, którego miasta baśń opasała srebrnymi murami ze złotymi wieżycami. Do tego kraju cudów dostali się wkrótce potem (1260—1269) dwaj weneccy kupcy, Maffio i Nicolo Polo, którzy później w towarzystwie Marka, syna Nicola, powrócili do Kataju, to jest do Chin.

Stało się to w tym czasie, kiedy Wenecyanie i Genuenńczycy walczyli z sobą o handel na morzu Czarnem. Pod zwyciężką chorągwią świętego Grzegorza wzniosła się świetna Kaffa w Krymie, osady genuenckie sięgały aż do

Mingrelii, na Kaukazie górnicy ich dobywali srebro, a genueńskie okręta szybowwały po morzu Kaspijskiem, wioząc jedwab z Ghilanu. Traktaty z tatarskimi chanami Kipcza-ku broniły weneckich i genueńskich faktoryi w La Tana przy ujściu Tanais czyli Donu. Z nad Donu, śladem Polów, szły do Pekinu karawany europejskich kupców, których marszrutę przechował nam agent florenckiego domu bankowego Bardich, Balducci Pegolotti (około 1336). Od Tany dażyła karawana na wozach do Gintarchanu (Citracan, Astrachań), następnie na okręcie Wołgą dostawała się do Sara albo Saragu, rozległej stolicy Tatarów Kipczaeckich na wschodniem ramieniu ujścia Wołgi a potem we 20 dni przebywała na grzbietach wielbłądzych pustynię pomiędzy morzem Kaspijskiem i Arabskiem do Urgendź (Organci) nad Amu-Darią. Najbliższa wielka stacya Oltrarre (Otrar, Yangi) leżała nad Syr-Darią. Dalej ku wschodowi, w pobliżu Issykul czyli ciepłego jeziora potrzeba szukać czwartego etapu Armalecco. Pod miastem Lop wstępowano już na kraj wielkiej pustyni Gobi. Przeszedłszy ją, dosięgano Camexu a w 45 dniach dostawano się do Cara Muren, jak Mongołowie nazywają Żółtą rzekę. W innem mieście Cassai musieli kupcy swoje srebrne sztaby wymieniać na papierowe chińskie pieniądze czyli Balisz. Tam jeszcze tylko trzydzieści dni drogi oddzielało karawanę od Kithaju, Pekinu, który wówczas pod imieniem Kambalu napełniał zachód swoją chwałą. „Podług zapewnienia kupców“, dodaje Balducci, „którzy tę podróż przedsiębrali, jest droga od Tany do Gattayo (Chin) zupełnie bezpieczną, za jedynym wyjątkiem przestrzeni między Taną a Sarajem. Jeśli się jednak jedzie w 60 ludzi, to i tam nawet w najgorszych czasach można się czuć tak bezpiecznym, jak we własnym domu.“

Za panowania Mongołów znów się odnowiły żeglarskie stosunki Chin z Indyami i Azyą przednią. Już za cza-

sów Marco Pola kwitło *niebieskie miasto* Quinsai (Hang-czeu-fu), raj ziemski, o 15 mil powyżej ujścia Thsianczangu. Port tego miasta (Gampu u Marco Pola), który się potem piaskiem zasunął, leżał nieco dalej na wschód od dzisiejszego Ningpo. Daleko ważniejszym dla bardziej rozległych stosunków było brzegowe miasto Zaitun, jeszcze dziś przez lud Tseu-tung nazywane, a na naszych kartach oznaczone mianem Thsiuan-czeu-fu (24° 36' półn. szer.) Ztamtał na chińskich dżonkach powrócił Marco Polo przez Ormuz na Zachód. Ibn-Batuta, który na podobnym statku jechał z Calicutu, opisuje nam ich ciężkie żagle z plecionek z bambusowymi drzewcami, olbrzymie stery wielkości masztów, sztuczne ogrody na pokładzie, i wierzymy mu na słowo, gdy tę budowlę nazywa pływającym miastem, które daje gościnę 600 majtkom i 400 żołnierzom.

Pomiędzy zdobyczami Kubilaj chana wymieniają wyspę Jawę, i Marco Polo zaręcza, że wielki cesarz, któremu on służył, wysyłał swoje dżonki dla odkryć aż do Madagaskaru. Wiadomość ta staje się wiarogodną, gdy w r. 1342 znajdujemy poselstwo chińskie u sultana Mameluków w Kairze, i gdy widzimy jak w 1429 kupieckie okręta chińskie, nie znalazłszy odbytu w Adenie, puszczają się w górę Czerwonego morza, ażeby w Dżidda znaleźć lepszy targ dla siebie. Aż do roku 1430 posiadali Chińczycy osady na malabarskim brzegu, aż dopóki nie wplątali się w wojnę z miejscowymi książętami. Od czasu tych zatargów nigdy już więcej ich okręta nie pokazały się na zachód od przylądka Komorin.

Za cesarzów mongolskich i chrześcijańscy misjonarze po raz pierwszy stanęli na dalekiej ziemi chińskiej. Jan z Montecorvino, który 1291 przez Tabris puścił się drogą morską, donosi w listach do generała zakonu Minorytów, że już 1305 roku udało mu się w Pekinie wybudować dwa kościoły. Jego śladem udał się do Pekinu 1308 An-

drzej z Perudzii, mianowany potem biskupem w Zaitunie. Franciszkanin Odoricus z Pordenone, który przeszło 14 lat przebywał na Wschodzie (1316—1330) znalazł w Quinsay klasztor Minorytów i bawił trzy lata przy misyi tego zakonu w Pekinie. Przeciwnie dawną drogę przez Kaffę i Armalecco obrał w roku 1339 Jan z Marignola, który 1342 mógł słyszeć jeszcze głos chrześcijańskich dzwónów kościelnych w Pekinie, wkrótce bowiem z upadkiem tolerancyjnych cesarzy mongolskich, zamarły w niebieskim państwie słabe zawiązki chrześcijańskiego kościoła. Większą względnością cieszył się Islam, gdyż ambasada Szach-Rocha (1419) znalazła w Pekinie jeszcze dwa meczety muzułmańskie.

Indyjski handel sprzyjał wytworzeniu się nowych miast: na malabarskim brzegu na początku czternastego stulecia podniósł się Calicut do znaczenia pierwszorzędnego portu, a nowo zbudowany, z lądu na wyspę przeniesiony Ormuz owaładnął ruchem handlowym zatoki perskiej, od czasu jak upadło wyspiarskie miasto Kaisz. Ale towary indyjskie nie chciały już dalej ponosić wysokich kosztów chaldejskiej drogi lądowej, tak że na początku 14 stulecia mała tylko część drogich korzeni, którym dłuższa podróż morską szkodziła, szły drogą przez Basrę i Tabris do Europy.

Tak więc morze Czerwone wstąpiło znowu w zupełne używanie swoich geograficznych przymiotów, szczególnie gdy w Mekce co roku z najodleglejszych kątów mahomekańskiego świata wierni na jarmark przybywali. Pielgrzymi z Egiptu, przebywszy z Keft albo jak potem z Kous nad Nilem pustynię, przeprawiali się pod Aizab przez morze Czerwone do Dżiddy, gdzie w ogóle wszyscy pielgrzymi wylądowywali, których z Indyi i Afryki od strony Mozambiku ściągała do Mekki pobożność. Musiało więc to nastąpić, że arabska zatoka powoli zyskała monopol indo-

europejskiego handlu, szczególnie od czasu gdy w Egipcie Mamelucy założyli najpierwsze mocarstwo muzułmańskiego świata, a Frankowie 1291 utracili w Syrii ostatnią warownię. Znowu karmiciel ludów, Nil, płynął między dobrze uprawnymi ogrodami, 36.000 barek poruszało się na nim płynąc w dół lub w górę, a o wielkości Babilonu, jak nazywano Kairo w języku średniowiecznym, możemy pojąć wyobrażenie z tego, co mówiono o nim, że mógł wyżywić 12.000 nosiwodów i 30.000 ludzi najmujących juczne zwierzęta, i że zaraza 1348 jednego dnia mogła porwać 24.000 ludzi. Bardzo więc być mogło, że Florentczyk Frescobaldi w r. 1384 ujrzał przed Kairem, rozłożonym na przestrzeni 18 mil, więcej okrętów, niż ich kiedykolwiek widział w Genui, Wenecyi lub Ankonie. Temu ogromowi odpowiadał i wzrost Aleksandryi, przez której bramy oddawna ciągnęli do Mekki wszyscy wyznawcy proroka z Hiszpanii i Afryki i gdzie już żyd Benjamin z Tudeli (1173) odmalował nam zgiełk ludów wszelkich wyznań, wszelkich języków i wszelkiego koloru, gdzie czarni Nubijczycy i ludzie z Habeszu spotykali się z duńskimi i niemieckimi kupcami, gdzie Arabowie z Algarbii mieszały się z Arabami z Indyi i Jemenu. W ostatnich zaś stuleciach wieków średnich Aleksandrya posiadała tak uniwersalne znaczenie, że udział jakiegoś narodu w powszechnym handlu można było mierzyć jego siłami morskimi w tym porcie. Wprawdzie flagę obu największych średniowiecznych potęg morskich znajdujemy przed każdym ważniejszym składem towarów, ale od czasu upadku łacińskiego cesarstwa przewaga Genuńczyków na morzu Czarnem jest widoczną, i rozkazującą przybierają oni postawę w zachodniej części Śródziemnego morza. Zato największą wagę przykładali Wenecjanie do swoich syryjskich i aleksandryjskich stosunków, jakkolwiek oddawna usiłowano zgotować egipskiemu handlowi sztuczny upadek.

Od czasu albo i przed upadkiem seldżuckiego państwa do zdobycia Konstantynopola przez Osmanów był Egipt bez zaprzeczenia pierwszą potęgą morską na Wschodzie. Jak potem przed Turkami, tak przedtem drżał łańciński Zachód przed sultanami Mameluków. Tej hierarchii żołnierskiej, co roku odmładzającej się przez zakupno chrześcijańskich niewolników, zamyślano odciąć soki żywotne. Jeżeli indyjski handel i aleksandryjskie urzęda cłowe napełniały skarbcze egipskich monarchów i ci mogli zato kupować greckich i czerkieskich niewolników, których im genueńskie i weneckie okręta szczególnie z Czarnego morza dowoziły, to zamknięcie Egiptu dla handlu i odwrócenie indyjskiej drogi handlowej od morza Czerwonego do Zatoki perskiej przez Bagdad Tabris do Trapezuntu musiało doprowadzić do wymarcia korpusu Mameluków, tem bardziej, że Egipt, który tylko od Zachodu dostawał drzewo budowlane i żelazo i bez dowozu ze Śródziemnego morza nie mógł wznieść ani jednego miasta, literalnie mógł być rozbrojonym. Już cesarz Leon V. zabronił Wenecyanom handlować z Syryą i Egiptem (814—820); były też liczne edykta przeciw handlowi niewolnikami, ale nie zważano na nie. W dawniejszych czasach papieże zabraniali tylko dowozić Egiptowi budowlanego drzewa i wojennych narzędzi, i Aleksander III. nie omieszkał na laterańskim soborze (1178) ogłosić, że te szkodliwe towary są kontrabandą. Ale po upadku St. Jean d'Acre (1291) nawet za niewinny handel z Egiptem grozili papieże świeckimi i wiecznymi karami. Jednak pojętne zyski działały silniej na umysły, niż strach przed wiążącą i rozwiązującą władzą, i w niezliczonych kryjówkach greckiego i małoazyatyckiego świata wysp, ten potajemny nieprawy handel poumieszczał swoje składy. Nadaremnie pewien szlachetny Wenecyanin, Marino Sanuto z przydomkiem Torsello, gruntowny znawca Wschodu, jeździł do Rzymu i od jednego europejskiego dworu do dru-

giego z projektem ścisłej blokady egipskiego wybrzeża za pomocą frankońskiej floty. Pobożna ta chęć, zwrócona przeciw potędze mahometan, okazała się bezsilną w obec silniejszej natury rzeczy, i sam nawet kościół swoją pobłażliwością psuł dobrze obmyślane plany. To potrzeba było wysłać jakiegoś posła do Aleksandryi, to jakiegoś uwięzionego rycerza wykupić, to papież dał się namówić do udzielenia rozgrzeszenia potajemnie handlującym z Egiptem, to wreszcie otrzymywano dyspensę za pieniądze.

Azyatycki handel, jak wiadomo, od czasów starożytnych aż do najnowszych wywołuje przyływ szlachetnych kruszców od Zachodu ku Wschodowi. Wschód ma do ofiarowania Zachodowi same drogocenne produkty: korzenie, kadzidło, drzewo zbytkowe, pachnidła, drogie kamienie i perły, a jednocześnie podzwrotnikowi mieszkańcy nie potrzebują ani jednego produktu Europy. Przy zamykaniu więc bilansu między dwoma światami zawsze Zachód pozostawał dłużnikiem i zmuszony był nieustannie posyłać złota i srebra wyprawiać do Indyi, które tem większym były ciężarem, że towary wschodnie z powodu wysokiej ceny przewozu, szybkiego odbytu w handlu, przedewszystkiem zaś z powodu wysokich celi egipskich tak bardzo podrożały, że w Aleksandryi korzenie indyjskie sprzedawano trzy razy drożej jak w Calicut, a kadzidło pięć razy drożej jak w Mekce. Na Zachodzie wiedziano o tem doskonale, jak również wiedziano dobrze, że w bezpośrednim handlu ze Wschodem, wszystkie te dobre rzeczy można za bezcen otrzymać. Ogromną ilość gotówki, która w skutek tych okoliczności co roku przez Aleksandryę umykała na Wschód, bardzo skąpo w 14 i 15 wieku wynagradzały miejscowe kopalnie, i w skutek tego zapasy gotówki w naszej części świata stopniowo się zmniejszały. To ogołoce nie Europy ze szlachetnych metali objawia się w 15 wieku nagłym obniżeniem ceny miejscowych towarów, tak że

z każdym rokiem wzrastała potrzeba zawiązania bezpośrednich stosunków ze Wschodem, i wynalezienie nowych dróg w tamtą stronę stało się problematem kupieckim, którego rozwiązanie nie cierpiało zwłoki.

Swemu handlowi ze Wschodem zawdzięcza prawdopodobnie europejska żegluga znajomość igły magnesowej i jej właściwości ukazywania biegunów. Wynalazkiem tego narzędzia chwala się Chińczycy już w 12 wieku naszej ery. Z początku używano igły tylko w podróżach lądowych, ale za dynastji Tsin (265—416 po Chr.) zastosowano ją i do żeglugi. Najstarszym dokumentem, który zdradza znajomość bussoli na Zachodzie, jest satyryczny poemat Guyota z Provins z roku 1190, gdzie jest apostrofa do ojca apostolskiego, aby był podobnym do gwiazdy polarnej, na którą igła magnesowa wskazuje. Kardynał Jacques de Vitry, piszący 1218 r., znalazł już w Lewancie igłę magnesową w użyciu u żeglarzy. Najstarsze świadectwo o znajomości bussoli u Arabów, jakie dotychczas odszukano, odnosi się do tak późnej daty, jaką jest rok 1242. Można zatem powątpiewać, czy to Arabowie zaznajomili nas z tym ważnym wynalazkiem. W dziewiętnastym stuleciu na wodach indyjskich prawdopodobnie igły magnesowej nie używano, a że jej nie używano także od 13 wieku aż do pojawienia się Portugalczyków, świadczy o tem większość współczesnych. Jeżeli więc można uważać za rzecz prawdopodobną, że bussolę z Chin do Europy przenieśli Arabowie, to przypuszczenie to opiera się tylko na pochodzeniu nazw *zohron* i *aphron* służących do oznaczenia południowego i północnego punktu bussoli. Zresztą instrumentowi temu bardzo wiele jeszcze brakowało do udoskonalenia, z początku bowiem igłę, czy to w formie krzyża zatkniętą w kawałek trzciny, czy umieszczoną w dętej rybce metalowej, kładziono w naczyniu z wodą, z kąd pochodzi najstarsza nazwa instrumentu *calamita*, i dopiero

później gdy osadzono ją w pudełku na osi, od tego pudełka otrzymała nazwę bussoli. Jakkolwiek jednak pożytecznem było to narzędzie dla żeglugi i współczesnego ziemioznawstwa, to jednak zbyt przeceniano wpływ igły magnesowej na odkrycia, utrzymując, że dopiero od czasu jej posiadania okręta ośmielały się tracić brzeg z oczu. Normanowie na trzy wieki przed Guyotem de Provins puszczały się bez bussoli do Islandyi, gdy tymczasem portugalscy żeglarze aż do 1434 nie śmieli tak daleko odpłynąć od brzegu, aby ominąć mielizny przyłądu Bojador.

Budowa okrętów w ostatnich stuleciach średniowiecznej epoki dosięgła rozmiarów, które znacznie przewyższone zostały dopiero w obecnym stuleciu i to w ostatnich lat dziesiątkach. Nie mówimy już o statkach, których rozmiary z amatorstwa rozszerzano do przesady; ale największe wojenne okręta w wiekach średnich unosiły na sobie 500 wojowników, nie licząc posługi okrętowej. Siła największych statków kupieckich wynosiła zwykle 500 beczek (10.000 cetnarów), nigdy zaś, co prawda, nie przekraczała 900. Wielkie weneckie galeazze, które jeździły do Lewantu, zawierały w sobie po 1000 beczek (każda po 1000 funtów). Miały one po 150 wioślarzy i majtków, a z rzemieślnikami, przewodnikami i oficerami liczba wszystkich osób na pokładzie wynosiła do 200. Doża Mocenigo († 1423) mógł chwalić się na łożu śmiertelnem, że zostawia Wenecyi największą potęgę morską; mianowicie 300 okrętów o wysokiej krawędzi (bord) z 8000 majtków, 45 uzbrojonych galer z 11.000 i 3000 pobrzeżnych statków o 10—100 beczek z 17.000 majtków.

Weszło u nas w zwyczaj przypisywać upadek handlu morza Śródziemnego i jego potęg morskich odkryciu Ameryki i oceanicznej drogi do Indyi; atoli z trzech flag włoskich, które aż do końca wojen krzyżowych nienaruszone zachowały znaczenie, upadła naprzód pizańska, wyczerpawszy

siły w dwuwiekowej walce z Genuą 6. sierpnia 1284. Inna młodsza potęga morska, katalońska, po większej części w związku z Wenecyanami przeciw Genueńczykom, dosięgła szczytu swej potęgi około r. 1353, kiedy uzyskała w Aleksandryi także korzyści, jakie tam mieli Genueńczycy i Pizańczycy. Ale gdy Barcelona w domowej wojnie z Janem II. aragońskim stanęła po stronie księcia lotaryńskiego, i ściągnęła na się oblężenie 1470, port jej został zaniesiony piaskiem i przy końcu 15 wieku z widoczną szybkością zaczął upadać handel i potęga morska tego miasta. Od upadku łacińskiego cesarstwa przez wiek czternasty była Genua niezaprzeczenie panią wszystkich wód wewnątrz cieśniny gibraltarskiej. Upadek jej wywołały nie straty pod Chioggią łatwe do wynagrodzenia (1380), ale niespożytość weneckiego ustroju politycznego, w przeciwieństwie do niestateczności podzielonych na stronnictwa Genueńczyków, a w końcu przewaga adryatyckiej potęgi morskiej nad liguryjską. Wszystkie zagraniczne posiadłości Genui: Famagosta na Cyprze, Chios, Pera, pontyjska Amasra; Cembalo, Soldaia, Kaffa w Krymie; faktorye w Synopie, Trapezuncie i Sebastopolu wystawione były na natarcie wzmagającej się potęgi osmańskiej, a tak słabą czuła się Genua, że po upadku Konstantynopola odstąpiła Kaffę bankowi Sgo Jerzego, który równie bezsilnym był, jak i rzeczpospolita. I rozkwit Wenecyi przygasał przy końcu piętnastego stulecia z upadkiem egipskiego handlu. Od czasu jak na Malcie, Sycylii, Balearach w Kalabryi i Andaluzyi uprawiano bawełnę; od czasu jak przeszczepiono trzcinę cukrową na Maderę i wyspy Kanaryjskie; jak odkryto surrogaty dla pieprzu w Gwinei, a kość słoniową bezpośrednio ze zwrotnikowej Afryki sprowadzano, na odwrót zaś przywóz czerkieskich niewolników ustał w skutek posuwania się naprzód Osmanów; — od tego czasu traci Aleksandrya częściowo swoje handlowe

znaczenie. Jeżeli jednak niejedna rzecz z tego, cośmy wymienili, dałaby się była przeboleć, to polityczne zdziczenie Egiptu świadczyło o zgrzybiałości mamelukiego panowania. Beduini znowu uganiali za łupem po wybrzeżach Nilu, w opuszczonych gmachach Aleksandryi gnieździły się gołębie, coraz rzadziej powiewały bandery w porcie, i im wyższy monopol nakładali sułtani na towary indyjskie, tem mniejszy mieli dochód w rezultacie.

Szczęśliwe czasy dla śródziemnego wybrzeża mijały i nie dały się niczem powstrzymać. Już Timur zrównał z ziemią Urgendź, faktorye nad Donem, wielką rezydencję Mongołów Saraj i jej siostrzycę nad Wołgą, dawniejszy Astrachan, a więc wielkie etapy pontyjsko-chińskiego handlu karawanowego, ale przynajmniej kaprys despoty, przerzucający ludzi z jednego miejsca na drugie, z ruin spustoszonych miast wznosił powabną Samarkandę i nadał jej znaczenie turańskiego Paryża, dokąd spędzano Turków, Tatarów, Arabów, Rusinów, Ormian i Greków, a w którego bazarach, pilnie zwiedzanych przez Chińczyków, największe azjatyckie drogi handlowe, baktro-indyjska, pontyjsko-perska i karawanowa droga do Pekinu wystawiały swoje bogactwa. Tem smutniej wyglądają zdobycze Turków, których spustoszenia żadną świetnością się potem nie okryły, których jedynem wyższem powołaniem zdaje się być niszczenie. Po wzięciu szturmem Konstantynopola zajął Mahomet II. prawie bez dobycia miecza 1461 Amasrę, Synopę i Trapezunt, w następnym roku opanował wyspę Mytylene, a 1470 dostało mu się miasto Negropont. Nakoniec Kaffa, wielce ceniony Istambuł Krymu, ulega 1475, a 70.000 jej mieszkańców (Genuńczyków, Greków, Ormian, Włochów, Czerkiesów i Mingrelczyków) wyprowadzono jako niewolników na targi Lewantu. Czego nie obalił jeszcze Mahomet II., to zniszczył Selim, zdobywszy Syryę i Egipt (bitwa pod Kairo 31. stycznia 1517).

Zawładnięcie przez Osmanów Bosforu i Nilu było ciężkim fatalizmem w dziejach ludzkości. Nad tymi najważniejszymi przesmykami międzynarodowego handlu siedzieli oni tylko jako celnicy. Niezliczone zatoki, cypłe, przylądki, i bogate w wyspy wody Romanii, gdzie każdy brzeg miał swoje własne echo, ta najbardziej zajmująca część powierzchni ziemskiej, gdzie stykały się trzy części świata, gdzie zbliżały się rozmaite strefy ciepła, dzięki rozdziałowi mas lądowych, gdzie tylko wąska cieśnina oddzielała rzeczy najróżnorodniejsze, wschodnią cywilizację od zachodniej; cały ten nieoceniony inwentarz kultury wpadł w ręce trymfujących najeźdców. Pod żelaznym pazurem Turków zamarł oddech śródziemnego świata. Naprzód Don obumiera, martwieją brzegi Anatolii, Pontos wraca do dawnej niegościnności, pustoszeje Syrya, wreszcie zadławione ostatnie resztki życia w Aleksandryi, i morze Czerwone więcej jak na trzywiekowe skazane zapomnienie. Jeżeli dotychczas brzegi morza Śródziemnego były świecącą połową Zachodu, to wystąpienie Osmanów zasypuje od razu źródło światła i z troską patrzymy na stopniowe przygasanie ostatnich świecących szczytów, podczas gdy wszelkie życie ucieka ku chłodnej peryferii naszej części świata. Odkrycie nowych światów na Zachodzie i wolnej drogi handlowej do zwrotnikowego Wschodu nadało bezwątpienia nową nieprzeczuwaną cenę oceanicznym brzegom Europy; ale że z zagaśnięciem małoazjatyckiej i pontyjskiej kultury morze Śródziemne musiało w coraz większy i większy bezruch zapadać, to było to dobrowolną zasługą Osmanów.

ROZDZIAŁ DRUGI.

PIERWSZE WYPRAWY NA ATLANTYK.

Saga Brandana. Maghrurin. Niezeglowność oceanu. Zawiazki portugalskiej potęgi morskiej. Oceaniczne drogi handlowe. Grupa kanaryjska; Madeira; odkrycie Azorów. Guanchowie. Pierwsza kolonia chrześcijańska. Stosunki lądowe z Sudanem.

Żalobne ubolewanie nad niedolą ziemską i jakaś niejasna tęsknota kazały zawsze szukać obiecanych krajów poza granicami znanych przestrzeni ziemi i Elysium Homera umieścił poeta na wyspach szczęśliwych na Oceanie. Wszystko, cokolwiek wiemy o odkryciu Fortunatów przez flotę numidyjskiego króla Juby, zawiera się w suchem sprawozdaniu Pliniusza, który już sam powątpiewał o prawdziwości tego wypadku. Przyjemny półcień, którym imię wysp szczęśliwych nakrywało znów utracony archipelag atlantycki, rozbłysnął dla chrześcijańskiej Europy w wiekach średnich szanownem i na bretońskich sagach opartem podaniem, podług którego pewien święty irlandzkiego kościoła, Brandan, zwątpiwszy o cudach tego świata, musiał siedm lat na oceanie błąkać się od wyspy do wyspy, dopóki z wyższego rozporządzenia nie odsłoniły mu się tajemnice Atlantyku, to jest *mare pigrum* (tak zwana łąka sargasowa, to jest przestrzeń oceanu pokryta wodorostami) i wybrzeże, które w niemieckim tekście nazywało się „das gute Erdreich“. Podobne jest ono do raju, tak głosiło dalekie podanie, a tak jest obfite, że wszelkie pragnienia może zaspokoić. Są tam też i dyabły, brzmiał naiwny dodatek. Apokryficzne kraje tej mniszej Odyssei średniowieczna geografia, nie trapiąca żadną zawistną krytyką, wciągała do przedmiotów naukowych i wyspy świętego żeglarza, często mieszane ze szczęśliwymi wyspami starożytności, wzbogaciły kosmograficzne traktaty i dawniejsze mapy. Ale przy każdym nowem rozszerzeniu koła odkryć

ustępywały fantastyczne twory ze znanych w nieznane przestrzenie oceanu. Nie łatwo się jednak daje w pojęciach zatrzeć to, co raz już uzyskało kształt na karcie. Wysp irlandzkiego świętego szukano w szesnastym, ba nawet jeszcze w przeszłym stuleciu, pomimo iż wielki Wincenty z Beauvais już w trzynastym wieku uznawał legendę Brandana za niegodną pomieszczenia w swoim dziele historycznem.

Inne podanie mają Arabi. Powiada ono, że ośmiu nieustraszonych żeglarzy, zwanych *oszukiwanymi* albo *awanturnikami* (Maghrurin) wypłynęło z Lizbony na dobrze zaopatrzonym statku i jadąc 11 dni na zachód, a 12 na południe dopłynęli do zaludnionej wyspy. Krajowcy trzymali ich jakiś czas w niewoli, potem przy najbliższym wietrze zachodnim odwieźli po 72 godzinnej podróży na jakiś brzeg nieznany, gdzie Arabowie wysadzeni z zawiązanymi oczami odkryci zostali przez krążących Berberów i zaprowadzeni do portu Asafi (Safin u przylądka Cantin). W cześć powróconym marynarzom arabskim miano nazywać jedną z ulic Lizbony ich imieniem. Potrzeba pewnej odwagi, ażeby to podanie, szczególnie w takiej formie, jak się do nas dochowało, uważać za dowód zwiedzenia atlantyckich archipelagów. Ale jakikolwiek wypadek historyczny prześwieca przez złotą mgłę tej sagi, to w każdym razie jest rzeczą pewną, że wyprawa „awanturników“ nie rozszerzyła arabskiej wiedzy o przestrzeniach Atlantyku. Ich geografowie rozróżniają wprawdzie na zachód od Afryki dwa archipelagi, wyspy wiekuiste i wyspy szczęśliwe, „od których Ptolomeusz liczy swoje południki“, ale czyniąc to, albo powtarzają tylko to, co znaleźli u geografów starożytnych o Fortunatach, jak Massudi i Abulfeda, albo, jak Edrisi, mają dla wysp fantastyczne nazwy, żywo przypominające legendę Brandana. Za czasów Abulfedy (1321) utrzymywano, że wyspy wiekuiste znikły bez

śladu z oblicza oceanu. Kiedy Ibn-Haukal podróżował po Afryce (970—997) statki arabskie pływały wzdłuż marokańskiego wybrzeża tylko do Salé, za czasów Edrisiego (1150) wysuwały się tylko o cztery dni drogi po za Saffi, a w czasach kiedy żył i pisał Ibn-Chaldun (1377) zawsze jeszcze trzymały się po tej stronie przyładka Nun.

Zachodni ocean nazywali Arabi morzem ciemności, z powodu mgły, która ciągnąc się nad jego wodami, promienie słońca pochłaniała. Pojęcia te zawdzięczali rzymskim pisarzom, którzy nie mając w tym względzie własnego doświadczenia, musieli wierzyć w to, co przebiegli Kartagińczycy wymyślili, ażeby obce ludy odstraszyć od żeglugi po tamtej stronie Heraklesowych słupów.

Nawet wtedy, gdy doszła ich wiadomość o odnalezieniu wysp Kanaryjskich, mniemali oni ciągle, że ocean jest martwym, nieożywionym żadną przyjazną gwiazdą, żadnym powiewem, zdolnym napełnić żagle, a „morze ciemności“ tłumaczyli sobie, jako skutek niedostatecznej insolacji.

Ażeby niezęglowność oceanu jeszcze dobitniej przedstawić, odzywa się u arabskich geografów z rozmaitemi wariacyami legenda, że na zachodniej krawędzi, czy też na wyspach oceanu, wznoszą się słupy czy figury z kamienia i miedzi, postawione tam przez „Hirakla olbrzyma“ lub dwurogiego Iskendera (Aleksandra W.), które będąc niejako strażnikami nieprzebytych przestrzeni, napisem lub groźnym ruchem ostrzegają żeglarzy od wszelkiej podróży na Zachód. Z symbolicznego wyrażenia słupów Herkulesa, którem w starożytności oznaczano skały cieśniny gibraltarskiej, utworzył się przez niezrozumienie ów myt żeglarski, z chciwością pochwycony przez łacińską średniowieczność. I tak Jean de Beauveau, biskup z Angers za Ludwika XI., przenosi owe kamienne figury na wyspy cieśniny gibraltarskiej i daje im w ręce klucze,

któremi zamykają przed okrętami bramę atlantycką. Mógł też Genuńczyk Krzysztof Kolumb w swoim szacownym Pierre d'Ailly czytać, że Ibn-Roszd widział jeszcze te figury pod Kadyksem, zanim w r. 431 (1039—1040 po Chr.) zburzone były przez niewiernych. Na mapach świata nie brak także tych pomników; znajdują się one jeszcze nawet w Pizigano (1367). Tak więc w pojęciu średniowiecznem dobra Opatrzność, czy też zawistne potęgi nakrywały przestrzenie Atlantyku zasłoną, i ocean, który jest dziś mostem dla wędrującej ludności, szumem swoim odstraszał wówczas myśli ludzkie i kierował je ku brzegom lądu. Dante w swoim Piekle każe pokutować Ulissesowi za zbrodniczy popęd wiedzy, za to że śmiał przekroczyć ów groźny próg, gdzie zapędowi ludzkości położono graniczne kamienie

quella foce stretta

Ov' Ercole segnò li suoi riguardi,

Acciòche l'uom più oltre non si metta.

Inf. XXVI. 107—110.

Pod troskliwą opieką króla Diniza, którego lud portugalski porównywał do dobrego rolnika (*lavrador*), zachęczone mądrym przewodnictwem (1293) zaczęło się po raz pierwszy ruszać żeglarskie życie w Lizbonie, i już początek wypraw z morza Śródziemnego do Flandryi i Anglii ciągnął za sobą nieobliczone skutki. Wprawdzie jeszcze przedtem północi krzyżowcy na okrętach dostawali się ze swoich wybrzeży na morze Śródziemne, ale dopiero z brząskiem 14 stulecia szuka handel atlantyckiej drogi z powodu jej dogodności. Nie docieczono dotychczas, czyje okręta, genewskie czy weneckie i w którym roku po raz pierwszy puściły się do Flandryi. To tylko jest rzeczą pewną, że 1318 Wenecyanie posłali 5 galeazz do Antwerpii. Droga morska zalecała się swoją taniością, a niebezpieczeństwa tej drogi w czasach pokojowych były stosun-

kowo bardzo małe, jak to można wnosić z cen zabezpieczenia. Ponieważ z Genui wówczas wychodziły wszelkie większe morskie przedsięwzięcia i Genuieńczycy byli dowódcami flot zagranicznych, więc i król Diniz (Dyonizy) powołał pewnego Genuieńczyka z domu Pezagno na wielkiego admirała do Portugalii. Zawiązki rozwinęły się wkrótce tak szczęśliwie, że port lizboński już za Dom Fernao (1367—1383) ożywiał się nieraz 450 żaglowcami, nie licząc łodzi na rzece Tagu. Tenże książę założył pierwsze w Europie towarzystwo ubezpieczenia od niebezpieczeństw morskich, w obec którego żaden dłużnik nie mógł zwlekać z wypłatą.

Jeżeli zwycięstwo dróg oceanicznych nad lądowymi stosunkami Flandryi z Górną Italią świadczyły o stanowczym postępie żeglugi, to znów zaraz przy pierwszym puszczeniu się włoskich żeglarzy na tamtą stronę Gibraltaru, natrafiamy na pierwsze wiadomości o próbach odkryć na oceanie Atlantyckim. Przy końcu trzynastego wieku Tedi-sio Doria i dwaj bracia Vivaldi własnym kosztem zbudowali i urządzili w Genui dwie galery, które przepłynąwszy cieśninę gibraltarską, miały szukać zachodniej drogi do Indyi. Nie powróciły one nigdy, ale z tegoż czasu dochowało się podanie, że pewna flota genueńska przy końcu 13 czy na początku 14 stulecia na nowo odkryła wyspy Kanaryjskie i przywiozła o nich wiadomości do domu, jakkolwiek ta wiadomość mało odpowiadała nazwie wysp szczęśliwych. Późniejszą od tych odwiedzin zdaje się być wyprawa przedsiębrana za Alfonsa IV. przed r. 1335 do świeżo odkrytych wysp Kanaryjskich; powróciła ona do Lizbony z płodami krajowymi i z porwanymi mieszkańcami wysp. Dokładną wiadomość o pewnej podróży do wysp Kanaryjskich przynosi nam dopiero pewien przywilej handlowy, nadany florenckim kupcom w Sewilli. Mianowicie w lipcu 1341 dwa wielkie dobrze uzbrojone okręta

i jeden mniejszy statek zostający pod dowództwem Genuńczyka Niccoloso da Reccho i Florentczyka Angiolino del Tegghia de Corbizzi, z załogą złożoną z Genuńczyków, Florentczyków, Kastyleczyków i Portugalczyków, w pięciu dniach dostały się do *odnalezionych wysp* (quas vulgo repertas dicimus), gdzie się do listopada zatrzymały. Najwyraźniej z opisu ich przegląda Teneryffa, gdy Piton Picu czyli białym pomexem pokryty ostrokrag wulkanu (in ejus vertice quoddam album lapidem) porównywią z wezbranym żaglem na maszcie łacińskiego okrętu. U prawie zupełnie nagich, ale walecznych krajowców tej wyspy znaleziono kamienne domy, posągi bogów, rolnictwo i sądząc po zachowanych próbach języka posiadali oni dziesiętny system w liczebnikach. Udało się bowiem z wielkiej wyspy uprowadzić czterech krajowców, którzy język mieli tak wprawny, jak Włosi (idioma more italico expeditum). Przedsięwzięcie to musiało być tylko w jakiejś części przedsiębrane na koszt portugalskiej korony, Florentczycy bowiem skarżą się, że podróż nie przyniosła nawet tyle, aby można było pokryć jej rozechody.

Wkrótce potem nadał papież bullą datowaną z Awinionu 15. listopada 1344 panowanie nad Kanaryjami hrabiemu Claremont i Talemont Don Luis'owi de la Cerda, bardziej znanemu pod imieniem Ludwika hiszpańskiego. Królowie Kastylii i Portugalii utrzymywali wprawdzie, że nadanie im się należy, przyrzekli jednak poparcie Don Luisowi, „przez należne uszanowanie dla apostolskiej świętości“. Don Luis starał się z Walencyi objąć lenno w posiadanie, ale śmierć go przedtem zaskoczyła w bitwie pod Crécy 1346.

Tymczasem na jednej z wysp usadowili się Genuńczycy i rycerz Lancelot ze słynnej rodziny Malocelli wybudował zamek na wyspie i dziś jeszcze noszącej od jego imienia nazwę Lanzarote. Stało się to na niedługo przed,

albo jeszcze prawdopodobniej wkrótce po otrzymaniu nadania lennego przez de la Cerdeę; ale Genuieńczycy niebawem opuścili nie przynoszącą zysków kolonię. Przy końcu czternastego stulecia częściej zwiedzano wyspy Kanaryjskie, po części dla łowienia krajowców, których sprzedawano Berberyjczykom, po części aby za bardzo poszukiwane przez krajowców towary żelazne dostawać od nich w zamian szczaw krwawy, i drogocenny, dziko rosnący na tych wyspach mech skalny (*Rocella tinctoria*).

Między 1384 a 1391 trzynastu zakonników usiłowało nawrócić mieszkańców wielkiej wyspy Kanaryjskiej na chrześcijaństwo, ale zostali przez Guanchów pozabijani.

Przed połową czternastego stulecia już włoscy marynarze odkryli grupę Madery, co jest wskazówką jak już daleko od brzegów ośmielali się zapuszczać w ocean żeglarze; w tymże czasie Włosi odkryli wszystkie wyspy Azorskie.

Ani Azory, ani grupa Madery, ani wyspy Zielonego przylądka nie były zaludnione; ze wszystkich atlantyckich archipelagów tylko na Kanaryach znaleziono mieszkańców. Ten lud, dziś już nie istniejący, a nazywany zwyczajnie Guanczami, zalicza Prichard do atlantyckiej rasy, porównawcza zaś lingwistyka pozwala domyślać się jego pokrewieństwa z berberyjskimi szczepami. Według pewnej późniejszej wiadomości ludność siedmiu wysp składała się tylko z 13—14.000 rodzin. Ponieważ Gwancze nie mieli statków, więc komunikacja w Archipelagu była tak słabą, że mieszkańcy jednej wyspy nie zawsze rozumieli narzecz sąsiedniej. Najniżej stały społeczne stosunki na wyspach Gomera i Palma, gdzie nie uprawiano, jak na wyspach wschodnich, pszenicy i jęczmienia, gdzie krajowcy nie nosili nawet fartuchów z kozłej skóry, ale nadzy mieszkali w pieczarach, mieli wspólne żony, żywili się korzonkami i mlekiem koziem, i od nieprzyjaciół bronili się

rzucaniem kamieni i oszczepami, na które nasadzali rogi. Inne w nas myśli obudza to, co słyszymy o wyspie Fuerteventura, gdzie dwaj królowie ciągle wojowali z sobą i wyspa wielkim murem, ciągnącym się od jednego brzegu do drugiego, podzieloną była na dwie części. Ale najwyższy rozwój społeczny znajdujemy na wielkiej wyspie kanaryjskiej, gdzie były dwie stolicy i 33 okręgi, i gdzie dwa państwa, Telde i Golda, każde rządzone przez króla i najwyższego kapłana, walczyły z sobą, której to okoliczności Hiszpanie zawdzięczają podbicie wyspy, albowiem wspierali słabszego króla Goldy przeciw silniejszemu. Trudno było zapanować nad bitną ludnością, Guanche bowiem łazili po skałach jak kozy, a biegali tak szybko, że mogli uciekającego zająca dogonić. Władza królów kanaryjskich znacznie ograniczoną była przez oligarchiczny senat ze 190—200 członków, których arystokratyczne rody z pośród siebie obierały. Najwyższy kapłan załatwiał spory prawne, badał roszczenia wojowników do szlacheckiej godności i udzielał pozwolenia na wojenne igrzyska. Była też i wzgardzona kasta, która jedna mogła się zajmować nieczystem zajęciem zabijania i patroszenia kóz. Chociaż na wielkiej Kanaryi nie było wielomęstwa, panującego na innych wyspach, to przecież nie mógł istnieć prawdziwy związek małżeński tam, gdzie nie synowie, ale dzieci siostry dziedziczyły. Dorośli okrywali się skórą, albo fartuchami z palmowych liści, tatuowali jasną skórę i nosili długie włosy, które były także jasne. Wspominano wprawdzie o niewidzialnym Stwórcy, ale obok tego czczono w świątyniach, w których służbę pełnili magadas czyli kapłanki, pewne żeńskie bóstwo i modlono się do jej drewnianego posągu, którego atrybuta wyraźnie wskazywały, iż chciano w nim uczcić siłę płodności. Dobrowolne ofiary rzucały się w religijnym fanatyzmie ze świętej skały Tyrma albo Tirmah, przy której składano największe przy-

sięgi. Mumie znakomitych ludzi, trawami od zepsucia bronione, uroczyście chowano, sadzając je w grobach albo pieczarach w prostej pozycyi.

Krajowcy nie posiadali żelaza i żadnych statków, to jest już ich wtedy nie posiadali, gdyż tylko na okrętach mogli się dostać ludzie na te wyspy, co jak trabanty jakiego planety w znacznej odległości od lądu następowały po sobie. Tak więc Guanchowie przedstawiają się nam jako szczątki uzdolnionego niegdyś szczepu, który znał wyższe formy życia, dopóki przez długie odosobnienie stopniowo nie zniżył się do nędznego stanu dzikich ludów, podczas gdy niektóre kunsztowniejsze formy i potrzeby ludów bardziej ukształconych przechowały się, jakby jakie skamieniałości, wśród późniejszego zdziczenia. Kanaryjczycy, kiedy ich pytano o pochodzenie, odpowiadali: „Podług tego, co opowiadali nasi przodkowie, Bóg nas osadził na wyspach, zostawił tutaj, a potem zapomniał o nas.“

Ażeby ten świat wysp i jego ludność pozyskać dla chrześcijaństwa, pewien zamożny szlachcic normandzki, Jean, pan na Bethencourt i Grainville, wraz z czcigodnym rycerzem Gadiferem de la Sale i ludźmi z Normandyi, Gaskonii, Anjou i Poitou, wypłynął w r. 1402 na dobrym okręcie z Roszeli, i w lipcu wylądował z 53 towarzyszami na Lanzerote, gdzie przybysze dla obrony wybudowali zamek Rubicon. Bardzo prędko spostrzeżono, jak niedostateczne były dla wykonania zamiaru siły i środki, z którymi się wybrano. Dla tego Bethencourt uznał się za lennika korony kastylskiej, która chętnie pospieszyła z pomocą, posyłając osadnikom okręt z 80 ludźmi, żywnością i pieniędzmi. Ażeby złamać opór miejscowego króla, obwołano pewnego Guancha imieniem Asze dwudziestym czwartym dynastą wyspy, ale pretendent dostał się w ręce prawowitego króla, który go kazał ukamienować. Atoli 20. lutego 1404 król wyspy stawiał się w zamku i przy-

jął chrzest. To poddanie rozstrzygnęło los sąsiedniej Fuerteventury albo Erbanii, jak nazywają wyspę dziejopisowie Bethencourta. Słabą załogę zamku, który tam był dawniej wystawiony, Guanchowie wymordowali byli, teraz zaś Bethencourt ze swymi ochrzczoneymi Lanzarotezykami, którzy namiętnie szli do walki z pokrewną ludnością, napadł na wyspę osłabioną wewnętrznymi zatargami. Łatwe jej zdobycie zapieczętowane zostało chrztem obu nieprzyjacielskich królów Fuerteventury z północy i południa (18. i 25. stycznia 1405).

Na tem się tymczasem zakończyły zdobycze w Archipelagu; normandzki rycerz objeżdżał wprowadzie okrętem inne wyspy i wylądowywał nawet na wielkiej Kanaryi, aby na wymianę dostać cennego szczawiu krwawego, i na Gomerze, aby porwać ztamtąd jedną rodzinę Guanchów, przy nocnym ogniu skupioną, ale brakowało mu ludzi, aby mógł coś przedsięwziąć przeciw ludnym wyspom. Bethencourt więc 1405 powrócił do Normandyi, gdzie mnóstwo ludzi, często po trzydziestu jednego dnia, zgłaszało się z chęcią przesiedlenia się z przeludnionej ojczyzny na dalekie wyspy. Bethencourt wybrał 28 ludzi z żonami, ażeby zawieść ich na zupełnie prawie opuszczoną wyspę Ferro. Gdy z tymi przybyszami przybijał do Lanzarote, zabrzmiały trąby na okręcie, co czułym na muzykę Guanchom sprawiało „niepowściągnioną“ radość.

Piętnastego grudnia 1405 oddał na zawsze Bethencourt kolonię pieczy swego synowca Maciota de Bethencourt. Osobiście wyjednał u papieża wyniesienie osady Rubicon de Lanzarote do godności biskupstwa i wkrótce po tem pewien Hiszpan, Las Casas, został pomazany na pierwszego biskupa wysp Kanaryjskich. Bethencourt nie powrócił już więcej do tych wysp i umarł bezdzietnie na swoim zamku Grainville w r. 1425.

W r. 1404 rycerz, o którym mowa, miał w ręku dziennik pewnego hiszpańskiego mnicha, który utrzymywał, że przeszedł przez Sudan aż do Abissynii, czyli mówiąc językiem owego wieku, aż do arcykapłana Jana w Nubii i do Dongoli, i przez Kairo powrócił do Europy. Przynosił on z sobą wyborne wiadomości o wielkiem mieście Melli w państwie Gotome, w którego górach sześć rzek wytryskało, i te łączyły się ze złotą rzeką (fleuve de l'or), która miała wlewać się w morze o 150 leguas (mil hiszpańskich) na południe od przylądka Bojador. Dorzecze tej rzeki nosi także nazwę królestwa Guinoye, czyli w późniejszym języku Guinea. Ta nazwa, którą później przeniesiono na afrykańskie wybrzeże od Sierra Leone aż do ujścia Nigru, należy się właściwie tylko dorzeczu Senegala. Tam leżało starożytne państwo Ghanata, podbite prawdopodobnie w drugiej połowie trzynastego wieku przez czarnych sułtanów z Melli, których panowanie rozciągało się za Senegal i wzdłuż Dżoliby aż do Timbuctu. Stolica tego państwa, Dżinnie, dokąd Islam dopiero w 12 stuleciu mógł przeniknąć, leżała podług Ibn^a Chalduna pomiędzy dwoma brzegami zachodniego Nilu (Nigru) i przez powodzie zamienioną została w wyspę. O tych krajach i miastach Łacinnicy bardzo wczesnie mieli wiadomości. Tak na katalońskiej mapie świata z r. 1375 znajdujemy na południe od Sahary we właściwych punktach umieszczone miasta Timbuktu i Melli, jako też nazwę kraju Gwinea; wyraz, który wówczas takie miał znaczenie, jakie u starożytnych geografów Nigrycyja. Jeżeli zatem już wtedy geograficzna wiedza Franków w środkowej Afryce sięgała aż do ziem murzyńskich, to była ona prawdopodobnie nabytą dzięki handlowym stosunkom, gdyż Wenecyanie, Genuieńczycy, Pizańczycy i Katalończycy nie tylko posiadali faktorye w Tunisie, Bugia, Marocco, ale ich karawany pod opieką sułtańskiego konwoju przerzynały cały kraj Tunisu.

Do tej złotej rzeki i do gwinejskiego kraju zamysłał Bethencourt rozszerzyć swoje zdobycze. Już 10. sierpnia 1346 w dzień świętego Wawrzyńca pewien majorkański kapitan, Jakób Ferrer, wypłynął dla znalezienia złotej rzeki, ale nie widziano go już więcej. Mógł też Bethencourt słyszeć, że jeszcze przed nim żeglarze normandzcy prowadzili handel z zachodnimi wybrzeżami Afryki, i może nawet zakładali tam kantory. Ponieważ nie poczytywał tego przedsięwzięcia za rzecz trudną, to nie wiemy dla czego zaniechał wielkiego zamiaru. Atoli proroczo pocieszał papież normandzkiego barona przy pożegnaniu: „Staniesz się sprawcą wielkich rzeczy, gdyż inni synowie kościoła odkryją po tobie bliskie państwa Gwinei.“

ROZDZIAŁ TRZECI.

PORTUGALCZYCY DOCIERAJĄ DO PRZYLĄDKA DOBREJ NADZIEI.

Henryk Żeglarz. Opłynięcie przylądka Bojador. Przylądek Zielony. Teorya stref. Systematyczne przygotowania do odkryć. Stare mapy. Kolonizacya wysp Azorskich. Wybrzeże złote. S. Jorgo de la Mina. Diogo Cao i Behaim w południowej Afryce. Astronomiczna Junta. Dias opływa południową kończynę Afryki.

Po dziesięciu latach wypełnił te oczekiwania pewien nadzwyczajny człowiek, trzeci syn Don Joao (Jana) I., Henryk, infant portugalski. Kanciasta, kwadratowa twarz Henryka mało mówiła o wewnętrznej wielkości jego, i tylko spokojny, jasny wzrok zwiastował wytrwałość w dojrziałych przedsięwzięciach. Nigdy wino nie przeszło przez jego wargi, które też nigdy od czasu jak szorstka broda je oceniała, nie kosztowały ust kobiecych. Jeżeli postać Henryka przy pierwszym zetknięciu wydawała się groźną, to jednak nikt z tych, co go kiedykolwiek obrazili, nie

mógł się pochwalić, że wydobył zeń grubiańskie gniewne słowo. Jako wielki mistrz obracał on wielkie dochody Zakonu Chrystusa, w myśl samej instytucji, na odkrycia i zdobycze na zachodnim wybrzeżu Afryki w celu rozszerzenia chrześcijańskiego kościoła. U świętego przyłądka, gdzie wybudował wilę do Ifante, albo Sagres, jak się później port nazywał, łączyli się z nim wszyscy szlachetni ludzie, zdolni do wielkich i czystych przedsięwzięć i ubiegający się w wypełnianiu pięknej dewizy Infanta: Talent de bien faire. (Zdolność czynienia dobrze). Niezmordowany w rzeczy, którą umiłował, ściągnął on zasłonę z niedoleźnego lądu, który przez tysiące lat stawiał zaporę tęsknocie Zachodu, pragnącego zbliżyć się do Wschodu. I astrologicznie dawało się okazać powołanie infanta do wielkich odkryć, planeta bowiem jego poruszał się w znaku Wodnika, a zatem w domu Saturna, stróża wielkich ukrytych rzeczy.

Tak niedoświadczeni jeszcze wówczas w żegludze byli Portugalczycy, że nigdy nie stracili z oczu wybrzeża, nigdy nie odważali się wypłynąć poza przyładek Nun, czyli jak go znacząco nazywali, przyładek *Nie*. Infant musiał dopiero z Majorki powołać mistrza Jakóba, ażeby ten wyuczył Portugalczyków w sztuce rysowania kart geograficznych. Po wzięciu Ceuty przez Portugalczyków w jesieni 1415 poczęły się pierwsze podróże luzytańskich żeglarzy w celu odkryć; wszyscy jednak zawracali przed przyładkiem Bojador, gdzie przestraszało ich rozbijanie się bałwanów o sześć mil ciągnącą się pod wodą skałę, a puszczanie się na pełne morze było rzeczą niesłychaną. Otóż zdarzyło się w r. 1419, że dwaj szlachcice, Joao Gonsalves Zarco i Tristao Vaz Teyxeyra, wybraawszy się w taką podróż, zapędzeni zostali burzą na pełne morze. Nieumyślnie tedy odkryli wówczas jedną wyspę z grupy Madery, której włoscy żeglarze nadali dawniej nazwę Porto Santo.

W następnym roku 1420 powrócili odkrywcy do Porto Santo (być może, że przy pomocy pewnego kastylskiego majtka, Juan de Morales, który powiadomiony był o położeniu wyspy od angielskich żeglarzy), a spostrzegłszy ciemną plamę na południo-wschodzie, popłynęli ku niej, i znaleźli zupełnie lasem pokrytą wyspę, którą Włosi Do legname nazwali byli, a która i u Portugalczyków otrzymała nazwę leśnej wyspy (Madeira). Nieostrożnie rzucony ogień przy jej okrażaniu wywołał pożar na wyspie, który trwał lat dziewięć i pożarł całą jej roślinność.

Znów upłynęło lat dwanaście wśród daremnych usiłowań opłynięcia przylądka Bojador, kiedy jeden z wysłanych żeglarzy, Gil Eannes, w niedozwolony sposób porwał z wysp Kanaryjskich kilku krajowców (1433). Ażeby za to nadużycie przejednać infanta, przysiągł, że w następnym roku opłynie przylądek, albo też nigdy nie powróci do ojczyzny. Dotrzymał słowa w r. 1434 i przywiózł z tamtej strony przylądka w naczyniach glinianych róże Santa Maria, ażeby okazać, że południowe strony Afryki nie są pozbawione wszelkiej kwiecistej ozdoby. W latach 1435 i 1436 Alfonso Gonzalez Baldeya prowadził dalej odkrycia po drugiej stronie strasznego przylądka, i w drugiej wyprawie zajechał dalej na południe o 120 mil portugalskich (leguas), gdzie znalazł szeroką zatokę, wchodzącą w ląd na przestrzeni mil ośmiu. Dwaj rycerzcy młodzieńcy, towarzysząc okrętowi konno brzegiem lądu, napotkali druzynę beduinów, którzy co rychlej uciekli, gdy zaś w tymże jeszcze roku dojechano do cypla Pedra de Galé, to udało się tam zabrać rybackie sieci nad brzegiem, które zawieziono do Portugalii ku zadowoleniu infanta jako znak, że odkryte kraje są zamieszkane.

Niepomyślna wyprawa na Tanger, śmierć Edwarda III. 1438 i zawikłania, które potem nastąpiły, wszystko to przerwało tok odkryć. Ale w r. 1441 Alfonso Gonsalez

na małym okręcie i tylko z 21 towarzyszami otwiera nową kolej świetnych podróży morskich. Na południe od Rio do Ouro udało się mianowicie schwytać pewnego beduina z plemienia Azanaghi, infantowi bowiem przede wszystkim chodziło o to, aby z ust krajowców powziąć wiadomość o nieznanym lądzie. Tegoż samego wieczora przyłączyła się do nich druga karawela pod dowództwem dzielnego Nuno Tristao, który wzięwszy udział we wspólnej nocnej wycieczce na obóz beduinów, wskazany przez pojmanego, popłynął na swoim statku dalej na południe aż do przylądka, który z powodu białego koloru nazwał Cabo bianco. Tylko bojaźń przeciwnych prądów powstrzymała go od puszczenia się dalej.

Pojmanych następnego roku odwieziono napowrót do ich rodzinnego kraju i znakomitsi z nich zostali wykupieni przez swoich za złoty piasek. W r. 1443 znów Nuno Tristao puszcza się w tę stronę i tym razem posuwa się o 25 leguas za przylądek Biały. Tam odkrył archipelag płaskich wysp, który dziś znany pod nazwą ławic Arguim. Rybne wody dostarczały tam licznej ludności berberyjskiej dostatecznego pożywienia i znowu udało się schwytać kilku ludzi i uwieść do Portugalii.

Dotychczas w ojczyźnie Infanta na przedsięwzięcia jego złem okiem patrzano. Z niezadowoleniem porównywano rozchód z dochodem, i dzieła geniuszu, nieobjętej doniosłości, krytykowano z niskiego stanowiska mieszczańskiego bilansu. Ponieważ dotychczas odkryty był tylko płaski i piaszczysty brzeg Sahary, to zdawali się mieć słuszność mistrzowie starożytni, z największą pewnością utrzymujący, że ku równikowi gorąco się tak wzmaga, iż pod palącymi promieniami słońca żadna żywa istota wytrzymać nie może. Ale teraz pod niską szerokością znaleziono nie tylko gęstsza rybacką ludność, ale i złoty piasek u niej i drogocenne pachnidło zwierzęce, piżmo. Po

tem powodzeniu zaczęto inaczej patrzeć na infanta, a wyprawy za przykład Bojador obiecywały teraz tak wielkie korzyści, że już 1444 sześć karawel pewnego handlowego towarzystwa w Lagos wypłynęło do archipelagu Arguim. Nie ulega to już żadnej wątpliwości, że porywanie ludzi było tą haniebną pobudką, której zawdzięczamy niejedno odkrycie tej wielkiej epoki. Infant wprowadził milej witał marynarza, który zbadał jakieś nowe, dalsze wybrzeże, aniżeli najbogatszy polów niewolników, ale i on bez wahania brał piątą część łupu ludzkiego, jako swoją należytość.*) Polowanie na niewolników prowadziło do dalszych odkryć. Ludność brzegowa, trapiąca napadami, albo cofała się w głąb lądu, albo stawiała czaty, tak że napastnicze okręta musiały szukać nowych wybrzeży, z ludnością jeszcze nie spłoszoną. Zdarzały się przytem wstrętne rzeczy; przyuczano psy do chwytania ludzi, za pomocą tortur starano się zmusić krajowców do wydania ukrywających się towarzyszy; brakło owej epoce jeszcze zupełnie moralnego wstrętu ku podobnym praktykom, i owszem u pewnego współczesnego pisarza znajdujemy takie naiwne wynurzenie się o pewnej wyprawie napastniczej z r. 1444: „W końcu podobało się Bogu, który nagradza dobre czyny, za *rozliczne w służbie Jego doznane dolegliwości*, dać im dzień zwycięski, chwałę za ich trudy, i wynagrodzenie za poniesione koszta, gdyż mężczyzn, kobiet i dzieci ułowiono razem sztuk 165.“ Bodaj czy przypuszczali dzielni marynarze, że u późniejszych pokoleń zdolność rozróżniania rzeczy moralnych od niemoralnych tak się udoskonali, że to co wówczas uchodziło za rzecz dozwoloną, nawet za chrześcijańskie zatrudnienie, w czem sama Opatrzność zda-

*) Podług Bontier i Leverrier (cap. XI.) przeciętna cena niewolnika z wysp Kanaryjskich wynosiła 40 liwrów ówczesnych, czyli podług nowej waluty 350 franków, których wartość równała się wartości dzisiejszych 300—400 talarów.

wała się brać udział jako współwinna, że to później wstręt i zgrozę budzić będzie. Niebezpieczeństwem uszlachetniało się to rzemiosło, gdyż za tak zaszczytną poczytywali Portugalczycy walkę z nagimi szczepami wybrzeża, że niejednen szlachcic otrzymał na wybrzeżu afrykańskiem pasowanie na rycerza. Gdy powracały karawele z niewolnikami do kraju, to radośna ciekawość ściągala tłumy ludności na brzeg morski pod Lagos i wszystkich usta poruszały się glorią światopływców. Nie zawsze jednak szczęście i przewaga były po stronie Portugalczyków, w następnym bowiem roku (1445) nadeszła do ojczyzny pierwsza wiadomość o utracie w ludziach. Gonçala de Cintro, gdy łódź jego osiadła na mieliznie, odważnie napadali Azanaghowie, kobiety piaskiem zasypały mu oczy, i padł on wraz z towarzyszami pod włóczniami krajowców.

Wszystko, co dotychczas odkryto, miało zgasnąć w obec ważnego odkrycia, które w r. 1445 zrobił Dinis Diaz, paź króla Joao I. Wzniosłymi unoszony zamiarami, przepłynął on obok przylądka Białego i wysp Arguim i dotarł aż do południowego wybrzeża pustyni, strojnego w palmy, gdzie po raz pierwszy ujrzano Murzynów ze szczepu Jolofów, dotychczas bowiem miano do czynienia tylko z mieszkańcami brunatnego koloru. Przepłynął dalej mimo Senegalu, nie odkrywszy tej rzeki i dotarłszy do południowego wielkiego przylądka nadał mu pełną znaczenia nazwę Zielonego.

Pełnem znaczenia było to nazwisko, niweczyło ono bowiem błędną teorię o niemieszkalności podrównikowej strefy. Arystoteles mianowicie głosił, że przestrzenie międzyzworotnikowe nie mają istot żyjących, ponieważ pożerające gorąco prostopadłych promieni słońca pozbawia ziemię pokrywy roślinnej. I w istocie wielki pas puszczy, który poczynając się od Sahary przez Arabię i wyżynę irańską ciągnie się aż do Azji środkowej, zdawał się po-

twierdzać to przypuszczenie. I Ptolomeusz powtarzał teorię o spalonych i pustych pasach ziemi, jakkolwiek na mapach swoich podaje miasta i zaludnione wybrzeża w pobliżu równika. Przejęci nieomylnością wielkich mistrzów nawet arabscy geografowie tak nie śmieli się im sprzeciwiać, że nawet Edrisi, który już znał arabskie osady w Sofala, a zatem pod 20° południowej szerokości, ciągle jeszcze głosił, że międzyzwrotnikowa strefa jest jedną pustynią. Tę błędną naukę utrzymywała doktryna, polegająca na niedokładnych wyobrażeniach starożytnej astronomii. Wyobrażano sobie mianowicie, że słońce wstępując w znaki zodiakalne poniżej równika, znacznie zbliża się do ziemi. Z powodu tej błędnej, ale niezbędnej wówczas teorii, i sławny Roger Bacon głosił niemieszkalność południowej połowy ziemi, jakkolwiek znał już zastosowanie wielkiego Ibn Siny (Avicenna), i zgadzał się z tem, że na równiku gorąco prostopadłych promieni musi być złagodzone dwunastogodzinne nocami. A przed nim już Albert von Bollstädt (Magnus) przynajmniej wybrzeża mórz międzyzwrotnikowych i ich wyspy uznawał za mieszkalne, jakkolwiek w czasie najwyższego stanowiska słońca ludzie, podług niego, musieli się chować do jaskiń. Pierre d'Ailly mówi wprawdzie o miastach pod 3° połudn. szerokości, powtarza jednak starą baśń o nieprzekroczonym, spalonym pasie ziemi, który nie dopuszcza żadnego stosunku pomiędzy południowemi istotami a mieszkańcami północnej półkuli. To szkodliwe wyobrażenie odbierało odwagę tym, co się puszczali w celu odkryć wzdłuż afrykańskiego wybrzeża ku południowi, istniało bowiem gminne pojęcie, że za zwrotnikami morze traci na głębokości, i tyle w sobie zawiera soli, że już pierś statku nie zdolna krajać tej leniwej masy.

Ale jeszcze przed odkryciem Zielonego przylądka, choć w tym samym roku 1445, Nuno Tristao powrócił

do Infanta z wielką wiadomością, że odkrył brzeg zupełnie inaczej wyglądający, niż dotychczasowe piaszczyste, zupełnie nagie wybrzeże, mianowicie pokryty bujnemi trawami i gajami palmowymi. Ta niespodziewana wiadomość musiała bardzo silne wrażenie wywrzeć na Infanta Henryka i współczesnych, wyrwała ich ona bowiem z błędnego koła starożytnej geografii. Posiadamy w tej mierze jedno tylko, ale bardzo przyjemne świadectwo pewnego portugalskiego marynarza, który przy opisie roślinności na zielonem wybrzeżu Jolofów, dodaje wesoło: „Wszystko ja to piszę za pozwoleniem Jego Miłości pana Ptolomeusza, który dużo dobrych rzeczy wygłosił o podziale świata, ale w jednej rzeczy bardzo się pomylił. Dzieli on znany mu świat na trzy części, mianowicie na zamieszkaną środkową, i na dwa niezamieszkane, arktyczną z powodu swego zimna i zwrotnikową z powodu swoich upałów. Otóż okazało się co innego: niezliczone żyją pod równikiem ludy czarne, a drzewa niesłychanego dosięgają wzrostu, gdyż właśnie na południu potęguje się siła i pełnia życia roślinnego, chociaż formy jego są dziwnie ukształtowane.“

Dla Infanta Henryka było to jednak tylko sprawdzeniem tego, o czem oddawna był uwiadomiony, gdyż myliłby się, ktoby sądził, że wysłał on swoich marynarzy na los szczęścia. Już bowiem po zdobyciu Ceuty zasięgał Infant starannie wiadomości o krainach Sudanu, odwiedzanych przez karawany marokańskie, zasięgał mianowicie od Azanagów na granicy Sahary. Posyłał też wówczas do Tunisu i przez agentów wywiadywał się o karawanach, które sprowadzały dla sułtana złoto i czarnych niewolników z krajów murzyńskich, mianowicie z Timbaktu i Cantoru. Wiedział on, że karawany w 37 dniach przebywają wielkie morze piaszczyste, które oddziela Afrykan o jasnej cerze od wełnistowłosych Murzynów. Od niewolników, pochwyconych nad Rio do Ouro, dowiedział się Infant, że

arabscy Berberowie z oazy Wadan udawali się karawanami od 4—500 wielbłądów do wielkiego rynku handlowego Timbaktu, o którego położeniu astronomicznem miało niejakie, jakkolwiek niedokładne pojęcie. Udało się też około tego czasu, po założeniu obronnego składu na wyspie Arguim, zawiązać regularne stosunki handlowe z arabskimi kupcami Sudanu przez oazę Wadan. Jak przezornie prowadzono odkrycia, świadczy o tem wysłanie Joao Fernandeza, który świadomy arabskiego języka, kazał się wysadzić na wybrzeżu Sahary, ażeby tam w zupełnem ubóstwie żyć w pośród Beduinów, których obyczajów, języka i pisma starał się nauczyć, i od których zasięgnął wiadomości o wielkich państwach murzyńskich Sudanu, mianowicie o sułtanacie Melli. Czy Infant już od początku odkryć myślał o znalezieniu morskiej drogi do Indyi, o tem wątpić można, naprzód bowiem chodziło o dostanie się do zagadkowej Gwinei i złotej rzeki. Jednakże pilnie nakazywał żeglarzom wywiadywać się o Indyach i krainie arcykapłana Jana (Abissynii). W tem w r. 1438 Infant Dom Pedro, późniejszy regent portugalski, przywiózł mu z Wenecyi dwa drogocenne podarki, rękopis podróży Marco Pola, które jednak dopiero w 1502 r. drukowane były w Lizbonie w portugalskim przekładzie, i starą mapę, na której przedstawiony był ląd afrykański z Przylądkiem Dobrej Nadziei pod nazwą Fronteira de Africa. Jeszcze w 1528 roku pokazywano pewną kartę, będącą niegdyś w posiadaniu klasztoru Alcobaça, na której, pomimo iż miała już lat 120, oznaczoną była droga morska do Indyi z Przylądkiem Dobrej Nadziei, „jak na nowożytnych kartach.“ Są też świadectwa na to, że poseł wenecki Stefano Trivigiano na żądanie Alfonsa V. kazał w Wenecyi sporządzić kopię słynnej mapy Fra Maura.

Jeżeli te dokumenta zaginęły, to posiadamy wiele innych z czternastego i piętnastego stulecia. Na najda-

wniejszych mapach widzimy już trójkątny kształt afrykańskiego lądu, na karcie Edrisi'ego (1154 po Chr.) nieśmiało wcięciem na zachodniej stronie oznaczoną już jest zatoka gwinejska, która na mapie Marina Sanuda Starszego głębiej już w ląd zachodzi. Ale na wszystkich dawniejszych mapach tak Arabów, jak Franków, aż do podróży Vasco de Gamy, wyobrażenie Afryki odpowiada dziwnemu przypuszczeniu Hipparcha. Ten aleksandryjski uczony, którego poglądy wiernie przekazał nam Ptolomeusz, przedstawiał wschodni występ Afryki (nasz dzisiejszy Dżard-Hafun) pod równikową szerokością tak daleko ku wschodowi, że występ ten robił z oceanu indyjskiego zamknięte morze, zupełnie jak gdyby wschodni brzeg Afryki łączył się z najdalszym wschodem Azji. Dla tego wszystkie arabskie i łacińskie mapy średniowieczne przedstawiają dziwny widok: południowy róg Afryki tak się wygina ku wschodowi, że Przylądek Dobrej Nadziei tworzy cieśninę z półwyspem Malakki. Jakkolwiek Arabowie w podróżach swoich do Chin przepływali ocean indyjski, jednakże przez uszanowanie dla aleksandryjskiej szkoły uważali świat wysp malajskich za Archipelag rozsiany na morzu pomiędzy Afryką a południowymi brzegami Azji, i dla tego też Sofalę w kanale Mozambickim umieszczali na jednym południku z wyspą Ceylon. Wiernie kopiowali Łacinnicy, cokolwiek znajdowali na kartach arabskich i tym sposobem ocean indyjski, zamieniony w morze Śródziemne, otrzymał symetrycznie na najdalszym wschodzie swój drugi Gibraltar, któremu nawet miało nie zbywać na ostrzegających słupach kamiennych.

Chrześcijańscy misjonarze, którzy w trzynastym wieku odbywali wędrówkę do Indyi, oznajmiali wprawdzie z pewnością, że naprzeciw południowych brzegów Azji nie ma wcale stałego lądu, a tylko otwarte morze, ale stary błąd nie ustąpił od razu, ale powoli, krok za krokiem

Zupełnie jeszcze na Wschód wygięty róg południowo afrykański na karcie Andrzeja Bianco, (1436) cofa się już w Mappa Mundi Fra Maura (1457) z oceanu indyjskiego, ale lekkie wygięcie na wschód południowego końca Afryki widoczne jest jeszcze na globusie Marcina Behaima (1492). Tem bardziej więc zadziwia nas okoliczność, że na pewnej mapie, w słynnym medycejskim portulanie, masy lądu afrykańskiego, różniąc się zupełnie od wszelkich wcześniejszych i późniejszych wizerunków, wyglądają podobnie do australskiego lądu na naszych mapach, wschodni brzeg bowiem wybiega ku południowi wąskim, spiczastym półwyspem. Te zarysy tak wyraźnie zawierają w sobie szkielet prawdziwego kształtu Afryki, że pewien portugalski uczoney (Vicomte do Santarem) chciał podejrzewać niezaprzeczoną starożytność tego dokumentu. Być może, iż taki portulan Dom Pedro przywiózł z Wenecyi, lub coś podobnego przedstawiała mapa świata klasztoru Alcobaça. Za nadto jednak zwodnicze i niepewne były rysunki kartograficzne ziemi w wiekach średnich, ażeby mogły wytknąć pewny cel wspianiałym przedsięwzięciom Infanta, tem bardziej gdy przy dalszem posuwaniu się okazało się prędko, że dawniejsi kartografowie na chybił trafił kreślili zachodnie wybrzeża Afryki. Tem ważniejszymi były zeznania krajowców, których przywieziono do Portugalii. Tym więc sposobem mógł Dom Henryk z góry oznajmić żeglarzom, którzy w jesieni 1445 wypłynęli, że 20 mil na południe od punktu wybrzeża, gdzie pierwsze palmy rosną, można trafić na wielką rzekę Canaga (Senegal).

Po raz wtóry w r. 1445 w sierpniu wypłynęło z Lagos 14 karawel, a jednocześnie dwanaście innych portugalskich okrętów; wszystkie prywatnym kosztem były wyprawione. Był jeszcze zwyczaj, że Infant pokrywał kosztą podróży, a otrzymywał za to czwartą część zysku. Ale wkrótce wyprawy stały się tak korzystnymi, że Infant bez

wszelkiego przyczynienia się pobierał czwartą część, a jeżeli ponosił kosztą wyprawy, to połowę zysku. Gdy burza rozproszyła eskadrę z Lagos, część okrętów pod dowództwem Lanzarote odkryła podług opisanía Infanta Senegal, który natychmiast uznano za ramię Nilu, szczególnie dla tego, że woda jego miała smak słodki. Brzegi rzeki były gęsto zaludnione, ale bano się wylądowywać z obawy przed zatrutemi strzałami wojowniczych Jolofów. Ośmielono się tylko wysiąść na pewną bezludną wyspę u Zielonego Przylądka, ale znaleziono tam już ślad wcześniejszej bytności Europejczyków, mianowicie na drzewach wycięte hasło Infanta: *Talent de bien faire*. Ponieważ i capwerdyjscy Negrowie niegościnnie przyjęli żeglarzy, i żaden stosunek nie dawał się zawiązać, zabrano się więc do odwrotu.

Żeglarzem, który zostawił wycięcia u Zielonego przylądka, był Alvaro Fernandes. Odłączony burzą od towarzyszy, gorliwie prowadził swą podróż dalej, „nie chciał bowiem tracić czasu na porywanie ludzi, a tylko swemu panu, Infantowi, jakąś nowość przywieść“. Dopłynął on do przylądka, który od suchych palm nazwał przylądkiem Masztowym i caravela jego, powiada Azurara, w r. 1445 najdalej się była zapuściła.

W następnym roku 1446 jeden z najzasłużeńszych odkrywców, Nuno Tristao, posunął się dalej, za rzekę Rio Grande, aż do pewnej małej rzeczki, gdzie jego statek otoczony został dziesięciu uzbrojonymi łodziami murzyńskimi, które zręcznie udawały ucieczkę, aż póki nie spuszczone w pogoń za niemi łodzi ze statku. Wówczas synęły na łódź i karawelę deszczem zatrutych strzał, i zanim można było dokonać odwrotu, już 19 żeglarzy było rannych. Nuno Tristao, widząc swoich towarzyszy szybko ulegających działaniu trucizny, sam umarł, czy także ranniony strzałą, czy tylko ze zmartwienia, tak że na pokła-

dzie został tylko notaryusz Aires Tinoco z czterema młodymi majtkami. Sterowali oni na północo-wschód, ponieważ sądzą, że w tym kierunku leży Portugalia i po całych dwóch miesiącach dostali się do Lizbony, nie przez ten czas nie widząc, prócz nieba i wody. Fakt ten zupełnie wiarogodny wzbudza w nas podziwienie dla Portugalczyków, którzy tak szybko postąpili w żegludze. Przed dwunastu jeszcze laty nie śmieli się oni wychylać o sześć mil od mielizn przylądka Bojador, teraz kilku młodym marynarzom udało się na pełnym morzu odnaleźć trudną drogę z powrotem od Zielonego przylądka. Nie bez podstawy więc Wenecyanin da Mosto nazywa około tego czasu portugalskie karawele najlepszymi żaglowcami na świecie. W północno-wschodnim passacie i w północno-atlantyckim prądzie dostawano się w dwadzieścia dni z Lizbony do Zielonego Przylądka. Ale z powrotem, gdy wiatr i prąd były przeciwne, żeglowały okręta tylko dniem, korzystając z wiatru od morza, a w nocy stawaly na kotwicy, ażeby nie cofać się w skutek prących ku południowi prądów. A i bez tego przy nieznanych brzegach mieli żeglarze zwyczaj na noc stawać na kotwicy o milę od brzegu, w dzień zaś nieustannie wypatrywali z masztu mielizn, podczas gdy ołowianka była ciągle w ruchu.

Kłeska szlachetnego Nuno Tristao nie odstraszyła dzielnego odkrywcy Alvara Fernandeza od jeszcze dalszej wycieczki, mianowicie 110 legoas za Przylądek Zielony, gdzie jakkolwiek ranny w pewnej potyczce z Negrami dopłynął prawie do Przylądka Sierra Leone. Nigdzie nie udało mu się nakłonić krajowców do spokojnej wymiany, i bardziej lękali się Portugalczycy zatrutych strzał murzyńskich, niż murzyni niedoleżnej jeszcze wówczas broni ognistej.

Tymczasem kazał Infant odszukać wyspy Azorskie, które podług morskich map włoskich czternastego stulecia musiały się znajdować w znacznej odległości na zachód od Portugalii. Gonçalo Velho Cabral, komendador Almou-

rala, odkrył 1431 tylko skały Formigas, a w następnym roku 15. sierpnia Santa Marię. Wyspy te tak były dotychczas nietknięte, że ptaki tam dawały się najspokojniej łapać rękami. Pewien niewolnik murzyński, który schronił się na góry Santa Maria, ujrzał z wysokości jakąś ziemię w stronie północnej, i Infant kazał Cabralowi wyszukać tę nową wyspę, która wreszcie 8. maja 1444 została odkrytą i zwyczajem marynarzy nazwaną od imienia świętego Michała, któremu dzień ten w kalendarzu był poświęcony. Od tego czasu dawano tej grupie wysp nazwę Azorów od znajdujących tam w obfitości jastrzębi. Następną wyspą, którą odkryto, otrzymała nazwę *Trzeciej* (Terceira), potem odkryto Graciosę, San Jorge i wyspę *Bukową* (Fayal). Dziwnym sposobem Pico odkryto dopiero w dziesięć lat po wyspie Fayal. Najdalej położona grupa Corvo*) i Flores, która najpóźniej została odnaleziona, już w r. 1460 otrzymała swoich pierwszych osadników. Infant mianowicie darowywał wyspy, jako dziedziczne lenna, tym co je odkryli, lub zakładali na nich wielkie osady. Między ostatnimi znajdowało się kilku flandryjskich szlacheiców, którzy flandryjskimi wychodźcami zaludnili w szczególności wyspę Fayal. W ogóle w całej Europie odkrycia Portugalczyków sprawiały wielkie wrażenie. Tak pewien rycerz niemiecki z dworu Fryderyka III. towarzyszył 1442 żeglarzom portugalskim za przylądek Bojador, „ażeby burzy morskiej doświadczyć“, a pewien szlacheć duński, Abelhart, zabity został u Zielonego Przylądka przez zdradzieckich Serajczyków, gdy go Murzyni na ląd zwabili, obiecując pokazać żywego słonia.

Jeżeli do roku 1446 aż 51 karawel puszczało się za Cap Bojador, to za rządów Alfonsa V. (1448—1481) widocznie ostygł zapał dla wielkiej sprawy odkryć; zaniedbywano nawet zapisywać dalszego ciągu wydarzeń, — za-

*) Na Corvo miał być jakoby znaleziony kamienny posąg jeźdźca wyciągniętą ręką wskazującego na północo-zachód.

niedbanie, które się nie daje potem naprawić. Podług obcych wiadomości na wiosnę 1456 wypłynęły z Lizbony trzy karawele. Dwie z nich wyekwipowane były przez Genuńczyka Antoniotto Usodimare i Wenecyanina Luigi ze starego domu da Mosto. Obaj Włosi już na rok przedtem jeździli do Senegambii, jeden jako kapitan, drugi na okręcie Infanta, jako supercargó. Od przyłądka Białego eskadra udała się na pełne morze, gdyż burza nadchodząca od południa zmusiła ją trzymać się ku północ-zachodowi. W trzy dni potem okrzyk: ziemia! zadziwił wszystkich marynarzy na pokładzie. Ta niespodzianie odkryta ziemia, do której zaraz przybito, była wschodnią wyspą capverdyjskiej grupy. Łatwo się zaopatrzone w wodę i ptactwo, gdyż i na tych pustych wyspach ptaki dawały się jeszcze łapać rękami. Z tej wyspy, której dano imię Boavista, ujrzano na północy drugą (Sal), podczas gdy na południu ukazała się trzecia i czwarta; z tych większą zwiedzono i od dnia (5. maja) wylądowania dano jej nazwę wyspy Śgo Jakóba (Santjago). To odkrycie, do którego niewielką przywiązywano wagę, nie zatrzymało długo żeglarzy, pragnących dostać się do wybrzeża Gambii. Zachodnia grupa wysp capverdyjskich odkrytą i zwiedzoną została dopiero przy końcu 1462 przez dwie karawele powracające z Gambii pod dowództwem Genuńczyka Antonio di Noli i Portugalczyka Diogo Gomeza.

Wielkie rzeki zachodniego wybrzeża już wcześniej nęciły ku sobie żeglarzy, ponieważ tą drogą można było wejść w stosunek z państwami wewnętrznej Afryki. Tak w r. 1456 pewna portugalska karawela pod dowództwem Diogo Gomeza puściła się w górę Gambii aż do Cantor, jednego z rynków odwiedzanych przez karawany Sudanu. Wieść o przybyciu europejskiego okrętu do Cantor ściągnęła tłumy ciekawych, od których zasiągnięto ważnych wiadomości. Słyszeli tam Portugalczycy o rzekach po tam-

tej stronie gór, płynących ku wschodowi. Tam nad potężną rzeką Emini (Niger) miało leżeć miasto wielkich władców środkowej Afryki Gaghó. Dowiedziano się również o nieustannych wojnach, które wyczerpywały Sudan, gdyż wielkie państwo, sułtanat Mellijczyków, chyliło się właśnie do upadku, i na Górnym Nigrze ze szczątków dawnej potęgi miała się dopiero nowa wytworzyć. Tym sposobem świat europejski z atlantyckiego wybrzeża wszedł w styczność z wielkimi państwami środkowej Afryki, których stosunki sięgały do Tunisu i Kairu. Łańcuch sięgający od Nilu do oceanu był zupełnym, jakkolwiek pośrednie jego ogniwa na długo jeszcze miały pozostać niewidzialnymi i nieznanymi.

Dnia 13. listopada 1460 umarł Infant Henryk w Sagres. Szlachetne zwłoki złożono naprzód w Santa Maria w Lagos, potem przeniesiono do klasztoru S. Maria da Batalha. Historia uczciła go przydomkiem Żeglarza, jakkolwiek osobiście nie uczestniczył on nigdy w odkryciach. Ale pod jego kierownictwem Portugalczycy, którzy się dawniej lękliwie zwracali z drogi przed przylądkiem Bojador, stali się teraz najbardziej nieustraszonymi żeglarzami swego czasu. Tej dzielności nabrał naród pod wpływem szlachetnych książąt w nadzwyczaj krótkim czasie. Ile w tem było zasługi Infanta, miało się to po jego śmierci najlepiej okazać. Póki żył, odkrycia posuwały się z szybkością ciał padających, i można by się było spodziewać, że w dziesięć lat potem flaga portugalska powiewać już będzie na Przylądku Dobrej Nadziei, a we dwadzieścia w Indyach.

Tymczasem Alfons V. przerwał wielkie dzieło swemi afrykańskimi wojnami a potem wmieszaniem się w spór dziedziczny kastylski. W młodości świat zdawał się za ciasnym dla bohaterskich jego pomysłów, później jednak widzimy go nędznie cofającego się z areny, która się przed

nim otwierała. Zaczęto teraz leniwie spożywać dziedzictwo otrzymane po Infancie. Bogaty już dochód przynosiły plantacje cukru na Maderze, orseille na Porto Santo, a monopol handlowy faktoryi na Arguim przynosił rocznego czynszu 100.000. Od murzyńskich książąt Senegambii otrzymywano z wielką korzyścią niewolników w zamian za konie, a oprócz proszku złotego i piżma dostarczał jeszcze handel afrykański słoniowej kości i malaguetty czyli rajskiego imbiru (*Amomum grana Paradisi* L.), dziś wzgardzonego korzenia, którym jednak wówczas musiano pieprz zastępować.

Z początku zdawało się, że Alfons V. będzie dalej prowadził odkrycia na skalę Infanta, już po śmierci bowiem Henryka wypłynęły dwie karawele pod dowództwem Pedra da Cintra i Soeira da Costa, zbadały archipelag Bissagos i posuwały się wzdłuż wybrzeża ku zachodowi, nadając charakterystycznym punktom różne nazwy, mniej więcej aż do wschodniej granicy dzisiejszego państwa Liberii, 75 mil za Sierra Leone. Król, nie bardzo zachęcony temi odkryciami, ponieważ samo rozszerzenie wiedzy geograficznej nie sprawiało mu wewnętrznego zadowolenia, oddał 1469 handel z Senegambią za pięćset dukatów na lat pięć w dzierżawę bogatemu Fernao Gomez z Lizbony, pod warunkiem, że spekulant ma co rok badać studniową przestrzeń nadbrzeżną, poczynawszy od Sierra Leone. Układ ten tak po cichu został wypełniony, że nawet nazwiska zasłużonych żeglarzy i ich czyny prędko poszły w zapomnienie. Joao de Santarem i Joao d'Escovar mieli na wybrzeżu Aszantów 1470 odkryć miejsce, które od obfitego handlu złotem otrzymało nazwę la Mina. Odkryto też wyspy Książęce, Śgo Tomasza i wyspę Nowego Roku i zbadano wybrzeże południowej Afryki aż do przylądka Santa Catharina. Za ścisłe i szczęśliwe wypełnienie kontraktu Fernao Gomez wyniesiony został do stanu szla-

checkiego, ale dalszemu postępowi odkryć przeszkodziła wojna o kastylskie następstwo tronu.

Pokój zawarty z Ferdynandem i Izabellą pozwolił Janowi II. (Dom Joao) zaraz po wstąpieniu na tron pomyśleć o większych przedsięwzięciach. 12. i 24. grudnia wyruszyła z Lizbony eskadra, składająca się z dwóch okrętów ciężarowych i dziesięciu karawel, które się połączyły u wysp Bissagos pod naczelnem dowództwem Diogo d' Azambuja. Ta flota 19. stycznia 1482 wysadziła na ląd 500 żołnierzy i 100 rzemieślników koło pewnej wioski murzyńskiej Złotego wybrzeża Aldea das duas partes. Welnistowłosy dynasta wybrzeża w układach, z etyopską prowadzonych etykietą, otwarcie wynurzył swoje obawy z powodu ukazania się tak wspaniałej floty i stawiał rozumne żądanie, aby zaniechano budowy kasztelu i aby handel złotym piaskiem prowadziły jak dotąd „obszarpane“ okręty. Gdy mu dano do zrozumienia, że on nie ma wybierać, a tylko przyjmować, co mu się daje, ostrzegał Portugalczyków, że w razie nieprzyjacielskiego z ich strony postępowania, opuści wybrzeże ze swoim ludem, który znajdzie dla siebie wszędzie pomieszczenie, gdzie tylko się liście i gałęzie dadzą nagiąć do utworzenia strzechy. Gdy po dwudziestu dniach stanął już mur obwodowy kasztelu S. Jorge de la Mina, wówczas przedziurawiono okręty ciężarowe, pod pozorem, że podobne statki nie mogłyby pokonać prądów w drodze z powrotem. Jan II., wydając ten rozkaz, kierował się fenicką przebiegłością; chodziło mu o to, aby odstąpić inne narody od Złotego wybrzeża, aby wmówić w nie, że tylko portugalskie karawele zdolne są do podróży w tę stronę. *)

*) Pewien sternik publicznie się chwalił, że ze zwyczajnymi ciężarowymi okrętami jeździł do Myny. Król Jan kazał go zawołać do swego gabinetu i zamknął mu usta jakąś nagrodą.

Ponieważ fort na Złotem wybrzeżu dawał schronienie i odpoczynek żeglarzom, puszczającym się wzdłuż południowej Afryki, więc mógł teraz (latem 1484) rycerz Diogo Cao z dwiema karawelami przedsięwziąć dalszą podróż w celu odkryć. Towarzyszył mu jako kosmograf Marcin Behaim ze szlachtetnego rodu Schwarzbach z Norymbergi. Urodzony około 1459 jeździł do Flandryi w sprawach handlowych i około 1480 z prądem niderlandzkich wychodźców dostał się do wysp Azorskich, gdzie później (1486) poślubił córkę lennego posiadacza wyspy Fayal, Jobsta Hurtera i Brigitty Macedo. Obrawszy sobie stanowisko przy S. Jorge de la Mina, Diogo de Cao krążył po zatoce gwinejskiej i dotarł do wielkiej rzeki, którą krajowcy nazywali Zairą, Kongo na naszych mapach, ale która wówczas otrzymała nazwę Rio de Padrao. Padram mianowicie był to słup kamienny z portugalskim herbem i imieniem jakiego świętego. Takie słupy powinni byli odkrywcy wbijać w pewnych obranych przez się punktach na wybrzeżu na dowód, że zajęli to wybrzeże w posiadanie. Z trzech takich słupów, które Diogo Cao miał z sobą na pokładzie, wbił pierwszy nad Congo, a jednocześnie wysłał poselstwo do murzyńskiego króla w głąb lądu. Gdy poselstwo nie wracało, kazał chwycić kilka Negrów jako zakładników, przyrzekając im, iż za powrotem puści ich wolno w zamian za towarzyszy, których zostawił. Nie zwlekając ruszył dalej w podróż na południe, wbił drugi słup 15. stycznia 1485 przy przylądku Śgo Augustyna, trochę na północ od Cap Negro, a trzeci u przylądka Herbowych Słupów pod 22° połudn. szerokości, z kądem po 19 miesięcznej nieobecności wrócił 1486 do Portugalii. Jednocześnie 1485 Jan Alfons d' Aveira zbadał wewnątrz nieznaną dotąd odnogi Benin i odkrył tam pieprz etyopski, który jednak na targach flandryjskich natychmiast był odróżniony od owocu malabarskiej i sumatrzań-

skiej latorośli i daleko mniej ceniony od prawdziwego pieprzu. (*Piper longum* i *piper nigrum*).

Z zapalem miłośnika zajmował się ciągle Jan II. zadaniami nautycznymi. Udało mu się po długich próbach taką trwałość nadać szybkim karawelom, że mogły udźwignąć ciężkie działa na swoim pokładzie; teraz chodziło mu bardzo o to, jemu, który sam pisał astronomiczne i kosmograficzne dzieła, aby zaopatrzyć żeglarzy w matematyczne instrumenta do oznaczania miejsca. Wielka zagadka — astronomicznie odszukać długość, to jest wschodnią lub zachodnią odległość punktu od pewnego południka — pozostała wprawdzie nie rozwiązana — atoli szerokość znajdowali sternicy bardzo prostym sposobem, a mianowicie za pomocą kwadransa lub astrolabium mierzyli prostopadłą odległość gwiazdy polarnej od horyzontu przy tym stanie konstelacyi, kiedy arktyczna gwiazda również wysoko podnosi się nad widnokregiem, jak niewidzialny północny biegun firmamentu. Sposób ten jednak był niemożliwym, gdy Portugalczycy dostali się na południowej półkuli za linię, do której jeszcze gwiazda północna pokazuje się na horyzoncie, i gdy na antarktycznym firmamencie ku wielkiemu rozczarowaniu naiwnych żeglarzy nie chciały się powtórzyć konstelacje znanej półkuli. Zanim obce konstelacje dały się w sieć matematyczną ułoić, nie pozostawało nic innego, jak obserwować wysokość słońca za pomocą instrumentów mierzących kąty. Linia południa dawała się oznaczyć za pomocą bussoli, a jeszcze dokładniej za pomocą gnomonu czyli kompasu. Ale słońce, w porównaniu z regularnym obrotem gwiazdy polarnej, jest pozornie bardzo niespokojną gwiazdą, a to z powodu swego przesuwania się od zwrotnika do zwrotnika. Jeżeli więc żeglarz z wymierzonej wysokości słońca miał obliczyć szerokość geograficzną, to powinien był znać dokładnie zmienny stan słońca w dniu obserwacyi. Jan II.

zatem kazał wygotować nowe tablice wysokości słonecznej, któreby i dla południowej półkuli były przydatne. To było zadanie, źle często rozumiane, tej astronomicznej Junty, którą król utworzył ze swoich hebrajskich lekarzy Mojżesza, José i Rodrigo, a której przewodniczącym był biskup Diogo Ortiz. Do tej junty przydzielonym był także Marcin Behaim, ponieważ uchodził za ucznia największego astronoma swego czasu, Jana Müllera z Königsbergu we Frankonii (Regiomontanus), który w istocie przebywał w Norymberdze od 1471—1475 i tam sporządzanie matematycznych instrumentów doprowadził do wysokiego stopnia udoskonalenia. Zdaje się jednak, że nowy sposób oznaczania szerokości geograficznej dopiero w podróży Vasco de Gamy po raz pierwszy został zastosowany, a i wtedy jeszcze musieli żeglarze na ląd wysiadać, ponieważ na chwiejących się okrętach nie dały się robić obserwacje.

Zaraz po powrocie Dioga Cao posłał król przy końcu lipca czy na początku sierpnia 1486 dwa małe statki o 50 tonach a z niemi okręt z zapasami, ażeby brak żywności nie zmusił ich do przedwczesnego powrotu. Małą eskadrą dowodził Bartholomeo Dias, a pod nim dowódcą drugiego okrętu był Joao Infante, obaj portugalscy szlachcice. Zostawiwszy ujście Kongo za sobą, wysadzili kilka murzynek w różnych punktach wybrzeża, ażeby się te wywiedziały o kraju i ludzie ten kraj zamieszkującym, i opowiedziały to, gdy się je z powrotem znów zabierze. Pierwszy słup herbowy wbili na północ od zatoki wielorybiej w okolicy nadbrzeżnej, która na dawniejszych mapach nazywa się Serra parda. Minawszy Cap Voltas, trzymali się brzegu aż do zatoki Ś. Heleny, którą nazwali zatoką Lawirowań, ponieważ wiatry przeciwne zmusiły ich do lawirowania. Odjechano na pełne morze i burza przez trzy dni pędziła przed siebie okręta ze ściągniętymi żaglami.

Wówczas zauważyli majtkowie, że „fale zaczęły być o wiele chłodniejsze i za silne dla małych statków“. Ponieważ mniemano, że stracony z oczu brzeg Afryki ciągle znajduje się po lewej ręce, więc jakiś czas trzymano się ku wschodowi, ale kiedy w tym kierunku utracony ląd nie chciał się ukazać, zaczęło rość serce żeglarzom, spostrzegli bowiem, że musieli już minąć południową kończynę Afryki. Zmieniono więc kierunek wschodni na północny, i wkrótce dostano się do zatoki ożywionej licznymi pasącymi się stadami, której dla tego dano nazwę Zatoki pastuszej. Przeczuwano już na eskadrze wielką tajemnicę, że południowy przylądek Afryki został opłynięty, wybrzeże bowiem ku wielkiej radości dowódców przybierało tu nowy, mianowicie wschodni kierunek. Wylądowawszy na małej wysepce, której dali nazwę Cruz, wbili tu trzeci słup herbowy.*) Ponieważ brzeg ciągle się miał ku wschodowi, lękliwa załoga domagała się powrotu do przylądka, który płynąć pełnem morzem ominęto. Bartłomiej zgromadził swoich oficerów na radę wojenną, ponieważ instrukcye nakazywały mu w ważnych razach zasięgać ich rady. Ponieważ wszyscy oświadczyli się za powrotem, kazał Dias opinie ich, przysięgą stwierdzone, wciągnąć do protokołu i zastrzegł tylko sobie jeszcze trzy dni jazdy naprzód, w nadziei, że przez ten czas ujrzą, że się brzeg znów zawraca ku północy. Ale nie dojechano w trzy dni do tępego zakończenia Afryki, a tylko do rzeki Buszmanów, którą od drugiego dowódcy eskadry nazwano Rio do Infante. Ze smutkiem zabrał się Bartłomiej Dias do odwrotu i głośno wybuchł żal jego, gdy przybyli do wysepki Cruz. Uczepił się wbitego tam słupa i „obejmował go na pożegnanie z takim żalem, jak obejmuje ojciec syna, skazanego na wieczne wygnanie.“ I te nowe okolice zaludnione

*) Wyspa Cruz jest skałą w północno-zachodnim zagłębieniu zatoki Algoa.

były, podobnie jak Gwinea, przez włnistowłosych murzynów, jak się mogli przekonać żeglarze podczas krótkiego swego tam pobytu. Wreszcie w drodze z powrotem ukazała się im tajemnicza kończyzna południowa Afryki, której jednozgodnie dali malowniczą nazwę Przylądka Burz (Tormentoso), ale którą Jan II. w duchu wyteżonych oczekowań wieku przezwiał Przylądkiem Dobrej Nadziei. Zostawiawszy tam słup herbowy i po dziewięciomiesięcznem rozłączeniu odnalazłszy okręt zapasowy, wrócili żeglarze do ojczyzny w grudniu 1487 po szesnastu miesiącach i siedemnastu dniach nieobecności.

To było ostatnie wielkie odkrycie za Jana II. Dopiero w dziesięć lat potem powitano powtórnie Przylądek Dobrej Nadziei. Ale Bartłomiej Dias na zawsze się był pożegnał ze swoim kamiennym padramem na wyspie Cruz. Portugalska korona pozostała wierną przezornej, ale nie wspaniałomyślniej polityce swojej, ażeby żadnego zasłużonego odkrywcy nie nagradzać poruczeniem następnej wielkiej wyprawy. Gdzie było wielu odkrywających, tam ciężar całej wdzięczności nikomu się w szczególności nie należał. Szlachetny Bartłomiej mógł towarzyszyć Vasco do Gamie w jego indyjskiej podróży tylko do fortu Sanct Jorge de la Mina; wziął potem udział w odkryciu Brazylii, jako prosty kapitan okrętu w eskadrze Cabrala, i podczas przejazdu do Przylądka Dobrej Nadziei w straszliwej burzy 23. maja 1500 znalazł śmierć w atlantycznych falach.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

UKŁADY KRZYSZTOFA KOLUMBA Z PORTUGALIA.

Zwiedzenie Islandyi. Normandzkie odkrycia w Ameryce. Bracia Zeni. Wpływ na projekta Kolumba. Małżeństwo jego. Toscanelli. Kolumb opuszcza Lizbonę

Zanim Diogo Cao przystąpił do swego obfitego w następstwie odkrycia, mianowicie przed rokiem 1484 zjawił się na dworze Jana II. pewien Włoch, imieniem Cristoforo Colombo, czyli w łacińskiej formie Columbus, który jednak później, gdy Hiszpania stała się drugą jego ojczyzną, nazywał się, — podobnie jak bracia jego i potomkowie, — Colon.

Dziesięć miast i miasteczek włoskich walczyło z sobą o chwałę nazwania wielkiego człowieka swoim synem. Sam on atoli w pewnym urzędowym dokumencie niepodważalnej autentyczności nazywa Genuę swoim rodzinnym miastem.

Trudniej jest wyznać rok urodzenia Kolumba. Opierając się jednak na podstawie jego własnych zeznań, potrzeba się oświadczyć za rokiem 1456.*).

Po wygaśnięciu męskiej linii wielkiego człowieka, Baldassare ze starożytnego i sławnego rodu hrabiów i panów na Cuccaro w Montferracie wystąpił z roszczeniami do majoratu, założonego przez Kolumba.

Podług genealogicznego drzewa, które hrabia Baltazar przedłożył sądowi hiszpańskiemu, Cristobal Colon i jego

*) D. Juan Bautista Munoz (Historia del Nuevo Mundo, tom I. p. 42) oświadcza się za rokiem 1456, a D. Martin Fernandez Navarrete za rokiem 1436 (Viages y Descubrimientos tom. I. p. 80). Kolumb w pewnym liście z Jamaiki 7. lipca 1503 (Nawarr. I. p. 311) pisze, że miał lat 28, gdy przybył do Kastylji, a wiemy dokładnie, że to było 1484. Dalej zapewnia w swojej książce okrętowej z 21. grudnia 1492, (Nawarr. I. p. 101), że służy na morzu 23 lata, a syn jego Fernando opowiada, że ojciec po raz pierwszy ruszył na morze w 14 roku życia, tak, że zatem mógł się urodzić na początku 1456.

bracia mieli być dziećmi czwartego z rzędu syna Lancii Colombo, a ich ojciec Domenico miał być wywędrować do Genui. Ale genueńscy annaliści i ludzie współcześni odkryciom zapewniają nas jednoznacznie, że wielki człowiek był plebejskiego pochodzenia, że ojciec jego był sukiennikiem a synowie tego ostatniego greplarzami wełny. Po dług archiwalnych poszukiwań z r. 1812 żył pewien genueński mieszczanin Domenico Colombo jako wieczysty dzierżawca w Vicolo di Mulcento, któremu żona, Luzanna Fontanarossa, powiła trzech synów: Cristofora, Bartolomea i Giacomę (Diega) i jedną córkę, o której to tylko wiadomo, że wyszła za jakiegoś handlarza wiktulów (pizzicagnolo). W r. 1469 Domenico Colombo przeniósł swój warsztat do Savony i tam na jednym z dokumentów odkryto podpis Krzysztofa Kolumba z r. 1472, jako testamentowego świadka. Jeszcze przedtem, mianowicie przed 1470 rokiem, posłany był chłopiec przez zamożnego, jak się zdaje, ojca na uniwersytet do Pawii, gdzie Terzago i Marliano wykładali astrologię, *) aby się wykształcił w matematycznych naukach. Przez krótki tylko czas korzystał Kolumb z tej nauki, gdyż już w czternastym roku udał się na morze, aby nigdy nie porzucić żeglarskiego rzemiosła. Zwiedził wówczas Wschód, między innymi wyspę Chios, przy tej sposobności dowiadujemy się także, że przez jakiś czas zostawał w służbie króla René d' Anjou. Sam opowiada w pewnej depeszy do monarchów Hiszpanii, że z polecenia króla jeździł do Tunisu, aby tam zachwycić pewną galeazę. U wyspy San Pietro przy południowej kończyźnie Sardynii dowiedziała się załoga, że pod Tunisem oprócz tej galeazzy są jeszcze dwa większe i jeden mniejszy statek wojenny. Lękliwa załoga chciała zmusić młodego dowódcę, aby się przedtem udał po posiłki do

*) Bossi, Histoire de Cristophe Colomb, traduite de l'italien.

Marsylii. Colon udał, że zgadza się, ale w nocy zmienił znaki na igle magnesowej, tak że zamiast przybyć do Marsylii, nazajutrz rano ujrzano się naprzeciw brzegów Afryki. W swoich wędrówkach morskich zajechał do Anglii, gdzie w Bristolu wsiadł na okręt z pewnym przemysłowcem handlującym sztokfiszami. Sam nam opowiada, że w lutym 1477 znajdował się więcej jak o sto mil morskich hiszpańskich za Islandyą (Tile). Południowy brzeg tej wyspy, która jakoby jest większą od Anglii, leży, mylnie dodaje, nie pod 63° , ale pod 73° północnej szerokości i z tamtej strony pierwszego południka u Ptolomeusza, który znał inną Thule pod 63° szerokości północnej, zwaną dzisiaj Frislanda (Farrör). Przypadek chciał, że właśnie w owym zimowym miesiącu wody wolne już były od lodu, co stanowi meteorologiczną rzadkość.

Ponieważ przypuszczano, że Kolumb mógł na Islandyi od duchownych po łacinie mówiących dowiedzieć się o dawniejszych odkryciach normandzkich na stałym lądzie Europy, to musimy tutaj ten punkt sporny roztrząsnąć.

NORMANDZKIE PODRÓŻE DO WINLANDYI.

Jeszcze w 867 r. widział Islandyę normandzki rozbójnik morski Naddodd i nazwał krainą śnieżną, ale dopiero 875 udał się tam Ingulf z normandzkimi osadnikami. Przed tymi niespokojnymi, pogańskimi żeglarzami cofnąć się musieli dawniejsi osadnicy wyspy, u których znaleziono irlandzkie książki, dzwony i pastorały. Byli to pobożni anachoreci z wysp brytańskich, rozsiani po wszystkich archipelagach między Norwegią a Grenlandyą, dopóki normandzcy korsarze nie wypłoszyli ztamtąd tych cichych mieszkańców. Staropółnocne źródła dziejowe na-

zywają ich chrześcijańskimi mnichami (papas), którzy przybyli do Islandyi z wysp Faroer.

Cały wiek po zajęciu Islandyi upłynął, zanim Normandowie przepławili się ztamtąd do Grenlandyi. W r. 983 Eryk Rudy popłynął do pewnego kraju na zachód od Islandyi, którą widział już Gunnbjörn w 876, kiedy odkrył skały pomiędzy Islandją a Grenlandją, nazwane jego imieniem. Trzeciego lata powrócił Rudy do Islandyi i nazwał kraj przez się odkryty w przeciwstawieniu do krajny Lodowej (Islandya) *Ziemią Zieloną* (Grenlandya), ażeby, jak powiada stara saga, dobre imię zwabić mogło osadników. Rzeczywiście w 985, czyli na piętnaście zim przed wprowadzeniem chrześcijaństwa do Islandyi, wypłynęło do Grenlandyi 35 okrętów, z których jednak tylko 15 dostało się do nowoodkrytej ziemi. Pomiędzy następnymi wychodźcami, którzy niebawem puścili się za pierwszymi, znajdował się Bjarne Herjulfssohn, który w r. 1000 popłynął do Grenlandyi. Nikt na statku, na którym płynął, nie widział był przedtem Ziemi Zielonej. Po kilku dniach w skutek zmyłonego kierunku znaleźli się przed górzystym i lesistem wybrzeżem; ale ponieważ daremnie oglądano się za górami i lodowcami Grenlandyi, zostawiono więc dziwne wybrzeże na lewo i zwrócono się ku północy. Ujrzano drugą ziemię, ale Bjarne wytrwale płynął dalej, nie zatrzymując się. Z południowo zachodnim wiatrem dostał się na pełne morze, i wreszcie pokazały mu się góry i lodowce. Była to przecież tylko jakaś wyspa, której się nie tknięto, ale w 48 godzin drogi za nią dostano się nareszcie do pożądaney Grenlandyi. Opowiadanie o tej morskiej przygodzie obudziło ciekawość Leifa, syna Eryka Rudego, który na okręcie Bjarna z 35 żeglarzami puścił się 1001 na morze, ażeby dokładniej zbadać nowe odkrycia. Wylądował naprzód na skalistej, zimą spowitej pustyni dzisiejszego Labradoru, której dał nazwę Helluland to jest

Ziemi Kamiennej. Gęsto obrosłą Nową Szkocję z jasno-połyskującym wybrzeżem, nazwał Marklandem, albo Ziemią leśną. Północno-wschodni wiatr zapędził żeglarzy w 24 godziny do Cap Cod i wyspy Nantucket. Przeprawili się następnie na stały ląd i popłynęli w górę rzeki Taunton, gdzie zachwyceni bujnemi pastwiskami, obfitością ryb i łagodnością klimatu pobudowali mieszkania na zimę. Podczas wycieczki w głąb lądu pewien Niemiec, imieniem Tyrker, odkrył latorośl dzikiego wina. W radośnem zaskiwieniu zapomniał z początku swoich niewielu skandy-nawskich wyrażen i nie mógł od razu uwiadomić towar-zyszy o wielkiej nowinie. Ztąd Leif nazwał wybrzeże do-brą krainą wina (Vinland hit gotha); sam zaś po powro-cie w następnym roku otrzymał nazwę Szczęśliwego.

W r. 1003 na dobre próbowano założyć osadę w Win-landyi. Z Thorflnnem Karlsewne 160 mężczyzn i 5 kobiet opuściło Grenlandyę, zabierając z sobą trochę bydła, da-jącego mleko. Pomimo zatargów wewnętrznych i dającego się usuwać od czasu do czasu braku żywności, osadnicy pozostali tam aż do trzeciego lata.*) W krótkce spostrze-żono, że wybrzeże nie było bezludne. Zjawili się Eskimosi, przybywający w łodziach ze skór zwierzęcych, i z po-czątku dali się nakłonić do spokojnej wymiany produk-tów. Ale w r. 1006 pojawili się krajowcy w większej liczbie i zaciekle uderzyli ze swoich proc na przybyszów.

*) Już w roku 1003 Gudrida powiła swemu mężowi syna Snorre, pierw-szego Europejczyka, który się urodził w Nowym Świecie. Rodowody od tego Snorre ciągną się aż do dnia dzisiejszego. Miejsce, gdzie Thorflnn się pobu-dował, znamy dokładnie, gdyż nad Taunton River 41° 45' 30" odkryto dawny napis na skale, tak zwany Dightoa Writing Rock, który przez antykwaryu-szów w r. 1680 został skopiowany i opisany. Jeszcze w r. 1825 wspominał o tym pomniku wielki amerykański badacz starożytności Waiden (Recueil de Voyages par la Soc. de Geogr. p. 438) nie przeczuwając jego treści. Rafn ka-zał dawniejsze i nowoczesne kopie odtworzyć w Antiquitates Americ. i można się własnemi oczami przekonać, że napis podaje wiernie podług starej sagi imię Thorfina i liczbę jego towarzyszy.

Po obu stronach byli zabici i Thorfinn uznał za stosowne obwarować swoje mieszkania. Ale już po trzeciej zimie obawa nowych napadów skłoniła osadników do powrotu. W drodze z powrotem schwytano na wybrzeżu Marklandyi dwóch chłopców, którzy po wyuczeniu się języka północnego opowiadali, że naprzeciwko ich ojczyzny leży kraj inny, którego mieszkańcy ustrojeni w białe szaty wśród głośnego wołania noszą przed sobą drągi z powiewającymi chustami. To przypomniało żeglarzom starą, w Irlandyi rozpowszechnioną sagę o wielkim łądzie w zachodniej stronie, który nazywano krajem białych ludzi albo Wielką Irlandyą i dokąd północni żeglarze czasem się zapędzali. Już następującego lata po powrocie Thorfinna (1007) przedsięwzięto podwójną wyprawę do Winlandyi, ale między osadnikami wszczęły się krwawe zatargi i wrócili oni niechlubnie na trzecie lato. Jakkolwiek wyprawy do Winlandyi przynosiły wielki zysk i sławę, to przecież nie próbowano tam więcej zakładać osad. Połów wielorybów i fok pociągał żeglarzy przeważnie ku cieśninie Dawisa wzdłuż zachodniego brzegu Grenlandyi, gdzie w dwunastym wieku na pewnej wyspie koło Upernavik pod 72° 50' zostawili swoje kamienie runiczne. W trzynastym wieku, z zadziwieniem to spostrzegamy, wyprawy ich rozciągają się aż do jednej z owych północnych cieśnin, na które pada cień grozy od czasu, jak tam zginął Sir John Franklin wraz z towarzyszami. Wprawdzie w dawnych rocznikach północnych nie brak wiadomości o wznawianych przy okoliczności wyprawach do drugiego lądu stałego, ale te południowe odkrycia zaniedbywano coraz bardziej, tak że pod rokiem 1347 po raz ostatni wspomina się o odwiedzeniu Marklandyi.

Wiadomość o późniejszej mniemanej podróży północnych żeglarzy ku krajom zachodnim, przedsiębranej jako-by przez dowódcę rozbójników morskich z wysp Faroer

w ostatnim dziesiątku czternastego stulecia, przywieźli do Włoch dwaj Wenecyanie, Messer Antonio i Nicolo, ze sławnego i możnego rodu Zeni. Niejasne, greckimi baśniami przeplatane urywki ich przygód, tyle przynajmniej dowodzą, że przy końcu 14 stulecia bardzo żywo jeszcze pamiętali żeglarze północni o masach lądowych na zachód i południe od Islandyi i Grenlandyi. Ale przy końcu piętnastego stulecia, polityczne odłączenie się Grenlandyi od Islandyi, zubożenie w skutek duchownych ciężarów, zaraza i napady Eskimosów doprowadziły do zupełnego wygaśnięcia osad w Grenlandyi.

Mógł więc Colon w r. 1477, jeżeli już wówczas zamyslał o swej zachodniej wyprawie, bardzo dokładnie wywiedzieć się w Irlandyi o winlandzkich podróżach, atoli w jego pismach nie ma o tem najmniejszego śladu; i owszem, z całego jego późniejszego postępowania widać, że nic nie wiedział o lądzie na południu-wschód od Irlandyi. Wiadomość o owych odkryciach musiałaby go niepokoić w późniejszych jego projektach, nie do dobrej bowiem, lecz i pustej Winlandyi, ale do ożywionych, kulturowych krain Wschodniej Azji, do mórz indyjskich rojących się statkami unosiła go tęskniąca wyobraźnia.

Po tej islandzkiej podróży znajdujemy Kolumba w Lizbonie, gdzie bywając w kościele Wszystkich Świętych poznał się z prawnuczką pierwszego lennego pana Porto-Santo, doną Felipa Muniz-Perestrello. Otrzymał rękę tej damy i przez jakiś czas mieszkał w domu swej teściowej na Porto Santo. Teściowa dała mu do studyowania mapy i książki okrętowe Perestrella.

Na nieszczęście brak nam i tu chronologicznych danych do pobytu jego w Lizbonie, do zawarcia małżeństwa i do urodzin jedyne go prawowitego syna Diego, które matka, jak się zdaje, przypłaciła życiem. Kolumb brał w tym czasie udział w portugalskich wyprawach do Gwi-

nei, wiemy bowiem, że pomiędzy 1482 a 1484 odwiedzał niedawno przedtem zbudowany fort St. Jorge de la Mina.

Łatwo pojąć, że dla człowieka, który zwiedził najodleglejszą, jaką znano, północ i afrykańskie wybrzeża w bezpośrednim sąsiedztwie z równikiem, który widział gwiazdę polarną wysoko nad głową i na samym krańcu widnokregu, że dla takiego człowieka żaden brzeg nie był tak daleki, aby doń dopłynąć nie można było. Sądząc z doświadczeń swoich morskich, nie uważał za rzecz niemożliwą dostanie się przez ocean do wschodniego brzegu Azji, czyli „znalezienie Wschodu w zachodnim kierunku.“ W Lizbonie dowiedział się, że przed nim już inni na tę samą myśl wpadali. Przedstawił tę myśl królowi Alfonsowi V. kanonik Hernan Martinez, który przez dłuższy czas w tym przedmiocie prowadził korespondencję ze słynnym florentryńskim astronomem Paolo dal Pozzo Toscanelli (urodz. 1397). Ten nie tylko uznawał za rzecz łatwą przejazd przez ocean atlantycki do Azji wschodniej, ale posłał nawet do Lizbony 24. czerwca 1474 kartę, z której się można było pouczyć o długości i o wyborze drogi. Ale wojna Portugalii o następstwo tronu w Kastylji, która wybuchła w tym samym roku, nie pozwoliła dojrzeć temu zamiarowi.

Za pośrednictwem pewnego florenckiego kupca związał Kolumb korespondencję z podeszłym Toscanelli który mu ochotnie posłał kopię mapy morskiej z r. 1414 wraz z kopią swego objaśniającego listu do Hernana Martineza. Zachęcony przez tego uczzonego, który używał zasłużonego uznania, zbliżył się Genuńczyk do króla portugalskiego Jana II. z propozycją poprowadzenia eskadry za ocean do krajów, których bogactwo i wysoką cywilizację tak ponętnie odmalował Marco Polo.

Król projekt Kolumba przedłożył tej władzy nawigacyjnej, która się właśnie wówczas naradzała nad nowymi

środkami do oznaczenia miejsca w wyprawach morskich. Trzej z tych kosmografów, Diogo Ortiz z Calçada, biskup Ceuty i żydowscy przybocznicy lekarze, Mestre Rodrigo i Mestre Josepe odrzucili zbyt niepewny projekt, podczas gdy inni znawcy, jak Marcin Behaim, mieli zachęcać do wykonania planu Kolumba.

Gdy zapadł niepomysłny wyrok, nic już nie utrzymywało w Portugalii wędrowca, którego małżeństwo śmierć zerwała. Wyjechał on 1484 z synkiem swoim Diego, tajemnie opuszczając państwo,*) które wzgardziło jego usługami. Wówczas rozłączył się z swoim bratem Bartłojem, który miał uczestniczyć w odkryciu Przylądka Dobrej Nadziei i jeszcze do 1487 przebywał w Lizbonie, ale potem udał się do Anglii, w drodze wpadł w ręce korsarzy, a od lutego 1488 zarabiał obficie na chleb w Londynie rysowaniem map na dworze króla Henryka VII., którego także chciał pozyskać dla planu swego brata.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

PROJEKT KOLUMBA.

Kulista postać ziemi. Grawitacya. Odległość zachodniego brzegu Europy od wschodniego Azji. Ptolomeusz i Marinus Tyryjczyk. Wpływ arabskiej wiedzy, Marka Pola i jego następców. Zipangu. Antiglia. Toscanellogo mapa świata. Dawny wymiar stopni geograficznych. Przygotowanie umysłów. Widome znaki innych lądów. Szanowność zdań przeciwnych.

Czerpiąc z papierów, pozostałych po Krzysztofie Kolumbie, syn jego Don Fernando obszernie nam opowiada,

*) Powody tej ucieczki niewyjaśnione. Syn jego Ferdynand opowiada nam anegdotę, że król Jan, chcąc zaoszczędzić nagrodę, której żądał odkrywca, tajemnie wyprawił na zachód okręt, który nie odkrywszy ze wstydem wrócił (Vida del Admirante cap. 10). To niesłuszne podejrzenie opiera się może na pewnym ustępie w dzienniku okrętowym Kolumba, (Navarr. I. p. 5), gdzie jest mowa w istocie o próbie wyprawy na zachód w r. 1484. Właściwiej jest

jakim sposobem dojrzała w jego ojcu myśl, że do wschodniego brzegu Azyi można się dostać przez Atlantyk. Ponieważ ta myśl nie była wcale nową, i często ją rozważano, zasługa zatem Kolumba polega tylko na tem, że skłonił współczesnych do jej wykonania. Ale łatwem to było do pojęcia, że wschodni brzeg Azyi, jak wszelki brzeg atlantycki leży naprzeciw zachodniej Europy, gdy ziemia uważaną była za niewątpliwie kuliste ciało. Ten pogląd, który już był własnością Pytagorejczyków, zawdzięczał swoją przekonywającą siłę w wiekach średnich najwięcej niezachwianej powadze Arystotelesa.

Ta dawniejsza nauka popadła w wielkie niebezpieczeństwo z powodu aleksandryjskiego kupca Kosmasy z przydomkiem Indopływcy, który miał w połowie szóstego wieku zwiedzić Malabar i zostawił dziwaczne dzieło o budowie świata, pełne bajek indyjskich. Według niego ziemia była płaską, w środku się podnoszącą, otoczoną zewsząd bajecznym oceanem i oddzieloną od wszechświata firmamentem, który jak dzwon szklanny nakrywał zamieszkałe kraje. Podobna myśl po postępach aleksandryjskiej szkoły w matematycznych naukach pozostałaby zupełnie nieszkodliwą, gdyby się była nie uczepiła litery Pisma świętego, i niejako wzięwszy Biblię na tortury, zmusiła ją do wyznawania tej błędnej nauki.

Teologowie z tych samych przyczyn jeszcze aż do piętnastego wieku zaprzeczali kulistości ziemi, ale ogromna większość uczonych przemawiała językiem Ptolomeuszowego systemu. Ponieważ owe czasy nie wymagały zbyt ściśle naukowych dowodów, więc kulisty kształt ziemi co dzień zyskiwał jakieś nowe poparcie w doświadczeniu zmy-

zwrócić na to uwagę, że Kortezy Evory (1481—82) prosiły króla, aby czuwał nad Genuńczykami i Florentczykami, który łatwo wyszpiewować mogli tajemnice handlu z Gwineą a mianowicie ze Złotem wybrzeżem (Santarem, *Priorité* p. 168). Dziwnem to jest, że król Jan II. 20. marca 1488 pozwala Kolumbowi powrócić do Portugalii bez obawy kary (Navarr. II. p. 6).

słowem. Zjawisko powolnego ponurzania się za płynnym horyzontem okrętów, których naprzód tułów, a w końcu maszty znikają z widnokręgu, służyło arabskim kosmografom i scholastycznym uczonym za dowód wypukłości powierzchni morskiej, zupełnie tak jak to i dziś jeszcze znaleźć można w szkolnych podręcznikach. Kulistość ziemi w kierunku południków tem się zdradzała, że w miarę poruszania się z północy na południe, gwiazda polarna, leżąca pobliżu bieguna północnego, coraz się niżej osuwała; co się tyczy kierunku równoleżników, to wiedziano z doświadczenia, że we wszystkich punktach na wschód położonych, słońce wcześniej wschodzi i zachodzi, ponieważ zaćmienia słońca i księżyca przypadały nie w jednym czasie dla miejsc różnej długości geograficznej. Gdyby te wszystkie zasadnicze prawdy kosmografii nie były znane wszystkim wykształconym ludziom, jakim sposobem największy poeta wieków średnich mógłby się być spodziewać, że jego boska komedia będzie zrozumiana?*) Również jasno pojmowano, że pod względem ciężkości nie ma ani góry ani dołu dla rozmaitych miejsc powierzchni ziemskiej, i że na każdym miejscu każde ciało jednakowo jest przyciągane ku centrum naszego planety. Gdyby przekopać ziemię przez środek na drugą stronę, nauczał Vincent de Beauvais, to kamień rzucony w ten przekop, zatrzymałby się w połowie średnicy, i nie mógłby dalej spadać do Antypodów. W czasach więc kiedy żegluga rozpościerała się od Islandyi do południowej Afryki, żaden znawca tych rzeczy, żaden przedewszystkiem marynarz nie mógł posuwania się ze wschodu na zachód lub z północy na południe nazywać wspinaniem się lub spuszczeniem. Możemy zatem napewno utrzymywać, że żaden astronom, za-

*) Szczególnie ostatnia pieśń Piekła, mianowicie od wiersza 106, gdzie poeta wchodzi na drugą półkulę, daje nam wyobrażenie o wiedzy kosmograficznej Danta, którego nauczyciel Brunetto Latini w swoim Tesoro, lib. II. cap. 25. mówi o kulistości ziemi.

den kosmograf, żaden światły majtek nie mógł z tego powodu sprzeciwiać się projektowi Kolumba, że dla tego ostatniego ziemia nie była kulistym ciałem, na którego powierzchni przy ruchach poziomych nie ma ani góry, ani dołu, ani podnoszenia się, ani spadania. Błędna nauka o nieprzekraczalności gorącej strefy, — która jak balast ze spadku po starożytności z wielką jeszcze żywotnością tu i owdzie się utrzymywała, pomimo iż Portugalczycy znali już gęsto zaludnioną po obu stronach równika Afrykę, — nie miała powodu występować z zarzutami przeciw projektowi Kolumba, kraje bowiem, do których zamyślał się dostać, i droga do nich, leżały w północnym umiarkowanym pasie, który po wszystkie czasy uważano za mieszkalny.

Wymiary odległości wschodnich brzegów Azji od Zachodu Europy, które posiadał Colon i współcześni, były bardzo niepewne. Brakowało naówczas narzędzi do dokładnego podziału czasu, jakimi są nasze chronometry, wodne bowiem i piaskowe zegary, których używano, podawały bardzo surową pomoc. Ażeby znaleźć długość geograficzną, czyli odległość od siebie dwóch punktów na ziemi w kierunku od wschodu na zachód, korzystano z tak zwanych zaćmień słońca i księżyca, ale i ten rodzaj obserwacji z powodu swego nieudoskonalenia nie przynosił dokładnych rezultatów. Próbowano wprawdzie i innego jeszcze obliczenia astronomicznego. Księżyc w ciągu czterech tygodni obiega wszystkie dwanaście znaków zodiaku, posuwa się na niebie gwiazdzistym od zachodu ku wschodowi z szybkością, która w jednej godzinie mierzy się wielkością pozornej średnicy księżyca. Jest więc księżyc, że powtórzmy tu trafne porównanie sir Johna Herschella, jakby skazówką niebieskiego zegara, służącego dla wszystkich punktów na ziemi. Tarczą zegarową jest strefa w pobliżu ekliptyki, a gwiazdy które na niej spotyka, do któ-

rych się zbliża, których dotyka lub które zupełnie zakrywa, są znakami godzin i minut na tym cyferblacie. Prawda, że skazówka nie leży ściśle na znakach, tak że dla dwóch spostrzegaczy, stojących w różnych punktach ziemi, zmienia się perspektywa. Wynikającą stąd niedokładność można za pomocą obliczenia wydzielić, jeżeli tylko skazówka posuwa się z jednakową szybkością. Ale księżyc nie posuwa się z jednakową szybkością: raz ją nateża, to znowu zwalnia. Jednakże zjawiska te, nazywane dziś perturbacjami, dadzą się z góry obliczyć. Znany ich dziś około sześćdziesięciu; największą z nich odkrył jeszcze Hipparch, drugą pod nazwą ewekcji opisał Ptolomeusz, trzecią nie małego znaczenia zauważył przy końcu dziesiątego stulecia chrześcijańskiej ery astronom Abulwefa w Bagdadzie, ale prace jego pozostały dla Zachodu tak zupełnie nieznanymi, że jeszcze nie tak dawno uważano Tychona Brahe za pierwszego, który zrobił to odkrycie. W astronomicznych więc kalendarzach ówczesnych bardzo niedokładnie można było z góry oznaczać stanowiska księżyca, dla tego też przy tak wielkim braku pomocniczych środków, obliczenia podług ruchu księżycowego prowadziły do dziwacznych i niepożytecznych rezultatów.

Za czasów Ptolomeusza tylko dla niewielu miejsc dokładniej była oznaczoną długość geograficzna. W tak wielkie jeszcze błędy popadali aleksandryjscy uczeni, że podłużną oś morza śródziemnego umieszczali na 60° , gdy ona jest w istocie na 40° . Nawet jeszcze w siedemnastym wieku najlepsi europejscy geografowie przeprowadzali 55° szerokości przez morze śródziemne. Z obliczeń dotyczących wschodniej rozciągłości azyatyckiego lądu dwa szczególnie były ważne dla wieków średnich. Jedno z nich podał Marinus z Tyru, z którego pism i map, dla nas dziś utraconych, mógł korzystać jeszcze Massudi († 956 po

Chr.). Znamy jego poglądy tylko z zarzutów, jakie im czyni Ptolomeusz. Obaj ci kosmografowie zgadzali się wprowadzić na to, że przejście przez Eufrat pod Hierapolis powinno leżeć o 72° na wschód od południka wysp szczęśliwych, obliczyli też na podstawie długości drogi, (26,280 stadyów) którą karawany odbywały, że wieża kamienna (mógł to być karawanseraj na drodze do kraju, dokąd seryjscy kupcy wozili jedwab') musi leżeć o 60 geograficznych stopni na wschód od Hierapolis. Od kamiennej wieży do stolicy Chin (Sinae), czyli do kraju, skąd seryjscy kupcy przybywali, szły towarowe karawany siedm miesięcy, jak o tem uwiadił Marinusa pewien kupiec macedoński, który tam był posłał swoją karawanę. Jeżeli Marinus obliczał długość tej drogi na 36.200 stadyów, to Ptolomeusz sądził, że odliczając zakręty drogi i odpoczynki karawan, potrzeba odległość wschodnią w prostym kierunku skrócić do pięciu-ósmych, to jest do 22.625 stadyów, tak że podług niego stolica Chińczyków musiała leżeć tylko o $45\frac{1}{4}^{\circ}$ na wschód od Wieży kamiennej.*) Podług Ptolomeusza zatem świat znany i zamieszkany, od wysp Szczęśliwych do stolicy kraju, skąd przywożono jedwab, miał długości $177\frac{1}{4}$, podług Marinusa 225 geograficznych stopni.

Można się było spodziewać, że arabscy uczeni dokładnie na miejscu sprawdzą te obliczenia, ponieważ już w 9 wieku posiadali liczne kolonie w Chinach. Znalezienie geograficznej długości i szerokości pewnego miejsca było dla wyznawców proroka nie tylko zadaniem naukowym, ale i potrzebą religijną, ponieważ w ich meczetach astronomicznie musiał być oznaczony kierunek nieba, w którym leżała Mekka, ażeby modły wiernych mogły

*) Pod Wieżą Kamienną starożytnych geografów należy rozumieć albo gmach Takt i Sulejman (tron Salomona) w mieście Usz, albo miasto Taszkend, którego nazwa podług Albyruniego znaczy: Pałac kamienny. Oba miasta leżą w Ferghanie.

dążyć w należytą stronę. Arabowie też prędko spostrzegli błędy Ptolomeusza w oznaczeniu geogr. długości. Cofnęli wielką oś morza śródziemnego do 50° , a nawet do 44° , jak to uczynił Abul Hassan z Marokko, który się tym sposobem bardzo zbliżył do prawdy. Długość indyjskiego oceanu od Suezu do wysp Sula (Japonia) obliczano tylko na 124° . W gruncie jednak Arabi, onieśmieleni powagą Ptolomeusza, z którego rąk otrzymali sumę wiedzy helleńskie, pozostali przy teorii, że rozległość zamieszkałego świata od zachodu na wschód wynosi 180° czyli 12 astronomicznych godzin.

Nigdzie jednak nie znajdujemy, aby łacińscy uczeni korzystali z ważnych geograficznych dzieł Arabów, a przynajmniej z zapisek ich wielkich podróżników; przeciwnie aż do końca 15. wieku pozostało na Zachodzie nierozwiązanym pytanie, czy Ptolomeusz czy Marinus z Tyru dokładniej oznaczył rozległość azyatyckiego lądu. Od czasu jak za pośrednictwem Rogera Bacona i Wincentego z Beauvais stały się znanymi wizerunki państwa mongolskiego, podane przez misyonarzy, i gdy do tego przyłączył się opis Chin przez Marca Pola i nadzwyczaj popularne podróże rycerza Mandeville, od tego czasu zdawało się, jakoby wielkiego państwa chińskiego (Kathai) należało szukać poza granicami Ptolemeuszowego świata i zaczęto powoli w myśl Marinusa z Tyru rozciągać na mapach ląd azyatycki do 230° wschodniej długości.*) To wielkie cofnięcie się kosmografii nie tylko po za stan wiedzy Arabów, ale i po za naukę Ptolemeuszową było główną przyczyną błędnego wyobrażenia Kolumba, że ocean pomiędzy Kathaiem czyli państwem chińskim a zachodnią Europą

*) Taki był, jak zobaczymy, pogląd wielkiego astronoma Toscanellego. Na globusie Marcina Behaima rozciąga się Azja tropikalna do 230° wsch. dług., licząc od zachodniego wybrzeża Afryki, podczas gdy *Charta Marina Portugaliensium* (1501—1504), posuwa Wschodni brzeg Azji tylko do 220° .

nie może mieć więcej nad 130 stopni długości geogr. Czerpał on swoje kosmograficzne wiadomości z bardzo rozpowszechnionych pism kardynała Piotra d'Ailly (Alliacus), których wspaniałe wydanie ukazało się w druku 1480. Alliacus, nie mający umysłowej samodzielności, czerpał swoją wiedzę prawie wyłącznie z *Opus majus* Minoryty Rogera Bacona.*) U Alliacusa znalazł Kolumb w pewnym miejscu zgromadzone wszystkie powagi, które utrzymywały, że wschodni brzeg Azji nie jest bardzo odległy od Hiszpanii.***) Na świadka wyciągnięto Arystotelesa, ponieważ ten powiedział, że przy małej objętości kuli ziemskiej bardzo być może, że istnieje połączenie lądowe w strefie gorącej pomiędzy Indiami a wybrzeżami atlantyckimi.****) Do tego dołączyła się jeszcze zachęcająca uwaga Alliacusa, że z pomyślnym wiatrem można w niewiele dni przepłynąć przestrzeń pomiędzy Hiszpanią a wschodnim brzegiem Azji, za co miał jakoby ręczyć filozof Seneca.*****) Utwierdził jeszcze Kolumba w tem mniemaniu ustęp z pewnej apokryficznej księgi Ezdrasza, gdzie się mówi, że masy lądowe są sześć razy większe od mórz. Niebrał wszakże Kolumb tego powiedzenia dosłownie, gdyż aż do śmierci trzymał się w tym względzie obliczeń Marinusa z Tyru.

Nie pogardzono nawet źle zrozumianym ustępem Strabona, który powiedział tylko, że w starożytności nie udało się opłynąć oceanu tylko z powodu jego niegościnn-

*) Pierre d'Ailly miał się urodzić pod Abbeville 1350 a umarł 1420 czy 1425. Dawano mu przydomek „Orla francuskich uczonych.“

**) Miejsce, które zwróciło na siebie uwagę Kolumba, jak to wiemy od syna (Vida del Amirante cap. VII) znajduje się w 7 rozdziale *Imago Mundi* Alliacusa, i brzmi: Et dicit Aristoteles quod mare parvum est inter finem Hispaniae a parte occidentis. Rozdział ten w całości przepisany z *Opus majus* Rogera Bacona.

****) Arystoteles de Coelo II, 14, ed. Bekker, p. 298.

*****) Miejsce to, fałszywie zacytowane przez Alliaa i Bacona, znajduje się w Praefatio pierwszej księgi *Quest. natur.* i brzmi: Quantum enim est, quod ab ultimis littoribus Hispaniae usque ad Indos jacet? Paucissimorum dierum spatium, si navem suus ventus implevit.

ności.*) Wspominał też geograf z Amazyi o poglądzie genialnego Eratostenesa, że możnaby płynąć z Hiszpanii do Indyi pod szerokością geogr. Rodosu lub Chin, gdyby nie stała temu na przeszkodzie wielka rozległość azyatyckiego morza, gdyż zamieszкана ziemia zajmuje tylko trzecią część powierzchni tego oceanu. „Zamieszkaną ziemią, dodaje Eratostenes, nazywamy tylko tę część świata, w której mieszkamy i którą znamy. *Może być jednak w umiarkowanej strefie i druga, a nawet więcej zamieszkaných części świata*, i to właśnie w pobliżu stopnia szerokości geogr. Thinae, gdzie on przechodzi przez ocean atlantycki.***) Na szczęście o tem genialnem przeczuciu Aleksandryjczyka, że pomiędzy Azyą a Europą istnieje łąd stały, Kolumb nie wiedział, lub też nie zważał na nie, wszelka myśl bowiem o przeprawie przez Atlantyk musiałaby upaść, gdyby odległość brzegów Europy od Azyi, jak podał Eratostenes, wynosiła blisko 240 stopni geogr. długości.

To jednak, co przedewszystkiem pobudziło Kolumba do wielkiego przedsięwzięcia, to były opisy podróży Marka Pola i Odoryka z Pordenone, z których kradł potem rycerz Mandeville. Bo jeżeli Kolumb myślał o przeprawie do Indyi, to pod tem wyrażeniem rozumiano w owych czasach całą wschodnią Azyę, nie tylko więc do półwyspu między Indem a Gangesem, ale i do Kathaju czyli Chin, do portów Zaitunu, i do cudownego miasta Marca Pola, Quinsay, dążyły jego myśli.***)) Tylko z pism tego Wene-

*) Strabo, lib. I, 5 Cas. Słowa *Οι τε γὰρ περιπλεῖν ἐπιχειροῦσαντε* powiedziane były nie w sensie opłynięcia świata, potrzeba tu rozumieć żeglugę nadbrzeżną.

**) Strabo, lib. I. p. 64—65. Cas.

***)) Ponieważ dziwiono się, że Kolumb w pismach swoich nigdzie nie wspomina o Marku Polu, to robię uwagę, że zna to miejsce w pewnym nieogłoszonym jeszcze dokumencie, w liście w Haiti 1498 (u Las Casas I, cap. 149 sus.), gdzie wyliczając bogactwa Nowego świata, powiada, że posiada on także *perlas finissimas y perlas bermejas de que dize Marco Polo que valen mas que las blancas*.

cyanina dowiedziano się coś o archipelagu japońskim, który Chińczycy nazywali *Wschodnią wyspą*, Dżepen. Marco Polo na podstawie chińskich wiadomości podawał odległość tych wysp od wybrzeży chińskich na 1500 mil. Europejscy geografowie rozumieli pod tem nie chińskie Li (250 = 1° na równiku), ale włoskie mile. Stąd późło, że odległość Zipangu (Japonii) od stałego lądu przedstawiano na mapach wielokrotnie powiększoną. Żeglarze zatem europejscy mogli się spodziewać, że przed przybyciem do Chin czyli państwa wielkiego Chana spotkają na drodze tę wyspę, która obiecywała być dogodnem miejscem wytechnienia w długiej podróży z Hiszpanii do Chin.

Oprócz tego wszystkie morskie karty robiły nadzieję, że na połowie drogi do Zipangu znaleźć można obszerną wyspę, zwaną Antiglia, która wynurzyć się miała z oceanu zachodniego jeszcze wtedy, gdy Azory nie były zaludnione przez Portugalczyków. Nie wyjaśniono dotąd dostatecznie, skąd to imię powstać mogło. Jeżeli będziemy śledzili w chronologicznym porządku za tym zagadkowym przedmiotem na mapach, to ujrzymy, że po odsłonięciu atlantyckich archipelagów wyspa ta cofa się na Zachód, a z odkryciem dzisiejszych Antylów z geograficznej szerokości wysp Kanaryjskich umyka na wysokość Azorów. Należy ona zatem do rodzaju fantastycznych wysp wędrujących, i była produktem wyobraźni rysowników map w czasach, kiedy odkrycia żywo po sobie następowały. Istnienie jej na mapach świadczy o obudzonej ciekawości, czy też na zachód od Azorów nie ukażą się inne jakie brzegi. Można się domyślać, że nadzieje te polegały na Platona opisie wyspy Atlantis, której geologiczne siły bystry zgotowały upadek; opisie nie w zupełnie bajecznym i nie w całkiem historycznym tonie. To przynajmniej pewna, że pamięć o tem opowiadaniu wiernie się przechowała w geografiach średniowiecznych. Być może, iż przy-

pominano sobie także tajemnicze kartagińskie odkrycia miłych wybrzeży w oceanie atlantyckim, chociaż po odkryciu wysp Azorskich i Kanaryjskich łatwiej było przenieść nazwę Antiglia na te wyspy, jak to zaraz zrobiono z wyspą Haiti po jej odkryciu. W samej Hiszpanii za czasów Kolumba pewną starą legendę historyczną przeniesiono na grunt apokryficznej wyspy Antiglia. Po bitwie nad Guadalete 714 pewien arcybiskup hiszpański, chroniąc się przed arabskimi zdobywcami, uciekł z sześciu biskupami na pewną wyspę na oceanie, gdzie pralaci założyli chrześcijańską kolonię. Za czasów Infanta Henryka Żeglarza, jakoby w 1414, pewien okręt portugalski zajechał do tej wyspy, znalazł tam chrześcijańskich mieszkańców i odkrył złoto, które załoga okrętowa zbierała na brzegu. Nadaremnie w r. 1442 szukał drogi do tego cudownego kraju pewien okręt; zrobił on 150 leguas od wyspy Fayal w kierunku południowo zachodnim a z powrotem odkrył wyspę Flores. Tę przygodę opowiadał Krysztofowi Kolumbowi sternik okrętu w klasztorze La Rabida. Dawniejsza saga dawała wyspie także nazwę siedmiu miast od siedmiu dyecezyi, jakoby założonych przez owych siedmiu biskupów.

Daleko większą wagę niż do wątpliwych ustępów ze starożytnej klasyczności przykładał Kolumb do listów Florentczyka Paolo Toscanelli. Objaśniając morską mapę którą przesyłał do Lizbony, a która była opatrzoną w koła długości i szerokości, robi taką uwagę o tem, jak długo trwać może przeprawa przez Atlantyk: „Od miasta Lizbony wprost na zachód do szlachetnego i wielkiego miasta Quinsay, a którego obwód wynosi 100 miglie czyli 25 leguas, którego imię oznacza miasto niebieskie, możesz liczyć 26 odległości, każda po 250 miglie. *To oddalenie równa się trzeciej części obwodu ziemi.* Od wyspy Antiglia, którą wy nazywacie Siedmiu miastami, a o któ-

rej my także mamy wiadomość, do szlachetnej wyspy Zipangu będziecie mieli 10 odległości, które wynoszą 2.500 miglie czyli 625 leguas.“ Florentyński zatem astronom ocenia odległość od europejskiego zachodu do wielkiego emporium Chin *pod szerokością Lizbony* na 6.500 mil włoskich, których 60 lub $62\frac{1}{2}$ liczono na jeden stopień największego koła. Biorąc zatem w okrągłych liczbach, długość jednego stopnia na szerokości geograficznej Lizbony miała wynosić 50 mil włoskich. Widzimy ztąd, że Toscanelli zachodnią odległość Quinsayu od Lizbony obliczał na 130 stopni, czyli, jak się wyraża, na 26 odległości (espacios) po 200 mil włoskich, czyli po 5 stopni. Tak samo mniej więcej obliczali wszyscy współcześni rysownicy map, gdyż jeżeli według obliczeń Marinusa z Tyru stały ląd azyatycki sięgał aż 225 stopnia, to długość 130 stopniowa na zachód prawie zupełnie wypełniała koło ziemskie. Ponieważ Toscanelli trzymał się ślepo słów Marca Pola, a odległość Zipangu od Chin przez zamianę mil chińskich na włoskie wzrosła do 30 stopn. wsch. długości (1.500 mil pod szerokością Lizbony), to odległość Zipangu od Lizbony na karcie Toscanellego wynosiła tylko 100 stopni; w połowie tej drogi miała leżeć wyspa Antiglia.

Podług mapy zatem Toscanellego, której Kolumb używał w czasie pierwszej podróży, i w której niezachwianą pokładał ufność, mógł on spodziewać się, że znajdzie fantastyczną Antylię, zbliżywszy się do miejsca, gdzie przechodzi najbardziej wschodni południk wysp zachodnioindyjskich; — Zipangu, dopiero wtedy, gdy zrówna się z ujściem zatoki Kalifornijskiej, i że wreszcie dosięże wschodniego wybrzeża Azji, stanąwszy na południku wysp Marquesas na oceanie wschodnim.

Szcześliwa omyłka jeszcze bardziej zmniejszyła odległość. Z klasycznej wiedzy o długości jednego stopnia pod równikiem przechowały się najsprzeczniesze wiado-

mości. Eratostenes (220 przed Chr.) z długości cienia na zegarze słonecznym znalazł pomiędzy Syeną a Aleksandryą, których odległość wzajemną obliczano na 5000 stadyów, różnicę, wynoszącą $7^{\circ} 12'$, czyli pięćdziesiątą część południkowego koła. Jeden stopień zatem musiał mieć długości $694\frac{1}{3}$ aleksandryjskich stadyów. Ale Eratostenes poprzestał na okrągłej liczbie 700 stadyów. Wieki średnie jednak nie trzymały się Eratostenesa, ale Ptolomeusza, który długość równikowego stopnia oznaczał na 500 stadyów, i powiadano sobie, że różnica pomiędzy liczbą Eratostenesa a Ptolomeusza wypływa z różnej długości ich stadyów. Stadyum Ptolomeusza poczytywano zwykle za ósmą część włoskiej mili, ztąd $3\frac{1}{2}$ czasem 4 stadya równoznaczne były z jedną starą kastylską legua. Otoż kalif Mamun kazał swoim astronom na równinie Sindżar nad Eufratem dokonać pomiarów, co uskuteczniiono w ten sposób, że różne partye posuwały się od pewnego punktu na północ i południe, dopóki się nie oddaliły od niego o cały stopień geogr. szerokości i średnią długość jednego geograficznego stopnia, jaka się okazała z odmierzenia odbytej drogi, oznaczono na $56\frac{2}{3}$ mil arabskich, liczących po 4000 czarnych łokci. O tym arabskim wymiarze geograficznego stopnia powiadomieni byli łacińscy uczeni przez astronoma Mahomeda z Ferghany (Alfraganus). Roger Bacon a za nim Pierre d'Ailly wspominali o tych usiłowaniach Kalifa, i Kolumb znów chciwie pochwycił z pism kardynała tę najmniejszą długość, która zdawała się tak znacznie skracać obwód ziemi.

Przedsięwzięcie Genuńczyka polegałoby tylko na dziwnej przedzy błędów i złudzeń, gdyby zarazem pewna liczba spostrzeżeń nie wskazywała wyraźnie bliskości stałego lądu, od niepamiętnych bowiem czasów oba brzegi atlantyckiej doliny dawały wzajem sobie znaki o swoim istnieniu. Ciepły prąd morski, który się z zatoki meksykańskiej wy-

lewa ku zachodnim brzegom naszej części świata, przynosił z sobą do Europy dziwną korespondencję nieznanego ładu stałego. Pewien portugalski sternik, Martin Vincente, wyłowił z morza na wysokości Azorów pewien sztucznie, ale bez żelaznych narzędzi, wyciosany kawałek drzewa. Podobny okaz zamorskiego przemysłu widział Kolumb u swego szwagra, Pedra Correi, namiestnika na wyspie Porto Santo. Król Jan II. pokazał Genuńczykowi pomiędzy drzewem niesionem przez Atlantyk trzciny takiej grubości, że w ich wnętrzu pomiędzy jednym a drugim kolankiem mieściło się 3 azumbres czyli 7 litrów, co Kolumbowi żywo przypominało ustęp z Ptolomeusza o indyjskiej roślinności. Przysłuchującemu się marynarzowi mieszkańcy wysp Fayal i Graciosa opowiadali, że do ich brzegów z zachodu przypływały pnie sosnowe dziwnego gatunku. Do Azorów przypędzone nawet były łodzie z trupami ludzi nieznaney rasy.

Istnienie wysp i lądów na dalszych przestrzeniach Atlantyku przypuszczało także i wielu portugalskich marynarzy, którzy zwiedzali morze poza Azorami. Tak pewien mieszkaniec Madery, Antonio de Leme, w podróży swojej sto mil morskich na zachód, sądził, że spostrzegł trzy wyspy. Ludzie z wysp Kanaryjskich i Azorskich zapewniali, iż każdego roku widzieli wynurzające się na zachodzie wyspy. Pewien marynarz z Palos, który brał udział w odkryciu Flores, uwiadomił Kolumba, że w przejeździe z Azorów do Cap Clear w Irlandyi natrafił na spokojne morze, choć silnie wiało z zachodu, z czego wnosił, że zapewne zachodnie masy lądowe osłabiały działanie burzy. Inny sternik z Puerto de Santa Maria zapewniał, że w podróży do Irlandyi widział na zachodzie kraj, który mu się wydawał być częścią Tataryi. Drugi marynarz Pedro Velasco, który także jeździł do Irlandyi, potwierdził to zeznanie z dodatkiem, że uważał to wybrzeże za kraj, o którego

odkrycie kuśił się niejaki Hernan Dolinos. Tak przygotowane były umysły do przyjęcia wielkich rzeczy od czasu, jak corocznie powiększał się promień opisujący znaną część Atlantyku! Jak łatwo więc u najwcześniejszych osadników Nowego świata mogła znaleźć wiarę niesprawiedliwa baśń, że już dawniej jakiś okręt, płynący z Madery do Anglii, zwiedził Amerykę, i że sternik tego okrętu, umierając na rękach Kolumba, pozostawił mu swój dziennik okrętowy i swoje mapy.*)

Gdyby nawet Kolumb musiał być powrócić z atlantyckiej podróży z próżnemi rękoma, nie odkrywwszy nowego Świata, zawszeby jednak pozostał przedmiotem uwielbienia, śmiałość bowiem usiłowań i torowanie nowych, niezwykłych dróg zdaje się spuścizną przechodzić od jego czynu na następne pokolenia. Zawdzięczamy mu, jeżeli podobne słowo przystoi ludzkiemu rozumowi, że stosunki nasze dojrzały o pół wieku wcześniej. Nie powinniśmy jednak gardzić ludźmi, którzy przeciw jego planom przemawiali. Kolumb szczupły posiadał zapas matematycznych i geograficznych wiadomości, i łatwo było ówczesnym uczonym pokonać go siłą powag, na które on sam się powoływał, a ustępy popierające jego zamiar odeprzeć niezliczonymi innymi. W pismach Kolumba widać zapalną fantazję, przystępną dla cudowności, i chętnie się puszczałą na niezwykle tory. Dla bardziej badawczego wzroku te wewnętrzne targania się ducha objawiały się w samej powierzchowności Kolumba i nakazywały ostrożność. Plan jego rozbijał się o zasady heleniskiej wiedzy, jak ona

*) Oviedo, lib. I. cap. 2. robi uwagę, jak bardzo się różnią opowiadania pod względem ojczyzny tego sternika i bliższych okoliczności dotyczących odkrycia, źle jednak postępuje, nie wykazując nieprawdopodobieństwa sagi. Nawet Las Casas (I. cap. 149) nie może się powstrzymać od uwagi, że krajowcy za Antylach wspominali o dawniejszem pojawieniu się białych, brodatych ludzi. Gomara (cap. 14) podaje bezwstydnie bajkę historycznym tonem, a za nim i Benzoni (Mundo Nuovo lib. I. p. 9) nie pogardził nią.

była podana późniejszym czasem przez swego skarbnika, Klaudyusza Ptolomeusza i dopiero po dojrzeniu wielkich wypadków można było starym mistrzom zaglądać przez plecy. Krytyczni przeciwnicy Kolumba walczyli po stronie prawdy, Kolumb za szczęśliwe złudzenie, z którego się Nowy świat wyłonił. Nieobliczone powodzenie przyznało słusność Kolumbowi, a łatwo tem powodzeniem przekupione umysły myślały, że uświetnią czyn Kolumba, jeżeli rzetelnych przeciwników jego obrzuca mianem głupoty.*)

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

KOLUMB W SŁUŻBIE KASTYLSKIEJ KORONY.

Poniżenie królewskiej władzy. Wojna o następstwo tronu. Potęga arystokracji. Hermandady. Zmiana obyczajów. Walka z Arabami. Inkwizycya. Charakterystyka królewskiej pary. Kolumb u andaluzyjskich grandów. Miłośćka. W klasztorze La Rabida. Przywileje. Martín Alonso Pinzon.

Nigdy większe zdziczenie polityczne nie zapanowało w Kastylii, jak za przyrodniego brata Izabelli, genialnego i muzycznego Henryka IV., któremu słabo się robiło koło serca, gdy miał pod miecz oddać jakiego przestępcę, którego pobłażliwość odzwyczaiła Kastylczyków od wszelkiej karności, a darowizny zubożyły koronę, który obojętny na cześć własną, przypatrywał się wiarołomstwu swej żony i tak dalece poniżył godność książęcą, że przed Kortezaami ogłosił córkę swoją za bękartą. Tem wyżej podnosili głowy wasale. Velascos w Starej Kastylii, marszałkowie państwa, mieli więcej dochodów od zubożałego Henryka. Guzmanowie, mający dobra po obu stronach Guadalqui-

*) Wiem o tem dobrze, że Don Fernando Colon w życiorysie swego ojca podaje tylko kilka niedorzecznych zarzutów, czynionych zamiarowi wielkiego człowieka, ale czyż można żądać od syna, aby przechował i poważniejsze zarzuty?

viru, uzbrajali floty na zamorskie wyprawy zdobywcze. Książę Infantado, głowa potężnego domu Mendozów, co się rozrastał nad górnym Tajo, odbywał nieraz przegląd 30.000 wasalów, miał własną straż przyboczną i muzykę. Tym wielkim rodom dostawały się także najwyższe duchowne i świeckie godności. Arcybiskup Toledo, posiadający królewskie dochody, rad był się nazywać pierwszym praelatem w chrześcijaństwie. Jeszcze ważniejszym było pozyskanie wielkomistrzowskiego krzesła w jednym z trzech rycerskich zakonów. Zakon San Jago roskażywał podług Quiriniego 50.000 wasalów, podczas gdy zakony Calatrava i Alcantara tylko 5.000 lanc wystawić mogły.

To co musiało nastąpić, nastąpiło. Część grandów przesłała Henrykowi „ostrzeżenie“, aby powstrzymał nadużycia, a gdy to pozostało bez skutku, sprzysiężeni dnia 5. lipca 1465 ruszyli pod miasto Avila. Tam na rusztowaniu posadzono lalkę z koroną i mieczem, która wyobrażała monarchę. Don Alonso Carillo, arcybiskup Toledo, zerwał mu naprzód koronę z głowy; Don Alvaro z domu Zuniga, hrabia Placencyi odjął mu szpadę; Don Rodrigo Pimentel, hrabia Benavente, berło, a Diego Lopez de Estuniga zepchnął go z tronu, poczem wykonawcy tego dziwaczного wyroku złożyli, jako monarsze, przysięgę wierności wraz z ucałowaniem ręki, jedenastoletniemu bratu Henryka, Don Alonsowi. Trzy lata trwała wojna domowa, a po śmierci Alonsa zakończyła się pokojem, który nie dawał zadośćuczynienia koronie. Złą to było wróżbą dla Izabelli, że ta właśnie buntownicza frakcyja broniła jej praw do korony, podczas gdy rojalistycznie usposobione domy Mendoza, Velasco, Toledo, Osorio i Manrique trzymały się zdala od niej. Położenie jej jeszcze się pogorszyło w skutek małżeństwa z Ferdynandem, następcą tronu aragońskiego, małżeństwa, które tak szybko i tajemnie się odbyło, że narzeczony przekradał się przez Kastylię, a pa-

pieską dyspensę z powodu bliskiego pokrewieństwa potrzeba było podrobić. To małżeństwo skłoniło do odstąpienia od Izabelli najpotężniejszego jej sprzymierzeńca, Don Juana Pacheco, (który margrabstwo Villena łączył z wielkomistrzostwem Santjago), albowiem za wstąpieniem na tron Ferdynanda obawiał się utracić tę część swoich posiadłości, która przemocą była wydartą angielskiej koronie. Można jednak było wówczas zwykle w zamian za utraconego sprzymierzeńca pozyskać jego przeciwnika. Ponieważ wówczas Mendozowie współubiegali się z Pachecami o najwyższy wpływ polityczny, więc za pośrednictwem młodszego Mendozy, Don Pedra (wówczas biskup Siguenzy od 1473 kardynał hiszpański) przyszło do skutku pojednanie pomiędzy książęcą parą a potężnym domem, i od tego czasu nie zaniedbywał Ferdynand niczego, aby tych możnych sprzymierzeńców utrzymać w dobrem dla siebie usposobieniu.

I po śmierci Henryka IV., który umarł pod koniec 1474, położenie Izabelli było nadzwyczaj groźne. Prawa jej, jako pasierbicy królewskiej, do następstwa na tron, polegały tylko na publicznem podejrzeniu, że Juana, córka Henryka IV., jest owocem wiarołomstwa małżeńskiego, gdyż w całym kraju wiedziano o romansach matki i palcami wskazywano na pięknego Don Beltrana de la Cueva, jednego z Albuquerqueów, jako na ojca Juany. Prawo wszystkich oświeconych narodów było po stronie Juany, ale prawo jest bezsilnem w obec niedowierzania narodu.*) Za Juaną oświadczyli się natychmiast Pachecowie, do których przyłączył się chwiejny arcybiskup toledański Don Alonso Carillo, który odwrócił się od Izabelli, jak tylko ta zbliżyła się do jego współzawodnika, kardynała Men-

*) Podobny wypadek przypisał Stuartów o utratę tronu, gdy królowi Jakóbowi II. narodził się syn, niezaprzeczenie prawowity, ale ogłoszony za podstawionego. — Macaulay, History of England.

dozy. Dawniejsza rojalistyczna partya, Valesco, Toledo, Manrique, poszli za przykładem Mendozy, Ponce de Leon w Andaluzyi zachowywali się z początku neutralnie, ale ich przeciwnicy Guzmanowie otwarcie stali po stronie Izabelli. Miasta z zapalęm lgnęły do książęcej pary, nie trzeba jednak myśleć, żeby w połączeniu Kastylii z Aragonią widziały cel patryotyczny, gdyż aż do dnia dzisiejszego zachował Hiszpan swoją prowincjonalną dumę. Nieobliczoną to przyniosło korzyść, że król portugalski połączył się z niezadowolonymi grandami, aby Juanę siłą oręża osadzić na kastylskim tronie. Tym sposobem sprawa Izabelli stała się sprawą narodową, i wielu jeszcze wahających się wasalów do niej się przyłączyło. Gdy wreszcie w wojnie z Portugalczykami zabrakło pieniędzy na zapłacenie woj-ska, kler zezwolił, aby w formie pożyczki zabrano i stopiono wszystkie drogie naczynia kościelne. Ta wojna o następstwo wyczerpała kraj, ale w końcu (1479) Portugalia w pokoju lizbońskim wyrzekła się popierania roszczeń Juany, a buntowniczy grandowie, arcybiskup tole-dański i margrabia Villena musieli prosić o łaskę.

Zwycięstwo, które naprzód zapewniło tron, było potem konsekwentnie wyzyskiwane. Jakkolwiek potężną się jeszcze wydawała arystokracja, siły jej wyczerpywały się w rodowych zatargach. Jak w Nowej Kastylii walczyli z sobą Mendozowie i Pacheco, tak w Andaluzyi na lądzie i na morzu wiedli bój z sobą Guzmanowie i Ponce de Leon, w Kordubie srożyła się walka pomiędzy hrabiami Cabra a domem Aguilar, Estramadurę pustoszył Alonso de Monroy i jego przeciwnik hrabia Caceres, podczas gdy Velascowie w zatargach z hrabiami Trevino, nawiedzali kraj najazdami swymi aż do Fuenterabia. Tym sposobem nie trudno tu było nałożyć na walczących prawa. Szczególną to siłę przydało koronie, że Ferdynand z kolei zamianowany został mistrzem trzech rycerskich zakonów, a i przed-

tem postarano się, że od 1477 mistrzem najbogatszego i najpotężniejszego zakonu Santiago obrany został D. Alonso Cardenas, najstarszy i najwierniejszy stronnik Izabelli. Wkrótce uczuła się korona tak silną w obec arystokracji, że zaczęła rościć pretensye do opieki nad małoletnimi grandami i siłą ją sobie przywłaszczyła. Obecnie żaden dom nie był dość silny, aby bezkarnie mógł znieważać królewską powagę. Wspaniały zamek dziedziczny domu Anguilar, Montilla, został zburzony 1508, ponieważ właściciel jego Don Pedro Marques z Priego uwięził tam był pewnego urzędnika koronnego.

Warownie, należące do grandów, jak Cartagenę, Gibraltar, Cadix, umieli monarchowie dostać w ręce drogą kupna lub zamiany, i chętnie patrząc na to, jak otwarte miasta opasywały się murami, zabraniali panom budować nowe zamki. Bez pardonu postępowano z drobniejszą szlachtą, co się trudniła rozbojem po drogach; w 1480 w samej Galicyi zburzono 46 ich zameczków. Temu oczyszczeniu państwa ze złego nasienia dawniejszych wojen domowych żywo i z własnego popędu pomagały miasta, wznowiając dawne bractwa czyli hermandady (1476); nakładały one na siebie podatek, aby stale utrzymywać 2000 lanc i liczną piechotę ku poskramianiu wszelkiego naruszenia pokoju. Naczelne dowództwo nad temi miejskimi wojskami miał brat Ferdynanda, Don Alonso aragoński, książę Villahermosa. Ponieważ korona mogła w każdej chwili użyć tej siły przeciw niespokojnym wasalom, to łatwo pojąć, że arystokracja opierała się rościąganiu sądownictwa Hermandady na swe posiadłości, jakkolwiek niektórzy grandowie, jak n. p. hrabia Haro, dla dobra ogólnego zmuszali własne miasta, aby te przystąpiły do zbawienego związku. Korona jednak, nie potrzebując więcej tych sił mieszczańskich przeciw zuchwalstwu arystokracji i przeciw zewnętrznym wrogom po zdobyciu Granady, roz-

wiązała wojska Hermandady 1498. To rozbrojenie miast, w których już kielkowała pożądliwość przyszłych comunidades, przyjęte było z zadowoleniem, jak wszystko, co umniejsza podatków średniemu stanowi. Jeżeli arystokracja musiała wyrzec się swoich wysokich, politycznych zamysłów, to Izabella wynagrodziła ją za to towarzyskiem stopniem i wyróżnianiem. Królowa przyciągnęła grandów do swego, etykieta uświęconego otoczenia, i żaden monarcha przedtem, powiada jej urzędowy dziejopis Pulgar, nie powierzał urzędów dworskich tak znamienitym osobom. Nader ciekawy przewrót w obyczajach zwiastował nadchodzenie nowej epoki. Dawniej zabawę arystokracji stanowił tylko turniej lub myśliwstwo, na które wyruszano z czeredą asturyjskich sokolników w bogatych ubiorach wśród dźwięku rogów, trąb, kotłów. Damy towarzyszące myśliwskiemu orszakowi, ustrojone w żywe kolory, uświetniały wieczorem pyszne uczty narodowymi tańcami, w których udział brały, podczas gdy kawalerowie zalecali się do nich podług wszelkich reguł romantyki. Scena, która przedstawiała dotychczas, będąc na usługach klasztornej poezji, obrazy z Pisma św., począwszy od pasterskich poematów Enciny w żywej dyalogowej formie zaczęła pokazywać w zwierciadle swoim uszlachetnione stosunki świeckie, i wkrótce tak silnie się rozbudziło zamiłowanie w dramatycznej poezji, że już 1526 widzimy stałą scenę w Walencji.*) Jeżeli Piotr Męczennik mógł jeszcze 1492 skarżyć się na młodzież szlachecką, że pogardliwie spogląda na naukowe wykształcenie, to przykład Izabelli, która dla dyplomatycznych stosunków kształciła się językowo, bardzo wiele odmienił. Lucio Marineo za Karola V. mógł już wychwalać jednego z Velasców, że młodzieńcem będąc zajął katedrę w Salamance, sławił markiza Velez, jednego

*) Schack, Geschichte des spanischen Drama's. T. I. s. 146. s. 198.

z Fayardów, ulubionego ucznia Piotra Męczennika, uczoność księcia Kadyksu, jednego z Ponce de Leon'ów, usługi wysłane przez hrabiego Tendilla, jednego z Mendozów, jako posła przy kuryi rzymskiej, i przypominał, że 60-letni Sandoval zabrał się był jeszcze do łaciny — *et doctus evasit!*

Zanim jednak pokojowe zatrudnienia złagodziły charakter bitnego narodu, zwrócono siły państwa przeciw ostatniemu arabskiemu państwu w Hiszpanii. Rozumni w rozrządzaniu środkami monarchowie hiszpańscy nie przedsiębrali chętnie kilku rzeczy naraz, myśleli zawsze o dal-szej dopiero po uskutecznieniu bliższej. Dopiero po ukończeniu wojny o następstwo tronu, ruszono na dziedzicz-nego wroga i nie zaprzestano walki z nim, póki ostatnie-go miasta nie zdobyto. Wprawdzie Arabi pierwsi i po-myślnie rozpoczęli nieprzyjacielskie kroki; atoli marques Kadyksu w nocnym napadzie opanował ważne miasto Al-hama pomiędzy Granadą a Malagą 28. czerwca 1482. Nie byłby się on tam nigdy utrzymał, gdyby śmiałkowi nie był pośpieszył z pomocą wróg jego domu, książę Me-dina Sidonia. Odwieczna waśń między dwoma andaluzyj-skimi rodami grandów, Ponce de Leonami i Guzmanami, tym czynem została wyrównana, ciekawy dowód, jak na-rodowy zapał i patryotyczne cele uciszyć mogą niszczącą niezgodę magnatów. Ale i wojna nie była podobną do da-wniejszych, w których liczba lanc i ciężko uzbrojonej ja-zdy rozstrzygała wszystko. Doznano nagłego przejścia z bohaterskiej epoki do trzeźwych stosunków. Podobne egzemplarze, jak rycerz Quinones, który po wszystkich dworach chrześcijaństwa kazał obwieścić, że stać będzie przez cały rok na moście Orvigo i z każdym kawalerem gotów się tam zmierzyć na lance*), zaczęły wychodzić

*) Pulgar, Claros Varones. §. XIV.

z mody i niebawem miał Cervantes wydać na nich wyrok. Nie brakło wprawdzie wyzywań i pojedynków między arabskimi a kastylskimi rycerzami, które potem ludowa pieśń opiewała. Ale dziesięcioletnią tę wojnę to głównie charakteryzuje, że jedna w niej była tylko bitwa w otwartym polu. Zresztą były to same oblężenia, zdobywca oszańcowywał się przed miastem, zniszczywszy pola i ogrody nieprzyjaciela, i niedopuszczał do siejby i żniwa, aż póki głód oblężonych nie otworzył mu bram miasta. To prozaiczne prowadzenie wojny przy cierpliwości prowadziło pewną drogą do celu, jeżeli tylko oblężający obficie był zaopatrzony w zapasy. Już artylerya odgrywa tak ważną rolę, że upadek jakiejś fortecy, osadzonej wysoko na skale zależy od roboty pionierów, którym udało się znaleźć drogę dla dział na sąsiednie wyżyny panujące. Umiano już wówczas dla zabezpieczenia się od ognia dział wałowych robić w zygzak przekopy aż do rowu otaczającego oblężoną fortecę. Ponieważ fortyfikacje miast arabskich nie były zastosowane do nowych machin burzących, nie mogły się więc oprzeć artylerii, jakkolwiek ta, w porównaniu z dzisiejszymi działami, była jeszcze bardzo nieszkodliwym narzędziem.

Zupełną sprzeczność z natchnionem ożywieniem hiszpańskiego narodu stanowi flegmatyczne niedołęstwo Arabów. Spotykają się jeszcze niektóre bohaterskie rysy, jak ostatnie iskry w popielisku, ale współczucie nasze dla Arabów słabnie, gdy się dowiadujemy, że się nieszlachetną bronią posługiwali*) a ich własni książęta i wodzowie, przekupieni ofiarą pewnych ziem, wydawali warowne miejsca. W Granadzie nawet staczali z sobą dwaj królowie

*) Pulgar, part. III, cap. 33. Oviedo (Hist. general lib. VI. cap. 48) opowiada, że Hiszpanie mieli ciągle przy sobie antidotum, ponieważ Arabi zaprawiali swoje strzały trucizną (Helleborus niger lub veratrum album).

krwawe walki uliczne. Wojna z Hiszpanią zaczęła się za Muleya Ben Hassana z dynastyi Beni Nasr. Syn jego Muhammed Abu Abdalah Młodszy (Saghyr), nie pewny następstwa tronu, zbuntował się przeciw własnemu ojcu. Jego to w nieszczęśliwej bitwie nad Xenilem pobili i wzięli do niewoli Don Diego Fernandez de Cordoba i hrabia de Cabra (21. kwietnia 1483). Ale przebiegli monarchowie hiszpańscy szybko uwolnili pojmanego pretendenta, aby niezgoda w kraju arabskim mogła dalej niszcząco działać. Emir i jego matka zostawali odtąd w tajemnem porozumieniu z Hiszpanią, a nawet sam Saghyr, który ich powołał pod Granadę, miasto bowiem podniosło rokosz przeciw księciu, który tron i naród potajemnie sprzedawał. Daremnie stary Abul-Hassan usiłował zakończyć wojnę domową, abdykując na rzecz swego brata Abu Abdallaha, z przydomkiem el Zagal (waleczny). Ten emir, który z początku nie bez powodzenia walczył z Kastyleczykami, umiał tu i owdzie ożywić opór, ale fatalistycznego upadku ducha nie można już było podnieść, wszyscy pewni byli klęski, którą astrologowie obwieścili jeszcze przy narodzeniu Saghyra. Gdy Zagala wezwano do wydania ostatnich warowni, spokojnie on wysłuchiwał tego, nie drgnawszy okiem, a wreszcie po długiem milczeniu powiedział: „Niech się spełni wola Al-laha! Gdyby on nie był postanowił upadku państwa Granady, to ramię i ten miecz zdołałyby je utrzymać.“ Przy takim usposobieniu ducha arabskie panowanie nie było do ocalenia.

Przez ośm wieków prawie walczył naród hiszpański pod wezwaniem Sant Jago z Arabami o każdą piędź oczystej ziemi. Walka podniecała religijne płomie i podczas kiedy w pozostałej Europie oddawna już ochłódła nienawiść ku Islamowi, Hiszpanie bezpośrednio po wzruszeniach swoich domowych wojen krajowych ocknęli się wśród białego dnia szesnastego stulecia. Ażeby świeżo zdobytą zie-

mię oczyścić (limpiar), jak się wyrażano, wypędzano z kraju Żydów i Arabów. Tak rozumna monarchini, jak Izabella, przewidywała złe następstwa takiego wyludnienia państwa, sądziła jednak, iż musi tę ofiarę złożyć swemu Bogu. Ten ruch religijny budzi podziwienie, jakkolwiek dzisiaj, przy łagodniejszym sposobie myślenia, oburza nas srogość tego postępowania. To parcie sumienia było także przyczyną wprowadzenia hiszpańskiej inkwizycyi, którą wielki kardynał Mendoza daremnie starał się odwrócić, którą papież Sykstus IV. chętnieby był złagodził, a której papież Leon X. stanowczo był niechętny. Srożąc się najbardziej za inkwizytorstwa Torquemady i Dezy, potomków żydowskich rodzin, utraciła pierwotną srogość swoją za Wielkiego Inkwizytora Ximeneza, który uchodził za tajemnego przeciwnika tej instytucyi, aż nareszcie za Karola V. przerebiono ją na polityczne narzędzie, a potem prześladowaniem księcia Alby wręcz sprzeniewierzyła się swemu pierwotnemu zadaniu. Wymierzoną bowiem była z początku tylko przeciw nowym chrześcianom, czyli potomkom ochrzczonych Żydów. Ze zgrozą szeptano sobie, że wielu z tych nowych chrześcian tylko pozornie należy do kościoła, potajemnie zaś nie przestaje odprawiać mojżeszowego kultu (judayzar), tak że z powodu takiego nadużywania sakramentów gniew Wszechwiedzącego może w popiół obrócić Hiszpanię, jak ongi bezbożne miasta biblijne. Zbrodnia zaś była tak tajemną, że tylko najostrzejsze narzędzie mogło jej dosięgnąć. Oddawna kościół pędził zaciętych heretyków na stosy. Tortura była środkiem śledczym, jeszcze w przeszłym wieku używanym w karnej procedurze. Że przez autos da fe chciano wywrzeć dramatyczne wrażenie, dać niejako obraz ostatecznego sądu, błąd ten da się jeszcze wybaczyć religijnie nastrojonemu narodowi. We wszystkich tych rzeczach nie ma nic nowego i nie w tem polega straszliwość hiszpańskiej Inkwizycji.

zycy, jeszcze mniej w liczbie jej ofiar. Największą zgrozę obudza procedura inkwizycyjna, o ile się różni od pospolitego prawa. Oskarżyciel pozostaje utajonym dla świadków i obwinionego, który w pełnej udręceń celi nie może się dowiedzieć, ani o podejrzeniu, jakie ściągnął na siebie, ani o zeznaniach świadków, które go usprawiedliwiają, obrońcę zaś dla siebie może obrać tylko z pomiędzy sług świętego urzędu,*) tak jak gdyby lepiej było ukarać dzie więciu niewinnych, aby tylko dziesiąty winny nie umknął. Mniej się należało lękać złośliwych doniesień, za które przy spowiedzi nie dawano rozgrzeszenia, jak błędnych oskarżeń, które pochodziły od zaniepokojonych duchów. Zdarzało się, że się kochankowie wydawali w ręce Ink wizycy, gdyż przy dającym się rozszerzać pojęciu o zdrożności sama zmiana bielizny w sobotę mogła być dostateczną do oddania kogoś Ink wizycy. To tylko jest rzeczą pocieszającą, ale zarazem okropną, że lud nadzwyczaj lubił Ink wizycę, że tylko w szlachcie aragońskiej, a bardzo późno w miastach kastylskich budził się przeciw niej opór. Z nienawiścią do krwi na wpół obcej łączyła się zazdrość bogactw, które ochrzczeni żydzi zgromadzili tak sztuką lichwiarską, jak siłą swej oświaty, pilności i zręczności. Dla ochrzczonych żydów dostępne były wysokie stanowiska w państwie i kościele, urzęda podskarbach i biskupów, a w Aragonii najstarsze i najznakomitsze rody zmieszane były z krwią hebrajską. Jest przecież rzeczą pewną, że korona tak wypędzając Żydów i Arabów, jak wprowadzając Ink wizycę, nie powodowała się niskimi, fiskalnymi motywami; najprawdopodobniej Izabella w gorliwości swojej religijnej przerachowała się: nie chodziło jej o wypędzenie, ale oto, aby samem zagrożeniem zmusić do szybkiego i powszechnego nawrócenia się.

*) Llorente, Histoire de l'Inquisition, tom. I. p. 293—314.

Portret Izabelli, który posiadamy, usprawiedliwia wysokie pochwały, z jakimi współcześni mówią o jej piękności. Szczególnie pociąga nas ku niej jej wzrok wolny od wszelkiego wewnętrznego niepokoju i niewieścia podniosłość jej życia. Czystość jej była tak drażliwą, że przy ostatniem pomazaniu nie chciała być dotykana przez rękę kapłana. Podczas wojen z Granadą, jak zapewnia natchniony Anghiera, platoniczny porządek panował w obozie, i kości nie były nigdzie cierpiane. Wpływ moralny królowej był tak potężny, że nawet lekkomyślni w jej obecności chcieli się wydawać cnotliwymi. Żadnego jęku nie zdołały z niej wydrzeć bole rodzenia, żadnego zmęczenia nie znała w stanowczych chwilach. Dniem i nocą jechała konno w czas niepogodny do Ucles, ażeby w czas przybyć na zjazd rycerzy zakonu Santiago i zapewnić swemu mężowi dochody wielkiego mistrzostwa. Wzgardziła jednak 40.000 dukatów, które jej pewien galicyjski szlachcic ofiarował jako okup za morderstwo, pomimo, iż suma ta wynosiła więcej, jak jej pierwotny dochód koronny. Słusznie nazywano jej rządy złotym wiekiem sprawiedliwości, kiedy monarchowie jeżdżąc z miasta do miasta publicznie za stołem sędziów rozstrzygali spory. Wielka postać małżonki pod wielu względami przyćmiewała stojącego przy niej Ferdynanda. Izabella działała zawsze pod wpływem wielkich pobudek, była zawsze wierną sobie, nawet gdy grzeszyła okrucieństwem. Ferdynand działał z wyrachowania. Jeżeli znał lepiej niebezpieczeństwa, to za to brakło mu zapału do walki z niebezpieczeństwem. Używał on rzeczy dozwolonych i niedozwolonych i dlatego był nieczuły na obyczajową czystość swego otoczenia. Jego wiek zrodził nowożytną dyplomacyę, a on sam uchodził za pierwszego mistrza w sztuce dyplomatycznej. Machiavelli w swoim dziele „O księciu“ poświęca Ferdynandowi rozdział pod tytułem: jak monarcha powinien rządzić, aby

uzyskać powagę.*) Kanclerze, mawiał Ferdynand, są okularami królów, ale biada temu, który bez okularów nie może widzieć. Oszczędność jego była niezwykłą w wieku i tak dość obcym zbytkowi. „Pozostań przy stole, Almirante,“ zwykł był mówić do swego stryja, „będziemy dziś mieli olę.“ Jeżeli Izabella chwaliła się, że sama szyła wszystko ubranie dla męża, to pracy nie musiała mieć wiele, gdyż Ferdynand zawołał pewnego razu: „Co za trwały kaftan! po raz trzeci kazałem dorobić do niego nowe rękawy!“ Ta niepozorna cnota miała ogromną wagę polityczną, Henryk IV. bowiem bezmyślnymi darowiznami strwonił był trzy czwarte części swoich dochodów. Kortezy w Toledo (1480) unieważniły te darowizny z publicznego skarbu, a w skutek pozyskania dochodów zakonnych, trojskliwej administracyi, nałożenia nowych podatków, a narreszcie zdobyczy wojennych, dochód koronny 1482 z pierwiastkowych 12 milionów mógł się dźwignąć na 151 a 1504 aż na 341 milionów maravedi.

Byłoby to więc rzeczą przypadkową, że sprawcy tak wielkich przeobrażeń użyli swego ramienia wielkiemu zamiarowi Kolumba? W istocie przypadek sprowadził go do nich, gdyż nie rodzinnej to Genui, ale dworowi francuskiemu zamierzał naprzód przedłożyć swój projekt. Jednakże przedtem w przejeździe przez Andaluzję zbliżył się do księcia Medina Sidonia, który był w możności wyprawienia Kolumba na odkrycia, ale wówczas całkowicie zajęty był maurytańską wojną. Ale inny andaluzyjski magnat, Don Luis de la Cerda, książę Medinaceli, prawie przez dwa lata karmił obietnicami Kolumba i kazał już był w porcie Santa Maria przyrzadzić dla niego trzy karawele. Czuł on jednak i słusznie, że tylko wielkie państwo może się podjąć skutecznie tak trudnego przedsięwzięcia

*) Del principe cap. XXI.

i posłał żeglarza do królowej Izabelli. Już 20. stycznia 1486 wstąpił Kolumb (Colon) na służbę i żołąd kastylskiej korony, która projekt jego oddała uczonym uwiwersytetu Salamanki do zbadania. Posiedzenia odbywały się u Dominikanów w S. Esteban, którzy Kolumba ugaszczali i chwalili się, że hołdują jego hipotezie. Najbardziej odradzał przedsięwzięcia ówczesny przeor z Prado, szlachetny Talavera, arcybiskup Granady, który tak śmiało prześla-dował Inkwizycją, gdy tymczasem wychowawca następcy tronu, Dominikanin Diego de Deza, później arcybiskup Sewilli i Wielki Inkwizytor, brał Kolumba w swoją potężną opiekę. Jakkolwiek brzmiał wyrok wydany przez matematyczną juntę, nie odrzucono projektu Kolumba i za-trzymano go w służbie. W każdym razie musiał się przed-tem rozstrzygnąć los wojny maurytańskiej, a to żeby in-dyjska wyprawa nie sprowadziła zatargów z Portugalią, w czasach, gdy wszystkie siły państwa wyteżone były przeciw Arabom.

Przy końcu 1487 znajdujemy Kolumba w Cordowie, gdzie go zatrzymywał, w każdym razie aż do urodzin nieprawego syna Ferdynanda, czyli stosunek z Dona Bea-trix Enriquez d'Arana. Wprawdzie nie dochował się do nas ani jeden wiarogodny portret wielkiego człowieka, wiemy jednak z opowiadania współczesnych, że był wysokiego wzrostu i silnej budowy. *) Podłużną twarz jego, z orlim nosem i jasnymi, błękitnymi, pełnymi życia oczyma, szpe-ciły piegi, stała czerwoność i zbyt wielkie usta, a w sku-tek siwizny, która już w trzydziestym roku okryła jego jasno-rude włosy, wydawał się nad swój wiek starszym. Jak-kolwiek wesołym i rozmownym był w kole rodzinnem, to

*) Najstarszy opis pochodzi od weneckiego dyplomaty Angelo Trivigia-no, który w swoich *Paesi novamente ritrovate* (Vicenza 1570) zgromadził opo-wiadania z podróży. W niemieckiem tłumaczeniu tego dzieła (w Norymberdze 1508) jest mowa o Kolumbie, że „był to człowiek długi i prosty, miał wielki rozum i długą twarz.“

oschłym i mało ujmującym wydawał się w obejściu z innymi. Ściśle przestrzegał kościelnych praktyk, a pobożność jego dochodziła potem aż do fanatyzmu.

Znużony długiem czekaniem na koniec wojny arabskiej, zniechęcony sprzecznemi zdaniem, z którymi się spotykał na dworze, postanowił 1492 opuścić Kastylię i udać się na dwór francuski. W podróży do Huelba wstąpił do ożywionej przystani Palos. Tam, trzymając syna Diega za rękę, puka do furty klasztoru Franciszkanów La Rabida i prosi furtyana o chleb i trochę wody dla zmęczonego drogą chłopaka. Cudzoziemska wymowa Kolumba obudza przypadkowo ciekawość w braciszku Juanie Perezie de Marchena. Wypytuje się o przygody wędrowca i Colon z rozmownością przygniecionych umysłów opowiada mu swoje zawody. Mnich z coraz większem zajęciem słucha, i zatrzymuje rzadkiego gościa, aż póki nie sprowadzono z miasta lekarza, Don Garcia Hernandez, który biegły w ziemioznawstwie i astronomii, mógł się lepiej porozumieć z pociągającym cudzoziemcem. W istocie trzech ci ludzie porozumieli się i brat Juan, który miał tytuł spowiednika królowej, napisał gorący list do Izabelli, doręczony jej przez Sebastiana Rodriguez, pewnego sternika z Lepe.

We dwa tygodnie potem ten sam człowiek przywiózł list królowej z podziękowaniem za usługi Pereza i z przesyłką pieniężną dla Kolumba, aby mógł przyzwolicie ukazać się na dworze królewskim w obozie Santa Fè pod Granadą, gdzie przybywszy pod koniec 1491 trafił na kapitulacyą ostatniego miasta arabskiego. Nowe trudności wywołało żądanie Kolumba niezwykłej nagrody dla siebie i swoich potomków: wyniesienia do stanu szlacheckiego z tytułem Don; godności atlantyckiego admirała, któryby używał wszelkich przywilejów, jakie przysługują almirantom Kastylii, którzy w dostojęństwie ustępują pierwszeństwa tylko hetmanom koronnym (Condestables);

władzy i tytułu wicekróla odkrytych krajów z prawem przedstawiania trzech kandydatów na wszystkie urzędy, dziesiątej części dochodów koronnych z ziem odkrytych, i wreszcie do wyboru ósma część handlowych monopolów, gdyby się jakie okazały. Wprawdzie korona portugalska dawała w lenno odkrywcom lub kolonistom małe niezaludnione wyspy, ale tu szczęśliwy marynarz żądał w nagrodę dziedzicznej namiestniczej władzy na wyspie Zipangu (Japonia) i w wielkiem państwie mongolskich chanów, na zdobycie którego potrzeba było wszystkich sił mocarstwa. W porównaniu z lichem wynagrodzeniem afrykańskich odkrywców, takiego Nuno Tristao, Diogo Cao, Bartholomeu Dias, Vasco de Gama, Genuieńczyk żądał niesłychanych rzeczy. Ale ponieważ on, jak ów żyd, gotów był raczej swoje perłę rzucić z Rialto w morze, niżeli oddać za nieodpowiednią cenę, królowa zaś wyraziła obawę, aby korona zawierając taki układ nie naraziła się na sztydereczną krytykę w razie nieudania się wyprawy, to Kolumb znowu chwycił kij wędrowny i opuścił Santa Fè, postanowisz udać się do Francyi, a ztamtąd w najgorszym razie do Anglii, gdyż od obu dworów otrzymał obiecujące zaproszenia.

Tymczasem jednak liczba jego protektorów i stronników zwiększyła się. Potężny kanclerz państwa, kardynał Mendoza, sprzyjał mu; Fonseca, potem jako biskup zacięty wróg jego, Juan Cabrero, Aragończyk i szambelan Ferdynanda i lojalny wielki komtur Cardenas przemawiali za nim. Ale największą usługę wyświadczył mu Luis de Sant Angel, podskarbi Aragonii. Wymownie powtarzał on królowej raz jeszcze to wszystko, co mogło zachęcić do przedsięwzięcia, i dodał — zdaje się, jakby głos późniejszego stulecia odzywał się w ostatnich godzinach średniowiecznych — te pełne znaczenia słowa: nawet w razie niepowodzenia przekonanie się o niedosięgalności Indyi war-

te już jest zachodów. Królowa, zdecydowawszy się teraz, chciała w szlachetnem poruszeniu zastawić swoje klejnoty, gdyż skarb koronny był zupełnie pusty, ale minister Sant Angel użyczył sum z własnego majątku, koszta bowiem utrzymania trzech okrętów przez rok nie przносиły dwóch milionów marawedi (5300 dukatów). Posłaniec dopędził Kolumba o dwie mile za Santa Fè w Puente de Pinos, układ z koroną podpisany został 17. kwietnia, patent wygotowano zupełnie podług życzeń odkrywcy 30. kwietnia, i już 23. maja znajdował się Kolumb w Palos. Na tym porcie ciążył, jako kara za dawniejsze wykroczenia, obowiązek uzbrojenia na potrzeby korony dwóch karawel w ciągu dziesięciu dni. W Palos także werbował Kolumb swoich majtków i sterników. Jeżeli jeszcze na początku piętnastego stulecia Kastyleczycy byli bojaźliwymi żeglarzami i nawet na morzu Śródziemnem nie śmieli oddalać się od brzegów, to później jednak nie pozostawali w tyle za Portugalczykami. Okręta andaluzyjskie z Kadyksu i Sewilli jeździły do Senegambii, do posiadania której Kastylia rościła niegdyś pretensye. W czasie wojny z Portugalią o kastylskie następstwo tronu jeździły hiszpańskie okręta do Złotego wybrzeża (la Mina), i wiele z nich wróciło z bogatym ładunkiem, inne zaś zabrane zostały przez Portugalczyków. Jakkolwiek jednak za przykładem tego narodu przyzwyczaili się Hiszpanie do długich podróży morskich, to przecież Kolumbowi trudnoby było znaleźć dla siebie towarzyszy do tej niezwyklej wyprawy, gdyby się do niej żywo nie przyłączyła najbogatsza rodzina w Palos, która w cechu żeglarskim wielkiego używała znaczenia, mianowicie trzech bracia Pinzon: Martin Alonso, Vicente Janez i Francisco Martin. Najstarszy z nich, Martin Alonso, tem goręcej pochwycił tę myśl Kolumba, że gdy na rok przedtem był w Rzymie, to mu pewien biegły kosmograf i bibliotekarz papieski darował

mapę, na której stało napisano, że płynąc przez Atlantyk w odległości 95° od Hiszpanii na zachód i w umiarkowanej jeszcze strefie natrafić można na bogatą w złoto wyspę Zipangu (Japonia). *) Dzięki takiemu przygotowaniu umysłów i ufności, jaką posiadali Pinzoni, łatwo było Kolumbowi wyekwipować pod San Lucar swoją eskadrę.

*) Fiskalny proces. Preg 11. i 12. (Navarr. III, p. 559, 560). Rzeczą polega głównie na zeznaniach Arias Pereza, nieprawego syna Martina Alonso, trudno jednak przypuścić, by była wymyślona, a bynajmniej nie jest nieprawdopodobną, gdyż zadanie odkrycia drogi morskiej do wschodniej Azji wiele głów wówczas zajmowało.

KSIEGA DRUGA.

ODSŁONIĘCIE ATLANTYCKICH WYBRZEŻY
NOWEGO ŚWIATA.

KSIĘGA DRUGA

OPISY I WYKRESY
Z DZIAŁU I

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

PRZEPRAWA PRZEZ ATLANTYK.

Długość drogi. Morze trawiaste. Zboczenia igły magnesowej. Usposobienie załogi okrętowej. Falszywe odkrycia lądu. Zmiana drogi. Wskazówki bliskości lądu. Okrzyk: „ziemia!”

Dnia 3. sierpnia 1492 90 ludzi na trzech okrętach wypłynęło z Palos. Colon dowodził na pokładzie Santa Maria, Martin Alonzo Pinzon na okręcie Pinta, a brat jego Vicente Janez, najmniejszym statkiem, Niną. Cztery tygodnie zabawiono u wysp Kanaryjskich, gdzie Kolumb łudził się nadzieją, iż niewygodną Pintę, która miała ster uszkodzony, zamieni na jakiś inny, mocniejszy statek. Z wielkiem za to powodzeniem zmienił Kolumb żagle, dając im krój łaćński. Wreszcie na początku września eskadra, dostatecznie zaopatrzona w zapasy, stała przed Gomerą, i tu dowódcy innych okrętów otrzymali instrukcyę, ażeby, gdy się znajdą o 700 leguas w kierunku zachodnim, zatrzymywali się na czas od północy do świtu, z powodu, iż mogliby wśród ciemności najechać na ląd, którego się bliżej w żadnym razie nie spodziewano. Okręt admirałski miał w nocy latarnię na maszcie, i podług tego sygnału miały się inne statki kierować.

Nie mówiąc o wyższych północnych szerokościach zbliża się ląd nowy do starego na mniej, jak 450 mil geograficznych w dwóch punktach; pomiędzy Irlandyą a Labradorem, i pomiędzy Senegambią (C. Roxo) a Południową Ameryką

(C. S. Roque). Pomiedzy dwoma tymi punktami rozszerza się dolina Atlantyku i na szerokości wysp Kanaryjskich staje się dwa razy prawie tak szeroką. Właśnie tę przestrzeń obrał Kolumb do przejazdu, tak że skróciłby on sobie drogę więcej jak o dwie piąte, gdyby znał był wysunięcie się nowego lądu ku Afryce w pobliżu równika. Kolumb trzymał się ciągle zachodniego kierunku i ciągle szerokości wysp Kanaryjskich, tak bowiem płynąc musiał natrafić na wyspy Antiglia i Zipangu, jeżeli istniały one nie tylko na starych mapach, ale i w rzeczywistości. Okoliczność, której Kolumb nie mógł wciągnąć do swoich obliczeń, nadzwyczajnie ułatwiała przeprawę, trzymając się bowiem ciągle szerokości wysp Kanaryjskich Kolumb korzystał z najpomyślniejszego wiatru, i raz tylko wyszedł ze strefy północno-wschodniego passatu, przesuwającej się wraz z porami roku stosownie do stanowiska słońca.

Dnia 6. września opuściła eskadra Gomerę, ale dopiero 9. zerwał się wiatr rażny, znikły ostatnie punkta nadbrzeżne i przez 34 dni nie miano widzieć nic prócz nieba i ziemi. Od tego wieczora Kolumb umyślnie skracał dla załogi długość odbytej drogi, ażeby, jak sam zeznaje w książce okrętowej, wielkość oddalenia nie wywoływała przykrego uczucia. To usprawiedliwione oszustwo dawało się tem łatwiej wykonać, że wówczas nie znano logów, a oceniano szybkość tylko podług siły wiatru i ilości żagli, przyczem wiele zależało od temperamentu spostrzegacza i znajomości statku. Jednakże doświadczeni sternicy takiej nabierali wprawy, że rozmaite obliczenia nie tylko się od siebie nie wiele różniły, ale nawet i od prawdy. Dnia 16. września niebo pokryło się deszczowemi chmurami. „Odtąd, powiada okrętowa księga Kolumba, mieliśmy łagodną pogodę, ranki były orzeźwiającej, jak w andaluzyjskim kwietniu, tak, że brakło nam tylko śpiewu

słowików. *) Północną połowę atlantyckiego oceanu poruszają, jak wiadomo, prądy, które dążąc od zatoki gwinejskiej do południowej Ameryki, pomiędzy Antylami wpadają do odnogi Karaibskiej, a ztamtąd do meksykańskiego golfu, z kądem się cieśniną Florydy z wielką szybkością wydostają i jako golfstrom rozszerzają ku wschodowi. Na południe odchylające się ramię golfstromu płynie wzdłuż brzegów Afryki i łączy się z prądem równikowym, tak że tworzy się tym sposobem zupełnie zamknięte koło prądu morskiego, zjawisko, które podług nowszych odkryć ma miejsce i na północnej części oceanu Cichego. W środku tego koła prądowego leży cicha powierzchnia wody, pokryta wiecznie zielonymi wodorostami, zamieszkany przez niezliczone mnóstwo zwierząt morskich. Na te łąki atlantyckie, znane starożytnym, a także i Portugalczykom od czasu osiedlenia się ich na Azorach i odkrycia wysp capwerdyjskich, wpłynęła eskadra Kolumba 16. września, a widok ich obudził zwodniczą nadzieję bliskich wysp, od których się te łąki roślinne mogły być oderwać.

Daleko mniej przygotowani byli wędrowcy na inne zjawisko. „Sternicy, powiada książka okrętowa pod dniem 17. września, znaleźli dzisiaj, że igły magnesowe obróciły się ku północo-zachodowi o całą ćwierć jednej działki kompasowej“. Colon spostrzegł już był tę okoliczność jeszcze 13. września, ale zamilczał o niej. „Na majtków zrobiło to przykre wrażenie, sami nie wiedzieli dla czego. Wówczas kazał Colon, ażeby rano powtórzone oznaczenie linii północnej. Gdy to zrobiono, igły znów się znalazły w należytym kierunku. Okazało się zatem, że nie igły, ale

*) A. v. Humboldt (Essai crit. III. p. 66.) pierwszy kazał nam podziwiać bystrość daru spostrzegawczego Kolumba, który zaraz w pierwszej podróży odkrył wielkie zmiany klimatyczne na oceanie. Jeszcze wybitniej to spostrzeżenie wyrażone w depeszy do hiszpańskich monarchów o trzeciej podróży. Navarr. I., 254.

gwiazda polarna w skutek swego obrotu odchyliła się.“ Europejczykom po raz pierwszy zdarzało się widzieć uchylenie się igły magnesowej, i Kolumb oszukiwał i sam siebie i swoją załogę pod względem istoty zjawiska.

Złowienie raka w pęku wodorostów, którego obecność obiecywała bliską ziemię, tak przywróciło ducha w załodze, że trzy statki, żadne odkrycia, szły na wyścigi z sobą. Dnia 18. września Martin Alonso wysunął się naprzód z Pintą, ponieważ zdawało mu się, że ląd widzi. Mglista ława na północy, która się następnego dnia w drobny opad zamieniła, utwierdziła Kolumba w mniemaniu, że po obu stronach jego na północy i południu znajdują się wyspy. „Jednakże, pisze on w swoim dzienniku, nie chciał Kolumb krążeniem w różne strony zatrzymywać się, pragnął bowiem dążyć ciągle naprzód do Indyi, szczególnie przy tak pomyślnej pogodzie.“ Sternicy porównali teraz swoje obliczenia odbytej drogi; na Ninie odległość od wysp Kanaryjskich podawano na 440, na Pincie na 420, na okręcie głównego dowódcy Kolumba na 400 mil hiszpańskich. Potajemny rachunek Kolumba wynosił już 452 leguas, więc podług mapy Toscanellego powinien się być Kolumb znajdować już bardzo blisko mitycznej wyspy Antiglia. Odkrywcy mocno byli przekonani, że koło wysp przepływali, tem mocniej, że roje ptaków wciąż krążyły dokoła eskadry. Ptastwo to, tak sądził Kolumb i jego towarzysze, nie mogło się zbyt daleko od lądu zapędzać, gdyż na sen nocny musiało powracać na brzegi. *)

Dnia 22. września wiatr zaczął wiać z południowozachodu, lawirowano więc na zachodni północo-zachód.

*) Jak błędem było to mniemanie, dowodzi tego następujący ustęp z Jerzego Forstera (Gesammelte Schriften Bd. 2. str. 370). „Prawie przez całą podróż codziennie krążyły ptaki morskie dokoła okrętu, a co najdziwniejsza, zdarzały się najczęściej na połowie drogi pomiędzy Ameryką a Nową Zelandią, pomimo iż odległość dzieląca te dwa kraje wynosi 725 mil niemieckich.“

„Takiego przeciwnego wiatru, pisze Kolumb w swoim dzienniku, bardzo mi dotąd brakowało, gdyż załoga moja niepokoiła się na myśl, że na tych morzach nie wieją wiatry ku powrotowi do Hiszpanii. Dnia 23. września na widok gładkiego, spokojnego morza, załoga nie widząc fal wysokich, zaczęła bojaźliwie szeptać, że nigdy nie będzie wiatru ku powrotowi do Hiszpanii. Wkrótce potem, gdy morze się wzburzyło, choć wiatr nie wiał, znowu się przelekli.*) Dnia 25. września przybył starszy Pinzon na pokład Capitany (statku głównego dowódcy), aby zwrócić mapę Toscanellogo, którą sobie był trzy dni przedtem uprosił. Martin Alonso i Kolumb zgodzili się na to, że musiano przepływać w pobliżu Antylów, może dla tego, jak dodawał Kolumb, że prądy morskie południowo-zachodnie wyrzuciły okręta z oznaczonej linii ich drogi. Ku wieczorowi, wkrótce po powrocie Martina Alonsa na pokład Pinty, ten ostatni przesłał Kolumbowi wesolą wiadomość: Ziemię widać! i kazał zaśpiewać *Gloria in excelsis*. Załoga Capitany połączyła się z chórem, a i na Ninie wszyscy powyłazili na maszty i liny okrętowe. Kolumb wraz z innymi widział ląd w południowo-zachodniej stronie na odległości 25 mil hiszpańskich. Przez całą noc trzymano się tego kierunku, ale ze świtem przekonano się, że to obłoki złudziły.

Dnia 1. października sternik Capitany oceniał przebytą odległość od Gomery na 578 leguas. Kolumba ra-

*) Ta i jeszcze jedna późniejsza uwaga są jedynymi ustępami w okrętowej księdze, gdzie Kolumb uskarża się na małoduszność załogi. Don Fernando Colon, piszący w czasach, kiedy chodziło o przypomnienie na wpół zapomnianych, na wpół przyćmionych zasług swego ojca, ubrał historię przepawy opowiadaniem o mniemanym spisku załogi. Kilku buntowników chciało rzucić Kolumba w morze, i potem zeznać, że to on sam przypadkiem przy astronomicznych badaniach wpadł w morze. W żadnym z pism, które odkrywca zostawił, a w których nie pomijał żadnej sposobności, aby górnymi słowami mówić o swoich prawdziwych i urojonych zasługach, nie ma najmniejszej wzmianki o owych mniemanych niebezpieczeństwach.

chunek, przeznaczony dla załogi, wynosił 584 leguas, rzeczywisty zaś, potajemny 707 leguas. Dnia 3. października, kiedy eskadra znów o 60—70 leguas dalej na zachód się posunęła, robi on uwagę w dzienniku: „że jest mocno przekonany, iż wyspy atlantyckie, na jego karcie oznaczone, muszą już leżeć po za nim. Ale ani przeszłej niedzieli, ani w ostatnich dniach, kiedy znaki bliskości ziemi były tak widoczne, nie chciał tracić czasu na poboczne wycieczki, celem jego bowiem zawsze są Indye, ztąd też wszelka zwłoka byłaby nierozumną.“

Następnego dnia (4. października) spostrzeżono naprzód stado czterdziestu petrel i mnóstwo innych ptaków, które się nie mniej licznie i nazajutrz ukazały. D. 6. października wieczorem, kiedy już podług tajemnego rachunku Kolumba eskadra odbyła drogi 970 leguas, zjawił się na pokładzie Capitany Martin Alonso i zażądał zmiany biegu okrętów ku południo-zachodowi, przypuszczał bowiem, iż w tym kierunku leży wyspa Zipangu, ale Kolumb upierał się, aby sterować na Zachód, gdyż przedewszystkiem chodziło mu o odkrycie lądu, wyspy zaś później można było odszukać.

Dnia 7. października o wschodzie słońca Nina, jako okręt lżejszy, wypłynęła naprzód, niecierpliwie szukając lądu, monarchowie bowiem hiszpańscy przeznaczili dożywotnią roczną pensję 10.000 marawedis (26½ dukatów) temu, kto pierwszy ujrzy ziemię. Dano strzał z Niny i wywieszono umówioną na wypadek odkrycia flagę. Gdy się wieczorem podług przepisu Kolumba okręta zbliżyły do siebie, ażeby przez noc pozostawać przy sobie, musiała do powtórnego przyznać się złudzenia. Ażeby nadal zapobiedz temu, kazał Kolumb obwieścić, że na przyszłość każdy, kto fałszywie zawoła: ziemia! utraci prawo do przyszłej nagrody. Ponieważ dnia tego widziano stada ptaków, przelatujące koło okrętu w kierunku południowo-

zachodnim, a Kolumb, jak powiada o sobie w księdze okrętowej, dobrze wiedział, że Portugalczycy większą część wysp swoich odkryli, dążąc w kierunku ciągnących ptaków, postanowił więc sterować na zachodni południo-zachód, stanowczo jednak zdecydowany przez dwa dni tylko trzymać się tego kierunku.

Do 19. września pozostawała eskadra na wysokości wysp Kanaryjskich, potem obróciła się ku północo-wschodowi i do 30. września tyle na szerokości utraciła, że odkrywcy w wigilię ważnego dnia 7. października znajdowali się między 26. a 27. stopniem północnej szerokości. Gdyby Kolumb pozostał wierny swemu zachodniemu kierunkowi, to prawdopodobnie o jeden dzień później ujrzałby był świat nowy, i pierwszą ziemią ujrzaną byłaby jakaś północna wyspa w grupie Bahama. *)

Jeżeli dotychczas stanowczo trzymał się zachodniego kierunku i nie chciał zbaczać i poszukiwać wysp imaginyjnej kosmografii, aby nie narażać ufności załogi w powagę swego planu, to i teraz daremnieby czas strwonił i załogę zaniepokoił, gdyby się ziemia pod niższą szerokością nie okazała, w przeciwnym zaś razie zasługa odkrycia wyłącznie byłaby przypisaną starszemu Pinzonowi. „Senor, powiedział Martin Alonso do Kolumba, jestem przekonany, że jeśli się obrócimy ku południo-zachodowi, prędzej dopłyniemy lądu.“ Miał on nawet widzieć tego dnia lecące papugi i zawołał: „Naprzód, do lądu! te ptaki nie przypadkiem przelatują tędy!“ Cóż więc dziwnego, że

*) Dowcipna hipoteza, że bez owej zmiany kierunku drogi odkrywcy przybyliby do Florydy, i że hiszpańskie posiadłości rozłożyłyby się nie w zwrotnikowej Ameryce, ale na terytorium Stanów Zjednoczonych, nie da się historycznie uzasadnić. Pierwszy punkt zetknięcia się z Nowym światem pozostał bez wpływu na wybór miejsc dla kolonizacji. Niegościnne wybrzeża północnej Ameryki nie przedstawiały nie zachęcającego dla hiszpańskich kolonistów, którzy się tylko tam osiedlali i na tak długo, gdzie były i jak długo były szlachetne kruszce do wydobywania. Obaczmy też wkrótce, że Kolumb po zdobyciu Kuby umyślnie obrał drogę na południe.

po powrocie mówiono, iż bez głębokiej wiedzy starszego Pinzona odkrycie byłoby się nie powiodło?

Przez ósmy października trzymano się nowego kierunku, a dziewiątego lawirowano na zachód-północ-zachód i południo-zachód. Temperatura, podług słów Kolumba, była tak łagodną, jak podczas wiosny na wybrzeżach Gwadalquiviru, podczas gdy nieustannie przelatywały obiecujące roje ptaków. Dnia 10. przy silnym wietrze znów sterowano na zachód-południe-zachód. „Dzisiaj, powiada księga okrętowa, skarżyli się majtkowie na nieznośną długość podróży. Ale Kolumb zachęcał ich, jak umiał, widokami na wielkie zyski, jakie ich czekają. Skargi ich były tem płonniejsze, że Indye są tak blisko, i on z pomocą Pana zamysła dalej podróż swą odbywać, dopóki do Indyi nie dojedzie.“

Następnego dnia, 11. października, było już rzeczą widoczną, że ziemia jest nie daleko. Na Pincie, która naprzód wybiegła, wyciągnięto z wody trzcinę, jakiś pał, deszczulkę, kij z wyrzynaniami i świeżo z lądu wyrwane rośliny. Na pokładzie Niny pokazywano jakąś łodygę z jagodami, tak że na wszystkich statkach wielka zapanowała ochota. Po zachodzie słońca Kolumb znowu zmienił kierunek ku zachodowi. „Była godzina dziesiąta w nocy, zapisuje w swojej księdze okrętowej, kiedym z tylnego kasztelu ujrzał światło. Migąło jednak tak niewyraźnie, żem nie dowierzał, aby to ląd mógł być. Przywołałem jednak łóżniczego królewskiego, Pero Guttierrez'a, i powiedziałem mu, że widziałem światło, pytając go, czy także widzi? On popatrzył i dostrzegł. Udzieliłem tej wiadomości płatniczemu Rodrigo Sanchez z Segowii, ale ten nic nie dostrzegł, znajdował się bowiem w miejscu, gdzie światło było niewidzialne. Po pierwszym mojem widzeniu jeszcze się raz czy parę razy pokazywało i podobne było do nie-

spokojnej świecy.“ *) Kolumb po zwyczajnym spiewie wieczornym „Salve“ zachęcał załogę, aby czujnie wypatrywała lądu, i oprócz monarszego podarku przyrzekł jeszcze na własny koszt dać jedwabny kaftan pierwszemu, który ujrzy ziemię. Na Pincie panowało jeszcze większe wyczekiwanie. Sternik kapitańskiego statku Peralonso Nino doradzał: „Senor, nie żeglujmy tej nocy, gdyż podług waszej książki okrętowej jesteśmy zaledwie 16, najwięcej 20 leguas od lądu.“ Kolumb pochwalił tę myśl i polecił mu porozumieć się z Cristobalem Garcia Kalmiento, sternikiem Pinty. Ale ten odpowiedział sucho: Spuść się na mnie, a popędzimy wszystkimi żaglami, jak można najszybciej. Peralonso dał mu na to odpowiedź: „Jak ci się podoba, będę dążył za tobą“. Pinta, jako silny statek, żwawo ruszyła naprzód. Księżyc się podniósł i o godzinie drugiej w nocy 12. października, w piątek, **) Juan Rodriguez Bermejo z Molinos pod Sewillą odkrył w księżycowym blasku połyskującą obwódkę wysuniętej części wybrzeża. Na widok ziemi wzniósł oczy do góry z okrzykiem: tierra! tierra! i rzucił się do najbliższego działa, aby dać sygnał. Księga okrętowa zeznaje, że po raz pierwszy powitaną była ziemia na statku Pinta o godzinie drugiej w nocy przez majtkę Rodrigo z Triany. Jednakże Kolumb nie oparł się ponęcie 26 dukatów, i ponieważ widział na cztery godziny przedtem owo migające światelko, sobie więc kazał wypłacić pieniądze, które korona za pierwszy sygnał ofiarowała, majtek zaś nie dostał ani dożywotniej pensyi, ani kaftana.

*) O godzinie 10 znajdowała się eskadra jeszcze o 11 mil od zupełnie płaskiego kraju, tak że z powodu wypukłości morza żadnego światła nie podobna było dostrzedz, i trzebaby chyba przypuścić rzecz nieprawdopodobną, że krajowcy ze światłem w łodzi puszczali się na morze.

**) Kolumb odpłynął w Piątek i w Piątek Nowy świat został odkryty. Nie omieszkalo to wpłynąć na obalenie dawnego przesądu, że Piątek jest dniem nieszczęśliwym.

Ażeby nie utracić związku z tem, co nastąpi, należy tu wspomnieć, że odkrywca podług swego utajonego rachunku oceniać musiał odległość przebytą na 1122 leguas a ponieważ błędnie obliczał stopnie, sądził więc, iż się znajduje o 90 geogr. stopni na zachód od Gomery. Podług mapy Toscanellego przebył on teraz 20 zachodnich espacios czyli 100 geograficznych stopni od Lizbony na zachód, tak że zdawało mu się, że dosięgnął teraz wielkiej wyspy Zipangu czyli Japonii i że nadchodzący ranek odkryje mu brzeg tego kraju, lub jakiejs wyspy przed nim leżącej.

ROZDZIAŁ DRUGI.

SPOŁECZNE STOSUNKI NA ANTYLLACH.

Brak zwierząt domowych. Rolnictwo. Rybołówstwo. Budowle. Przemysł. Fizyczna wartość. Języki. Bóstwa i kosmogoniczne bajki. Małżeństwo. Podział polityczny. Despotyzm. Kapłani. Poezya i igrzyska. Karybowie. Zdolności żeglarskie. Język męski i żeński. Ludożerstwo. Wycieczki drużynne.

„Bez okrycia nagości, bez miar i wag, bez przekleństwa w pieniądzech utajonego, bez prawa i sędziów pożądających kłótni, bez ksiąg, zadowoleni darami przyrody i bez troski o przyszłość używają owi ludzie złotych czasów.“ Tak odmalowali Europejczycy zaraz po odkryciu stosunki wyspiarzy zachodnio-indyjskich, którzy, nie tknięci jeszcze kulturą, zdawali się przechowywać niezmacony wiek dziecienny. Ale jakże mało zasługiwało ich wystarczające sobie ubóstwo na zazdrość ludów ukształconych!

Ze zwierząt czworonożnych na wyspach Antylskich i Lukajskich było tylko pięć rodzajów, bardzo małych, z których najliczniejszy opisywany był jako coś pośredniego pomiędzy królikiem a szczurem. Zabijali też krajowcy zwierzęta w rodzaju oswojonych, niemych piesków,

gdyż mięso tych zwierząt, zarówno z mięsem Yuany (*Iguana sapidissima*) i dziś jeszcze wysoko cenione, uważane było za wielki przysmak. Tym sposobem mieszkańcy wysp, jeżeli nie łowili ryb i ptaków, musieli poprzestawać na pokarmie roślinnym. Sadzono kukurydzę w popiele, ogniem przedtem ogołociwszy ziemię z krzewów. Starannie oczyszczano ją z chwastów, a gdy zasiew dojrzewał, chłopcy musieli wystraszać z niego żarłoczne papugi. We dwa, najwięcej w cztery miesiące następowało żniwo, przynoszące 2—400 ziaren za jedno. Ziarna, rozcierane w wydrążonych kamieniach, dawały mąkę, z której robiono gałki i gotowano je w wodzie. Głównego jednak pożywienia dostarczała manioka (*Jatropha Manihot*), roślina główkowata, której łodyga uprawiana była w okrągłych, wyniesionych grządkach, gdzie korzenie w 7—9 albo, gdy je na zapas zostawiano, w 20—24 miesiącach rozwijały się często do wielkości męskiego uda. Na wyspach nie jadano surowych główek, jak na lądzie, ale je rozcierano na kaszę, z której wyciskano sok, będący w świeżym stanie najjadowitszą, trującą roślinną. Później po słodkiej i po kwaśnej fermentacji stawał się on nieszkodliwym, podczas gdy sucha manioka dawała delikatną mąkę, a w cienkich plackach pieczona nad ogniem dostarczała chleba Cassabe, codziennego pożywienia krajowców. *) Rolnictwo obejmowało jeszcze dwie inne rośliny główkowate, korzeń yams pod nazwą Ajes, (*Dioscorea sativa*) i bardziej ulubiony batat (*Convolvulus Batatos*). Krajowcy rozróżniali pięć odmian jego owoców. Jagody axi czyli pieprzu hiszpańskiego (*Capsicum annum*) dostarczały im palącej korzennej przyprawy, wszystkie zaś naczynia robili z łupin dyni. Włóknistego materiału do plecenia i kręcenia sznurów dostarczały im cabuya,

*) Europejska sztuka bardzo uszlachetniła to pożywienie. Benzoni (*Mondo Nuovo*) powiada o niej: — una vivanda molto trista.... in bocca mi pareva mangiar terra.

henequen i maguey, rodzaj agawy, a ku orzeźwieniu służył im „oset“, jak się naiwnie wyraża Oviedo, to jest Yayama (ananas) z wonnym owocem.

Ryby łowiono siecią lub sznurem. W tym celu karmiono małą na piędź rybę, którą Hiszpanie zwali reverso. Waleczne to zwierzątko, uzbrojone na grzbiecie ruchomymi kolcami, ścigało największe ryby lub żółwie i przyczepiało się do nich swojemi ostrzami. Indianie na Kubie, Jamaice i Espanioli brali z sobą na cienkim ale mocnym sznurze takiego reverso i rzucali go na pierwszą zdobycz, jaka się ukazała. Jeśli się do niej mocno przyczepił, to koniec sznura przywiązywano do jakiego pala nad wodą. Ranne zwierze morskie szukało brzegu, gdzie wraz z rewersem dostawało się w ręce rybaków.

Jeżeli potrzeba było mieszkania (Buhio) to wtykano w ziemię co cztery do pięciu kroków żerdzie, tak żeby utworzyły wielokąt, a między żerdziami dawano cienkie ściany trzcinowe. Po środku stawiono wyższy słupiec, do którego końca naginano trzciny od ścian i przywiązywano je tak, że te tworzyły dach w kształcie namiotu, pokryty jeszcze słomą lub liśćmi palmowymi. Dach taki przez dwa lub trzy lata lepiej bronił od deszczu, niż ceglane dachy w ówczesnej Hiszpanii. Dla wodzów budowano nieco obszerniejsze chaty, opatrzone werandą. Ponieważ krajowcy sami byli dla siebie jucznemi zwierzętami, więc wystarczały im wąskie ścieżki, jeżeli się tylko na nich zmieścić mogły nosze, na których naczelników noszono. Na zachodnim wybrzeżu Espanioli, cierpiącym na posuchę, w państwie Xaragua, znaleźli Hiszpanie sztuczne wodociągi dla zroszenia pól.

Nie bez głębokiego wrażenia spostrzegli pierwsi odkrywcy zupełną u krajowców nieznaną żelaza. Geniusz dzikiego człowieka zastępował ten niedostatek sposobem, budzącym podziw w spostrzegaczu. Swemi niezdarnymi

narzędziami kamiennymi, siekierami i nożami ze skorup muszlowych, wyrzynali oni rzeźby z drzewa, posążki bogów, sztucznie wycinane siedzenia, i ozdoby do przodów swoich łodzi. Najlepiej się ten przemysł udawał zmysłnym pod względem sztuki mieszkańcom wyspy Guanaba na zachód od Haiti czyli Espanioli. Jeżeli potrzeba było rospalić ogień, to związywali mocno razem dwa suche drewna, wciskali następnie kij pomiędzy one i tak długo nim obracali rozprostowanymi dłońmi, aż póki w skutek silnego tarcia drzewa się nie zapaliło.

Gołą ręką dobywali złotonośny piasek z rzek swoich, i wybierali z niego palcami świecące ziarnka. Umieli kruszyć zrobić płynnym i rozmaite z niego robili odlewy. Chcąc mieć broń, hartowali w ogniu koniec kija, którym umieli z pętli godzić tak trafnie, że broń ta w pośród nagich ludów zupełnie wystarczała do krwawych celów. Kamiennymi siekierami obalali najsilniejsze drzewa, wydrążali je nad ogniem i następnie z tułowa drzewa robili swoje płaskie canoes (łodzie), które wprawdzie nie mogły chodzić z żaglem, ale przy ośmiu wiosłach szybciej się posuwały, niż hiszpańskie o 12 wiosłach. Dość często fale przewracały statek wraz z jadącymi, ale niestrudzeni pływacze wyczerpywali natychmiast wodę ze swojej canoe, aby bez troski dalej odbywać podróż. Największe statki budowano na Jamaice, gdzie Kolumb (1494) mierzył łódź mającą 96 stóp długości a 8 szerokości. Takimi to statkami odbywała się komunikacja pomiędzy Espaniolą, Cubą, Jamaiką i Puertorico. Zapędzał się też niekiedy statek od lądu do wysep, i odwrotnie od wysep do lądu. Siecie, które zręcznie wiązali, służyły im za hamaki, a z dziko rosnącej bawełny kobiety tkwały swoje fartuszki (naguas).

Mieszkańcy Antyllów, zmuszeni prawie wyłącznie na pokarmie roślinnym poprzestawać, nie mogli znosić więk-

szych wyteżeń. Według opisu Kolumba Indianie na Haiti posiadali piękniejszy wzrost od Kubańczyków, a w szczególności bardzo cenione były kobiety z Xaragua z powodu pełnych form swoich. Ale według wizerunków, które nam przechował Oviedo, płaskie czoło i wystające szczęki odbierały twarzy piętno wyższego pochodzenia, podczas gdy brudne zęby i długie nieczyste włosy musiały bardzo ochładzać w Europejczykach żądzę plastycznych wdzięków niewieścich. Uprzejmy śmiech, który nie ustępował z ich twarzy, gdy rozmawiali z Europejczykami, jeszcze bardziej potęgował wyraz niedołęstwa umysłu, jakim się ich powierzchowność odznaczała. Nie brakło im, jak dowiodły późniejsze powstania i nagle wygaśnięcie, ani ducha waleczności, ani pogardy śmierci, ale najlepszą ich bronią, jak wszystkich półdzikich ludów, był dar udawania. Przebiegłości ich najlepiej dowodzi sposób wynaleziony przez Jamajczyków do łowienia dzikich kaczek. Jeżeli takie pierzaste towarzystwo osiadło w jakiej cichej przystani, to puszczano z wiatrem między nie pewną ilość dyń. Bojaźliwe ptaki przyzwyczajały się w końcu do tych nowych dla siebie przedmiotów, a po kilku dniach ośmielały się nawet zuchwale stawać na pływających dyniach i dawały się im unosić. Wówczas łowiec nakrywał głowę wydrażonym harbuzem, podpływał w tej masce do kaczek i cierpliwie czekał póki dziki ptak nie siądzie mu na głowie. Gdy to się stało, pływacz powoli wysuwał się z pierzastym passażerem ze stada, szybkim ruchem ręki ściągał ptaka pod wodę, zadusiwszy go, przywiązywał do pasa, i powracał do stada dla powtórzenia tej samej sztuki. Nie wiele trudu kosztowało kubańskich chłopców polowanie na papugi, gdyż słomą okryci wylazili na drzewo z papugą w ręku i przywiązywali ją do drzewa. Bite zwierzę krzykiem swoim ściągało pierzaste bractwo i wówczas chłopak pętlę zawieszoną na końcu cienkiej różeczki zakładał

jednemu krzykaczowi po drugim na głowę, skręcał mu kark i rzucał na ziemię, tak że czasem ziemia usłaną była tysiącami pstrego ptactwa, a zostające na drzewie papugi jeszcze się nie spostrzegały na zdradzie. Wybornie umieli Indyanie umykać z hiszpańskich więzień, gdyż każdy łańcuch żelazny zdołali przetrzeć sznurem z włókna he-nequem lub cabuya, który drobniutkim proszkiem posypywali; sposób ten poucza nas o środkach, jakich używali przy swoich robotach kruszcowych.

Wyspy Bahama i Kubę zamieszkiwał szczep, który nazywał siebie Cibuneys albo Ciboneys. Z tą ludnością na niedługo przed odkryciem zmieszali się mieszkańcy Hispanioli i podbili spokojniejszych Kubańczyków. Czy języki na Kubie i Espanioli były sobie pokrewne, tego nie wiemy, w czasach jednak odkrycia Kubańczycy i Indyanie z Domingo mogli się rozumieć, choć słowniki dwóch tych języków były bardzo różne. W każdym razie jednaki język i pochodzenie mieli mieszkańcy Puertorico, Jamaiki i Espanioli. Na tej wyspie panowały znów rozmaite dyalekta. Surowym i szorstkim wydawał się język w górnym Macorix, we wschodniej połowie północnego brzegu, gdy tymczasem w posiadłościach kacyka Guarionex, a zatem w środku wyspy, mówiono ogladzonym dyalektem, który uchodził na wyspie za najczystsze narzecze i za „język dworski.“ Do dziesięciu liczono na palcach, wszystkich zaś wyższych liczb nie zdołali inaczej wyrazić, jak biorąc odpowiednią ilość kukurydzy do ręki.

Plemiona, które mówiły językiem Haiti, nie były pierwotnymi mieszkańcami Antyllów, ale miały podług własnych podań, wypędzone od własnego ludu, przywędrować do Espanioli okrętem na *Matinino* (Martynika), a zatem z zachodu. Wyspę Espaniola nazywali *Quizqueia*, co znaczy *świat*, albo *Cibao*, *Kamienna*, albo *Haiti*, co ma znaczyć kraj dziki. Na delcie rzeki Bahaboni założyli swoją pier-

wszą osadę, a pierwszy dom Camoteja aż do przybycia Hiszpanów czczony był jako świętość.

Zdaje się, że brakło im wiary w jednego Stwórcę. W niebie czcili pewną istność, Jocaunę albo Guamaonocon, i jego w pięciu imionach sławioną matkę Mamonę. Pod temi bóstwami rozumieli słońce i księżyc. Od czasu do czasu pustoszyły wyspy straszliwe burze, zwane przez krajowców huraganami. Przerzedzały one najsilniejszy las dziewiczy, wyrывая drzewa z korzeniem, rzucając niemi w górę i obracając jak słomą. Sami Hiszpanie na widok tych spustoszeń przyznawali, że tylko z piekła mogły pochodzić podobne igraszki. Otoż znajdował się na terytorium wodza Aumarów kamienny posąg płci żeńskiej nazwiskiem Guabancex. Ta niełaskawa bogini wysłała gońca do innych bóstw miejscowych i z ich pomocą poruszyła huragany, podczas gdy inny duch służebny zgromadził wodę i zalał ziemię. Z tego powodu każde terytorium, każda okolica, każda wieś i każdy dom we wsi miał swoich bożków, zwanych Cemes, najeżone rogami i ozdobione ogonem lalki z kamienia, gliny, złota albo i bawełny, które błagano o deszcz i pogodę, zwycięstwo i poród bez bólesci, a których gniew widziano w straszliwych objawach natury. Tak niskiem było to bałwochwalstwo, że kradziono sobie cemesów, jak gdyby siły nadprzyrodzone mogły podlegać zmianie właściciela. Wierzano w dalsze trwanie zmysłowych stosunków po śmierci, gdyż nieboszczyka po pogrzebie zaopatrywano w chleb i wodę, a najznakomitsze żony książęce szły dobrowolnie za swoim mężem do grobu. Trupy kacyków i magnatów obwijano w bawełniane tkanie, strojono w klejnoty i posadziwszy na krześle w drewnianym grobie, przysypywano ziemią. Duchy zmarłych zgromadzały się na zachodzie wyspy w pustyni Soraya. Rezydował tam Machetaurie Guavava, kacyk państwa umarłych. Przed światłem wpęły duchy

do pieczar, ale nocą swobodnie krążyły, i żywiły się świętym owocem mamei (*Mammea americana* L.), której żywnie dotykali, aby państwo cieniów na głód nie narazić. Czasami widziadła te nawiedzały w śnie żywych i mężczyźni lubieżnymi uściskami nieostrożnie śpiących, a choć z postaci podobne były do żywych, to jednak zawsze je można było poznać po braku dołka pępkowego. Dlatego krajowcy, pełni dziecinnej bojaźni, nie śmieli chodzić po nocy tam, gdzie im mogło grozić niemiłe spotkanie.

Najstarsze myty amerykańskich ludów unoszą się dookoła grot i pieczar. Ludy Quiché pierwotną swoją ojczyznę nazywają Tulanzu czyli Siedm pieczar. Z pieczary Pacaritambo wyszło po wielkim potopie siedmiu praojców Inkasów peruańskich. Na Antyllach poczytywano pieczary za matki wszystkiego żyjącego, a ich tajemnicza ciemność wydawała się niejako łonem, z którego wyszły wszystkie stworzenia. Jeżeli pieczary zostawały w związku z morzem, i jeżeli słyszano wewnątrz szum wód spadających, to przypisywano podobnej grocie organiczne funkcyje, jak gdyby sama wyspa posiadała głośnie pulsa życia. Pokazywano sobie dwie pieczary, z których jedna porodziła słońce, a druga księżyc. U wejścia do pieczary, gdyż przypisują to także i jednej pieczarze, były wyróżnione dwa małe cemes, to jest bałwanki, z których wilgoć zdawała się sączyć, i do których ciągnęły pielgrzymki z prośbą o deszcz. Dwie inne pieczary, Cazibaxagua i Amaiauna, w okolicy Caunana, trzymały niegdyś rod ludzki w zamknięciu, gdyż słońce postawiło u wejścia wartownika, któremu jednak przez nieostrożność uszli więźniowie. Dostawszy się na światło, musieli jeszcze przebywać wiele przeobrażeń w drzewa, kamienie, ptaki, żaby, zanim protoplasta Vaguoniona, który ludy wyprowadził z pieczary, mógł rozplądające się zostawić pokolenie. I tak brakowało przez jakiś czas kobiet, bo chociaż były istoty kobiecej postaci, ale nie do-

stawiało im pewnych znamion ich płci, aż wreszcie przemysłność dziecięcia Juriri zaradziła temu zaniedbaniu natury. Jeden z praojców Jaia przechował kości swego ulubionego synka w wydrążonej dyni. Ciekawi bracia utworzyli to naczynie i ujrzeni wyskakujące ztamtąd ryby; kiedy zaś, przestraszeni zjawieniem się ojca, upuścili skorupę, to wylał się z niej potop i zamienił stały ląd na wyspy.*)

Na Antyllach w ogóle panowała monogamia; tylko książęta i panowie otaczali się haremem, ale zawsze jedna tylko żona uważana była za prawdziwą. Nie musiały też cierpieć kobiety zbyt ciężkiej niewoli, kiedy prawo nie wykluczało ich od następstwa tronu. Dopóki zachowały dziewiczość, chodziły zupełnie nagie, i mogły brać udział w pewnych świętych tańcach (areytos). Po pierwszym obcowaniu z mężczyzną nakładały fartuszek na biodra, który spadał do połowy uda, a u znakomitych niewiast aż do bioder. Plebejskie kobiety ściśle przestrzegały małżeńskiej wierności, jakkolwiek rzadko się opierały uwodzicielstwu Hiszpanów. Przeciwnie kobiety arystokratyczne żyły najroźwieźlej, ponieważ hojność względem mężczyzn uchodziła za coś arystokratycznego. Jak chwiejne były obyczaje na małych dworach, wnioskować o tem można z porządku spadkobierstwa. Wprawdzie po ojcu następował zawsze najstarszy syn, ale jeżeli syna nie było, to władza przechodziła na krewnych zmarłego, jeżeli państwo było jego dziedzictwem, lub na rodzinę żony, jeżeli to po żonie otrzymał dziedzictwo zmarły. W pierwszym razie dziedziczył najstarszy brat zmarłego. Jeżeli nie było brata, a tylko synowcy i synowice, to wówczas oddawano

*) Petr. Martyris l. c. Epist. 180. Ciekawą jest rzeczą, że i lukajscy Indianie twierdzą, że ich wyspy powódź oddzieliła od Kuby. Zupełna zresztą nieobecność zwierząt ssących na Antyllach dowodzi, że ich odłączenie się mogło nastąpić w bardzo dalekiej epoce geologicznej.

pierwszeństwo dzieciom siostry, ponieważ o ich pokrewieństwie z nieboszczykiem nie można było nigdy powątpiewać. Małżeństwa pomiędzy dziećmi a rodzicami, pomiędzy braćmi a siostrami uważane były za zbrodnię. Żeby miały panować wśród wyspiarzy grzechy przeciwne naturze, o tem można powątpiewać, za to jest rzeczą aż nazbyt pewną, że spędzanie płodu dla dłuższego utrzymania cielesnych wdzięków tak samo bezmyślnie było praktykowane przez kobiety, jak to i dziś jeszcze często praktykuje się na Kubie. Nie da się oznaczyć, ile wynosiła ludność Antyllów; cyfry podawane przez współczesnych dochodzą do kilku milionów. Z późniejszych jednak obliczeń na Haiti można wnioskować z niejaką pewnością, że Hiszpanie zastali na tej wyspie zaledwie 300,000 głów. Pięć większych państw liczone na Espanioli. Brzeg północny do ujścia Jaque należał do kacyka Guacanagari. Tam wylądował poraz pierwszy Kolumb i znalazł pozornie pokojowe stosunki, ale i najuboższą kulturę. Kacyk Guarionex panował nad gęsto zaludnioną doliną tak zwanej Vegi, która się ciągnęła pomiędzy łańcuchem gór północnego wybrzeża a dzikim górzystym krajem środkowym Cibao. Po tamtej stronie gór w dolinie Neyba znajdował się kraj Maguana pod władzą walecznego Kacyka Caonabo karybskiego pochodzenia, który przybył na wyspę jako awanturnik i tam sobie państwo założył. Na zachodzie rozciągało się państwo Behechio, które Hiszpanie nazywali Xaragua, obejmujące i obfitującą w przemysł wyspę Guanaba. Najznakomitszy kacyk na wschodniej połowie południowego wybrzeża nazywał się Cayacoa, a kraj, nad którym panował, Highey.

Władza tych dynastów nad poddanymi nie miała granic. Za pomocą surowo przestrzeganej etykiety trzymali kacykowie lud swój w odległości, wzbudzającej cześć i bojaźń. Jak w państwie peruwiańskich Inków, był i tu jeden

jedyny tylko właściciel — kacyk. On nakazywał uprawiać rolę, odbierał zbiory polne, i ze swoich spichlerzów zaspakajał potrzeby ludu, tak że w pośród tych niedojrzałych stosunków ludzkiego społeczeństwa urzeczywistniły się socyalistyczne aberracye ludów ukształconych. Zarzut skąpstwa był najdotkliwszą dla nich obelgą; zato złodziejstwo, nadzwyczaj rzadkie przestępstwo, karali, jak prawie wszystkie pierwotne ludy Ameryki, bardzo srogo, bo wbiciem na pal. Dość było założyć trzcinę lub źdźbło słomy u wejścia do mieszkania, i nikt nie ośmielił się przekroczyć tej wątlej zapory. Wszystkie przysmaki wyspiarskie, mięso mohny czyli królików i smaczne jaszczurki, przeznaczone były wyłącznie dla stołu kacyków i jadających z nimi magnatów. Niektórzy niezawisli książęta podbici zostali przez swoich sąsiadów i obowiązani byli względem swych lennych zwierzchników do służby wojennej, ich zaś poddani odrabiać musieli pańszczyznę suwerenowi. Tacy wassale nazywali się Nitaynos i do nich należało dbać o to, aby się nie uszczuplały granice ich okręgów. Jak kacyki czyli dynastowie żenili się tylko między sobą, tak zdaje się, że i feudalna arystokracja nie łączyła się z poddanymi. Władza nad poddanymi opierała się na religijnych wyobrażeniach. Kacyk był zarazem właścicielem cemesa, czyli bóstwa swego państwa. On jeden znał wszystkie tajemnice, jak mają się odbywać pielgrzymki do siedliska bogów, co znaczyło niemało. Przybywszy do świątyni, sadowił się na ziemi i uderzał w pień drzewa wydrażony w kształcie trąby, którą słyhać było na milę w około. Wszyscy nastawiali teraz ucha w bojaźni przed bożyszczem, gdyż cemes objawiał często w wyroczni gminie swój gniew, który mógł być tylko ułagodzony powszechnym postem i umartwieniem. Kapłani czyli Bohitos posiadali różne wiadomości lekarskie, które się niemało przydały odkrywcom. Jak wszędzie u ludów nawpół roz-

winiętych, łączyły się z praktyką lekarską rozmaite kuglarstwa i czarodziejstwa. Ci bohitos dawali wyrocznie zupełnie, jak się zdaje, podług upodobania kacyków.*) W ogóle z panującymi bóstwo zostawało w ściślejszych stosunkach i objawiało im nawet przyszłość. Tym sposobem kacyk Guarionex dowiedział się pewnego razu po pięciodniowym poście od cemesa, że wylądują na wyspie Maguacochios, to jest ludzie odziani, i wyspę podbiją.

Przy uroczystościach na cześć zwycięstwa, na weselu lub pogrzebie kacyków, odbywały się Areytos. Stosownie do ich znaczenia występowali mężczyźni, dziewice lub obie płci razem. Miara zgłosek w pieśni zastosowaną była do taktu tańca. Przewodnik chóru wskazywał wszelkie ruchy i spiewał przytem wiersz, który tancerze powtarzali. Podobne przedstawienie ciągnęło się czasem aż do dnia następnego. Próby tej poezji na nieszczęście nie zachowały się, wiemy tylko że Areytos zawierały w sobie świętą i świecką historję tych ludów. Ale nie tylko epiczne, były też i liryczne śpiewy, i to poczęści erotycznej treści. Takich areytos, które dotyczyły religijnej wiedzy i objaśnień, mogli się uczyć na pamięć tylko synowie krwi książęcej. Przed wojennemi wyprawami zgromadzali się wojownicy, aby zaśpiewać hymn wojenny, który opiewał przyszłe zamierzone czyny wojenne. Każda wieś miała plac czysto utrzymywany dla publicznych igrzysk, gdzie mężczyźni lub kobiety, albo obie płci razem, na dwa towarzystwa podzielone, rzucały wzajem na siebie elastyczną kulę. Każda strona usiłowała bronić granic swoich do skaczącej piłki, która wciąż podbijana, w ciągłym zostawała.

*) Sam Kolumb zszedł niespodzianie pobożnych przed bożyszczem, które za jego wejściem zaczęło krzyczeć i mówić. Przy bliższem zbadaniu okazało się, że za cemesem przez ścianę szła trąba, poza którą Indyanin ukryty w zaroślach wygłaszał wyrocznie. Kacyk i właściciel religijnego instrumentu gorąco upraszali Kolumba, aby ten nie objawiał tajemnicy, gdyż na niej polegało posłuszeństwo poddanych.

ruchu, aż póki się zwycięstwo, w skutek większej zręczności jednego z grających, lub niezręczności drugiego, wśród ogólnego roznamiętnienia nie przechyliło na jedną stronę. Przy uroczystych sposobnościach odbywały się także i wojenne igrzyska, przyczem walczący wpadali w taki zapał, że niektórzy trupem padali na placu igrzysk.

Społeczne więc stosunki na Antyllach nie stały tak nisko, jak zwykle mniemają, ani znów były tak godne zazdrości, jak się wrażliwym umysłem wydały, ale zetknięcie się z wyżej ukształconymi Europejczykami, którzy w stal zakuci, sieli przestrach niewidzianym dotąd widokiem koni i jeźdźców, i prowadzili za sobą niszczące zarazy, to zetknięcie się musiało podzielać na słabe ludy, jak działa kwas na roślinną materję. Wymarcie tych ludów przypomina wygasanie rodzajów zwierzęcych w geologicznych epokach, i jedna myśl tylko może uspokajać, że mieszkańcom Antyllów groziło już wytępienie od innej, silniejszej rasy.

Od brzegów Orinoco do Puertorico mieszkali waleczni Karybowie, którzy stopniowo od lądu rozprzestrzewnili swoją władzę na Małe Antylle. Nie tylko na zachodnim brzegu Puertorico spotykano pojedyncze szczepy tej rasy, ale i wszystkie górzyste okolice zachodniego wybrzeża Espanioli, mianowicie półwysep Samana, górzysta Macorix i zachodnia kończyzna wyspy, Higüey, zamieszkaną była przez karibskich wychodźców, Ciguayów. Pewnemu karibskiemu awanturnikowi udało się wynieść do godności kacyka Maguany, największego państwa na wyspie. Strasznymi były te ludy z powodu strzał swoich, zatrutowanych mleczem pewnej euphorbiacei (*Hippomane Mancinella* L.). A i bez tej smutnej broni niebezpiecznymi byli Karibowie nie tylko dla ludów antylskich, ale i dla hiszpańskich kolonistów. Broń palna nie powstrzymywała ich od napadu na największe okręta, nawet na eskadry i

od nawiedzania francuskich i hiszpańskich plantatorów na Puertorico i Małych Antyllach. — Bezbronni mieszkańcy Haiti sami przyznawali, że dziesięciu Karibów mogło ich stu zmusić do ucieczki; nazwisko też Karib miało w ich języku znaczenie bohatera. Sami siebie Karibowie nazywali od imienia mniemanego protoplasty Calinago, albo Calina, a język, którym mówili, zupełnie się różnił od antylskich narzeczy. Z powodu swego bohaterskiego wzrostu i dziś jeszcze Karibowie właściwi uchodzą za najpiękniejszy szczep ze wszystkich amerykańskich. I mężczyźni i kobiety zapuszczają długie włosy i malują twarz w około oczu czarną farbą. I mężczyźni i kobiety chodzą nago, i tylko kobiety tak mocno ściskają sobie podwiązki nogi pod kolanem i nad kostką, że łytki sztucznie nabrzmiewają, co w ich oczach nie tylko podnosi wdzięki, ale i odróżnia je od karibskich niewolnic, którym nie wolno nosić ani tej ozdoby, ani długich włosów. Już pierwsi odkrywcy zauważyli, że Karybowie pod względem społecznym stoją znacznie wyżej od innych wyspiarzy, że ich naczynia są lepiej sporządzone a w chałupach ich znaleziono większe zapasy przedziwa. Dach na tych chatach był nie stożkowaty, ale widłowaty a ściany czworokątne. Całe lata poświęcali na budowanie swoich łodzi 40 stóp długich a 7—8 szerokich, które mogły pomieścić 50 ludzi i którymi przy bawełnianych żaglach umieli Karybowie zręcznie przeciw wiatru lawirować. Jeżeli potrzeba było użyć wiosła, to sternik intonował śpiew jakiś, aby podać takt wiosłarzom. Kierunek oznaczali sternicy podług gwiazdzistego nieba, a kulminacje różnych gwiazd służyły im do oznaczania godzin nocnych. Trzy małe wyspy łączyły się z sobą dla wspólnych wypraw, które możnaby nazwać wyprawami Wikingów, gdyż nie bez słuszności porównano Karibów z Normannami. Floty o 12 żaglach i 500 ludziach nawiedzały północno zachodnie Antylle, a mianowicie Pu-

ertorico, a jedynym ich celem było porywanie ludzi. Jeńców męzkich pieczono i zjadano; zdobyte kobiety musiały służyć żonom zdobywców, które doskonale wyćwiczone w robieniu bronią szły w bój za mężami. Liczba niewolnic była tak wielką, że dziwnym sposobem utworzył się między Karibami podwójny język: męzki i żeński. Zresztą panowało u nich wielożeństwo i kazirodnych stosunków nie miano w obrzydzeniu. Religia ich była kultem gwiazd, w którym księżycowi dawano pierwszeństwo przed słońcem. Venus miała być małżonką księżyca. Zmarli bohaterowie zamieniali się w gwiazdy i świecili na potomków z wysoka. Kapłani ich nazywali się Piaches, co w języku Chaymas oznacza czarowników lub lekarzy. Chłopców od 10 do 12 lat, przeznaczonych do stanu kapłańskiego, wychowywano przez dwa lata w zupełnem odosobnieniu, gdzie żywili się tylko roślinami i nie spotykali kobiet. Dopiero potem wtajemniczali ich kapłani w swoje tajemnice. Wodzów na wojnę obierali sobie Karibowie z pomiędzy starszych ludzi, zresztą szczególnego poważania używali właściciele łodzi lub wielkich posiadłości ziemskich. Kacykowie ich zatem mogli tylko ograniczoną posiadać władzę, a karybscy Ciguayos na Espanioli (koło Cap Cabron) miewali zgromadzenia ludowe, gdzie obradowano o wojnie i pokoju. Karybowie zatem widocznie posuwali się ku wielkim Antyllom, i gdyby nie pojawienie się Hiszpanów, byłiby coraz dalej na zachód czynili podboje. Ale nie dano im było dokonać tych podbojów i godzina ich wybiła, gdy na Pincie 12. października Europejczycy powitali świat nowy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

ODKRYCIE ANTYLLÓW.

Położenie Guanahani. Cuba. Obrazy natury przez Kolumba podane. Poselstwo do chana tatarskiego. Oddalenie się Pinzona. Haiti. Handel złotem. Rozbicie się okrętu. Pierwsza osada. Połączenie się z Pintą. Wiadomości o stałym lądzie. Powrót do Hiszpanii. Burze. Nieprzyjacielskie kroki u wysp Azorskich. Przybycie na rzekę Tejo.

Pierwszą z wysp Antylskich, która się ukazała Europejczykom 12. października, była wyspa nazywana przez krajowców Guanahani, a na naszych mapach oznaczona imieniem Watling.*) Z nastaniem dnia Kolumb, Martin Alonso i Vicente Janez Pinson przybili na uzbrojonej łodzi z powiewającymi chorągwiami do brzegu, poczem naczelnik wyprawy (od tej chwili występujący jako Don Cristobal Colon, admirał i wicekról) w obec notaryuszów objął nowy kraj w posiadanie w imieniu króla i królowej Kastylii. Pomiedzy krajowców, którzy się z ufnością zbliżyli, rozdał on dzwoneczki, sznury ze szklannemi perłami, różnobarwne czapeczki i inne drobiazgi. Przynieśli oni zato bawełnianej przędzy, dzidy do rzucania, papugi i cokolwiek innego mieli. „Wydali mi się oni, dodaje Kolumb, nędznym narodem. Chodzili nago, jak ich matka na świat wydała, nawet kobiety, jakkolwiek pokazywały się tylko starsze, mające nad trzydziestkę. Postawa ich bez nagany i pełna wdzięku; łagodność przemawia z ich twarzy, a z koloru skóry, który nie jest ani jasny, ani ciemny, podobni są do Kanaryjczyków. Malują się to na białło, to na czarno, to pstrokato, i to jedni ciało, drudzy twarz, inni nos i miejsca dookoła oczu. Nie noszą żadnej broni i

*) Wielki spór o położeniu Gnanahani rostrzygnięty został wyborną pracą kapitana A. B. Beechers (The Landfall of Columbus, Journal of the royal geogr. Society, vol. XXVI, London 1856, p. 189—203), i okazało się, że nie fałszywa Guanahani, ale Watling była miejscem wylądowania Europejczyków.

tak mało ją znają, że chwyтали moją szpadę przy kłindze i kaleczyli się. Ich włócznie to są drągi z rybim zębem na końcu zamiast żelaznego grotu. Kiedym niektórych pytał o blizny na ciele, dali mi do zrozumienia, że muszą się bronić od mieszkańców innych wysp, którzy na nich napadają i uprowadzają ich w niewolę.“

Wielką ciekawość obudziło w Hiszpanach to, że niektórzy dzieci nosili w przedziurawionych nozdrzach kawałki złota. Ale Kolumb nie chciał tym razem badać, z kąd się to złoto brało na wyspie, „ażeby nie tracić czasu, przed dostaniem się do wyspy Zipangu.“ 14. października ruszyła eskadra zachodnim brzegiem Guanahani ku południowi, i w drodze na zupełnie płaskiej wyspie odkryła jezioro. Na brzegu widać było kilka chałup i krajowcy pytali ciekawie: „jakim sposobem cudzy ludzie mogli zejść z nieba?“ Rzucali się na ziemię, podnosili ręce ku niebu i głośnem wołaniem zdawali się zapraszać do wylądowania. Nikt jeszcze nie rozumiał tych gestów i pytań, niewinni zaś Indianie uważali dziwnych przybyszów nie za co innego, jak za dzieci boskiego słońca.

Od Guanahani pożeglował Kolumb ku małej wysepce Rum-Kay. Jeżeli Guanahani na cześć Zbawiciela nazwał San Salvador, to druga wyspa otrzymała nazwę Santa Maria de la Concepcion. Tu umknął jeden z siedmiu guanahańskich krajowców, których Kolumb wziął był z sobą na pokład, aby pokazywali drogę. Wiadomość, o przybyciu dziwnych ludzi zaczęła teraz szerzyć przestרח na wyspach; pewna łódź na widok eskadry uciekła i przybiła do lądu przed łodzią Niny, która za nią gonila, tak że majtkowie tylko próżną canoe w zdobyczy przywieźli. Po powtórnej scenie zajęcia wyspy w posiadanie, zwrócił się Kolumb 16. października na zachód od Concepcion ku Long-Island i dał tej wyspie na cześć króla imię Ferdinandina. Mieszkańcy tej wyspy mieli nosić złote obrączki na szyi

i u kostek, przynajmniej zdawało się Kolumbowi, że tak należało rozumieć to, co mu mówili zabrani krajowcy. Ponieważ na Ferdynandynie bogactw tych nie można było znaleźć, Hiszpanie więc pocieszali się myślą, że znajdą to na wyspie Saomete. Na Ferdynandynie zwiedzono kilka rozproszonych chat rybackich i Kolumb wmawiał w siebie, że im dalej na zachód, tem wyraźniejsze ślady wyższej kultury. 19. października opuściła eskadra południową kończynę Long-Islandu i po trzech godzinach przeprawy w kierunku zachodnim stanęła pod Saomete, czyli grupą wysp pachnących, która na cześć królowej otrzymała nazwę Izabelli. Tam nasycił się Kolumb zapachem kwiatów i roślin, co aż na okręt z lądu zalatywał. Admirał mocno był przekonany, że wyspa ta musi wydawać indyjskie korzenie i specjały. Ale i na Saomete nie pokazywało się żadne miasto, żaden król i nie widać było złota, jak to obiecywali ludzie uprowadzeni z Guanahani, a wszędzie natrafiano tylko na opuszczone chałupy. Wynagrodził sobie Kolumb ten zawód ładunkiem mocno pachnącego drzewa, które, upojony odkryciami, błędnie poczytywał za aloes. Spełnienie swych obietnic Indianie odwlekli teraz aż do przybycia do wielkiej wyspy Kuby, na której brzegach miały się zatrzymywać obszerne statki kupieckie. „Tą wyspą,“ robi uwagę Kolumb w swym dzienniku, „może być tylko Zipangu.... W każdym razie jestem zdecydowany dotrzeć do Quinsayu, aby doręczyć Wielkiemu Chanowi pisma Ich Wysokości.“ Wkrótce po północy 24. października opuszczono wyspę Izabelli i udano się w południowo-zachodnim kierunku. 26. października znajdowała się eskadra u małych wysepek przy wschodniej stronie ławicy Bahama, zwanej Islas de Arena, a wieczorem dnia następnego, zrobiwszy 17 leguas w kierunku południowo-zachodnim dosięgła północnego wybrzeża Ku-

by w okolicy Puerto de Nipe (21° 20' półn. szer. 75°, 50' zach. dług.)

Pora deszczów jesiennych zbliżała się wówczas ku końcowi i przyroda podzwrotnikowa jaśniała wówczas w całej swej młodszej świeżości. Kolumb nie mógł się nasycić śpiewaniem słowików, i nieustannie podziwiał bujność dzikiej roślinności wilgotnego wybrzeża i bogactwo form roślinnych w zwrotnikowych lasach, ożywionych rojami papug. Każda nowa wyspa milej mu się wynurza z wody, jest dlań piękniejszą od dawniejszych, najpiękniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas widział. Góry na Kubie przypominają mu to „skałę kochanków“, to powietrzną budowę arabskich meczetów.. Wrażliwy na wszelką piękność przyrody, na wszelkie jej czary, patrzył na świetność zwrotnikowej natury prawie tak, jak patrzy czuły ojciec w oczy ukochanego dziecka. Upojony powodzeniem widzi on drzewa mastykowe w lasach, ławice perłowe w morzu, złoto w piaszczystych korytach rzek, świecących metalowym połyskiem, jednym słowem wszystkie rojenia o szczęśliwych Indych urzeczywistniają się dla niego.

Dosięgnąwszy Kuby, zwrócił się naprzód a nie bez rozmysłu, wzdłuż północnego brzegu ku zachodowi, uważał bowiem z początku tę wyspę za Zipangu, którą po dług swej mapy powinien był zostawić na lewo, jeżeli chciał dojechać do lądu, dalej na zachód położonego. D. 29. października znajdował się u wjazdu do głęboko w ląd wrzynającego się Puerto de las Nuevas, który wziął za ujście rzeki i dlatego dał mu nazwę Rio de Mares. Następnego dnia odkrył małą wysepkę Guajaba, leżącą o 15 leguas ku północno-zachodowi, którą wziął za przylądek; z powodu bogactwa roślinnego dał jej nazwę Cabo de palmas.

Admirał, powróciwszy 31. października do Rio de Mares, gdzie pozostawał do 12. listopada, zdawał się już być przekonany, że Kuba nie odpowiada wyspie Zipangu. „Z pewnością“, pisze on 1. listopada, „znajduję się już u stałego lądu, o jakie sto mniej więcej mil od Zaitun i Quinsayu.“ Przez kilka nocy było zimno, uznał więc za rzecz rozsądną „pod zimę nie posuwać odkryć ku północy.“ Przed opuszczeniem jednak Rio de Mares postanowił wysłać zwiady w głąb kraju ku wiele obiecującemu miastu Kuba, które miało leżeć o cztery dni drogi od brzegu. Przezornie obrał ku temu celowi ochrzczonego żyda, Luisa de Torres, który w Murcyi „oprócz hebrajskiego i chaldejskiego nauczył się także trochę po arabsku.“ Towarzyszył mu Rodrigo de Jerez, i pewien Indyanin z Guanahani, jako tłumacz. Dano im próbki korzeni, aby się od krajowców wywiedzieli o odpowiednich roślinach nasiennych. Zaopatrzeni też byli posłowie w instrukcye, jak mieli przygotować księcia tego kraju na przybycie Kolumba, który miał zawrzeć alians w imieniu korony kastylskiej. Ambasada wyruszyła 2. listopada i piątej już nocy była z powrotem. Opowiadali oni, że zrobiwszy 12 mil hiszpańskich w głąb kraju, natrafili na 50 chałup z ludnością około tysiąca osób. Posadzono cudzoziemców na dwóch krzesłach, Indyanie rozłożyli się na ziemi, a tłumacz z Guanahani przemawiał do nich. Kubañczycy dawali do zrozumienia, że w ich kraju nie ma korzeni i wskazywali na południo-wschód. Po ustąpieniu mężczyzn przybyły kobiety, całowały przybyszów w ręce i w nogi, i dotykały skóry tych dziwnych istot. Więcej jak 500 osób obojej płci przeprowadzało cudzoziemców, w pewnej, jak można było odgadywać, nadziei, że ujrzą ich ulatujących ku niebu. Gdy wracali przez pola zasadzone korzeniem yams i hiszpańskim pieprzem, przyłączyło się do nich jeszcze więcej ciekawych, którzy „mieli

przy sobie żar i pewne trawy zwinięte w suchym liściu nakształt naboju, którego jeden koniec zapaliwszy, drugim dym wciągali. Te patrony nazywali *tabacos*.“ *)

Admirał postanowił teraz popłynąć ku południowoschodowi „dla znalezienia złota i korzeni.“ Indyjscy przewodnicy znów w wielkie nateżenie wprawili Europejczyków, mówiąc o nowym kraju cudów, który nazywali Babeque. Dopiero 12. listopada powiał wiatr pomyślny i eskadra po przebyciu 18 leguas w kierunku południowozachodnim dosięgła Cabo de Cuba (Punta de Mulas). Przed podniesieniem kotwicy kazał pięciu krajowców, niespodziewających się bynajmniej napadu, pochwycić z łodzi w zamiarze zabrania ich do Hiszpanii, i uprowadzić z wyspy siedm kobiet, ponieważ w Gwinei od polujących na niewolniki słyszał, że murzyni w towarzystwie kobiet daleko są posłuszniejsi. Ten gwałt tak przeraził krajowców, że zaraz opuszczali swoje chaty, jak tylko okręta pokazywały się u brzegu, a niektórzy Kubańczycy starali się nawet groźnymi ruchami odstraszyć potem Hiszpanów od wylądowania, ale uciekli, jak tylko się łódź do nich zbliżyła. D. 21. listopada Martin Alonso Pinzon oddalił się z Pintą w kierunku wschodnim. Ponieważ Kolumb podejrzewał, że Pinzon stara się przed nim znaleźć złotodajną wyspę Babeque, więc dawał Pincie sygnały za pomocą latarni zawieszonych na maszcie; ale chociaż noc była jasna, a wiatr pomyślny, wszakże Martin Alonso wraz ze statkiem swoim zniknął dnia następnego. Admirał z dwoma pozostałymi okrętami trzymał się dalej dotychczasowego kierunku i popłynął przeciw wiatru ku wschodniej kończynie Kuby. D. 15. listopada nasycił się Kolumb widokiem lasów iglastych na wybrzeżu i patrząc na

*) Las Casas, Hist. gen. ms. I. cap. 46. Oviedo robi uwagę, (lib. V. cap. 2. tom I, p. 131), że nie trawę lub cygara nazywano *tabacos*, ale widłową rurkę, którą Indyanie wstawiali w nozdrza, ażeby drugim końcem wciągać dym z rozżarzonych liści tytoniowych.

pnie wspaniałe widział już, jak się tu budować będą najpotężniejsze na świecie floty. Z niemniejszym zachwytem maluje sam łagodne pochyłości Kuby, pokryte palmowemi i iglastemi drzewami i jeden z najmilszych zakątków ziemi (la mas hermosa cosa del mundo), gdzie się nagle otworzyła przed nim ukryta, cienista zatoka o przejrzystej wodzie, tak piękna, że zdawało mu się, iż się nie będzie mógł nigdy oderwać od tego przepychu zieleni. Wzywał swoich towarzyszy na świadków, że tysiąc ust nie wystarczyło by do zachwalenia monarchini całej tej piękności, i że gdy to pisze, ręka, jakby w skutek czarów, odmawia mu posłuszeństwa.

Wyspa Babeque, jak przypuszczał, leżała na północ-wschód od niego, gdy piątego grudnia dosięgnął wschodniej kończyny Kuby (Punta de Maysi) i dał teraz temu krajowi na cześć hiszpańskiego następcy tronu nazwę Juana. Jednocześnie na wschodzie ukazało się nowe wybrzeże. Do najbliższego przylądka tej nowej ziemi przez noc dojechano i dano mu nazwę Cabo del Estrella (Cap du Mole St. Nicolas). Gdy dnia 6. grudnia opłynięto ten wdzięczny przylądek wyspy Haiti, wówczas wynurzyły się na wschodzie wzgórki wyspy Tortuga, a wieczorem przystań San Nicolas dała schronienie żeglarzom. Poza dobrze uprawnemi polami, gdzie młoda zieloność okrywała ziemię, jak na wiosnę w okolicach Cordoby, wznosiły się wysokie góry. W nocy świeciły liczne ognie na wyspie, a w dzień podnosiły się wszędzie słupy dymu do góry, ażeby, jak przypuszczał admirał, ostrzedz dalekich sąsiadów o przybyciu zudzoziemców, prawdopodobnie jednak były to ognie służące do odpędzania mosquitos (owadów). D. 7. grudnia przeniesiono się z portu San Nicolas do innej przystani ku wschodowi, którą Kolumb nazwał Puerto de la Concepcion i gdzie ośm dni zabawił. Podróż do wyspy Haiti, której Kolumb dał nazwę Espanioli z po-

wodu jej podobieństwa z andaluzyjskimi krajobrazami, sprzeciwiali się ciągle lukajscy jeńcy, odmalowując z przestraszeniem jej mieszkańców, jako ludożerców. Wymawiali przytem często imię Karibów, które admirał źle dosłyszał, i to źle dosłyszenie było powodem, że ludożercze szczepy amerykańskie nazywano potem powszechnie Caniba albo Canibalami. Zarazem wyraz ten zaprowadził go na dziwne wywody. „Caniba, pisze pod 11. grudnia, nie może nic innego oznaczać, jak ludy Chana, a zatem musi on gdzieś w pobliżu rezydować. Prawdopodobnie wysyła on swoje floty na połów niewolników, a ponieważ krajowcy nie widzą, aby pochwyceni kiedykolwiek wracali, wyobrażają sobie, że ich tam pożerają. Tak to codzień studyuję tych Indyan, a oni nawzajem coraz lepiej nas rozumieją.“

Jakkolwiek ognie zdawały się wskazywać, że kraj jest gęsto zaludniony, przecież dotychczas napotymano tylko opuszczone chaty na brzegu. Nakoniec 12. grudnia trzej majtkowie odkryli bandę zupełnie nagich krajowców, którzy natychmiast uciekli; tylko jakaś młoda, ładna kobieta wpadła im w ręce i tę natychmiast zaprowadzili na okręt. Ubraną i obdarzoną wysadzono ją napowrót na ląd, aby tym sposobem pozyskać sobie ufność krajowców. Następnego dnia wysłano dziewięciu dobrze uzbrojonych ludzi w głąb kraju, gdzie o cztery mile od brzegu natrafili na osadę z 1000 domów. Z początku i tu przerażeni krajowcy zaczęli uciekać, ale lukajski Indyanin, towarzyszący Hiszpanom, starał się ich natchnąć ufnością, co w istocie nastąpiło, gdy część krajowców wniosła w tryumfie na barkach kobietę, którą Kolumb obdarowawszy puścił na wolność. Wysłani na zwiady wymownie za powrotem odmalowywali wdzięki kobiet, które nie znajdowali ciemniejszymi od Andaluzek, a tymczasem admirał nasycił się czystą radością podziwiania nowych okolic, ozdobionych wierzchołkami gór, które mu się wydawały

wyższe od Pic'u Teneryffy. Nocą z pokładu przysłuchuje się strzykaniu koników polnych, skrzekotaniu żab, i ciągle mu się zdaje, że pomiędzy pierzastymi spiewakami słyszy rodzinnego słowika. D. 15. grudnia dotknięto przejazdem wyspy Tortuga, a następnego dnia na Espanioli przy zwiedzaniu jakiejś wioski indyjskiej poraz pierwszy zawiązano stosunki z jednym z kacyków. D. 18. grudnia w święto Panny Maryi, kiedy flagi powiewały a działa grały, kazał się indyjski książę zanieść w lektyce na brzeg a ztamtąd przeprawił się do okrętów. Zachowywał on arystokratyczną powagę i stosownie do indyjskiej etykiety mówił bardzo mało. Przy pożegnaniu dano na cześć jego salwę z dział.

Od 19. do 24. grudnia oba okręta posuwały się powoli między Tortugą a Espaniolą ku Wschodowi. Wysłańcy nitaynów czyli magnatów ukazali się na pokładzie, brzegi zaroiliły się ciekawymi i nieraz setki łodzi przywoziły okrętom żywności, chleba cassabe, korzeń yams, bawełnę, a przedewszystkiem złoto. Im dalej na wschód, tem większe były bryłki złota lub złote ozdoby, które naiwni krajowcy oddawali za perły szklanne, dzwoneczki i najlichsze drobiazgi. D. 23. grudnia z 1000 ludzi zwiedziło eskadrę w łodziach, drugież tyle wplaw puściło się od brzegu, a między nimi tacy, co z głębi kraju przybyli, aby oglądać cudzoziemców. Wszędzie przy większem zaludnieniu okazywały się wyżej rozwinięte stosunki, niżeli na pustej Kuby. Domy w osadach tworzyły ulice, podział ludu na poddanych i panów wyraźnie występował, i dawał się słyszeć jakiś inny język, niezrozumiały lukajskim Indyanom. Gdy wreszcie krajowcy ojczyznę złota, gdzie jakoby umiano złoto odlewać w formy, nazwali Cibao, to nazwa ta w Kolumbie nowe wywołała złudzenie, i był on pewny, że teraz już dosięgnął Zipangu Marco Pola.

D. 24. grudnia opuścił admirał zatokę Acul i opłynął przylądek, któremu dał nazwę Punta Santa. Na kilka dni przedtem wysłał był łódź dla zbadania drogi wodnej, którą miał odbywać, tak że teraz po dwóch nocach czuwania pozwolił sobie odpocząć. Około północy spali wszyscy majtkowie, a ster wbrew surowemu zakazowi admirała poruczono jakiemuś młodzikowi. Nieświadomy niebezpieczeństw wprowadził on okręt na ławę piaszczystą, pomimo iż szum wody, który ostrzegał o niebezpieczeństwie, słychać było na milę. Na okrzyk trwogi tego młodego sternika, admirał pierwszy wyskoczył na pokład i kazał spuścić łódź dla zarzucenia kotwicy, gdyż jeszcze można było ocalić okręt. Ale załoga, której to polecono, straciła zupełnie przytomność, nie tylko nie wykonała rozkazu, ale schroniła się na pokład Niny, żeglującej w półmilowem oddaleniu. Ztamtąd z gniewem zawrócono majtków do pełnienia swoich obowiązków, a zarazem wysłano na pomoc łódź karaweli. Ale Santa Maria, pomimo iż zrzucono maszt dla ulżenia jej, nie dała się już ocalić, i chodziło już tylko o przewiezienie ludzi i zapasów na brzeg. Nazajutrz rano posłał admirał do wsi pewnego kacyka imieniem Guacanagari, który go kilka dni przedtem kazał był przez posków powitać. Naczelnikowi i wszystkim Indyanom obfite łzy stanęły w oczach, gdy się dowiedzieli o rozbiciu okrętu. Na skinienie Kacyka poddani jego pomagali przewozić na łodziach rzeczy z rozbitego okrętu i tak uczciwie sobie postępowali, że, jak admirał zapewnia, ani jednego ćwieczka nie zabrakło.

Niejaką pociechę było dla rozbitków, że natychmiast wywiązał się zyskowny handel złotem. Kolumb i Guacanagari odwiedzili siebie wzajem. Ruchy kacyka były urozyste, po uczcie kazał sobie podać wodę do mycia, wycierał ręce trawami, i zachowywał się, dodaje Kolumb, jak człowiek, który daje poznać dobre pochodzenie. Żeby dać

niejako przestroge dla Jaśnieoświeconego gościa, kazał Kolumb z kilku dział wypalić, a jednemu ze strzelców okazać zręczność swoją w strzelaniu z łuku. Na pożegnanie obdarowano kacyka koszulą i niewymownie uszczęśliwiono parą rękawiczek. Następnie admirał oddał mu wizytę w jego rezydencji, gdzie go Guacanagari w pośród swego dworu, składającego się z pięciu wasalów, uroczyście przyjmował i znowu nastąpiła wymiana podarków. W krótkim czasie tą wymianą tyle nagromadzono złota, że Kolumb dziękował Opatrzności, iż w tem miejscu, a nie innem rozbił się jego okręt. Niezwłocznie z uratowanych szczątków Santa Maria zaczął budować zamek z wieżą i rowem dookoła. Mnóstwo było ochotników do zostania w tym powabnym kraju. W małej forteczce, od dnia rozbicia się okrętu nazwanej Navidad, zostawił Kolumb trzech oficerów: Diega de Arana z Cordoby, Pedra Gutierrez z Segowii, i Rodriga de Escovedo, a pod ich dowództwem czterdziestu ludzi, po większej części majtków, ale był w tej liczbie także i jeden cieśla, jeden kalfater (który oblewa okręta smołą, itp.), jeden lekarz, jeden krawiec i jeden artylerzysta. Zostawiono im łódź dla odbywania podróży przy brzegach wraz z bronią, prochem i artyleryą, zaopatrzone na rok w suchary i dano resztę towarów, służących do wymiany. Za powrotem Kolumb napewne spodziewał się zastać beczkę złota i w trzech latach tyle go dostarczyć tronowi kastylskiemu, że ten ostatni będzie mógł przedsięwziąć wyprawę do Ziemi świętej. Był przekonany, że kilku utarczками na próbę takiego napędził strachu krajowcom, iż jeszcze przed ukończeniem wałów, 4. stycznia, odpłynął na Ninie z Navidad. Zwrócił się teraz ku wschodowi, gdzie wznosiła się góra Monte Cristi, której dał wówczas to imię, a która z daleka, z powodu kształtów przypominających namiot, wydawała się oddzieloną od lądu wyspą. Po rozbiciu się okrętu podwójnie dawał mu się uczuwać

brak Pinty, niebezpiecznie bowiem było na jednym okręcie przedsiębrać większe podróże wzdłuż brzegów. Dreczyło go też podejrzenie, że Martin Alonso Pinzon ruszył z powrotem do Hiszpanii i może dlań źle usposobić dwór królewski. Jeżeli dawniej termin powrotu naznaczył na kwiecień 1493, to teraz sądził, że ani chwili nie może zwlekać. Wprawdzie 27. i 30. grudnia przynosili krajowcy do Navidad wiadomość, że widziano jakiś okręt europejski dalej na wschód przy brzegach, ale majątek, wysłany tam na indyjskim statku, nigdzie nie mógł dostrzedz Pinty i z niczem powrócił 1. stycznia. Nareszcie 6. stycznia, gdy już Monte Cristi było w tyle za nimi, straż czuwająca w koszu masztowym spostrzegła Pintę, która z wiatrem wschodnim ku nim płynęła. Martin Alonso Pinzon tłomaczył się na pokładzie Niny ze swego oddalenia, a admirał wyznaje, że uznał za dobre tajemny gniew swój ukryć do chwili powrotu.

Podług okrętowego dziennika Kolumba Pinta oddaliła się była w nocy z 21. na 22. listopada, ażeby poszukiwać wabiącej złotem wyspy Babeque. Od Cabo de Cuba (Punta de Mulas) posuwając się na wschód trafiła ona na Inagua grande i grupę Caicos. Pinzon wyznał admirałowi, że dotarł do wyspy Babeque, ale nie znalazł tam złota wcale, jak to mu obiecywali sprowadzeni z Guanahani Indyanie. Krajowcy Babeki wskazali mu Espaniołę, jako obfitującą w złoto i Pinta popłynęła ku Espanioli, do której przybyła na trzy tygodnie przed połączeniem się okrętów a zatrzymała się o jakie 15 leguas od Navidad. Tam rozpoczął się zaraz bardzo zyskowny handel złotem, krajowcy bowiem za szpilki oddawali „grube na dwa palce,” a czasem jak pięść duże kawałki złota. Pinzon cały przychód złota podzielił na dwie połowy, z których jedną sobie zatrzymał, a drugą rozdzielił między załogę. Tym sposobem Espaniola była prawie jednocześnie odkrytą przez

Kolumba i przez Pintę, w każdym razie jednak trochę wcześniej przez admirała. Pinzon starszy wylądował prawdopodobnie pomiędzy Monte Cristi a Cap Izabella, z kądem do Navidad doszła wiadomość o jego przybyciu. Następnie płynął brzegiem ku wschodowi aż do małej rzeczki, dzisiejszej Chuzona Chico, której dał nazwę Rio Martin Alonso. Tu za pomocą zamiany zebrano znaczną ilość złota, Pinta bowiem przez 16 dni stała u tego wybrzeża. W przeciągu tego czasu Martin Alonso z dwunastu ludźmi udał się w głąb wyspy, jakoby aż do Maguana w państwie Canonabo, musiał więc przechodzić koło tak słynnych później płuczkarni złota w Cibao. Tam wewnątrz wyspy, gdzie stosunki były bardziej rozwinięte, dowiedział się, że na południe od Juany (Cuba) leży inna obfitująca w złoto wyspa Yamaye (Jamaica), i że z *Espanioli lub Yamaji w dieście dni na indyjskim statku można dostać się do lądu, gdzie mieszkają ludy noszące odzież.**) Za powrotem otrzymał Pinzon od krajowców wiadomość o karaweli i niezwłocznie pośpieszył naprzeciw niej.

D. 8. stycznia Łódź, nabierając wody u ujścia pewnej rzeki (Rio Yaque) o milę na południe od Monte Cristi, znalazła złoto w piasku brzegowym, a nawet między obęczami przywiezionych beczek z wodą pył złoty, w skutek czego rzeka otrzymała nazwę Rio del Oro. D. 10. stycznia przyjechano na miejsce, gdzie Pinta stała na kotwicy i gdzie tak zyskowny handel się odbywał. Admirał zmienił nazwę rzeki (Rio Martin Alonso) na Rio de Gracia i kazał puścić na wolność krajowców, których tu kapitan Pinty był pochwycił.

D. 1. stycznia oba okręta ujrzały Cabo Frances i odkryły 12 przylądek i zatokę Samana. Następnego dnia

*) Dziennik okrętowy 6. stycznia 1493. Wiadomości te, widocznie wskazujące stosunki z Yucatanem, zostały potem na nieszczęście zaniedbane.

Kolumb na podstawie astrologicznych wskazówek oczekiwał burzy i statki szukały bezpiecznej przystani. Pewna łódź, która miała na brzegu wymienić żywność, znalazła tam dziwnego rodzaju ludność. Byli to ludzie nadzy, jak wszyscy inni krajowcy, ale odróżniali się od dotychczasowej nadbrzeżnej ludności długimi włosami, a przede wszystkim łukami i strzałami. Zapas też słów indyjskich, jaki zebrano, nie wystarczał do rozmówienia się z nimi. Znajdowano się mianowicie przed terytoryum Ciguajów, czyli karybskich przybyszów.

Z początku ludzie będący w łodzi nakłonili ich do pokojowej wymiany ale nagle dzicy za broń chwycili. Hiszpanie, bystrzejsi od krajowców, pchnięciem piki i strzałem z arbaletu ubili dwóch Cigajów, poczem reszta rzuciła broń i uciekła. Była to pierwsza krew, którą Hiszpanie Nowy Świat zarumienili. Jednakże następnego dnia krajowcy zdawali się o wszystkim zapominać, gdyż wódz Cigajów udał się na okręt i pozwolił się tam częstować sucharami i wodą z miodem. Czterech jego ludzi, którzy bardzo dokładnie opisywali archipelag ku południo-wschodowi, zatrzymano na okrętach.

D. 16. grudnia zabrano się do powrotu do Hiszpanii nie bez obawy, gdyż się woda zaczynała sączyć do statków. Z początku trzymał się admirał północno-wschodniego kierunku, potem sterowano przeciętnie na wschodopółnoco-wschód. Widocznie chciał Kolumb znowu dostać się na wysokość wysp kanaryjskich, gdyż podług błędnego swego obliczenia miał się pod Navidad znajdować od równika tylko o 17 stopni. Nina daleko lepiej żeglowała i zostawiła w tyle Pintę, której żagle przedniego masztu nie funkcyonowały dobrze. 6. i 7. lutego usiłowali majtkowie oznaczyć długość geograficzną, pod jaką się znajdowali. Vicente Yanez Pinzon twierdził, że 6. lutego przepływano południk wyspy Flores i zbliżano się do Ma-

dery; tymczasem na Pincie Per alonso Nino 7. lutego znalazł, że się znajdowano pomiędzy południkiem Terceiry a Santa Marii o 12 leguas na północ od Madery. 10. lutego powtórnie pracowali sternicy Niny nad mapą i zdawało się im, że się już znajdują po tej stronie południka najbardziej wschodniej z wysp Azorskich, o pięć leguas od niego. Rachunek Kolumba wynosił mniej o 150 leguas, i w tem obliczeniu utwierdzało go bardzo trafne spostrzeżenie. „Jadąc tamtędy, pisze w swoim dzienniku, dotknąłem poraz pierwszy brzegu wielkich łąk atlantyckich w odległości 260 leguas od wyspy Ferro, a teraz jeszcze 6. i 7. lutego przejeżdżaliśmy przez morszczyzny.“ Umiął zatem i z łąk wodorostowych skorzystać przy oznaczeniu miejsca na oceanie; był to bardzo dowcipny środek przy ówczesnym braku dobrych sposobów. 12. lutego podniosła się burza. W nocy w północno-wschodniej stronie przeciągały grzmoty z piorunami, w dzień wiatr się wzmógł, a wzburzone morze rzucało statkami bezlitośnie. W nocy na 14. lutego jeszcze się pogorszyło położenie i w tych pełnych trwogi chwilach zniknęła Pinta, która dotąd punktualnie odpowiadała na sygnały latarniane, a teraz burzą z widnokregu Niny została porwana. 15. rano niebezpieczeństwo wzrosło do tego stopnia, że Kolumb proponował, aby ślubować pielgrzymkę do Guadalupe. Ciągniono losy, kto ma wysłać pielgrzymę, i admirał wyciągnął z czapki ziarnko grochu ze znakiem krzyża. Potem ślubowano drugą pielgrzymkę do Loreto i los padł na pewnego człowieka z Kadyksu, któremu admirał obiecał zwrócić kosztą podróży. W końcu ślubowano pielgrzymkę do świętej Klary w Moguer i admirał powtórnie wyciągnął los z krzyżem. W tem niebezpieczeństwie niepokoiła Kolumba myśl, że wraz z nim może być zagrzebaną wielka tajemnica Zachodu. Myślał o swoich obu chłopakach, którzy zostaliby sierotami i którymby zasługi

ojca na nic się nie przydały. Ale potem wyrzucał sobie gorzko, iż tak mało ma ufności w Opatrzność, która widocznie dotąd nim kierowała. „Ale serce moje“, sam otwarcie wyznaje, „było za słabe, aby mogło wrócić do spokoju.“ Napisał wówczas depeszę o rezultacie swoich odkryć, zapieczętował pergamin i zapewniał znalazcy nagrodę w sumie 1000 dukatów, jeżeli ten nierozpieczętowane pismo wręczy dworowi kastylskiemu.*) Potajemnie, aby załoga nie postrzegła, rzucił depeszę do beczki, i spuścił beczkę w morze.

Wreszcie wieczorem 14. lutego niebo się nieco wyjaśniło, a przez noc i morze się trochę uspokoiło. Następnego dnia w dali ukazał się ląd, który jedni brali za Madereę, drudzy za brzeg Portugalii, ale morze jeszcze było tak wzburzone, że ani tego, ani następnego dnia nie można było zarzucić kotwicy. Wiedziano już jednak, że to są Azory. 17. zbliżono się do brzegu i łódź wysłana na ląd dowiedziała się, że się znajdują przed wyspą Santa Maria, i że mieszkańcy takiej burzy, jak ta co szalała od dni czternastu, nie pamiętają w całym swoim życiu. Potajemnie zadowolony z tego, że sam jeden należycie ocenił przebytą odległość, wyznaje admirał w swoim dzienniku: „Umyślnie powiększałem zawsze przebytą odległość, aby nie dać się sternikom i żeglarzom oryentować na mapie i dla siebie tylko zachować klucz do zachodniej żeglugi. Udało mi się to tak dobrze, że teraz nikt nie może z pewnością oznaczyć drogi do Indyi.“ Wieczorem 18. lutego namiestnik Santa Maryi, Joao de Castanheda, posłał kurczęta i świeży chleb na pokład Niny. Kolumb nazajutrz rano posłał połowę swej załogi na ląd, ażeby w kaplicy, którą widać było z okrętu, odprawili pokornie w jednej koszuli nabożeństwo do Matki Boskiej, jak to słu-

*) Vida del Amirante. cap. 35.

bowali podczas sztraszliwej burzy 24. lutego. Tam Castanheda napadł modlących się i kazał ich pojmać. Admirał zniecierpliwiony zbliżył się z Niną do brzegu, gdzie zobaczył jazdę i ludzi zbrojnych. Wówczas nadjechał ku niemu portugalski namiestnik w łodzi silnie obsadzonej ludźmi i wdał się z Kolumbem w rozmowę, która się wśród pogróżek z obu stron przerwała. Następnie Portugalczycy przecięli linę kotwiczną i zmusili Ninę do oddalenia się na pełne morze (20. lutego). Nadaremnie tego i następnego dnia szukał Kolumb wyspy S. Miguel; powrócił i potem do Santa Maria, gdyż w wielkim był kłopotcie mając na pokładzie tylko trzech zdolnych majtków. Wieczorem przybyła do karaweli łódź portugalska z notaryuszem, który kazał sobie przedłożyć królewskie patenta admirała. Następnie uniewinniano się z tego, co zaszło, i wypuszczono uwieczoną załogę. Prawdopodobnie sądzili Portugalczycy, że hiszpański okręt powraca z Gwinei, aż póki z ust uwieczonych nie przekonano się, że tak nie było. Aż do 24. pozostano przy wyspie, dla nabrania wody i balastu; a gdy wieczorem tego dnia powiał wiatr przyjazny, zabrano się w drogę do ojczyzny. Ale niebezpieczeństwa jeszcze się nie były skończyły. D. 3. marca wiatr tak silnie uderzył w żagle, że porwał je wszystkie i statek znalazł się znowu w tak groźnem położeniu, że ślubowano pielgrzymkę w koszuli do cudownego obrazu w Huelba, i poraz trzeci los padł na kardynała. W nocy na 4. marca wzmógł się wicher, a burze z grzmotem i piorunami przeciągały nieustannie. W czasie pierwszej straży zawołano „ziemia“ i nad ranem admirał rozpoznał Roca da Cintra. Statek był w takich śmiertelnych zapasach z morzem, że ludzie z Cascaes, którzy to z brzegu widzieli, modlili się w kościołach za nieszczęśliwych żeglarzy i potem ocalenie ich za cud podawali. Potem dowiedziano się w Rastello (Belem), że nie pamiętano tam tak burzliwej zimy. Dwa-

dzieścia pięć wielkich kupieckich okrętów zginęło w podróży do Flandryi, a statki stojące na Tagu od czterech miesięcy czekały na pomyślną pogodę. Jakkolwiek admirał rad był uniknąć portugalskiego portu, musiał przecież 4. marca rano zarzucić kotwicę pod Rastello na Tagu.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

PODZIAŁ ŚWIATA NA HISZPAŃSKĄ I PORTUGALSKĄ POŁOWĘ.

Kolumb i Jan II. Śmierć Martina Alonsa Pinzona. Przyjęcie Kolumba w Hiszpanii. Fonseca. Papież dzieli kulę ziemską. Dyplomatyczne groźby Portugalii. Nowa linia podziałowa. Uzbrojenie wielkiej armady.

Zaraz po przybyciu Kolumb uprosił sobie u króla Jana II., że pozwolono mu z karawelą popłynąć w górę rzeki do Lizbony i tam przedstawić się królowi. Przedtem jednak zjawił się u niego pod Rastello Bartolomeu Dias (może ów słynny odkrywca) i prosił grzecznie admirała o pokazanie mu admirałskiego patentu. Wkrótce potem podjechał do karaweli z muzyką i uroczystą okazałością kapitan portu Don Alvaro da Cunha, i ofiarował swoje usługi. D. 6. a jeszcze bardziej 7. marca krążyły w około okrętu barki gęsto napełnione ciekawymi, znamienici goście odwiedzali pokład Niny i wszyscy wracali z zadowolonemi minami. D. 8. marca Don Martin de Noronha przyniósł admirałowi piśmienne zaproszenie królewskie do pałacu letniego Val de Paraiso, dokąd się dwór był udał z powodu zarazy panującej w Lizbonie. Brzydka była pogoda, gdy Kolumb późno 9. marca przybył do pałacu. Król kazał mu łaskawie usiąść i po mistrzowsku ukrywał niezadowolenie pod maską największej wesołości. Pobieżnie tylko wspominał, że podług traktatów zawartych z Ka-

stylią nowoodkryte kraje z powodu, iż leżą niedaleko od Azorów, powinny by należeć do jego posiadłości. Noc spędził Kolumb, jako gość, w domu D. Diogo d'Almeida, przeora z Crato, najznakomitszej osoby w ówczesnem otoczeniu króla. Kilku kawalerów ofiarowywało się wszczęć kłótnię z admirałem, który nie dość zważał na swoje słowa, i potem go w pozornem uniesieniu zabić; zdawało się im, że z odkrywcą pogrzebią i jego odkrycia. Ale król nie pochwalił tego nieprzydatnego zabójstwa i 11. marca odprawił admirała nietkniętego, ze znakomitym orszakiem i podarkiem 20 espadimów (espadim = około 6 zł. reńskich) dla sternika Niny.

Powróciwszy 12. marca do swego okrętu, gotował się admirał nazajutrz rano do odjazdu i 15. marca, znowu w Piątek, stanął już przed Barre di Saltes. Tego samego wieczora zawinął do Palos Martin Alonso Pinzon na Pincie. Przyjeżdżał on z Bajonny w Galicyi, zkąd naprzód uwiadomił króla o odkryciu, i prosił o osobne posłuchanie, na co otrzymał suchą odpowiedź, aby się stawiał w orszaku admirała. W drodze zachorował, królewska niełaska przygniotła ten wielki umysł, i Pinzon w kilka dni potem, prawdopodobnie na początku kwietnia, umarł. Nie-nawisć, jaką ku niemu pałała rodzina Kolumba, przez dłuższy czas przyćmiewała pamięć tego znakomitego marynarza. Jeżeli umyślnem oddaleniem się 21. listopada 1492 narażał szczęśliwy powrót eskadry do Hiszpanii, to przecież ożywiał go w tym razie prąd wieku, dążącego do rozszerzenia wiedzy o dalekich obszarach świata. Było przytem rzeczą bardzo ważną, że na eskadrze Kolumba znajdował się znakomity i popularny marynarz, który samodzielnie rozmyślał nad zadaniem odkrycia zachodniej drogi morskiej do Indyi, który był tak śmiałym, że atlantycka przeprawa nie miała dlań niebezpieczeństw, i który na swoim dobrym okręcie sam jeden puścił się na

antylskie wody w celu dalszych odkryć. Należy zatem Martinowi Alonso przyznać największą po Kolumbie zasługę w sprawie wykonania trudnego przedsięwzięcia, i kastylska korona dług tylko spełniła i to trochę późno, gdy zasługi wielkiego człowieka uczciła w potomstwie jego.*)

W niedzielę Kwietnią, 31. marca, odbył Kolumb wjazd do Sewilli i niezwłocznie puścił się w dalszą drogę do Aragonii, dokąd go dwór pismem z 30. marca zapraszał. Towarzyszyło mu sześciu krajowców antylskich, czterech zaś innych zostawił w Sewilli. Niesiono przed nim papugi i rozmaite dziwy Nowego Świata, przedewszystkiem zaś okazy znalezionej tam złota. Dokądkolwiek przybywał, ulice wnet pokrywały się ludźmi, pragnącymi obaczyć ciekawego człowieka i przywiezione przezeń rzadkości. Dwór, znajdujący się wówczas w Barcelonie, układał się właśnie o zwrot hrabstw Perpignan i Roussillon z Francją, która, wpłatawszy się we włoskie sprawy, musiała neutralność Hiszpanii okupić ustępstwami. W ogóle około tego czasu przygotowywały się tak wielkie przewroty w Europie, że polityczne roboty na dworach, ciągle przyjeżdżanie i odjeżdżanie posłów i agentów dyplomatycznych podobne było do „rojenia się mrówiska.“ Król Ferdynand nie był jeszcze wówczas zupełnie wyleczony z niebezpiecznej rany, którą 7. grudnia 1492 otrzymał w Saragossie pchnięty sztyletem pewnego starca, cierpiącego pomieszanie zmysłów. Zajęci najpoważniejszymi sprawami państwa przyjęli monarchowie odkrywcę prawdopodobnie w połowie kwietnia w Barcelonie. Przyjęcie odbyło się na rynku zapełnionym tłumami, gdzie kazano wzniesić tron na rusztowaniu. Za uka-

*) Rodzina Pinzonów, przez Karola V. wyniesiona do stanu szlachty hiszpańskiej, z przydomkiem Don, do dzisiejszego dnia żyje w pomyślnych stosunkach majątkowych w małym miasteczku nadbrzeżnem Moguer niedaleko Palos. (W. Irving, *Life of Columbus*, tom I. p. 264).

zaniem się admirała król powstał i dawszy mu pocałować rękę, prosił go, by usiadł na krześle. Był to największy zaszczyt, jaki hiszpańscy królowie mogli wyświadczyć poddanemu. Królewska para obdarzyła odkrywcę herbem, który na wyższych polach miał złoty zamek Kastylji i czerwonego lwa Leonu; na dole na prawo złote kraje i wyspy, na lewo pięć kotwic admirała, a między obu polami w pół przykryty rodzinny herb Kolumba.)* Często przejeżdżał się król po Barcelonie konno z infantem Don Juanem po prawej, z admirałem po lewej ręce. I wielki kardynał Mendoza składał hołdy odkrywcy i kazał mu przy obiedzie podawać półmiski tak, jak grandowi hiszpańskiemu.**)

D. 28. maja wygotowano dla admirała uroczyste potwierdzenie wszystkich praw, które sobie zastrzegł w traktacie Santa Fe (30. kwietnia 1492). Ponieważ Kolumb obiecywał, że po drugiej stronie atlantyckiego oceanu znajdzie obfitujące w korzenie wyspy indyjskie, rojące się statkami porty Kathaju, miasta chińskie z wesołymi kanałami, marmurowymi mostami i pozłacanymi pałacami, to w naszych oczach pierwsza jego wyprawa zupełnie mu się nie powiodła. Ale ani on sam, ani dwór, ani zadziwiona Hiszpania nie mogła jeszcze przeczuwać wielkiej tajemnicy nowego ładu stałego, i tylko niektórzy bojaźliwie objawiali swoje powątpiewanie, czy odkryte wyspy i wybrzeża należą do wschodniego oceanu. Admirał nie szczędził słów na opisanie świetności, przepychu i

*) Według opisu u Navarette (tom. II. Nr. XX) brakowało kotwic, które prawdopodobnie wraz z globem, z krzyżem na helmie, i z legendą: *por Castilla-y por Leon nuevo mundo hallo Colom*, dopiero później nadane zostały potomkowi pierwszego admirała.

**) Przy jednym z takich bankietów miała zająć scena z jajem, w której Kolumb, jakoby zawstydził tych, co starali się umniejszać jego sławę. Tę nieprawdziwą historyjkę zawdzięczamy łatwowiernemu Benzoni (Mondo Nuovo. I, p. 12). Zdarzenie to tak źle jest zastosowane do osób i czasu, kiedy Kolumb karmił się jeszcze słodyczą powszechnej łaski, że trudno pojąć, jak to jałowe opowiadanie aż do dzisiejszego dnia mogło pozostać popularnem.

wdzięku podzwrotnikowych krajobrazów, wygody bezpiecznych portów, opowiadał szeroko o drzewie masztowem kubańskich lasów i różnaitości form roślinnych. Ponieważ atoli korona w nadziei, iż w istocie osiągnięto ziem pożądaných, zaczęła szykować armadę i zamierzała przedsięwziąć kolonizacyę na wielką skalę, to przyszłych kolonistów nie można było zadowolnić samymi choćby najpojętniejszymi obrazami natury lub rojeniami o przyszłych flotach i składach handlowych, i admirał musiał brać na siebie odpowiedzialność i za mniemane bogactwa, które ukazywał w perspektywie. Był on przekonany, iż odkrył korzenie, drzewo mastykowe, aloes, rubarbarum, ławice perłowe i złotonośne rzeki i obliczał z największą pewnością, ile milionów w złocie mogą zebrać do jego powrotu koloniści pozostawieni przez niego na Espanioli. Wpadł też na myśl złowrogą, że korona kastylska może ludność Nowego Świata w nieograniczonej liczbie obrócić w niewolników.

Szykowanie nowej eskadry z wielkim odbywało się pośpiechem. D. 23. maja wygotowano szereg rozkazów do Andaluzyi dla werbowania rolników, majtków i żołnierzy, dla zamówienia placzków okrętowych, wina, prochu i broni, i dla wynajęcia statków. 28. maja Kolumb mianowany został naczelnym dowódcą, Antonio de Torres drugim admirałem¹ eskadry, Penalosa komendantem sił zbrojnych, korona wysłała osobnego pełnomocnika dla czuwania nad uzbrojeniem i wydatkami wyprawy. Wybór padł na młodszego syna pewnej znakomitej rodziny, Juana Rodriguez de Fonseca, który był jeszcze wówczas dziekanem arcybiskupstwa sewilskiego, a potem biskupem w Badajoz. Wprawdzie miał on tylko zezwalać na wydatki, ale mimowolnie zaczął wykonywać władzę ministra kolonii, czyli jak się wkrótce potem wyrażano, przewodniczącego rady indyjskiej. Przez trzydzieści lat z wielką zręcznością wy-

wiązywał się ze swego zadania, które, jak robi uwagę Las Casas, przystawało „raczej Baskowi, jak duchownemu.“ Sławę tego człowieka oczernił Don Fernando Colon, syn admirała, i bez wątpienia niektóre kroki, przezeń doradzane, zasługują na naszą nagane. Trudno jednak przypuścić, aby osobista nienawiść i stronnictwo były ciągłemi sprężynami jego postępowania; leżało to już w jego urzędzie, że nie zawsze mógł czynić zadość roszczeniom odkrywców i zdobywców, i że musiał tym lub innym sposobem usuwać ludzi, których zuchwałość i popularność w dalekich od państwa stronach wydawały się niebezpiecznemi. Jeżeli szukano człowieka, któryby najlepiej dbał o interesa korony i umiał ją wzbogacić kosztem odkrywców i zdobywców, to w tym względzie nikt nie był zdolniejszym od Fonseki; otoż to co niemiłego było w urzędzie, przeniesiono na osobę ministra.

Ferdynand i Izabella po powrocie Kolumba natychmiast pośpieszyli wyjednać sobie u papieża potwierdzenie na nowozajęte i przyszłe możliwe posiadłości na zachodzie atlantyckiego oceanu. Pod względem prawnopaństwowym zezwolenie papieskie miało nadzwyczajną wagę, o ile mogło wykluczyć Portugalczyków od odkryć zachodnich. Gdyby bowiem dwór portugalski nie chciał uważać na papieskie lenne nadanie, to tym sposobem narażałby wszystkie swoje roszczenia prawne do wyłącznego korzystania z afrykańskich odkryć i żeglugi do Indyi, które wyłącznie polegały na powadze dawniejszych bull papieskich. W r. 1492 na tron papieski wstąpił Aleksander VI. z domu Borgia. Wprawdzie D. Juan B. Munoz utrzymuje, że Aleksander VI., jako Hiszpan, szczególnie dobrze był usposobiony dla kastylskich roszczeń; my jednak wiemy od współczesnych, że Ferdynand i Izabella nie bardzo byli zbudowani tym obiozem papieskim. Pomimo to Aleksander VI. bullą z 3. maja 1493 nadał koronie kastylskiej

bez wszelkich korowodów władzę nad wyspami i lądami w zachodniej części oceanu, z zastrzeżeniem, że nie ma to w niczem uszczuplać praw poprzednio nabytych przez pewnego chrześcijańskiego monarchę. Dodatek ten, zrobiony widocznie na korzyść Portugalii, otrzymał bliższe wyjaśnienie w bulli wydanej następnego dnia (4. maja). Ażeby z góry usunąć wszelki powód do sporu, przeciągnął papież „graniczną linię od północnego bieguna do południowego“ i nadał koronie kastylskiej „wszystkie posiadłości, wyspy albo lądy na zachód od tego południka ku Indyom lub gdziekolwiek położonym. Południk ten ma być oddalonym od wysp Azorskich lub Capverdyjskich o sto mil hiszpańskich na zachód.“ Tym sposobem bulla ta przekroiła bulę ziemską, jak jabłko, i jedną połowę ofiarowała Kastylii, drugą Portugalii. W naszych czasach ta matematyczna bezstronność wielkiby poklask zyskała, ponieważ idealna linia podziału z łatwością mogłaby być w rzeczywistości przeprowadzoną. Ale wówczas, kiedy nie miano ani przyrządów ani metody do mierzenia i dzielenia odległości południkowych, kiedy mapy fałszywie podawały stosunki przestrzeni, linia przekroju kuli ziemskiej pograżała się w zupełnej ciemności.

Zaledwie Kolumb opuścił Lizbonę, wnet Dom Joao II. zwołał radę stanu do Torres vedras, na której postanowiono uzbroić eskadrę, ażeby wzbronić hiszpańskim okrętom przeprawy do atlantyckiego zachodu. Powoływano się na to, że bulle papieskie wyłącznie Portugalią uprawniały do odkrycia Indyi. Dowództwo nad tą flotą otrzymał Dom Francisco d'Almeida, niezagasłej pamięci zdobywca Indyi. Jak tylko się dwór hiszpański dowiedział o tych uzbrojeniach, niezwłocznie przesłał rozkaz księciu Medina Siconia, zgromadzenia eskadry w Andaluzyi. Tymczasem pojawił się na dworze hiszpańskim portugalski poseł Ruy de Sande, i żądał w imieniu swego króla, aby monarcho-

wie hiszpańscy przedsiębiorając dalej odkrycia na Atlantyku nakazali swoim marynarzom *nie przekraczać nigdy ku południowi równoleżnika wysp Kanaryjskich*. Ale już przedtem wysłany był Lope de Herrera do Lizbony, jako pełnomocnik kastylski z podwójnem pełnomocnictwem. Gdyby przybywając do Portugalii nie zastał tam żadnych nieprzyjacielskich przygotowań, to miał króla Jana II. uspokoić pod względem jego afrykańskich posiadłości; gdyby atoli zauważył, że uzbrojenia nie ustają, miał sucho i groźnie zażądać ich powstrzymania. Dom Joao II., który zawsze z wielkim spokojem kazał rozpieczętowywać depesze przez obcych posłów przywożone i opłacał przedajnych radców na sąsiednim dworze, bez trudu umiał tak rzecz urządzić, że Herrera nie miał sposobności zrobić użytku ze swego wojennego pełnomocnictwa. Z wielkim szumem udało się drugie poselstwo z Hiszpanii, do którego wybrano chromego protonotaryusza, D. Pedra de Ayala, i możnego, ale bardzo ograniczonego kawalera Garcia Lopez de Carvajal. Jan II. uprzedzony o tem, że zadaniem tego nowego poselstwa jest przeciągać układy, zemścił się złośliwym dowcipem, mówiąc o poselstwie, że „jest bez nóg i bez głowy.“ Poleciał też dwom szlachcicom, Per Dias i Ruy de Pina, którzy 15. sierpnia przybyli na dwór hiszpański, wznowić dawne swoje żądanie, ażeby linia demarkacyjna dla odkryć przeciągniętą była nie podług bulli papieskiej od bieguna do bieguna, ale żeby kulę ziemską dzielił równoleżnik wysp Kanaryjskich na dwie części: większą portugalską i mniejszą kastylską, tak że tym sposobem Hiszpanie byliby zupełnie wykluczeni ze zwrotnikowego świata. Ale minął już czas, w którym Hiszpania musiałaby się poddać podobnemu wymaganiu; teraz była silną, zmusiła Francję do wydania hrabstwa Roussillon, i nic jej nie groziło od strony wschodniego sąsiada. Tak więc narreszcie 7. czerwca 1494 zawarty został pomiędzy Hiszpa-

nią a Portugalią słynny ów traktat, który za graniczną linię (raya) dla odkryć dwóch flag ustanawiał południk, ale nie o sto mil, jak wyrokowała bulla Aleksandra VI, tylko o 370 leguas oddalony od wysp Przylądka Zielonego. Wszystkie kraje na zachód od tej linii miały przypaść koronie kastylskiej, wszystkie na wschód Portugalii.

Przy końcu maja pożegnał się admirał z dworem i udał się do Andaluzji, ażeby zająć się uzbrojeniem floty, która 15. sierpnia miała wypłynąć. Z powodu zatargów z Portugaliąstawiali monarchowie w swoich depeszach na jak największy pośpiech, atoli odjazd zwlekał się od tygodnia do tygodnia. Zachęceni żywymi obrazami, w których Kolumb namiętnie Nowy Świat malował, cisnęli się tłumami awanturnicy, szukając miejsca na wielkiej eskadrze. Zamierzano z początku tylko 1200 osób przeprowadzić za Atlantyk, ale liczba ta zwiększyła się o 300; trzy wielkie statki kupieckie i 14 karawel przyszykowano do drogi. Ponieważ brakło majtków, więc dla uzupełnienia załogi potrzeba było podnieść zapłatę.*) Miały też miejsce niesnaski między Kolumbem a Fonseką, ponieważ ten i płatnicy Juan de Soria odmawiali żołdu dla licznej służby admirała. Ale dwór kilkakrotnie naganiał postępowanie Juana de Soria i nakazał Fonsece we wszystkim ustępować admirałowi. Ponieważ się dowiedziano, że jakaś portugalska karawela puściła się z Madery w stronę Nowego świata, więc para monarsza nalegała na niezwłoczny odjazd, doradzała też admirałowi, ażeby się nie zbliżał do portugalskiego brzegu, w przeciwnym bowiem razie obce okręta mogą potajemnie popłynąć za nim i wysledzić drogę. Kolumb wręczył był swoją księgę okrętową

*) Navarr. II. Nro 63. Z dokumentu Nr. 56 okazuje się, że majtkowie otrzymywali miesięcznie 1000 maravedis (20 złr.) pęsy i żywność wartości 1 dukata (6 złr.). Ale te pieniądze podług naszych dzisiejszych pojęć miały wówczas poczwórną wartość.

królowej dla zrobienia z niej odpisu. Ponieważ nadzwyczaj wielką przykładną wagę do tajemnic w niej zawartych, więc królowa kilka razy daje mu zapewnienie, że nie spuszczała dziennika z oczu. Szczególnie go proszą królestwo o morską mapę, z którą się nie rozłączał, tak bowiem podejrzliwie i zawistnie ukrywał przed wszystkimi drogę do Nowego Świata, że jeszcze na krótko przed jego odjazdem, 5. września, Ferdynand i Izabella żądają, „ażeby im przecie pokazał stopnie szerokości i długości wśród których leżą wyspy, przezeń odkryte;“ tak mało wiedzieli samiz monarchowie, gdzie swoich posiadłości szukać mieli.

Między wychodźcami, którzy na wielkiej armadzie 1493 popłynęli do Antyllów, znajdowała się znaczna liczba andaluzyjskich *hijosdalgo*. Wśród nich prześwieca ku nam imię Alonsa da Hojeda, jednego z wasalów księcia Medina Celi. Dwadzieścia lat wówczas mający, małego wzrostu, ale silnie zbudowany, obdarzony mężką pięknoscą i niezwykłą siłą ciała, którą podwoił wprawą i ćwiczeniem, w zuchwalstwie swoim gotów narazić życie dla figla,^{*)} zawsze wspaniałomyślny i po rycersku pobożny, może słusznie uchodzić za niepokalany typ tego żelaznego pokolenia, które pod nazwą zdobywców napełniło historię Nowego Świata nadzwyczajnymi czynami i zbrodniami. Na armadzie spotykamy dalej odkrywcę Florydy, Juana Ponce de Leon, rycerza Juana de Esquivel, pierwszego namiestnika Jamaiki, i Diego Velasqueza, pierwszego gubernatora Kuby, protektora i prześladowcę Ferdynanda Corteza. Między sternikami, którzy się potem własnymi odkryciami odznaczyli, znany nam jest już z pierwszej podróży Peralonso Nino, sternik Pinty, przedewszystkiem zaś należy wymie-

^{*)} Kiedy królowa zwiedzała katedrę sewilską, przechadzał się Hojeda po belku, ogromnie wysoko położonym, ze spokojem linoskoka. Później popisywał się przed dworem swoją niesłychaną siłą, rzucając pomarańczę do wysokości szczytu wieży.

nić Juana de la Cosa z Puerto de Santa Maria pod Kadyksem i sternika Pedro de Ledesma. Udali się też z tą eskadrą i pierwsi misyonarze do Nowego Świata pod przewodem Benedyktyna Fray Boil, który okazał dyplomatyczne talenta przy rokowaniach o zwrot Roussillonu. Nawrócenie najnowszych swoich poddanych za morzem uważała królowa za obowiązek sumienia i surowo zaleciła admirałowi dbać o to, aby przyjaźnie obchodzono się z Indianami i ostro karcić każdego, ktoby im jaką wyrządził krzywdę.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

PIERWSZA PRÓBA PODRÓŻY NA OKOŁO ZIEMI.

Wędrowka zwierząt domowych i roślin uprawnych. Wyspy karybskie. Losy osady Navidad. Budowa Izabelli. Bunt. Obwód królewski. Miny złota. Jamaika. Wyspy ogrodowe przy Kubie. Powrót do Jamaiki. Błędne oznaczanie długości. Choroba Kolumba. Powstanie krajowców na Haiti. Don Bartolomé Colon. Caonabo pojmany. Podbicie Indian. Zatargi z Aguado. Powrót Kolumba do Hiszpanii.

D. 25. września wypłynęła flota z portu kadykskiego. W Sewilli jeszcze pożegnał się Kolumb z obu synami swoimi, Diegiem i Fernandem. Była to najjaśniejsza chwila w jego życiu, gdy się ujrzał na czele 17. żaglowców i 1500 ludzi, którzy płynęli z nim do nieznanego świata, pełni najlepszych oczekiwań. 1. października stanęła flota u wysp Kanaryjskich, aby tam uzupełnić swoje zapasy. Eskadra mianowicie miała zabrać z sobą najdroższe przedmioty dawniejszej kultury, ażeby lądom zaatlantyckim nadać niebawem europejski pozór. Powędrowały tam nasze nasiona zbożowe, ażeby wilgotne lasy rozjaśnić słonecznemi niwami i na bezdrożną przyrodę wiejski rozlać spokój. Powieziono tam także konie, owce, rogate i nierogate

bydło, *pierwsze zwierzęta domowe*, i odtąd możliwym się stał ludzki sposób żywienia się, możliwem życie pasterskie, którego zupełnie brakło pierwotnym stosunkom amerykańskich ludów. Ale do tych wielkich darów dodano na wyspach Kanaryjskich dwa fatalne podarki, mianowicie psy, przyuczone do walki z ludźmi, i trzcinę cukrową, której uprawa miała sprowadzić niewolnictwo murzynów.

D. 13. października opuściła eskadra wyspę Ferro; każdy kapitan dostał zapieczętowaną instrukcyę na wypadek rosproszenia się floty. Ponieważ Kolumb przed odjazdem z Espanioli dowiedział się był, że w południowo-wschodniej stronie od Haiti istnieje szereg wysp wysuniętych ku staremu światu, trzymał się więc teraz bardziej południowego kierunku, niż w pierwszej podróży i tym sposobem pozostawał ciągle w pasie północno-wschodniego pasatu. Dlatego przeprawa mogła być tym razem dokonana w dni dwadzieścia, pomimo iż okręt admirałski, *Marigalante*, okazał się bardzo złym żaglowcem.

D. 2. listopada admirał, znający się na pogodzie, oznajmił bliskość lądu, a następnego dnia powitali wędrowcy śpiewem *Salve Regina* górzystą wyspę, której na cześć dnia niedzielnego dano nazwę *Dominica*. Zostawiono ją na lewo, nie przybijając do niej, a zbliżono się do płaskiej wyspy, która od admirałskiego okrętu otrzymała nazwę *Marigalante*. Kolumb wylądował na niej i objął ją w posiadanie w imieniu korony kastylskiej. D. 4. listopada ukazał się słynny wulkan *Gwadalupy*, to bowiem imię wyspa otrzymała z powodu, że admirał przyrzekł był mnichom z *Nuestra Seniors de Guadalo*pe nazwać jedno ze swoich odkryć imieniem ich klasztoru. Na wyspie złapano kilka *guacamayas*, najpyszniejszy gatunek papug Nowego świata, a przy opuszczonych chałupach krajowców natrafiono z największem podziwieniem na szczątki jakiegoś europejskiego okrętu, przyniesione prawdopodobnie

bnie prądem równikowym. D. 5. listopada łodzie przywiozły do floty dwóch chłopaków i sześć kobiet. Dali oni do zrozumienia, że wyspa jest zamieszkaną przez Karybów, oni zaś sami uprowadzeni mieli być z Puerto-Rico.

Podług ich zeznań Karybowie opuścili byli wyspę, udając się w dziewięciu łodziach na zbójczą wyprawę. Przy oglądaniu chałup i naczyń domowych, które większą staranność zdradzały, nie uszło uwagi Hiszpanów, że ci korsarze daleko bardziej byli rozwinięci od mieszkańców Espanioli. Do 8. listopada stała eskadra na miejscu, ponieważ kilku ludzi, z Veedorem Diego Marque na czele, bez pozwolenia na ląd się udało. Wysłano dla ich odszukania innych, którzy salwami i głosem trąb dawali znak o sobie. Nareszcie znaleźli się zgubieni, obdarci i podrapani. Pierwsza ich znajomość z dziewiczym lasem zwrotnikowym na tem się skończyła, że zupełnie się zbłąkawszy, wyłazili na drzewa, szukając gwiazd, podług których mogliby się kierować w powrocie.

Dnia 10. listopada opuściła eskadra Guadalupe i popłynęła w północno-zachodnim kierunku do Espanioli, tak jednak, że wyspy Karybskie zostały po prawej ręce. Kolumb dał im po kolei dzisiejsze nazwy: Monserrate, Santa Maria la Redonda, San Martin i Santa Cruz. Przybywszy do tej ostatniej 14. listopada wysłano łódź na ląd, zkaż z opuszczonej wioski kilka niewolnic karybskich schroniło się na flotę. Podczas tego zbliżyła się do okrętów jedna canoe z sześciu Karybami (czterech mężczyzn i dwie kobiety), którzy przez parę godzin tak bez ruchu wpatrzni byli w okręta, że im powracająca łódź hiszpańska niepostrzeżenie mogła odciąć drogę od lądu. Jak tylko spostrzegli, że ucieczka jest niemożliwą, natychmiast chwycili, mężczyźni i kobiety, swoje zatrute strzały i puścili je na 25 Hiszpanów w łodzi, z których dwaj zostali ranni, a jeden z nich śmiertelnie. Hiszpańska łódź przewróciła wreszcie

canoe, ale Karybowie, płynąc i w wodzie wznawiając walkę, ręczo schronili się na ląd, tak, że Hiszpanie jednego tylko z nich i to ciężko rannego włóczyli, na pokład przywieźli.

Od Santa Cruz ruszyła eskadra przez rój wysp, które admirał nazwał Santa Ursula i Jedynaście tysięcy panien, ku wielkiej wyspie Boriquen (Puerto-Rico). Dojechano do niej 15. listopada i dano jej nazwę Świętego Jana. Nie zatrzymując się spieszyła eskadra wzdłuż północnego brzegu, i 22. listopada ujrzała na widnokręgu wschodni półwysep Haiti, Samana. 25. listopada, gdy już okręta dostały się do zatoki Monte-Cristi, wysłane do nabrania wody łodzie odkryły cztery trupy z postronkami na szyi i nogach, a pomiędzy nimi jedną twarz brodatą. Dnia 26. listopada powitali krajowcy eskadrę okrzykami „Jubon! Camisa!” dając tym sposobem dowód, jak dobrze pamiętali nazwę tego ubrania. 27. listopada znalazła się flota naprzeciw forteczki Navidad. Zmrok już był zapadł i admirał, na znak swego przybycia, kazał dać ognia z dwóch dział. Atoli złowroga cisza panowała i sygnał pozostał bez odpowiedzi. Łódź jakaś, oddawna posuwająca się za eskadrą, zbliżyła się teraz. Bojaźliwie wypatrując, wołali krajowcy „Almirante! Almirante!” i nie prędzej odważyli się wejść na pokład, aż admirał zapalił świecę, i oni przy jej blasku poznali go. Przybył z nimi krewny kacyka Guacanagari, i przywiózł pewne podarunki. Na naglące pytania odpowiedział z indyjską ostrożnością, że pozostawieni Hiszpanie mieli się wprawdzie dobrze, ale niektórzy z nich pomarli, poczęści z chorób, poczęści w skutek krwawych zatargów, które wybuchły między nimi. Guacanagari przeproszał, że się nie stawia, leży bowiem chory na ranę, którą otrzymał przy napadzie dwóch sąsiednich kacyków Caonabo i Mayreni na jego miasto. Admirał przyrzekał był flocie, że niezliczone łodzie będą go witać

wracającego, tymczasem wszędzie było pusto i głucho, i krajowcy, gdzie tylko ich nazajutrz rano spostrzegano, bojaźliwie umykali przed Europejczykami. D. 28. listopada sam Kolumb udał się na ląd i znalazł tylko zgłiszcza na miejscu warowni. Niektóre przedmioty, należące do Europejczyków leżały rozrzucone, natrafiano też na trupy, nad którymi już wysoko trawa i zielsko wybujało. Admirał tak był pewnym, że zastanie kolonistów w dobrym stanie i w posiadaniu wielkich bogactw, że nie mógł pojąć tego, na co patrzył własnymi oczami. Brat kacyka Guacanagari odwiedził Kolumba i opowiedział otwarcie, że po odjeździe floty każdy z Hiszpanów wziął sobie trzy lub cztery kobiety krajowe. Wkrótce potem Pedro Gutierrez i Escovedo zbuntowali się przeciw Aranie, zabili jednego ze swych towarzyszy i wyruszyli potem do złotego kraju Maguana, do państwa walecznego kacyka Caonabo, czyli „pana złotego domu.“ Tam oni i sprzysiężeni wraz z nimi znaleźli śmierć, a Caonabo zjawił się z siłą zbrojną przed fortem hiszpańskim, który spalił. Diego de Arana, który z pięciu wiernymi sobie ludźmi przebywał w pobliżu Navidad, umknął z towarzyszami łodzią, ale wszyscy oni potonęli. I miasto kacyka Guacanagari znalazł Kolumb zupełnie spustoszone, a wielu krajowców pokazywało świeże blizny, które jednak nie pochodziły od europejskiej broni. Potem odwiedził Kolumb, w malej, dalej położonej osadzie, kacyka Guacanagari, który go przyjmował w zawieszonej macie, otoczony siedmiu żonami, i starał się pozyskać, ofiarowując około czterech grzywien pyłu złotego. W przytomności lekarza okrętowego Chanca zdjął chirurg przewiązkę z nogi kacyka, ale nigdzie nie było rany lub śladu uderzenia kamieniem, na które się skarżył podejrzany pacjent. Radzono admirałowi uwięzić wodza; ale Kolumb uznał za rzecz niestosowną, tak surowo się obchodzić z „monarchą“, a przytem widoki jego

na założenie kolonii mogłyby były na tem ucierpieć; poprzestał więc tylko na pokazaniu kacykowi swej jazdy, której widok więcej przeraził krajowców, niżeli broń ognista. Na drugi dzień przybył brat kacyka znów na pokład i żywo rozmawiał z puertorikańskimi kobietami, które się tam z wysp karybskich schroniły. Z zapadnięciem nocy skoczyły one do morza i popłynęły tak szybko, że puszczona za nimi łódź hiszpańska tylko cztery z nich zdołała napowrót przywieść. Po tym wypadku ustały stosunki z poddanymi Guacanagariego, nazajutrz bowiem znaleziono wybrzeże zupełnie puste.

Ponieważ nie znajdowano kamieni do budowy, wróciła więc eskadra 7. grudnia do Navidad i posunęła się brzegiem ku wschodowi poza Montecristi do rzeki Martin Alonso Pinzon. Po długiem poszukiwaniu odkryto nareszcie trzy leguas ku zachodowi odpowiednią płaszczyznę do założenia miasta, której z tyłu broniła ściana skalista a od strony lądu nieprzebyty las dziewiczy. Tu wysadzono na ląd załogę, wytknięto ulice i place pod kościół, szpital, magazyny broni i żywności i blokauz. Publiczne gmachy miały być z kamienia, wszystkie inne z drzewa i słomy. Miasto na cześć królowej otrzymało nazwę Izabella. Po czterech czy pięciu dniach klimat okazał już swoją smutną potęgę, i trzecia część przybyszów dostała gorączki, która nie oszczędziła nawet admirała, w skutek czego ten ostatni od 11. grudnia do 12. marca 1494 nie prowadził wcale dziennika. Ażeby nie tracić czasu, wysłał on z Izabelli w drugim tygodniu miesiąca stycznia 1494 oddział piętnastu ludzi pod dowództwem odważnego Alonso de Hojeda dla wywiedzenia się o złotej krainie Cibao. Dwa dni trwał pochód przez uciążliwe górskie przesmyki. Gdy się dostali na wyżynę, zachwyciła wędrowców obfita w wodę, zielona i gęsto zaludniona równina. Sześciu dni potrzebowali oni, aby z Izabelli dostać

się do Cibao, piętnaście tylko leguas odległego, tak ich gościnnie w licznych osadach indyjskich podejmowano. Jako pewny dowód korzystnego dobywania złota, przywiózł Hojeda z sobą próbkę piasku rzecznego, który zawierał w sobie pożądany metal obficie, jakkolwiek w drobnych cząstkach.

Z tą ożywczą wiadomością odesłał admirał 2. lutego 1494 12 okrętów do Hiszpanii pod przewodnictwem Antonia de Torres, i liczba osadników zmniejszyła się teraz do liczby 900 głów. W memoryale do hiszpańskich monarchów, zawiezionym przez tę flotę, skarży się Kolumb, że nie może nic wielkiego przedsięwziąć „z tymi niewielu zdrowymi,“ jacy mu jeszcze pozostali. Żąda, aby mu jak najspieszniej przysłano nowe zapasy żywności, mianowicie mięsa, lekarstw i wina, wiele bowiem zapasów zepsuło się w drodze przez niedbalstwo. Chciał mieć także muły i więcej koni, gdyż bez nich nie można uprawiać ziemi, która przy pierwszych próbach ze zbożem i trzcina cukrową obiecywała nadzwyczajną żyzność. Jeżeli Kolumb radził się swego doświadczenia, to musiała w nim powstawać wątpliwość, czy hiszpańska korona przy swoich szczupłych dochodach będzie mogła utrzymywać kolonistów, których wyżywienie zupełnie zależało od kosztownych przesyłek z Europy. A przecież odkrycia powinny były zwiększyć bogactwo metropolii, a nie pożerać. Admirał zatem wpadł na myśl haniebną i bezlitośną, aby za posyłki hiszpańskie wypłacać się porywaniem krajowców i obracaniem ich w niewolników. „Wasze Wysokości, pisze on, niech co roku przysyłają tu karawele z bydłem rzeźniczem, zapasami żywności i potrzebami rolnictwa po umiarkowanych cenach. Koszta możnaby pokryć przesyłką niewolników, do czego Karybowie, raz oswojeni, lepiej się nadają z powodu swej siły, zręczności i roztropności, niż inne szczepy. Za pomocą statków wioslarskich, które tu

każę budować, można ich będzie nałowić w wielkiej liczbie.“ Po dwóch miesiącach pełnych rozczarowań, znano już cenę, za jaką kolonie mogły się utrzymać.

Zaledwie flota opuściła Izabellę, gdy w jakiejś beczce znaleziono wetknięte pismo z najgwałtowniejszymi skargami na admirała. Poznano, że autorem tego pisma był płatniczy, Bernal de Pisa, który w spisku z niektórymi osadnikami zamyślał opanować pozostałe statki i ująć z nimi do Hiszpanii. Kolumb ukarał uczestników spisku, a Bernala kazał okuć w kajdany, aby przy pierwszej sposobności odesłać go do Hiszpanii. Od tego czasu ściągnął na siebie admirał powszechną nienawiść i uchodził za człowieka okrutnego, tak w koloniach, jak w metropolii.*)

Po tych nieprzyjemnych zajściach wyruszył Kolumb 12. marca ze zdrową częścią swoich ludzi do złotej krainy Cibao. Trzeba było przecinać gęsto zaludnioną równinę, admirał więc, chcąc zostawić krajowcom pojęcie o europejskiej potędze wojennej, ruszył z jazdą w pełnym szyku, wśród powiewających chorągwi i dźwięku trąb. Północny brzeg wyspy oddzielony jest od dolin Yaque i Yuna górzystym grzbietem, przez który prowadziła ścieżka przez Indian wydeptana. Przednia straż pod dowództwem kilku kawalerów musiała przysposobić tę drogę dla konnicy i dla tego przejście to otrzymało nazwę przesmyku hidalgów. Na górze 13. marca ujrzano bujną dolinę Yaque. Wspaniałość zielonej okolicy między dwoma potężnymi grzbietami gór do takiego stopnia upajała odkrywców, iż sądzili, że jakiś raj zamknięty u ich stóp leży. Góry tak się łagodnie pochylały ku Vega real (Obwód królewski), jak nazwał Kolumb czarującą równinę, że dopiero po pięciu milach drogi dostano się nad brzeg rzeki Yaque, która tu wydawała się tak szeroką, jak Ebro pod Tortosą.

*) Las Casas przyznaje się, że dzielił ten przesąd powszechny, zanim się udał do Nowego Świata. (Lib. I. cap. 90).

Wszędzie uprzejmie przyjmowano Europejczyków i ocho-
czo dano statki dla przeprawienia małego wojska na drugą
stronę rzeki. Dnia 14. marca przeprowiono się przez lewe
dopływy Yaque, między innymi przez Cybu, którego imię
miało niebawem tak zasłynąć, jak w naszych czasach
Sacramento w Kalifornii. Gdy się zbliżono do pewnej
wielkiej wsi indyjskiej, część mieszkańców uciekła, inni
pozamykali swoje chaty, kładąc na poprzek u wejścia
słomę. Ponieważ z rozkazu Kolumba uszanowano te sym-
boliczne rygle, więc w dalszym pochodzie większa ufność
spotykała Hiszpanów, i mieszkańcy wychodzili naprzeciw
nich, jak tylko się wieść roznosiła, że Guamiquina czyli
„wielki wódz chrześcian“ nadchodzi. Po przejściu Rio
Verde okolica stała się dzikszą, a 17. marca wspięto się
na góry Cibao. Kraj ten więcej dawał, niż obiecywała jego
nazwa, wyraz Cyba bowiem w języku Antyleczyków ozna-
czał kamień. Wysoka trawa zakrywała jeźdźców aż po
siodło, iglaste lasy dosięgały wysokości masztów, a ze-
wsząd spływały złotodajne potoki. W odległości ośmnastu
hiszpańskich mil od Izabelli obrał admirał miejsce w pe-
wnej zielonej dolinie, orzeźwianej wodospadami i kazał
tam postawić blokhaus Santo Tomas, gdzie zostawił Don
Pedra Margarita, aragońskiego rycerza, z 52 żołnierzami,
i 21 marca wyruszył z powrotem do Izabelli. W drodze
przyzwyczaili się żołnierze do indyjskiego chleba (Cassabe),
którym gościnnie częstowani byli przez krajowców.

Admirał zastał osadę Izabelli jeszcze w gorszym po-
łożeniu, niż w jakim ją był zostawił. Zapasy żywności
w skutek gorącego klimatu popsuły się częściowo i po-
trzeba było zmniejszyć dzienne racye. Mąka się już wy-
czerpywała, a żeby ziarno zemleć, potrzeba było dopiero
wystawić młyny. Admirał zapędził wszystkich, nawet szlach-
ciców, do roboty. Kawalerowie, którzy już z tego byli
niezadowoleni, że nie mieli zwyczajnej posługi, którzy

gorszyli się tem, że musieli sami sobie gotować i wszystko robić, czuli się obrażeni temi wymaganiami. Wielkie było rozczarowanie: Hiszpanie spodziewali się, że już z pokładu okrętowego zaczną gromadzić skarby, a tymczasem musieli poprzestawać na szczupłym żołdzie przy misie grochu i jednym jajku na pięciu głodnych, jednocześnie zaś gorączka i śmierć zaglądały im w oczy. *) Wśród tego smutnego położenia przybył posłaniec od Don Pedra Margarit z Santo Tomas z wiadomością, że ruch wielki widać między Indyanami, że opuszczają swoje osady, ponieważ kacyk Cao-nabo wyruszył z wojskiem na nowy blokhaus hiszpański. Admirał posłał natychmiast zagrożonemu punktowi posiłki w liczbie 70 ludzi. Powołał resztę zdolnych do broni ludzi i zebrawszy ich razem 400, oddał nad nimi dowództwo Alonsowi de Hojeda. Ten miał tę siłę zbrojną dla zupełnego podbicia obwodu królewskiego oddać Don Pedrowi Margarit, a sam na jego miejscu pozostać w Santo Tomas, jako Alcayde. Hojeda wyruszył z Izabelli 9. kwietnia 1494. Po przejściu Rio del Oro (Yaque) skorzystał z pierwszej sposobności, aby dać krajowcom naukę. Jeden z Nitaynów czyli magnatów sąsiedniego obwodu dał był trzem Hiszpanom, powracającym z Santo Tomas do Izabelli, pięciu ludzi dla przeniesienia rzeczy przez rzekę, ci ludzie uciekli z rzeczami, a Nitayno nie tylko nie ukarał złoczyńców, ale nawet ukrył skradzione rzeczy. Hojeda kazał pojmać magnata wraz z jego bratem i krewnym, a jednemu z jego poddanych obciąć uszy. Więźniowie, dostawieni do Izabelli, byli już z rozkazu admirała prowadzeni na śmierć, i tylko na prośbę innego kacyka zostali ułaska-

*) Opustoszałą Izabellę troskliwie potem omijano, ponieważ zabobon napelnił ją duchami. Pewnego razu jakiś kolonista w biały dzień miał wśród tych martwych obszarów spotkać dwa szeregi kawalerów, pięknie ubranych, ze szpadami u boku. Zdziwiony, zapytał, jak przybyli na wyspę, kiedy nie o nich nie słyszano? W milczeniu podnieśli ręce do kapeluszy, aby powitać, ale razem z kapeluszami zdjęli czaszki i znikli (Las Casas lib. I. cap. 92).

wieni. Tymczasem przybył do Izabelli jakiś jeździec z Santo Tomas. Spotkał on po drodze poddanych aresztowanego Nitayna, którzy bunt podnieśli i pochwycili pięciu Hiszpanów w swoje ręce, ale zjawienie się nadbiegającego jezdca wystarczyło zupełnie do uwolnienia jeńców i rozproszenia bandy z 400 ludzi.

Admirał tak mało się obawiał powstania, że postanowił nie zwlekać dłużej z dalszem prowadzeniem odkryć. Na czas nieobecności swojej mianował zarząd, składający się z Benedyktyna Fray Boil, Hernandeza Coronel, jako najstarszego namiestnika wyspy (Alguazil mayor), Alonsa Sanchez de Carvajal, i Juana de Luxan, kawalera dworu królewskiego. Prezydentem zamianował swego najmłodszego brata, Diega Colon, cichego, skromnego człowieka, który czuł pociąg do stanu duchownego. Uporządkowawszy te sprawy, wypłynął na morze 24. kwietnia 1494 z trzema okrętami: Niną albo Santa Clara, San Juanem i Cardera.

Kolumb mianowicie chciał dokonać tego, co się w pierwszej podróży nie udało. Że Espaniola jest poszukiwanem Zipangu, w to wierzył niewzruszenie, ale pozostawała mu wątpliwość, czy ma Kubę uważać za część lądu, czy za wyspę. Zyskawszy pewność w tym względzie, miał na nowo szukać Quisanyu i Zeitunu, i od tych miast powrócić do Europy nie przez Atlantyk, ale, ponieważ sądził, że jest już na indyjskim oceanie, przez morze Czerwone i Suez do Aleksandryi. Dnia 29. kwietnia przeprawiły się okręta do Kuby, której wschodnią kończynę (Punta Maysi), przez krajowców zwaną Bayatiquiri, nazwał admirał Alfa i Omega, sądząc, że tu się ląd azjatycki zaczyna, i chcąc niejako wyrazić, że tu się wschód zaczyna, a zachód kończy. Podczas gdy płynął południowym brzegiem Kuby ku południowi, krajowcy przez Diega, ochrzczonego w Hiszpanii tłómacza lukajskiego, dali mu wiadomość o bogatej wyspie Jamaice na południu. Raz

jeszcze z całą siłą zbudziła się wiara w złotą wyspę i admirał kazał 3. maja sterować w południowo-zachodnim kierunku ku temu nowemu przedmiotowi złudzenia. Wieczorem następnego dnia ukazały się na horyzoncie niektóre części wyspy, ale dopiero 5. maja dojechano do niej. Przeszło 70 canoes zbliżyło się z oznakami groźby do okrętów, ale nie zważano na nie, dopóki nie znaleziono wygodnego portu, któremu admirał, zachwycony okolicą, dał nazwę Santa Gloria. Krajowcy okazywali ciągle wielką gotowość do walki, ufni w swoje 90 stóp długie statki wojenne. Gdy na trzeci dzień wpłynięto do wybornej przystani Puerto Bueno, a krajowcy zaczęli znów dokuczać swoim nieprzyjaznem postępowaniem, to uzbrojone łodzie udały się na ląd, łucznicy oczyścili brzeg i puszczono psy na Indyan. Po tej nauce zjawili się nazajutrz posłowie z prośbą o pokój, i wkrótce nastąpiła żywa wymiana towarów. Że jednak nigdzie nie znajdowano śladów złota, więc admirał opuścił Jamaikę, czyli Santjago, jak nazwał wyspę po jej objęciu w posiadanie, i przekonał się 14. maja, dopłynawszy do jej zachodniej kończyny, że to nowe odkrycie jest wyspą.

Dnia 18. maja znalazł się znów koło przylądka Santa Cruz na Kubie i dążył południowym brzegiem tej wyspy ze wschodu na zachód, nie bez niebezpieczeństwa przewijając się wśród mnóstwa drobnych wysepek, tem bardziej, że codziennie prawie wieczór kończył się burzą. Chmurę wysepek, które im bliżej Kuby, tem wyższe były i bogatszą miały szatę roślinną, a na których żył ubogi ale dowierzający lud rybacki, żyjący z połowu żółwi, nazwał admirał ogrodem królowej (Jardin de la Reyna) i zapewnia on nas, że zapach najdelikatniejszych wonności otaczał ciągle okręta, tak jak gdyby się przez krzaki róż przesuwali. Dnia 3. czerwca udały się łodzie na wybrzeże Kuby dla nabrania wody. Kolumb odwiedził najbliższą wieś indyjską

i kazał zapytać krajowców, czy kraj ich jest wyspą. Zakłopotani ludzie znali tylko nazwisko swego obwodu Ornofay. Nikt nie dojechał do końca wybrzeża i 40 miesięcy nie wystarczyłoby, aby tam się dostać. Dodawali także, że dalej ku zachodowi okręta znów dostaną się między roje małych wysepek, a na zachód od nich leżeć będzie kraj Magon, zamieszkany przez ludzi z ogonami, którzy dla ukrycia tego błędu noszą suknie, sami bowiem krajowcy za hańbę uważali zakrywać członki ciała wolne od błędu. Po raz wtóry usłyszał admirał nazwę kraju Maya i wiadomość o ludach z odzieżą, ale ogłuszony nazwami azyatyckich miejscowości, podanymi przez średniowiecznych podróżników, miał dla nich tylko ucho i wmawiał w siebie, że Magon Kubańczyków oznacza prowincję Manji w Chinach, dawniejsze państwo dynastji Sung. Bardziej niż kiedy utrwalił się teraz w błędzie, że ma przed sobą wschodni brzeg Azji.

Minawszy gęsto zaludnioną, dziś bezludną okolicę Ornofay, eskadra z wielkiem przerażeniem załogi, wpłynęła na morze mlecznego koloru „jak gdyby mąka w wodzie była rozmięszana”; zjawisko znane, pochodzące od mnóstwa cząstek ziemi, unoszących się w morzu. Ale prawdziwe niebezpieczeństwo groziło podróży, gdy 26. maja zabłąkano się w drugi ogród czyli rój wysepek. Admirał, nauczony rozbiciem się okrętu pod Navidad, od czasu wyjazdu swego z Espanioli do 19. maja ośm nocy tylko przepędził w łóżku, a teraz potrzeba było podwojenia czujności. Znalazłszy z trudem przejazd między temi wyspami, dostano się do zatoki Batabano, która, zwrócona ku wschodowi, głęboko w łód się wrzyna. Tam jakiś łucznik udał się na ląd na polowanie, gdy nagle z krzaka wyszła jakaś postać, za nią wkrótce dwie inne, a za niemi potem jakie trzydzieści, wszystkie w białym stroju, podobnym do zakonnej sukni kapelana okrętowego. Głośno

zawołał Hiszpan na swoich towarzyszy i tem spłoszył owych dziwnych ludzi. Mogło to być stado flamingów, których pocziwy łucznik nie rozpoznał w nagłym wzruszeniu, ale admirał wierzył co do słowa w zjawisko biało ubranych ludzi, przystawało ono bowiem doskonale do błędnego mniemania, jakoby się znajdowano w pobliżu dawno oczekiwanych Chin. Nazajutrz robiono wycieczki na ląd, aby wysledzić istoty w białych strojach, ale nic nie odkryto.

Dziewięć leguas na zachód od zatoki Batabano znów się ukazała wioska indyjska i znów się tam wywiadywano, czy Kuba jest wyspą. Krajowcy odpowiedzieli stanowczo: *tak*, ale utrzymywali, że brzeg ciągnie się jeszcze dziesięć dni drogi w tym samym kierunku. Dotychczas brzeg ciągnął się w kierunku zachodnio-północno-zachodnim, teraz dojechano do krańcowego, ku południowi zakrzywionego rozgałęzienia wyspy. Gdyby Kolumb, robi słuszną uwagę Las Casas, jeszcze był dwa dni dalej jechał, to ujrzałby Cap San Antonio, zachodnią kończynę kraju i dowiedział by się, że Kuba jest wyspą. Bezpośrednio potem musiałoby nastąpić odkrycie Yukatanu i Meksyku. Tymczasem zamiast tego kazał admirał wszystkim sternikom i majtkom złożyć przysięgę przed notaryuszem, że uznają oni Kubę za stały ląd, a nie za wyspę. Posuwano się, powiada protokół, brzegiem Kuby na przestrzeni 335 mil hiszpańskich; sądząc po licznej ludności, szczególnie w prowincyi Mango, można wnioskować, że to jest ląd azjatycki. W ostatnim punkcie, do którego dojechano, krajowcy powiadali, że brzeg ciągnie się jeszcze dalej na dwadzieścia dni drogi, i że nie wiedzieli, czy i w takim razie ujrzanoby kończynę tej ziemi; brzeg zaś właśnie od tego punktu zaginał się ku południowi. Żądał więc admirał od wszystkich żeglarzy, znajdujących się na rzeczy, żeby wystąpili z zarzutami, jakie mają przeciw twierdzeniu jego, aby

mógł wszelką wątpliwość odeprzeć. Gdyby zaś później odwołali swoje zeznanie, to oficerowie mają być karani utratą języka i karą pieniężną w kwocie 1000 maravedi (3 dukaty), prości majtkowie stu różgami. Sternicy, oficerowie i majtkowie trzech statków, razem 49 osób, zaprzysięgli przedłożone sobie punkta, i Kolumb postanowił zabrać się do powrotu, ponieważ zaczynało brakować żywności i załoga nalegała, aby wracać do domu. Naprzód zwrócono się na południe ku wielkiej wyspie, którą admirał nazwał Ewangelistą, i stamtąd znów do Kuby, gdzie załogę znów niepokoiło białe, zielone i jakby atramentem zabarwione morze. Dnia 30. czerwca osiadł statek admirałski na ławicy i nie można go było zruszyć bez uszkodzenia. 6. lipca w niedzielę uroczyście odprawiano mszę na lądzie wśród wielkiego zbiegowiska krajowców.

Wiatr i woda, powiada Las Casas, sprzysięgły się w tej podróży przeciw marynarzom. Podzwrotnikowa burza napadła eskadrę tak nagle, że nie dość w czas można było ściągnąć żagle i rzucić kotwicę. Woda dostała się do dolnych przestrzeni i zaledwie mogły pompy uratować od zatonięcia. Dienne racje, ograniczone do funta zepsutych placków okrętowych i kwarty wina, mogły być przy sposobności tylko uzupełniane połowem ryb i dopiero 18. lipca koło przylądka Santa Cruz, gdzie wędrowców ugaszczali przyjaźni mieszkańcy wybrzeża, można było sobie pozwolić trochę odpoczynku.

Dnia 22. lipca przyjechano znów do Jamaiki, ażeby wzdluż południowego brzegu opłynąć tę wyspę. Każdego wieczora przeciągała burza po górach obrosłych lasami, i to spowodowało admirała do zapisania w swoim dzienniku wybornej uwagi, że te obfite opady zawdzięczać trzeba wielkim lasom, i że ich wyniszczenie zmniejszyłoby ilość spadającego deszczu, jak to już spostrzeżono na wyspach Kanaryjskich, na Maderze i na Azorach.

Tym razem podczas objazdu w okół wyspy krajowcy zbliżali się w sposób przyjazny i przynosili żywność. Jeżeli za pierwszego odkrycia jakiś chłopak indyjski wśliznął się na okręt admirałski, aby towarzyszyć cudzoziemcom, nie troszcząc się o płacz i narzekanie swoich ziomków, to tym razem ukazał się na pokładzie dowódca z całą rodziną i żądał, aby go zabrano, chciał bowiem służyć władcy cudownych cudzoziemców. Znane były dobrze na Jamaice ich czyny, mianowicie zburzenie karybskich łodzi, i rozsądniejsem wydawało się wcześnie poddanie się, niż opór bez nadziei zwycięstwa. Admirał pomimo to odesłał go, dla uspokojenia kazawszy mu tylko złożyć przysięgę wazalną koronie kastylskiej.

Ponieważ dziury w okrętach stawały się coraz niebezpieczniejszymi, a zapasy coraz szczuplejszymi, więc eskadra 19. sierpnia zwróciła się ku przylądkowi Mikołaja (Tiburón) na Espanioli. Po długiej nieobecności majtkowie czuli się tu, jak w ojczyźnie, gdy jeden z wodzów zawołał do nich: „Almirante!“ i powiedział kilka innych słów hiszpańskich. Kolumb postanowił teraz popłynąć nieznanym mu jeszcze południowym brzegiem Espanioli ku wschodowi, ażeby poznać cały obwód tej wyspy. Przy końcu sierpnia burza rozproszyła okręta i sześć dni upłynęło, zanim się napowrót zgromadziły. Dowiedziawszy się od krajowców, że już sześciu Europejczyków dotarło było lądem do południowego brzegu, admirał, gdy dojechano do ujścia Hajny trzy mile od późniejszego miasta San Domingo, odesłał dziewięciu Hiszpanów lądem do Izabelli. Z ukazaniem się wielkiej ryby i „innych znaków na niebie“, wywnioskował Kolumb, że zbliża się wielka burza, która w istocie nastąpiła; eskadra pospiesznie szukała i znalazła schronienie przy wyspie Saonie, czyli jak krajowcy nazywali Adamaney. W nocy z 14. na 15. września obserwował admirał zaćmienie księżyca, które mu dało

elementa do oznaczenia podług astronomicznego kalendarza długości geograficznej, w jakiej się znajdował, $80^{\circ} 45'$ na zachód od Kadyksu. Od wschodniej kończyny Espanioli (Cap Engano) zwróciła się eskadra ku Puertorico, ażeby na tych wodach ukarać przy sposobności Karibów. Gdy już miano małą wyspę Mona za sobą, dostał admirał zawrotu głowy i wpadł w omdlenie. Przez dwadzieścia trzy nocy nie zmrużył on był oka z powodu ciągłych obaw i oficerowie jego wątpili, patrząc na bezprzytomnego, czy go żywego dowiozą do domu. Wszystkich dalszych planów zaniechano, i trzy okręta najbliższą drogą powróciły do Izabelli 29. września 1494.

Hojeda z 16 jeźdźcami, 110 strzelcami i 250 żołnierzami wyruszył był do zamku Santo Tomas, ażeby te wojska oddać do rozporządzenia Don Pedrowi Margarit. Dla tego ostatniego przywoził instrukcyę od admirała, która nakazywała na trzy oddziały podzielić wojsko i uderzyć na Maguanę. Ponieważ dostać się tam można było tylko przez bezdrożne góry Cibao, więc Kolumb przewidywał, że kawalerya musi pozostać w Santo Tomas. Chodziło o to, aby owładnąć osobą kacyka Caonabo, karibskiego pochodzenia i jego braci, których dom, jak było wiadomo, był ogniskiem powstania. Można posłać do niego, pisał admirał, dziesięciu ludzi, jako posłańców z darami, którzy mu ofiarują koszulę, pas i czapkę. Skoro nałoży te rzeczy na siebie, łatwiej go będzie przytrzymać, zdarzało się już bowiem, że nadzy Indyanie jak węże się wyslizgiwali. Jakkolwiek zabraniał admirał wszelkiego złego obchodzenia się z krajowcami, to przecież dodawał: „Kogo złapiecie na złodziejstwie, temu odcinajcie nos i uszy, tych bowiem członków ciała ukryć nie można.“ Przedewszystkiem surowo nakazywał dowódcy, aby ludzi swoich trzymał w kupie, Indyanie bowiem są tchórze, ale bez litości, i pozabijaliby pojedynczo rozproszonych Hiszpanów.

Żaden z tych rozkazów nie został wypełniony, Margarit nie ruszył się z obwodu królewskiego, może dla tego, że nie miał czem wykarmić wojska w bezludnych górach, a na wszystkie zarzuty odpowiadał zuchwałym tonem. Tymczasem przybyły z Hiszpanii trzy okręta pod dowództwem Bartłomieja Kolumba. Ten młodszy brat admirała pozostał był w Anglii, ażeby przedłożyć królowi projekt odkrycia zachodniej drogi morskiej, i król angielski poczynił był pewne obietnice. W r. 1493, gdy wiadomość o wielkiem odkryciu doszła na dwór angielski, kazał Henryk VII. przywołać Bartłomieja i zawarł z nim układ, w którym z góry zgadzał się na wszystkie żądania jego brata. Z tym traktatem w ręku odjechał Bartłomiej z Londynu, aby odszukać swego brata Krzysztofa. Dopiero w Paryżu dowiedział się z ust króla Karola VIII., że już flaga kastylska przewodniczyła odkryciu. Król dał mu sto talarów na podróż, i Bartłomiej pospieszył do Hiszpanii, ale już Krzysztofa nie zastał i znalazł tylko dwóch swoich synowców, Don Diega i Don Fernanda. Na wiosnę udał się z nimi do Valladolid, gdzie synowie admirała wstąpili, jako paziowie, w służbę następcy tronu Don Juana. Na dworze zjawienie się Bartolomea wywarło dobre wrażenie, nadano mu szlachectwo i mianowano dowódcą trzech karawel, które przygotowane były, aby popłynąć z zapasami do Espanioli. Z tymi okrętami popłynął on 14. kwietnia 1494 do Nowego Świata. Jako marynarz nie ustępował Bartłomiej w niczem swemu bratu. Jeżeli brakło mu wielkiego daru obserwowania przyrody, który podziwiamy w admirałe, to w każdym razie należy mu się cześć za rzetelne starania około projektu zachodniej drogi morskiej. Nie tak wysoki, jak admirał, ale dość słuszny, o silnej budowie ciała, zawsze poważny, w obejściu surowy i suchy, już swoim wyrazistym piśmem zdradzał stanowczą, energiczną wolę. Prosta droga, choć-

by to była droga gwałtu, wydawała mu się najlepszą. Tak stanowczy charakter musiał niepostrzeżenie wpływać na brata, który go kochał i poważał, i hiszpańscy koloniści nie bez słuszności może utrzymywali, że Don Bartolome był przyczyną późniejszej surowości admirała. Na trzech statkach, z którymi Bartłomiej przybił do brzegu, odpłynęli, jak zbiegi, do Hiszpanii: Fray Boil, członek regencyi, i pułkownik D. Pedro Margarit, pozostawiając kolonię własnym losom. Zaledwie odbiegli przewodzący, wnet rozprzęgły się wojska i przebiegały wyspę aż do najdaleszego zachodu i południa. Dotychczas krajowcy cierpliwie znosili rozkwaterowywanie się żołnierzy hiszpańskich, którzy ich kosztem się żywili, z ich żonami i córkami nieprzystojnie się obchodzili, na plecy ich synów wkładali ciężary: teraz napadli na rozproszonych. Nitayno Guatigana nad rzeką Yaque kazał dziewięciu Hiszpanów zamordować, i podpalić szpital, w którym się znajdowało 40 chorych. Caonabo zaś zagrażał przez dni 30 dzielnemu Hojeda w forcie Santo Tomas odcięciem wszelkich żywności, aż póki głód nie rozproszył oblegających.

Taki był stan rzeczy w chwili powrotu Kolumba. W kilka dni potem odwiedził chorego admirała Guacanagari, kacyk z Marii i doniósł mu, że czterech największych dynastów na wyspie, mianowicie Guarionex, władca obwodu królewskiego, Caonabo władca Maguany, jego szwagier Behechio z Xaraga i Higuinama zawarli z sobą przymierze przeciw Hiszpanom i ich stronnikom. Ponieważ Guacanagari wzbraniał się przystąpić do związku i dalej zapatrywał w żywność Hiszpanów w swojej okolicy, więc sprzymierzeni rozpoczęli nieprzyjacielskie kroki przeciw niemu. *) Za pomocą zdrady lub przebiegłości starał się

*) Obdarzony delikatnem uczuciem Las Casas (lib. I. cap. 102) robi uwagę, że chytry Guacanagari był zdrajcą względem swego narodu i łącząc się z Hiszpanami, naruszył „prawo natury“. Tak niespodziane poglądy pozwa-

teraz admirał pochwycić Caonaba, a nikt do tej sztuki nie okazywał więcej ochoty i zdolności, jak Hojeda, który przytem znał język krajowców. Nic bardziej nie budziło ciekawości krajowców, jak dzwon w kościele Izabelli. Na wyspie rozpowiadano sobie o „Turey'u, który mówi do chrześcian“.*) Hojeda kazał zrobić z bronzu lśniący i ozdobny łańcuch, z kajdankami na ręce. Z temi brzęczącemi cudami udał się w towarzystwie dziesięciu śmiałych kamratów do Maguany, rezydencyi Caonabo, o kilka dni drogi odległej, to jest w samo wnętrze lwiej jamy. Przez posłów kazał uprzedzić Caonaba, że przynosi od Guaquiminy czyli wodza chrześcian turey kacykowi w podarunku. Bez obawy przyjął Caonabo Hiszpanów. Hojeda i jego towarzysze ugięli kolana i ucałowali rękę kacyka. Następnie zabrzęczał rycerz swoim łańcuchem dzwoneczkowym i zrobił uwagę, że podobną ozdobę Guaquiminowie kastylscy nakładają przy swoich Areytos t. j. tańcach. Byłoby jednak lepiej wykąpać się przedtem w małej rzeczce, o godzinę drogi odległej, a nałożywszy turey, wjechać potem tryumfalnie na koniu Hojedy do rezydencyi. Kacykowi pochlebiała i podobała się ta komedia, kazał sobie nałożyć łańcuch i kajdanki i usiadł na koniu za Hojedą. Ten puścił się galopem, rozpędził nieliczny orszak Caonaba, przerażony niezwykłym widokiem konia, kazał do siebie przywiązać mocno kacyka i zagroził mu, że za pierwszym krzykiem zabije go. Spiesznie puścili się Hiszpanie do Izabelli i po dzikich ścieżkach przez góry, nawpół zagłodzeni, dostali się do tego miasta. Więźnia zamknęto w podziemiach domu Almiranta. Nigdy nie podnosił się on za ukazaniem się Kolumba, choć wszyscy przytomni

lają nam zajrzeć w głąb moralnego przewrotu, który oddziela surowy wiek piętnasty od swobodnie rozważającego wieku XVI.

*) Turey oznaczało niebo, ale także i rzeczy cudowne, które z nieba zdawały się pochodzić.

cześć admirałowi okazywali, powstawał jednak na widok małego Hojedy, swego poskromiciela, „gdyż nie admirał, ale Hojeda odważył się być wywlec. go z jego państwa.“

Bracia Caonaba w przymierzu z Guarionexem wyruszyli teraz do obwodu królewskiego. Kolumb, wyszedłszy z pięciomiesięcznej choroby, wyruszył naprzeciw nich 24. marca 1495 z 200 ludźmi piechoty i 20 jazdy. Nie tyle broń ognista, ile w ogóle broń stalowa, a jeszcze więcej jazda, a najwięcej psy przyuczone do rzucania się na okrzyk: *tomalo!* były postrachem Indyan, a i w nas te sceny tem większą budzą zgrozę, na myśl, że pierwsi Europejczycy przy wstąpieniu na Nowy świat występowali w przymierzu z drapieżnymi zwierzętami przeciw własnemu rodzajowi. Nad Europejczykami mieli Indianie przewagę tylko pod względem szpiegów, którzy zawsze tyle ziaren kukurudzy nieśli w dłoni, ilu napotkali nieprzyjaciół. Zresztą sztuka ich wojenna polegała na tem, że w zwartych kolumnach występowali do boju. Kolumb podzielił swoje siły na małe oddziały, aby na całą wyspę roznieść postrach europejskiej broni. Atakowano tylko tam, gdzie jazda miała dość przestrzeni dla siebie. Naprzód strzelcy dawali oguia w gęste kupy nieprzyjaciół, potem puszczano kawalerię i psy. Jak spłoszone stada kurobatew uciekali Indianie, a w pogoni za nimi krwi ich nie szczędzono. Dziewięć miesięcy trwało to polowanie. Jeden z braci Caonaba wpadł w ręce Kolumba, który jednak nie czuł się uprawnionym do wydania wyroku na panujących Maguany i postanowił odesłać ich do Hiszpanii. *) Wyspa była teraz zupełnie podbita. Guarionex, władca „królewskiego obwodu“ zgodził się nawet dać siostrę swoją za żonę lukajskiemu tłómaczowi Diego. Ażeby

*) Lepiej od las Casasa powiadomiony Bernaldez opowiada, że Caonabo popłynął z Kolumbem 1496 do Hiszpanii, ale na drodze zachorował i umarł ze strapienia.

prędko wyzyskać bogactwa wyspy, zaczął admirał nakładać podatki na krajowców. Każdy dorosły Indyanin powinien był co trzy miesiące dostarczyć dzwonek napelniony pyłem złotym ważącym 3—4 castellanos (24—32 zł. r.), a gdzie nie było złota, tam arrobe (25 funtów) bawełny. Kacyk Manicaotex, następca Caonaba, przyrzekł sam za siebie dostarczać co trzy miesiące łupinę z dyni napelnioną pyłem złotym, który by ważył 3 grzywny (1200 zł.) Wybito medale, które każdy opodatkowany, podobnie jak nasze psy podlegające podatkowi, musiał nosić na szyi, jeżeli nie chciał podlegać karze. Ale nadaremnie się wysilał cały talent fiskalny. Krajowcy nie mogli palcami wydobyć tyle złota z piasku rzecznego, znizono więc wymagania do połowy, a i znizony podatek nie zawsze wybierano. Nie przyzwyczajeni do ciężkiej pracy, przy słabej budowie ciała i nieposilnem jadłem, krajowcy nie sądzili, aby przyjemność życia warta była trudów pańszczyzny. Nie mile zbudzeni ze słodkiego snu swego papuziego życia, opuszczali wsie i pola, aby głodem zmusić Hiszpanów do powrotu. Liczba hiszpańskich kolonistów, w skutek chorób i powrotu niektórych osadników do Europy, zmniejszała się była do 630 głów. Ale rozpaczliwy środek, którego się krajowcy chwycili, najgorzej dotknął samych sprawców. Krajowcy mieli nadzieję żywić się w górach dzikimi korzeniami i mięsem upolowanych hutias czyli królików, atoli zaraza głodowa porywała ich tłumami, gdy tymczasem Hiszpanie zaopatrzeni zostali w żywność i coraz nowe zapasy znajdowali do grabienia.

Antonio de Torres przybył do Kadyksu z powracającymi okrętami 2. kwietnia 1494. Dwór, przebywający naówczas w Medina del Campo, przyjął natychmiast, punkt za punktem, wszystkie propozycje admirała w memoryale z 30. stycznia 1494. Monarchowie zapewniali odkrywcę w liście z 13. kwietnia, „jak głęboko czują się obowiąz-

zani dla niego, i że obmyśla nowe zaszczyty i nagrody za jego wielkie zasługi.“ Wprawdzie nie wszystkie gorące oczekiwania admirała chciały się wypełnić natychmiast. Przecież podawano sobie u dworu z rąk do rąk dziewięć uncyi ważącą bryłę złota, którą Hojeda złupił w Cibao, i z wielkiem zbudowaniem przypatrywano się próbkom mniemanego cynamonu z Nowego świata. Po wyprawieniu trzech żaglowców pod dowództwem Bartłomieja, otrzymał Fonseca polecenie przygotować ośm okrętów dla kolonii, z której to liczby tymczasem połowa tylko miała odpłynąć. Jednocześnie (4. lipca 1494) wyznaczono Kolumbowi na stół i służbę 270 dukatów. Z tymi czterema okrętami pod dowództwem Antonia de Torresa posłali monarchowie drugi list do admirała, list, który jeszcze słodszyemi słowy wyrażał łaskę królewską. „Wszystko, coś nam dawniej powiadał, są słowa listu, po większej części spełniło się, jak gdybyś to był wówczas widział cieleśnemi oczyma.“

Po odpłynięciu eskadry powrócili z Espanioli do Hiszpanii Fray Boil i Don Pedro Margarit. Pozostawili oni kolonie w smutnym stanie i prawdopodobnie przedstawiali rzeczywistość jeszcze posepniejszą, niż była w istocie. Z początku jednak opisy tych wiarołomnych zbiegów nie zdawały się czynić wrażenia na dworze, dopiero na początku 1495 zmieniły się poglądy. Przedsięwzięcie, którego natury zupełnie nie znano, poczęło się wspaniale, ale nowa kolonia trzymała się metropolii, jak niemowlę piersi karmiącej. Dotychczasowy przychód zupełnie znikał wobec rozchodu, jakiego kolonia wymagała, korona bowiem łatwiej mogła utrzymać 3000 ludzi w Hiszpanii, jak 1000 na Espanioli. Do 9. kwietnia nie otrzymali monarchowie żadnej wiadomości o Kolumbie, i lękano się, czy statkom jego nie przytrafiło się jakie nieszczęście. Dla tego przy końcu maja lub na początku czerwca miał odpłynąć do Espanioli, z czterema już gotowymi do po-

dróży żaglowcami, urzędnik z pełnomocnictwem do zbadań skarg osadników i wad zarządu, i z powziętymi wiadomościami natychmiast powrócić.

Do tego poselstwa wybrali monarchowie Juana Aguado, którego zasługi admirał gorąco im zachwalał i dali mu krótkie pełnomocnictwo: „Król i królowa. Panowie, rycerze i inni ludzie w naszej indyjskiej służbie. Posyłamy wam Juana Aguado, który z naszego polecenia ma wejść z wami w stosunki. Madryt 9. kwietnia 1495.“ Tymczasem 24. stycznia 1495 odpłynął Antonio de Torres z czterema okrętami z Espanioli i po szybkiej podróży przybył do Hiszpanii na początku kwietnia. Jakkolwiek wtedy wiadano już, że Kolumb ma się dobrze, posłano przecież do Indyi Zachodnich Jana Aguado z owym elastycznym pełnomocnictwem, i jako kapitana czterech karawel. Monarchowie nakazywali zarazem admirałowi, aby wszystkich kolonistów ponad liczbę 500 odesłał do Hiszpanii, ponieważ „żołd i koszt utrzymania zanadto są wielkie.“ Żądali też usunięcia nowej kary dyscyplinarnej, którą regencya zaprowadziła, mianowicie pozbawiania racyi dziennych w miarę przewinienia. Z nową eskadrą przybyło trochę złota, trochę miedzi i drzewa brazylijskiego, a także kilkuset Indyan wiezionych na andaluzyjskie targi niewolników. Doña Izabella jednak kazała 16. kwietnia, wstrzymać się ze sprzedażą „dopóki nie zaciągnie rady duchownych i prawników i nie odczyta depesz admirała.“

Jeszcze przed odpłynięciem wielkiej armady 1493 dała korona początek późniejszej Izbie indyjskiej, która do czasu była tylko magazynem cłowym (aduana) w Kadyksie. Pod karą konfiskaty nie można było inaczej wywozić towarów do Nowego świata, jak na rachunek i zysk królewski. Tylko z Kadyksu mogły odjeżdżać okręta, tylko do Kadyksu powracać. Zapisywano w regestrach nazwiska wszystkich pasażerów i każdy powracający mu-

siał się w Kadyksie wymazać z listy. Ale 10. kwietnia 1495 wyszło prawo, pozwalające wszystkim poddanym, bez osobnego królewskiego pozwolenia, emigrować do Nowego świata, jeżeli tylko wychodźcy poprzestaną na żywności, którą im rząd przez rok wydzielać będzie bez żołdu, i zechcą z przyszłych dochodów swoich płuczkarni złota składać dwie trzecie koronie, z innych zaś produktów dziesięcinę. Ponieważ zgłosiło się wielu ochotników, więc pozwolono potem każdemu przedsiębiorcy wyprawiać okręta na odkrycia i dla handlu złotem (tylko nie do Espanioli) a to pod dozorem dwóch królewskich urzędników i pod warunkiem składania dziesięciny z wydobytych produktów do skarbu publicznego. Jakkolwiek krok ten był rozsądnym i słusznym, nie mniej przeto uszczuplał on przywileje admirała, który sobie wyłącznie zastrzegł był wszelkie odkrycia.

Juan Aguado przybył do Izabelli dopiero w październiku 1495, podczas gdy admirał bawił jeszcze w Maguanie, na południowym stoku gór. Aguado natychmiast oświadczył, że jest przysłany na wyspę jako sędzia, i wszedł w stosunki z podległymi kacykami, tak że powszechnie rozniosła się pogłoska, „że się ukazał nowy admirał, który ma dawnego usunąć“.

Kolumb pośpiesznie udał się do Izabelli i kazał dwuznaczne pełnomocnictwo posła odczytać przed zgromadzonymi Hiszpanami. Pomimo to nie przestawał Aguado dokuczać admirałowi mieszaniem się do zarządu. Nieszczęściem orkan zburzył cztery okręta gotowe do podróży w porcie Izabelli, tak że musiano budować dwie nowe karawele, ażeby odesłać Aguadę do Hiszpanii. Z temi okrętami postanowił i admirał udać się do Europy, aby odświeżyć wędną łaskę korony, a być może, iż także dla wyjednania nowego zakazu prywatnych odkryć.

Pięciuset pozostałych kolonistów rozsadowił po nowych, z drzewa i ziemi pobudowanych, blokauzach, jak La Magdalena, Sant Jago na miejscu późniejszego miasta tego imienia, Santa Catalina i Esperanza, które panowały nad biegiem Yaque od ujścia aż do źródeł. Silniejsza forteca Concepcion de la Vega, która do r. 1512 była zamieszkaną, leżała nad rzeką Yuna. Wreszcie w krainie Bonao, na południowym stoku gór Cibao (trochę na północ od dzisiejszego Santo Domingo) zbudowano szósty fort. Tam jeszcze przed dwoma laty dotarli byli Francisco de Garay i Miguel Diaz, i znaleźli tak bogatą rudę złota, że dobywali z początku po 3 castelanos ($\frac{1}{16}$ grzywny). Odkryto tam podziemne chodniki w skale, które wyglądały jak opuszczone szachty i Kolumb, mocno tem poruszony, uznał to za kopalnie króla Salomona w Ophirze, które dostarczyły złota do budowy świątyni jerozolimskiej.

Na dwóch nowozbudowanych karawelach, 10. marca 1496, 220 ludzi opuściło wyspę. Kolumb popłynął naprzód pomiędzy wyspy Karybskie, gdzie 6. kwietnia wysadził 40 ludzi na Marigalante. Zbrojni mieszkańcy przyjęli ich z początku gradem strzał, ale się cofnęli przed kulami. Hiszpanie zabrali żywność, gdzie ją tylko znaleźli, wprowadzili także kobiety i dzieci, które jednak puszczone znów na wolność, za wyjątkiem jednej Karybki, którą wskazano, jako władczynię napadniętej wioski. *) Po tej przygodzie i po zabawieniu na Gwadalupie do 20. kwietnia odbywała się podróż pod 22 stopniem półn. szer. ciągle z przeciwnym północno-wschodnim passatem. Dnia 20. maja załoga zaczęła być niespokojną, musiano bowiem zmniejszyć racye do sześciu uncyi sucharów. Sternicy nie

*) Był między Hiszpanami pewien Guanczo z wysp Kanaryjskich, którego siła fizyczna dobrze była znana. Rozpoczął on zapasy z żoną kacyka, ale był przez nią pokonany i byłby zaduszony, gdyby go Hiszpanie nie uratowali.

umieli powiedzieć, gdzie się znajdują, i tylko admirał sposobem nader dowcipnym zdołał oznaczyć długość geograficzną. Zauważył on mianowicie podczas pierwszej i drugiej podróży, że igły magnesowe na sto mil od Azorów zaczynają się odchyłać, i to, szczególnym sposobem, genueńskie wcześniej i silniej od flandryjskich. Kiedy się więc trawiaste ławy zaczęły przerzedzać i genueńskie bussole wprost na północ ukazywały, wówczas admirał z zupełną pewnością oznaczył, że się znajdują o 100 mil na zachód od Azorów. Była to pierwsza próba oznaczania geogr. długości na morzu na podstawie zbaczania igły magnesowej, sposób, który starano się potem udoskonalić, mógł on bowiem w każdym razie zastąpić brak innych instrumentów.

Siódmego czerwca głód na obu okrętach stał się tak dokuczliwym, że załoga zaproponowała zjeść 30 Indyan, znajdujących się na pokładzie, a przynajmniej rzucić ich w morze, aby dłużej nie uszczuplali racyi. Szczęściem nazajutrz ukazał się ląd, przez sterników mylnie uznany za brytańskie wybrzeże; innego zdania był admirał, który wieczorem jeszcze kazał pościagać żagle, ponieważ przypuszczał, iż się znajduje w pobliżu przylądka Św. Wincentego. Nie wiele się też omylił, znajdowano się bowiem trochę na północ od Odemira. Nie wysiadając jednak na brzeg portugalski, zwrócono się ku południowi i zarzucono kotwicę pod Kadyksem 11. czerwca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

SEBASTYAN CABOT.

Jego pochodzenie. Wylądowanie na Labradorze. Odsłonięcie zachodnich krajów północnej Ameryki. Północno-zachodni przejazd.

Jeżeli Krzysztof Kolumb pokładał niegdyś nadzieje na rokowaniach swego brata z angielską koroną, to jednak historia brytańskich odkryć naucza nas, że Genuńczyk, odprawiony z dworu hiszpańskiego, bodaj czyby był znalazł w skąpym Henryku VII. protektora dla swego wielkiego zamiaru. Już w r. 1496 Wenecyanin Giovanni Gabotto wyjednał był dla siebie i swoich trzech synów, Lodovica, Sebastiana i Sancia, patent do wyjeżdżania na odkrycia pod królewską flagą „ku wszystkim krajom, morzom i zatokom na zachodzie, wschodzie i północy.“ Przedsiębiorcy mieli własnym kosztem odbywać wyprawy, i królowi składać piątą część zysku handlowego. Jedyną nagrodę, jaką im zapewniono, stanowiło wyłączne prawo prowadzenia handlu z nowo odkrytymi ziemiami.

Jak i kiedy ta wenecka rodzina przybyła do Bristolu, tego nie wiemy. Nie da się również oznaczyć rok urodzenia wielkiego Sebastyana Cabota, jak go Anglicy nazywają. Jednemu ze współczesnych miał on powiedzieć, że się urodził w Bristolu, że mając cztery lata udał się był z ojcem na kilkuletni pobyt do Wenecyi i powrócił potem do Anglii. *)

Sebastyan Cabot podobnie jak Kolumb myślał o znalezieniu zachodniej drogi do Kathaju, ale jako matematyk

*) Richard Eden Travayles fol. 225. u Biddle'a, Memoir of Sebastian Cabot. 2. ed. London 1832.

powiedział sobie, że im wyższa szerokość geograficzna, tem krótszy będzie przejazd. Być może, iż wiedział on nawet o odkryciach dobrej Winlandyi przez Normanów, gdyż na bardzo krótko przedtem, 1495, kupcy bristolscy uzyskali u dworu duńskiego rozmaite ulgi dla handlu swego z Islandyą. W każdym razie podobne przypuszczenia są bardzo niepewne, gdyż stare islandzkie sagi tak wyraźnie odmalowały puste wybrzeża północnej Ameryki, iż bodaj czyby żeglarze w owych krajach mogli byli upatrywać ożywione Chiny, najgłówniejszy cel wypraw. Dopiero 1497 wyprawa przysła do skutku. Jeżeli i ojciec, John Cabot, brał udział w odkryciu, to wszakże duszą całej wyprawy był z pewnością śmiały Sebastyan. Żeglarze prawdopodobnie na jednym okręcie „Matyaszu“ opuścili na wiosnę Bristol, a 24. czerwca 1497 o godzinie 5 rano, 14 miesięcy wcześniej niż Krzysztof Kolumb, ujrzeli stały ląd Ameryki, prawdopodobnie wybrzeże Labradoru pod 56° półn. szerokości. Pierwszy punkt na lądzie ujrzany nazwano *Terra primum visa*, a naprzeciw leżącą wyspę i wyspą Śgo Jana. Na lądzie ujrzano Eskimosów w futrzanej odzieży, białe niedźwiedzie i renifery; wody pełne były ryb. Jest rzeczą nader prawdopodobną, że Cabotowie płynęli brzegiem Labradoru na zachód, i dosięgli w tej podróży 58° półn. szerokości. Że jednak tam jeszcze w lipcu znaleźli zimową martwość na lądzie, a wody pełne pływających gór lodowych, więc zawrócili do domu i w sierpniu tegoż roku byli już zapewne w Londynie.

Cabotowie, albo raczej ojciec John 3. lutego 1498 wyjednał drugi patent na podróż do nowo odkrytych brzegów. W tem przedsięwzięciu wzięli udział londyńscy kupcy i nawet sam król Henryk VII. dał trochę pieniędzy. Tymczasem popłynęły dwa okręta z 300 ludźmi, którzy udali się może w zamiarze założenia osady; dowódcą był teraz Sebastyan, gdyż John Cabot, ojciec, umarł był

na wiosnę 1498. W tej podróży mógł Cabot dotknąć Newfoundland'u, któremu z powodu wielkiej obfitości sztokfi-szów dał nazwę wysp Bacallaos. Tymczasem miał ciągle brzeg po prawej ręce, i dążył wzdłuż niego aż do szerokości geogr. cieśniny gibraltarskiej, a zatem aż do Północnej Karoliny, gdzie go brak żywności zmusił do powrotu.

Handlowe korzyści z tych podróży musiały być bardzo niepokazne, gdyż kiedy w r. 1499 Sebastyan Cabot oświadczył gotowość przedsięwzięcia nowej podróży, to król nic nie chciał dać na nią. Starał się zatem Sebastyan bez publicznej pomocy wyekwipować okręt i dalej prowadzić odkrycia. Nie wiemy nic o celach tej podróży, możemy jednak przypuszczać, że Cabot tak daleko swoje odkrycia ku południowi posunął, iż nastąpiło spotkanie z hiszpańskimi okrętami pod dowództwem Alonsa Hojedy, a przynajmniej, że Hiszpanie natrafili na ślady obecności angielskich okrętów na wschodnim brzegu Ameryki.

Podróże brytańskich żeglarzy do Północnej Ameryki nie ustają i w szesnastym stuleciu. I tak 19. marca 1501 r. dwaj mieszkańcy z Bristolu, Richard Warde i Thomas Ashehurst otrzymują wspólnie z trzema Portugalczykami, Joao Fernandez, Francisco Fernandez, i Joao Gonçalez, przywilej na dalsze odkrycia. Stare kroniki podają dalej, że w r. 1502 przedstawiano Henrykowi VII. „trzech dzikich ludzi w skórach zwierzęcych z nowo odkrytych wysp (Newfound Island), którzy surowe mięso jedli“. Znajdują się też w tymże roku (7. stycznia, 30. września), w dzienniku prywatnych wydatków królewskich, podarki dla marynarzy, którzy znaleźli „wyspę“, lub „z nowych krajów“ przybyli. Zdaje się, że te przedsięwzięcia połączone były z próbami misyjarskimi, przynajmniej znajdujemy, że Henryk VII. (25. sierpnia 1504) daje podarek pieniężny pewnemu księdzu, który się na „nową wyspę“ udaje. Po-

droże te jednak musiały daleko na południe sięgać, przywożono bowiem „dzikie koty“ i papugi, pokazywane jako osobliwość w Anglii.

Około tego czasu i inne żeglarskie ludy zabrały się do odkryć. Pierwsze ukazanie się francuskich okrętów z Bretanii przy obfitujących w sztokfiszne wybrzeżach Newfoundlandu przypada na rok 1504. One to dały nazwę Przylądkowi Wyspy Bretańskiej i od tego czasu okręta z Bretanii i Normandii ciągle się ukazują w zatoce Św. Wawrzyńca i zajmują tam połowem ryb. Ponieważ nasze badania nie mogą się rościagać do późniejszych przedsięwzięć francuskich żeglarzy, więc tutaj jedyne stosowne miejsce znajdujemy dla zrobienia uwagi, że Francuzi, którzy jako korsarze czatowali na portugalskie i hiszpańskie okręty na wodach kanaryjskich, bardzo wcześniej i w Brazylii spotykani byli przez Portugalczyków na ukradkowym handlu z krajowcami.

Cabot wznowił swoją próbę znalezienia drogi morskiej do Kathaju pod wysoką północną szerokością, czyli mówiąc językiem naszych czasów, północno-zachodniego przejazdu. Oddawna w Anglii wysoko ceniono wartość takiej wodnej komunikacji z Oceanem Spokojnym. I tak widzimy, że Sebastjana Cabota, który wstąpił był do służby hiszpańskiej, ale potem z niej wyszedł, Henryk VIII. stawia na czele eskadry, która w r. 1517 opuszcza Anglią. Do tej to podróży słusznie odnoszą pewną zapiskę na mapie Cabota, która uchodziła za straconą, zapiskę, w której żeglarz powiada, że płynąc w zachodnio-północnym kierunku brzegiem Labradoru dotarł aż do $67\frac{1}{2}^{\circ}$ półn. szerok. Ponieważ już 11. czerwca znalazł był morze wolne od lodów, więc byłby z pewnością dojechał do Kathaju, gdyby mu nie był przeszkodził spisek majtków. Richard Eden, zaprzyjaźniony z Cabotem, wymienia sir Thomasa Perte jako tego, którego brak ducha był przy-

czyną, iż zawrócono z drogi. Trudno jest geograficznie oznaczyć miejsce, gdzie Cabot zmuszony był zawrócić się, a to w chwili, gdy sądził, że już zadanie przejazdu do oceanu wschodniego jest rozwiązane. Atoli wiemy, że Cabot w mapie, która po nim pozostała, podał był północno-zachodnią cieśninę, która się otwierała pod 318° wsch. dług. (Ferro) a pomiędzy 61° i 64° półn. szerokości i pod tymi równoleżnikami 10° na zachód się przedłużała, skąd się coraz dalej na południe rozszerzała. Ten dokładny opis, gdyby nawet nie przykładać wielkiej wagi do podanej długości, usuwa wszelką wątpliwość, że Cabot w cieśninie Hudson dotarł aż do zatoki Hudson, a to tem bardziej, iż da się dowieść, że zachęcony papierami, pozostałymi po Cabocie, Frobisher znalazł drugą równoległą drogę do zatoki Hudson. Podług naszych, tak udoskonalonych dziś map arktycznych musiał Cabot popłynąć kanałem Foxa, jeżeli w istocie dosięgnął $67\frac{1}{2}^{\circ}$ półn. szer. Podobne czyny na początku szesnastego stulecia napędzają nas najwyższym podziwem, i tem smutniejszą jest rzeczą, że wielki wenecki marynarz poszedł w zapomnienie, podczas gdy sława dwóch niższych odeń następców jest tak głośną. Ze wszystkich odkrywców wielkiej epoki osiągnął Cabot oryginalnością swoich przedsięwzięć bezwarunkowo pierwsze miejsce po Kolumbie. Podobnie jak Kolumb, posiadał Cabot wielki zmysł do obserwowania natury. On pierwszy odkrył rozgałęziające się na zachód promienie golfstromu i z wielką dokładnością obserwował miejscowe zmiany w zbaczaniu igły magnesowej, tak że on pierwszy nakreślił magnetyczną linię bez zboczeń, która za jego czasów o 110 mil od Flores przechodziła. Jeżeli o wcześniejszej działalności tego nadzwyczajnego człowieka przechowały się szczupłe tylko wiadomości, jeżeli nawet nie możemy roku śmierci jego wywnioskować, gdyż na wpół zapomniany zmarł w Londynie, to potrzeba abyśmy sobie

przypomnieli, jako przestroge, tę okoliczność, że nie mający ojczyzny Cabot, z pochodzenia Wenecyanin, z urodzenia Brytyjczyk, trzy razy w służbie angielskiej a dwa w hiszpańskiej, właściwie nie należał do żadnego narodu, a każda sława, w której jakiś naród nie widzi odbłasku własnej sławy, łatwo idzie w zapomnienie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

ODKRYCIE STAŁEGO ŁADU POŁUDNIOWEJ AMERYKI.

Rozszerzenie przywilejów Kolumba. Oburzenie królowej. Kolumb przejeżdża w pobliżu równika. Trinidad i Paria. Perły. Kolumb w ziemskim raju. Bartolomé zakłada Santo Domingo. Odkrycie Xaragwy. Spisek Roldana. Bunt w Vega. Niezadowolenie osadników. Dwuznaczne układy Kolumba z buntownikami. Rozkwit kolonii. Biali kacykowie.

Powróciwszy z drugiej podróży, znów Kolumb ciągnął przez Hiszpanię w towarzystwie krajowców. Ażeby na nowo ożywić zachwianą wiarę w bogactwa Nowego świata, kazał on bratu kacyka Caonabo, jak tylko zbliżano się do jakiego miasta, nakładać na siebie naszyjnik złoty ważący 12 grzywien. Sam Kolumb przez cześć dla św. Franciszka nosił suknię z koloru i kroju franciszkańską; nie brakło nawet franciszkańskiego sznura. Hiszpańscy monarchowie byli wówczas zupełnie wciągnięci w wielkie europejskie zawikłania. Ferdynand stał z wojskiem w pogotowiu do wojny z Francją, Izabella odprawiła swoją córkę, melancholiczną Juane, do Flandryi, gdzie ta miała poślubić Filipa Pięknego.

Dopiero w Burgos mógł Kolumb ucałować ręce monarchów, i dwór, znów upojony urokiem wymowy admirała, który sobie na wyspie Kubie kazał na piśmie poświadczyć odkrycie wschodniej Azji i przywoził ziarnka

złota z Salomonowego Ophiru, zupełnie puścił w niepamięć zażalenia Juana Aguado. Z ulotnych chwil królewskiej łaski umiał Kolumb po mistrzowsku skorzystać i utrwalił je za pomocą pargaminu i pieczęci. Na nowo 23. kwietnia 1497 potwierdzono dawniej dane mu przywileje, pozwolono mu ustanowić majorat dla swej rodziny, a 2. czerwca, w skutek korzystnego dlań obliczenia tantiemy, otrzymał dar w pieniądzach. W archiwach przytem wyszperał, że kastylskim almirantom z każdej zdobyczy pod królewską flagą wziętej, należy się trzecia część, a Kolumb uważał Nowy świat za swoją zdobycz. Monarchowie chcieli zaspokoić te żądania, darowując mu na Espanioli 50 leguas kwadratowych, ale admirał nie przyjął tego, ażeby się nie wystawiać na zarzuty, że dla swoich posiadłości zaniedbuje królewskie domeny. Dalej wyjednał zakaz prywatnych podróży w celu odkryć, tak bowiem stronniczego usposobienia był ten wielki człowiek, że chciał monopolem rodzinnym powstrzymać potężny popęd, ożywiający jego epokę. Kolumb zaraz przy pierwszym spotkaniu się z bratem swoim Bartolome na Espanioli mianował go Adelantadem indyjskim, nie odwołując się do nikogo, a nie mając na to pełnomocnictwa w swoich przywilejach. Jakkolwiek ściągnął za to na siebie słuszną wymówkę, to przecież korona potwierdziła potem (22. lipca 1497) tę nominację.

Podczas gdy Kolumb skrzętnie te dary składał, przedsięwzięcie jego ulegało publicznej naganie. Koszta kolonizacyi były ciągle jeszcze tak wielkie, że monarchowie postanowili nadal tylko 300, a w koniecznym 500 osadników i 30 kobiet utrzymywać na swoim żołdzie i żywności. Nawet ten zmniejszony rozchód na 330 głów wynosił rocznie 8 milionów (21.000 dukatów). Admirał tedy wpadł na zły pomysł, aby Nowy świat, który sławił jako raj ziemski, dla względów taniości zaludnić złoczyńcami, i nie-

szczęściem sądy otrzymały rozkaz skazywać złoczyńców do Espanioli na wygnanie ze zmniejszeniem o połowę czasu kary. Nie jednego z tej zgrai, powiada biskup Las Casas, widziałem na wyspie, chodzącego bez uszu. Jeżeli samo już przesiedlenie wydawało się karą, to czegoż się dopiero można było spodziewać, gdy szumowiny europejskiego społeczeństwa będą do nowej osady odrzucane.

Drugie małżeństwo Infantki Doni Izabelli z D. Ma-nuelem portugalskim, a jeszcze bardziej wzruszająca śmierć następcy tronu Don Juana (4. paźdz. 1497) kazała zapomnieć dworowi o sprawie odkrycia. Kolumb otrzymał był asygnację na 6 milionów dla uzbrojenia 8 okrętów, ale tymczasem 29. października powrócił Peralonso Nino, który 11. czerwca 1496 powiózł był z Kadyksu do Espanioli na trzech żaglowcach żywność. Zwlekał on z oddaniem depesz Bartłomieja Kolumba aż do grudnia i zwiódł dwór wiadomością, że przywozi bogaty ładunek złota. Te to zwodnicze bogactwa przeznaczono dla admirała na pokrycie kosztów nowej wyprawy, natomiast cofnięto sześć milionów, które Ferdynand, będąc w wielkich kłopotach pieniężnych, użył na wojnę z Francją. Przeszło rok upłynęło, zanim Kolumb dostał do rąk dwa miliony, ale ta suma wystarczała zaledwie na najęcie okrętów i zakupienie niektórych zapasów, tak że nie można było myśleć o zapłaceniu zaległego żołdu osadnikom i dopiero w połowie stycznia 1498 po długiej przerwie można było wysłać dwa okręta do Espanioli. Znużony tą zwłoką, niepokojony losem nawpół już puszczonych w zapomnienie kolonii, przygnębiony przekleństwami, które się w około niego zewsząd na to indyjskie przedsięwzięcie dawały słyszeć, wyznaje Kolumb bratu Bartłomiejowi, że mu już życie zbrzydło. Wreszcie i sześć innych okrętów gotowych już było do odpłynięcia, ale jeszcze w porcie tak dokuczano admirałowi kancelaryjnemi szykanami, że nie umiał zapa-

nować nad sobą i jednego z wynalazczych trapiduchów, który się nieostrożnie na pokład zapuścił, ręką i nogą poczęstował. To zapomnienie się drogo go kosztowało, gdyż Las Casas zapewnia nas, że w skutek tego znieważenia koronnego urzędnika drażliwa Izabella po raz pierwszy naprawdę rozgniewała się na admirała.*)

Z dwustu towarzyszami, nie licząc służby na sześciu okrętach, opuścił Kolumb San Lucar de Barrameda we środę 30. maja 1498 a 19. czerwca dosięgnął Gomery, gdzie od dwóch francuskich korsarzy odebrał pewien zagrabiony przez nich okręt hiszpański. Dnia 21. czerwca, znajdując się na wysokości wyspy Ferro, wysłał Kolumb trzy okręta pod dowództwem Alonsa Sancheza de Carvajal, Pedra de Arana, wuja nieżonatego Don Fernanda Colon'a, i Giovanni'ego Antonia Colomba, Genuńczyka i swego krewnego, najbliższą drogą zachodnią do Espanioli. Sam z wielkim okrętem i dwiema karawelami udał się do capverdyjskiego archipelagu i 30. czerwca od wyspy Santjago wziął kierunek ku południo-zachodowi. Miał on zamiar dojechać do równika, a potem posuwać się ku zachodowi aż do południka Espanioli, ażeby zbadać, czy ów południk, który dzielił świat na hiszpańską i portugalską połowę, pod szerokością równika nie przechodzi przez jaką ziemię. Już w czasie drugiej podróży przypuszczał on, wprawdzie tylko z lotu ptaków, że 40 leguas na wschód od wysp Karybskich musi być ląd jakiś. Ale jeszcze bardziej opanowany był dawną błędną teorią, że produkta ziemi symetrycznie odpowiadają strefom kuli ziemskiej. W tem przekonaniu utrwaliła go koresponden-

*) Królowa nie znosiła scen podobnych. Pewnego razu kazała zamek zburzyć z powodu, iż tam jednego z jej urzędników skrzywdzono. Przypominamy tu jeszcze piękne słowa, które powiedziała, posłyszawszy, że Don Fadrique Enriquez publicznie znieważał pewnego rycerza, któremu ona dała list bezpieczeństwa. „Całe ciało, powiedziała, boli mię od tych razów, które Don Fadrique zadał memu pismu.“ (Prescott, Ferdinand and Isabella, tom I. p. 207).

cya z katalońskim jubilerem, Mojżeszem Jayme Ferrer. „Wypytywałem się zawsze w Kairze i Damaszku, pisze on do admirała 5. sierpnia 1495, z jakiej strefy i jakiej części świata dostają ludzie drogie kamienie, złoto i korzenie. Otóż wszystkie te drogocenne rzeczy pochodzą z krajów porównania dnia z nocą, gdzie mieszkańcy są czarnego lub brunatnego koloru, tak że podług mego widzenia Wasza Miłość nie prędzej znajdzie podobne rzeczy w obfitości, aż napotka takich ludzi.“ W myśl tej cudaczej recepty robi Kolumb uwagę 4. lipca, że myśli pozostawać na szerokości Sierra Leone i Cap St. Anna w Gwinei, gdyż na tej linii najwięcej spodziewa się znaleźć złota i najdroższych ziemskich rzeczy.

Tak więc 13. lipca dostał się w strefę równikowej ciszy morskiej. Umilkły wszelkie wiatry, a gorąco było tak nieznośne, że nikt już nie czuł się bezpiecznym w dalszych przestrzeniach okrętu, gdzie obręcze z beczek się zsuwały. Gdy dojechano 7^o półn. szer., Kolumb, którego zaczęła trapić podagra, zaprzestał kierunku południowego i przez dni 17 płynął z passatem ku zachodowi. Dnia 19. lipca spieka doszła najwyższego szczytu, a 31. zaczęło brakować wody na okrętach. Admirał postanowił zatem nagle teraz zwrócić się ku północy, gdzie przypuszczał, iż znajdzie wyspy Karybskie, jakkolwiek w wigilią dnia tego z pewnością już obwieszczał bliskość ziemi. Koło południa przypadkiem wylazł jakiś człowiek na maszt i ujrzał w stronie zachodniej ląd z trzema płaskimi szczytami, w skutek czego odkrycie otrzymało nazwę Trinidad. Sterowano ku południowo-wschodniej kończyźnie tego lądu, czyli, jak ją nazwano, do przylądka galer, a ztamtąd popłynięto południowym brzegiem ku zachodowi. Nazajutrz, 1. sierpnia, kiedy dojechano południowo-zachodniej kończyzny Trinidad, zwanej Punta de Arenal, ukazało się i na południu czyli po lewej ręce wybrzeże, *i to mianowicie*

część stałego lądu południowej Ameryki, pusta delta rzeki Orinoco, którą atoli poczytano za wyspę i nazwano Isla Santa. Dnia 2. sierpnia zbliżyła się do okrętów na odległość strzału piroga (łódź) z 25 ludźmi. Ażeby dzikich, ciekawie się przypatrujących, zwabić bliżej, kazał Kolumb trąbom zagrać do tańca na pokładzie; ale krajowcy widzieli w tem wyzwanie, i wypuścili strzały, na co im łucznicy odpowiedzieli; w końcu jednak zawiazano pokojowe stosunki.

Dnia 4. sierpnia usiłował Kolumb wpłynąć do zatoki Paria. Ale tu napotkał opór gwałtownego prądu wód Orinoco, które się pomiędzy Trinidad a stałym lądem z wielkim szumem do oceanu cisnęły. Po trudnej przeprawie posuwała się eskadra południowym brzegiem półwyspu Paria czyli Isla de Gracia, jak ją nazwał Kolumb, ku miejscu, gdzie się zwięża zatoka.

Dnia 5. sierpnia wylądowano a nazajutrz rozpoczął się gościnny stosunek z ludami Guarani, które miały jasną cerę, długie, gładkie włosy, odzieży nie nosiły, ale głowę ubierały w rozmaitą pstrokaciznę. Guarani mieszkali w chatach z kąciastymi dachami, mieli strzały i łuki i starannie zbudowane bystre statki z rodzajem kajuty. Kiedy ich pytano, zkaąd się dobywa złoto i perły, które jako ozdoby nosili, wskazywali na ląd ku północy. Admirał daremnie szukał wyjścia z wodnej kotliny, do której zachodniego cypla właśnie był dojechał. Z wielkiem niezadowoleniem musiał się wrócić, i wybrzeże stałego lądu, które jak się teraz dowiedział, nazywało się Paria, mieć po lewej ręce, ażeby znaleźć północne, przedtem przezeń odkryte ujście zatoki, gdzie wśród szalejącej powodzi wód Orinoco, jak wieże sterczały pojedyncze skały i wodom tamowały dropę. Przeprawę przez tę straszną przepaść smoczą, jak do dziś to miejsce się nazywa, odbyła eskadra 15. sierpnia. Ponieważ brzeg stałego lądu miano cią-

gle po lewej ręce, nazajutrz więc ukazały się grupy Testigos, a potem większa wyspa, nazwana przez admirała Margarita, w pobliżu której leżała wyspa Cubagna, co niebawem na cały świat zasłynęła ze swego połowu pereł. Dnia tego (15. sierpnia) po raz pierwszy przeczuwał Kolumb, że wybrzeże po lewej ręce może być lądem stałym, z niedowierzaniem jednak spoglądał na to przypuszczenie, żaden bowiem kosmograf, żadna mapa nic nie wiedziała o stałym lądzie w tych przestrzeniach. „Jeżeli to ma być ląd“, pisze w swoim dzienniku, „to uczony świat ogromnie się tem zdziwi“. Woda Orynoki, która z taką siłą wylewała się z podwójnego ujścia lejkowatej zatoki Paria, miała smak słodki, mogły ją zatem nagromadzić tylko tak potężne strumienie, jakie się zdołają rozwinąć wśród wielkich mas lądowych. Przy przeprawie atlantyckiej pod jednaką szerokością gorąco stawało się łagodniejszym, im dalej na zachód się posuwano. Wreszcie w pobliżu równika nie znaleziono wełnistowłosych murzynów, ale jasny lud z gładkimi włosami. Wszystkie te spostrzeżenia obalały błędną teorię, że formy ożywionej natury [symetrycznie się powtarzają pod tą samą szerokością. Zamiast jednak by zarzucić dawną zwodniczą teorię, podejrzewa Kolumb dziwną przyczynę tych mniemanych anomalii. „Ziemia, oznajmia on swoim władcom, ma kształt gruszki i traci kulistą formę w okolicy ogonka, albo też jest podobną do piłki z brodawką piersi kobiecej i w okolicy tej brodawki, mianowicie w pobliżu równika, w indyjskim oceanie, przy ostatecznym punkcie wschodu, nabrzmiewa i najbardziej zbliża się do nieba.“ *) Tym sposobem tłómaczył sobie gwałtowny wylew wód słodkich z zatoki Paria; siłę swoją uzyskiwały one zatem podług niego w skutek spadania z wielkiej wysokości. „Wielkie znaki,

*) Sprawozdanie Kolumba z trzeciej podróży (Navarr. T. I. p. 255).

ciągnie dalej admirał, wskazują tu na bliskość raj u ziemskiego, nie tylko bowiem matematyczne położenie odpowiada poglądom świętych i uczonych teologów, ale i wszelkie inne przemawiają zatem wskazówki.“ Wiek Kolumba jeszcze się był nie zrzekł nadziei ujrzenia tej odległej krainy, gdzie stworzenie w pierwszej wesołej niewinności żyło i gdzie Pan przestawał z czystymi od grzechu istotami. Topografia raj u była obfitym tematem dla uczonych pism polemicznych w wiekach średnich. Najpopularniejszym było twierdzenie, że raj leży na najdalszym wschodzie. Tam go umieszczał Honoriusz d'Autun, Wincenty de Beauvais, Roger Bacon, a co najważniejsza w stosunku do Kolumba, Petrus Alliatus w swoim obrazie świata. *) Większa część rysujących mapy szła za tą hipotezą, najbardziej zaś popierała przypuszczenie Kolumba Mappa mundi Andrzeja Bianco z r. 1436. Raj leży tam na wschodnim krańcu znanego świata, na stromej koronie gór z której spadają cztery rzeki biblijne, raj u bowiem szukano na znacznej wysokości, ponieważ nie miał być dostępnym dla fal potopu. Dla tego to pozorne anomalie fizyczne wydały się admirałowi wskazówkami bliskości raj u, a do tego dołączył się jeszcze niewymowny przepych przedzwrotnikowego świata i nagość mieszkańców. Ulegając pobożnemu marzycielstwu, coraz bardziej uważał się Kolumb za narzędzie wybrane przez Opatrzność i boskiemu natchnieniu przypisywał powodzenie odkrycia. Zgadzało się to zupełnie z usposobieniem wieku, aby i w imieniu odkrywcy (Christophoro, niosący Chrystusa) upatrywać nie przypadkowość, ale proroczą wskazówkę.

Od brzegów tajemniczego lądu stałego udał się Kolumb 15. sierpnia najbliższą drogą do Espanioli. We-

*) *Imago Mundi* Cap. XI. Ponieważ Kolumb w sprawozdaniu swoim dla monarchów z trzeciej podróży cały ustęp dosłownie przytacza z tej książki, więc musiał ją mieć z sobą w drodze.

wewnętrzny niepokój o losy kolonii, którą jeszcze przed 29 miesiącami opuścił, obawa, że zapasy żywności, które wiozł z sobą, mogą się zepsuć, brak pieniędzy na opłatę majtków, którzy najęci byli tylko do przejazdu, niewygodna wielkość okrętów, bojaźń powrotu chwilowego ociemnienia, wszystko to skłoniło admirała do przerwania odkryć, i już 19. sierpnia stał pod wyspą Beata, o 35 leguas na zachód od miasta San Domingo, mając mocne postanowienie, że jeśli tylko zastanie kolonię w kwitnącym stanie, to Adelantadowi każe ład stały dokładniej zbadać.

Odjeżdżając z Izabelli 10. marca 1496 Kolumb zostawił nieograniczone pełnomocnictwo swoim braciom: Bartolome i Diego. Najwyższym sędzią kolonii zamianował rycerza Francisco Roldan z Torre de Don Ximeno, który nie miał naukowego wykształcenia, ale miał za to zdrowy rozum i był ulubieńcem admirała. Nie znający ludzi, Kolumb źle zwykle dobierał ich sobie. Fray Boil i Margarit, przez niego samego wybrani, zdezerterowali; Juan Aguado, polecony przezeń monarsze, dał się potem we znaki Kolumbowi. Teraz miał się dowiedzieć admirał, jakiego ulubieńca posiadał w Roldanie. Z trzema żaglowcami Peralonsa Nina posłał był (w lipcu 1496) Bartłomiejowi rozkaz założenia nowego miasta na południu. Bartłomiej natychmiast wyruszył i zbudował na lewym brzegu rzeki Oçama, dostępnej dla okrętów o 300 tonnach, miasto, któremu dał nazwę Santo Domingo, czy to dla uczczenia pamięci ojca, czy też, że w niedzielę położono kamień węgielny. Tam się dowiedział o wielkiem państwie Xaragua na zachodzie, nad którem panował król czyli hehecchio wspólnie ze swoją siostrą Anacaona, piękną i rozumną wdową po groźnym niegdyś kacyku Caonabo. Tej parze monarszej kazał Bartolome zapowiedzieć pokojowe odwiedziny i przyjęty był przez nią w stolicy Xaragua na brzegu błękitnego jeziora, w zachwycającej dolinie

ozdobionej górami, na grzbietach których sosny mieszały się z królewskimi palmami. Anacaona kazała 300 swoim dworskim damom, zupełnie nagim, odtańczyć przed Hiszpanami uroczysty taniec (areyto), a książę wydał dla nich igrzyska wojenne, które kilku wojowników o śmierć przypawiły. Zgodziła się też książęca para na płacenie daniny w bawełnie i polnych owocach, ponieważ na zachód od Neyby nie było wcale złota. Powróciwszy do Izabelli, Bartolome zastał połowę Europejczyków, jacy byli na wyspie, mianowicie 300 osób, chorych na gorączkę. Zaledwie się dowiedzieli krajowcy, jak straszego sprzymierzeńca znaleźli w klimacie, gdy w królewskim obwodzie (Vega real) wybuchło powstanie, i flegmatyczny kaczyk Guarionex musiał wbrew woli stanąć na jego czele. W jego oczach 21. września 1496 ochrzczony został pierwszy krajowiec, ale ponieważ z samym Guarionexem nie powiodło się misjonarzom, więc opuścili Vege. Natychmiast zburzono ich małą kaplicę i znieważono świętości. Schwymano wprawdzie i spalono przestępców, atoli sprzysiężenie wybuchło, jak tylko Bartolome udał się do Xaragua. Załoga w Concepcion, położona w ognisku powstania, wysłała wiernego Indyanina z depeszą, zawartą w wydrażonej trzcinie, do blokhauzu w Bonao. Schwymano wprawdzie posłańca, ale uszedł szczęśliwie, udawszy niemego.

Bartolome szybko poskromił powstanie. W pewnym nocnym krwawym napadzie Guarionex dostał się w jego ręce; uwolnił go jednak na prośbę poddanych, a sam zwrócił się do Xaragwy, aby w tym niewyczerpanym jeszcze kraju łatwiejsze znaleźć utrzymanie dla wojska. Panujące rodzeństwo odnowiło przyjaźń, pozwoliło podziwiać wielkie swoje magazyny, pełne krajowych materii, naczyń, sprzętów domowych i rzeźb z drzewa, po większej części wyrobów przemysłowej wyspy Guanaba, zjechało na swoich na swoich malowanych i bogato ozdobionych gondolach

z całym dworem do hiszpańskiej karaweli, którą Bartolome posłał był z Izabelli, podziwiałoby ruchy żaglowego statku, okrutnie się przeraziło salwami z dział i serdecznie się lubowało muzyką hiszpańską.

Jeżeli zjawienie się Aguada zostawiło po sobie przypuszczenie, że dwór jest niezadowolony z admirała, to długa zwłoka w dowozie zapasów z Hiszpanii zdawała się to przypuszczenie potwierdzać. Zaczęto nienawidzić Bartłomieja od czasu, jak ukarał pewnego znakomitego Hiszpana za gwałt wyrządzony żonie kacyka Guarionex. Sześćdziesięciu malkontentów połączyło się przeciw niemu, a na ich czele stanął najwyższy sędzia Roldan. Diego Colon, który obawiał się nowej ucieczki, kazał ostatnią karawelę z przed Izabelli na ląd wyciągnąć. Z tego powodu wszczęło się zaburzenie. Buntownicy włamali się do zbrojowni, splądrowali królewską stadninę, pozabijali bydło przeznaczone do chowu i ogłosili kacyków wolnymi od wszelkiej daniny. Zgraja ruszyła potem do królewskiego obwodu, gdzie jednak zamach jej na zamek Concepcion rozbił się o czujność lojalnego Miguela Ballester.

Wiadomość o tych zajściach otrzymał Bartolome, gdy powracał z Xaragua. Krnąbrnego komendanta portu Magdaleny, Diega de Escobar, z powodu nieprzyzwoitych jego wyrażań kazał uwięzić. Zaledwie jednak Bartolome się oddalił, gdy Escobar został uwolniony i przeszedł do buntowników. Bardzo w porę zatem przybyły na pomoc zbyt uszczuplonemu stronnictwu lojalnemu do Santo Domingo dwie karawele z 90 ludźmi pod dowództwem Pedra Hernandeza Coronel, które w styczniu 1498 opuściły Hiszpanię i na znak łaski królewskiej przywiozły patent na adelantada. Ale nadaremnie ofiarowywano Roldanowi i jego towarzyszom przebaczenie. Miotając obelgi ruszyli do Xaragua, dokąd ich wabiło bogactwo kraju i wdzięki kobiet. Każdy natychmiast otoczył się haremem i niewolnikami,

tak, że cała zgraja z niosącymi ciężary przeszło 3000 głów wynosiła. Tak mało ich zresztą obchodziła wolność Indyan, że nową i jeszcze cięższą daninę wybierali i dopuszczali się niesłychanych okrucieństw.

Okolo tego czasu kacyk Guarionex uciekł potajemnie w góry północnego wybrzeża do karybskich Cigajów, których wyżej w ogładzie stojący mieszkańcy równiny traktowali jak chłopów, a których wódz Mayobanex przyrzekł znakomitego zbiega bronić do ostatka, ponieważ ten go nauczył tańczyć i śpiewać świętego maguańskiego areyto. Adelantado domagał się wydania Guarionexa, jak długo bowiem boską czią otoczona osoba kacyka znajdowała się w ręku Hiszpanów, tak długo mogli się niczego nie lękać od jego poddanych. Ale domaganie się to było daremne. Z 90 ludźmi wdrapał się Bartolome na góry nadbrzeżne, gdzie Cigajom wprowadzie sprzyjała niedostępność ich kraju, ale gdzie gradem strzał swoich nie mogli oni nic wskórać z opancerzonym nieprzyjacielem. Adelantado, w popiół obróciwszy wszystkie opuszczone osady, znów im zaproponował wydanie kacyka. Wprawdzie Cygajowie na radzie ludowej oświadczyli się za przyjęciem propozycji, ale Mayobanex nie dał się ugiąć, kazał wznowić nieprzyjacielskie kroki i obsadzić wszystkie przesmyki do górskich kryjówek strażą, która miała każdego nowego posłańca, czy to Hiszpana, czy Indyanina, zabijać. W istocie ludzie Adelantada znaleźli niebawem pomordowanych parę jeńców wojennych, którzy wysłani byli z propozycjami do Mayobaneksa. Ale wkrótce potem dzielny wódz ujrzał się niegodnie opuszczonym przez swoich. Guarionex musiał się schronić w bezdrożne przepaści, gdyż Cigajowie, chcąc zaspokoić Hiszpanów, zasadzali się na niego. Trzy miesiące trwały poszukiwania w sierrach i Adelantado musiał rozpuścić swoich ludzi, zmęczonych wszelkiego rodzaju niewygodami, z wyjątkiem trzydziestu, z któ-

rymi niezłomnie śledził kryjówkę obu kacyków. Indyjski orszak jego służył mu za tragarzy i musiał dla głodnych Hiszpanów zasadzać się na króliki Domingo. Tacy myśliwcy pochwycili pewnego dnia wysłanych na zwiady ludzi obu kacyków i Adelantado zmusił ich, jak Las Casas przypuszcza, za pomocą tortur do zdradzenia kryjówki. Dwunastu Hiszpanów nagich i stosownie do zwyczaju krajowców podczas wojny posmarowanych na czarno, ze szpadami obwiniętymi w palmowe liście na grzbiecie, wpłynęło wraz ze szpiegami swymi do schronienia Mayobanexa i zaskoczyli go wśród jego domowego życia. Mayobanex na widok dobytých mieczy dał się okuć w kajdany i odprowadzić do Concepcion *). Adelantado wypuścił pojmanych, z wyjątkiem Mayobanexa, którego ani łzy, ani prośby nie mogły wykupić nawet wtedy, gdy Guarionex, wygnany głodem z kryjówki, zdradzony został przez Cigajów i wydany Hiszpanom.

Około tego czasu (przy końcu lipca 1498) przybyły trzy okręta, które admirał posłał był prostą drogą od wyspy Ferro do południowego wybrzeża Espanioli. Zapełnione prądami w karybskiej zatoce o sto mil na zachód od Santo Domingo, przybiły do południowego wybrzeża w pobliżu Xaragua. Roldan, który się o ich przybyciu wcześniej dowiedział, wmieszał się ze swymi włóczęgami pomiędzy przybyłych i jakich trzydziestu namówił, aby przyłączyli się do buntu, tak że kapitanowie uznali za stosowne wierną jeszcze załogę śpiesznie okrętami zawieść do Santo Domingo. Adelantado na wiadomość o ich przybyciu pośpieszył naprzeciw nich, ale zanim dojechał do nich,

*) Pomiedzy pojmanymi kobietami znajdowała się krewna Mayobanexa poślubiona jednemu z sąsiednich Nitaynów. Ten za wydanie swej żony, najpiękniejszej kobiety na wyspie, przyrzekł sam ze swym ludem pracować w polu dla Adelantada. Bartolome uczynił zadość czulemu mężowi, który przez wdzięczność w dwudziestu dniach uprawił i zasiał dlań tak wielki obszar manioką, że zbiór jej w oczach Hiszpanów wart był 30,000 castellanos czyli 200,000 zł. r.

spotkał się 22. sierpnia z admirałem, którego również prądy na zachód odrzuciły. Kolumb, przybywszy d. 31. sierpnia do Santo Domingo, usiłował za jakąkolwiek cenę dobrym sposobem załatwić się z buntownikami. Takie zniechęcenie do nowej ojczyzny opanowało Hiszpanów, że forma zaklęcia: „Niech mi Bóg pomoże wrócić do Kastylji!“ stała się zwyczajną. Edyktem z d. 12. września pozwolił Kolumb każdemu wracać na pięciu okrętach, gotowych do odjazdu. Admirała trapiła tylko myśl, że zawistni ludzie będą mogli na jego szkodę tłómaczyć gorszące sceny, jakie zachodziły na wyspie. Nie śmiał też przy dalszem trwaniu rozterek wybierać dawnej daniny od krajowców. Bez niej zaś nie można było obmyśleć sposobu wynagrodzenia koronie kosztów, jakie pociągały za sobą odkrycia. Wprawdzie powiedzieli mu monarchowie: „że może się nie troszczyć wydatkami, które są dość małe w stosunku do tak wielkich rzeczy, że monarchowie uważają dotychczasowe wydatki za dobrze użyte, i że mają postanowienie dalej prowadzić przedsięwzięcie, choćby się miały tylko same kamienie i skały odkrywać!“*) Ale bojaźń bezowocnych wydatków pieniężnych nie dawała mu spocząć i przesadzał on bardzo, obliczając monarchom, jak w najbliższych latach sprzedaż niewolników i eksploatacja świeżo odkrytych w Xaragua lasów drzewa brazylijskiego wrócić może skarbowi 40 milionów. Ale buntownikom, którzy zasmakowali w awanturniczem życiu, nie spieszyło się wcale wracać do Kastylji. Franciszek Roldan, Adryan de Moxica, Pedro de Gamiz i Diego de Escobar, przewodcy buntu, w pewnym liście z d. 17. października uroczyście wypowiedzieli admirałowi posłuszeństwo, a nastąpiło to w chwili, gdy Kolumb napisał pojednawczy list do Roldana, w którym go „drogim przyjacielem“ nazywał. Admirał w smu-

*) Tak pisze sam Kolumb (Navarr. tom I. p. 263).

tnem znajdował się położeniu. Przybył z próżnemi rękoma bez zaległego żołdu, a tymczasem pieniądze były jedynym środkiem do przywrócenia posłuszeństwa, gdyż, jak mu pisał wierny Ballester, mógł on już tylko na bardzo niewielu uczciwych ludzi liczyć i gdyby chciał użyć siły, to nie znalazłby i siedmdziesięciu posłusznych swoim rozkazom. Podług kontraktu winien był Kolumb pięć najętych okrętów odprawić w miesiąc po wyładowaniu. Zatrzymał on je jeszcze dwa tygodnie po za tym terminem, chcąc przesłać przez nie wiadomość o zupełnem uspokojeniu kolonii. Nareszcie musiał je odprawić d. 18. października 1498 z ładunkiem jeńców indyjskich z Santo Domingo. Usilnie prosił w depeszy do monarchów o przysłanie jakiego pewnego sędziego. Potrzeba mu było także księży do nawracania, nie tyle Indyan, ile zdziczałych Hiszpanów, którzy żadnych już postów nie zachowywali i żyli w jawnej poligamii z indyjskimi kobietami. Nieostrożnie dodał Kolumb: gdyby się nie udało pogodzić się z buntownikami, to lepiejby było wytępić ich siłą. To pośpieszne wywnętrzenie się, tak sądzi Las Casas, przyczyniło się do późniejszego upadku jego, gdyż potwierdziło zarzut srogości i okrucieństwa, który robiono na dworze admirałowi i jego braciom. Tej depeszy towarzyszyła mapa nowoodkrytego lądu stałego, kilka bryłek złota i 160—170 pereł ułowionych w zatoce Paria. Ale statkami tymi i buntownicy przesłali potajemnie swoje listy do Hiszpanii, listy, które jak się wkrótce okazało, zatarły zupełnie wrażenie słów admirała.

D. 26. października porozumiano się wprawdzie z Rolandem, który jako pełnomocnik buntowników przybył z żelaznym listem do Santo Domingo, ale buntownicy nie zgodzili się na ten układ i żądali nowej kapitulacyi z tak obrażającymi warunkami, że admirał z początku odrzucił to żądanie. Jednakże za pośrednictwem Carvalaja już d.

17. listopada sprawa zgody tak daleko była posunięta, że insurgenci z Xaragua przyrzekali odpłynąć, jeżeli im admirał wystawi dobre świadectwa służby i w przeciągu 50 dni przyśle dwie dobrze zaopatrzone karawele. Ale ponieważ wyprawienie tych okrętów z Santo Domingo odwlekło się do stycznia 1499, a burza je w drodze tak uszkodziła, że nie były zdolne do morskiej podróży, więc buntownicy ogłosili układ za nieważny, i dawny stan anarchii trwał dalej. Dopiero przy końcu sierpnia 1499 pod Aęua stała się pomiędzy admirałem a Roldanem ugoda. Roldan żądał, aby mu przywrócono godność naczelnego sędziego, współwinnym zaś rozdano ziemię na własność, wypłacono zaległy żołd za cały czas buntu; był przytem warunek, że w razie naruszenia ugody buntownicy mają prawo siłą lub jakimkolwiek bądź sposobem wymóżyć wykonanie wszystkich ustępstw. Gdyby admirał to podpisał, powaga jego musiałaby upaść, gdyż tym sposobem bunt w całym swoim przebiegu stawał się usprawiedliwionym. A jednak zrobił to, podpisał, ale, jak sam przyznaje, dla tego, aby przy pierwszej sposobności złamać, wiedział bowiem dobrze, że wymuszona ugoda w obec prawa jest nieważną*).

Zgoda uroczyście została obwieszczoną d. 28. września 1499, Roldan znów objął swój urząd, a okrętem, który d. 19. października 1499 wyprawiono do Kastylii, odpłynęło 15 buntowników. Pozostałych 102 ugodowców obdarzono nadaniami ziemskimi, które potem otrzymały u Hiszpanów techniczną nazwę *repartimientos* albo *encomiendas*. Nadawano w posiadłościach pewnych kacyków po 10 do 20,000 matas korzeni manioki z oznaczeniem obranego miejsca. Pod matas rozumiano kupki ziemi, z których ka-

*) W pewnej depeszy do monarchów tłumaczy powody nieważności ugody i w nierzetelnej sofistyce zapuszcza się tak daleko, iż powiada, że podobną ugodę mógł zawrzeć tylko jako wicekról, a tymczasem podpisał ją na pokładzie okrętu, gdzie pełnił funkcję admirała. (Las Casas. lib. I. cap. 160.)

żda zawierała w sobie trzy do czterech roślin manioki. Kacyk obowiązany był uprawiać te pola swoimi ludźmi. Mieszkańcy nie odważali się umykać od tej pańszczyzny, gdyż Hiszpanie prędko wysledzali zbiegów, których w najlepszym razie mogli byli sprzedać, jako niewolników. Admirał rozdawał teraz pozwolenia na kopanie złota w Cibaó, ale tylko na czas oznaczony, z miesiąca na miesiąc. W istocie otwarło się było wówczas mineralne bogactwo kraju na taką niemal skalę, jak w nowszych czasach w Kalifornii i Australii. Nie ośmielał się jeszcze admirał wysłać brata Bartłomieja na dalsze odkrycia, ponieważ obecność tego człowieka ze stanowczym charakterem i wojennem doświadczeniem potrzebną była do trzymania w strachu buntowników. Zresztą wszystko się zmieniło na lepsze. Po opuszczeniu niezdrowej Izabelli nikt nie umarł z powodu klimatu. Przyzwyczajono się też stopniowo do jedzenia chleba cassabe, podczas gdy domowe europejskie zwierzęta, mianowicie kozy a jeszcze bardziej nierogacizna, rozmnożyły się niesłychanie szybko. Tak więc Kolumb ceną upokarzającego układu zapewnił sobie przynajmniej częściowe urzeczywistnienie swych rojeń o wielkich zyskach. Pessimistyczna krytyka w kraju macierzystym nie mogła już nadal nazywać odkryć kosztownem amatorsstwem, ponieważ miały już one wartość dla skarbu państwa. Prawda, że materialny dobrobyt kolonistów okupował się nędzą krajowców, gdyż już w ósmym roku od pierwszego odkrycia poznano, że biały człowiek pod zwrotnikami tylko służebności ras zwrotnikowych zawdzięczać może swoje powodzenie. Hiszpanie, powiada Las Casas, nie tylko zmuszali swoich ciemnych poddanych do uprawy pola, ale trzymali niewolników do łowienia ryb i do polowania na smaczne hutia, a kobiety mieli przy sobie jako kucharki, praczki, dziewczki i nałożnice. W hamakach ka-

zali się nosić po kraju, i podczas, gdy część dla pierwotnych książąt upadała, poddani ich drżeli już tylko przed „białymi kacykami“.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

PODRÓŻE MORSKIE MNIEJSZYCH ODKRYWCÓW.

Pochodzenie Ameriga Vespucci. Hojeda na ujściu Amazonki. W Venezueli. Obserwacya księżycowych odległości. Hojeda i Roldan. Per Alonso Nino odkrywa wybrzeże Perłowe. Lądowe szczepy Karybów. Pinzoni u wschodniej kończyny południowej Ameryki. Rozbicie się okrętu. Podróże Diega de Lepe i Mendozy do Brazylii.

Mapa nowoodkrytych części południowej Ameryki, którą Kolumb posłał był 18. października 1498 roku do Hiszpanii, pozostawała w rękach biskupa z Badajoz, Don Juana Rodriguez Fonseca, któremu, jak już powiedzieliśmy, dostało się kierownictwo wypraw i zarząd nad koloniami. Tam ujrzał ją Alonso de Hojeda, który po zuchwałem pochwyceniu kacyka Caonabo opuścił był Hiszpanię. Szlachcic ten ofiarował się dalej prowadzić odkrycie i Fonseca udzielił mu na to pozwolenia wbrew wyjednanemu przez Kolumba prawnemu zakazowi. Wprawdzie patent nie był podpisany przez Ferdynanda, ani przez Izabellę, jednak można wątpić, czyby bez ich wiedzy ośmielił się Fonseca dać owo pozwolenie. Ponieważ z ową mapą przybyły i perły z zatoki Paria, więc z całą siłą obudziła się drzemiąca już żądza odkryć, i przy widokach na bogaty przywóz nie zabrakło w Sewilli zamożnych ludzi, którzy zaliczyli pieniądze na urządzenie wyprawy. Między towarzyszami Hojedy znajdował się najlepszy sternik owego czasu, Juan de la Cosa, Bask, który służył pod admirałem w drugiej jego podróży. Atoli niezasłużoną sławę miał osiągnąć, dzięki zbiegowi bardzo trywialnych

okoliczności, inny uczestnik wyprawy, mianowicie Florentczyk Amerigo Vespucci.

Człowiek ten pochodził z rodziny, która w trzynastym wieku przywędrowała z Peretoli do Florencyi i tam prędko podniosła się do znaczenia, tak że w połowie piętnastego stulecia zaliczaną była do 35 rodzin rycerskich ze złotemi ostrogami. Wymieniano wówczas nazwisko Vespuccich obok Medyceuszów, Boromei, Pitti, Guicciardini, Soderini; pałac ich należał do budowli, z których Florencya jeszcze dumną była; najwyższe polityczne urzędy republiki kilkakrotnie dostawały się tej rodzinie, a przy końcu piętnastego stulecia znajdujemy Vespuccich nie tylko we Florencyi, ale i w Neapolu: odznaczali się oni tam jako dyplomaci, prawnicy, admirałowie, uczeni i sztukmistrze. Marynarz Amerigo był trzecim synem Ser Anastagia Vespucci i Elżbiety, córki Ser Giovanniego Mini, urodził się 9. marca 1451 we Florencyi. Naukę młodzieńczą pobierał wraz z Piotrem Soderinim, późniejszym demokratycznym naczelnikiem rzeczypospolitej, u swego wuja, Giorgio Antonio, księdza niepokalanej pobożności. Z tego czasu posiadamy jeszcze list młodego Amerigo do ojca, gdzie wyznaje brak pewności w używaniu łacińskiego języka. Od czternastego stulecia jeździli już Florentczycy na wszystkie wielkie targi świata, do południowej i do północnej Europy, do Lewantu, równie jak do Hiszpanii i Portugalii. W Andaluzyi zwraca szczególnie na siebie uwagę dom Florentczyka Giovanni Berardi, który od 1486 był bankierem kastylskiej korony, potem załatwiał sprawy kredytowe i wekslowe indyjskiego zarządu. Spotykamy i Ameriga Vespucci w styczniu 1493 w Kadyksie, jako handlowego współnika swego ziomka Donato Nicolini. Amerigo nie był zwyczajnym człowiekiem. Jakkolwiek nigdy nie miał dowództwa okrętu pod kastylską flagą, i tylko jedną jedyną ostatnią podróż odbywał jako kapitan karaweli

pod portugalskim dowódcą, a zatem ściśle biorąc nie może być zaliczany do odkrywców, posiadał przecież bardzo użyteczne wiadomości z matematycznej geografii i umiał z ówczesnymi narzędziami astronomicznymi, jak to się z jego spostrzeżeń okazuje, daleko lepiej obchodzić, niż admirał Don Cristobal Colon. Jeżeli Amerigo Vespucci w pismach swoich nie zawsze się okazuje lubiącym prawdę, jeżeli natrętnie przecenia wartość swoją, to wynagradza nas za to uczuciami prawdziwej radości z odkryć i wrażliwością na piękno w naturze. W jakim charakterze stowarzyszył się z Hojedą, tego do dziś nie można wyjaśnić. Las Casas przypuszcza, że towarzyszył on eskadrze, jako komisant pewnego domu florenckiego, który dał pieniądze na wyprawę. Sam on otrzymuje, że odbywał podróż z polecenia korony. To tylko jest rzeczą pewną, że nie dowodził żadnym okrętem i zważywszy jego brak doświadczenia żeglarskiego, można przypuszczać, że nie jechał nawet jako sternik.

Hojeda z 57 ludźmi na dwóch karawelach opuścił port Kadyksu 18. maja 1499. i od wysp Kanaryjskich obrał południowo zachodni kierunek, a po 24 dniach płynąc z południowo-wschodnim passatem, ujrzał na początku lipca brzeg Gujany. Na piętnaście mil przed lądem ujrzeli tam błękitne jak indygo morze, pokryte do pewnej wyraźnej granicy zielonemi, jak mleko pieniącemi się falami wód słodkich, które z lądu się wylewały. Posuwano się brzegiem ku południowi, ażeby wypłynąć za przylądek Kattigara, który na tablicach Klandyusza Ptolomeusza oznaczał południowo-wschodnią kończynę azyatyckiego lądu. Tym sposobem dojechano do podzielonego wyspami i na wpół zakrytego ujścia Amazonki i Rio Para; podług opisu Vespucciego pierwsza, cztery mile szeroka, zdaje się przybywać z południa, druga, trzy mile szeroka, z zachodu. Wysłana łódź płynęła piętnaście mil w górę jednej z tych

rzek i znalazła brzeg nieprzeniknioną gęstwiną zarosły, a barwnem ptactwem ożywiony, które tak słodko spiewało, że i Vespucci sądził się być przeniesionym do „raju ziemskiego“.

Jechano dalej brzegiem lądu prawdopodobnie do 4° lub 6° połudn. szerok.; przynajmniej gwiazdę polarną zupełnie z oczu stracono, podczas gdy inne gwiazdy małej niedźwiedzicy w niewielkiej odległości od horyzontu kulminowały*). Vespucci przepędzał noce na rozglądaniu ciał niebieskich południowego nieba i zajmowało go zuchwałe zadanie: ułożyć katalog gwiazd stałych drugiej półkuli. Na widok południowego krzyża, który pod tą nazwą (cruzeiro) znany już był portugalskim marynarzom od czasu wypraw do Afryki, tak się wyraża Vespucci: „Spostrzegłem cztery gwiazdy tworzące kształt migdału albo romboidu i na widok ich przysły mi na myśl wiersze naszego poety Danta z pierwszej pieśni Czyścica, gdzie on na drugą półkulę wszedłszy, woła na widok północnego bieguna:

Jo mi volsi a man destra, e posì mente,
All' altro polo, e vidi quattro stelle
Non viste mai fuor che alla prima gente **).

Koło brazylijskiego brzegu okręta spotkały się z silnymi równikowymi prądami, które zmusiły je zawrócić się na północo-zachód. Najbliższą ziemią, do której przybito, była wyspa Trinidad, której karybyscy mieszkańcy, podej-

*) Angela Maria Bandini, Vita e lettere di Amerigo Vespucci. Firenze 1745.

**) Jest rzeczą nader prawdopodobną, że uczony Dante widział południowy krzyż na jakimś arabskim globie niebieskim (podobny glob był sporządzony w Egipcie 1225 i dostał się do Europy), albo że mu chrześcijańscy misyonarze, powracający z misji na brzegu Koromandelskim, opisali tę konstellację. Porówn. komentarze do tego słynnego miejsca Purgatorio, Canto I, 22, w A. Humboldta Kosmos Bd. 2. S. 331 i Santarem, Histoire de la cosmographie tom I. p. 104.

rzywani potem o ludożerstwo, gościnnie przyjęli żeglarzy. Hojeda wprowadził następnie okręta przez niebezpieczny kanał węzowy do zatoki Paria, a wymieniawszy od przyjaciółnych mieszkańców trochę pereł, popłynęli marynarze przez przepaść smoczą do zatoki karaibskiej. Hojeda wylądował na wyspie Margarita, którą od czasu jak ją admirał widział z daleka, była już odwiedzana przez hiszpańskich żeglarzy. Wszędzie przyjaźnie przyjmowani przez mieszkańców, nabywając od nich zamiennym sposobem perły i złoto, udali się od Margarity wzdłuż północnego brzegu Wenezueli do dzisiejszego Puerto Cabello. Dopiero tam trafili na wojownicze, niegościnne szczepy. Gdy pewnego razu 26 ludzi w łodzi przybiło do lądu, to wywiązała się gorąca utarczka, i już Hiszpanie straciwszy ducha chcieli uchodzić do swego statku, gdy pewien podeśzły Portugalczyk zagrzał ich do oporu. Dopiero po obfitej rzezi udało się Hiszpanom zapalić nieprzyjazną osadę, zwycięstwo to jednak opłacone było życiem jednego z towarzyszy, a ranami innych, tak że śpiesznie zaczęto szukać spokojnego miejsca dla zarzucenia kotwicy. Inna przygoda spotkała jedenastu majtków, którzy podczas zachodniej podróży wylądowali na wyspie Curaçao i wchodząc do pewnej chałupy, zastali tam kilka karybskich kobiet zastraszającej wielkości ciała. Przestрах ich jeszcze się wzmógł, kiedy się do tych kobiet przyłączyli i ich mężowie takichże rozmiarów ciała. Mimo to nic się im złego nie stało, i Karybowie dali im nawet straż bezpieczeństwa aż do łodzi. Dla uwiecznienia przestרחu nazwano kraj ten wyspą olbrzymów. Dziesięć leguas ku zachodowi na półwyspie pewien liczny lud indyjski zbudował sobie wpośród morza na palach osadę, która z tego powodu przez żeglarzy została nazwana Małą Wenecją (Venezuela). Po gorącej ale zwycięskiej utarczce zagrabili Hiszpanie zapasy bawełny i drzewa brazylijskiego, nagromadzone po do-

mostwach. W tym to punkcie Vespucci starał się oznaczyć długość na podstawie odległości księżyca. W kalendarzu Regiomontana połączenie się Marsa z księżycem oznaczone było dla południka ulmskiego na północ z 23 na 24 sierpnia. Księżyc wschodząc w Venezueli o $7\frac{1}{2}$ znajdował się trochę więcej jak o stopień na wschód od Marsa. Vespucci obliczył stąd, że musiał się znajdować o $82\frac{1}{2}^{\circ}$ na zachód od południka Kadyksu. Jakkolwiek się mylił przynajmniej o 19° , przecież sama próba już mu cześć przynosi, po raz to pierwszy bowiem oznaczono wówczas w Nowym świecie długość za pomocą odległości księżycowej.

Prawdopodobnie następnego dnia, 24. sierpnia, odkryli żeglarze cieśninę prowadzącą do jeziora Św. Bartłomieja, które na naszych mapach nosi nazwę Laguna Maracaybo. Opłynęli następnie półwysep Chichibacoa, który występując z lądu ku północo-wschodowi tworzy zatokę Maracaybo. Najbardziej zachodni punkt, do którego dosięgli po tamtej stronie półwyspu, (prawdopodobnie 16. września) był Cabo da la Vela. Po siedmiodniowej przeprawie eskadra Hojedy zarzuciła kotwicę na zachodniej stronie południowego wybrzeża Espanioli, u ujścia rzeki Jaquimo 23. września. Natychmiast kazał Hojeda ścinać w lasach brazylijskie drzewo jako ładunek dla swoich okrętów, jakkolwiek bardzo dobrze wiedział, że dopuszcza się tym sposobem rabunku na dobrach królewskich. 29. września spotkał się Hojeda z Roldanem i łudził go, utrzymując, że przybił do Espanioli dla nabrania drogą wymiany zapasów żywności. Opowiadał, że odkrył stały ląd na przestrzeni 600 mil, że krajowcy w potyczce zabili mu jednego z towarzyszy, a jakich dwudziestu ranili. Mówił dalej, że kiedy opuszczał Hiszpanię, to królowa Izabella była bez nadziei chorą; Kolumb, dodawał, popadł w niełaskę i prędko dostanie dymisyę.

Zamiast, jak przyobiecał, udać się do Santo Domingo i zdać sprawę admirałowi, niespodzianie w kilka dni później ukazał się pod Xaragua, z czego Roldan był niezadowolony. Hojeda zaczął tam podburzać malkontentów przeciw admirałowi i przypominać im żołąd zaległy. Wkrótce wszczęły się zamieszki. Ludzie Hojedy napadli nocą na hiszpańskich osadników w Xaragua, krew popłynęła i po obu stronach padło po kilku ludzi. Roldan, dla zagożenia sprawy prosił o rozmowę, ale Hojeda kazał okuć posłańca w kajdany, i nie zaprzestał zbrojnych wycieczek, a każdego, kogo schwytał, wiódł jako jeńca na okręt, a to dla tego, że mu nie chciano wydać jednego zbiega z jego eskadry. Chytry Roldan kazał teraz oznajmić Hojedzie, że jeśli mu przysle łódź z ośmiu ludźmi, to on, Roldan, uda się do niego na pokład dla rozmówienia się. Hojeda usłuchał, ale łódź jego z ośmiu ludźmi wpadła w zasadzkę. Ujrzawszy jedyną swoją łódkę w rękach Roldana, Hojeda musiał wymieniać porwanych osadników za swoich ludzi. Na tem się skończył ten brzydki epizod, i Hojeda opuścił Espaniolę przy końcu lutego lub na początku marca.

W przeciągu tego czasu jeden z okrętów, albo i oba przedsiębrały podróż ku północy. Być może, iż wtedy spotkano się z brytańskimi okrętami, lub natrafiono przynajmniej na ślady ich bytności. Amerigo zapewnia nas, że odkryty obszar posunęli o jakie 200 leguas na północ od Espanioli przez morze pełne wysp i mielizn. Jeżeli jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy ujrzano wówczas stały ląd północnej Ameryki, to w każdym razie odkryto leżące na północ od Guanahani a nieznane jeszcze wyspy grupy Bahama, a jednocześnie powzięto słuszne przekonanie, że Kuba nie jest kawałkiem stałego lądu, ale wyspą. Od siedmiu lat nie zmąciło spokoju wysp lukajskich i żyjący bez troski Indianie już prawdopodobnie zapomnieli byli

o białych brodatych ludziach, którzy tymczasem porwali 232 krajowców, aby ich jako niewolników sprzedać na europejskich targach. Na początku marca eskadra Hojedy raz jeszcze była widzianą z Espanioli, następnie w 67 dni dostała się do Azorów, zkąd po krótkim odpoczynku zapędzona burzami do Madery i Kanaryów, dopiero w czerwcu 1500 powróciła do Kadyksu. Trochę barwnych kryształów, złote ozdoby indyjskie, ale mało pereł przywieziono, tak, że po sprzedaniu niewolników tylko po 10 dukatów czystego zysku przypadło na każdego z awanturników. W cztery tygodnie potem opisywał Vespucci z Sewilli swoje przygody posłowi Lorenza di Pierfrancesco dei Medici (18. lipca 1500) i list ten do naszych czasów pozostał głównem źródłem dla historyi tej ciekawej podróży.

Jednocześnie z Hojedą i sternik Per Alonso Nino, który w każdej podróży towarzyszył Kolumbowi i samoinstnie prowadził eskadrę do Espanioli i z powrotem, otrzymał patent na zwiedzenie własnym kosztem nowo odkrytego lądu, z tem jednak zastrzeżeniem, że miał wylądowywać w miejscach przynajmniej o 50 mil odległych od punktów, dotkniętych przez Kolumba. Nie mając majątku, musiał się zwrócić do sewilskiego bankiera Luisa Guerri. Ten przygotował do wyprawy okręt o 50 tonnach, ale pod warunkiem, że jego brat Cristobal Guerra będzie kapitanem na statku, a Per Alonso Nino służyć ma w charakterze sternika.

Do tej nowej wyprawy należało tylko 33 ludzi. Opuszcili oni Palos trochę później od Hojedy w czerwcu 1499, i w piętnaście dni po Hojedzie, a zatem w połowie lipca 1499 najbliższą drogą dopłynęli do południowej Ameryki. Węższym kanałem wdarli się do zatoki Paria, wylądowali tam wbrew zakazowi królewskiemu, zabrali tam ładunek brazylijskiego drzewa i smoczą paszczą wpłynawszy na morze Karaibskie, dążyli wzdłuż brzegu ku zachodowi. Oni

pierwsi nawiedzili wyspę Margaritę i tak obfity rozwinęli tam handel perłami, że Hojeda, który po nich tam przybył, mało już znalazł tych skarbów. Od Margarity przejechano do cypla Araya i dotknięto indyjskich wiosek Cumana i Maracapana. Nadbrzeżna ludność pod względem rozwoju społecznego stała na jednym stopniu z Indyana-
mi Espanioli. Uprawiano kukurydzę, maniokę i korzeń yams, jako najważniejsze przedmioty pożywienia. Jeżeli statki tych nadbrzeżnych mieszkańców były mniej zwinne od łodzi wyspiarzy karybskich, to za to lasy pełne zwierza rozwijały w lądowych mieszkańcach popęd myśliwski. Na cyplu Araya eksploatowano już słynną naturalną salinę i sól, w kształcie cegieł zbita, służyła za pieniądze na miejscowych rynkach i targach, do których zdaleka ludność spływała. Inny jeszcze produkt zastępował miejsce zamiennego środka. Na starannie zroszonych niwach sadzili oni krzak nazwiskiem *hay* albo *haya*. Sznur przeciągnięty wystarczał dla oznaczenia miedzy, naruszenie bowiem granic uchodziło za świętokradztwo i zuchwałego natychmiast zemsta niebios dosięgała. Liście *hai*, podobne do myrtowych, suszono, tarto i mieszano z pewnym proszkiem, w osobnych piecach wypalanym ze skorup mięczaków, a przechowywanym w pustych trzcinach. Przy żuciu ta mieszanina farbowała zęby na czarno, podczas gdy wapno muszlowe osadzało się na ustach. Dopiero po dojściu do lat męskich pozwalano sobie tej narkotycznej przyjemności, która głód rozpędzała. Z mieszaniny miedzi ze złotem (guanin) sporządzano ozdobne klejnoty, które nasadzano perłami. Kapłani ich nazywali się *piaches*, jak u Karybów wyspiarskich. Ciała wodzów wysuszano nad ogniem na mumie; wszystkich innych zmarłych chowano, a po rozkładzie ciała wyjmowano kości, aby je spalić. Słyszano wówczas dusze zmarłych w echach tajemniczych grot. Krzyż leżący poczytywano za talizman, który bronił od

niepokojących zjawisk. Nie brakło tańca i muzyki przy ich uroczystościach, które zwyczajnie przechodziły w hulanke. Mężczyźni chodzili zupełnie nago, wstydliwą tylko część ciała ukrywając w trzcinie, którą postronkami przywiązywali do bioder. Płeć żeńska zakrywała się przepaską kilka cali szeroką dopiero po spełnionem małżeństwie, ale żadnej kobiecie nie brakło dumnej oznaki wszystkich szczepów karybskich, podwiązki pod kolanem i pod łydką.

Ujechawszy 15 leguas ku zachodowi, znaleźli przy bogatym w perły wybrzeżu Curiany port, który im przypominał Kadyks. Przyjaźni krajowcy zapraszali ich tam usilnie do pewnej większej osady, odległej o trzy mile ztamtąd. Dopiero po dłuższem wypróbowaniu pokojowego usposobienia krajowców, od których w zamienny sposób nabywano perły, odważyli się żeglarze udać się do kacyka Coyaraital i przez trzy tygodnie żyli pod gościnnym dachem Indyan, nie spostrzegłszy Hojedy, który w tym czasie w pobliżu Curiany ze swoją eskadrą przepłynął. Towarzysze Guerri, zauważywszy na nadbrzeżnej ludności złote ozdoby i dowiedziawszy się, że ten kruszec pochodzi z Cauchieto, o sześć „słońc“ czyli dni drogi odległego, puścili się do tej krainy i przybywszy tam 1. listopada 1499 gościnnie tam wprowadzie byli przyjęci, ale mało znaleźli złota, a pereł, które nawet za złoto dostawano z Curiany, za żadną cenę nie chcieli się krajowcy pozbyć. Wyruszone więc znów ku zachodowi, ale po dziesięciu dniach drogi przy brzegu natrafiono na wojowniczą ludność, która w liczbie 2000 głów silnie opierała się wylądowaniu, tak, że woleli żeglarze zawrócić do Curiany. Dnia 13. lutego 1500 roku po dwudziestu dniach pobytu opuszczono to gościnne miejsce. W pobliżu smoczej paszczy Karybowie na ośmnastu pirogach gradem strzał sypnęli na statek. Hiszpanie dali ognia z dział i rozproszyli flotę zuchwałych antylskich żeglarzy. Jedną tylko pirogę zdo-

byto, w której się znajdował Karyb z trzema zakneblowanymi jeńcami wojennymi. Ci, ledwie uwolnieni z więzów, rzucili się na Karyba i na śmierć go ubili. Po prawie trwającej 61 dni odkrywcy przybyli do galicyjskiego portu Bayona. Jakkolwiek liczono na 100 grzywien pereł, jako zdobyczy, przecież załoga okrętowa oskarżała Per Alonsa Nina, że część zysku odłożył na bok dla siebie, zanim pobrano piątą, królewską część dochodu. Z tego powodu gubernator Galicji, Hernando de Vega, aresztował Nina i kilka innych osób, ale surowe śledztwo wypadło na korzyść obwinionych. Zasługi Guerri albo raczej Per Alonsa Nina polegały na odkryciu perłowego wybrzeża Parii prawie aż do Cap Codera. Wprawdzie łatwo było, jak się Las Casas szczęśliwie wyraża, dojść do kłębka po nitce, którą Kolumb dał w ręce, przecież podróż ta nadzwyczajnie przyspieszyła następne odkrycia. Z takimi skarbami żaden jeszcze marynarz nie powrócił z zachodu, i naturalnie nadzieja wielkiego zysku pobudzała do nowych przedsięwzięć prywatnych i dalszego posuwania się.

W tym samym roku 1499, ale nieco później niż Hojeda i Guerra, Vicente Yanez Pinzon, kapitan Niny w pierwszej podróży do Ameryki, z synowcem swoim Diego Fernandez i z nieślubnym synem wielkiego Martin Alonsa Pinzon, Arias Perez'em, uzbroidł w Palos własnym kosztem eskadrę o czterech żaglowcach, uzyskawszy przedtem bez trudu pozwolenie od korony na swoją wyprawę. Dnia 18. listopada opuścili oni port w Palos a 13. stycznia 1500 od capverdyjskiej wyspy Santjago obrali kierunek na południo-południo-zachód. Przepłynawszy 300 mil podług swego obliczenia stracili z oczu gwiazdę polarną. I oni szukali nadaremnie na południowym firmamencie antarktycznej gwiazdy polarnej, ale za to pierwsi opisali magelański obłok, przedstawiając go, jako oślepiającą mgłę świa-

tła. Przejechawszy 240 mil w południowych szerokościach, niespodziewanie 26. stycznia 1500 ujrzeni łąd. Pierwszy ujrzany punkt wybrzeża, który nazwali pięknym cyplem (Rostro hermoso) albo przyładkiem pocieszenia (Cabo de Consolacion), od Portugalczyków otrzymał potem nazwę przyładka Ś. Krzyża albo Ś. Augustyna. Vicente Yanez Pinzon w towarzystwie królewskiego notaryusza wstąpił na brzeg Brazylii, napił się wody, jaką tam znalazł, ściął kilka drzew, wznosił znaki kamienne, wetknął kilka krzyżów, i po spełnieniu tych formalności objął odkryty kraj w posiadanie w imieniu kastylskiej korony. Kiedy naza-jutrz wieczorem odkryto z jakich 30 krajowców rozłożonych dokoła ogniska, to czterdziestu zbrojnych Hiszpanów udało się na brzeg, zbliżyli się do krajowców i pokazując im lusterka i dzwonki, starali się ich nakłonić do zamiennego handlu. Ale ponieważ dzicy odpowiedzieli na to wojowniczymi gestami, więc obie strony rozeszły się bez dalszych stosunków. Eskadra następnie opuściła puste wybrzeże i popłynęła ku północo-zachodowi, trzymając się brzegu, który miała po lewej ręce. Dojechano tak do pewnej rzeki, która jednak nie miała dostatecznej dla statków głębokości. Posłano na zwiady cztery łodzie w górę rzeki i te wkrótce natknęły się na nagich Tupis. Jeden z majtków zbliżył się ku nim tak, że mógł dorzucić do nich dzwoneczek, dla rozpoczęcia wymiany. Krajowcy również zdawali się chcieć odpowiedzieć na podarek kawałkiem niby pozłoczonego drzewa, ale jak tylko Hiszpan się schylił, aby podjąć, napadli na niego. Wszczęła się natychmiast zacięta utarczka, w której ośmiu Hiszpanów legło, reszta uciekła do łodzi, a Indyanie w wodzie jeszcze nawet tak zajadle dalej prowadzili walkę, że musiano im jedną łódź zostawić. Ciągłe się brzegiem posuwając ku zachodowi, trafili żeglarze na miejsce, w którym morze aż o 40 leguas od brzegu było pokryte słodką wodą; dla objaśnie-

nia tajemnicy dojechali niebawem do ujścia Rio Para, która na sześć sążni głęboko pokrywa morze swojemi wodami. Odkrywcy dla zmierzenia, jak głęboką była warstwa ciepłej wody, zapuszczali w morze zamkniętą cynową flaszkę, jakiej cyrulicy używają, i tam ją dopiero otwierali. Na wyspach przy ujściu rzeki znaleźli nagich, malowanych ludzi i za ich przystępność i łatwowierność odwdzięczyli się uprowadzeniem 36 głów. Wybrzeże wyspy nazywali krajowcy Marinatambal, brzeg ku wschodowi Camomoro, a ku zachodowi Paricura. Wkrótce potem ukazała się polarna gwiazda nad horyzontem, i jednocześnie odkryli żeglarze Amazonkę, której ujście znaleźli szerokiemi na 30 leguas. Od Maranionu do zatoki Paria podróż nie przedstawiała nic godnego uwagi; ale w tem ostatniem miejscu znaleźli nadbrzeżną ludność w nadzwyczajnem poruszeniu i towarzyskie dotychczas ludy groźnie uzbrojone, więc unikając przygód, oddalili się przez smoczą puszcę. Na północo-wschodzie odkryli naprzód wyspę Tabago, nazwaną przez nich Mayo, i szukali drogi do Espanioli, przepływając koło Guadalupe, Jedenastu tysięcy panien i Puertorico. Przybycie ich do Espanioli 23. czerwca 1500 było niespodzianką, ale żadnych zatargów nie wywołało. Idąc za przykładem Hojedy, zwiedzili wkrótce po nim wyspy Bahama, Samana, Saomete i Maguana, prawdopodobnie dla uprowadzenia krajowców, jako niewolników. Gdy stali jeszcze między temi wyspami na kotwicy, uderzyła na nich jedna z owych gwałtownych burz, które w tej geograficznej szerokości często pustoszą wschodnie brzegi Ameryki. Dwa statki w obliczu innych zatonięły; trzeci z 18 tylko ludźmi rzucił tornado na pełne morze. Ludzie będący w czwartej karaweli, nie dowierzali sile swej liny kotwicznej i schronili się w łodzi na brzeg. Szczęściem pozostawiony na łaskę żywiołów okręt wytrzymał burzę, a wkrótce po uspokojeniu się powietrzokregu

powrócił i statek rzucony na pełne morze. Bez dalszych przygód dojechali żeglarze 30. września 1500 do Palos, ale ponieważ zdobycz składała się tylko ze szczupłego ładunku brazylijskiego drzewa, z okazów mniemanych korzeni, garstki topazów i jednego okazu workowatego zwierzęcia*), to Pinzonom nie udała się wyprawa i zrujnowawszy majątek, wpłatali się w procesa o długi.

Śladem Pinzonów, w tym samym jeszcze miesiącu grudniu 1499, wypłynął z portu Palos Diego de Lepe z dwoma statkami, tamże w służbę opatrzonemi. I jego okręta, obrawszy od capverdyjskiej wyspy Fogo z początku kierunek południowy, nie tylko odkryły przylądek Św. Augustyna, ale jak zapewnia Las Casas, miały go nawet objechać. Towarzysze Diega de Lepe utrzymują, że zwiedzano tam jakąś zatokę i rzekę San Julian, ale na nieszczęście na żadnej z map dawniejszych nie ma tego nazwiska. Gdy awanturnicy stanęli przed Amazonką, już się usposobienie nadbrzeżnych mieszkańców pogorszyło było w skutek porwania krajowców zarządzanego przez Pinzona, i w pewnej nieszczęśliwej utarczce Diego de Lepe utracił jedenastu towarzyszy.

I w zatoce Paria spotkało ich nieprzyjacielskie przyjęcie, nie mniej przeto napełniono okręta niewolnikami i bez dalszego zatrzymania się wrócono do Hiszpanii.

Równie szczupłe są nasze wiadomości o morskiej podróży rycerza Alonso Velez de Mendoza, posiadamy bowiem w tej mierze jeden tylko dokument, mianowicie patent jego na odkrycia z 18. sierpnia 1500, i niewiadomo czy zwiedził on część wybrzeża brazylijskiego za przylądkiem Św. Augustyna ku południowi w osobnej, późniejszej podróży, czy też jako towarzysz Diega de Lepe.

*) Może *Didelphys opossum*.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ODKRYCIA PORTUGALCZYKÓW.

Ziemia sztokfiszów. Cortereaes. Instrukcyje dane przez Vasco da Gama Cabralowi. Odkrycie Brazylii. Ludy Tupi. Vespucci w służbie portugalskiej. Podróż brzegowa. Niebo australskie. Dosięga wysokich szerokości południowych. Wyprawa Coelho. Odkrycie Fernao de Noronha.

Gaspar Fructuoso, dziejopis wysp Azorskich z szesnastego stulecia, utrzymuje, że przed r. 1464 pewien szlachcic portugalski, Joao Vaz Cortereal, odkrył część północnej Ameryki, a mianowicie Neufundland, czyli „kraj sztokfiszów“ (terra de bacalhao), jak go nazywano w szesnastym stuleciu i że w skutek tego nadano jemu wspólnie z Alvarem Martinem Homemem wakujący urząd namiestniczy na wyspie Terceira. Na nieszczęście nazwa odkrytego kraju powstała dopiero po podróżach Cabota, i jeżeli starszy Cortereal, jak jest rzeczą prawdopodobną, zwiedził „wybrzeże sztokfiszowe“ przed 1464 r., to pod nim można rozumieć tylko dzisiejszy Labrador. W każdym razie jest rzeczą dziwną, że latem 1500 syn tego żeglarza, Gaspar Cortereal, wypłynął z Lizbony na odkrycia i szukał ziem nowych na północo-zachodzie. Na dalekiej północy znalazł wybrzeże, które poczytał za Grenlandyę i dla tego nazwał je *Terra verde*. Tam zetknął się z Eskimosami, czyli „ludźmi małego wzrostu, brunatnej cery, w odzieży ze skór, świadomych strzelania z łuku, zazdrosnych o swoje kobiety, mieszkających w chatkach lub pieczarach“.

Jak wysoko ku północy posunął się wschodnim brzegiem Grenlandyi, nie da się to z pewnością wykazać, stopnie bowiem szerokości na starych mapach, gdzie nazwiska wybrzeży sięgały tylko do 72° półn. szerok., nie są

wiarogodnie podane. W następnym roku powtórnie wypłynął Gaspar z Lizbony 15. maja, ale tym razem obrał inny kierunek, mianowicie ku zachodo-północo-zachodowi, gdzie odkrył wybrzeże, wzdłuż którego „płynął 500—700 miglie (150—175 mil geograficznych) nie mogąc dosięgnąć końca“. Na brzegu rozwijał się wszędzie widok niekniętych lasów iglastych, które król Emanuel natychmiast zamyślał użyć do budowania floty. W wodach była nadzwyczajna obfitość ryb: śledzi, łososi i kabliau czyli bacalhao, jak je nazywali krajowcy. Sądząc po rozciągłości brzegów i potężnych rzekach, które spotykał, wywnioskował Gaspar Cortereal, że to nie wyspę, ale stały ląd ma przed sobą, który się rozciąga do zwiedzanej przezeń w przeszłym roku *Terra verde*. Do Grenlandyi nie można było w tej podróży dopłynąć, ponieważ morze pokryte jeszcze było lodem. D. 8. października 1501 jedna z dwóch karaweli powróciła do Lizbony. Przywiozła siedmiu krajowców, których widział wenecki poseł Pasqualigo i w jedenaście dni potem w pewnym liście opisał. Porównywał ich pod względem koloru ciała do Cyganów, chwali budowę ich członków, opisuje ich futrzane ubiory, których włosistą stronę obracają w zimie na wewnątrz, ich malowanie skóry, kamienne noże i potwierdza zdanie Portugalczyków, że dla swej tęgości mogą być wybornymi niewolnikami, okoliczność, która dała potem powód do nazwania odkrytego wybrzeża Labradorem. Jeżeli znaleziono u nich nadłamany kawałek złoconej szpady włoskiego wyrobu i srebrne kolczyki, to można to tylko objaśnić wcześniejszą bytnością tam Cabota.

Gdy druga karawela, na której znajdował się sam Gaspar Cortereal i pięćdziesięciu porwanych krajowców, nie wracała, to 10. maja 1502 r. wypłynął Miguel Cortereal z dwiema karawelami dla odszukania zaginionego brata. Ale ani Gaspar, ani statki wysłane dla odszukania

jego nie wróciły do ojczyzny, w skutek czego król Emanuel wyprawił 1503. własnym kosztem dwa żaglowce dla odnalezienia północnych żeglarzy, lecz statki te wróciły nie przyniosłszy żadnej wiadomości o nieszczęśliwych. Gdy zatem najstarszy brat Vasqueanes Cortereal, namiestnik Terceiry i San Jorge, osobiście chciał wyruszyć dla odnalezienia zagubionych braci, to król, nie chcąc powtórnie narażać życia ludzi, wzbronił mu tego. O celach podróży Gaspara Cortereal nic pewnego nie wiemy. Później przypisywano mu zamiar odkrycia północno-zachodniego przejazdu do Chin; w takim razie ległby on pierwszą ofiarą tego problemu. Politycznych następstw dla Portugalczyków odkrycia Cortereala nie miały: następstwem ich było to tylko, że Portugalczycy w szesnastym wieku często jeździli ku wybrzeżom Neufundlandu dla połowu ryb.

Przed początkiem tych podróży Vasco de Gama i Nicolao Coelho (29. sierpnia i 10. lipca 1499) powrócili wschodnią drogą morską z Calicut. Na drugą wyprawę do Indyi wschodnich wybrała się 9. marca wojenna flota z 12 wielkich okrętów i jednej karaweli z 1500 żołnierzami na pokładzie pod dowództwem Pedralvareza Cabrala, 22. marca miała przed sobą wyspy Zielonego przylądka, a następnego dnia utraciła jeden żaglowiec, na który daremnie czekano, ponieważ powrócił on do Lizbony. Dla uniknienia ciszy morskiej, panującej u wybrzeży Gwinei, Vasco de Gama jeszcze w pierwszej swojej indyjskiej podróży, minawszy wyspy capverdyjskie, tak się był daleko od lądu afrykańskiego odsunął, że *przez jakiś czas płynął bardzo blisko brzegu brazylijskiego, nie widząc jednak jego.* Za powrotem nakreślił instrukcye dla floty Cabrala, któremu nakazywał *od capverdyjskiej wyspy Santjago tak długo trzymać się południowego kierunku, aż póki nie dojedzie do szerokości geograficznej przylądka Dobrej Nadziei.* Cabral, który przy końcu marca wjechał w pas ciszy morskiej,

dał się nieznacznie unieść ku zachodowi naprzód zachodniemu prądowi równikowemu, a potem południowo-zachodniemu brazylijskiemu. Stało się więc, że wieczorem we Wtorek wielkanocny (21. kwietnia 1500) niespodzianie na zachodzie wystrzelił szczyt nieznanego lądu, który z powodu świąt wielkanocnych nazwano Paschoal. Tym sposobem widzimy, jak odkrycie Brazylii epizodycznie, ale siłą kosmicznych stosunków splotło się z wyprawami dookoła Afryki.

Łódź, która się nazajutrz zbliżyła do brzegu, przyniosła wiadomość, że zamieszkany on jest przez ludzi nągich, brunatnego koloru o prostych włosach. W następnych dniach burzliwy czas zmusił flotę do szukania schronienia; znaleźli je w sobotę 25. kwietnia o dziesięć mil na północ w przystani wybornie położonej i dla tego nazwanej Porto Seguro. Nazajutrz odprawiono uroczystą mszę na brzegu. To widowisko ściągnęło tłum bojaźliwych i jak się zdawało dobrodusznym krajowców, z którymi rozpoczął się zaraz handel wymienny, mianowicie brano łuki i strzały w zamian za zabawki. Ludność tamtejsza budowała chałupy na palach, pokrywała je liśćmi, sypiała razem w bawełnianych hamakach przy ogniu, który służył do odpędzania moskitów, żywiła się przeważnie korzeniami yams, tatuowała skórę i rozcinała sobie policzek i wargę dolną, aby wsadzać tam dla ozdoby jakieś kostki lub kamyki, od czego później otrzymali nazwę Boto-kudów.

Cabral natychmiast wyprawił z depeszami do Portugalii mały zapasowy statek pod dowództwem Gaspara de Lemos. Pierwszego maja kazał na wybrzeżu wznieść wielki krzyż drewniany i dał odkrytej krainie nazwę Ilha da Vera albo Santa Cruz, ale już w jedenaście lat potem nazwa Brazylii jest utartą, ponieważ okręta stamtąd zwykle przywoziły drzewo farbierskie (*Caesalpinia brasiliensis*).

sis), które od dwunastego wieku nosiło w handlu to imię. Dnia 2. maja eskadra podniosła kotwicę, puszczając się w dalszą drogę do Indyi. Na brzegu między krajowcami Cabral zostawił dwóch europejskich zbrodniarzy, skazanych na dożywotnie wygnanie.

Król Emanuel natychmiast pojał, jak zyskowne schronienie przedstawiał nowo odkryty brzeg dla płynących do Indyi, i w następnym roku wysłał nową eskadrę w celu dalszego zwiedzenia wyspy Św. Krzyża. Dla tej wyprawy za pośrednictwem Florentczyka Giuliano di Bartolomeo del Giocondo, który się udał z Lizbony do Sewilli, pozyskano Ameriga Vespucci przebywającego tam od czasu powrotu z pierwszej swej podróży (w czerwcu 1500). I tym razem nie miał on dowództwa na okręcie, ale był prawdopodobnie kosmografem i astronomem wyprawy. Kto dowodził tą eskadrą, składającą się z trzech żaglowców, tego dotychczas nie wiemy, Vespucci bowiem, którego listy są jedynym źródłem do historyi tej wyprawy, przemilczał nazwisko dowódcy. Eskadra wypłynęła z Lizbony 13. maja 1501, a 23. maja dojechała do wysp Bissagos, gdzie w przeciągu dni kilku uzupełniła zapasy wody i drzewa. Spotkano się tu z trzema okrętami z rozproszonej floty Cabrala, które z ładunkiem korzeni wracały z Indyi. Od nich otrzymano dalsze wiadomości o świeżo odkrytej Brazylii i Vespucci na bardzo trafny wpadł domysł, że to może być zachodnia część tego samego wybrzeża, które on i Hojeda dwa lata przedtem zwiedzali.

Dnia 11. czerwca od Zielonego przylądka rozpoczęto przeprawę na zachód, która wymagała 67 dni; z tych przez 44 panowały straszliwe burze, regularne zjawisko strefy cisz morskich. Nareszcie 16. sierpnia ujrzano przylądek Św. Rocha, którego południową szerokość Vespucci wcale zadowalająco (5°) oznaczył. Przez siedm dni nadaremnie oczekiwano w pobliżu na powrót dwóch majtków,

którzy się odważyli puścić sami między krajowców. Wysłano łódź do brzegu dla ich odszukania, ale napadli na nią krajowcy ze szczepu Tupi i jeden z Europejczyków który się do nich nieostroźnie zbliżył, został przez nich zabity i w obliczu towarzyszy zjedzony. Po utracie trzech ludzi opuszczono niegościnne wybrzeże i popłynięto wzdłuż brzegu, który występował ku południo-wschodowi; d. 28. sierpnia dojechano do przylądka, od którego łódź zwracał się ku południo-zachodowi. Ten punkt, umieszczony przez Vespucci'ego pod 8° połudn. szerok., otrzymał wówczas od żeglarzy dzisiejszą swoją nazwę przylądka Św. Augustyna. Eskadra trzymała się ciągle brzegu uciekającego ku południo-zachodowi, mając go po prawej ręce, i od czasu do czasu przybijała do lądu, gdzie znajdowała krajowców daleko łatwiejszych do zawierania stosunków, niż po tamtej stronie przylądka Św. Augustyna. Jechali tak dalej aż do 15. stycznia, kiedy podług obliczenia Vespucci'ego dosięgli już byli 32° połudn. szer., a zatem kiedy za kilka dni już mogli byli dostać się do ujścia La Platy.

Florentczyk i w tej podróży zajmował się gorliwie choć nie bardzo pomyślnie, astronomicznymi pomiarami i zostawił nam nawet rysunki gwiazd południowej półkuli. Na jednym z nich chcą widzieć Południowy krzyż, dwie gwiazdy Centaura i kontrast światła tej pozornie ogołoconej z gwiazd wyspy na drodze mlecznej, którą trywialnie nazywamy „Workiem węglarskim“, a którą Vespucci zbyt fantastycznie określa, jako gwiazdę cieniistą (*canopo fosco*). Nie przepomina też żeglarz o podwójnym obłoku magellańskim, jeżeli jego śmiałe wyrażenie (*canopos claros*) do tej mgły gwieździstej się odnosi.

Podróż już trwała dziesięć miesięcy, kiedy oficerowie, jak chępliwie zapewnia Vespucci, jednomyślnie postanowili jemu poruczyć kierownictwo wyprawy. Gdy sternicy oświadczyli, że mają jeszcze zapasów na sześć miesięcy,

eskadra opuściła wybrzeże 15. lutego, i puściła się w kierunku południowo-wschodnim. Dnia 3. kwietnia 1502 miała jakoby dotrzeć do 52° połudn. szerok. Dnia 7. kwietnia podczas burzy ląd się ukazał*), wzdłuż którego posuwano się przez jakieś mil dwadzieścia. Ale ponieważ na tem, jak się zdawało bezludnem wybrzeżu, już się poczyniała australiska zima, więc nie próbowano wylądowywać i okręt kommodorski dał sygnał eskadrze do powrotu. Groźna burza zmusiła nazajutrz załogę okrętową do poczynienia ślubów. Dnia 10. maja szczęśliwie dojechano do brzegów Gwinei, a 7. września 1502 do Lizbony po szesnastomiesięcznej nieobecności.

Następnego roku 10. czerwca 1503 wyszła z Lizbony eskadra o sześciu żaglowcach pod dowództwem Gonçalo Coelho. Jeżeli mamy wierzyć Vespucciemu, który tym razem dowodził małym statkiem, to celem wyprawy było słynne portowe miasto Malacca, o którym nasłuchali się Portugalczycy w Indjach Wschodnich, jak o najważniejszym targu korzennym i najważniejszym ognisku indyjsko-chińskiego handlu, a o którym wiedzieli, że leży dalej na Wschód, niż Calicut, a bliżej równika. Po dwunastodniowym pobycie u wysp Zielonego przylądka rozkazał Coelho płynąć ku Sierra Leone, z wielkiem zmartwieniem Vespucciego, który uważał za rzecz lepszą, głębiej zapuścić się na ocean Atlantycki. Na widnokręgu Sierra Leone przeciwne wiatry przez cztery dni nie dawały się zbliżyć do brzegu, tak że w końcu postanowiono dalej się trzymać południowo-zachodniego kierunku. Znajdowano się już pod 3° połudn. szerok., gdy nagle ukazała się im skalista

*) Nie da się wskazać, gdzie odkrycie leżało. Jeżeli eskadra od 32° połudn. szerok. ciągle płynęła na południo-wschód, to możnaby myśleć o Południowej Georgii, ale nie jest też rzeczą nieprawdopodobną, że to był brzeg Patagonii, gdy się zważy to, co przedtem mówi Vespucci. *Secundum hujus littus tamdiu navigavimus quod praetergresso capricorni tropico invenimus polum antarcticum... altiorum quinquaginta gradibus.*

wyspa Fernao de Noronha. W odległości czterech mil od niej, okręt komandorski o 300 tonnach, największy z eskadry, wpadł na podwodną skałę 10. sierpnia 1503. Vespucci otrzymał od Coelho rozkaz udać się łodzią z czterema czy pięciu majtkami ku wyspie dla wyszukania miejsca odpowiedniego do zarzucenia kotwicy.

Znaleziono wkrótce wygodną przystań, ale ośm dni w wielkiej niespokojności oczekiwał Vespucci z towarzyszami na eskadrę, aż wreszcie jeden z kapitanów zjawił się ze swoim okrętem i strapionym żeglarzom oznajmił, że z rozbitego statku tylko się załoga uratowała, Coelho zaś z resztą floty popłynął naprzód. Opuszczono więc skalistą wyspę, gdzie jeszcze ptaki były tak niepłochliwe, że się dawały łapać rękami, i sterowano ku południo-zachodowi, aż wreszcie po 17 dniach podróży, 3. września, dojechano do zatoki Wszystkich Świętych na brazylijskiem wybrzeżu, który to punkt, stosownie do otrzymanych instrukcyi, miał służyć dla floty, w razie rozproszenia się, za miejsce zbioru. Przeczekawszy nadaremnie dwa miesiące i cztery dni na eskadrę Coelho, kapitan karaweli i Vespucci postanowili popłynąć wzdłuż brazylijskiego wybrzeża ku południowi. Pod 18° połudn. szerok. znaleźli stosowne miejsce do założenia małego fortu, gdzie zostawiono 24 osoby, ocalone z kommodorskiego statku, a zaopatrzone w broń ognistą i zapasy na sześć miesięcy; przedtem zaś zrobiono wycieczkę na 40 mil w głąb lądu. Siedm miesięcy upływało od pierwszego wylądowania, gdy 2. kwietnia naładowawszy statek brazylijskiem drzewem, zabrano się do powrotu, który w 77 dniach skuteczniono. Przed przybyciem tego statku do Lizbony (18. czerwca 1504), powrócił był tylko Fernao de Noronha ze swoim okrętem, Coelho zaś gdzieś się był zagubił, aż wreszcie i on, jakkolwiek bardzo późno, nadpłynął z dwoma tylko okrętami i ładunkiem brazylijskiego drzewa. Tym

sposobem zadanie odkrycia Malakki pozostało jeszcze nierozwiązane.

Gorliwie od tego czasu zwiedzały Brazylię portugalskie okręta handlowe dla zabierania stamtąd drzewa farbiarskiego. Ale pierwsza faktorya Pernambuco, założona z rozkazu portugalskiej korony przez Christovao Jaques, powstała dopiero 1526 roku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

USUNIĘCIE KOLUMBA Z NAMIESTNICTWA.

Niepopularność kolonizacyjnych usiłowań. Gorszący handel ludźmi. Pełnomocnictwo Bobadilli. Bogactwa Haiti. Nowe niepokoje. Terorystyczne sądy admirała. Kolumb i jego bracia uwięzieni. Ich zemsta. Ovando wysłany na śledztwo. Jego armada. Przygotowania Kolumba do czwartej podróży. Środkowo-amerykański przejazd. Zapewnienia dworu.

Było to fatalizmem dla Kolumba, że obok tytułu admirańskiego wyrobił on sobie urząd namiestnika. Ośm lat upływało, a wielki człowiek nic ważnego nie zrobił na drodze do głównego celu swego życia, odkrycia drogi morskiej do Indyi. Widzimy go w drugiej podróży, jak przerywa dalsze odkrycia, ponieważ mu złote namiestnictwo nie daje pokoju. W trzeciej podróży nie ma czasu na zbadanie odkrytego przez się lądu stałego. W przejeździe do Haiti pobieżnie tylko szuka nowych wybrzeży, zdaje się, jakoby cały urok odkryć zagasił dla niego, i podczas gdy jest zajęty wynajdowaniem i wydobywaniem bogactw Espanioli, inni tymczasem odkrywają wybrzeża południowej Ameryki w całej prawie ich rozciągłości. Nie miał on szczególnych zdolności do administrowania kolonią, a prócz tego osobistości jego brakło uroku, któryby imponował zuchwałym awanturnikom, których do Nowego

świata poprowadził. Tę bohaterską zgraję utrzymać w karności wśród zaburzeń i klęsk zdołał tylko jeden ulubieniec bożka wojny, Hernan Cortes.

Kto chciał sobie Hiszpanów pozyskać, musiał hojnie dzielić się z nimi łupem; Kolumb zaś nieustannie zajęty robieniem majątku, nie dawał swoim podwładnym nawet tego, co się im należało, a przytem posiadał nieprzebaczony w ich oczach błąd włoskiego pochodzenia^{*)}. Upojony odkryciami, ozłocił on Nowy świat w swoich opisach, i chciwie pochwycili Hiszpanie jego zwodnicze obietnice. Część uwiedzionych powróciła schorżalą i żebraczą. Don Fernando Colon opowiada, że kiedy latem 1500 dwór bawił w Granadzie, z pięćdziesięciu takich zachodnio-indyjskich inwalidów siadało w przedsieniach Alhambry i zjadając winogrona lżyli monarchów, że takim pokarmem muszą głód swój zaspakajać. Jeżeli król przechodził, to wołali do niego: zapłać! zapłać! a jeżeli w orszaku królowej ukazywali się paziowie Don Diego i Don Fernando Colon, to wytykali ich palcami, wołając: „Patrzcie, oto laleczki! synowie almiranta, który odkrył kraje złudy i utrapienia, cmentarz dla hiszpańskich *hijosdalgo*“. Kolumb w tem pobłądził, że w krainie złota Cibao tylko swoim stronnikom i niewielu innym dawał krótkotrwałe pozwolenia na eksploatacyę min, a wydobyte złoto za szczupłym wynagrodzeniem zabierał dla korony i na swój rachunek. Nieostrożnie przytem zwlekał z odesłaniem koronnej części wydobytego złota, w skutek czego znalazł się w poniżającym położeniu, a mianowicie musiał usprawiedliwiać się z czynionych mu zarzutów, że dla siebie zabiera własność skarbową i że przy pomocy swoich zwolenników chce się ogłosić niepodległym. Oszczyrcy przypominali, że

^{*)} Apud Hispanos, skarży się Piotr Męczennik przed pewnym włoskim przyjacielem, nullus unquam non Hispanus emersisse reperitur... Sibi sapere, quod satis est, jactant. Opus apostolorum, Ep. 3.

Kolumb wracając z pierwszej podróży wpłynął na Tajo, i tajemnie układał się z Portugalczykami. Chciano nawet w tem widzieć podstęp, że Kolumb niezdrową Izabellę obrał na miejsce dla założenia kolonii i tym sposobem stał się przyczyną śmierci wielu Hiszpanów. Gdyby nawet dwór nie był dostępnym dla tych niezgrabnych obwinień, to nie brakło poważnych faktów, zdolnych obudzić niechęć dla odkrywcy. Jeszcze w 1495 roku zakazała sułmienna Izabella sprzedawać Indyan jako niewolników, jakże więc wzrosło jej niezadowolenie, gdy powtórnie przewieziono kilkuset indyjskich niewolników, aby z ich sprzedaży pokryć koszt, jakie pociągały za sobą odkrycia. „Jakie prawo, zawołała oburzona królowa, ma admirał, sprzedawać komukolwiek moich poddanych?” Rozkazem gabinetowym z 20. czerwca 1500 zleciła wszystkim z rozkazu admirała sprzedanych Indyan uwolnić i nakazała z najpierwszą eskadrą odesłać ich do rodzinnego kraju. Zdziczenie młodej kolonii musiało żywo niepokoić Izabellę. Ponieważ powracający osadnicy jednogłośnie skarżyli się na samowolę i okrucieństwa Kolumba i jego braci, Kolumb zaś w pewnem nieostrożnem miejscu swej ostatniej depeszy doradzał użyć miecza za lekarstwo, i z goryczą oskarżał Roldana, którego sam był polecił koronie i sędzią mianował, to korona miała dostateczne powody, aby się przyznać do politycznego błędu, że w oddaleniu, gdzie dozór był niemożliwy, poruciła władzę nad życiem i śmiercią poddanych człowiekowi, którego namiętności teraz się przeraziła. Sam Kolumb, prosząc o przysłanie uczonego sędziego, dał dobrą sposobność monarchom, powziąć jasne wyobrażenie o mętnych stosunkach kolonii. D. 21. marca 1499 wygotowane zostało pierwsze pełnomocnictwo dla takiego urzędnika, który „miał wytoczyć śledztwo osobom stawiającym opór admirałowi, po zbadaniu ich winy uwięzić, zabrać ich mienie i podług prawa ukarać”. 21.

maja 1499 wygotowano patent dla nowego „rządzącego sędziego“ (juez gobernador), na niego przelano „zarząd i sędziostwo“ w nowoodkrytych krajach, wszystkich zaś urzędników w kolonii zawieszono aż do potwierdzenia ich przez tego samego pełnomocnika. Dano mu też pozwolenie usuwać z kolonii, dla dobra służby, osoby wszelkiego stopnia. Tegoż samego dnia wydano do admirała i jego braci rozkaz oddania nowemu namiestnikowi wszystkich zamków, arsenałów, okrętów, koni, broni i zapasów wojennych; w dokumencie tym, równie jak w innych, monarchowie nie nazywali już Kolumba wicekrólem, a tylko admirałem. Widocznie zatem chciano usunąć Kolumba na czas jakiś z namiestnictwa, a następcę jego w celu reorganizacyi władz obficie zaopatrzone w pełnomocnictwa in blanco. Jeżeli monarchom mogło bardzo chodzić o to, aby to polecenie spełnione było delikatnie, tak iżby imieniowi królewskiemu w niczem ujma się nie stała, to przecież wybór padł nieszczęśliwie na gwałtownego Franciszka Bobadillę, którego monarchowie uwierzytelnili następującym pismem do admirała: „Posyłamy oddawcę tego pisma, Comendadora Franciszka Bobadillę, ażeby Wam ustnie udzielił pewnych rzeczy. Dacie mu ufność i wiarę, i spełnicie jego polecenia.“ Wysłanie Bobadilli zwlekało się przez cały rok, może dla tego, że nie było pieniędzy na uzbrojenie okrętów. Dopiero w połowie lub przy końcu czerwca 1500 wyruszył nowy namiestnik z dwoma okrętami do Indyi Zachodnich.

Dla kolonii wówczas zaczęła się była świetna epoka. W urywku pewnej depeszy z owych dni, Kolumb, jak zawsze pełen rojeń fiskalnych, robi koronie nadzieję w przyszłości na dochód 60 milionów (160,000 dukatów) i przyśiega, że już w 1503 może ona oczekiwać dochodu 120,000 pesos. D. 5. lutego 1500 znajdował się w Santo Domingo, chcąc się stamtąd udać do Hiszpanii. Od tego szczęśliwego

zamiaru powstrzymały go nowe niepokoje w Xaragua. Fernando de Guevara poślubił ochrzczoneą Higueymotę, uroczą córkę Anacaony, na którą miało przypaść państwo Xaraguy. Ale że księżniczka przedtem należała do Roldana, jako jego kochanka, więc między tymi dwoma Hiszpanami wszczęły się zatargi, aż wreszcie Roldan napadł 13. czerwca na swego przeciwnika i pojmanego wydał admirałowi, aby ten go ukarał. Zaczęła potem obiegać pogłoska, że Adrian de Moxico, który w dawniejszem powstaniu główną odgrywał rolę, chce siłą uwolnić z więzienia swego krewnego Guevarę, a natomiast okuć w kajdany admirała i Roldana, który zaczął być znowu lojalnym. Kolumb uprzedził go i uwięził burzyciela wraz z jego stronnikami. Admirał skazał Adriana na powieszenie, a gdy skazany chcąc odwlec chwilę śmierci, nie chciał się spowiadać, to Kolumb kazał go strącić z więziennej wieży.

Nie omieszkiał on korzystać z pomysłu sposobności, aby terroryzmem naprawić to, co zepsuła, jak sądził, dawniejsza słabość jego. Nastąpiły inne egzekucye i Adelantado ścigał w Xaragua wszystkie niespokojne głowy, z których szesnastu kazał uwięzić. W końcu i Pedra de Riquelme zamknięto do więzienia w Santo Domingo.

Procedura karna przeciw uwięzionym była w pełnym toku, admirał nie był obecnym w Concepcion, a Adelantado w Xaragua, gdy 23. sierpnia, w poranek niedzielny, między 7. a 8. godziną obie karawele Bobadilli zbliżyły się do Santo Domingo. Zanim dozwolił na wplynięcie ich do portu, wysłał Don Diego Colon łódź naprzeciw dla wywiedzenia się, czy nie znajduje się między przybywającymi starszy syn admirała. Od wysłanych łodzią dowiedział się Bobadilla, że ubiegłego tygodnia powieszono siedmiu Hiszpanów, i że pięciu innych oczekuje w fortecy wyroku śmierci. Gdy po południu okręta wplynęły na rzekę, przybywający ujrzeli po obu jej stronach sterczące

szubienice, na których jeszcze wisieli przestępcy. Bobadilla pozostał przez noc na pokładzie. Nazajutrz rano z załogą swoją wyszedł procesjonalnie do kościoła. W przytomności Don Diega Colon kazał on po mszy odczytać swoją nominację na królewskiego sędziego, i zażądał natychmiast wydania wszystkich uwięzionych wraz z aktami śledczymi. Don Diego wzbraniał się to uczynić, zanim by od admirała otrzymał upoważnienie. Bobadilla czekał aż do drugiego rana (25. sierpnia) i znów po mszy kazał odczytać swój patent na namiestnika i wezwał Don Diega i wszystkich obecnych do posłuszeństwa, pokazując im zarazem rozkaz królewski, aby mu wszystką broń i zamki wydano. Bezpośrednio potem odczytano reskrypt królewski późniejszej daty, który przyrzekał wszystkim osadnikom zostającym w służbie korony wypłatę zaległego żołdu. Jeżeli dotąd niektórzy wątpili o prawdziwości królewskich dokumentów, to nadzieja zapłaty usunęła wszelkie wątpliwości. Ale Don Diego i burgrabia Miguel Diaz ciągle jeszcze wzbraniał się otworzyć bramy, więc Bobadilla zgromadziwszy swoją załogę okrętową i kupę mieszkańców z Santo Domingo, ruszył z całym tym tłumem przed mury zamku i kazał wyłamać wejścia. Miguel Diaz i Diego de Alvarado, którzy byli stronnikami Kolumba, ukazali się wprawdzie na murach z dobytymi szpadami, ale żadnego innego zresztą oporu nie stawili. Bobadilla naprędce przesłuchał uwięzionych i oddał ich pod straż alguazila Juana de Espinosa.

Admirał, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, nie mógł uwierzyć, aby mu odebrano urząd namiestnika, i dopiero wyruszywszy do Santo Domingo, przekonał się o tem w drodze w Bonaó, gdzie otrzymał odpisy królewskich patentów, przesłane mu przez Bobadillę. Jeszcze łudził się Kolumb nadzieją, że może usunięcie jego z wicekrólestwa nie jest wyraźnie wypowiedziane, ale gdy odczytał pełno-

mocnictwo Bobadilli, pozbył się i tej nadziei i starał się niezwłocznie zbliżyć z nowym namiestnikiem. Tymczasem Bobadilla jawnie okazywał swoją niechęć dla admirała, wypełniając blankiety, które posiadał, oznakami łaski dla Roldana i innych przewódców dawniejszego buntu. Bez ceremonii rozkwaterował się w domu admirała i opieczętował wszystkie znalezione tam klejnoty i kosztowności. Darował bez wszelkiego upoważnienia królewskie dzieściny i dał na 20 lat zupełną wolność kopania złota w Cibao, pod warunkiem składania koronie jedenastej części. Osadnikom powtarzał ciągle: „Zabierajcie, co tylko możecie; kto wie, jak długo to potrwa!“ Tak muzykalnie admirał nigdy nie przemawiał, a za taką hojność, mniema Las Casas, pospółstwo gotowe było sprzysiądz się przeciw własnemu ojcu. Tajemne śledztwo przeciw admirałowi widocznie dojrzewało, nie brakło bowiem oskarżycieli, którzy obwiniali usuniętego namiestnika, iż dla tego przeciągał wojnę z Indyanami, ażeby za pomocą jeńców wojennych podtrzymywać handel niewolnikami, podczas gdy inni dodawali, że tajemnie uzbraja krajowców, ażeby ci wygnali nowego namiestnika.

Za przybyciem admirała do Santo Domingo Bobadilla bez wszelkiego przesłuchania, nie widząc się z nim nawet uprzednio, kazał go okuć w kajdany. Ponieważ nikt jednak nie chciał spełnić tej posługi, to musiano użyć do tego własnego kucharza Kolumba. To przynajmniej było pocieszającą rzeczą dla szlachetnego więźnia, że oddano go pod straż krewnego biskupa Fonseki, rycerskiego Alonso de Vallejo. Małodusznie przygnębiony, lękał się admirał, czy go nie prowadzą na plac śmierci, i pytał trwożnie: „Vallejo, dokąd mię prowadzisz?“ — „Na statek, odpowiedział kawaler, gdyż Wasza Miłość ma popłynąć do Hiszpanii.“ Kolumb raz jeszcze prosił szlachcica o zapewnienie, iż nic przed nim nie ukrywa i czuł się potem, jakby

od śmierci wybawionym. Na żądanie Bobadilli przesłał pisemny rozkaz adelantadowi, aby ten nikomu z uwięzionych, będących w jego mocy, nie złego nie wyrządził i aby poddał się, zadośćuczynienia tylko od dworu oczekując. Podczas gdy Guevara został puszczoney na wolność, Don Diega i Adelantada, który przybył do Santo Domingo, okutych w kajdany wsadzono na statki i te pod dowództwem Alonsa de Vallejo z uwięzionymi i aktami procesu na początku października opuściły Haiti i po krótkiej podróży między 20. a 25. listopada 1500 stanęły pod Kadyksem. W drodze obchodzono się z admirałem i jego braćmi łagodnie, i Vallejo natychmiast rozkazał zdjąć z nich kajdany. Ale admirał nie zgodził się na to, nieskory bowiem do przebaczenia, postanowił zemścić się za niewdzięczność monarszą jedyną swoją bronią — zawstydzeniem. W okuciu chciał on wejść na ziemię hiszpańską, sami tylko bowiem monarchowie, powiadał, mają prawo zdjąć zeń kajdany, które dlań przeznaczyli. Podczas przejazdu pisał Kolumb listy do swoich przyjaciół u dworu. Żąda on, aby go z czynów jego sądzono, ale „nie jak urzędnika jakiegoś spokojnego miasta, tylko jako wodza, który wyruszył z Hiszpanii do Indyi dla podbicia dzikich ludów.“ Gorzko skarży się przed swoją protektorką Doną Juaną de la Torre, ochmistrzynią zmarłego infanta, która miała pewien wpływ u Izabelli, na Bobadillę, który wdął się do jego własności, i gorzej z nim postąpił „niż rozbójnik morski z kupieckim okrętem“, zabrał mu bowiem wszystkie papiery, a między nimi i dokumenta usprawiedliwiające. „Gdybym był Indye darował niewiernym, woła w pewnym miejscu, gorzejby Hiszpania nie mogła mię prześladować!“ Te listy wręczył Kolumb jednemu ze swoich wiernych ludzi, i Andres Martin, pierwszy oficer na karaweli la Gorda, pozwolił posłańcowi na ląd się dostać, zanim jeszcze rzucono kotwicę pod Kadyksem. Admirałowi

chodziło o to, aby skargi jego dostały się do dworu przed sprawozdaniem Bobadilli, które źle mogło dwór dlań uprzedzić.

Królewska para czuła, że wykroczenie przeciw poświęconej osobie admirała rzucało cień na blask monarszy. Zaledwie nadeszła wiadomość o jego wylądowaniu, natychmiast goniec przywiózł rozkaz puszczenia go na wolność i 2000 dukatów jako prezent dla admirała. Dnia 17. grudnia 1500 ukazał się na dworze królewskim w Granadzie. Łkanie przerwało mu mowę, gdy zginał kolano przed Ferdynandem i Izabellą. Monarchowie kazali mu powstać i starali się go ułagodzić, zaprzeczając jakoby Bobadilla miał upoważnienie od nich do tak surowego obchodzenia się z nim i zapewniając mu pełne używanie godności i przywilejów. Nie wszystkie jednak rany dały się zagoić. Wszyscy wiedzieli, że Bobadilla cieszył się większą sympatyą na Espanioli, niż admirał, któremu nie udało się ani umysłów pozyskać, ani nieposłusznych zaprawić do karności. Sam on wlał jad do młodego społeczeństwa, prowadząc złoczyńców; gdy wrzody się otwaryły, zaszkodził sobie nieszczeremi umowami, które w głębi myśli zamierzał zerwać, a w końcu, w chorobliwej energii, krwawymi wyrokami usprawiedliwił zarzut okrucieństwa, jaki mu czyniono. W razie więc, gdyby admirał i jego bracia powrócili do Espanioli, należało się obawiać powstania osadników, nie mówiąc już o tem, że złeby wyobrażenie powzięto o monarchach, z rozkazu których wicekról był usunięty. Nie brakowało też ciężkich oskarżeń, między innemi przesyłał Bobadilla przejęty list cyfrowany admirała do Adelantada w Xaragua, w którym Krzysztof miał zachęcać brata do zbrojnego oporu przeciw nowemu namiestnikowi. Bądź co bądź, korona znalazła się w obec dwóch stronnictw, które się z równą zaciętością wzajem oskarżały, i nie pozostawało nic innego, jak wysłać nowego pełnomocnika

do Espanioli na śledztwo. Nie można było wybrać ku temu szanowniejszej osoby od rycerza zakonu Alcantary, Don Fray Nicolas'a de Ovando, który już przedtem wybrany był przez królewską parę wraz z czterema innymi starszego wieku szlachtą do utworzenia towarzyskiego koła przy następcy tronu. Upośledzonej powierzchowności, łatwy do poznania po rudej brodzie, obyczajny i uczciwy w słowach i uczuciach, skromny w wydatkach, uprzejmy, ale nigdy nie zapominający się, bezinteresowny i z delikatnem poczuciem sprawiedliwości, zdawał się być jedynym człowiekiem do zażegnania burzliwych żywiołów młodej kolonii. Dnia 3. września 1501 mianowany został namiestnikiem Izabelli i otrzymał polecenie wytoczyć śledztwo Roldanowi i Bobadilli; w tym celu przydany mu był uczony w prawie rycerz Alonso Maldonado z Salamanki, za którego uczciwość ręczy Las Casas. Ovando otrzymał zarazem rozkaz zwrócić admirałowi i jego braciom zabrane mienie i niektóre uszkodzenia wynagrodzić im królewskim kosztem. Na dzień przedtem (27. września 1501) wyszedł był rozkaz, aby jak przedtem, tak i teraz oddzielać dla admirała dziesiątą i ósmą część dochodu z kolonii i monopolu koronnego; w tym celu mógł admirał wysłać swego adwokata, rycerza Carvajal, który przy oznaczaniu królewskich dochodów powinien był zawsze przybierać dla kontroli skarbowych urzędników. Jednocześnie cofnięto samowolne rozporządzenie Bobadilli, uwalniające płukaczy złota od składania trzeciej części добыtego kruszcu i nakazano pobór zaległej daniny.

Dawna żądza szukania skarbów w zagadkowym świecie atlantyckim obudziła się znów z całą siłą w Hiszpanach od czasu, gdy powróciły okręta z ładunkiem pereł z karybskiego morza i złota z Ciboo. Aż półtrzecia tysiąca popłynęło z Ovandem na 33 statkach. Flota, którą dowodził Antonio de Torres, opuściła San Lucar de Bar-

rameda 13. lutego 1502. Ósmego dnia straszliwa burza rozproszyła flotę i jeden z większych statków zatonął ze 120 wychodzcami. Do wszystkich portów hiszpańskich morze przyniosło tyle szczątków rozmaitych rozbitych okrętów, że dwór, przebywający w Granadzie, lękał się, czy cała flota nie zginęła, i królewska para przez ośm dni nie pokazywała się nikomu. Jednakże flota zgromadziła się znów pod Gomerą i podzielona na dwie eskadry po dwóch miesiącach dojechała do Espanioli (w połowie i przy końcu kwietnia). Na niej przybył i szlachetny Las Casas do Nowego świata.

Bez trudności objął Ovando namiestnictwo i wytoczył śledztwo Roldanowi i jego współnikom, którzy jednak aż do chwili odpłynięcia pozostawali na wolnej stopie.

Dopóki śledztwo to nie dojrzało tak, by dać mogło jasne wyobrażenie o całej sprawie, dopóty Kolumb nie mógł mieć nadziei powrotu na urząd namiestniczy. Wszystkie urzędowe pisma, jakie odbierał, adresowane już były nie do „wicekróla Indyi“, ale tylko do „admirala wód oceanicznych“. Za to ani jemu, ani jego synowi nie miało być uszczuplone używanie przywilejów i dochodów. „Gdyby potrzebował tego, zapewniali go monarchowie, to gotowi są na nowo mu je potwierdzić i syna wprowadzić w ich posiadanie. Jeżeli jednak książęca para w tem samym piśmie wynurzała swój żal głęboki (nos pesó mucho) z powodu jego nieszczęścia, to żal ten mało go pocieszał w krytycznem położeniu, w jakim się znajdował. „Dwadzieścia lat służby, wszystkie smutki i niebezpieczeństwa, skarży się kiedyś później monarchom, tak mało przyniosły mi zysku, że i dziś jeszcze ani jednej cegły w Kastylii nie mogę nazwać swoją; jadła i mieszkania muszę szukać w gospodzie, i dość często nie wiem, czem zapłacić należyć.“*) Do tego łączyło się w nim niebezzawistne nie-

*) List admirała z Jamaiki 7. lipca 1503. (Navarr. I. p. 298.)

zadowolenie z powodu prywatnych odkryć, wypraw do portowego wybrzeża, szczególnie z powodu drugiej wyprawy Hojedy na wiosnę 1502. „Siedm lat, pisze z goryczą do monarszej pary, wytrwałem na Waszym królewskim dworze, zmuszony słuchać, jak plan mój nazywano farsą, a teraz wszystko co żyje, nawet krawcy czują powołanie do odkryć *).

Jakkolwiek każde współczujące serce litować się będzie nad cierpieniami zasłużonego męża, przecież uczucie zadowolenia nas ogarnia, gdy widzimy go oderwanego od niemiłego zarządu nad Espaniolą i zwróconego prawdziwemu swojemu, jakkolwiek na nieszczęście zaniedbywanemu przezeń powołaniu. Zaraz po powrocie do Hiszpanii ofiarował się on z czterema okrętami i z zapasami na dwa lata popłynąć na nowe odkrycia. W październiku 1501 opuścił dwór w Granadzie i udał się do Sewilli, aby tam uzbroić eskadrę, na danie której chętnie się zgodzono. Najął trzy karawele, Capitana, Santiago, Vizcaina i większy statek Gallego, dla których zwербowano 150 majtków. W tej wyprawie towarzyszył mu adelantado Bartolome i syn Don Fernand. Wśród niesłychanych niebezpieczeństw takim bohaterskim okazywał się ten trzynastoletni chłopak, że sam troskliwy ojciec zapewnia: „Pan Bóg dał mu tyle odwagi, że dla innych był przykładem, tak bowiem zachowywał się na moją pociechę, jak gdyby 80 lat służył na morzu.“

Celem tej wyprawy była wciąż zachodnia droga morską do Kathaju czyli Chin, a z taką pewnością liczono na to, że eskadra dojedzie do portów wielkiego chana, że admirał otrzymał upoważnienie zwербować 2 albo 3 ludzi znających język arabski, którzyby służyć mogli za tłumaczy w nadbrzeżnych miastach chińskich i w posel-

*) List z Jamaiki. Navarr. I. p. 311.

stwach na cesarskim dworze w Kathaju. W przewidywaniu, że admirał na wodach indyjskich może się spotkać z portugalskimi okrętami, pisali o tem monarchowie do Don Emanuela portugalskiego, a admirała opatrzyli listem do dowódców portugalskich, których mógł spotkać, a to w tym celu, aby dwa te narody „przy spotkaniu się po przyjacielsku siebie traktowały.“ Ażeby pojąć to dziwne dziś dla nas złudzenie, potrzeba pamiętać, że widziane przez Cabota i Cortereala brzegi północnej Ameryki ciągle poczytywane były za wschodnią krawędź Azyi, jak to Juan de la Cosa przedstawił na swojej mapie świata z r. 1500. Wprawdzie południowa Ameryka, której znano już północny brzeg od zatoki Paria do Cabo de la Vela i wschodni aż po za przylądek Św. Augustyna, musiała być bardzo wczesnie uważaną za nową część świata, ale myślano jeszcze wówczas, że ta *ziemia św. Krzyża* jest jakby wielką wyspą, leżącą przed zagangesowemi Indiami, jak to w istocie rzecz się ma z australskim lądem. Uporczywie aż do śmierci trwając w błędnem przekonaniu, ciągle jeszcze uważał Kolumb Kubę za wysuniętą część wschodniej krawędzi Azyi, i po ostatniej jeszcze podróży nie przestawał nazywać zachodnich okolic Kuby w języku swego złudzenia „prowincją Mango“, pod czem rozumiał chińskie wybrzeże. Uprzedzenie stało się w nim nieuleczonem od czasu błędnej obserwacyi zaćmienia księżyca, której dokonał w nocy na 15. sierpnia 1494, a która mu podała różnicę w czasie pomiędzy wyspą Saoną a południem Kadyksu na 5 godzin 23 minuty. Przesada w ocenianiu odkrytej przestrzeni w podróży nadbrzeżnej roku 1494 była powodem, że dojechawszy do najdalszego punktu na południowym brzegu Kuby, sądził, iż różnica w czasie pomiędzy tym punktem a Kadyksem wynosi dzień i pięć astronomicznych godzin, tak że spostrzeżenia jego w ludzającej harmonii zostawały z Marinusem z Tyru, który

dwie trzecie oceanu Spokojnego pokrywał stałym lądem Azji. W tem błędnem kole Espaniola jak przedtem, tak i potem, odgrywała rolę Zipangu Marka Pola. Jeżeli trudno nam pojąć, jak Kolumb Nowy świat, który mu do tychczas urok swych podzwrotnikowych okolic, ożywionych wesołą ludnością, w rajskim przedstawiał ubóstwie, mógł brać za jedno z Kathajem, podług wszelkich znanych opisów gęsto zaludnionym i społecznie tak wysoko rozwiniętym; jeżeli na samotnych wodach antylskich nie spotykał nigdzie handlowych flot chińskich i arabskich, to przecież uspokajał on w sobie podobne wątpliwości sposobem bardzo naiwnym. „Ludy te, powiada on, stosując swoje słowa do ostatnich swoich odkryć, zgadzają się z naszymi opisami Azyatów, i jeżeli nie spotkał u nich koni ze złotą uprzążą i siodłami, to cóż w tem dziwnego, bo pocóżby się zdały rybakom w nadbrzeżnych okolicach te zwierzęta?“ Czy zaś Cuba, czyli północny kontynent miał jakie połączenie lądowe z niespodzianie odkrytą wówczas południową Ameryką, tego jeszcze wtedy nie można było wiedzieć. Ale Kolumb przeczuwał, że na południe od Cuby, ku zachodowi, morze zwęża się i tworzy cieśninę, która musiała bezpośrednio prowadzić do Złotego Chersonezu Ptolemeusza i do Gangesu, zadanie zatem czwartej podróży, wyrażając się językiem nowoczesnym, polegało na wyszukaniu środkowo-amerykańskiego przejazdu do krajów korzennych.

Przed wypłynięciem na morze chciał Kolumb jasno wyłuszczyć koronie swoje względem niej wymagania. W tym celu kazał sobie napisać dokument, w którym żądał przede wszystkim, ażeby mu przywrócono godność wicekróla, „małoby mu bowiem przyniosło zaszczytu, gdyby poprzestał na pieniężnem wynagrodzeniu.“ Roszczenia jego rozciągały się i na nowe odkrycia Pinzonów i Hojedy, i wymagał nawet, aby mu dano ósmą część handlowego zysku

z wypraw do perłowego wybrzeża, które w tym przeciągu czasu były przedsiębrane. W odpowiedź na te wymagania podane 26. lutego, naglili go monarchowie do odjazdu, ażeby nie zaniedbać pomyślnej pory roku, syn zaś Kolumba Don Diego, miał tym czasem układać się z koroną w sprawie ojca. Ponieważ królewskie pismo z 14. marca na nowo potwierdzało mu nieuszczipione używanie dawniejszych przywilejów, więc czuł się Kolumb na razie zadowolonym, postanowił jednak być ostrożnym i wszystkie drogocenne dokumenta, dotyczące swych praw i pretensyi, w odpisach uwierzytelnionych wręczył swemu przyjacielowi Nicolo Oderigo, genueńskiemu posłowi na dworze hiszpańskim, ażeby ten je złożył w banku Św. Jerzego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

PODRÓŻ KOLUMBA W CELU WYSZUKANIA ŚRODKOWO-AMERYKAŃSKIEJ CIEŚNINY.

Do S. Domingo nie dopuszczony. Zatrata wielkiej floty. Odkrycie Honduras. Jukatańskie statki kupieckie. Costa Rica. Pierwsza wiadomość o oceanie spokojnym. Burzliwa pogoda. Veragua. Porwanie Quibii. Zemsta krajowców. Kolumba sen gorączkowy. Powrót. Osadzenie się na mieliźnie pod Jamaiką. Mendez udaje się do Espanioli. Bunt. Zaćmienie księżyca. Ovando zwiastuje ocalenie. Pierwszy przelew krwi hiszpańskiej przez Hiszpanów. Przyjęcie Kolumba w Santo Domingo. Powrót.

Z czterema statkami opuścił Kolumb 9. maja 1502 Kadyks, zaopatrzył się przy wielkiej wyspie Kanaryjskiej w drzewo i wodę, i po bystrym przejeździe przez ocean (od 26. maja do 15. czerwca) stanął pod karybską wyspą Martinino (Martinique). Ztamtąd postanowił udać się do Santo Domingo, pozornie dla wymieniania jednego statku, niezdatnego do dłuższej podróży. Otóż monarchowie, pod grzecznym pretekstem, iżby się wiele utraciło czasu, nie

zgodzili się byli na jego prośbę, aby mógł przybić do Santo Domingo, i dopiero w drodze z powrotem pozwolili mu tam zarzucić kotwicę. Jak długo bowiem śledztwo na Espanioli znajdowało się w ręku Ovandy, dopóty przybycie admirała z eskadrą mogło tylko nowe wywołać zawichrzenia. Ale Kolumb myślał inaczej; musiałoby to odebrać ducha załodze (tak się usprawiedliwiał), gdyby jedyny wielki port na owych wodach wydawał się być dla niej w razie nieszczęścia zamkniętym. Nie mógł się on oprzeć ciekawości i żądzy pokazania się znów jako admirał osadnikom, z którymi rozstawał się w kajdanach, ale przyczynił tylko sobie upokorzenia, gdyż kiedy 29. czerwca stanął pod Santo Domingo, zabronił mu Ovando wpłynąć do portu i wymieniać okręt. W porcie stało gotowych odpłynąć do Hiszpanii 28 statków z uwięzionymi: kacykiem Guarionexem, Roldanem, Bobadillą i z ładunkiem 200,000 pesos złota*). Admirał usilnie prosił namiestnika, aby „na ośm dni“ wstrzymał się z odprawieniem floty, gdyż z astrologicznych powodów spodziewał się gwałtownej burzy. Ostrzeżenia tego nie usłuchano i przypadek chciał, że flota, odjechawszy w początku lipca wpadła w obszar zachodnio-indyjskiego orkanu, który zniszczył dwadzieścia żaglowców ze wszystkimi ludźmi na pokładzie. Admirał, dowiedziawszy się za powrotem, że pomiędzy tymi, co zatopili, prócz Guarionexa byli jego nieprzyjaciele Roldan i Bobadilla, nabrał zupełnego przekonania, że wyższa siła rządząca zniżyła się w jego interesie do ukarania tych, co go obrazili.

Admirał na czas burzy ukrył swoje okręta w Puerto Hermoso. Tornado zerwał wprawdzie trzy kotwice, ale

*) 100,000 pesos dla korony (750,000 fl.) i 100,000 dla passażerów. Las Casas (II. cap. 5) mniema, że 200,000 pesos znaczyło wówczas tyle, co w 50 lat później 2 miliony, „gdyż teraz miliony stały się rzeczą powszednią — porque millionadas son quasi nada.“

okreśła znów się zgromadziły, i 14. lipca opuszczono Hiszpanię, płynąc pod tą samą szerokością południowym brzegiem wyspy ku zachodowi. Jak tylko przejechano koło Jamaiki, wnet się wiatr uciszył i prądy bez oporu poniosły eskadrę do „ogrodu królowej“, czyli do rojowskiej wyspy na południowej stronie Kuby. Po trzech dniach straconych skorzystał Kolumb 27. lipca z pomyślnego wiatru, aby o tyleż zbliżyć się w południowo-zachodnim kierunku do równika, o ile wbrew woli z powodu prądów musiał się oddalić. D. 30. lipca ujrzano jedną z wysp Koralowych w zatoce Honduras, miłą Guanaję, którą Kolumb z powodu lasów iglastych, dziś jeszcze nietkniętych, nazwał Isla de Pinos. Ani złota, ani pereł nie znaleziono u jej mieszkańców, ale niespodziewanie napotkano wielką indyjską galeryę, ośm stóp szeroką, z dachem liściowym w rodzaju namiotu. W tej kajucie znajdowały się kobiety i dzieci obok zapasów różnobarwnych chust bawełnianych, koszul bez rękawów, fartuchów, żelaznych toporów i dzwoneczków, tyglów i nakrywek do topienia miedzi. Jako artykuł handlowy wiozła barka i miecze drewniane, których klinga składała się z wygładzonego i sztucznie oprawnego krzemienia. Dalej ujrzano na pokładzie gliniane i drewniane naczynia kuchenne czystej roboty i wielkie zapasy owocu kakao.

Nie uszło też uwagi Hiszpanów, że jak tylko ziarnko bobu padało na ziemię, natychmiast się żeglarze gorliwie schylali po nie, bób bowiem, czego Hiszpanie odgadnąć nie mogli, uchodził za monetę tak w Yucatanie, jak i w związku państwowym Azteków. Na tym kupieckim statku indyjskim, który zdawał się być przeznaczonym do objeżdżania stałego lądu, znajdowało się 25 ludzi, którzy się chętnie ze statkiem swoim dali zawieść do eskadry. Okazywali wielką wstydlivość przy każdym obnażeniu się z fartucha, a kobiety zakrywały sobie w obec cudzoziem-

ców głowy. Ponieważ ci indyjscy żeglarze mówili o krajach, które nazywali Maya i Taya, byli to więc, jak już z ich ładunków z pewnością można wnioskować, yukatańscy kupcy. Natrafiono więc tu na pierwsze ślady wielkich kulturowych państw amerykańskiego lądu, i Kolumb, robi uwagę Las Casas, mając ludzi szczepu Maya za przewodników, mógłby wybornie dojechać do Yucatanu a może i do Meksyku. Ale zamiast tego eskadra zawróciła na południo-wschód, ponieważ Yucatakwie wskazali tam Hiszpanom złote wybrzeże. Miejsce, w którym osiągnięto północnej krawędzi Honduras, nazwał Kolumb Punta de Caxinas. W podróży ku wschodowi wysiadano na ląd i obejmowano go w posiadanie; na wybrzeżu to nagie, to odziane ludy rozmaitych narzeczy uprzejmie zaopatrywały załogę w owoce i ptactwo, aż póki po trudnej przeprawie przeciw wiatru nie objechano wschodniej kończyny prostokątnie wchodzącego w morze antylskie Hondurasu (12. września), w skutek czego dał Kolumb przyładowi nazwę Gracias a Dios.

Eskadra znów teraz popłynęła na południe wzdłuż dzisiejszego wybrzeża Mosquito, aż póki 25. września, nie zarzucono kotwicy przy pewnej uśmiechniętej wyspie, przez Kolumba ogrodem (la Huerta) nazwanej; naprzeciw na stałym lądzie nad rzeką leżała rozkoszna wioska indyjska Cariari. Krajowcy dawali wprawdzie jakieś znaki chorągwiami, ale pierzchali za każdym wylądowaniem Hiszpanów. Tylko jeden jakiś stary Indyanin wypchnął do niemiłych cudzoziemców, gdy nabierali wodę do beczek, dwoje bardzo młodych dziewczątek, jako ofiarę błagalną, ale Kolumb kazał odziać te istoty i tak je puścić na wolność, co krajowców uczyniło ufniejszymi. Dniem przedtem schwytano dwóch Indyan, aby mieć z nich przewodników do poszukiwanego złotego wybrzeża, 5. października rozwinęło żagle, a 7. dojechano do celu, wjeżdżając do obszer-

nej, wyspami zamkniętej zatoki Carabaro, dzisiejszej laguny Chiriqui, gdzie krajowcy w wielkiej liczbie przybywali na łodziach do okrętów, ofiarowując złote ozdoby na sprzedaż. Dnia 17. października puszczone się dalej w podróż, płynąc ciągle na wschód po pod wyspami Chiriqui, Kostarykańskim przesmykiem koło rzeczki Catiba, jak ją dzisiejsze jeszcze mapy nazywają, i pod, w ukryciu jeszcze wówczas zostającą, Veragua, aż do ostatniej osady na złotem wybrzeżu, Cubiga. Gdzie tylko wylądowywano, wszędzie się złoty kruszec okazywał w obfitości, wszędzie nim chętnie handlowali mieszkańcy, którzy w ogóle przedstawiali się towarzyskimi, z jednym tylko wyjątkiem, kiedy za pomocą wypływania wody i żutej trawy objawiali swoją niechęć przeciw wylądowywaniu cudzoziemców.

W pobliżu wysp Chiriqui jeden z Indyan z Cariari udzielił admirałowi nadzwyczajnych wiadomości o nowym kraju cudów, Ciguare. Tam, powiadał, mężczyźni i kobiety chodzą w bogatych szatach, i noszą ozdoby na rękach, nogach i od głowy do pleców. Mieli oni posiadać miecze, łuki, strzały, pancerze, konie i okręta z działami, a na swoich targach sprzedawać pieprz i korzenie. Tak przynajmniej, źle czy dobrze, zrozumiał admirał gesta i wyrażenia krajowca. Ta Ciguare, dodawał Indyanin słowa pełne znaczenia, *leży dziewięć dni drogi lądem ku zachodowi, a morze tworzy tam zatokę*. Słusznie ztąd wnioskował admirał, że po tamtej stronie wybrzeża Costa Rica, wzdłuż którego się posuwał, leży drugie morze, od którego oddziela go półwysep, tak, że Ciguare i Veragua, podobnie jak Tortosa i Fuentearrabia, albo jak Wenecya i Piza, w dwóch różnych morzach myją stopy swoje. To pierwsze objawienie się oceanu wschodniego w umyśle Kolumba zaciemniło się natychmiast w skutek jego uporczywego trzymania się Ptolomeuszowej geografii Azji. Jego złote wybrzeże kostarykańskie znajdowało się pod taką szero-

kością, jak złota wyspa (Chryse) starożytnych, był on więc „tylko o dziesięć dni drogi od Gangesu“, czyli wyrażając się językiem dzisiejszym, uważał ocean Spokojny za zatokę bengalską, nawet już potem, gdy przekonał się, że północny brzeg odkrytego przesmyku ciągnie się aż do zwiedzonych przez Hojedę wybrzeży. „Admirał“, pisze Piotr Męczennik, „jest tego zdania, że lewy brzeg (od strony oceanu wschodniego) tego przesmyka dochodzi do indyjskiego kraju nadgangesowego, podczas gdy prawy sięga na północ do morza lodowatego i arktycznego bieguna, tak, że morze południowe i nasz ocean w głęboko zachodzących w ład zatokach nadzwyczajnie się do siebie zbliżają, żadną jednak cieśniną nie rozdzielając dwóch mas lądowych.“

Drugiego listopada dopłynął admirał, ciągle na zachód się posuwając, do Puerto Belo, któremu dzisiaj dał nazwę z powodu wybrzeża, które jak ogród wyglądało i gdzie następowały po sobie mieszkania w odległości kilkudziesięciu kroków. Nieprzyjazna pogoda przez siedm dni więziła eskadrę, a kiedy nareszcie 9. listopada odważono się wyruszyć naprzód, znów trzeba było schronić się do najbliższego portu, któremu z powodu obfitej żywności dano nazwę Puerto de los bastimentos.*) Dnia 23. listopada próbowano znów dalej wyruszyć w kierunku zachodnim, ale wiatr był ciągle tak nieprzyjazny, że 26. wąskim przejazdem, wśród groźnych skał podwodnych, schroniono się do małej przystani, którą z powodu szczupłego obszaru nazwano Puerto del Retrete. Tu przeciwnie wiatry przez dziesięć dni trzymały w oblężeniu europejskich żeglarzy, których jednocześnie zaczepiali nieprzyjaźnie usposobieni krajowcy, póki jedna kula armatnia nie rozproszyła ich eskadry. Nakoniec gdy wschodnie i północno-

*) Później wznosiło się tam Nombre de Dios, z kąd prowadziła droga przez przesmyk do Panamy.

wschodnie wiatry nie ustawały, postanowił admirał 5. grudnia, w pobliżu największego zwiężenia przesmyka Panamy, przed Cabo San Blas, zawrócić. Dopiero teraz miała wybuchnąć wściekłość żywiołów. Przez dziesięć dni, zapewnia admirał, zaniechano wszelkiej myśli o ratunku. Deszcz lał jak z cebra, przerażające trąby wodne unosiły się nad wzburzonym morzem, którego bałwany wznosiły się do wysokości, niewidzianej dotychczas przez najdoświadczeńszych żeglarzy. Dniem i nocą płonęło niebo, jak rozpalony kruszec, wśród tak wstrząsających grzmotów, że brano je za sygnały armatnie sąsiednich okrętów. Na pokładzie brakło już wody i świeżej żywności, suchary roiły się robactwem i wstręt do nich przewyciężano w taki tylko sposób, że w najgłębszej ciemności głód nimi zaspokajano. Eskadra ciągle była miotana wiatrami, które niespodzianie to z zachodu, to ze wschodu na nią uderzały, w skutek czego admirał krótką przestrzeń pomiędzy Puerto Belo a Veraguą nazwał *Wybrzeżem sprzeczności*. *) Wreszcie 6. stycznia 1503 stanęła eskadra przed ujściem Yebry, czyli, jak admirał nazwał tę rzekę, Belenu, a 9. i 10. stycznia pojechano w górę rzeki. Koło tej rzeki i razem z nią wylewającej się Veraguy przejechano w październiku „nie przezuwając wielkiej tajemnicy“. Veragua bowiem płynęła po bardzo bogatym gruncie, z którego krajowcy dobywali złoto dla swoich ozdób. Na wiadomość o tem Adelantado Don Bartolomé udał się do odległej o milę tylko Veraguy, do rezydencyi samego Quibii, czyli księcia tego kraju, gdzie go przyjęto z dwuznaczną uprzejmością, mieszkańcy bowiem tego wybrzeża przy dawniejszem zbliżeniu się

*) Costa de los Contrastes. Las Casas lib. II. cap. 24. Żywy zmysł obserwowania natury, jaki posiadał Kolumb, odzwierciedla się w wybornie do bieranych przezeń nazwach miejscowości, z których to nazw wiele do dziś się zachowało, jakkolwiek już wówczas, jak robi uwagę las Casas, szybko się nazwy zmieniały, każdy bowiem żeglarz za powrotem nowe imiona nadawał wybrzeżom.

eskadry jawną okazywali niechęć. Końca pory deszczowej oczekiwano dopiero 14. lutego, ale już 6. lutego pozwoliła pogoda Adelantadowi udać się z 68 ludźmi do rezydencji Quibii, o 1½ mili odległej od ujścia Veraguy. Naczelnik dał im chętnie przewodnika do krainy złota, który ich jeszcze tego samego dnia poprowadził 4½ mile w górę pewnej rzeki, którą 43 razy trzeba było w bród przechodzić. Na półtora milowym marszu pod cieniem drzew dostano się nazajutrz do żwirowiska zawierającego złoto, z którego podnosiły się olbrzymie pnie wysokiego podzwrotnikowego lasu. Bez narzędzi do płukania, palcami tylko mogli Hiszpanie w przeciągu dwóch godzin wybrać obiecujące okazy ziarenek złota, jakkolwiek nie znajdowano się bynajmniej na prawdziwym złotym gruncie Veraguy, dyplomatyczny bowiem Quibia, chcąc natrętnych cudzoziemców zwalić na kark swego dziedzicznego wroga, sąsiadniego naczelnika z Urira, na jego grunt kazał ich zaprowadzić. Spostrzeżono to dopiero wtedy, gdy Adelantado puściwszy się z jakimi siedmdziesięciu ludźmi brzegiem, a mając łódź na wszelki wypadek nieopodał, uszedł 6 do 7 mil ku zachodowi i dostał się do rzeki i miejscowości Urira. Tam odprawił połowę ludzi, których miał z sobą, aby z resztą dalej się jeszcze na zachód posunąć, aż do dawnej znajomej już miejscowości Catiba, gdzie leżała indyjska wieś Cobrava. Okolica ta na milowych przestrzeniach była uprawna i pokryta kukurudzą, wszędzie znajdowano obfitość złota i gościnne przyjęcie, ale nie znaleziono tego, czego szukano, mianowicie dogodnego portu do założenia osady, ażeby admirał stosownie do instrukcyi mógł tam zostawić część załogi, jako osadników. Dla tego zaczęto stawiać chaty i magazyny na pochyłości wzgórza nad rzeką Belen, gdzie miał Adelantado z 80 ludźmi pozostać. Kiedy się atoli eskadra gotowała wypłynąć z rzeki na morze, ujrzano ujście zagrodzone i trzeba

było czekać pory deszczowej w tem zamknięciu. Jednocześnie otrzymano wiadomość o wojennych ruchach w Veragua, które wprawdzie wymierzone były tylko przeciw sąsiadom w Urira i Cobrava, ale Hiszpanie podejrzewali w tem zamach na ich obóz. Diego Mendez, wierny sługa admirała, udał się na zwiady do Veragua, gdzie miał jakoby zastać 1000 ludzi pod bronią. Starał się on wcisnąć do chałupy Quibii, udając lekarza i obiecując uleczyć ranę, którą wódz miał na nodze. Gdy się wbrew miejscowej etykiecie zbliżył do seraju indyjskiego księcia, kobiety krzykiem i łajaniem odstraszyły go ztamtąd. Na placu przed pałacem wodza widział 300 czaszek ludzkich wystawionych, oburzające oznaki zwycięstwa w sąsiedzkich wojnach. Za powrotem, jakkolwiek nie miał dostatecznych powodów do podejrzewania zamiarów Quibii, doradzał jednak, aby grożące niebezpieczeństwo uprzedzić zamachem na osobę Quibii. Śmiały Adelantado oświadczył gotowość porwać wodza ze środka jego obozu. Z 74 ludźmi wyruszył 30. marca 1503 ku Veragwie. Dowiedziawszy się o jego zbliżaniu się, Quibia nakazał mu zatrzymać się. Domy krajowców rozrzucone były po okolicy, i pałac wodza stał samotnie na wyżynie. Don Bartolomé, obstawwszy go w koło swymi ludźmi, nakazał im po dwóch podpełzać i na pierwszy strzał z muszkietu wypaść. Sam otwarcie ruszył z pięciu towarzyszami do pałacu, gdzie go ranny Quibia, nie podejrzewając, przyjął u wejścia, ponieważ zwyczaj nie pozwalał na to, aby cudzoziemcy wchodzili do książęcego haremu. Wódz zrobił znak, żeby oprócz Adelantada nikt się nie zbliżał. Ten szybko się porozumiał z towarzyszami, kiedy mają dać sygnał, skorzystał ze sposobności, gdy Quibia pokazywał mu ranę, i ujął go wpół wtedy. Obaj byli ludźmi niezwyklej siły, ale na pierwszy strzał Hiszpanie otoczyli pałac, książę wraz z rodziną i kilku obecnymi naczelnikami pokoleń zostali ujęci, zra-

bowano wszystko złoto wartości 300 dukatów, z czego, jak zawsze, piąta część przypadła koronie. Pojmanego Quibię oddał Adelantado naczelnemu sternikowi Juanowi Sanchez, człowiekowi, który zkadinał zasługiwał na zupełne zaufanie, z poleceniem, aby go w łodzi rzeką Veraguą zawiózł admirałowi. Gdy zaczęło zmierzchać, jeniec zaczął się skarżyć, że mu więzy u nóg sprawiają ból wielki. Zaledwie mu je zdjął litościwy sternik, gdy Quibia skoczył w wodę i uszedł od swoich prześladowców, którzy zrobiwszy zeń niebezpiecznego dla siebie wroga, musieli zaniechać szukania go po kryjówkach sąsiedniej góry. Na początku kwietnia deszcz upadł tak obficie, że 6. trzy okręta mogły przepłynąć ponad groblą Belenu, i tylko czwarty pozostał na pociechę osadników. Szpiedzy Quibii wyczekiwali chwili, w której trzy okręta zarzucają kotwicę o milę od brzegu. Wówczas wojownicy Quibii w największej tajemnicy podpłynęli przez gęsto zarosłe wzgórza do mieszkań Hiszpanów i okrzykiem wojennym i gradem strzał, co przebijały cienkie ściany chałup, dali znać o sobie. Adelantado z kilkunastu odważnymi rzucił się naprzeciw nich i tym rycerskim napadem zapędził ich napowrót do kryjówek, kilku jednak Hiszpanów, między nimi sam Bartolomé, otrzymało rany, a jeden został zabity.

Tymczasem admirał wysłał dowódcę kapitana Diego Tristana, z dwiema jedynymi łodziami eskadry i 12 ludźmi w górę Belenu po wodę i drzewo. Tristan nie tylko pozostał spokojnym widzem walki, ale kazał nawet trzymać się łodziom z dala od brzegu, z obawy, aby osadnicy nie chcieli się schronić na łodzi, w skutek czego te, nazbyt przepełnione, mogłyby zatonać. Po ucieczce napastników Diego Tristan, głuchy na wszelkie przedstawienia, kazał jechać milę dalej w górę rzeki, gdzie woda, niedostępna przyplwow morskim, była słodką i dobrą do picia. Brzeg był zarośnięty drzewami manglowemi, między którymi

ukryte ścieżki prowadziły do zwierciadeł wodnych, gdzie w cieniu zwieszających się gałęzi krajowcy chowali zwykle swoje statki. Nagle nieprzyjacielskie canoes otoczyły Hiszpanów i przywitały ich chmurą włóczy. Diego Tristan zagrzewał swoich do walki, dopóki sam, kilkakrotnie ugodzony, nie poległ. Wkrótce i jego towarzysze ulegli przeważającej sile, i tylko jeden z nich, który wyskoczył z łodzi i zdołał się ukryć na brzegu, poniósł smutną wiadomość Adelantadowi, który jej nawet nie mógł przesłać eskadrze, ponieważ żadnej już łodzi nie było. Don Bartolome śpiesznie opuścił teraz swoje zagrożone stanowisko na wzgórzu i przeniósł się na otwarty brzeg, gdzie przynajmniej oba jego działka mogły być użyte i gdzie pośpiesznie z beczek okrętowych ustawiono szaniec. Tam przed ich oczami rzeka poniosła do morza trupy Hiszpanów poległych w łodziach, nad którymi roilo się żarłoczne ptactwo.

Przez dziesięć dni w wielkiej obawie*) wyczekiwał admirał na tem tak niespokojnem wybrzeżu na powrót łodzi. W jednej z owych nocy synowie i krewni Quibii, których jako zakładników spuszczone na dół okrętu, pró-

*) Wówczas to Kolumb w paroksyzmie gorączki usłyszał głos wołający na niego: „O małoduszny i opieszaly w służbie Boga, Boga nas wszystkich! Czyliż więcej uczynił On dla Mojżesza i Dawida, sług swoich? Od kolebki strzegł cię troskliwie! Gdy cię ujrzał dojrzałym do swego postanowienia, cudownym sposobem rozniósł dźwięk twego imienia po całej kuli ziemskiej. Oddał ci Indye, najbogatszą część świata, z pełnomocnictwem rozdarowywania jej podług swego widzimisję. Ocean leżał spętany żelaznemi okowami, tobie on dał klucze od niego!“ Stosując do przykrości, jakie spotkały Kolumba w Hiszpanii, mówił głos dalej: „Odpowiadaj, kto cię tak często i głęboko zasmucał, Bóg czy ludzie? Łask i przywilejów, których Bóg używa, nie narusza potem pod pozorem, że obietnica jego źle była zrozumiana. Nie najmuje on świadków dla pokrycia gwałtów, ale dotrzymuje swoich przyrzeczeń co do litery, a nawet więcej. Przypominałem ci, co Stwórca uczynił dla ciebie i co dla wszystkich co dzień czyni. Teraz okazuje ci nagrodę za tyle smutków i utrapień w obcej służbie.“ Na pożegnanie pocieszał go głos: „Nie lękaj się niczego! ufaj! Wszystkie te utrapienia zapisane są na marmurze i nie nie dzieje się bez wyroku wyższego.“ List z Jamaiki 1503.

bowali wydostać się na wolność. Przez lenistwo załoga okrętowa zaniedbała zamknąć otworu wielkim łańcuchem. Znakomitsi więc więźniowie, utworzywszy pagórek z balastu, mogli z niego stanąwszy na plecach towarzyszy podnieść drzwi nie przymocowane i wyskoczyć na pokład. Innym wprawdzie nie dano uciec, ale nazajutrz rano znaleziono ich nieżywyymi: podusili się wszyscy.

Okręta podpłynęły teraz tak blisko do brzegu, że nieustraszony sternik, Pedro de Ledesma, mógł przepłynąć do nich przez wały morskie i dać im wiadomość o wszystkim, co zaszło. Ponieważ osadnicy koniecznie chcieli dalej płynąć, więc zostawiono czwarty statek na Belenie, a koloniści z tem, co mieli najdroższego, przeprawili się do eskadry na dwóch indyjskich łodziach, które w tym czasie dostały się im w ręce. Siedm razy w przeciągu dwóch dni jeździły tam i napowrót łodzie, aż wreszcie Diego Mendez, nieustannie niepokoiony okrzykami i groźbami Indyan, wsiadł na nie z pięciu ostatnimi towarzyszami, poczem następnego dnia (20. kwietnia) eskadra pożegnała się z niegościnnem wybrzeżem.

Ażeby dostać się do Espanioli, uznał Kolumb za stosowne jakiś czas jeszcze płynąć brzegiem ku wschodowi, a to z obawy, aby prądy w morzu antylskim nie odrzuciły go znowu ku zachodowi. Baskijski okręt kupiecki, stoczony przez robactwo, musiano pod Puerto Belo opróżnić i zostawić na igraszkę falom. Minąwszy archipelag Mulatas, płynęły jeszcze dwa pozostałe okręta dziesięć mil ku wschodowi i dopiero niedaleko zatoki Daryjskiej od 1. maja zmieniono kierunek ku północy, ale prądy przeniosły je po za Jamajkę ku zachodowi, tak że 10. maja ujrzano bezludną, ale obfitą w żółwie grupę Tortugas (*Caymanes chicos*) i ztamtąd dostano się do *ogrodu wysp królowej* na południowym brzegu Kuby. Ponieważ sternicy sądzili, że mają przed sobą Puertorico, więc admirał, wi-

docznie rad z ich niewiadomości, taką robi uwagę w swojej depeszy do dworu: „Nikt nie zdołał zdać wiernie sprawy z podróży. Wprawdzie brzeg stałego lądu narysowany był przy pomocy kompasu, ale pod jakim stopniem szerokości leży, tego nikt nie wie. Niech teraz sternicy powiedzą, gdzie leży Veragua! Nie będą mogli nic więcej donieść nad to, że byli na wybrzeżu, gdzie jest wiele złota; drogę tam powtórna musieliby na nowo odkrywać“.) Gorzkie doświadczenia usprawiedliwiały do pewnego stopnia Kolumba, że nie chciał wypuszczać z rąk klucza do nowych wybrzeży, ale nie da się usprawiedliwić to, że zażądał od wszystkich żeglarzy wydania map, ażeby odkrycie najzupełniejszą otoczyć tajemnicą **).

Z Kuby przeprawiono się na północny brzeg Jamaiki, do którego dojechano 24. czerwca; tu admirał następnego dnia w Puerto Santa Gloria kazał oba okręta, które przy największem wysilaniu pomp ledwie już nadawały się do podróży, wprowadzić na mieliznę. Napełniły się one natychmiast wodą i załoga musiała przenieść się na pokład i do kasztelów. Kolumb umyślnie obrał to niezdrowe schronienie, aby nikt bez pozwolenia się nie oddalał i nie niepokoił krajowców, którzy za drobne towary hojnie zapatrywali rozbitków w zapasy żywności. Do przesłania wiadomości namiestnikowi na Espanioli o swem krytynem położeniu mogli użyć indyjskich łodzi, ale tylko gdy morze było spokojne, ponieważ łodzie z powodu niskich krawędzi łatwo się wywracały. Jamajczycy, przeprawiając się do Espanioli, odbili się od wschodniej kończyny swojej wyspy, sterowali przez 17—18 mil do pustego, skalistego szczytu Navasa, gdzie znaleźli odpoczynek i odświeżenie sił na trzecią część drogi do przylądka Tiburon. Ponieważ wielkie barki jamajskie nie były dość obrotne dla

*) List z Jamaiki 7. lipca 1503.

**) Navarr. I. p. 287.

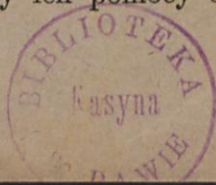
przebycia tak wielkiej przestrzeni, najęto więc dwa średnie statki. Pewien genuński szlachcic, Bartolomeo Fiesco, dowódzca baskijskiego okrętu, dowodził jednym statkiem, Diego Mendez de Segura, pisarz floty i powiernik admirała, drugim. W każdej barce siadło 6 Hiszpanów i 10 krajowców. Ponieważ Diego Mendez w dawniejszej próbie dotarcia do wschodniej kończyny wyspy, próbie, która się nie udała, trafił na groźne usposobienie naczelników pokoleń miejscowych, więc Adelantado dał statkom aż do wschodniego przylądka Jamaiki konwój ze 70 ludzi. Po czterodniowym oczekiwaniu powietrze się zupełnie uspokoiło i można było przedsięwziąć zamierzoną podróż *). Już pierwszego dnia uskarżali się bardzo indyjscy wiosłarze na pragnienie. Hiszpanie wzięli z sobą bardzo mały zapas wody, z którego od czasu do czasu dawali pić krajowcom. Gdy wkrótce zapasy te były już bliskie wyczerpania, siły wiosłarzy zupełnie osłabły, a wieczorem drugiego dnia żaden się jeszcze brzeg nie pokazywał, to zaczęto się lękać, czy czasem nie błędną pojechano drogą. Wówczas to miłosierna Opatrzność pozwoliła, aby na świecącej tarczy wschodzącego księżyca zobaczono zarysy niskego wybrzeża Guanasy, które bez tego tła jasnego pozostałoby niewidzialnem na horyzoncie. Na ten widok wróciła siła zmęczonym, z których już jeden umarł był z pragnienia. Zaopatrzywszy się w wodę na Guanasie, dostano się czwartego dnia do przylądka Tiburon. Fiesco chciał teraz, jak mu było nakazano, powrócić do admirała, ażeby oznajmić oczekującym w wielkiej trwodze, iż poselstwo dojechało do celu, ale nie znalazł towarzyszy do powtórzenia podobnie zuchwałej wyprawy **).

*) Nie mogła ona wcześniej się odbyć, jak w pierwszych dniach sierpnia 1503, depesza bowiem, którą admirał przesłał koronie, datowaną była 7. lipca.

**) Diego Mendez na pamiątkę swej odwagi dostał od króla Ferdynanda canoe w herbie (Oviedo lib. III. cap. 9. tom. I. p. 79).

Po uciążliwej podróży stanął Diego Mendez w Xaragua przed Ovandem, który go z pozoru przyjął bardzo uprzejmie, a przecież pełen obawy i niepewności, czy położenie towarzyszy Kolumba w istocie jest tak krytyczne i czy przybycie admirała do Espanioli nie wywoła buntu znajdujących się tam jeszcze stronników jego. Diego Mendez, uzyskawszy nareszcie po siedmiu miesiącach pozwolenie nająć za pieniądze admirała w Santo Domingo okręt, musiał czekać aż do wiosny 1504, zanim przybyły statki z Kastylji, od roku bowiem żaden się był nie pokazał.

Tymczasem rozbitki, dręczeni nędzą i gorączką, z ławowiernością ludzi zrozpaczonych powzięli awanturnicze podejrzenie, że admirał zamierza ich jako osadników zatrzymać na Jamaice, i Fiescowi potajemnie rozkazał nie wracać. Na czele wicherzycieli stanęli bracia Porras, Franciszek, kapitan Santjago, i Diego, urzędnik koronny eskadry. D. 2. stycznia 1504 udał się Franciszek Porras z 48 sprzymierzonymi na tylny pokład do admirała i wśród hałasu nieprzyzwoitym tonem zapytał go: „Senior, jak się zdaje, chcesz nam nie dać powrócić do domu i tu nas zadreczyć?” Na łagodne słowa admirała odwrócił się tyłem do niego zuchwalec i zawołał: „Dalej! do Kastylji kto chce, za mną!”, poczem sprzysiężeni, to jest prawie wszyscy jeszcze zdrowi majtkowie z okrzykiem: „Idziem za tobą! Śmierć im! Do Kastylji!” siedli na kilka łodzi jamajskich i z wielką radością odpłynęli. Osłabiony gorączką podniósł się Kolumb z pościeli, ale troskliwie przytrzymany został przez kilku wiernych ludzi. I Adelantada, który chciał z włócznią w ręku stawić opór dezercyi, wciągnięto do kajuty. Sprzysiężeni, po krótkiej podróży brzegowej, dojechali do zachodniej kończyny Jamaiki, pochwycili po drodze krajowców, których zasadzili do wiosłowania i zamierzali przy ich pomocy dostać się do Espanioli.



Ale zaledwie ujechali cztery leguas, gdy fale zaczęły być tak straszne, że zawrócili i po nowych daremnych próbach musieli zaniechać myśli ocalenia się tą drogą.

Wkrótce potem krajowcy przestali zaopatrywać rozbitków pod Santa Gloria w żywność, prawdopodobnie dla tego, że wyczerpali swoje zapasy, lub że rozjątrzeni byli złem obchodzeniem się, jakiego doznali od sprzysiężonych. Przebiegle poradził sobie wówczas Kolumb, zagroziwszy znakami gniewu bożego na niebie, jeżeli dalej pozwolą cierpieć niedostatek bladym synom bogów, wiedział zaś z kalendarza, że wieczorem 29. lutego 1504 ma nastąpić zaćmienie księżyca. Zaledwie wzniosła się w górę zaciemniona tarcza miesiąca, wnet do koła hiszpańskich statków zgromadził się żałośny chór krajowców, którzy zaklinali admirała, aby odwrócił gniew bóstwa. Ale Kolumb dopiero wtedy oznajmił im, że prośba ich została wysłuchana, gdy światło księżyca zaczęło zyskiwać na sile, i odtąd zabobonni Indyanie nie przestawali zaopatrywać Hiszpanów w żywność.

Nareszcie pewnego wieczora ukazała się pod Santa Gloria mała karawela pod dowództwem Diega de Escobar, któremu z powodu jego udziału w zaburzeniach na Española admirał był niechętny. Właśnie dla tego wysłał go niedowierzający Ovando, chcąc, aby Diego de Escobar nie wylądowując, wywiedział się tylko o położeniu admirała. I to wysłanie nastąpiło dopiero wtedy, gdy powszechne oburzenie na namiestnika odezwało się z ambony. Pedantycznie wywiązał się Escobar ze swego polecenia; przywiózł wiadomość, że Diego Mendez wkrótce większy okręt przyśle, oddał list namiestnika, na który Kolumb „z niewysłowioną radością“ odpisał, i zostawiwszy admirałowi, jako podarek od Ovandy, beczułkę wina, odpłynął z powrotem.

Kolumb usiłował teraz pojednać się z buntownikami, którym kazał przesłać wesołe wiadomości Escobara i resztki wina. Ale bracia Porras odrzucili wszelką zgodę, ogłosili zjawienie się carabelonu za czarodziejskie oszustwo admirała, i gotowi byli uspokoić się dopiero wtedy, kiedy ci, co zostali wiernymi, podzielią się wszystkim mieniem z odstępcami i kiedy admirał przyrzecze sprzysiężonym, iż da im osobny okręt dla powrotu, lub w razie, gdyby jeden tylko nadesłano, to oddzielną połowę dla nich przeznaczy. Ponieważ te zuchwałe wymagania odrzucono, więc buntownicy udali się do miejscowości Mayma, aby tam opanować okręta, gdy te nadpłyną. Adelantado wyruszył naprzeciw nich z 50 zbrojnymi ludźmi, którzy, jakkolwiek pacyenci, mieli przewagę nad przeciwnikami z powodu swej palnej broni. Przy pierwszym spotkaniu padło 5 czy 6 sprzymierzonych. Francisco de Porras pchnięciem włóczni rozłupał tarczę Adelantada aż do rękojeści i zadrasnął mu rękę, ale zanim miał czas dobyć szpadę, został opadnięty i schwytany, poczem jego ludzie rozbiegli się. Don Bartolome chętnieby był ich ścigał ze szpadą w rękę, ale przeszkodzili temu jego oficerowie, nie chcąc daremnego krwi rozlewu. Nie zapomnieli też hiszpańscy dziejopisarze 16 stulecia, że w tej utarczce po raz pierwszy w Nowym świecie Hiszpanie przelewali krew hiszpańską.

Następnego dnia ułaskawił admirał zwyciężonych, gdy ci pełni skruchy wśród straszliwych zaklinań się przysięgli mu wierność. Gdy wreszcie nadjechał okręt, najęty przez Diego Mendeza, a którym dowodził Diego de Salcedo, to wszyscy przyjaciele i nieprzyjaciele siedli nań 28 czerwca 1504 i dojechali do Santo Domingo 13. sierpnia. Przedtem jeszcze admirał w słodkich, pochlebnych słowach uspokajał Ovandę pod względem swego przybycia

Namiestnik wyszedł uroczyście z obywatelstwem naprzeciw Kolumba, oddał mu swój pałac do rozporządzenia, i okazywał mu wszelkie względy. Ovando, który, jak wszyscy Hiszpanie, nie był wolnym od chętki dać uczuć swoją władzę urzędową, kazał uwolnić więzionego Franciszka de Porras, ponieważ w jego juryzdykcyjnym obwodzie ustawała sądownicza władza admirała nad oficerami i służbą eskadry. Dał nawet do zrozumienia, że chce stronników Kolumba pociągnąć do odpowiedzialności za krew pod Santa Gloria przelaną. Skończyło się jednak tylko na pogroźkach, a prędki odjazd admirała 12. września 1504 zakończył wszystkie niesnaski**). Raz jeszcze miał chory admirał przebywać wszystkie okropności atlantyckiej przeprawy, wśród niebezpieczeństw której Adelantado okazał swoją wielką zdolność żeglarską i w pierwszych dniach listopada 1504 doprowadził statek szczęśliwie do Kadyksu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

ŚMIERĆ KRZYSZTOFA KOLUMBA.

Królowa Izabella umiera. Kolumb nie jest w łaskach u Filipa. Dzień jego śmierci. Jego zasługi. Jego słabe strony. Jego błędne mniemania. Jego kości. Losy jego syna. Wygaśnięcie męskiej linii. Proces spadkobierców.

Admirał przybywszy do Hiszpanii, oddał obu braci Porras indyjskiemu urzędowi w Sewilli, atoli ku wielkie-

*) W stronnictwie przeciwnem znajdował się i bohaterski sternik Pedro de Ledesma, który tak był pokryty ranami, że chirurg w pierwszych ośmiu dniach po utarce coraz nowe znajdował na nim uszkodzenia ciała. Las Casas. II. cap. 35.

**) Że Ovando ustąpił, widać z tego, że admirał powiózł okutego Franciszka de Porras do Kastylji. Były na Espanioli, podobnie jak i w Hiszpanii, dwa stronnictwa, jedno za, drugie przeciwko braciom Kolumbom, a że admirał ze swej strony nie zamykał ucha na podszezwania przeciw Ovandzie, okazuje się to ze słów jego do Don Diega (Navarr. I, p. 243): że „Ovando jest w najwyższym stopniu nielubiany na wyspie“, co nie było prawdą, jak świadczy Las Casas.

mu zmartwieniu admirała uwolniono ich, ponieważ akta śledcze były jeszcze w drodze. „Jeżeli Ich Wysokości, pisze on do syna 1. grudnia, nie ukarzą ich surowo, to nie wiem, czy kto potem zdoła przyjąć w królewskiej służbie dowództwo nad eskadrą“.

Isabella w ostatnich czasach w rozmaity sposób starała się osłodzić admirałowi jego smutne położenie; i tak 15. listopada 1503 r. mianowała młodszego brata admirała, Don Diega, continem swego domu, i nadała mu 8. lutego 1504 prawo hiszpańskiego obywatelstwa, której to łaski oszczędnie udzielano. Był to więc ciężki cios dla Kolumba, gdy ta nadzwyczajna kobieta, zwierciadło cnoty ówczesnego chrześcijaństwa, jak ją Piotr Męczennik nazywa, umarła 26. listopada, i admirał nie mógł jej widzieć po przyjeździe. Ferdynand, natura chłodniejsza, nie był zdolny we wspaniałomyślnem uniesieniu popęlić politycznego błędu i admirałowi, z którego oddaleniem się kolonie zaczęły używać największego spokoju i pomyślności, napowrót oddać władzę namiestnika. Wprawdzie admirał, stanąwszy w maju 1505 na dworze królewskim w Segowii, nie mógł się uskarżać na brak zewnętrznych oznak łaski, i jak dawniej, tak i teraz otrzymywał swoją część dochodów koronnych z Nowego świata. Ale gdy wydanie wyroku dotyczącego roszczeń Kolumba do wicekrólewskiej władzy poruczono wykonawcom testamentu królowej, a między nimi okazała się różnica zdań, to Ferdynand odroczył załatwienie tej sprawy do czasu przybycia swej córki Juany, cierpiącej pomieszanie zmysłów, i jej męża, Filipa burgundzkiego. Kolumb przypominał teraz królowi jego pisemne przyrzeczenie z 14. marca 1502, na co Ferdynand mu zaproponował, aby odstąpił od swoich roszczeń za pewne hrabstwo w Kastylji. Ale na podobne załatwienie sprawy nie chciał się zgodzić Kolumb, dla którego było to sprawą honoru, aby godność wicekrólewską utrzymać

w rodzinie, i gotów tylko był się jej rzec na rzecz swego syna, Don Diega. Nie chciał się też zadowolnić dziesięciu procentami, które mu z czystego zysku koronnego wydzielano, ale żądał mieć jak przedtem dziesięcinę ze wszystkich zdobyczy Hiszpanów i ósmą część zysku wszelkiego hiszpańskiego wywozu*). Przy wymaganiach tych jednak nie myślał się upierać. Kilkakrotnie powtarza synowi, że trzeba dużo żądać, ażeby coś można było spuścić; na ustępstwa będzie zawsze dość czasu, niechno tylko korona główną rzecz zrobi, to jest zwróci urząd wicekrólewski.

Dnia 28. kwietnia 1506 wylądowali nareszcie w Coruña nowi monarchowie hiszpańscy, Filip i Juana, na których nowe, ale nieuzasadnione pokładał nadzieje. Cierpienia, fizyczne wzmogły się i nie pozwoliły mu odbywać podróży, więc przez Adelantada złożył hołd Filipowi. W kilka dni później, 19. maja, czując zbliżającą się śmierć, potwierdził przed notaryuszem swój dawniejszy testament z 25. sierpnia 1505, który był równobrzmiący z ostatnią wolą admirała z 1. kwietnia 1502, napisaną przed czwartą podróżą. W dzień Wniebowstąpienia 1506 w Valladolid oddał admirał ducha, te ostatnie słowa Zbawiciela wymawiając: *In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum.*"

Wielkim został Kolumb dzięki burzliwemu prądowi epoki, dążącemu do rozszerzenia granic starożytnego

*) W listopadzie 1504 przywieziono udziału koronnego 40,000 pesos, z których 4000 pesos wypłacono Kolumbowi. „Cóż znaczą te 40,000 pesos? pisze on do syna. Powiadam ci, że gdyby mi szatan nie był przeszkodził, to w mojej mocy leżało, kiedy mię z Indyi wywleczono, przesłać sumy, w obec których znikłyby 40,000 pesos. Przysięgam ci, (ale tylko tobie to mówię), że strata dochodów, przyznanych mi przez Ich Wysokości, każdego roku wynosi do 10 milionów (maravedis)“. W innym liście robi uwagę: przyznają mi wprawdzie ósmą część handlowego zysku, ale ta ósemka jest złudną (la ochaya es nada) od czasu, jak każdy, kto chce, może wywozić towary do Nowego świata. „Dziesięcinę, pisze dalej, otrzymuję tylko z dochodów koronnych, a tymczasem powinienem ją mieć od złota i innych produktów i od wszelkiego wywozu i przywozu po odtrąceniu kosztów (Navarr. I. p. 339).

świata, które stawały się już za ciasne. Prąd ten, który się objawiał zmysłową tęsknotą do Wschodu i żądzą jego bogactw, ożywiał wszystkie ludy żeglarskie jeszcze przed urodzeniem się Kolumba i nie wygasł po jego śmierci. Podróż Cabrala naucza nas, że Brazylia, a zatem Ameryka, prędzej czy później odkrytą-by była przez Portugalczyków, płynących do Indyi wschodnich. Ale żebyśmy ten wypadek z jego uniwersalnemi następstwami mogli zawdzięczać nie zawstydzającej pomocy trafu, ale *obmyślanemu czynowi*, dla tego potrzeba było, aby się w wielkim żeglarzu bystry zmysł spostrzegania zjawisk przyrody połączył z bujną siłą wyobraźni, która rzeczy najoddalsze i często nie wiążące się z sobą, umiała spoić w zadziwiające przeczucia i cudowne błędy.

Tylko żywy umysł, dla którego brzask prawdy potęgował się do znaczenia samejże prawdy, mógł siłą wewnętrznego rozmyślenia odsłonić to, co było ukryte. Jeżeli w nim urojenia trzymały się równie silnie jak wielkie przeczucia, to ta mieszanina prawdy i błędu była potrzebną, żeby go nie zbiły z tropu zarzuty uczonej inteligencji owego czasu, żeby go nie zniechęcało, pomimo pogardliwej odprawy, włączenie się od jednego dworu europejskiego do drugiego ze wspianiałym projektem znalezienia zachodniej drogi do Indyi, to jest nieświadomie do ukrytego świata. Świadek ostatniego boju Hiszpanów z Arabami, płonął on chęcią walki za kościół, i miał nadzieję, że monarchowie jego, wzbogaceni atlantyckiem złotem, przedsięwzięwą zdobywczą wyprawę do Ziemi Świętej. Coraz silniej opanowywany religijnym fanatyzmem, poczytywał on dzieło swoje za cud, wewnętrzną pracę swej myśli za powiew boskiego tchnienia, siebie samego za wykonawcę boskich wyroków. „Powtarzam to, powiada w swoich prociach, że przyczyną udania się indyjskiej wyprawy nie był ani mój bystry umysł, ani matematyka, ani mapy

świata; to co się stało, stało się dla tego, że Jezajasz przepowiedział *). W gorączce na wybrzeżu Veragua zdawało mu się, że słyszy boskiego posłańca, który go po-krzepiał wiadomością, iż wszystkie jego cierpienia wyryte są na marmurowym kamieniu. Zastanawiał się też nad słowami chóru w tragedyi Seneki „Medea“, proroczącego o mających kiedyś nastąpić oceanicznych odkryciach **). Przed śmiercią swoją zbierał dowody, że w r. 7000 po stworzeniu czyli podług alfonsyńskiej chronologii 1656 po Chrystusie ziemia ma zginąć ***). Głęboko wewnątrz poruszone umysły rzadko kiedy posiadają dar potężnego przyciągania ku sobie tego, co ich otacza. Zbliżenie się do nich jest trudne, a ich obecność nie wywołuje towarzyskiego usposobienia. Tem się po części objaśnia, dla czego Kolumb nie znalazł fanatycznych stronników między hiszpańskimi awanturnikami, którzy dla innych dowódców w wierności posuwali się do zdrady stanu, a w odwadze do szaleństwa.

Posiadając pisemną po nim pozostałość i mogąc bliżej się przypatrzeć wielkiemu człowiekowi, ze smutkiem odkrywamy, że brakło mu uszanowania dla praw swoich współbliźnich. Wzorem Portugalczyków przywozi on dra-pieżne psy do Nowego świata, którego pierwotną ludność

*) Navar. II. p. 265. Bez wątpienia wielkie wrażenie musiała wywrzeć na umyśle admirała paralela, którą kataloński kosmograf Mosen Jayme Ferrer przeprowadził w liście swoim z 5. sierpnia 1495, paralela pomiędzy admirałem a Św. Tomaszem, których Opatrzność wysłała, jednego na zachód, drugiego na wschód.

**) Venient annis saecula seris
Quibus oceanus vincula rerum.
Laxet, et ingens pateat tellus,
Tethysque novos detegat orbes,
Nec sit terris ultima Thule.

Seneca. Medea, Act. II.

***) Obszernie rozwija to twierdzenie w pewnej, fragmentarycznie pozostawionej rozprawie, którą zwykle nazywają „księgą proroczą“, a z której wyciągi znajdują się u Navarrete (tom. II. Doc. Nr. 140).

poczytuje za prawdziwe bogactwo kraju, ich wolność za niezajęte mienie, za własność pierwszego znalazcy. Tę ludność tresując do pańszczyźnianej roboty w plantacjach i i przy wydobywaniu złota, spowodował zupełne jej wygaśnięcie. Ale jeżeli dziś jeszcze tak częstych dopuszczają się wykroczeń przeciw jasnemu prawu słabszych ludów, to trzeba pobłażliwie sądzić w tej mierze człowieka z 15. wieku, i boli nas to tylko, że nie należał on do tych niewielu szlachetnych duchów swego czasu, którzy, jak Izabella lub zacni Dominikanie na Espanioli, występowali i cierpieli w obronie praw ludzkich pierwotnych mieszkańców. Nie możemy się też uwolnić od przykrego uczucia, gdy na każdej stronicy pism wielkiego człowieka, nawet wśród pathosu religijnej gorączki, nawet wśród zachwyty nad świeżą jakby glorią jaśniejącymi dziełami zachodnioatlantyckiego stworzenia, wszędzie jednym słowem znajdujemy rojenia o monopolach, fiskalne złudzenia, które w skutek nienasyconej chciwości przygniatały umysł jego. Jeżeli to było następstwem nie zupełnie niezasłużonej katastrofy, że Kolumb wyrwany został z dusznej sfery trosk poziomych i mógł powrócić z pamiętnej swej ostatniej podróży do swego zaniedbanego powołania odkrywcy, to przecież na świetne panowanie Ferdynanda i Izabelli zawsze cień będzie padał, że człowiek, który świat darował Kastylii, umarł z gorzkim przeświadczeniem, iż służył niewdzięcznym monarchom.

Ale dzięki śmierci uszedł przynajmniej Kolumb ciosu, któryby może trudniej mu znosić było, niż kajdany Bobadilli. Dozwolono mu było położyć się do grobu z tą świetną mrzonką, że Kuba jest częścią chińskiego państwa, Espaniola wyspą Zipangu, i że pomiędzy morzem karybskim a zatoką bengalską nie ma całej półkuli wodnej, ale tylko przesmyk lądowy. Odkrywca Ameryki umarł nie przeczuwając, że odkrył nową część świata.

Odległość pomiędzy Jamaiką a Hiszpanią uważał za trzecią część ziemskiego koła równoleżnikowego i dla tego wołał: „Ziemia nie jest tak wielką, jak pospólstwo mnie- ma!“ Powiększenie świata o nowy ląd stały nie leżało w pomyśle Kolumba, i czyn jego straciłby wiele w jego oczach, gdyby się przekonał, że za pokonanym oceanem drugi się jeszcze świat morski znajduje, tym sposobem bowiem zadanie swoje połączenia Zachodu ze wschodnimi krajami kultury widziałby tylko w połowie spełnione.

Zwłoki admirała złożone naprzód zostały w klasztorze Kartuzów Santa Maria de las Cuevas w Sewilli, gdzie je król Ferdynand uczcił napisem:

A Castilla y à Leon

Nuevo mundo dió Colon.

Potem przeniesiono je do katedry w Santo Domingo, od roku zaś 1796 (19. stycznia) spoczywają w katedrze hawańskiej, Hiszpanie bowiem zabrali je z sobą z Haiti, gdy tę wyspę opuszczali. Gładka płyta marmurowa pokrywa dziś kości wielkiego człowieka.

Rok śmierci Diega Colon, najmłodszego brata, nie jest dokładnie znany. Nie pozostawił on potomków podobnie jak i starszy brat jego Adelantado. Bartolome, któremu król Ferdynand 10. lipca 1511 potwierdził posiadanie małej wyspy Mona pomiędzy Haiti i Puertorico; wyspa po śmierci Bartoloma wróciła do korony. Adelantado umarł na Espanioli 12. sierpnia 1514, właśnie w czasie, kiedy zamierzano mu poruczyć kolonizacyą Veragwy. Don Fernando, uczony syn odkrywcy, towarzyszył swemu bratu 1509 do Nowego świata, przyoblekł potem duchowną suknię i umarł 12. lipca 1539 w Sewilli, zostawiając wielką bibliotekę z 12,000 tomów.

Drugi admirał indyjski, Don Diego Colon, tymczasem odziedziczył z wszystkich praw i przywilejów ojca, tylko prawo skarżenia korony. Proces nie został

rozstrzygnięty za jego życia. Królewscy adwokaci na podstawie ustawy państwowej z r. 1480 dowodzili, że korona nie ma prawa dziedzicznie nadawać sędziowskich urzędów, a zatem i wicekrólewskiego. Jednakże trybunał w Coruña przyznał w r. 1520 skarżącemu następstwo na godność wicekrólewską i dziesięcinę z dobywanego w wicekrólestwie złota. Po wytoczeniu tego procesu w r. 1508 ożenił się Don Diego z Maryą z Toledo, krewną Don Fadrique, księcia Alby, który był siostrzeńcem Ferdynanda Katolickiego, i wówczas właśnie cieszył się największym zaufaniem królewskim. Temu wysokiemu powinowactwu zawdzięcza Don Diego, że jeszcze przed rozstrzygnięciem procesu otrzymał godność namiestnika Antyllów. W towarzystwie braci 9. lipca 1509 odbył wjazd do Santo Domingo, gdzie się pojechał z odjeżdżającym Ovando i z niejednym skruszonym przeciwnikiem swego ojca. I jemu ciągle dokuczała podejrzliwość monarchów, którzy bez strachu nie mogli spoglądać na władzę wicekrólewską, tem bardziej, że stronnictwa: royalistowskie i wicekrólewskie ciągle się ogadywały przed dworem.

Naprzód wyjęto z pod władzy Don Diega warownie wyspy i przydano mu królewską kancelaryą w Santo Domingo, jako najwyższą izbę sądową, która w razie jednomyślności mogła zawiesić każde rozporządzenie wicekróla. Resztę politycznego wpływu odebrało od niego mianowanie królewskiego „rozdawacza Indyan“, który podług upodobania mógł hiszpańskim osadnikom dawać lub odbierać robociznę krajowców; jedyna to była łaska, za pomocą której mógł wicekról dotychczas pozyskiwać i zapewniać sobie stronników. I potem jeszcze niepokoiła drugiego admirała urzędowa zawiść królewskiego skarbnika, Miguela de Pasamonte. Kiedy Don Diego chcąc używać świeżego powietrza wybudował sobie na wysokim miejscu pałac o wielu oknach, podejrzewano go o zbudowanie warownego

zamku. Od 1515 do 1520 bawił drugi admirał w Hiszpanii, dla odparcia zarzutów, które mu oszczercy robili i dla przyspieszenia procesu. Proces ten od czasu odkrycia złotego wybrzeża w zatoce Daryjskiej wziął szczególny obrót, Don Diego bowiem utrzymywał, po części mylnie, że te okolice odkryte były przez jego ojca. Obrońca korony kazał zatem przesłuchiwać wszystkich uczestników odkryć i innych świadków, i tym przesłuchaniom w fiskalnym procesie zawdzięczamy nieocenione wiadomości z owych czasów.

Powróciwszy do Espanioli, Don Diego ściągnął na siebie w r. 1523 niechęć cesarza czyli indyjskiej rady, z powodu poczynienia nielegalnych zmian w ustawodawstwie kolonii, i dla zażegnania gromadzącej się burzy musiał pod koniec 1523 powtórnie udać się do Hiszpanii. W r. 1524 uzyskał posłuchanie u Karola V. w Wiktorii i tak szybko ujął sobie tego monarchę, że przez jakiś czas myślano nawet o tem, aby Don Diega mianować namiestnikiem Meksyku na miejsce podejrzanego Hernana Corteza. Już chory odjechał do Sewilli, aby utwierdziwszy się już w łasce dworu powrócić do swego wicekrólestwa, gdy go śmierć zaskoczyła w drodze w Montalban 23. lutego 1526. Była to tem dotkliwsza dla rodziny strata, że proces ze skarbem nie był jeszcze ukończony, a syn i spadkobierca Don Diega, Don Luis, miał dopiero lat sześć. To zmusiło rozumną matkę, Doñę Maryą de Toledo, do zawarcia z koroną układu. W skutek tego Don Luis za rzeczenie się spornych pretensyi mianowany został księciem Veragwy, margrabią Jamaiki, indyjskim admirałem a potem i generalnym kapitanem Espanioli i ostatecznie zaspokojony dziedziczną rentą 10,000 dukatów, skarb zaś państwa podjął się wypłacania pensyi siostrze.

Rozwiązły Don Luis umarł 1572, a ponieważ został tylko nieślubnego syna, więc jako czwarty admirał

nastąpił po nim syn jego brata, Cristobala, Don Diego II, ze śmiercią którego w r. 1576 wygasła męska linia domu Kolumba. W r. 1578 rozpoczął się słynny proces o następstwo na majorat. Jako strony wystąpili: Don Cristobal de Cardona, admirał Aragonii, syn Maryi, córki drugiego admirała a prawnuk odkrywcy; Doña Franciszka Colon, wnuczka drugiego admirała, Don Diega I, córka Don Cristobala Colona a siostra ostatniego admirała, Don Diega II; Don Alvaro de Portugal, hrabia de Gelves, syn Doni Izabelli Colon, wnuczki odkrywcy a córki drugiego admirała Don Diega I; Doña Juana Colon, wdowa po kapitanie gwardyi, Don Luisie de la Cueva, z rodu Albuquerqueów, wnuczka odkrywcy, a córka drugiego admirała Don Diega I; klasztor San Quiriaco w Valladolid, w imieniu zakonnicy Doni Maryi Colon, córki trzeciego admirała Don Luisa Colon; w końcu Don Cristobal Colon, nieślubny syn ostatniego admirała. Oprócz tych wystąpili jeszcze z pretensjami dwaj Włosi, jeden, pan dziedziczny na Cuccaro, Baldassare Colombo, który utrzymywał, że ojciec odkrywcy, Domenico Colombo, był synem Sancii Colombo, hrabiego Cuccaro; drugi, niejaki Bernardo Colombo z Cugureo, który się w dziwny sposób chwalił, iż pochodzi od Bartłomieja Kolumba. Nareszcie 2. grudnia 1608 hiszpańskie sądy rozstrzygnęły proces, wykluczając od prawa do spadku nieprawych potomków i dalekich pretendentów z Włoch, a wynosząc do godności admirała i Adelantada indyjskiego, księcia Veragwy i Vegi i margrabiego Jamaiki Don Nuña portugalskiego, hrabiego Gelves, z domu Braganzę, wnuka Doni Izabelli Colon a prawnuka odkrywcy, on bowiem po dopuszczeniu linii żeńskiej do następstwa na majorat i po śmierci Don Alvara, almiranta Aragonii, był najbliższym męskim spadkobiercą.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

JAK POWSTAŁA NAZWA AMERYKI.

Vespucci hiszpański sternik rządowy. Rok śmierci. Spadkobiercy. Literacka działalność. Sprostowane ustępy w jego pismach. Waldseemüller. Niemieczeni uczeni wymyślają nazwę Ameryki. Najstarsza mapa z tem imieniem. Późniejsza popularność tej nazwy.

W rok po śmierci Kolumba w pewnem ulotnem pi-semku zaproponowano nazywać Nowy świat Ameryką. Ażeby się przygotować do tego niefortunnego pomysłu, musimy nieco bliżej śledzić za krokami Ameriga Vespucci. Dnia 18. czerwca 1504 Florentczyk, po swojej drugiej brazylijskiej wyprawie i swej ostatniej podróży, znów przybył do Lizbony. Dnia 5. lutego 1505 znajdujemy go w Sewilli, dokąd udał się na wezwanie kastylskiego dworu, opuszczając służbę portugalską dla zupełnie nieznanych powodów, w skutek czego podejrzewany był, jakkolwiek bez dostatecznych dowodów, że służąc na portugalskich eskadrach był szpiegiem kastylskiej korony. W Sewilli spotyka się z admirałem, który ufając jego wstrzemięźliwości języka, opowiada mu poufnie wszystkie swoje nieporozumienia z koroną. „Vespucci“, są własne słowa Kolumba, któremi poleca Florentczyka synowi, „okazywał się zawsze dla mnie uprzejmym. Zacnemu temu człowiekowi szczęście nie sprzyjało, jak wielu innym. I on nie otrzymał należnej nagrody za swoje trudy.“ Król Ferdynand, nie zapominając o Florentczyku, obdarzył go 11. kwietnia pewnym prezentem, a król Filip nadał mu 24. kwietnia 1505 prawo hiszpańskiego obywatelstwa. W następnych latach chciano go użyć do nowej wyprawy odkrywczej pod dowództwem Vicente Yanez Pinzona.

W tym celu Vespucci udał się do Sewilli i tam zajmował się wyekwipowaniem trzech okrętów, które miały szukać „zachodniej drogi morskiej do krajów korzeni“. Eskadra miała odpłynąć 1506, ale później do czego innego była użyta. Dnia 22. marca 1508 Vespucci mianowany został sternikiem państwa z bardzo znaczną pensją roczną, 200 dukatów; był to nowo-utworzony a dla żeglugi bardzo pożyteczny urząd. Na tym urzędzie miał Vespucci egzaminować sterników, zamierzających udać się do Indyi zachodnich, o ile umieją używać kwadranta i astrolabium, i tylko tacy co pomyślnie przeszli tę próbę, mogli nadal uzyskać stopień sternika. Zarazem polecono sternikowi państwa w patencie, aby nakreślił mapę nowych odkryć, która pod tytułem *Padron real* miała być jedynie ważną, i wszystkie okręta mieć ją były powinny. Tylko Vespucci miał prawo i obowiązek wносить do map podług opowiadań żeglarzy nowe geograficzne określenia. Tym sposobem chciano zapobiedz niebezpieczeństwom i niedogodnościom, które wypływały z zamętu sprzecznych z sobą map morskich, które każdy odkrywca dotychczas na los szczęścia puszczał w obieg. Vespucci piastował ten zaszczytny i ważny urząd, który zawdzięczał swoim matematycznym wiadomościom, aż do śmierci 22. lutego 1512. Następcami jego na urzędzie sternika państwa byli: odkrywca Juan Diaz de Solis i wielki Sebastyan Cabot; co może służyć za dowód, jak wysoko ceniono w Hiszpanii zdolności Florentczyka. Vespucci nie zostawił po sobie dzieci, tylko wdowę, Maryą Cerezco.

Nie temu jednak urzędowemu stanowisku, ale głównie pisarskiemu uzdolnieniu zawdzięcza Vespucci wielką popularność swego imienia. Najdawniejszy jaki dotychczas znany, własnoręczny jego opis podróży morskiej, pracy, jak wszystkie oryginały Vespucciego, po włosku napisanej, przesłał on 18. lipca 1500, w cztery tygodnie po powrocie Hoje-

dy, uczonemu Lorenzo di Pierfrancesco dei Medici w Paryżu. Listu tego nie znali współcześni, równie jak i drugiego listu, który Vespucci pisał do tegoż samego Florentczyka 4. czerwca 1501, znajdując się u Zielonego przyłódka na portugalskiej eskadrze, wysłanej w podróż do Brazylii. Z tej podróży powraca do Lizbony 7. września 1502, i zanim mógł się dowiedzieć o śmierci Lorenza Medici, który umarł 10. maja 1503, opisuje mu przed drugą swoją brazylijską wyprawą, na którą wybrał się w czerwcu 1503, przygody swego życia od 4. czerwca 1501 do 9. września 1502. Ten list do Medyceusza przełożony został na łacinę 1503 przez Jana Lambert w Paryżu, 1504 drukowany w Augsburgu, 1505 w Strasburgu, potem przełożony na język niemiecki, a z łacińskiego tekstu na włoski. Nareszcie w rok po śmierci Kolumba ukazał się w St. Dié w Lotaryngii słynny zbiór listów Vespucciego do messer Pietro Soderini, demokratycznego gonfaloniera Florencyi, przełożony jakoby z francuskiego na łacinę pod tytułem „*cztery wyprawy morskie Vespucci'ego*“ (Quatuor Navigationes). Z tego tekstu po raz pierwszy dowiadujemy się, że Vespucci dwie wyprawy przedsiębrał na hiszpańskich okrętach, i że w tak zwanej pierwszej podróży miał odkryć stały ląd Ameryki na rok przed trzecią wyprawą Kolumba. Co w liście do Lorenza di Pierfrancesco dei Medici z 18. lipca opowiedziane jest jako przygody jednej tylko pierwszej podróży Vespucciego do Ameryki, to „cztery wyprawy“ dzielą to pomiędzy dwie podróże, wcześniejszą i późniejszą. W każdym więc razie popełniono literackie fałszerstwo, ale zachodzi pytanie, czy stało się to z woli Vespuccie'go, czy też jest to wyłączną winą niedbałych wydawców jego listów. Jest bowiem rzeczą niemożliwą, aby Vespucci mógł przedsiębrać podróż do Nowego świata w przeciągu czasu od 10. lub 20. maja 1497 do połowy października 1498

lub 1499, gdyż od 12. stycznia 1496 do listopada 1498 przebywał w Sewilli. Żeby to sam Vespucci miał dopuścić się umyślnego chronologicznego fałszerstwa, wydaje się to rzeczą bardzo nieprawdopodobną, gdyż w takim razie postaralby się był o oczyszczenie tekstu z grubych sprzeczności, które na każdym kroku się tam spotyka, a nie mógł przytem przywłaszczać sobie sławy odkrywcy, gdy otwarcie wyznaje, że w wyprawach pod flagą hiszpańską nigdy nie dowodził okrętem. Jeżeli nie chcemy odegrać roli kryminalnego sędziego, który gwałtem chce z aktów podług z góry powziętego planu wyczytać zbrodnię, to musimy strzedz się wydawania hańbiącego wyroku na Vespucciego, wyroku, który mógłby polegać tylko na drukach włoskich i lotaryngskich z popsutymi tekstami i z tak rażącymi sprzecznościami, że widocznie tam jest jakaś cudza ręka, która zmianami i wprowadzeniem obcej treści zeszpecila tekst pierwotny. Współczesny Piotr Męczennik w zaszczytnych słowach wyraża się o Vespuccim, syn zaś admirała, Don Fernando, ani źle, ani dobrze o nim wspomina. Jeżeli w Hiszpanii za życia Ameriga i wkrótce po jego śmierci opisy dwóch pierwszych jego podróży uchodziły za apokryficzne, przynajmniej pod względem chronologii, to jednak dopiero w 40 lat po śmierci Vespucciego pierwszy Las Casas posądza go o umyślne fałszowanie. Jeżeli zaś i dziś jeszcze imię Ameriga nie jest zupełnie oczyszczone od podejrzenia, to winą tego jest dwuznaczna niedbałość jego w podawaniu dat, jakkolwiek i tu mogli wiele złego narobić tłómacze, pierwotną niedokładność jeszcze w większą wprowadzając gmatwaninę. Vespucci napisał swoje cztery wyprawy dopiero po powrocie z drugiej wyprawy brazylijskiej; napisał na żądanie króla Ferdynanda jeszcze w Lizbonie, ale prawdopodobnie już po śmierci Izabelli, a zatem po 26. listopada 1504 a przed 5. lutego 1505. Jeszcze przed opuszczeniem

Lizbony, zachęcony przez swego przyjaciela i ziomka, Benvenuta Benvenuti, przesłał odpis tych opowiadań gonfalonierowi florenckiemu, Piotrowi Soderini, z którym, gdy był dzieckiem, uczył się razem u swego wuja Giorgia Antonia Vespucci. Ten to tekst z towarzyszącym mu listem do Soderiniego, zaraz potem wyprawionym z Lizbony, jedynie dochował się do naszych czasów, i najwcześniejszą jego redakcją, jaką posiadamy, jest łacińskie wydanie z r. 1507, które jest przekładem nie z oryginału, ale z francuskiego tłumaczenia.

Wydawcą tego najstarszego zbioru czterech opowiadań był profesor w gimnazjum St. Dié (Sancti Deodati oppidum) w departamencie Wogezów, rodem z Fryburga w Bryzgowii, zapisany na tamtejszym uniwersytecie jako student 7. grudnia 1490 roku. Nazywał się Martin Waldseemüller, i to rodzinne nazwisko swoje, stosując się do ówczesnego narowu, przekabacił na Hylacomilus. Ściśle zaprzyjaźniony z dwoma geografami, Philesiusem Ringmannem i z przeorem Kartuzów, Jerzym Reischem, swoim współziomkiem, pilnie zajmował się kosmografią i pracował nad wydaniem Ptolomeusza (Strassburg 1513), przedsięwziętem na koszt księcia René II. Ten Hylacomilus, który nie zostawał ani w bezpośrednich ani w pośrednich stosunkach z Vespuccim, nawiasowo zaproponował w małej swej rozprawce o matematycznej geografii, którą poprzedził łacińskie wydanie „Czterech podróży morskich Vespucciego“, aby opisane przez Florentczyka kraje nazywać Ameriga, podczas gdy sam Vespucci w pismach swoich kilkakrotnie powtarza, że owym odkryciom należy się nazwa *Nowego świata*. „Czwartą część świata“, mniema Hylacomilus, „możnaby słusznie nazwać Ameriga lub America, jakoby ląd Ameriga (Vespucciego), ponieważ przez niego został odkryty.*)

*) Cosmographiae introductio cum quibusdam geometriae ac astronomiae principiis. St. Dié. Maj 1507. cap. VII.

Listy Vespucciego miały niezwykajne powodzenie. Za pierwszym wydaniem, które wyszło 7. maja 1507, nastąpiło we wrześniu drugie, trzecie ukazało się w Strasburgu 1509, a i późniejsze przedruki i tłumaczenia, które tylko w samych Niemczech wychodziły, były nader liczne. Przed rokiem 1507 z wiadomości o odkryciach drukowany był tylko list Krzysztofa Kolumba i list Ameriga Vespucci. Łatwo więc pojąć, z jaką ciekawością rozkupowywano pierwszy opis Nowego świata. Do popularności przyczyniał się nie mało i sam ton opowiadania, dość nieobyczajny dla naszego smaku, gdyż Vespucci opisując krajowców południowej Ameryki, nie pomijał nawet ich funkcji zwierzęcych. Tym sposobem imię Vespucciego nabrało w Niemczech rozgłosu, który nie odpowiadał jego zasługom; w Niemczech też naprzód utarła się dzisiejsza nazwa Nowego świata, gdyż już w 1509 i 1515 znajdujemy w ulotnych pisemkach niemieckich wiadomość o Vespuccim, jako o tym, który odkrył Amerykę. Podobne pisemka mogły być jeszcze za życia Vespucciego znaleźć drogę do Hiszpanii, i dla tego niedawno z nowym wystąpiono zarzutem*) przeciw Florentczykowi, że się nie zastrzegł przeciw zaszczytowi, który mu się nie należał. Ale do tego potrzebną była literacka jawność, której nie było w 16. stuleciu, a i w takim razie zarzut podobny silniej mógł dotyczyć synów admirała i jego przyjaciela Piotra Męczennika, którzy nie uznali za rzecz godną trudu występować przeciw błędom niemieckiej prasy.

Dopiero po śmierci Vespucciego nazwa Ameryki uznana została w Niemczech przez szwajcarskich i austriackich uczonych, jak to ma miejsce w listach Vadianusa (1514—1518), które wydrukowane były w Wiedniu wraz z wydaniem Pomponiusza Meli. Ale ta niewłaściwa nazwa

*) Vicomte de Santarem w *Recherches historiques sur Améric Vespuce*. Paris 1848.

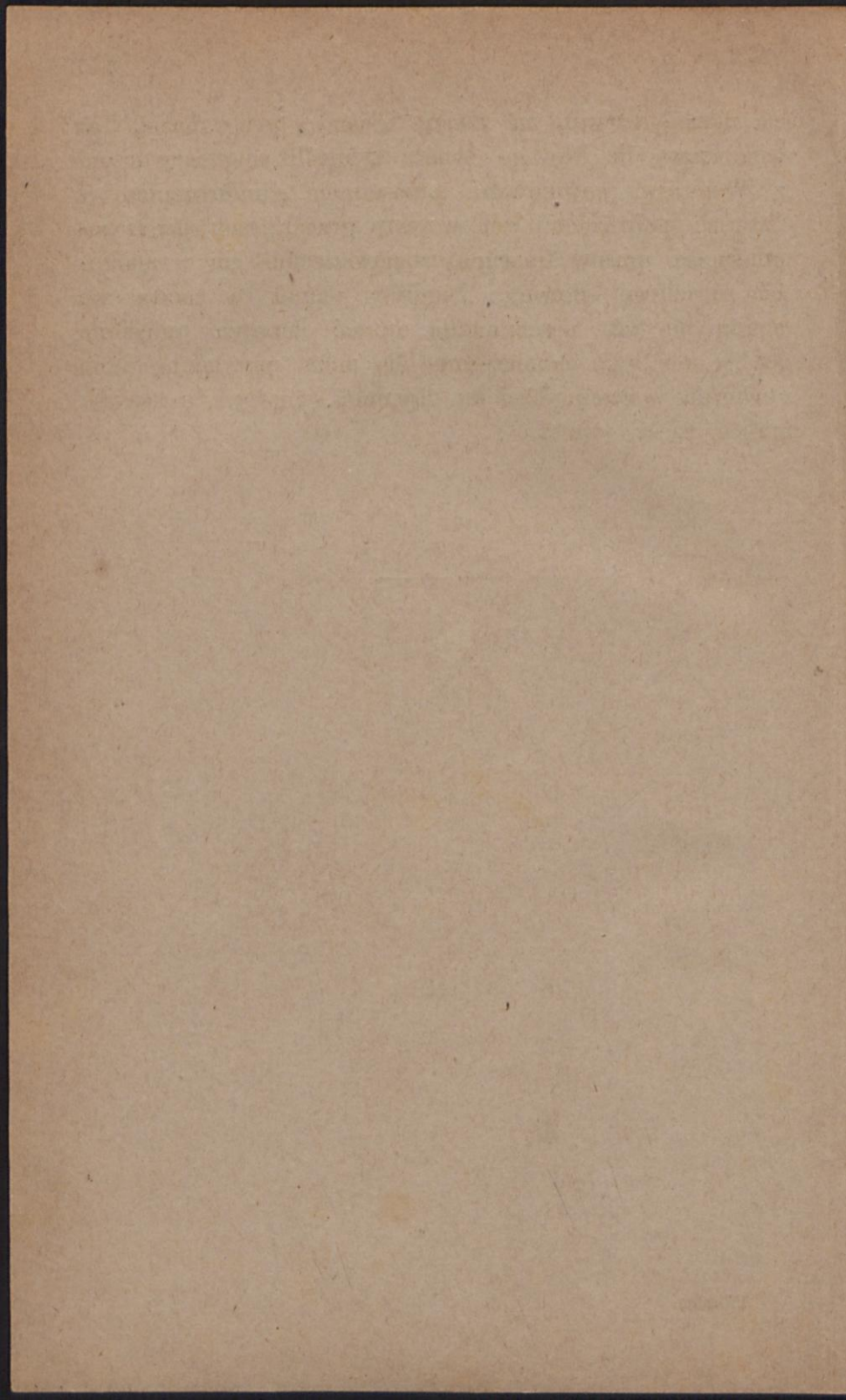
z początku tylko w Niemczech się utrwałała, w Hiszpanii bowiem stały ląd zaatlantycki nazywano ciągle Indyami, Zachodnimi Indyami, lub Nowym światem.

Podjęcie, jakoby Amerigo Vespucci wprowadził nazwę Ameryki, jako sternik państwa, do urzędowych map, nie polega na żadnym dokumencie. Najstarsza drukowana mapa*) z nazwą Ameryki, drzeworyt rysowany przez Piotra Bienewitz z Leissniga (urodz. 1495) znajduje się przy Solinusię wydanym przez Minorytę Giovanni Rienzi Vellini z Camerino (Camers) 1522. Tam nazwa *America provincia* zastosowana jest tylko do brazylijskiego wybrzeża po za przylądkiem Św. Augustyna, i z takim samem ograniczeniem używa norymberski kosmograf Johannes Schöner nazwy *America vel Brasilia sive Papagalli terra* na swoim globusie z 1520.

Na tych mapach stały ląd północnej Ameryki ukryty jest jeszcze pod wodą, i tylko nędzne ułamki u zachodniego wybrzeża tu i ówdzie się ukazują, a i atlantyckie wybrzeże południowej Ameryki jeszcze nie całkowicie wynurza się z oceanu. Ale choć rysownicy map nazywali z początku Ameryką tylko te części południowej Ameryki, które Vespucci widział w pierwszej swojej podróży z Portugalczykami, to przecież już szlachetny Las Casas (lib. I. cap. 140) skarży się, iż na niejednej mapie spotyka nazwę Ameryki. Wszakże nazwa Ameryki nie była jeszcze powszechną, w 22 bowiem wydaniach Ptolomeuszowych tablic, które się w 16. wieku ukazały, nigdzie się ona nie znajduje. Dopiero wielki atlas Orteliusa, który się w rozmaitych wydaniach w ostatniej ćwierci szesnastego stule-

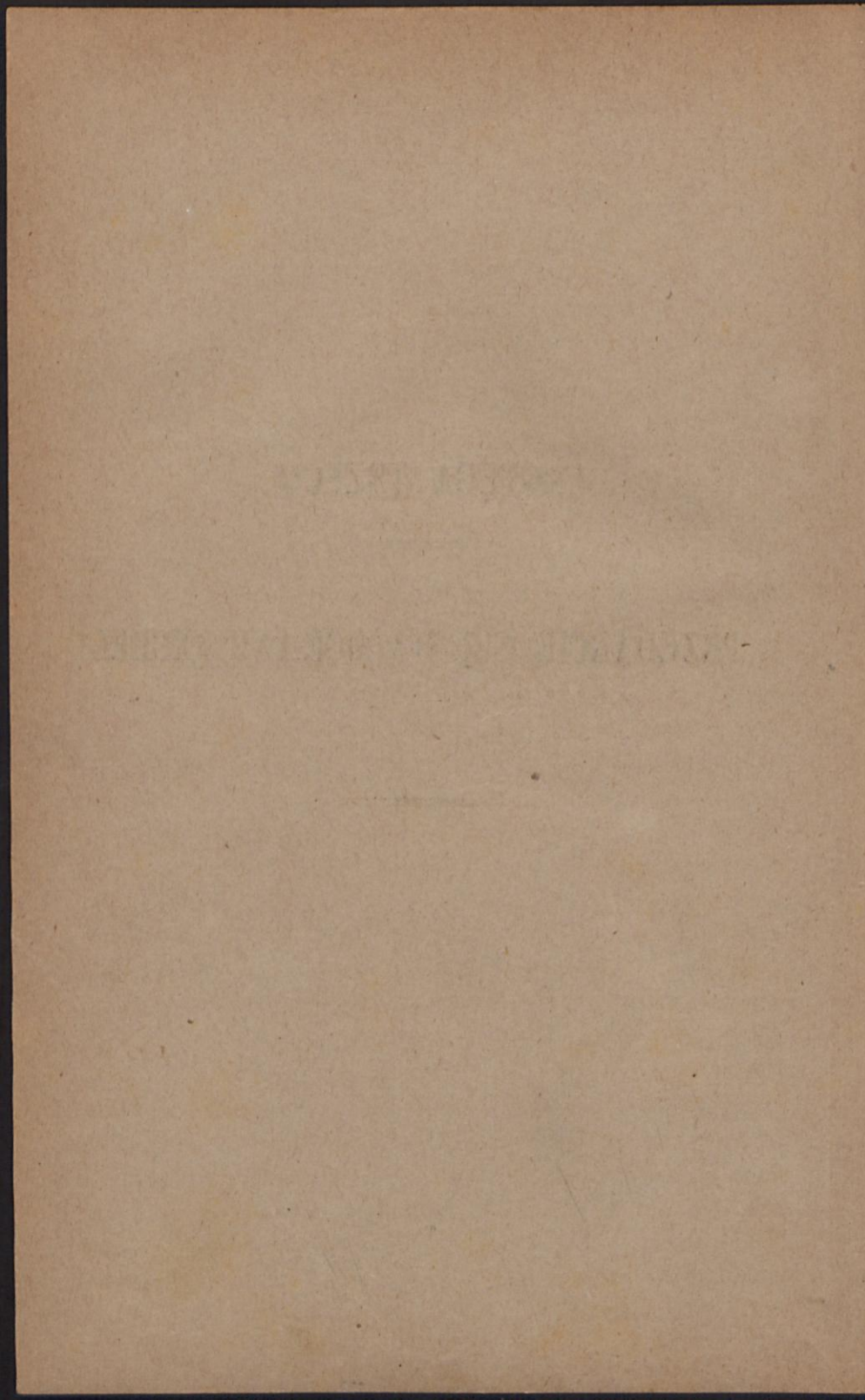
*) W *Cosmographiae Introductio* Hylacomilus odwołuje się do map, które miały być dodane do tego pisma. Na tych mapach nazwa Ameryki prawdopodobnie po raz pierwszy musiała być użytą, ale jeszcze żaden uczony nie mógł ich znaleźć i być może nawet, że wcale ich nie było.

cia ukazał, utrwalił na zawsze tę nazwę geograficzną. Tak więc nazwę dla Nowego świata wymyślili niemieccy uczeni z Wogezów, powodowani przesadnym zamięłowaniem w Czterech podróżach i ten wczesny grzech prasy, dzięki popularności opisów Ameriga, rozpowszechnił się z szybkością zaraźliwej choroby. Nigdyby jednak ta nazwa nie mogła się tak niepokonać oprócz lepszym pojęciom, gdyby nie była jednocześnie dla ucha przyjemną i nie zawierała w swoim dźwięku tajemnej symetrii do nazwisk innych części świata.



KSIEGA TRZECIA.

PRZEDARCIE SIĘ DO OCEANU CICHEGO.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ZBADANIE KARYBSKIEJ ZATOKI.

Bastidas w zatoce Daryjskiej. Osada w Venezueli. Łupieżcze wyprawy Guerri i La Cosy. Oplyniecie Kuby. Pinzon i Solis nad rzeką Srebrną.

Perły i złoto przywiezione przez Guerre i Nina były pobudką do nowych odkryć na wybrzeżach Karybskiej zatoki. Już 5. czerwca 1500 pewien mieszczanin sewilski, Rodrigo de Bastidas, wyrobił sobie patent na dwa okręta; ale nautyczna zasługa jego odkryć należy się Juanowi de la Cosa, sternikowi eskadry, na której służył także i Andres Morales, znakomity marynarz ówczesny.

Bastidas odjechał z Europy przy końcu 1500; minąwszy Cabo de la Vela, płynął brzegiem Nowej Granady po za ujście Rio Seturma do Punta del Aguja, gdzie leżała wieś indyjska Santa Marta i gdzie po raz pierwszy Europejczycy ujrzeli pod indyjskiem niebem alpejski łańcuch wznoszący się tuż nad palmowem wybrzeżem do wysokości śnieżnej linii. Płynąc brzegiem, odkryły te okręta rozszczepione ujście rzeki Magdaleny, okolice późniejszej Kartageny, wyspy Baru, grupę St. Bernardo i ujście Cenu (Sinu). Minąwszy Punta Caribana, wjechano w głąb odnogi Daryjskiej, a potem posuwano się północnym brzegiem przesmyku Panamy aż do Puerto de Retrete (w pobliżu dzisiejszego Aspiruvallu), które to miejsce zwiedzono na rok przed Kolumbem. O przygodach odkrywców nie mamy bliższych wiadomości, wiemy tylko, że na początku 1502 wylądowali w Xaragua na Espanioli z ładunkiem niewol-

ników, złota i drzewa brazylijskiego, wartości ogólnej 5 milionów maravedis (13,000 dukatów). W Xaragua porzucili swoje okręta, niezdolne do dalszej żeglugi i ruszyli do Santo Domingo. Namiestnik kazał aresztować Bastidasa i wytoczył mu proces o to, że ten bez pozwolenia wylądował na Espanioli i rozpoczął tam handel wymienny*).

Ovando posłał oskarżonego wraz z aktami do Hiszpanii na swej wielkiej eskadrze, którą był napadł tornado. Bastidas dojechał na jednym z ocalonych okrętów do ojczyzny, gdzie nie tylko został zupełnie uniewinniony d. 3. grudnia 1503, ale otrzymał nawet za swoje prawa odkrywczy 50,000 mvdís rocznej pensyi.

Śladami jego udał się zaraz Alonso de Hojeda, który z biskupem Fonseca 28. czerwca 1500 zawarł był nowy układ, na mocy którego mógł swoje odkrycia na wybrzeżach stałego lądu posuwać „aż do krajów, zwiedzanych przez brytańskie okręta“; winien był tylko piątą część czystego zysku oddawać koronie. Zrobiono go na czas nieograniczony namiestnikiem Chichibacea, to jest krain otaczających zatokę Venezueli czyli Maracaybo i zapewniono mu połowę dochodów z kolonii, która tam miała być założoną, dopóki one nie będą przenosiły 300,000 mvdís (800 dukatów). Gdy korona 8. czerwca 1501 przyjęła ten układ, zawarł Hojeda z Juanem de Vergara i Garcia de Campos albo Ocampo kontrakt na równy podział wydatku i zapewnionego zysku. Główne dowództwo pozostało przy Hojedzie, ale nie miał on nic przedsiębrać bez zgody dwóch swoich wspólników. Pierwszym okrętem, Santa Maria de la Antigua, na którego pokładzie znajdował się Hojeda, dowodził Garcia de Ocampo; na Santa Maria de la Granada kapitanem był Juan de Vergara;

*) Oviedo powiada, że Bastidas posłany był razem z Kolumbem do Hiszpanii. Rzecz to chronologicznie niemożliwa, ponieważ Kolumb jeszcze w listopadzie 1500 powrócił do Hiszpanii.

karawelami Magdalena i Santa Anna dowodzili Pedro da Hojeda, krewny Alonsa, i Don Hernando de Guevara. W styczniu 1502 wypłynęła eskadra z Kadyksu, a chcąc się w lój zaopatrzyć, rzuciła kotwicę przed capverdyską wyspą Santjago. Tu Portugalczycy pochwycili Hiszpanom jednego z kalfaterów okrętowych i nie chcieli go wydać. Hojeda bez ceremonii zaczął bombardować miasto i okręta stojące w porcie, i nie ustąpił z miejsca, póki nie zawładnął mieniem portugalskiem, w zakład za swego marynarza.

Jakkolwiek północne wybrzeże stałego lądu znane było wówczas tylko z podróży Hojedy i Guerri, to przecież z taką pewnością już posuwano się na tych obcych wodach, że kiedy 10. marca koło wyspy Margarita zgubiła się była gdzieś Santana, to Hojeda mógł wysłać na jej odszukanie Magdalene i Granadę i sam dalej samotnie odbywać podróż. Santanę znalazł 15. w miejscu z góry już umówionem koło Cap Cadera, a dwa inne okręta połączyły się z nim podług jego rozkazu pod Val Feroso, gdzie leżała zachodnia Curiana. Ale w smutne zatargi miała wprowadzić Hojedę ta okoliczność, że krewny jego Pedro, płynąc z Magdalena na odszukanie zagubionej karaweli, zarzucił kotwicę pod wyspą Margaritą i wbrew zakazowi fiskalnemu nabył zamiennym sposobem kilka pereł. Gdy zaczęło brakować żywności, bez skrupułów napadnięto na pobliskie wioski, ograbiono je, podpalono, a mieszkańców zdolnych do pracy uprowadzono, w zamiarze osadzenia jako poddanych w przyszłych koloniach. Atoli tak nie wiele zdołano wówczas zdobyć żywności, że 12. kwietnia musiano wysłać Juana de Vergarę z Granadą do Jamaiki, ażeby tam od krajowców zakupił wymiennym sposobem zapasy żywności. Tymczasem opuściła eskadra „niekorzystne wybrzeże, gdzie krajowcy cenili złoto wyżej, niż gdzieindziej“, dotknęła wyspy Olbrzymów (Curaçao) i

udała się do przyrzeczonego Hojedzie namiestnictwa Chichibacoa, czyli do okolic nad jeziorem Maracaybo.

Wjechało do jeziora Maracaybo, a znalazłszy dzisiajszą odnogę Coro, wówczas Santa Cruz zwaną, spotkano tam Juana de Buenaventura, którego Bastidas zostawił był w pobliżu i który przez 13 miesięcy obcując ciągle z krajowcami, wyuczył się dobrze ich języka. Na tem wybrzeżu, które nosiło nazwę Paraguana, postanowiono się osiedlić; ale krajowcy, na których usposobieniu nie poznano się, zrazu stawili zbrojny opór, potem zaś, poznawszy słabość swoją, chwycili się czysto indyjskiej chytrości, wskazując Europejczykom posiadłości sąsiedniego naczelnika, jako krainę złota. I ten naczelnik dopiero wtedy pozwolił na zbudowanie zamku, gdy poczuł przewagę europejskiej broni. Granada ciągle jeszcze nie wracała z Jamaiki, i Hojeda wysłał tam sternika Juana Lopez d. 20. maja 1502 z Magdaleną i 15 ludźmi, ażeby statek odesłali stamtąd i przy sposobności nachwytali krajowców Kuby, którzyby w przyszłych koloniach pracowali, jako poddani. Po odpłynięciu Magdaleny, wróciła, jak się zdaje, Granada, ale bez zapasów, i żeby uniknąć głodu, musiano znów grabić indyjskie wioski. Ale wojowniczy sąsiedzi sowiecie się wypłacili za podobne napady, w jednej bowiem potyczce ubili nie mniej, jak dwudziestu Hiszpanów. Tymczasem brak żywności przybierał tak groźną postać, że pozostałe resztki Hojeda kazał zamknąć i rozdzielać je w bardzo szczupłych racyach. Wprawdzie przy odjeździe zapowiadał on z góry służbie okrętowej wielkie przykrości i niewygody, wprawdzie swoją szczupłą racją dzielił się jeszcze z cierpiącymi; atoli gdy zamiast rokosznego używania panował głód i gorączka, zamiast pereł i złota były codzienne utarczki z krajowcami, to łatwo było tlejącą niechęć rozdmuchać w płomień buntu. Ocampo i Vergara, prawdopodobnie przy końcu czerwca, z pomocą zbun-

towanej załogi okrętowej okuli Hojedę w kajdany, odjęli mu stopień dowódcy i owładnęli kuframi, w których leżały pod kluczem nabyte dotąd złote towary i perły. O dłuższem utrzymaniu się w kolonii, pierwszej na stałym lądzie południowej Ameryki, nie było już więcej mowy i eskadra pośpieszyła do Espanioli, do której przybyła przy końcu września 1502. Gdy okręta znajdowały się przed Jaquimo, na zachód od Santo Domingo, śmiały Hojeda w nocy wyskoczył obarczony łańcuchami w morze, chcąc dopłynąć do brzegu. Ale wkrótce poczuł, że zręczność jego nie wystarcza, zawołał o pomoc i jeszcze w czas mogła łódź pośpieszyć na pomoc tonącemu.

Ocampo i Guevara stawili dzielnego Hojedę przed sądy kolonii, oskarżając go, że wbrew prawa wysyłał swego krewnego Piotra, który zmarł był w ciągu tego czasu, na wyspę Margaritę w celach zakazanego handlu perłami. Nieszczęściem śledztwo w niższej instancji wypadło na korzyść zdrajców i buntowników, w skutek czego majątek Hojedy skonfiskowano. Przeciw temu wyrokowi, który zapadł za namiestnictwa Ovandy, zaniósł Hojeda protest w Hiszpanii, i wyższy sędzia 8. listopada 1505 zupełnie uniewinnił Hojedę, które to uniewinnienie otrzymało niebawem siłę prawa.

Christobal Guerra, który przy pomocy Peralonsa Nina pierwszy odsłonił perłowe wybrzeże, korzystając ze swego przywileju, przedsięwziął drugą podróż, o której nie mamy bliższych wiadomości. W jesieni 1503 on i jego brat Luis gorliwie się zajmowali uzbrojeniem wielkiej eskadry. Ale nadaremnie usiłowano nakłonić do uczestnictwa Juana de la Cosa. Ten ostatni po swoim powrocie z odkrywczej wyprawy z Bastidasem, trzymany był czas jakiś z nieznanych powodów w więzieniu w Lizbonie, ale wkrótce potem (3. kwietnia 1503) mianowany został przez królową Izabellę Alguacilmajorem przyszłego namiestnika Urby.

Ponieważ „pod żadnym warunkiem“ nie chciał przyłączyć się do Guerrów, więc pozwolono mu 7. września 1503 własną eskadrę ekwipować.

Guerrowie odpłynęli z Hiszpanii z czterema okrętami, Juan de la Cosa z trzema, prawdopodobnie 1504. Eskadra pierwszych wypłynęła naprzód, zwiedziła wybrzeże Perłowe, a potem dalszy brzeg na zachód pomiędzy Santa Marta a Cartageną. Jeden z tamtejszych wodzów udał się nieoględnie na pokład do Europejczyków, i tam został przytrzymany, a poddanym jego nakazano złożyć okup za wydanie księcia. Przez ucha kosza winobrańczego przeciągnięto patyk, i wytłómaczono krajowcom, że muszą do tej wysokości kosz napełnić złotymi ozdobami. Heroldowie chodzili po kraju księżęcym i domagali się okupu. Zgromadzenie żadanego okupu kosztowało wiele trudu, a gdy wreszcie napełniono kosz do wskazanego miejsca, srogi i wiarołomny Christobał domagał się, żeby już do brzegów kosz napełniono, ponieważ tak mało nie dostaje. Na nowo rozpoczęło się szukanie i niejeden zapomniany klejnot, poczerniały od powietrza i dymu, lub rdzą pokryty, wyciągano ze szpar i kryjówek domowych. Wówczas spostrzegli Hiszpanie, że wyciągnęli z krajowców wszystkie możliwe skarby. Puszczono wreszcie kacyka i, jakby przez ironię, za przebytą trwogę i 600 grzywien złota ofiarowano mu europejską siekierę. Wkrótce potem la Cosa, potraciwszy o wyspę Margaritę i Perłowe wybrzeże, do czego upoważniał go patent, przybył do punktu, gdzie na naszych mapach leży port Kartageny, i tu spotkał się z czterema okrętami Guerri. Christobał już nie żył, a Don Luis chory leżał na okręcie i zamyślał powracać do Hiszpanii. Przedtem umówiono się o wspólny napad na mieszkańców krainy Codego w pobliżu dzisiejszej Kartageny. Mianowicie Rodrigo de Bastidas przedstawił był ludy mieszkające u rozszczępionego ujścia rzeki Magdaleny tak krwiożer-

czymi i zwierzęcymi, że korona, która zakazała porywać ludzi, dekretem z 30. października 1503 znów dozwoliła żeglarzom napadać i uprowadzać w niewolę krajowców z grupy St. Bernarda, z wysp Fuerte i Baru i z wybrzeża Kartageny. Oznaczano te ludy karybskie przekreśconem nazwiskiem Kanibalów, co wyrażało zarazem, że są ludożercami.

Posiadając taki przywilej, dwie eskadry zabrały się do połowu ludzi, który im przyniósł 600 głów w rezultacie. Następnie Juan de la Cosa odłączył się i popłynął ku południo-wschodowi do wnętrza zatoki Uraba, często wylądowując dla plądrowania wiosek indyjskich, przyczem zdobył dla siebie do 72 grzywien złota. Krążył dalej po zatoce i zajmował się tem samem rzemiosłem u cieśniny Daryjskiej, przyczem znowu złupił 40 grzywien złota. Tam dopędziła go łódź z eskadry Guerrey ze smutną wiadomością, że główny jej okręt z ludźmi zatonął, drugi zaś statek pod kapitanem Monroy, który ocalał i postanowił szukać Juana de la Cosa, rozbił się na wybrzeżu Uraba. Do tego okrętu należała łódź, która miała eskadrę la Cosey sprowadzić na ratunek rozbitków. Spełniono wprawdzie ich prośbę, ale gdy i wielki okręt la Cosey z powodu, iż był podziurawiony, potrzeba było zostawić, to musiano osiąść na wybrzeżu Uraba. Wreszcie po ośmiu czy dziesięciu miesiącach głód zmusił do odjazdu; było to wtedy, gdy już z 200 pozostałych awanturników połowę gorączka zabrała. Na dwóch bergantynach i kilku łodziach schroniono się na Jamaikę, utraciwszy w drodze jedną barkę, która jednak szczęśliwie się dostała do Kuby. Z obu eskadr tylko czterdziestu kilku ludzi powróciło do ojczyzny, inni znaleźli śmierć w morzu lub na wybrzeżu.

Dowiedziawszy się o odkryciu Brazylii przez Portugalczyków, hiszpańska korona zaczęła być niespokojną o swoje prawa do krajów zaatlantyckich. Zaraz po po-

wrocie Vespucciego na dwór, na wiosnę 1505, zamysłano wysłać eskadrę do południowej Ameryki. Była jeszcze nadzieja, że na zachód od Kuby znajdzie się przejazd do azyatyckich krajów korzennych, lub że się da opłynąć kraj Świętego Krzyża (południowa Ameryka). Wybrano do tego przedsięwzięcia najzdolniejszych kosmografów i żeglarzy. Vicente Yanez Pinzon, Vespucci, a później i Juan de la Cosa mieli rozwiązać to zadanie. Ale z powodu zatargów pomiędzy Ferdynandem a Filipem sprawa ta poszła w odwłokę. Nie wziął też w niej udziału ani Vespucci, ani Juan de la Cosa, ale tylko Juan Diaz de Solis, także wykształcony żeglarz, i sternik Pedro de Ledesma, którzy 29. czerwca 1508 odpłynęli na dwóch karawelach z San Lucar. Rozpoczęli oni swoje odkrycia od południowego brzegu Kuby i dojechali do zachodniej jej kończyny, w skutek czego potwierdziło się od dawna już istniejące przypuszczenie, że Kuba nie jest częścią stałego lądu. Stamtąd sterowali, zupełnie jak Kolumb w swojej czwartej podróży, ku wyspie Guanaja na północnym brzegu Honduras, ale następnie nie dążyli, jak admirał, ku wschodowi, tylko się posuwali brzegiem stałego lądu ku zachodowi, i wjechali w głąb zatoki Honduras, nie spostrzegłszy jednak jej wewnętrznej kotliny, słodkiego golfu (golfo dulce). Następnie płynęli brzegiem Yukatanu ku północy, ale u progu cywilizowanego państwa ludów Maya zawrócili i udali się wzdłuż dzisiejszego wybrzeża Mosquito do zatoki Daryjskiej, a stamtąd przez smoczą paszczę do zatoki Paria. Jak wszystkich żeglarzy, którzy tedy płynęli, i ich zaczęły pirogi krajowców, i dopiero dzięki swej artylerii wymogli pokój na pięciu naczelnych wodzach. Okręta posuwały się następnie wzdłuż atlantyckich wybrzeży południowej Ameryki aż do 40° połudn. szerokości, wszędzie wylądowując, aby objąć te kraje w posiadanie.

nie dla hiszpańskiej korony i wbijać słupy kamienne z herbami. Ale pomiędzy Solisem a Pinzonem taka panowała niezgoda, że po powrocie Solis został uwięziony i proces mu wytoczono.

ROZDZIAŁ DRUGI.

PIERWSZA OSADA NA DARYJSKIM PRZESMYKU.

Kolonizacya Daryi. Diego de Nicuesa. Złota Kastylija i Nowa Andaluzya. Hojeda napada Cartagenę. Trucizna w strzałach. Zemsta Karybów. Zamordowanie La Cosy. Pośmiertna ofiara dla poległych. Założenie San Sebastian. Głód. Korsarze zasilają. Hojeda sprowadza pomoc. Przygoda na Kubie. Obraz Maryi Panny. Zgon Hojedy. Franciszek Pizarro. Opuszczenie San Sebastian. Spotkanie się z Encisem. Balboa. Przesiedlenie się do Daryi. Zwycięstwo i założenie Santa Maria. Enciso złożony z urzędu. Colmenares przybywa z pomocą. Wezwanie Nicuesy.

Pomiędzy wychodźcami, którzy z Ovandem przybyli do Espanioli, znajdował się pewien kawaler Diego de Nicuesa, niegdyś krajczy przy Don Enrique Enriquez, stryju króla Ferdynanda. Gdyby był trochę smuklejszym, można by go było poczytać za najpiękniejszego i najprzyjemniejszego mężczyznę w całej Kastylii. Jeżeli wysoko ceniono jego grę na lutni, to władał on jednak jeszcze lepiej koniem, jak lutnią. Jeden z niewielu szczęśliwych, zrobił w płuczkarniach złota majątek. Jakkolwiek majątek ten wynosił tylko 5—6000 castellanos (100—120 grzywien złota), to przecież w owych i czasach z takimi pieniędzmi można było zabrać się do większych rzeczy. W r. 1508 koloniści wysłali Nicuesę, jako deputowanego, z prośbą do króla Ferdynanda. W Hiszpanii udało mu się nie tylko osiągnąć cel swego poselstwa, ale i uzyskać upoważnienie na założenie kolonii na stałym lądzie. Jednocześnie z nim starał się o to samo Alonso Hojeda, zatem podzielono po-

między nich do czasu na lat cztery wybrzeże nad zatoką karybską, i utworzono dwa namiestnictwa: Złotej Kastylji i Nowej Andaluzji. Posiadłość Nicuesy miała się poczynać od Cabo Gracias à Dios, północno-wschodniej kończyny Hondurasu; posiadłość Hojedy od Cabo de la Vela, a zatoka Daryjska miała tworzyć granicę obu posiadłości. Nicuesie zatem dostało się dzisiejsze wybrzeże Mosquito i przesmyk Panama, Hojedzie Uraba i pobrzeżne okolice dzisiejszej republiki Granady. Obaj przedsiębiorcy zobowiązali się na swoich terytoryach po dwie warownie zbudować i kolonizacyi własnym kosztem dokonać. Jednocześnie zaspokojono pretensye Juana de la Cosa, jako alguazilmajora Uraby, tym sposobem, że go mianowano zastępcą Hojedy, podlegającym temu ostatniemu. Ażeby się mogli zaopatrzyć w żywność, pozwolono obu namiestnikom wysledzać zapasy żywności na Jamaice, która była jeszcze wówczas śpichrzem Antyllów. Niezamożnemu Hojedzie udało się tylko najać jeden okręt i dwie bergantyny, na którym z 200 zwerbowanymi ochotnikami przybył 1509 pod Santo Domingo. Nicuesa natomiast uzbroił cztery wielkie okręta i dwie brygantyny, z którymi udało mu się w przejeździe nachwytać dużo krajowców na karybskiej wyspie Santa Cruz. Szczęściem znalazł Hojeda w Santo Domingo współnika w osobie Martina Hernandez de Enciso, który zaoszczędził sobie na wyspie majątek, wynoszący 2000 castellanos. Przyrzekł on swoim kosztem naładować okręt zapasami żywności i sprowadzić kolonistom Nowej Andaluzji trochę ludzi.

Podczas gdy obaj namiestnicy dokonywali uzbrojeń swoich pod Santo Domingo, wszczęły się już między nimi spory graniczne, pomimo, iż dwom tylko garstkowi osadników dano ogromne przestrzenie do zajęcia (100 i 200 mil geogr.). Spór nareszcie tem się zakończył, że rzeka

Atrato czyli Rio grande, napelniająca zatokę Daryjską słodką wodą, miała oddzielać Złotą Kastylię od Nowej Andaluzyi.

Hojeda tak pośpieszył z uzbrojeniem swoich statków, że już 10. czy 12. listopada 1509 mógł odpłynąć ze swoją eskadrą, która się powiększyła o jeden okręt i 100 ludzi, liczyła zatem cztery statki i 300 ludzi z 12 końmi. Bardziej garniono się do nowokastylskiego przedsięwzięcia, po części z powodu ujmującej osobistości dowódcy, po części dla tego, że imię Veragua jeszcze bardziej złotem dźwięczało, niż Uraba. Nicuesa więc musiał jeszcze jeden wielki okręt najać, ale przez to wyczerpał się z gotówki i kredytu. Wyśledził tę okoliczność drugi admirał, Don Diego Colon, aby podkopać całe przedsięwzięcie; czuł on się pokrzywdzonym, że jakiemuś kawalerowi bez zasługi oddano między innemi krainami i Veraguę, którą był odkrył jego ojciec, Christobal Colon. I do Jamaiki rozciągał pretensye Don Diego i śpiesznie uzbrajał okręt, aby tę wyspę na własny zysk skolonizować. Już eskadra Nicuesy podniosła była kotwice i oczekiwała tylko na to, aby jej dowódca wsiadł na bergantynę, gdy najwyższy sędzia, wskutek zażądania 500 castellanos przez jakiegoś wierzyciela, który się w ostatniej dopiero chwili zgłosił, kazał aresztować Nicusę za długi. Z tego przykrego położenia wybawił Nicusę pewien nieznany mu kolonista, który się stawił jako poręczyciel, tak że pięć okrętów i dwie bergantyny Nicuesy z 700 ludźmi i 6 końmi mogły odpłynąć z Santo Domingo w 10 dni po Hojedzie 20. lub 22. listopada.

Hojeda po krótkiej cztero- czy pięciodniowej podróży stanął przed portem Kartageną. Ponieważ krajowcy tego wybrzeża, które w ich języku zwało się Caramairi, ogłoszeni byli za krwiożerczych, i z tego powodu korona do-

zwoliła niejako polować na nich, więc Hojeda, jako dobry gospodarz, postanowił nałowić krajowców, aby z ich sprzedaży zaspokoić część swych wierzycieli na Espanioli. Ci Karybowie bardzo chętnie handlowali i sami nie rozpoczynali utarczek, ale nieustraszenie i nieprzejednanie odpłacali każdą wyrządzoną sobie krzywdę. Nosili broń, która mogła być równie morderczą, jak broń ognista Europejczyków. Maczali oni ostrza swoich strzał w soku owoców manćanillowego drzewa, który gdy był świeżym, w najmniejszą ranę zapuszczony, tak działał jadowicie, że ranny wnet konał wśród mąk i szaleństwa. Juan de la Cosa, który wojowniczość ludów, mieszkających na delcie Magdaleny, dostatecznie już przedtem był poznał, odradzał napadu; ale Hojeda, który niezliczone przebył tarapaty, nigdy najmniejszej rany nie odniósłszy, nie był czułym na te obawy. Ze świtem następnego dnia Hojeda i la Cosa ze stu może ludźmi napadli na wioskę karybską Calamar, która leżała na miejscu dzisiejszej Kartaginy. Wszystkich mieszkańców, którzy się śpieszną nie ocalili ucieczką, pomordowano lub powiązano; tylko ośmiu Karybów ukryło się w pewnej chałupie i z tego schronienia wysyłali pociski na napastników. Dopiero po ognistych słowach Hojedy ludzie jego przypuścili szturm do chałupy, która na końcu zapalona zagrzebała w sobie swoich obrońców. Sprowadziwszy zdobytych niewolników na pokład, postanowiono nazajutrz podobnie napaść na inną o cztery mile odległą miejscowość, osadę Yurbaco, ale za przybyciem znaleźli gniazdo puste. Z karygodną nieostrożnością rozproszyli się awanturnicy po okolicy lub pozostali w chatach karybskich i pokładli się w ich wiszących matkach, dla przepędzenia tam gorących godzin. Nic nie uszło oka nieprzyjacielskich szpiegów. Nagle napadli Karybowie na rozproszonych, z których ani jeden nie umknął. Tylko

Hojeda i la Cosa z kilku towarzyszami skoczyli do jakiejś indyjskiej stodoły, gdzie się walecznie bronili. Mały Hojeda, skurczywszy się, mógł się zupełnie ukryć za swoją tarczą, która go zabezpieczała od strzał zatrutych. Widząc jednak, że towarzysze jego jeden po drugim obok niego padają, a ufny w swoją zręczność, pomiędzy nieprzyjaciółmi przebiegł do brzegu morskiego. La Cosa kazał rozebrać dach chaty, z obawy, aby go nieprzyjaciele nie zapalili. Poczuvszy jednak działanie trucizny w ranach, zaniechał wszelkiej myśli ocalenia i jedynemu towarzyszowi, który był jeszcze ocalał, doradzał spieszną ucieczkę. Tylko ten towarzysz i Hojeda uszli śmierci z pomiędzy wszystkich Hiszpanów, których miało być siedmdziesięciu, a podług innych stu. Nadaremnie eskadra oczekiwała na wiadomości o swoich, którzy nie wracali. Przeszukano cały brzeg i wreszcie w gęstwinie drzew manglowych znaleziono ukrytego Hojedę, który siedział tam niemy z głodu i zmęczenia, ale jeszcze ze szpadą w ręku i tarczą na ramieniu, w którą nie mniej, jak 300 strzał ugodziło było. Zaledwie przyszedł do siebie Hojeda na pokładzie, gdy na widnokręgu ukazała się eskadra Nicuesy, od której jednak nic dobrego nie można się było spodziewać, ponieważ rozstano się z nią w gniewie. Ale Nicuesa, dowiedziawszy się o nieszczęściu swego przeciwnika, zapomniał o wszystkim, co było przedtem. Natychmiast wysadzono 400 zbrojnych na ląd i nakazano im pod karą śmierci nikogo nie oszczędzać. Wyruszyli oni w nocy, podzielili się na dwa oddziały i z dwóch różnych stron zbliżali się do wsi Yurbaco. Karybowie, sądząc, że się już pozbyli wrogów, nie przeczuwali grożącego nieszczęścia, atoli czuwający na szczytach drzew Guacamayowie dali znać o pochodzie nieprzyjaciół i na krzyk spłoszonych papug rzucili się Indianie do ucieczki w pole. Ale wpadli tylko w podwójną zasadzkę i napowrót zapędzeni zostali do wioski, która wkrótce stanęła

w płomieniach. Bardziej niż czegokolwiek innego przerażili się nieprzygotowani Indianie widoku jeźdźców i koni. Na widok tych podwójnych istot matki z dziećmi na ręku dobrowolnie rzucały się w płomienie, a okropna ta scena zakończyła się mordowaniem bez litości i względu na wiek i płeć. Nazajutrz po tej straszliwej ofierze, wyprawionej na cześć poległych towarzyszy, znaleźli Hiszpanie trup La Cosy okropnie nabrzmiały. Ten widok tak wszystkim odebrał odwagę, że nikt nie chciał ani jednej nocy więcej przepędzić na brzegu. Nicuesa odpłynął z eskadrą swoją do Veragwy, odstąpiwszy przedtem wspaniałomyślnie eskadrze Hojedy wszystko złoto, zdobyte podczas mścicielskiej wyprawy.

Surowa nauka, którą wielki marynarz La Cosa przypłacił życiem, nie powstrzymała Hiszpanów od wykonania na wyspie Isla de Fuerte nowej oblawy na ludzi, która się zupełnie udała. Hojeda opłynął następnie Punta Caribana i nadaremnie szukał w zatoce Uraba rzeki Rio Grande del Darien (Atrato), zachodniej granicy swego wielkorządztwa. Nareszcie obrał pewne miejsce koło Punta Caribana zbudował tam na początku 1510 warowną osadę, którą nazwał San Sebastian.

Jeżeli pierwsi osadnicy na wyspie podzwrotnikowej, w znacznej części żywieni z publicznych dochodów dobrze uorganizowanego państwa, z początku zaludniali tylko emętarze Espanioli, i jeżeli młode to państwo, trapiione głodem i gorączką, nieraz bliskie było wygaśnięcia, to w jadowitem powietrzu wybrzeża Uraby, kolonia, żyjąca tylko kredytem błędnych kawalerów, cudem tylko mogłaby zapuścić w ziemię korzenie i kwiatem się okryć. Hiszpanie nie śmieli się wychylać za swoje oszańcowania, z każdego bowiem zakątka groził im ukryty łucznik. Bunt był jedynym owocem, który dojrzewał przy takich udręczeniach, a Hojeda nie szczędził krwawych wyroków

dla utrzymania karności.*) Ażeby jak najprędzej dostać z Espanioli nowych kolonistów i żywność, wysłał tam Hojeda na jednym okręcie dotychczasową zdobycz swoją w złocie i niewolnikach, z tem przebiegłem wyrachowaniem, że wiadomość o takim zysku zwabi mu nowych awanturników do Uraby. Tymczasem w San Sebastian już się dawał czuć niedostatek, i kiedy niepomyślny napad na sąsiednią wieś karybską Tirufi zakończył się klęską, to głód zaczął tak trapić, że los kolonii zależał już tylko od wczesnego przybycia adwokata Enciso. Ten nie przybył wprawdzie, ale zjawił się niespodzianie inny okręt pod dowództwem Bernardina de Talavera, kolonisty z Villa Yaquimo na Espanioli. Talavera, jak większa część osadników na wyspie, mocno zadłużony, chcąc ująć więzienia, do którego mogli go wpakować wierzyciele, gdy go doszły złote wieści o Urabie, które okręt przybyły ztamtąd rozsiewał, namówił siedmdziesięciu towarzyszy, którzy tyleż co on mieli do stracenia, z tą bandą napadł na pewien genueński statek, który stał koło przylądka Tiburon, naładowany chlebem i słoniną, i jako korsarz ze swoją zdobyczą puścił się do Uraby. Osadnicy nie byli w stanie wzgardzić zbójczą własnością i za złoto i niewolników zakupili ładunek genueńskiego okrętu. Ale w ślad za tą małą ulgą szło nieszczęście. Karybowie nie przestawali niepokoić oszańcowań. Ponieważ pośpieszny Hojeda zwykł był gorąco ścigać nieprzyjaciół, to krajowcy przy pewnym udanym napadzie urządzili zasadzkę, i jakiś karybski strzelec z ukrycia ugodził go strzałą w udo. Rycerz, chcąc zapobiedz działaniu trucizny, kazał rozpalić żelazo i wezwał chirurga, aby mu ten wypalił ciało do-

*) W rozkazie do sądu apelacyjnego na Espanioli we wstępie do śledztwa przeciw Hojedzie powiedziano, (Navarr. III. Apend. Nro. 30, p. 120), że Alonso kazał jednego osadnika ściąć, drugiego powiesić, innych piętnować i ćwiczć, innym wyciąć język lub obrywać palce.

koła miejsca, gdzie strzała ugodziła. Chirurg bał się zabrać do podobnej operacji, ale namiestnik zagroził nieposłusznemu szubienicą. Po wypaleniu kazał sobie Hojeda ranę obwiązać chustami, w occie zmaczanemi, i wyleczył się w istocie z jadowitego postrzału, dzięki swej bezprzykładnej wytrwałości.

Ponieważ i zapasy przywiezione przez Talavare były bliskie wyczerpania, a Enciso się nie pokazywał, to ogólna chęć powrotu do ojczyzny zaczęła się tak burzliwie objawiać, że Hojeda musiał przyrzec, iż sam się uda na okręcie Talavery do Espanioli i ztamtąd sprowadzi zapasy żywności. Dopiero gdyby nie wrócił w przeciągu dni 50, wolno będzie osadnikom odpłynąć. Swoją naczelną władzę porучzył na czas nieobecności człowiekowi, o którym śmiało można powiedzieć, że bojaźń znał tylko ze słyszenia. Był to syn pewnego kapitana piechoty z nieślubnego małżeństwa z jakąś kobietą z niskiego stanu. Podanie powiada, że nowo narodzonego złożono pod bramą kościelną rodzinnego jego miasteczka Truxillo, gdzie go maciora mlekiem karmiła. Ojciec przyznał się potem do swego płodu, i chłopiec, rosnąc w brudzie i ignorancji, pasł świnię w Truxillo, aż póki chcąc ująć ojcowskiej kary nie uciekł ztamtąd i nie dostał się do Indyi Zachodnich. Ten człowiek, uświetniony potem tytułem margrabiego, nazywał się Franciszek Pizarro, i mógł już liczyć wówczas lat czterdzieści. Hojeda zatem z Talavara i jego towarzyszami odjechał z San Sebastian i wylądował na wybrzeżu Kuby, gdzie awanturnicy z obawy sprawiedliwości umyślnie okręt zostawili i łodem puścili się do wschodniej kończyny wyspy, ażeby ztamtąd ukradkiem przepłynąć do Espanioli. Niebawem surowa dyscyplina i władza Hojedy tak się stała nieznośną dla zbójeckiej druzyny, że ci go skępowali, ale byli tak mądrzy, że go rozwiązali, gdy spotkano Indyan, w utarczce bowiem jego

szpada i odwaga działała skuteczniej od sił reszty kompanii, której Hojeda dość często objawiał swoją najgłębszą pogardę i którą przyrzekał posiekać w kawały, jeżeli ktoś raz jeszcze ośmieli się położyć nań rękę. Przedzierając się przez podzwrotnikową gęstwinę, brodząc, to wpław się puszczając przez stojące wody i bagna, dążyli brzegiem naprzód, a gdy wkrótce ich szczupłe zapasy wyczerpały się, to musieli się uciekać do jadalnych dzikich korzonków, a pragnienie zaspakając mętną słonawą wodą z lagun. Hojeda miał w swoim węzélku podróźnym obraz N. Panny, który zawsze nosił z sobą; była to robota pewnego flandryjskiego mistrza, którą otrzymał Hojeda w darze od swego protektora Fonseki. Przy każdym odpoczynku zawieszał obraz Bożej Rodzicielki na gałęziach drzewa, rzucał się przed nią na kolana i zmuszał swoich towarzyszy do podobnego nabożeństwa. To źródło pociechy, ostatni swój klejnot, ślubował Hojeda zostawić w pierwszej indyjskiej osadzie, jeżeli jaką napotkają. Przez dni trzydzieści przedzierano się przez leśną puszcę i już ze siedmdziesięciu towarzyszy Hojedy połowa legła na drodze, gdy nareszcie dostano się do Cueyba, indyjskiej osady, której mieszkańcy gościnnie przyjęli wędrowców. Tutaj dopełnił Hojeda ślubu. Zbudował małą kaplicę i ołtarz dla obrazu, i pozostawił go krajowcom; ci, jakimś tajemniczym instynktem wiedzeni, wielkie nabożeństwo mu okazywali i natychmiast uświetnili dar otrzymany świętym eposem to jest swoim tańcem Areyto. Łodzią, której kubańscy gospodarze pożyczyli, przesłano wiadomość o sobie Hiszpanom na Jamaice, i namiestnik wyspy posłał okręt po awanturników. Tak więc po długim błakaniu się dojechał Hojeda do Santo Domingo, bez okrętu, z pustą kieszenią, przestraszający przykład dla wszystkich goniących za szczęściem; a w każdym razie bez sposobu dotrzymania obietnicy danej osadnikom w Uraba. Groziło

mu nawet śledztwo kryminalne, posądzono go bowiem o udział w rabunku Talavery*), ale nie spotkała go ta przykrość. Umarł w jakiś czas potem w największej nędzy. Alonso w każdym razie należy do postaci owego bohater-skiego pokolenia Hiszpanii, co się puszczało na niebezpieczne ścieżki odkryć i cały świat nowy owładnęło. Jeżeli i on nie był wolnym od skaz swego wieku i swego rzemiosła, jeżeli granica rzeczy dozwolonych była dlań dopiero tam, dokąd nie sięgała jego giętka szpada, to przecież odwagą, wytrwałością i nienasyconą żądzą odkryć przewyższał swoich towarzyszy, nad którymi wysoko go stawiało jego arystokratyczne usposobienie, nigdy bowiem nie zniżał się do zemsty i za wszelkie krzywdy odpłacał tylko pogardą.

Już pięćdziesięciodniowy termin, wyznaczony dla Pizarra i jego towarzyszy dawno był upłynął, a ci jeszcze nie opuścili San Sebastian, ale to tylko dla tego, że czekali cierpliwie, aby głód i gorączka uszczupliła liczbę ich głów do 60, więcej bowiem nie mogły unieść dwie bergantyny, które posiadano. Po sześciomiesięcznych utrapieniach latem 1510 opuszczono wreszcie niegościnną Urabę, zabijwszy przedtem i nasoliwszy cztery ostatnie kłaczę. Pod Isla de Fuerta rozbiła się jedna bergantyna i zatonięła z ludźmi w obliczu drugiej, która dalej samotnie odbywała podróż, płynąc na wschód wzdłuż stałego lądu, gdzie u głównego ujścia rzeki Magdaleny niespodzianie spotkała okręt gorąco upragnionego Bacalaureusa Enciso. Wioził on 150 ludzi, z tuzin kłaczy, ogiery, maciory, zapasy żywności i zapasy wojenne, ale na co się to wszystko teraz zdać mogło? Na wyspie Espanioli zostawił jeszcze wielu osadników, którzy gotowi byli z nim wyruszyć. Większa ich część starała się ująć od wierzycieli, i En-

*) Talavera z kilku uczestnikami rabunku został wydany sądom i powieszony.

ciso umówił się z nimi, żeby czekali na jego okręt w portach południowego wybrzeża, z kąd ich potajemnie zabierze. Ale admirał Diego Colon, który z ukosa patrzył na nowe kolonie, przeszkodził temu, nakazawszy swoim statkom pilnować okrętu Encisa i aż na pełne morze go przeprowadzić. Ale znów na te wszystkie ostrożności znalazł sposób pewien osadnik z Salvatierra de la Sabana w zachodniej Espanioli. Vasco Nunez Balboa, rodem z Xerez de Badajoz, choć nie znakomitego, ale dobrego pochodzenia, miał lat 35, był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną, i dzielniej niż wszyscy inni znosił niewygody i niedostatek. Jako towarzysz Rodriga Bastidas zwiedził on był 1501 r. oba wybrzeża golfu, Urabę i Daryę, i teraz jak tylu innych chciał tam ujść przed wierzycielami. Pewien majtek, Bartolome Hurtado, ukrył go pod żaglem, albo jak inni opowiadają w beczce, z której Balboa wyszedł, kiedy już okręt był na pełnem morzu. Enciso nie był rad z passażera, który mu się w taki dostawał sposób, oszukanemu bowiem wierzycielowi przysługiwało prawo zaskarżenia kapitana okrętu, który bez paszportu przyjął na pokład dłużnika. Adwokat zagroził nawet, że go wysadzi na pierwszej pustej wyspie, jaką spotkają, i Balboa nie zapomniał mu tej pogróżki.

Szczupła garstka, która ocalała z kolonii urabskiej, zaklinała Encisa, aby się zawrócił, ale adwokat podejrzewał, że te wszystkie cierpienia i odjazd Hojedy wymyślony został dla upozorowania złośliwej ucieczki. Wprawdzie upadło to podejrzenie, gdy Pizarro pokazał pełnomocnictwo, które mu zostawił Hojeda, niemniej przeto kazał Enciso wracać do Uraby i tam czekać na Hojedę, jak tego kontrakt ich spółki wymagał. Jako swego naczelnego sędziego musieli koloniści słuchać adwokata i oba statki popłynęły ku zachodowi. Enciso musiał zarzucić kotwicę pod Kartageną dla nabrania wody i naprawienia swej łodzi

okrętowej. Zaledwie wylądowali Hiszpanie, wnet się pojawili Karybowie. Przez dwa dni obie strony wzajem przypatrywały się sobie z bronią w ręku. Trzeciego dnia zdarzyło się, że Karybowie otoczyli dwóch Hiszpanów, którzy nad rzeką nabierali wody do jakiegoś naczynia. Jeden z tych ostatnich w skutek obcowania z niewolnikami z tego wybrzeża znał o tyle język krajowców, że mógł kilka słów łagodzących przemówić. Krajowcy dowiedziawszy się, że okręta, które mieli przed sobą, nie należą ani do Hojedy, ani do Nicuesy, nie tylko nie zaczepiali przybyszów, ale zaopatrzyli ich nawet w kukurydzę i ryby solone.

Wpływając do zatoki Daryjskiej rozbił się okręt u północno-wschodniego cypla Uraby i marynarze oprócz życia mało co ocalili, tak, że od samego początku stanęła przed nimi perspektywa głodu. Owoce palm i polowanie nie długo mogło wynagradzać brak zapasów i w końcu nie pozostawało nic innego, jak grabić wioski indyjskie. Ale waleczni mieszkańcy wybrzeża, walcząc trójkami lub czwórkami, odważnie uderzali na Hiszpanów, nie zważając na ich liczbę, celnie puszczali swoje śmiertelne strzały i umieli uchodzić od ścigających Europejczyków, którzy w tego rodzaju walce niczego siłą nie mogli dokazać. Wówczas zaproponował Balboa, ażeby się przeprawić na drugą stronę zatoki. Tam pod dowództwem Bastidasa zwiedził on był Rio grande del Darien, która jak Nil hojna, stwarza w koło siebie obfity ogród owocowy, i gdzie dobroduszni mieszkańcy nie zatruwają strzał swoich. Na bergantynie i wielkiej łodzi przeprawiono się i znaleziono kraj taki, jak go Balboa opisał. Ale krajowcy znali już dokładnie cudzoziemców, i mężyczyni uprowadziwszy rodziny swoje w bezpieczne schronienia, sami w uzbrojeniu pod dowództwem wodza Semaco czekali na walkę. Tak małodusznymi już się byli stali

Hiszpanie, że najuroczystszymi przysięgami zobowiązywali się dotrzymać placu. Posilili się modlitwą do walki i ślubowali, iż na cześć cudownego obrazu Matki Boskiej w Sewilli, miasto, które mieli założyć po zwycięstwie, nosić będzie nazwę Santa Maria del Antigua. Mieszkańcy wybrzeża Daryjskiego nie byli już Karybami. Po łatwym zwycięstwie wtargnęli awanturnicy do opuszczonej osady indyjskiej, gdzie zdobyli obfite zapasy żywności, indyjskich wyrobów i złota na 10.000 castellanos (200 grzywien). To czego tak długo szukano, złoto i rajska obfitość, znaleziono teraz. Spieszenie sprowadzono tych, co jeszcze zostali w Urabie, i założono miasto Santa Maria del Antigua, sumiennie też oddzielono z łupów część przeznaczoną na dar dla cudownego obrazu w Sewilli, zupełnie tak, powiada obdarzony delikatnem uczuciem Las Casas, jakby chciano Boga i Jego matkę jako współwinnych rabunku w ten sposób zaspokoić.

Szczęśliwy rezultat był przyczyną, że znaczenie Balboi w cichości rosło i ten awanturnik, stworzony do konspirowania i rozkazywania, mógł potajemnie utworzyć sobie stronnictwo. Owoc dojrzał, gdy Enciso stosownie do swego pełnomocnictwa chciał zabronić kolonistom handlu złotem z krajowcami. Ogłoszono adwokata za złożonego z urzędu, ponieważ władza jego rozciągała się tylko na wybrzeże Uraby, ale nie na Złotą Kastylię, i obrano alcałdym czyli sędzią Vasco Nuneza Balboa, dopóki król innego nie naznaczy urzędnika. Niemniej przeto, przy tak luźnym początku nowej władzy, i potem nie ustawały targi, aż póki niespodzianie w połowie listopada 1510 nie ukazały się dwa statki hiszpańskie.

Te okręta przed czterema tygodniami opuściły były Espaniołę pod dowództwem Rodriga de Colmenares a przybyły z zapasami żywności dla Nicuesy. Pod Santa Maria zarzuciły kotwicę u rzeki Gaira, która wypływa z lodow-

ców śnieżnego szczytu Nowej Granady, zdaleka widnego. Tam stanąwszy wysłano w łodziach silny oddział po wodę. Gdy wpłynęli na rzekę ukazał się wódz jakiś z dwudziestu Indyanami. Ci Indianie nosili krótkie płaszcze bawełniane na grzbiecie i spodnie na biodrach. Ostrzegali oni Hiszpanów gestami przed wodą w tem miejscu, wskazywali inne, do którego jednak nie można się było dostać. Bez myśli o niebezpieczeństwie wracali Hiszpanie na dawniejsze miejsce, zkąd czatujący krajowcy tak nagle wyskoczyli, że w krótkim czasie 47 Europejczyków padło rażonych zatrutemi strzałami i jedna z łodzi dostała się do rąk zwycięzców. Nieliczni, którzy zdołali schronić się na eskadrę, pomarli z ran co do jednego. Colmenares, jak tyłu innych żeglarzy, krwawą dawszy zapłatę mieszkańcom Santa Marii, posuwał się dalej brzegiem ku zachodowi, wypatrując nowej kolonii. Ale na pustem wybrzeżu Uraby nikt nie odpowiadał na jego sygnały armatnie; dopiero przepływając zatokę Daryjską ujrzał słupy dymu w Santa Maria del Antigua i usłyszał powitalne salwy nowej osady. Szczodrość, z jaką Colmenares pozostawił założycielom Santa Marii część swoich zapasów, zjednała dlań łaskę awanturników, którzy podzieleni pomiędzy Balboa a Encisem nachylali się ku myśli, aby przyzwać Nicuesę, w którego namiestnictwie nowa osada leżała. Postanowiono zatem na statkach Colmenaresa wysłać dwóch posłów do Nicuesy, Diega Albiteza i Baucalaureusa Corrala, z wezwaniem, aby objął rządy nowej osady. Ruszyły więc okręta z posłami do Veragwy, gdzie podług wszelkich obliczeń powinien był przebywać Nicuesa.

ROZDZIAŁ TRZECI.

PRZESMYK I OCEAN WSCHODNI.

Nicuesa zdradzony przez Olana. Rozbicie się okrętu i błaganie się. Cierpienia osadników Veragwy. Ocalenie Nicuesy. Przesiedlenie się do Nombre de Dios. Zmiana szczęścia. Nieostrożność Nicuesy. Sprzysiężenie Balboi. Nicuesa wypędzony z Daryi. Fizyczny charakter przesmyka. Polityczne ustawodawstwo krajowców. Szlachta i poddani. Sprawiedliwość. Kapłani i religia. Balboa pokonywa Caretę. Pochód przez Sierra. Wieści o morzu południowem. Łupieżcza wyprawa w Atratodelta. Związek kacyków. Odkrycie sprzysiężenia.

Nicuesa ze swymi pięciu statkami i 785 ludźmi opuścił przy końcu listopada Cartagenę, i wylądował w Puerto de Misas na wybrzeżu daryjskiem, gdzie zostawił wielkie okręta, a sam na karaweli z 60 ludźmi, i mając przy sobie bergantynę z 30 ludźmi pod dowództwem Lope de Olano, wyjechał na wyszukanie upragnionej Veragwy. Na pokładzie bergantyny znajdował się sternik Diego Martin, który towarzyszył Krzysztofowi Kolumbowi w jego czwartej podróży. Ten natychmiast poznał wybrzeża Veragwy, ale Nicuesa, który miał z sobą dziennik i mapy Adelantada Bartłomieja Kolumba, wylażał sternika za niewiedzę rzeczy i kazał dalej brzegiem ku zachodowi sterować. Atoli Lope de Olano nie miał ochoty iść w błędne ślady upartego dowódcy. Następnej nocy nie kazał sterować ku latarni karaweli, ale zawrócić potajemnie w celu połączenia się z eskadrą. Ta, pod dowództwem rycerza Cueto, krewnego Nicuesy, zwolna tymczasem posuwała się za lekkimi okrętami, które naprzód wybiegły. W podróży na wierzchołku pewnego, z daleka widzianego drzewa u szczytu wyspy znaleziono depeszę Nicuesy z uwiadomieniem, kiedy tedy przepływał. Minęła już eskadra zatokę

San Blas i Puerto Belo, i dojechała do Chagre, a nie było żadnej wieści o Nicuesie; Cueto więc uznał za najlepsze obwarować się na wybrzeżu w tem miejscu, gdzie po dwumiesięcznej rozłące połączył się z eskadrą Lope de Olano i jego bergantyna. Wśród sztucznych łez obwieściwszy mniemany zgon Nicuesy, poprowadził natychmiast eskadrę od Chagre do Rio Belen, gdzie się w pewnej wiosce indyjskiej i nieco powyżej w okrągłym częstokole krajowców natychmiast ufortyfikował. Olano był Baskiem i większa część osadników składała się z Basków, łatwo więc było Olanowi, zważywszy jak silnym jest duch prowincjonalizmu w ludności hiszpańskiej, nakłonić osadników do tego, że go uznali za wodza. Przez siedm czy ośm miesięcy następnie doznawali oni w wielbionej swojej Veragwie, w Złotej Kastylji, wszelkich kar samowolnego wylądowania na brzeg, gdzie panowały gorączki.

Nicuesa spostrzegłszy nazajutrz, iż nie ma bergantyny, krążył przez parę dni po morzu, czekając czy się ona nie zjawi, a następnie nie doczekawszy się, ruszył dalej na zachód, nie przeczuwając, że się coraz bardziej oddala od Veragwy. Wpłynąwszy na najbliższą rzekę stałego lądu, którą może za Belen poczytywał, dwa dni tylko na niej pozostawał, a przecież przez ten czas ujście rzeki stało się tak płytkie, że okręt ujrzał się zamkniętym na wodzie słodkiej. Po 14 dniach w skutek ulewnych zwrotnikowych deszczów znikła przegroda u ujścia, ale za to tak potężnem było parcie wezbranych wód, że zerwały one karawelę z kotwicy i o brzeg rzuciły. Nieszczęśliwi żeglarze oprócz życia uratowali z rozbicia tylko jednego psa, faskę z mąką, drugą z oliwą, kawałek żagla, który na odzież rozdzielono i łódź karaweli. Z tem mieniem puścili się rozbitkowie brzegiem lądu dalej na zachód, ciągle szukając Veragwy; łódź, płynąca koło brzegu, służyła im do przeprawiania się przez wody, które tamowały

drogę. Bezbronni a niepokojeni przez krajowców, którzy zabili jednego z ich towarzyszy, przeprawili się w końcu przez jakąś szeroką wodę, którą poczytywali za rzekę i znaleźli się, wcale tego nie spostrzegając, na zupełnie bezludnej wyspie, gdzie musieli zaspakajać głód ziarnem *capery*, mającej smak orzechów laskowych, a gasić pragnienie wodą z mętnych kałuż. Dla dopełnienia nędzy czterej majtkowie z łodzią uciekli; pozostali próbowali wprowadzić na z gruba skleconej tratwie przeprawić się na stały ląd, ale próba się nie udała i musieli przez kilka miesięcy, trawieni głodem, siedzieć w swojej zwrotnikowej klatce. Tymczasem czterem majtkom udało się dostać do osadników nad Belenem, z kąd natychmiast z nimi odpłynęły dwie bergantyny dla zabrania Nicuesy z jego uszczupłą drużyną.

Nicuesa, jako namiestnik, miał prawo ukarać stryckiem Olana za umyślne oddalenie się i przywłaszczenie naczelnego dowództwa. Jeżeli z jego litościwością nie zgadzała się podobna surowość, może konieczna i zbawienna w warunkach, w jakich się osada znajdowała, to znów brakło mu tyle wspaniałomyślności, aby mógł zupełnie zapomnieć i przebaczyć winę. Kazał on Olanowi, okutemu w kajdany, obracać z dziewczętami indyjskimi kamień w ręcznym młynie do tarcia kukurydzy; obelga, która im dłużej trwała, tem głębiej jątrzyła Basków. Gdy część osadników zmarła w skutek niedostatku, który już doszedł był do tego stopnia, że zabito klacz z młodem źrebkiem, które tylko co porodziła, postanowił Nicuesa nie czekać na dojrzewanie kukurydzy, którą osadnicy zasadzili byli, ale przenieść się z głodnego wybrzeża Veragwy do dzisiejszej zatoki Limon, gdzie jedna z bergantyn upatrzyła wygodny port, a w pobliżu zdrowe i przestronne wyżyny. Ze szczątków dwóch wielkich okrętów, które przez niedbałość się rozbiły, lub może umyślnie zostały rozbite,

zbudowano karawelę. Ta karawela i dwie bergantyny starczyły tylko do przeniesienia większej części osadników na nowe wybrzeże, gdzie Nicuesa w pobliżu dzisiejszego Aspinwallu, zkał poczyna się kolej żelazna wiodąca od Atlantyku do Oceanu wschodniego, założył kolonię Nombre de Dios. Niestety starło z Nicuesy uprzejmość obejścia i zahartowany na wszelkie skargi, gnał on swoich ludzi do budowania zamku, pomimo że już przy nim dwustu legło pod jadowitem oddechem wybrzeża i przy końcu 1510 tylko trzecia część osadników jeszcze żyła. Tymczasem i ta część, co została w Veragwie, nie miała tam rajskiego pobytu; tyle tylko, że znaleziono tam w rdzeni palm tak pożądany pokarm, iż widziano w tem pomoc opatrności. Kiedy Nicuesa wysłał po nich karawelę, aby ich przywiozła do Nombre de Dios, zmienili oni tylko widownię swych cierpień, nic nie zyskawszy, innej bowiem rady na głód nie widziano, jak posłać karawelę po żywność do Hiszpanii.

Resztki silnej eskadry, która zamierzała podbić Złotą Kastylę, zastał Colmenares schorzone, wynędzniałe i liczące już tylko sześćdziesiąt głów. Jeżeli pomoc Colmenaresa była niespodziewana, to jeszcze mniej się spodziewano pomyslnych nowin z Santa Maria del Antigua na wybrzeżu daryjskiem. Łkając przyjął Nicuesa Colmenaresa i delegatów, którzy go tam wzywali i nie namysławiając się mianował jednego z nich, Corrala, sędzią, a drugiego, Diego Albiteza, wójtem Daryi. Ale do tych urzędów, jako owoców pomyslnie uknutego sprzysiężenia, największe pretensye rościli Vasco Nuñez Balboa i Martin de Çamudio. Jeżeli przy tej sposobności Nicuesa okazał, iż brakło mu wszelkiego rozumienia trudności, aby mógł zapewnić sobie posłuszeństwo w zgrai zuchwałych awanturników, przywykłych co chwila dla złudnego połysku złota stawiać życie na kartę, to oprócz tego jeszcze popełnił on błąd,

wysyłając przed sobą do Daryi tych posłów ze swymi chorymi ludźmi. Nicuesa znienawidzony był za srogość i niechęć do namiestnika jeszcze przed jego przybyciem zaraźliwie udzieliła się osadnikom daryjskim. Głęboko upokorzony Olano, krewny Čamudia, nie omieszkał jadem nienawiści zaprawiać usposobienie dla Nicuesy. Będzie się on z wami obchodził, objaśniał Olano Daryjczyków, jak ze mną, którego przez wdzięczność za ocalenie go od śmierci głodowej, kazał okuć w kajdany. Prócz tego między wysłanymi naprzód ludźmi znajdował się pewien urzędnik skarbowy, Juan de Queicedo, który doznawszy kiedyś od Nicuesy pewnej obelgi, zniósł ją w milczeniu, ale jej nie zapomniał. Najwięcej jednak Nicuesa, upojony nagłą zmianą szczęścia, zaszkodził sobie nieostrożną mową, w której powiedział, że kolonia na lewym brzegu Atrato należy do jego namiestnictwa, i że zatem ma on prawo wszystko złoto, dobyte bez jego pozwolenia, skonfiskować. Gdy więc karawela przybiła do Santa Maria, wnet zaczęli Daryjczycy żałować tego, że wezwali Nicuesę, a nie tylko stronnictwo Balboi, ale i Encisa było niechętnie wezwanemu namiestnikowi. Balboa, któremu nieostrożność Nicuesy sprzyjała, nie zaniedbał ani jednej chwili, brał jednego po drugim, umawiał się z nim i kazał malkontentom w kościele Św. Sebastjana przed notaryuszem Hernando de Arguello podpisać i przysięgą zatwierdzić akt buntu.

Mocno więc to dotknęło Nicuesę, gdy przybywszy pod Santa Marię w przystani przyjęty został przez zbrojnych, którzy tylko jemu samemu i jego paziowi dozwolili wysiąść z bergantyny. Przebiegły Vasco Nuñez przez dni 14 ugašczał w swoim domu Nicuesę, jadał z nim przy jednym stole, sypiał w jednym pokoju, dwuznaczne jego zachowanie się świadczyło o wewnętrznem wahaniu się, i można było myśleć, że chce wziąć stronę namiestnika. Wreszcie namawiał Nicuesę, żeby ten pozwolił

osadnikom raz jeszcze głosować na swoich zwierzchników, przyrzekając namiestnikowi, że postrachem na niego wybór skieruje. Nicuesa zgodził się, zapomniawszy, że tym sposobem wyzuwa się z wszelkich praw swoich. Niewymuszony, czy sztucznie przygotowany wybór padł na Balboę. Ten ostatni jednak nie przestawał rozciągać opiekuńczej ręki nad Nicuesą, karał nawet za obelgi, rzucane na namiestnika. Ale Çamudio, także obrany przez osadników, jako kolega Balboi, na czele zuchwałych buntowników targnął się na Nicuesę i uwięził go. Jeżeli Balboa dotychczas nosił maskę, to i teraz nie złożył jej zupełnie, gdyż jeżeli pozwalał na wszystko, to zdawał się to czynić z pewnem ociąganiem się i niejako ulegając przemocy. Niešťśliwego Nicuesę, który nadaremnie prosił, aby mu wolno było zostać jako zwykłemu osadnikowi, a nawet jako więźniowi, zmuszono 1. marca 1511 pod karą śmierci do odjazdu. Dano mu uszkodzoną bergantynę, a szesnastu wiernym jego towarzyszom odmówiono wszelkich zapasów żywności, i nielitościwie odepchnięto ich w nędznym statku od wybrzeża. Co się stało z Nicuesą nie wiemy; podanie tylko głosiło, że zginął marnie na wybrzeżu Kuby.

Osada daryjska, składająca się z resztek eskadry Hojedy i Nicuesy i z posiłków Encisa i Colmenaresa, liczyła wprawdzie nie wiele więcej nad trzysta głów, ale miała za to w przebiegłym Balboi naczelnika, którego odwaga i hojność w zupełności wynagradzała brak legalnych podstaw władzy. Dowiódł tego i przykład Hernana Cortesa i niejednego dowódcy w domowych wojnach peruwiańskich, że Hiszpanie daleko wierniej służą oficerom, którzy ich do buntu namówili, niż zwierzchnikom, którzy stają pośród nich z pergaminem i królewskimi listami. Nadobnie wygięta szyja, to zwięzająca się, to nabrzmiewająca, która południowo-amerykański półwysep przytwardza do lądowych mas północnej Ameryki, do dzisiaj jeszcze, pomimo

iż przerżnięta koleją żelazną, pozostała dziką puszcza, i z imieniem Daryi łączy się w naszym umyśle wyobrażenie przedzwrotnikowego cmentarza. Szczególnie zgubnym jest dla zdrowia pas nadbrzeżny i wilgotny grunt sieci rzecznej Atrato, gdzie powietrzne korzenie drzewa manglowego splatają się w nieprzebytą gęstwinę, gdzie w cieniu błyszczących jak skóra liści unoszą się wyziewy przynoszące gorączkę, w których rozkoszują się chmury moskitów i innych owadów i gdzie opancerzona jaszczurka ze szklannemi oczyma wygrzewa się na brzegu wody, póki spłoszona szmerem, nie pluśnie w wodę. I dziś jeszcze tutejsi mieszkańcy, krwi mieszanej, bojaźliwie i wrogo spoglądają na Europejczyka, a czyhając na niego z dmuchawką z daleka godzą nań zatrutymi trucizną *cucrare* pociskami. Po obu stronach zatoki daryjskiej i w krainie Choco, na zachód od ujść Atrato, mieszkają ludy Cuna, i dziś jeszcze chodzące zupełnie nago, tak jak ich pierwsi zastali odkrywcy. Ludy te rozpościerają się i po stronie Pacyfiku aż do zatoki Św. Michała.

Kiedy Hiszpanie wkraczali na przesmyk panamski i daryjski, po tej i po tamtej stronie Kordylierów mówiono jednym tylko językiem: Cueva. Nie znajdowano też tam wówczas, na zachód od Punta Caribana, zatrutej broni, a tylko drewniane miecze i włócznie, które nadzwyczaj celnie rzucane były z dźwigni. Tą bronią ubijali Indianie stada, które spędzali przedtem w kupę za pomocą pożaru trawy. Mieszkańców nadbrzeżnych żywiło rybołówstwo, wewnątrz kraju rolnictwo. Kobiety z wyrafinowanej próżności nosiły sznurówki ze złotej blachy i bawełnianą odzież, która do kostek sięgała. Mężczyźni natomiast, zupełnie nadzy, ukrywali tylko wstydlive części ciała w skorupę muszlową, a jeśli byli bogaci, to w złoty cylinder. Ich mieszkania, tu i ówdzie ozdobione wieżyczkami, mało się różniły od antylskich, tylko w bagnach rzeki Atrato, po-

dobnie jak dziś jeszcze nad Orinoco, budowano obszerne pomieszkania na wierzchołku palm Mauritia, do których chronili się mieszkańcy, zabezpieczeni tym sposobem od nieprzyjaciół, a wilgotnością gruntu od pożarów. Nawet matki z niemowlętami na ręku wdrapywały się z kocią zręcznością po drabinach, które co noc wciągano do góry. *) Panujący nad małemi krainami zwali się Quebi albo Tiba. W tych państewkach lenny był system, i po Tibie następował Saco, który z kolei gromadził przy sobie mniejszych wazalów czyli Cabra. Jeżeli plebejski wojownik odznaczył się w walce z wrogiem, to mu Tiba nadawał dziedziczne szlachectwo, czyli Cabra. Żony książąt i magnatów miały tytuł Espana czyli pani (señora), a małżeństwo z osobami niższego stanu było w obrzydzeniu. W haremie naczelnika tylko jedna kobieta była prawowitą żoną, i tylko jej synowie dziedziczyli. Wprawdzie mogły i kobiety dziedziczyć tron i lenno, ale mężczyźni potomkowie mieli pierwszeństwo przed żeńskimi, synowie siostry przed córkami brata. Przy zawieraniu małżeństwa unikano kazirodczych związków, wierność też małżeńska była w cenie, gdyż kobiety, które się wielu oddawały, miały krzywdzącą nazwę. **) W skutek przybycia Hiszpanów obyczaje stały się wolniejszymi; oficerowie mogli się daleko więcej niż prości żołnierze szczyścić przyjaźnią dam krajowych, gdyż tylko walecznego gotowe one były obdarzyć najwyższym darem miłości. Swoim paco czyli poddanym wypalali piętna na twarzy lub ramieniu, albo też poprzesztawali tylko na wrywaniu im kilku zębów, na znak, że są ich własnością. Wolna ludność obowiązana była tylko do robocizny; a jak podczas wojny książę i szlachcic odróżniali się

*) Podobnego małego pałacu bronili Indianie przez dwa dni przeciw 200 Hiszpanom, i kiedy się wreszcie tam dostano, znaleziono tylko trupy kilku Indian zabitych od kul. Inni w nocy, z wierzchołka na wierzchołek się przenosząc, uszli potajemnie. (Oviedo lib. XXIX. cap. 10.)

**) Yracha, rodzaj liczby mn. od yra, kobieta, Oviedo lib. XXIX. cap. 27.

szczególłą ozdobą, tak cały klan nosił na skórze wymalowany herb swego lennego pana. Magnaci po swoich posiadłościach podróżowali w lektykach, w miejscach odpoczynku rozstawieni byli tragarze, którzy się zmieniali. Ponieważ tą indyjską pocztą można było dziennie odbyć 15—20 mil, więc kraj musiał nie być bezdrożnym. Książęta wydawali wyrok po przesłuchaniu stron. Świadków nigdy nie wzywano, gdyż powszechny wstręt do kłamstwa czynił zupełnie niepotrzebnym ten środek przekonania. Mord i rabunek karano śmiercią. Złodziejowi złapanemu w kukurydzy mógł właściciel odciąć obie ręce. W innym razie wymierzanie kary należało do pewnych osób. Było to jednym z przywilejów szlachty, że tylko dynasta mógł położyć rękę na grandzie. Bębniem wówczas zwoływał do pałacu swego poddanych, uroczyscie oznajmiał im motyw swego wyroku, który własnorecznie spełniał na winnym; występca tracił niejako szlachectwo, gdyż nie grzebano go, a zostawiano na łup zwierzętom. Znalezione u nich kult słońca i księżyca. Nie w postaci straszydeł, ale w miłej dziecięcej postaci wyobrażano sobie niższych bogów; *) kapłani, zwani tequinas czyli mistrzami, którzy siebie i lud oszukiwali wyroczniami i ceremoniami, nie byli nieświadomi pewnych środków leczniczych. Wiarę w pośmiertne istnienie, przynajmniej co się tyczy książąt, szlachty i ich czeladzi, bardzo wyraźnie wskazuje ten zwyczaj, że po śmierci jakiegoś możnego człowieka grzebano wraz z nim jego prawowitą małżonkę, czy to żywą, czy poprzednio otrutą, zupełnie jak gdyby chciano przedłużyć małżeństwo za grobem. Ciała książąt i magnatów, nad ogniem wysuszone, przechowywano w przewiewnych pieczarach.

*) Andagayo: en manera de niño hermoso; ciekawy to rys charakterystyczny, który pozwala przypuszczać istnienie umysłowej arystokracji, gdyż tylko ludy szlachetnie czujące mogą sobie wyobrażać bóstwo w pięknej postaci.

Często wazale zabijali się na grobie swoich władców, a chowano ich z ziarnami kukurydzy w ręku, aby się kasta rolników i na tamtym świecie przechowywała. Proste go ludu nie chowano, ale tylko wynoszono umierającego na jakieś odludne miejsce i rolę służby pogrzebowej zostawiano robakom i ptakom.

Balboa, ściągnawszy ostatnie resztki osadników z Nombre de Dios, wyruszył ze 130 ludźmi do nadbrzeżnej krainy Careta, 20 leguas odległej od Santa Maria. Panował tam wódz imieniem Chima. Dotychczas krajowcy za ukazaniem się Hiszpanów uchodzili; książę Chima zaś oczekiwał Hiszpanów, ale nie mógł im dać żywności, której żądali, ponieważ wojny wyczerpały jego państwo. Jako tłumacze Tiby wystąpili dwaj Hiszpanie, płynnie mówiący krajowym językiem, zupełnie nadzy i pomalowani czarnym kolorem indyjskim. Przed ośmnastu miesiącami wyskoczyli oni byli, z trzecim jeszcze towarzyszem, z eskadry Nicuesy i przyjęci gościnnie przez Tibę wyświadczały mu swoją europejską bronią wielkie usługi w wojnach. Z rady jednego z tych zdziczałych Hiszpanów, Juana Alonso, który w pewnej bitwie zabił jednego z dwóch swoich towarzyszy, udał Balboa, że się cofa, ażeby za nadejściem nocy napaść na Caretę, przyczem niewdzięczny zdrajca postarał się, aby Tiba Chima wpadł w ręce zdobywców. Książę okupił się przyrzeczeniem, iż odda przyszłe zbiory i oddaniem córki w małżeństwo Vasco Nuñezowi. Poddani Carety musieli natychmiast zasiać pola dla Hiszpanów, za to po skończeniu tych robót cudzoziemcy z 2000 wojowników Chimy wyruszyli przeciw sąsiedniemu wrogowi jego, Tibie Ponca. Do tego ostatniego należał pas nadbrzeżny, odległy o pięć mil ku północo-zachodowi, gdzie Hiszpanie później założyli kolonię Acla, smutnej pamięci, nad dzisiejszą rzeką Kaledońską. Ponca za zbliżeniem się nieprzyja-

ciela uszedł w Kordyliery. Hiszpanie splądrowawszy co można było, tylko złote naczynia zabrali z sobą.

Od kaledońskiej rzeki wyprawa ruszyła w głąb kraju do krainy Comogre, która leżała wprawdzie tylko o mil 12 na zachód, ale w skutek zagięcia Kordyliarów dopiero po trzydziestomilowym marszu otwarła się przed Hiszpanami, jako uśmiechnięta, wesoło zroszona potokami trawiasta dolina, dwanaście mil długa a otoczona łysemi górami. Tamtejszy *tiba*, imieniem Ponquiaco, używał wielkiego znaczenia pomiędzy dynastami przesmyka, i Hiszpanie w skutek pośrednictwa swoich sprzymierzeńców z Carety, byli mile przyjęci w siedzibie książęcej. Pałac tiby swoją wielkością wprawiał Europejczyków w podziw. Tworzył on cztery skrzydła, 150 kroków długie a 80 szerokie, otoczony był murem kamiennym, a pokoje sztucznie były dachem nakryte. Magazyny jego pełne były zboża, ryb, dziczyzny, a w piwnicach stała chicha, napój z kukurydzy i owoców. Bardziej jednak niż wszystko inne zajmował uwagę Hiszpanów grobowiec monarchów. Tam w bawełnianych hamakach, obarczone ozdobami i talizmanami leżały mumie dawnych władców państwa, niejako dokumenta i pieczęcie z czasów ich panowania, podczas gdy święte śpiewy epickie, kronikarskim sposobem ratując przeszłość od zapomnienia, unosiły się dokoła tej pieczary. Ponquiaco ofiarował Hiszpanom w prezencie 80 grzywien złota (4000 pesos). Gdy po odciągnięciu piątej części królewskiej przy podziale reszty zdobyczy wszczął się zatarg, infant tiby wyraził wielkie zdziwienie, że Hiszpanie tak chciwi są metalu, który dla krajowców tylko wtedy ma znaczenie, gdy jest za pomocą ozdobnych form uszlachetniony. „Pokażę wam kraj, powiedział, gdzie będziecie mogli do syta waszą żądzę zaspokoić. Ale tam musicie się udać w większej liczbie, gdyż na drodze do tego miejsca mieszkają potężni i waleczni książęta. Na-

przód dostaniecie się do kraju króla Tubanama, gdzie w obfitości możecie się napatrzyć tak upragnionemu złotu, ale zanim tam dójdziecie, sześć słońc zejdzie i zajdzie. *Tam na owym grzbiecie gór zobaczycie i inne morze*, po którym pływają okręta nie mniejsze od waszych karawel, mające także żagle i wiosła.“

To były pierwsze wyraźne wiadomości o oceanie po tamtej stronie gór i tylko Kordyliery wałem leżały przed wielką tajemnicą, która, jak skoroby przestano uważać Nowy świat za wschodnią krawędź Azyi, musiałaby zupełnie nową cenę nadać atlantyckim odkryciom. To, co daryjski książę mówił wówczas o statkach z żaglami i krajach niesłychanie obfitujących w złoto, współcześni odnieśli później do państwa Inków peruwiańskich, których tratwy (balsas) miały bezwątpienia także żagle. Jakkolwiek obiecująco brzmiała wiadomość, jakkolwiek syn tiby ofiarowywał się pozostać jako zakładnik w rękach Hiszpanów i głową ręczył za prawdziwość swojej wiadomości, to przecież Balboa czuł się za słabym, żeby przedsięwziąć wyprawę do owego południowego morza, i tymczasowo zadawałniał się tem, iż znalazł na przesmyku stopień kultury, jakiego się po dotychczasowych doświadczeniach nie spodziewano. Za pomocą ożywionego handlu rybacka ludność nadbrzeżna i rolnicza w głębi kraju wypełniały zakres rozmaitych potrzeb swoich, a nieustanne zatargi między drobnymi władcami nie miały już na celu prostej grabieży, walczano bowiem o posiadanie uprawnych pól lub rybnych wód, a jeńcy wojenni stawali się poddanymi.

Zanim zabrano się do powrotu, brunatna arystokracja i pospólstwo pozwoliły najspokojniej spełnić nad sobą obrządek chrztu, ku wielkiemu oburzeniu stumiennego Las Casasa na to bezmyślne znieważanie świętych sakramentów, poczem Ponquiaco i Chima, tibowie z Comogre i Ca-

rete, otrzymali imiona austriackich książąt, Don Carlosa i Fernanda.

Wielka była radość, gdy Balboa wrócił do Santa Maria, a radość ta jeszcze się zwiększyła w skutek powrotu z Espanioli pewnej karaweli, którą Balboa wysłał był na wiosnę 1511 pod dowództwem Valdivii, z prośbą do drugiego admirała, Don Diega Colon, aby dał żywności i świeży zapas ludzi. *) Zapasy, które Valdivia przyniósł nie na długo wystarczyły. Zwrotnikowe deszcze zatopiły pola Santa Marii i zupełnie poniszczyły zasiewy kolonistów. Valdivia więc musiał jak najspieszniej znów jechać do Santo Domingo dla uproszenia u admirała Diego Colon nowych zapasów. Balboa nie omieszkiał przesłać wiadomość o drugim oceanie po tamtej stronie Nowego świata. Chwalił się swymi czynami, że już przeszło 30 wódzów powiesił, i oświadczył gotowość „do jeszcze większych wysiłków w służbie Boga i korony.“ Wymownem poparciem listu miało być 300 grzywien złota, które posłał Balboa jako piątą część królewską, ale karawela Valdivii rozbiła się w pobliżu Jamaiki, a on sam śmierć tam znalazł. **).

*) Na tym statku opuścił Daryę adwokat Enciso. Balboa uwięził go był i wytoczył mu proces, jako buntownikowi, ale na prośby przyjaciół ulaskawił i wyprowadził z Valdivii do Santo Domingo.

**) Dwudziestu rozbitków siadło na wielką łódź, ale prądy rzuciły ich na wschodnie wybrzeże Yucatanu. W drodze pragnienie zmusiło ich do picia własnego moczu; siedmiu też zginęło w drodze. Na wybrzeżu wpadli w ręce pewnego wodza, który Valdivię i kilku innych poświęcił na ofiarę bogom. Siedmiu Hiszpanów, których zostawiono dla późniejszej uroczystości, uciekło do sąsiedniego wodza Aquincuz, który się srogo z nimi obchodził, ale zostawił ich przy życiu. Z tych nieszczęśliwych pięciu uległo zabójczym wpływom klimatu, a z dwóch pozostałych majtek Gonçalo Guerrero zupełnie się z indyanizował, poprzekłuiwał nos, usta i uszy i pojął mozną Indyankę, z którą miał synów. Służył kacykowi krainy Chetemal, który się nazywał Nachaneam, w jego drobnych wojnach i ukrywał się przed Hiszpanami, którzy później wylądowywali. Ostatnim był sławny Geronimo de Aguilas z Ecija, który wierny swemu duchownemu stanowi nie dał się wciągnąć w małżeństwo z Indyanką. I on służył jako wojownik jednemu z wódzów Yucatanu; i po ośmiu

Balboa w pierwszej swej wyprawie ograniczył się na północno-zachodniem wybrzeżu. Teraz zamysłał puścić się w górę Atrato i dotrzeć do obfitującej w złoto krainy Dabaibe, dokąd się był schronił panujący nad rzeką daryjską dynasta Çemaco. Na dwóch bergantynach i kilku indyjskich łodziach ruszyli Balboa i Colmenares ze 160 ludźmi w górę Rio grande de San Juan, i w pewnej opuszczonej wsi przy jednym z ramion Atrato zabrali wszystko złote naczynie, jakie tam było, ważące 140 grzywien. Gdy przy ujściu pewnego pobocznego strumienia wkroczone między daleko rozrzucone chaty pewnej osady kacyka Abenamachei, wywiązała się krwawa utarczka, zakończona pojmaniem Quebi czyli kacyka, któremu miecz hiszpański odciął rękę od ciała. Tu Colmenares pozostał, a Balboa z połową ludzi udał się w górę pewnego dopływu Atrata, który z powodu ciemnowej barwy nazwano Rio Negro. Nisko położone niwy zalane były wodą, i tam to spostrzeżono po raz pierwszy mieszkania na wierzchołkach palm, których pni siedmiu ludzi nie zdołało objąć, a których szczytu nikt nie mógł dosięgnąć kamieniem. Był to uciążliwy pochód, często dwie trzy mile trzeba było brnąć po wodzie, ale dowódca szedł na czele, rozebrany tak jak wszyscy Hiszpanie, którzy odzież i tarcze nieśli na głowie. Najbliższa wieś, do jakiej się dostano, należała do Quebi Abibeyba, który wezwany przez Hiszpanów, aby zeszedł ze swego powietrznego pałacu, bynajmniej nie zważał na to wezwanie. Ale zaledwie ludzie Balboi zabrali się do rąbania potężnego pnia palmy, wnet poddał się Quebi i przyrzekł dostarczyć z gór wielkiego okupu pieniężnego, sam bowiem nie posiadał złota. Gdy

latach 1519 wybawiony został przez eskadrę Cortesa. Pierwszem jego pytaniem było, czy to dziś środa? sumiennie bowiem odbywał ciągle posty i praktyki religijne. Doskonale znając język Maya, wielkie potem usługi, jako tłumacz świadczył Cortesowi. (Herrera Dec. II. lib. IV. cap. 7—8).

naznaczony termin upłynął, a okupu nie było, nic nie pozostawało Hiszpanom jak cofnąć się z dziećmi i żonami Quebiego, których im dano jako zakładników. Balboa ciągle marzył o dorado w krainie kacyka Dabaiby. W zasłoniętych deszczem Kordylierach na prawym brzegu Atrato szukał on gniazd tego szlachetnego metalu. Tam z rąk dzikich górali przechodziło złoto do Dabaibe, gdzie na dworze Quebi była wielka huta o stu robotnikach, i wszystko złoto, które się dostawało do zatoki daryjskiej, pochodziło z pałacu tego kacyka. „Dowiedziałem się o tem, powiada z naiwnem barbarzyństwem, rozmaitymi sposobami: za pomocą tortury, głaskania i prezentów“. Widząc, jak zawsze i wszędzie niska chciwość złota była przyczyną rozszerzania się zachodniej cywilizacji, ciężkie nas mogą opanowywać myśli i nasze współczucie dla śmiałej przedniej straży europejskiej zupełnieby ostygło, gdybyśmy i szlachetniejszych pobudek w nich nie dostrzegali. „Podobało się naszemu Panu, pisze uszczęśliwiony Balboa, mnie ten świat otworzyć i mniej pierwej niż komu innemu pozwolić go obaczyć. Za to będę go wielbił przez wszystkie dni tego świata i uważać się będę za najszcześniejszego ze śmiertelnych, jacy się w jego blasku urodzili.“

Nad Rio Negro tymczasem pewien oddział wpadł w zasadzkę i utraciwszy dwóch towarzyszy powrócił do Colmenaresa. Drobni władcy nad Atrato, nabrawszy ducha sprzymierzyli się i postanowili połączonymi siłami wyprzeć Colmenaresa, zanimby Balboa nadszedł z całą siłą. Gdy jednak Hiszpanie na pierwszy okrzyk wojenny 5—600 wojowników nie ustąpili, to napastnicy musieli krwawo zapłacić za swoje natarcie. Balboa nie chciał opuszczać tych złudnych złotych krain, i nie troszcząc się o nieprzyjacielskie kroki zostawił nad Rio Negro Bartolome Hurtado z 30 ludźmi, reszta zaś zdobywców wróciła do Santa Marii.

Załoga pozostawiona nad Rio Negro, chcąc czas pożytecznie spędzić, urządziła małe drapieżne wycieczki, które jej przyniosły z parę tuzinów jeńców. Dwudziestu takich niewolników z tyluż Hiszpanami posłano wielkim statkiem indyjskim do daryjskiego miasta. Szpiedzy donieśli o tem nieprzyjacielskim wodzom i na rzece Atrato uderzyły na barkę cztery wojenne indyjskie statki. Tym razem powiodło się krajowcom zniszczyć łódź Hiszpanom a ich samych pozabijać, z wyjątkiem dwóch, którzy się pod spławiane drzewo ukryli. Ci przynieśli tę smutną wiadomość Hurtadowi, który przytem zmusiwszy jeńców do wydania tajemnicy o związku pięciu wodzów nad Atrato, przekonał się, że położenie jego jest bardzo niebezpieczne. Natychmiast więc z dziewięciu czy dziesięciu towarzyszami zabrał się do odwrotu i z wielkim niepokojem i trudem dostał się do Santa Marii.

Że Quebi nad Atrato zagrozili Hiszpanom jakimś zamachem, miał się o tem Balboa i inną drogą dowiedzieć. Vasco Nuñez z pomiędzy ciemnych dam daryjskich wybrał był dla siebie czarującą Fulwię, i mogła się ona podług miejscowych pojęć uważać za żonę bohatera. Z braterskiej miłości odwiedził ją i ostrzegł o nadciągającej burzy brat jej, Saco czyli grand z państwa Quebi'ego Çemaco. Pięciu kacyków nad wielką rzeką, Çemaco, którego wyparto z jego siedziby, Abibeyba, którego żony i synowie tęsknili w niewoli, jako zakładnicy, Abenamachei, któremu odcięto rękę, Abraibe i Debaibe, którzy musieli uciekać przed cudzoziemcami, usiłowali wraz z poddany mi za pomocą postu zjednać sobie przychylność bogów; 5000 wojowników dążyło już przeciw Hiszpanom, a w bli skim Tichiri nagromadzono dla nich wielkie zapasy żywności. Historia podbojów w Nowym świecie obfituje w przykłady, że miejscowe kobiety zdradzały własny lud z miłości dla cudzoziemców. Balboa, dowiedziawszy się

z ust Fulwii o tajemnicy, natychmiast kazał uwięzić jej brata, Saca, i wziąć go na tortury.

Na torturach Saco przyznał się do wszystkiego, i dodał jeszcze, że już dawniej Quebi Çemaco godził na życie Balboi, gdy mu posyłał czterdziestu ludzi, jako dobrowolnych robotników pańszczyznianych. Mieli oni zabić Balboę, gdy ten stanie między nimi dla oglądania robót w polu. Vasco wprawdzie zjawił się między nimi, ale konno i z włócznią w dłoni, a jego wzrok i ręka taki przestraszyli, że nikt się nie ośmielił podnieść nań ręki. Balboa zachował przy sobie te zeznania, ale wnet posłał Colmenaresa z czterema łodziami do Tichiri, dla zabrania magazynów sprzysiężonych wodzów, sam zaś z 70 zbrojnymi wyruszył do Çemaka. Nie znalazł go w domu, ale za to schwycił jednego z jego krewnych. Colmenares zabrał magazyny, pochwycił Saca czyli pana Tichiri, który miał dowodzić wojskiem przeciw Hiszpanom, kazał go rozstrzelać z łuków, a wszystkich grandów indyjskich, którzy mu w ręce wpadli, powiesić, stosując się do ścisłej reguły Hiszpanów, powiada kostyczny Las Casas, ażeby nie ułaskawiać żadnego kacyka lub magnata, który stał się dla nich niebezpiecznym. Odkrycie tego zamachu i szybkie kroki Balboi na jakiś czas złamały wszelki opór krajowców, ale Vasco miał się teraz na ostrożności i silniej się oszańcował w Santa Maria daryjskiej.



ROZDZIAŁ CZWARTY.

OBJĘCIE OCEANU WSCHODNIEGO W POSIADANIE.

Balboa jest zagrożony procesem o zdradę stanu. Bezdrożność przesmyka. Balboa rusza w dolinę Chucunnaque. Dzika sprawiedliwość. Psy krwiożercze. Pierwszy widok Oceanu Wschodniego. Pochód nad Savannami. Formuła zajęcia w posiadanie. Ocean. Perły i archipelag perłowy. Powrót przez dolinę Chucunnaque. Poskromienie Tubanamy.

Ponieważ od dziesięciu miesięcy nie było żadnej wiadomości od Valdivii, postanowiono zatem wysłać na ostatniej karaweli, jaka była, poselstwo do Hiszpanii do króla. Najchętniej pojechałby był sam Balboa, ale nikt się na to nie zgadzał, na jego bowiem barkach spoczywało zbawienie wszystkich, a Indyanie bali się go bardziej, niż stu innych Europejczyków. Postępowanie Balboi z wielką tylko sztuką dawało się usprawiedliwić przed dworem, mógł się więc Balboa wszystkiego lękać, gdyby wysłanym był jakiś podstępny oszczerca. Dla tego na posłów obrał Queicedę, nieprzyjaciela Nicuesy i Rodriga de Colmenares, z których pierwszy w zakład zostawił swoją żonę, drugi wielkie plantacye i większą część swoich niewolników. Przedewszystkiem mieli oni żądać więcej osadników i zapasów żywności, gdyż podług przesadnych nieco słów Balboi „często więcej uszczęśliwiał Hiszpanów kosz kukurydzy, niżeli kosz złota“. Wysłańcom surowo zalecono, aby wysławiali bogactwo nowych krajów w celu zwabienia emigrantów, albowiem chciwy, robi uwagę biskup Las Casas słowami św. Ambrożego, bardziej się buduje blaskiem dukatów, jak blaskiem tarczy słonecznej. Przy zapalnej wyobraźni Hiszpanów mogła u nich znaleźć wiarę nawet baśń, że krajowcy w daryjskich wodach sieciami

łowią złoto. Tak dziwne wiadomości dochodziły z zagadkowego zachodu do Europy, a przecież wiele się z tych dziwnych rzeczy potwierdziło! Posłowie odjechali z Daryi przy końcu października 1512, ale dopiero w trzy miesiące potem dostali się do wybrzeża Kuby i dopiero w maju 1513 mogli stanąć na dworze hiszpańskim.

Po ich odpłynięciu nowe zaburzenia wybuchły w kolonii, zaburzenia z początku skierowane tylko przeciw znienawidzonemu Bartłomiejowi Hurtado, a później zagrażające i samemu Balboi, który nie przestawał okazywać predylekcyi swemu protegowanemu. Zawziętość doszła do takiego stopnia, że wrogie stronnictwa stały już naprzeciw siebie na ulicach miasta z obnażonymi szpadami i jeżeli nie było rzezi, to zawdzięczać to trzeba pośrednictwu ludzi rozsądnych, którzy w czas jeszcze przypomnieli wszystkim wspólne niebezpieczeństwo, grożące ze strony krajowców; ale zarzewie buntu dopiero wtedy zostało zupełnie zagaszone, gdy Balboa kazał okuć dwóch przewodców malkontentów, Alonsa Perez de la Rua i Baccalau-reusa Corrala.

Ponieważ ciągle miano do walczenia z głodem a przynajmniej z niedostatkiem, więc się dziełem Opatrzności wydało przybycie dwóch statków, które pod dowództwem Cristobala Serrano przywiozły zapasy żywności i 150 ludzi, a które wysłał był na pomoc kolonii wicekról Don Diego Colon, przebiegły bowiem Balboa prosił Don Diega o potwierdzenie swego sędziowskiego urzędu, zupełnie jak gdyby przesmyk daryjski należał do dziedzicznego namiestnictwa rodziny pierwszego admirała, i wicekról nie omieszkiał szczęśliwemu buntownikowi, który uznał jego wicekrólewską godność na owym spornym gruncie, przesłać oprócz zapasów i nominacyę na generalnego kapitana nowej kolonii. Obawy Balboi po otrzymaniu owego dokumentu znacznie się zmniejszyły. Władza, którą sobie przy-

właszczył, potwierdzoną już tym sposobem była przez urząd królewski i przynajmniej admirał Don Diego przebaczał mu bunt przeciw Encisie i Nicuesie.

Wiosna i lato 1513 upłynęło bez wszelkich przedsięwzięć. Prawdopodobnie przez okręta, które później z Espanioli przybyły do Daryi, otrzymał Balboa niepokojącą wiadomość z Hiszpanii, że tam usunięcia królewskiego namiestnika Nicuesy nie myślą puścić w niepamięć, i być może nawet, że wiedziano już w Santa Maria, iż na nowej flocie ma przybyć inny namiestnik, jako sędzia wszystkiego, co tu zaszło. Te złe wieści pobudziły Balboę do przedsięwzięcia jakiegoś niezwyčajnego czynu, któryby zmusił do milczenia oskarżycieli. Postanowił zatem dotrzeć do tajemniczego morza, o którego złotych i perłowych skarbach słyszał tak upajające wiadomości; wiedział on jednak dobrze, że przejścia przez bezdrożne góry będą mu bronili waleczni książęta, których odwagę i siłę powoli nauczono się cenić. Ale wyboru nie było i Vasco Nuñez Balboa, na wszystko zdecydowany, wyruszył dnia 1. września 1513 r. ze 190 Hiszpanami i 600 Indyanami, zabranymi dla niesienia ciężarów, na karaweli i dziesięciu indyjskich statkach, i czwartego dnia przybił do krainy Careta, gdzie go zaprzyjaźniony z nim tiba czyli książę gościnnie przyjął.

Przesmyk pomiędzy 8° a 9° geogr. szerokości ma wszcz. zaledwie 12 mil geograficznych. Ale w kierunku, który obrał Balboa, Ocean wschodni zatoką Św. Michała i jej rozgałęzieniami tak głęboko w ląd zachodzi, że przy brzegach Carety wody Atlantyku o dziewięć mil tylko odległe są od Pacyfiku. Na tej małej przestrzeni tyle się gromadzi trudności, że jeszcze w styczniu 1854 amerykańska ekspedycja pod dowództwem porucznika Strain, który w tem samym miejscu co Balboa, a przynajmniej w pobliżu tego miejsca miał przebyć Kordyliery, doznała kłę-

ski i wielu ludzi nie można było ocalić. Wyniesienie łańcuchów jest tak małe, że tylko niektóre szczyty dosięgają 3500 stóp, podczas gdy przecięciowo przełęcz górskie leżą na 1000 stóp nad morzem a Hiszpanie zaopatrzeni w dobrych przewodników nie potrzebowali się lękać, aby strome porfirowe ściany zmusiły ich nagle do odwrotu. Dział wodny obu oceanów leży blisko Atlantyku i w niektórych punktach zaledwie o dwie mile jest odległy od atlantyckiego wybrzeża. Po tamtej stronie Kordylierów za dni naszych zapełnia płaszczyznę dziewiczy las nieprzebyty. Olbrzymie pnie, owinięte pasożytami tworząc gęstą sieć roślinną, zmuszają wędrowca do torowania sobie drogi siekierą. To panowanie roślinności zdaje się sięgać od jednego oceanu do drugiego i gdzie tylko sztucznie ręce ludzkie nie zrobiły otworu, tam nigdzie promień światła nie rozprasza zmierzchu pod wierzchołkami. Całymi tygodniami może wędrowiec iść przez te lasy, nie widząc nieba, a jeżeli znajdzie jakieś szczęśliwie położone drzewo i wylezie na nie, to z wierzchołka ujrzy tylko nieskończoną, zieloną powierzchnię liściastego, nieruchomego morza lub co najwyżej dostrzeże migotanie, jakiejś leniwo płynącej wody, gdyż w chłodnym cieniu tych lasów niejedna rzeka toczy obfite wody swoje do oceanu wschodniego. Dwa takie dorzecza leżały na drodze Balboi. Savanas po krótkim biegu z północy na południe wpada do zatoki Św. Michała. W bliskim sąsiedztwie z tą rzeką bierze początek i potężniejsza Chucunaque, ale te wody wkrótce oddala od siebie łańcuch pagórków Tichiche *) i zmusza Chucunaque do dalekiego okrażenia ku północ-wschodowi, gdzie ta ostatnia rzeka spotyka Tuyrę i połą-

*) Krótka a często przejeżdżana przestrzeń pomiędzy zatoką Św. Michała a zatoką Caledonia ciągle jeszcze jest na wpół terra incognita. Tylko z map Fitz-Roy i Kieperta, kreślonych na podstawie dawniejszych i nowszych map hiszpańskich, można powziąć niejaki wyobrażenie o pochodzie Balboi.

czywszy się z nią wylewa się do zatoki Św. Michała naprzeciw ujścia Savanas.

W Careta zostawił Balboa część swoich ludzi, aby strzegli statków, a z resztą i z indyjskimi tragarzami wyruszył 6. września do posiadłości tiby Ponca. Pochód był nadzwyczajnie uciążliwy, można bowiem było korzystać tylko z ukrytych ścieżek, które w innym razie służyły do niespodzianych napadów. Dnia 8. września zajęto posiadłości małego dynasty, który uciekł do lasu. Balboa, jako roztropny wódz, nie chciał puszczać się dalej, zostawiając nieprzyjaciela za sobą, zostawał więc tu do 13. września, póki mu się nie udało zawrzeć przyjaźni z Poncą. Jako wywzajemnienie się za znaczne podarki w złocie otrzymał wódz koszule i żelazne siekiery, do których Indyanie, bardzo rozumnie, przykładali wielką wagę. Balboa, odprowadziwszy stamtąd część chorych do Carety, wyruszył dalej 20. września, i po dziesięciu leguas utrudzającego marszu, puścił się tratwami po Chucunaque aż do drugiego wysokiego łańcucha gór Tichiche, gdzie mu potężny wódz krainy Querequa ze swymi wojownikami chciał zagrozić przejście. Ale 24. września podczas nocnego napadu nieprzyjacielskiej eskadry, nieprzygotowanej na cuda europejskiej broni, poległ kacyk a z nim jakoby aż 600 ludzi. Tego samego jeszcze rana zasiadał Balboa w sądzie nad ludźmi (byli między nimi i bracia książęcy), których zastano ubranych w fartuchy kobiece i z tego powodu podejrzewano, iż byli narzędziem wschodniej rozpusty. Około 40 takich delinkwentów oddał Balboa na poszarpanie psom drapieżnym, które od czasu swego wprowadzenia 1493 ciągle towarzyszyły Hiszpanom w zdobywczych wyprawach. Te psy, albo raczej ich właściciele pobierali żółd, to jest przy podziale łupów wydzielano im część w miarę okazanej brawury. Jeżeli dzicy apostołowie europejskiej obyczajności przybierali sobie drapieżne zwier-

rzęta za towarzyszków broni, to nie powinniśmy się dziwić, że annale podbojów w Nowym świecie z biograficzną wiernością przechowały nam czyny niektórych psów sławnych. Nie było w Zachodnich Indyach kolonisty, któryby nie znał imienia Beçerrica, owego psa sławnego, który przy zdobyciu Puerto-Rico w 1514 padł od strzały karybskiej. Od niego pochodził, jeszcze może znamienitszy od ojca, inny czworonożny bohater Leonçico, wierny towarzysz Vasco Nuñeza Balboi, który swemu panu w wyprawie do oceanu Spokojnego przyniósł więcej jak 500 castellanos (3000 fl.), większa mu bowiem dostała się część zdobyczy, niż niejednemu strzelcowi. Jeżeli mamy wierzyć sprawozdaniom Balboi przesłanym dworowi, których treść znajdujemy u Piotra Męczennika, to Hiszpanie owemi wyżej wspomnianemi egzekucjami zjednali sobie szacunek miejscowej ludności. Ten grzech przeciw naturze panował tylko na dworach małych dynastów i ich wodzów, prosty lud pozostał wolnym od tej zarazy, a nawet przyprowadzał Hiszpanom grzeszników, aby się spełniła nad nimi sprawiedliwość, gdyż najczystsze, boskie słońce nieraz objawiało swój gniew za to obrzydłe przestępstwo. Dla tego też zachwyconym Europejczykom mógł się z daleka od miejsca grozy wydawać ten pochód jakby pochodem półboga i przypominać im wzniosły mýt o Herkulesie.

Rano 25. września wyruszył Balboa dalej z 66 towarzyszami, wszystkich nowych chorych pozostawiając w Quarequa. Szli pod górę po pod opuszczonemi chatami wodza Porque. Było już koło godziny dziesiątej, gdy indyjscy przewodnicy wskazali Balboi pobliski grzbiet, z którego można ujrzeć inne morze. Wówczas Vasco kazał zatrzymać się swoim ludziom, a sam poszedł naprzód, ażeby być pierwszym, który sięgnie okiem poza nową część świata. Wyszedłszy na bezleśną wyżynę, ujrzał przed sobą rozgałęzioną zatokę, która się ku nieznanemu otwierała

oceanowi. Wówczas rzucił się odkrywca na kolana i z podniesionemi rękami wydawał okrzyki radości, wyrażając nieskończoną wdzięczność Bogu, który „jemu, tak mało uzdolnionemu człowiekowi nieszlacheckiego pochodzenia“ podobnego czynu pozwolił dokonać. Dopiero potem dał znak towarzyszom, aby przyszli popatrzeć się na to wielkie widowisko i podziękować Bogu, że ich wybrał do tego dzieła. Na pamiątkę tej niezapomnianej chwili kazał Balboa nagromadzić kilka kup kamieni, wzniesć krzyż i na drzewach wyciąć imiona panujących: Doni Juany kastylskiej i Fernanda aragońskiego, a notaryuszowi Andres de Valderrabano kazał sporządzić protokół, do którego wniesione zostały nazwiska wszystkich obecnych towarzyszy Balboi dla podania ich potomności. Potem odśpiewano hymn ambrozyański i udano się w drogę z powrotem.

Ale przybycie cudzoziemców nie uszło uwagi czujnych krajowców i kacyk z Chiape oczekiwał na nich w porządku bojowym. I tu broń ognista rozstrzygnęła los walki. Wiatr zaniósł zapach prochu do krajowców, którzy pewni byli, że cudzoziemcy ustami zieją błyskawice i zniszczenie. Nawet śpieszna ucieczka nie każdego zdołała ocalić od psów puszczonej w pogoń; inni zaś pozostali w rękach zwycięzców, jako jeńcy. Balboa i tutaj trzymał się swej polityki, aby okazawszy potęgę swej broni, zjednać potem sobie zwyciężonych; dla tego dał wolność kilku ludziom, ażeby ci w towarzystwie kilku ludzi z Quarequa ofiarowali pokój zdumiałemu władcy Chiape.

Dnia 29. września wyruszył Balboa z 26 towarzyszami z Chiape i wieczorem stanął nad wązkiem ramieniem ujścia rzeki Savanny. Był to czas odpływu i wędrowcy rozłożyli się na brzegu rzeki. Niebawem na wpół próżne koryto rzeki napełniło się z nadzwyczajną siłą, właściwą zjawiskom przypływu na tem wybrzeżu oceanu Spokojnego. Kiedy się zwierciadło wody podniosło, Balboa schwy-

cił chorągiew z wyobrażeniem Najśw. Panny i dziecięcia Jezus, pod których stopami świeciły herby Kastylii i Leonu i po kolana wszedł w słoną wodę, a brodząc tam i nazad wołał: „Niech żyją najjaśniejsi i wszechpotężni monarchowie, Don Fernando i Doña Juana, panujący Kastylii, Leonu i Aragonii, w których imieniu dla korony kastylskiej bez wszelkiej protestacyi, rzeczowo, cielesnie i czynnie obejmuję w posiadanie te australskie morza, kraje, wybrzeża, porty i wyspy, ze wszystkiem, co w sobie zawierają, ze wszystkimi państwami i marchiami, które do nich należą lub należeć mogą, w jakikolwiek sposób, z jakiegokolwiek przyczyny, na jakiegokolwiek podstawie prawnej, dawnego lub nowego pochodzenia, z czasów przeszłych, terażniejszych lub przyszłych. A gdyby jaki książę lub wódz, czy to chrześcjanin czy niewierny, wyznający jakąkolwiek religię, sektę, lub cokolwiek innego, z jakiegokolwiek wystąpił roszczeniami do tych krajów i mórz, to jestem gotów opierać się jemu i walczyć z nim w imieniu monarchów Kastylii, tak obecnych jak przyszłych, do których panowanie nad temi Indyami należy, tak wyspy, jak północny i południowy łąd stały ze swemi morzami od bieguna północnego do południowego, po tej i po tamtej stronie równika, wewnątrz i zewnątrz zwrotników Raka i Koziorożca, albowiem wszystko to, każda rzecz i każda część tej rzeczy w zupełności należy do Ich królewskich Mości i ich następców, jak to jeszcze potem obszernie na piśmie uzasadnię wszystko, co powiedziano i co może być przytoczonem na korzyść własności koronnej, teraz i po wszystkie czasy, jak długo świat trwać będzie, aż do sądu ostatecznego wszystkich śmiertelnych pokoleń“. A ponieważ na falach przypływu nie poruszył się żaden język, ażeby zaprotestować przeciw słowom lojalnego Hiszpana, więc ten ostatni zawezwał towarzyszy na świadków, iż w sposób legalny objął w posiadanie nowy ocean wraz

z jego brzegami, i kazał im przysiąc, iż będą bronili nowej własności korony kastylskiej. Tym sposobem świat australski, jak rzecz bez pana, zajęty został w posiadanie przez pierwszego przybysza za pomocą formuły nie bez znaczenia podług ówczesnych pojęć, pomimo iż była wypowiedzianą ustami człowieka, nad którego głową ciągle jeszcze wisiał proces o zdradę stanu.

Balboa następnie kazał wejść swoim towarzyszom do wody, zaczerpnąć jej i pokosztować, dla zbadania, czy woda nowego oceanu jest słoną. W korze trzech drzew, których pnie przyplływ opłukiwał, wyrzynał Balboa krzyże i dopełnił innych jeszcze zwyczajowych przepisów, aby dziełu swemu nadać piętno legalności.

Ztamtąd wysłał Balboa trzy oddziały do pobliskiego golfu, któremu dał dzisiejszą jego nazwę zatoki Św. Michała, ponieważ był to dzień 29. września, kiedy po raz pierwszy dotarli do niego Hiszpanie. Asturyjczyk Alonso Martin pierwszy, po dwudniowej podróży, dostał się na brzeg morza. Z wielkiem zdziwieniem ujrzał na suchej ziemi trzy indyjskie łodzie, gdy jednak nadszedł przypływ, pokrywający pół mili lądu, łodzie znalazły się na morzu. Wówczas Martin Alonso skoczył do jednego statku i wezwał swoich towarzyszy na świadków, że on pierwszy kołysał się na falach otwartego morza południowego.

Po powrocie tych wysłańców, przeprowił się Balboa na dziewięciu łodziach przez Sawannę i po trzechmilmowym marszu dotarł do chat Tiby Cuquera. Krajowcy byli już przygotowani na jego przybycie, i wszystkich, którzy się bronić nie mogli, w bezpiecznem ukryli schronieniu. Ale opór ich łatwo został złamany i wódz krajowców złotym podarkiem kupił sobie pokój u Hiszpanów, którzy powrócili do krainy Chiape. Tam wsiedli Hiszpanie na statki krajowców i w liczbie 60 ludzi dostali się do morza południowego (oceanu wschodniego). Przez dwa dni płynęli

brzegiem zatoki Miguel, przy dość złej pogodzie, aż wreszcie dotarli do krainy Chitarraga (Punta Brava) czyli do północnego przylądka przy ujściu zatoki do oceanu Cichego. Balboa wysiadł na ląd, pozostawił ludzi swoich przy statkach, a sam z kilku tylko towarzyszami ruszył do wsi Tiby Tumaca. Nocny napad 18. października powiódł się, pałac kacyka został splądrowany, a on sam stawiał się niebawem prosząc o pokój. Hiszpanie stali teraz na krańdzi bezgranicznego oceanu. Tylko na zachodzie z wypukłej powierzchni morza podnosiły się pagórki wyspy,*) którą krajowcy zwali Toe albo Terarequi, a którą natężniony Balboa nazwał wyspą bogactw, ztamtąd bowiem, powiadali Indyanie, pochodzą wszystkie perły, które musiały być w wielkiej obfitości, kiedy nawet wiosła książęcych pirog wykładane były tymi klejnotami. Na wyspie, dowiedziano się dalej, panował pewien wojowniczy książę, który korsarskimi napadami trapił ląd stały. Vasco Nuñez Balboa był nadzwyczaj ciekawy obaczyć tę cudowną wyspę, i chciał się do niej przeprawić, ale krajowcy ostrzegli go, aby tego nie robił w ostatnich trzech miesiącach roku; w istocie ciągle burze nadchodziły z południa i Balboa przekonał się, że nawet pięciomilowej przestrzeni, jaka dzieliła ląd od wyspy, nie można było przebyć na miejscowych canoes. Poprzestał więc tylko na wysłaniu kilku ludzi z notaryuszem królewskim i kilku poddanymi Tiby Tumaca do pobliskiej wyspy dla połowu pereł.***) Tam nurkowie Tiby dobywali z ławic perłowych muszle i otwierali je w oczach Hiszpanów.

Pełnemi rękami wszędzie dawali krajowcy Europejczykom cokolwiek posiadali z podobnych klejnotów, i kilka

*) Isla del Rey albo Isla San Miguel w Archipelagu perłowym na naszych mapach.

**) Iguana albo też jakaś bezimienna mała wyspa na południo-wschód od Punta Brava na Prevosta mapie przesmyka panamskiego.

słynnych egzemplarzy z tych bogactw dostało się wówczas do Europy. Szkoda tylko, że nieporadni łowcy pereł nie umieli inaczej otwierać muszli, jak za pomocą rozżarzonych węgli, przyczem naturalnie dym szkodliwie wpływał na blask klejnotu. Był to szczęśliwy traf, że do oceanu wschodniego dostano się w miejscu, w którym on obfitował w ławice perłowe; prócz tego otrzymał Balboa od wodza Tumaca tę samą wiele obiecującą wiadomość, co w Comagre, jakkolwiek wiadomość ta, dopiero później jasno zrozumiana, przez długi czas była zaniedbywana. Tiba mówił o krajach leżących dalej na południu nad brzegiem oceanu, a mówiąc utworzył z gliny postać zwierzęcą, która „po części podobną była do owcy, po części do wielbłąda“ i dał do zrozumienia, że tego zwierzęcia na południu używają do noszenia ciężarów. Hiszpanie nie umieli wyciągnąć korzyści z tej ważnej wiadomości i nie dowierzali, tymczasem to, co Tiba mówił, stosowało się do lamy, a owem państwem na południowym wybrzeżu było wielkie państwo peruwiańskich Inków.

Balboa zabrał się teraz do odwrotu w towarzystwie brata Tiby z Chiape i syna Tumaki. Mała eskadra obrała z powrotem inną drogę i przez Boca Chica, gdzie w cieńniu drzew manglowych musiano szukać przejazdu, dostała się do Darien Harbour, wewnętrznego rozgałęzienia zatoki Św. Michała, albo raczej rozszerzonego ujścia pewnej wielkiej rzeki Tuyra. Tu pożegnano się z indyjskimi książętami, którym szczerych łez nie brakło, gdyż przyjaźń Hiszpanów dała im wobec bitnych sąsiadów pewną przewagę, zwodniczą, co prawda, i przemijającą. Balboa, prawdopodobnie z porady swoich nowych przyjaciół, obrał inną drogę z powrotem. Udał się naprzód w górę Tuyry i czas jakiś szedł doliną tej rzeki, potem przeszedł w dolinę Chucunaque i dążył brzegiem tej rzeki aż do jej źródeł. Przechodził on przez widownię, na której klęska

spotkała wyprawę porucznika Strain w 1854, który stał był bezludną pustynią w dolinach, za czasów Balboi gęsto zaludnionych. Pierwszy książę, który Hiszpanom wracającym wpadł w ręce, nazwiskiem Thevaca, gościnnie ich przyjmował, obdarzył złotem i perłami, zaopatrzył w żywność i ludzi do niesienia ciężarów. Trzydniowa, uciążliwa droga przez bezwodną sierra zaprowadziła Hiszpanów 5. listopada 1513 do posiadłości innego dynasty imieniem Pacra, którego Balboa w depeszach swoich przedstawia jako potwora. Pacra cofnął się, wystawiając kraj swój na rabunek, i dopiero po trzech dniach odważył się pokazać w obozie Balboi, gdzie go wzięto na tortury, chcąc zeń wydobyć tajemnicę kopalni złota, które miały się znajdować na jego terytorium. Vasco Nuñez, pomimo iż przyrzekł mu był bezpieczeństwa, oddał go wraz z trzema jego wodzami na pożarcie psom, a potem członki ich kazał spalić, wiarołomstwo zaś swoje starał się usprawiedliwić okrucieństwem i wynaturzoną rozpustą tych ludzi. Ta dzika jednak sprawiedliwość podobała się sąsiadom groźnego Pacry, zewsząd bowiem pojawiły się poselstwa z podarkami. Tu spotkali się z Balboą ci chorzy Hiszpanie, których musiał być zostawić w Chiape, a którzy od Savany przez góry przeszli w dolinę Chucunaque, krajem uprzejmego i hojnego Tiby Bonanimana. Dnia 1. grudnia połączony oddział, wzmożony czterotygodniowym odpoczynkiem, ruszył dalej. Pochód na Chucunaque utrudniały błota, gdzie się chronili przed Hiszpanami nieliczni krajowcy i tylko posłowie dalszych wodzów zjawiali się tu z podarkami w złocie. Nawet indyjscy ciężarnicy padali od zmęczenia i głodu, i awanturnicy nasi znajdowali się w najkrytyczniejszym położeniu, kiedy wreszcie dostali się do uprawnej krainy, do posiadłości Tiby Pocorosi, gdzie 8. grudnia czekały na nich zapasy owoców i zwyczajne dary w złocie. Jak

wszyscy posłowie nieustannie pobudzali Hiszpanów przeciw pewnemu pobliskiemu a potężnemu Quebi, najsilniejszemu z tych drobnych monarchów, tak też i Pocorosa zręcznie ich podmawiał przeciw temu swemu sąsiadowi Tubanامية, o którym już Hiszpanie wiedzieli, że wiodł on ciągle walki z Tibą Comogre, Don Carlosem, ochrzczonym sprzymierzeńcem Balboi. U Pocorosy znów zostawiono chorych, a Balboa z 80 towarzyszami rannym zmierzchem 8. grudnia 1513 wkroczył do rezydencji groźnego Tubanamy, i Quebiego wraz z 80 żonami schwytał w kształtnym jego pałacu. Zaledwie straszliwy człowiek znalazł się pod kluczem, wnet zjawili się posłowie od sąsiadów, ze skargami na niego i z żądaniem, aby go stawić przed sąd hiszpański. Monarcha ze łzami błagał o litość Balboę, który mu także groził psami, ale się udobruchał bogatym okupem. W dzień Bożego Narodzenia przybyła straż tylna z chorymi i przepłukiwano piasek rzeczny na próbę, przy czem się wielka złotodajność jego potwierdziła, ale Balboa, zmęczony pochodem, dostał gorączki i myślał tylko o powrocie, a z przyczyny choroby musiał wracać w lektyce. Uprowadziwszy jako zakładników jednego z synów Tubanamy i kilka piękności z jego haremu, ruszył 1. stycznia 1514 przez przyjacielską krainę Comogre do państwa Ponca, skąd się wspiał na szczyt sierry. Już u kacyka Ponca spotkał czterech swoich ludzi, którzy wyszli na przeciw niego i przynieśli mu wiadomość o przybyciu hiszpańskich statków do Santa Maria, dokąd Balboa przybył 19. stycznia po więcej niż studniowej nieobecności.

Pochód ten jego na wieki pozostanie pamiętnym, jakkolwiek przebyta odległość była dość szczupłą. Ażeby pojąć zuchwałość tego przedsięwzięcia, potrzeba zwrócić uwagę na przeszkody, jakie mu stawiały podzwrotnikowe puszcze i bitność licznych książąt na przesmyku. Wprawdzie Las Casas przedstawia potyczki z krajowcami coś tak,

jak polowanie na kuropatwy; ale podczas gdy Indyanom Cueva udało się wkrótce potem niejedną oddział Hiszpanów zupełnie zniszczyć, Balboa mógł się pochwalić, że nie utracił ani jednego towarzysza. Z wielką ostrożnością zmuszał wszystkich Tibów, których napadał, do szukania pokoju i bardzo przebiegle umiał wyzyskać polityczną zawziętość drobnych władców. Ofiary oburzającej jego sprawiedliwości były przynajmniej rozumnie wybierane, wywierał bowiem swoje okrucieństwo tylko na tych, którzy dla innych byli strasznymi, i tym sposobem zjednywał sobie słabszych sąsiadów. Jeżeli z wrażliwością naszego stulecia zechcemy oceniać kroki tego człowieka, to wstręt nasz ku jego postępowaniu zagłuszy uwielbienie dla jego zasług. Na usprawiedliwienie Balboi w tym względzie da się tylko dwuznaczna powiedzieć pochwała, że nie przelewał on krwi swawolnie, ale z rozważą, da się następnie powiedzieć to, że był jeszcze mniej srogim od swoich poprzedników, i że wyludnienie przesmyka poczęło się dopiero wtedy, kiedy go już oddawna nie było na świecie.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Ś M I E R Ć B A L B O I.

Pedrarias mianowany namiestnikiem. Wielka eskadra. Balboa pod śledztwem. Głód. Balboa pobity nad Atrato. Powstanie Indyan Cueva. Wyprawa Moralesa do Terarequi. Upajająca wiadomość. Zemsta krajowców. Fatalne położenie Hiszpanów. Zaręczyny Balboi. Budowa okrętów na morzu południowym. Podejrzenia Pedrarias. Aresztowanie i ścięcie Balboi. Jego zasługi i zbrodnie.

Dopiero na początku marca 1514 odpłynął do Hiszpanii okręt, na którym Balboa mógł przesłać sprawozdanie ze swoich nowych odkryć, dodając, jako ilustrację, piątą królewską część dochodu, 20.000 castellanos i 200 sztuk najpiękniejszych pereł. Gdyby poselstwo o kilka

miesiący wcześniej było wyprawione, zmieniliby zapewne nie jedno postanowienie dworu. Dwór hiszpański nie mało był oburzony buntem przeciw Nicuesie, nieszczęśliwy ten bowiem namiestnik był ulubieńcem biskupa Fonseki, a przez ręce tego człowieka, który cieszył się ciągle jednako ufnością króla Ferdynanda, przechodziły wszystkie publiczne sprawy nowych posiadłości hiszpańskich. Nawet adwokatowi Enciso, wypartemu przez Balboę z Daryi, gdy powrócił do Hiszpanii, zagrożono procesem o wynagrodzenie szkód za to, że brał udział w rokoszu przeciw Nicuesie. Dopiero gdy w maju 1513 Queicedo i Colmenares zjawili się u dworu i wymownie odmalowali powodzenie kolonii, jej bogactwa i nadzieje, które nowy ocean rokował, dopiero wtedy zaczęto w Hiszpanii inaczej zapatrywać się na zdradę stanu Balboi. Balboa w depeszach swoich żądał tylko 500 ludzi dla zdobycia państw nad australiskiem morzem, tymczasem postanowiono natychmiast posłać mu 1200 ludzi, ale nie zwrócono zupełnie uwagi na to, że Balboa żądał ludzi przywykłych do klimatu zwrotnikowego na Espanioli. Namiestnikiem nowej kolonii pod wpływem Fonseki obrany został sześćdziesięcioletni Pedrarias de Avila, brat hrabiego Punionrosto, który wychował się na dworze, jako paź, a potem odznaczył się w afrykańskich wyprawach.

W roku 1512 król Ferdynand nakazał był Gran Capitanowi Gonzalo de Cordoba zwerbować we Włoszech wojsko przeciw Francuzom. Kwiat hiszpańskiej szlachty cisnął się pod chorągwie największego wodza swego czasu, ale Ferdynand podejrzewając Cordobę, zaniechał wyprawy, i generał w sierpniu 1512 otrzymał rozkaz rozpuszczenia wojska. Wielu z zawiedzionych przyjęło służbę pod Pedrariasem i ztąd współcześni mieli prawo mówić, że z nowym namiestnikiem wyruszył do Nowego świata kwiat Hiszpanii. A kiedy odjazd przewlekl się aż po za

1513 r., to chęć emigrowania tak się wzmogła była, że nie można było wszystkim zadość uczynić, i z 3000 już zwerbowanych połowę odprawiono, podczas gdy więcej jak 10.000, dodaje Las Casas, gotowych było bez grosza żołdu sięść na okręta. Nawet sędziwa małżonka namiestnika, Isabel de Bobadilla, nie wahała się pojechać za swoim małżonkiem do Nowego świata, pomimo iż ośmiu synów zostawiała w Hiszpanii.

Juan Serrano, późniejszy towarzysz Magelhaensa, służył na tej flocie jako naczelný sternik, odpłynęli na niej także dwaj wyborni dziejopisarze podbojów hiszpańskich, Gonzalo Fernandez de Oviedo, jako urzędnik skarbowy i prostoduszny kapitan Bernal Diaz, jeden ze sławnych towarzyszyów broni Hernana Cortesa. Władza nowego namiestnika Złotej Kastylji w ten sposób została ograniczoną, że we wszystkich ważnych sprawach miał zasięgać rady urzędników koronnych, a przede wszystkim nowomianowanego biskupa Daryi Fr. Juana de Quevedo.

Dnia 11. kwietnia 1514 r. 22 żaglowce z 1500 ludźmi podniosły w San Lucar kotwicę a 3. czerwca dojechały do wyspy Dominiki. Ażeby dać flocie przedsmak swoich rządów, kazał namiestnik jakiegoś żołnierza za małe nieposłuszeństwo powiesić na brzegu. Prawdą jest jednak, dodaje sarkastycznie Oviedo, że w pięć czy sześć miesięcy potem wytoczono proces winowajcy, i winę jego dokumentami udowodniono. W drodze wylądowano na wybrzeżu Santa Maryi, aby tamtejsze ludy karybskie ukarać za niejeden krok ich nieprzyjacielski. Podług królewskich rozporządzeń oficerowie przed uderzeniem na krajowców winni byli odczytać im uroczystą, po hiszpańsku napisaną proklamację i kazać ją przetłómaczyć indyjskim tłómaczom. Spełniono to lojalnie i z hiszpańską powagą, jakkolwiek dla Karybów ta proklamacja była tak zrozumiała, jak n. p. mowa Basków dla Araba, i sam nawet namiest-

stnik po spełnieniu przepisów prawnych wybuchł szyderczym śmiechem. Odpłynąwszy ztamąd, zjawił się Pedrarias 30. czerwca 1514 przed Santa Maria Daryjską, gdzie Balboa przyjął i oddał mu miasto ze 100 jego domami i 515 osadnikami. W przytomności Ovieda kazał namiestnik pokazać Balboi królewskie listy, w których polecono pierwszemu łaskawie obchodzić się z zasłużonym odkrywcą, ale już następnego dnia rozpoczął Pedrarias, za plecyma królewskiego sędziego, tajemne śledztwo przeciw Balboi. Ale przebiegły Vasco natychmiast obrał sobie na współnika swoich plantacyi biskupa Quevedo, a jeszcze przedtem pozyskał był łaskę koronnego podskarbiego w Santo Domingo, Miguela de Pasamonte, który miał stanowczy wpływ na króla, tak, że tajemne śledztwo w rezultacie zakończyło się uniewinnieniem Balboi.

Gdyby nawet szarańcza nie spustoszyła była w r. 1514 przesmyka, i gdyby nie spłonął magazyn z zapasami żywności, to i tak 1500 osadników daryjskich musiałoby głód cierpieć, dotychczas bowiem koloniści Nowego świata w małej tylko liczbie mieli możność wyżywienia się. Do gorączek brzegowych przyłączyły się przypadkowo inne zarazy, i śmierć tak szybko zmiotła 500 osadników, iż często nie starczyło rąk do chowania umarłych, i nie był to nadzwyczajny widok, gdy kawalerowie w jedwabiach i złotogłowi marli z głodu na ulicy, jak żebracy. Pedrarias zatem rozdzielił swoje liczne tłumy na małe oddziały, które się rozbiegły we wszystkich kierunkach. Jakkolwiek zrobiono to może w celu łatwiejszego wyżywienia się, jednak najskuteczniejszą pobudką do tego była chęć łupu. Najgorzej powiodło się wyprawom przedsiębranym do wybrzeża Uraby i dalej na wschód do Sinu. Karybscy mieszkańcy pobrzeżni, u których spodziewano się znaleźć wielkie bogactwa kruszcowe, zwabili Hiszpanów w nieprzebyte lasy zwrotnikowe, lub napadali ich

podczas przeprawy przez górskie wody, gdzie psy i broń ognista Europejczyków mało co mogły zdziałać przeciw zatrutym strzałom krajowców. Tym sposobem ginął jeden oddział po drugim, i z paru setek, które były wyruszyły, powrócił tylko jeden indyjski niewolnik, aby dać wiadomość o losie zabitych. Wkrótce i Indyanie Cueva na przesmyku zaczęli być groźni dla Hiszpanów. Juan de Ayora przeciągał przez posiadłości przyjaznych kacyków, aby wycisnąć z nich złoto i niewolników. Tubanama, najpotężniejszy Quebi, wytrzymał pierwsze natarcie, i jakkolwiek nie zwyciężył, zmusił przecież Hiszpanów do oszańcowania się. W posiadłościach Tiby Pocorosy, w maju 1515, założono miasto Santa Cruz. Ztamtąd jeden z dowódców hiszpańskich, Gamarra, popłynął brzegiem ku zachodowi, dla wyduszenia daniny z tamtejszej ludności, ale powrócił pobity i zawstydzony. Jednocześnie udało się Tibie Pocorosie napaść na Hiszpanów zostających pod dowództwem Garcíalvareza w Santa Cruz i wymordować wszystkich z wyjątkiem pięciu, tak że w sześć miesięcy po założeniu tego miasta, nic już z niego nie pozostało było. Miał zatem prawo Balboa donosić królowi: „Karybi i Indyanie z baranków przemienili się w dzikie lwy. Żaden książę, żaden krajowiec tutejszy, z wyjątkiem władcy Carety, nie zachowuje pokoju z nami.“

Ale nawet roztropny Balboa, który z garstką żołnierzy i szczyptą zdrowego rozumu w pochodzie swoim przez przesmyk umiał zjednać sobie uległość całego szeregu dy nastów, nie miał być teraz szczęśliwszym od innych dowódców. Wyruszył on w czerwcu 1515 z 200 ludźmi w górę rzeki Atrato, chcąc się dostać do cudownej krainy złota, Dabaibe. W dolinie Atrato panował głód, gdyż i tam owady zniszczyły plon polny. W krainie Dabaibe zostawił większe statki, aby z 50 ludźmi na pirogach indyjskich puścić się dalej. Ale niebawem napadło go siedm

czy ośm nieprzyjacielskich statków. On sam otrzymał ranę, a barka, na której płynął, wywróciła się, ponieważ Hiszpanie nie umieli nią kierować. Następnie wszczęła się walka na lądzie, ale gdy Luis Carillo, jeden z dowódców, także został rażony strzałą, to awanturnicy, z wielkimi stratami, cofnąć się musieli do swoich łodzi i zrzec się dalszych planów. Pedrarias z utajoną radością powitał zawstydzonego Balboę; nieufność bowiem ku temu zuchwałemu i szczęśliwemu człowiekowi nie dawała mu pokoju, i owszem wzmogła się jeszcze, gdy w lipcu 1515 okręta z Hiszpanii przywiozły Balboi patent na Adelantada morza południowego (oceanu wschodniego) *) i namiestnika i generalnego kapitana prowincyi Coiba i Panama. Wprawdzie pozostawał Balboa i nadal pod zwierzchnictwem namiestnika Santa Marii, ale ten ostatni wiedział, że terytorjum jego zacieśnione zostało do przesmyka pomiędzy zatoką daryjską a San Miguel, bo jakkolwiek i dalej na wschód się rościagało aż do Cabo de la Vela, ale w owej stronie nie było wcale osad, lecz tylko krwawe zapasy z kacykami. Przez jakiś czas nosił się Pedrarias z myślą utajenia patentu, ale biskup Quevedo zmusił namiestnika do ogłoszenia królewskiego listu.

Tymczasem morze południowe dwa razy zostało zwiedzone, naprzód przez Franciszka Becerrę, który przeszedł przez przesmyk rabując, paląc i torturując, a potem przez Gaspara de Morales, który z 60 ludźmi dostał się do Perłowego wybrzeża południowego morza. Ponieważ statki jego nie mogły unieść wszystkich towarzyszy, zostawił więc ich połowę pod dowództwem Peñalosa na brzegu, a sam z wiernymi Indyanami z nad rzeki Savannas i z pół-

*) Nazwa ta jest tak dawna, jak odkrycie. Przesmyk Panama ma brzeg północny i południowy, i dla tego pierwsi odkrywcy nazwali atlantyckie wody morzem północnem: Mar del Norte, a wody oceanu Spokojnego morzem południowem: Mar del Sud.

nocnego wybrzeża Św. Michała, jako służbą okrętową, przepłynął się po niespokojnem morzu do Terarequi, czyli wielkiej wyspy w archipelagu Perłowym. Z początku wylądowano na jednej z wysepek, które wieńcem otaczały królewską wyspę. Zdarzyło się, że krajowcy obchodzili wówczas post, który nakazywał odosobnienie mężczyzn od kobiet, tak, że Hiszpanie wylądowując zastali na brzegu tylko kobiety. Ale niebawem nadbiegli mężczyźni i wszczęła się gorąca utarczka, którą rozstrzygnął swymi drapieżnymi czynami wojennymi pewien pies hiszpański. Przeprowadziwszy się następnie do Terarequi, garstka Hiszpanów zle znalazła przyjęcie u panującego tam nad walecznymi wyspiarzami dynasty, który dopiero po czterech zaciętych utarczkach przekonał się o nieodpartej sile hiszpańskiego oręża. Wówczas otworzył gościnnie swój pałac, którego bogactwa przyćmiły wszystko dotychczas widziane i dał Hiszpanom w podarunku koszyk ze 110 grzywnami pereł. Następnie poprowadził oficerów hiszpańskich na szczyt pewnej budowy podobnej do wieży, z kąd się rozlegał widok ku zachodowi na bezbrzeżne morze południowe, a ku wschodowi brzegiem stałego lądu gubił się w błękitnem oddaleniu. Monarcha wskazał na wszystkie wyspy ciągnące się do Terarequi, jako na swoją własność. „Złota, dodał, tu nie znajdziecie, ale dno morskie dokoła tych wysep wszędzie jest pokryte perłami.“ Łatwo mogły te słowa i ten widok rozpaścić fantazję Hiszpanów, tem bardziej, że pomiędzy słuchającymi znajdował się człowiek, który nigdy czegoś podobnego nie zapominał — Franciszek Pizarro!

Naczelnik perłowej wyspy Terarequi wraz z chrztem otrzymał od swego dziwnego ojca chrzestnego imię Pedrarias. Wykonał też Gaspar Morales ceremonię urzędowego objęcia kraju w posiadanie, któremu zostawił nazwę kwiecistej wyspy (Flores), nazwę, nie tak mile brzmiącą

dla ucha zdobywców, jak Isla Rica Balboi. Tymczasem zostawiony na stałym lądzie Peñalosa i jego ludzie tak się źle obchodzili z krajowcami, że gdy Morales powrócił na ląd stały, wodzowie indyjscy zawarli z sobą przeciw Hiszpanom przymierze. Jeden z tych sprzysiężonych przyjął do siebie na noc dziewięciu Hiszpanów, których Morales wysłał był po swego zastępcę, i podstępna ukołysawszy ich gościnnością w nocy zapalił chatę, która spłonęła wraz ze spiącymi. Gaspar Morales dowiedział się o tym czynie dopiero wtedy, gdy inny wódz, który mu dotychczas towarzyszył, po niefortunnej próbie ucieczki wzięty został na tortury i wyznał wszystko. Morales kazał teraz stawić się przed sobą sprzysiężonym, jednemu po drugim. Stawiło się ośmnastu wodzów i bez hałasu okuto ich w kajdany. Połączywszy się wreszcie z Peñalosą, wyruszono na przeciw wojska sprzysiężonych i rozpędzono je po wielkim krwi przelewie, a wszystkich pojmanych wodzów oddano psom na poszarpanie. Morales czuł się teraz tak bezpiecznym, że się przeprawił na południowy brzeg zatoki Św. Michała, gdzie w nocy napadł na inną jakąś wieś indyjską. Ale poddani pomordowanych naczelników czatowali na powracających Hiszpanów i tak na nich napadli niespodzianie, że kilku śmiertelnie ranili, a jednego awanturnika na miejscu zabili. Osłabionemu oddziałowi pozostawała tylko ucieczka, i zuchwałość teraz tak szybko przemieniła się w małoduszność, że pewien Hiszpan Velasquez, nie mogąc uciekać z powodu okulażenia, a nie chcąc dostać się żywcem w ręce Indyan, powiesił się w obliczu swoich towarzyszy. Nawet noc nie miała przerwać odwrotu, ale rozłożono wielkie ognie, ażeby Indianie myśleli, że się Hiszpanie na noc obozem rozłożyli. Ale Indianie nie dali się oszukać tym podstępem wojennym, i nieustannie gnali uciekających. Ci ostatni pędzili jeszcze przed sobą 90—100 krajowców, których pojedynczo je-

dnego po drugim zabijali i zostawiali na drodze, ażeby jak najdalej odsunąć się od Indyan, którzy, spotykając ciała zabitych ziomków, odśpiewywali nad nimi pieśni żałobne. Przez dziewięć dni błakali się Hiszpanie, kiedy w końcu z wielkiem przerażeniem spostrzegli, że opisawszy błędne koło znaleźli się na miejscu pierwszego napadu. Ich przestрах wzmógł się jeszcze, gdy z sąsiedniej wyżyny ujrzeli zbliżające się ku sobie z trzech stron nieprzyjacielskie oddziały. I tu przebili się, walcząc z rozpaczą i jak ludzie, którzy życie oddawna mieli na zbyciu. Zrządzeniem ślepego trafu w każdej wyprawie, w której Franciszek Pizarro brał udział, niebezpieczeństwa i utrapienia niesłychanego dosięgały stopnia, tak że niewiadomo było, kto kogo goręcej poszukiwał, czy niebezpieczeństwo tego awanturnika, czy on niebezpieczeństwa. Pomimo jednak tej złowrogiej siły przyciągania niebezpieczeństw, zawsze jakiś zwrot niespodziewany ocalał tego człowieka. I tym razem, w obliczu największego niebezpieczeństwa, udało się Hiszpanom, gdy się dostali do pewnej laguny i odgradzeni byli od przypływu morskiego, odebrać zaskoczonym i przerażonym Indyanom cztery statki i na nich popłynawszy w górę Chucunaque dostać się do posiadłości Tiby Carety.

Nie lepiej się powiodło innemu dowódcy, Tello de Guzman, który w swoim łupieżczym pochodzie w górę Chagre dotarł aż do Panamy, ale w odwrocie napadnięty został przez tibów Tubanamę i Pocorose. Hiszpanie musieli uciekać, zewsząd bowiem ukazywali się wrógowie, niosąc przed sobą, jak chorągwie, zakrwawioną bieliznę pozabijanych Europejczyków. Nawet w Santa Maria nie czuli się Hiszpanie bezpiecznymi; zdawało się im, że wszędzie na górach i za krzakami widzą ukrytych krajowców, z drugiego zaś brzegu zatoki oczekiwano napadu karybskich łodzi. Bojaźń była tak

powszechną, że Pedrarias na znak niebezpieczeństwa kazał zamknąć królewski urząd menniczy, a biskup nakazał modlitwy, „aby Bóg odwrócił gniew swój od kolonii“.

Biskup Quevedo i małżonka Pedrarias, Isabel de Bobadilla, która nie była niechętną dla Vasca, tak dalece pogodzili namiestnika z Adelantadem, że Pedrarias oddał Balboi swoją córkę Donię Maryą za żonę. Układ małżeński i zaręczyny uroczyście obchodzono i Isabel udała się do Hiszpanii dla sprowadzenia narzeczonej. Wraz z nią opuścił Daryę i biskup Quevedo i odpłynął do ojczyzny, gdzie wkrótce potem umarł w Barcelonie (24. grudnia 1519). Z jego śmiercią utracił Balboa potężnego przyjaciela, którego miał niebawem bardzo potrzebować, jakkolwiek bowiem Pedrarias nazywał go odtąd swoim synem, to jednak ta podstępna dusza czatowała tylko na sposobność do tygrysięgo skoku.

Król Ferdynand, otrzymawszy wiadomość o pierwszej wyprawie Balboi do morza południowego, natychmiast przesłał Pedrariasowi, jeszcze latem 1514, rozkaz wybudowania na brzegu oceanu spokojnego trzech lub czterech karawel, ażeby dalej prowadzić tam odkrycia. Życzenie królewskie przez długi czas zostawało niespełnionem, popęd bowiem do nowych odkryć obudzał się zwykle dopiero wtedy, kiedy wszystko już do szczytu w znanych krajach było splądrowane. Teraz Balboa otrzymał od ojcowskiego Pedrarias dowództwo nad 200 ludźmi z pozwoleniem wybudowania w zatoce San Miguel czterech karawel. I z Espanioli, gdzie Balboa kazał werbować ochotników do nowych odkryć, przybyło 60 towarzyszy. Pojedyncze składowe części statków obrabiano pod Aclą w dzisiejszej zatoce Caledonia, zwał na barkach Indyan miały być przeniesione przez Kordyliery i splawione rzeką Chucunaque. Transport drzewa budowlanego i okrętowych narzędzi niejednen Indyanin przypłacił życiem. Wez-

brana woda spławiono następnie pojedyncze sztuki, i zanim budowniczy złożył z nich całość, już wiele desek przegniło. Z niewymowną cierpliwością zaradzono i na to, i wreszcie stały cztery bergantyny, dość porządnie zbudowane, pod Terarequi w Archipelagu Perłowym. Król Ferdynand umarł w r. 1516 i wiadano w Daryi, że Pedrarias zostanie odwołany. Codziennie oczekiwano nowego namiestnika, Lope de Sosa, i to niepokoiło Balboę. Zdarzyło się więc, że pewnego wieczora wynurzył Adelantado przed zaufanym Valderrabano i ojcem Rodrigo Perez obawę, aby nowy namiestnik nie odjął mu dowództwa nad eskadrą, owocem jego ciężkiej pracy. Oznajmił im, że chce posłać jednego ze swoich oficerów, Franciszka Garabito, do Acli, pod pozorem sprowadzenia potrzebnego jeszcze dziegciu i pewnych żelaznych wyrobów, a właściwie aby się wywiedzieć o nowym namiestniku. Gdyby się okazało, że ten już przybył, w takim razie co najspieszej trzebaby przystąpić do podróży, aby uprzedzić wszelkie inne rozporządzenie. Być może, iż rozważano i inne plany, które brzmiały mniej lojalnie. Pewna placówka, schroniwszy się podczas ulewnego deszczu pod dach domu Balboi, zdradziła jego zamiar tajemnego podniesienia kotwicy. Ale już i Pedrarias powziął był podejrzenie, że Balboa ze swoją flotą zamierza z pod jego władzy namiestniczej wysunąć się. Zaledwie się zjawił Garabito w Acla, wnet go aresztowano i Pedrarias pod jakimś nagłym pretekstem natychmiast zawezwał do siebie Balboę. Adelantado, stawiając się niezwłocznie, złożył najlepszy dowód swej niewinności. W drodze spotkał go złowrogi anioł, Franciszek Pizarro, którego Pedrarias wysłał był z wojskiem dla schwytania Balboi. Pedrarias kazał natychmiast uwięzić Balboę, a swemu oficerowi porучzył dowództwo nad flotą morza południowego. Kiedy się rozpoczęły przesłuchania, namiestnik fałszywość swoją posunął do tego stopnia, że odwie-

dzając Balboę w więzieniu, usprawiedliwiał się przed nim, mówiąc, że musiał uleść naleganii podskarbiego Alonso de la Puente, najzawziętszego wroga Balboi, i że chciał także dać swemu synowi sposobność do zupełnego oczyszczenia się z winy. W istocie powody do podejrzeń były. Termin półtoraroczny, dany Balboi przez Pedrariasa dla ukończenia uzbrojeń, już był upłynął; Vasco prosił o przedłużenie, ale podstępny Pedrarias ani mu odmówił, ani przyrzekł, potajemnie już był bowiem postanowił odjąć mu z powodu tej okoliczności dowództwo. O tych zamiarach Hernando de Argüello uwiadomił Adelantada listem, dodawszy złą radę, aby odpłynąć bez przedłużenia patentu. Ten list, przechwycony przez Pedrariasa, miał uzasadnić oskarżenie o zdradę stanu. Ale ponieważ z tego dokumentu mało się karygodnego dawało wyciągnąć, odświeżono więc zapomniane już obwinienia z powodu buntu przeciw Nicuesie. Espinosa, naczelnny sędzia, gorąco zalecał Pedrariasowi darowanie życia Adelantadowi. Ale namiestnik nie wypuścił z sidła człowieka, na którego od dawna godził. Z zaufanych ludzi Balboi, których pociągnięto do śledztwa, tylko Garabito, który pełnił brzydką funkcję królewskiego świadka, został ulaskawiony. Adelantadowi nie dano czasu na apelację do cesarza i prawdopodobnie 1517 r. Balboa i mniemani współspiskowcy, Argüello, Muñoz, Valderrabano, zostali ścięci w Acla. Pedrarias z sąsiedniego domu przez szczeliny w trzcinie przypatrywał się oprawcy i raz jeszcze słyszał zięcia zapewniającego o swej niewinności. Balboa, który w młodości żył dość wolno, miał wówczas lat czterdzieści i gięły z nim wielkie zamiary i zdolności. Ponieważ czyny ludzi rozumnych i nieustraszonych, jeżeli tylko prowadzą do celu, zawsze się nam podobają, często bez względu na ich moralność, więc i pamięć Balboi niezatarty urok otaczać będzie. Nie zaspokaja też to wcale naszego moralnego uczu-

cia, gdy widzimy, że ta postać bohatera, jakkolwiek skalana chciwością i dzikiem lekceważeniem życia ludzkiego, ginie z ręki przeciwnika, który prześcigał go w błędach i zmazach, a nie posiadał żadnego z jego wielkich przymiotów, tak że współczesny Piotr Męczennik mógł słusznie o nim powiedzieć: „Za jego urzędowania nie się nie stało, o czemby warto mówić“.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

ODKRYCIE NICARAGWY.

Wyprawa Badajosa do Nata. Pobity przez Cutaturę. Fatalny odwrót. Espinosa obławia się zdobyczą. Zbadanie wybrzeża aż do zatoki Nicoya. Przedsięwzięcie Gila Gonçaleza. Wylądowanie pod Nicoyą. Rzut oka na Nicaraguę pod względem fizycznym. Mieszkańcy. Miasto. Ustawodawstwo. Pojęcia prawne. Zepsuta cywilizacya. Religia. Objęcie słodkiego morza w posiadanie. Napad Diriaja. Nadbrzeżna podróż Nina do zatoki Fonseca.

Gdy się dostano do brzegów morza południowego, z początku wszyscy odkrywcy posuwali się brzegiem lądu w kierunku zachodnim lub północno-zachodnim, ale nie południowym, i z tego powodu Hiszpanie tak późno się zaznajomili z państwem Peru, które przecież nie dalej leżało od zatoki Św. Michała, jak Nicaragua. W zachodnim też kierunku ruszył Gonzalo de Badajoz, który w marcu 1515 siadł na okręt w Daryi z 80 ludźmi; drugi statek z 50 ludźmi płynął za nim. Pod Nombre de Dios, w pobliżu dzisiejszego Aspinwallu, chciał przejść Gonzalo przez przesmyk, ale wojsko jego przerażeniem zostało zdjęte, gdy z pierwszej kolonii Nicuesy nic nie znalazło prócz zaludnionego cmentarza, którego krzyże i kamienie grobowe straszną zawierały w sobie przestrożę. Badajoz zatem kazał dalej na zachód przybić do lądu i przekroczył góry Capira. W krainie Chame znaleziono zachodnią

granicę narzecza Coiba i wkroczone na terytoryum ludów, które mówiły narzeczem Chirus, ale w obyczajach i stosunkach społecznych nie różniły się od szczepów daryjskich. Hiszpanom dotychczas bardzo się powodziło, to znaczy, że wyduszali wszędzie bez szczególnego oporu od małych monarchów i od ich wodzów złote ozdoby, i to rzemiosło, powiada ironiczny Las Casas, nazywali odkryciem. W Chame dowiedzieli się, że nieco na zachód we wsi Nata jest siedziba pewnego księcia, którego obwiniano o posiadanie wielkich skarbów. Badajoz posłał tam jednego z oficerów, Alonso Perrez de la Rua, z 30 ludźmi. Napad na Nata wykonany został, jak zwykle, o zmierzchu porannym, ale się przestraszyli zuchwali napastnicy, znalazłszy się wśród licznej ludności i spostrzegłszy, że wszelki odwrót jest odcięty. Ponieważ oddawna było to praktyką zdobywców, ażeby naprzód owładać świętą osobą monarchy, więc i tym razem ruszyli Hiszpanie, dobrze prowadzeni przez swoich indyjskich szpiegów, do pałacu kacyka i położyli rękę na jego osobie. Wiadomość, że monarcha i jego harem w niewoli, rozniosła się w jednej chwili, i wnet tłum zbrojnych pod dowództwem brata kacyka cisnął się do pałacu, którego wejścia osadzili Hiszpanie. Zmusili oni kacyka, zagroziwszy mu śmiercią, aby uspokoił swoich poddanych. Zaledwie pojmany książę objawił im swój gniew, że nie wzywani przybyli dla jego ocalenia, wnet jakby na znak czarodziejski wszelka broń opadła. Badajoz, dowiedziawszy się o położeniu swego oficera, bezzwłocznie pospieszył mu na pomoc, a gdy się z nim połączył, postanowiono przeczekać w Nata do końca pory deszczowej. Po upływie tego terminu puszczono się w pielgrzymkę, że użyjemy tu wyrażenia Las Casasa, dalej na zachód i wkrótce wartość złupionego złota wynosiła 80.000 castellanos, suma, która przed odkryciem Peru

prawie tyle znaczyła, co pół miliona. Nigdy jeszcze tyle złota nie widziano razem!

Atoli o dwanaście mil od Nata leżała posiadłość Cutatury, kacyka Parizy albo Parity, a ponieważ krajowcy z łatwo zrozumiałej polityki zawsze powiększali w opowiadaniu skarby swoich sąsiadów, to zachciało się Badajozowi tych bogactw Cutatury i wysłał do niego indyjskich posłów, prosząc go, aby pozwolił sobie odwiedzić. Cutatura kazał się grzecznie jednemu ze swoich wodzów od tego zaszczytu wymówić a jednocześnie przesłał w podarku cztery plecione koszyki ze złotymi klejnotami. Książę oznajmiał, że to damy przesyłały Hiszpanom, i prosił cudzoziemców, aby poprzestali na tem i nie wkraczali na jego terytoryum. Ale podarki podrażniły tylko chciwość Hiszpanów i Badajoz z 40 ludźmi ruszył do siedziby kacyka. Szpiegi z Parity śledzili wszystkie ruchy nieprzyjaciela, i Cutatura dowiedziawszy się, że się Badajoz zbliża, wyszedł z wielką siłą zbrojną i zaczął się. Pozwolił on przejść Badajozowi po przed sobą a w nocy dopiero z tyłu napadł na obóz Hiszpanów, gdzie się znajdowały złote łupy, bagaże i jeńcy wojenni. Napad zupełnie się udał. Wieś się spaliła, a wraz z nią część zdobyczy i powiązani jeńcy, z Hiszpanów zaś tylko ten ocalał, kto się dostał na otwarte miejsce, gdzie się mogli gromadzić i nieprzyjacielowi stawiać czoło, póki Badajoz uwiadomiony w drodze przez swoich indyjskich sprzymierzeńców o napadzie, nie powrócił z pomocą. Ale przybywał za późno, bo już ze 70 jego ludzi legło, a skarb dostał się już był w ręce nieprzyjaciół. Hiszpanom pozostawał tylko odwrót pomiędzy nieprzyjacielskimi ludami, których wojowniczość musiała się nanowo obudzić, gdy Europejczycy przestali być w ich oczach niezwyciężonymi. Badajoz kazał niezwłocznie swoich rannych wsadzić na łodzie a sam brzegiem rzeki im towarzyszył. Gdy dojechali do Nata, którą zostawiano

uległa a spodziewano się zastać w pokojowem usposobie-
niu, ze wszystkich stron ujrzeni się napadniętymi przez
krajowców. Utarczka bez stanowczego rezultatu trwała do
zapadnięcia nocy, z której Hiszpanie zręcznie skorzystali,
aby uciec dalej. Wreszcie dostali się na swoich łodziach
do krainy Chame. Kacyk tego okręgu, mędrszy od swoich
sąsiadów, nie chciał drażnić pobitych i uciekających. Prze-
ciągnął on linię graniczną, której Hiszpanie nie mieli prze-
kraczać, jeżeli chcieli zachowywać z nim pokój; prócz tego
pozwolił im odpocząć, ażeby ranni mogli się pokrzepić, i
zaopatrywał ich potrzeby. Niebawem przy dobrem poży-
wieniu zaczęli wyzdrowiać Hiszpanie, a jako pierwszy
symptom zdrowia objawiła się w nich znowu żądza łu-
pów. Badajoz przepłynął się na łodziach do obfitującej
w perły wyspy Otoque i wymógł okup na kacykach. Po-
dobny krok udał się Hiszpanom, gdy w odwrocie z Chame
posuwali się brzegiem Cichego oceanu, dalej ku wschodo-
wi, na wyspie Taboga, o trzy mile na południe od Pa-
namy, którą to miejscowość pierwsi z Europejczyków na-
wiedzili. Trochę dalej na wschód nad dzisiejszą rzeczką
Chepo zemścił się wódz tamtejszy za splądrowanie swych
posiadłości napadem, który przypłacił życiem Alonso Pe-
rez de la Rua i kilku innych. Tak więc Badajoz z małą
tylko resztką towarzyszy i szczupłą zdobyczą wrócił do
Santa Marii Daryjskiej.

Po drodze w krainie Comogre spotkali wracający
większy oddział łupieżczy hiszpański pod dowództwem
Licenciada Gaspar de Espinosa, którego Las Casas szy-
dlerczo nazywa opiekuńczym duchem (espíritu) Pedrariasą.
Wyruszył on 1516 z 300 ludźmi i pustosząc krążył po
krainach przesmyka pomiędzy zatoką Caledonia a zatoką
Panama. W tym czasie miało zginąć 40.000 krajowców,
jeżeli mamy wierzyć przesadnym liczbom Las Casas,
w których jest tylko tyle prawdy, że ta wyprawa Espi-

nosy najwięcej się przyczyniła do wyludnienia przesmyka. Dowiedziawszy się o utraconych przez Badajozu skarbach, wyruszył natychmiast na zachód i dosięgnął Nata, gdzie zastał pełne stodoły i przepędził porę deszczową, uciążliwą dla każdego marszu, podczas gdy kacyk, schroniwszy się ze swymi poddanymi w góry, wystawiony tam był na największą nędzę, od czasu bowiem jak do Espinosa przyłączyło się jeszcze 100 do 130 ludzi, musieli krajowcy zaniechać wszelkiej myśli oporu. Potężny kacyk Parity nadaremnie próbował wojennego szczęścia, tym razem bowiem Hiszpanie ukazali się z nową bronią, mianowicie na koniach, które daleko większy pośród krajowców przestrach szerzyły, niżeli broń ognista. Jakiś Indyanin pokazał hiszpańskiemu dowódcy drogę do pewnej opuszczonej chałupy. Tam znaleziono koszyki ze złotymi klejnotami, odebrane od Badajozu, zupełnie nietknięte, nie było w nich tylko podarków, które Cutatura był posłał Hiszpanom. Zadowolony z tego łupu powrócił Espinosa do Daryi i wyprawa jego nie wiele się przyczyniła do zbadań nowych wybrzeży.

Espinosa powrócił do Daryi w chwili, kiedy w skutek stracenia Balboi wakowało dowództwo nad flotą u wysp perłowych. Te okręta oddał mu Pedrarias dla dalszego prowadzenia odkryć na brzegach Pacyfiku ku zachodowi, sądząc bowiem ze złupionych bogactw jeszcze większy sobie łup obiecywano. Z trzema czy czterema okrętami, którymi kierował sternik Juan de Castañeda, popłynął Espinosa do wysp perłowych wzdłuż wybrzeża po pod półwyspem Parita. Odkrył wyspy Çebaco i Coriba, (Santa Maria), opłynął Punta Burica, znalazł Golfo de Osa (Golfo dulce) i dojechał w końcu do drugiej zatoki, Golfo de Nicoya, pomiędzy cyplem portu Herradura a Białym przyładkiem (Cabo blanco). W głąb tego obszernego, wyspami ożywionego bassenu odkrywca nie popłynął, i po dwóch

latach powrócił z 40.000 castellanos łupu, zabranymi ze skarbu kacyka Parity.

Pomiędzy tymi, którzy jeździli wówczas do Indyi Zachodnich, osiągnął był sławę marynarską Andres Niño, który zostawał w częstych stosunkach z Balboą. Przybył on 1518 na dwór hiszpański i starał się o naczelne dowództwo nad czterema okrętami, które Balboa zbudował był dla odkryć pacyficznych, a które tym czasem dostały się Espinosie. Na współników znalazł dwóch ludzi, którzy służyli na Espanioli, Andresa de Çereceda, któremu sprzyjał podskarbi Alonso de la Puente, i Gil Gonçaleza de Avila, królewskiego płatniczego na Espanioli, którego protegował biskup Fonseca. Na imię ostatniego, 18. czerwca 1519, wydano patent, który mu poruczał odkrycia na wybrzeżach Oceanu spokojnego. Trzej przedsiębiorcy przybyli na wiosnę 1520 do Santa Maria, ale znaleźli bardzo zimne przyjęcie u Pedrariasas, ambitny bowiem namiestnik pragnął, aby się żadne odkrycie z rozkazu królewskiego przedsiębrane na brzegach Pacyfiku nie udało, ponieważ znajdując się u wrót do morza południowego uważał wybrzeża drugiego oceanu za swoją posiadłość, każda więc wyprawa nie z jego ramienia przedsiębrana musiała ograniczać zakres jego panowania. Ale że w kilka dni potem stanął pod Santa Marią nowy namiestnik, dawno oczekiwany Lope de Sosa, dla wytoczenia ścisłego śledztwa Pedrariasowi, to niechęć tego ostatniego dla Gila Gonçaleza i jego towarzyszy byłaby wcale nie szkodliwą, gdyby prawie jednocześnie z wiadomością o przybyciu namiestnika nie nadeszła dziwnym trafem i wiadomość o jego śmierci. Gil Gonçalez, który przybył z 200 ludźmi na trzech okrętach, znalazł się w najkłopotliwszem położeniu. Domagał się on od Pedrariasas okrętów Balboi, na których tylko co był Espinosa powrócił, i przedłożył mu swój patent, który wszystkim namiestnikom Nowego świata nakazywał

wyświadczać Gil Gonçalezowi wszelką pomoc. Ale Pedrarias pozostał niewzruszonym, i Gil Gonçalez ujrzał się zmuszonym sam flotę sobie zbudować na ocenie Spokojnym. W Acla wyrobiono pojedyncze części, które przeniesiono potem przez Sierra i spławiono w dół Chucunaque. Gdy atoli na wielkiej wyspie Perłowej złożono okręta, okazało się, że drzewo już próchnieć zaczęło! Praca poczęła się na nowo i w końcu w istocie udało się wygotować trzy okręta i jedną bergantynę. Ale na tej robocie upłynął rok 1520 i 1521 a z 200 towarzyszy więcej niż połowa uległa zabójczym działaniom klimatu. Przytem Pedrarias nie przestawał intrygować i przeszkadzać, dopóki go jako akcyonaryusza nie przypuszczono do przedsięwzięcia. Miał on polecenie od rady indyjskiej, aby z wybrzeżów Pacyfiku znalazł przejazd do zatoki meksykańskiej. Wiedziano już wówczas, jak wąski pas ziemi oddziela wody atlantyckie od oceanu wschodniego i miano jeszcze wielką nadzieję, że się odkryje cieśnina między dwoma oceanami. Prądy w morzu antylskim, których fizyczne przyczyny nie były jeszcze znane, przypisywano gwałtownemu wdzieraniu się wód atlantyckich przez wąską cieśninę do morza południowego, wszędzie bowiem w zatokach, gdzie spotykano prądy, przypuszczano na podstawie analogii cieśniny gibraltarskiej, że musi tam być połączenie z innymi morzami.

Eskadra dojechała do Punta Burica, płynęła dalej brzegiem, który tu bardziej stanowczo zwraca się ku północy i wjechała do zatoki San Lucas, albo San Lucar, jak ją nazwał Espinosa. Jest to ta sama zatoka, która na naszych mapach nazywa się zatoką Nicoya, ale która w czasach swego odkrycia nosiła nazwy Orotina, Nicaragua lub Güetares.

Eskadra wylądowała na cyplu, który jak grobla odstając od lądu oddziela zatokę na zachodzie od

morza spokojnego. Tutaj wkrótce zawiązano stosunki z wodzem wsi Chorotegów, Nicoya, nazwiskiem Nambi, który się okazał bardzo hojnym, odstąpił swoje złote domowe bożki Hiszpanom, i bardzo ochoczo dał się Don Alonsowi ochrzcić, czyli jak się naiwnie wyrażali krajowcy, dał sobie zmoczyć głowę. Tam wielkich się rzeczy dowiedzieli Hiszpanie o pewnym monarsze imieniem Nicaragua, i nieustraszony Gil González ze stu towarzyszami i indyjskim taborem ruszył do jego państwa.

Był to świat nowy, do którego teraz wkraczano, kraj, który niejedne rojenia o zmysłowym dobrobycie mógł zaspokoić. Hiszpanie, przywykli dotychczas pełzać w wilgotnym cieniu nieruchomych lasów pierwotnych przesmyka, znaleźli się tu w słonecznej dolinie, której lasy wyrabiała gęsto zbita i pracowita ludność. Ziemia sownie opłacała niewielką uprawę; po raz pierwszy kosztowali tu odkrywcy najcenniejszych owoców zwrotnikowego świata, między innymi aromatycznych saporów, a nigdzie doskonalszych nie znajdowano wdzięku, jak u kobiet w zatoce Nicoya. W wodach słonych i słodkich pełno było gadów i ryb, a lasy zapraszały do myśliwstwa. Fantazja twórczych sił przyrody objawiała się w przepysznym upierzeniu ptactwa i w bogactwie barw innych zwierząt, podczas gdy obfitujące w wyspy morze wewnętrzne baterią czynnych wulkanów nadawało zarysom gór namiętne formy. Wszędzie widać było wyższe społeczeństwo, niektóre bowiem miasta liczyły do 40.000 mieszkańców. Ale dolinę Nicaragua zamieszkiwały ludy rozmaitej kultury. Chondales, prawdopodobnie pierwotni mieszkańcy, wyciśnięci z żyznych równin nadmorskich w góry, stali na niższym stopniu rozwoju. Daleko wyższe od nich pod względem kultury zajmowali stanowisko Chorotegowie, którzy mieszkali nad morzem od zatoki Nicoya do Fonseca, mówili rozmaitemi narzeczeniami i mieli bardzo ludne miasta. Po-

śró d nich na przesmyku między słodkimi wodami a oceanem spokojnym siedzieli przybysze, mówiący takim językiem, jak Aztekowie w Meksyku. Opowiadali oni, że przywędrowali tu z krainy Ticomaga i Maguatega od zachodu słońca, aby we własnej ojczyźnie nie doznawać upokorzenia od obcych ciemieżców, i w istocie stare meksykańskie kroniki wiedzą o wywędrowaniu tolteckich Nahuatlaków z Meksyku albo Anahuaku do Nicaragua podczas napadu dzikich Chichimeków. Przynieśli oni z sobą do Nicaragwy, jako wysoko uspołecznione ludy, drzewo kakao, którego owoc, podobnie jak w ojczyźnie, puścili tu wkrótce w obieg, jako pieniądz. Tylko te brodate ludy posiadały plantacye kakao. Rachunek czasu prowadzili podług starego tolteckiego kalendarza o 20-dniowych miesiącach. Zupełnie nową było dla Hiszpanów rzeczą, że te przybyłe ludy nie zostawały pod władzą książąt, ale senatu i tylko na czas wojny obierały wodzów. Znaleziono też u nich stare tolteckie pismo symboliczne, kreślone czarnym lub czerwonym atramentem na składanych skórkach zwierzęcych. Sąsiedztwo tak swobodnie rozwiniętego społeczeństwa oddziaływało na obok mieszkające, chociaż wrogie ludy. Chorotegowie mieli wprowadzić kacyków i rodzaj dworskiej szlachty (Galpones), było też u nich coś w rodzaju rycerskiego zakonu (Tapaligues), którego członkowie golili sobie głowę, co było zewnętrzną oznaką wojennej brawury i zostawiali tylko jeden kosmyk na głowie. Monarcha jednak związany był przyzwoleniem gminy (Monexico), która wybierała urzędników co dwa miesiące i opłacała ich. Znano tylko jednożęństwo, jakkolwiek można, obok prawowitej małżonki, której dzieci wyłączne mieli prawo dziedziczenia, trzymali jeszcze harem. W małżeństwie związek najbliższych stopni pokrewieństwa uważano za kazirodczy, podwójne małżeństwa surowo karano, rozwody dopuszczano tylko przy naruszeniu wiary mał-

żeńskiej, a niewieściej połowie wszelkie dalsze związki były wzbronione. Morderstwo, gwałt, kradzież karano tym sposobem, że pokrzywdzonej stronie przeciwna strona musiała dać niewolnika, a jeśli go nie miała, to sam krzywdziciel stawał się niewolnikiem.

Wśród gęsto osiadłej ludności nie brakło też oznak zepsucia. Tłumy żebraków napełniały ulice, publiczne domy po miastach prowadziły swoje rzemiosło, i częściej się znajdował amator dla wypróbowanych piękności, niż dla niedoświadczonej cnoty. Bogi ich, jak u Azteków w Anahuac, nosiły tajemnicze imię Teot, a jako stwórców czczono parę bóstw, Tamagastad i Zipattoval; być może, iż to było słońce i księżyc. Obok tych wzniosłych istot ubóstwiano także meteorologiczne siły i geniuszów rolnictwa i przejednywano je dziesięcinami, dawanymi sługom kościelnym, ofiarnem kadzidłem, ale także i strugami krwi i ofiarami ludzkimi, które przed świątyniami na małych krwawych wzgórkach przynoszono. Taki los spotykał nie tylko jeńców wojennych, ale i dzieci niewolników, umyślnie dla tego dzikiego obrzędu wychowywane. Przez długi czas przed zabiciem przyszła ofiara była przedmiotem czci religijnej; nie odmawiano mu w niczem, ponieważ lud w przeznaczonym na ofiarę widział wędrujące bóstwo, które go miało zabić i pożreć, panowało bowiem na nieśczęście ludożerstwo, i mięso ludzkie uchodziło za przysmak, pozostawiony tylko wodzom i kapłaństwu. Jak u Azteków, tak i tu obciążeni grzechami sprawiali ulgę swemu sumieniu, spowiadając się do ucha jakiemuś czcigodnemu starcowi, który ani sprawował służby w świątyni, ani należał do cechu kapłanów. Na jarmarkach, mających swoje regulamina targowe, dostępnych tylko dla ludów mówiących jednym językiem, okazywał się ich przemysł w wyrabianiu delikatnie tkanych kaftanów bez rękawów, barwnych pasów i szat kobiecych, które u dam znakomitych

sięgały aż do kostek i do których przez obyczajność dodawano chustkę na piersi. Swemu schludnemu naczyniu z czarnej błyszczącej ziemi nadawali kunsztowną ręką takie formy, że sami monarchowie, zapewnia Oviedo, nie powstydziliby się podobnego podarku. Potrzeba zewnętrznych ozdób doszła już była u nich do używania grzebieni, których zęby wycinane były z kości, w Nicaragua bowiem porządnie ułożone włosy uważane były za szczególną ozdobę.

Do tego ludnego kraju pomaszerował Gil Gonçalez ze 100 Hiszpanami, czterema konnymi, czterema muszkieterami i taborem Indyan Cueva. Naprzód przybył do siedziby wodza Nicaragwy przy końcu marca 1523. Wiele obiecującym było przyjęcie, wódz bowiem ukazał się z podarkiem wartości 15.000 pesos i bez wzdragania się dał się ochrzcić wraz ze swymi ludami. *) Przez ośm dni zatrzymano się tutaj i w tym to czasie hiszpański zdobywca dojechawszy do jeziora, naprzeciwko wyspy Ometepetec (podwójna góra) wskoczył z koniem w fale, aby i słodkie wody objąć w posiadanie w imieniu korony hiszpańskiej. Następnie ruszył dalej, prawdopodobnie brzegiem południowym, gdzie w milowych odstępach znalazł sześć osad, których mieszkańcy cisnęli się do przyjęcia chrztu. Wiadomość o przybyciu dziwnych cudzoziemców podnieciła ciekawość dalszego monarchy, imieniem Dirjaja. Ukazał się on z trębami i chorągwiami, otoczony dworem i orszakiem z 500 wojowników, zostawił Hiszpanom podarek w złocie i przyrzekł, że po trzech dniach wróci, aby się

*) Pytania, które ten wódz zadawał Hiszpanom, zdradzają wielką bystrość umysłu. Nie tylko chciał on wiedzieć, czy potop powróci, czy ziemia albo niebo zapadnie się, ale żądał także, ażeby mu powiedziano, dla czego nie zawsze dzień i nie zawsze ciepło, dokąd się nieśmiertelne dusze udają, i czym się po śmierci zajmują, czy papież i cesarz Karol V. umrą także i wreszcie dla czego tak nieliczni Europejczycy, jak Hiszpanie, tyle złota pożądają? (Herrera. Ind. Occ. Dec. III. lib. IV. cap. 5).

dać ochrzcić. Powrócił w istocie, ale z kilkoma tysiącami wojowników, uzbrojonych w miecze drewniane, łuki i strzały, a opancerzonych grubymi kaftanami z bawełny. Gil Gonçalez zapóźno się dowiedział o pochodzie tego nieprzyjaciela na obóz hiszpański, a złym trafem kapelan odjechał był podówczas konno do sąsiedniej miejscowości, tak, że tylko trzech jeźdźców można było przeciwstawić nieprzyjaciółom, którzy wkroczyli do wsi indyjskiej, zanim się Hiszpanie zdołali w komplecie zgromadzić na placu. Napad był tak odważny i bój ręczny tak gorący, że rezultat przez jakiś czas zostawał wątpliwym. Ale jeźdźcy rozpeździli niebawem nieprzyjacielskie tłumy i napastnicy, wyparci ze wsi indyjskiej, zabrali się do odwrotu, nie przestając jednak walczyć. Hiszpanie radzi z odniesionego zwycięstwa, które ich trochę krwi kosztowało, nie gonili nieprzyjaciela. Gdy rozproszeni po okolicy Hiszpanie znaleźli się żywi i cali w głównej kwaterze, przystąpiono wnet do odwrotu wzdłuż wybrzeża. Zamiast poprzedniej ufności zastawano wszędzie groźne i ponure miny. Musiano w szyku bojowym maszerować przez Nicaraguę, a ponieważ kilku Indyan w nieprzyjacielskim zamiarze wciśnięto się do szeregów hiszpańskich, to łucznicy otrzymali rozkaz natarcia. Dla wojowniczej ludności było to hasłem, aby wielkimi tłumami następować na uchodzących. Gil Gonçalez z 17 ludźmi, po części jeźdźcami, po części uzbrojonymi w strzelby i łuki, zasłaniał odwrót, i rozpraszał następujących, aż póki Indyanie, poniosłszy pewne straty, nie prosili o pokój, pozwalając spokojnie odejść Hiszpanom. Tym sposobem mogli ci ostatni szczęśliwie ująć do zatoki Nicoya albo San Vicente, gdzie już na nich sternik Niño oczekiwał z flotą.

Ten marynarz zwiedził był w tym czasie znaczną część wybrzeża Oceanu Spokojnego. Wybrzeżu na północ-zachód od Cabo Blanco dał on nazwę Golfo del Papa-

gayo; ostatecznym kresem jego wędrówki była najpiękniejsza zatoka południowego morza, którą dla przypodobania się przewodniczącemu Rady indyjskiej nazwał zatoką Fonseca. Na jego to eskadrze odплыли Hiszpanie dalej z powrotem do Panamy i tam 25. czerwca 1523 zdobyte złoto stopiono w przytomności Ovidy, przyczem się okazało, że skarby mało w sobie zawierały czystego złota.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

ODKRYCIA W ZATOCE MEKSYKAŃSKIEJ.

Krynica młodości. Florida i jej mieszkańcy. Prąd zatokowy. Kolonizacyjne usiłowania Ponce de Leona i śmierć. Kolonizacya Kuby. Porywanie ludzi na wyspach zatoki Honduras. Wyprawa Cordoby. Odkrycie Yucatanu. Kultura ludów Maya. Niegościnne przyjęcie koło Champoton. Przygody na wybrzeżu Florydy. Grijalva odkrywa Cozumel. Bitwa pod Champoton. Stosunki z Indianami Tabasco. Chorągwianna rzeka. Pierwsze zetknięcie się z urzędnikami Azteków. Grijalva zawraca. Garay uzupełnia odkrycia w Golfie. Zupełne odsłonięcie atlantyckich brzegów Ameryki aż do rzeki Srebrnej.

Dwadzieścia lat upłynęło od odkrycia Ameryki, a Hiszpanie nie dotarli byli jeszcze do wybrzeży, które otaczają pięknie zarysowaną zatokę meksykańską. Jakkolwiek już w r. 1508 badania żeglarskie potwierdziły, że Kuba jest wyspą, pomimo to jednak Hiszpanie, jakby zakłęci w błędnem kole, nie przekraczali zatoki Karybskiej, nie śmiąc kanałem Yucatanu zapędzić się do drugiego, północnego bassenu. Ponętna złuda zwabiła wreszcie pierwszego marynarza na próg nietkniętych brzegów. Mieszkańcy wysp Bahama, których wielu powleczono do Hiszpanii, jako niewolników, opowiadali o cudownych siłach pewnego źródła, które starcom przywraca siłę męską. *)

*) Podanie utrzymywało się bardzo uporczywie. Nawet Piotr Męczeni-Peschel.

Łatwo się zapaliła fantazyja Hiszpanów, którzy chętnie wierzyli, iż w tym dziwnym świecie leżą w ukryciu rzeczy nadzwyczajne i dużo było ochotników, gdy ogłoszono wyprawę w celu odkrycia odmładzającego źródła. Dowódcą eskadry był pewien hidalgo, Juan Ponce de Leon, który przybył do Nowego świata 1493, a potem dokonał krwawego i okrutnego podbicia wojowniczych ludów wyspy Puerto Rico. Zajmując się płukaniem złota, hodowlą bydła i rolnictwem, zrobił majątek. Kiedy zatem admirałowi Diego Colon udało się wyprzeć go z namiestnictwa Puerto Rico, Juan Ponce z własnych pieniędzy wyekwipował trzy okręta i 3. marca 1513 wypłynął na nich z hiszpańskiej osady San German na Puerto-Rico. Dnia 8. marca dojechał do mielizn Babueca, czyli do dzisiejszych wysp Turks, a nazajutrz rano do Caycos. Ztamtąd, płynąc od wyspy do wyspy, dojechał do Guanahani, a potem miał wyspy od strony wiatru, aż wreszcie 27. marca, w niedzielę wielkanocną (Pascua Florida) ciągle trzymając się północno zachodniego kierunku, ujrzano ląd, który od dnia odkrycia nazwany został Floridą. Następnie jechał Juan Ponce nowym brzegiem ciągle ku północy, prawdopodobnie do 30° półn. szerokości, aż do południowej granicy Georgii, gdzie nastąpiło wylądowanie i ceremonia objęcia w posiadanie. Dnia 8. kwietnia popłynął Juan Ponce jeszcze kawałek drogi po za ten kres, ale następ-

nik nie może się oprzeć urokowi tej baśni. Przy końcu drugiej dekady, która się zamyka w grudniu 1514, wspomina on o źródle, które miało leżeć w kraju Bojuca albo Agnaneo, a z którego napój zmieniał starców w młodzieńców. Nec arbitretur Beatitudo tua, pisze on do papieża, hoc dictum jocose aut leviter. W siódmej dekadzie, którą 1524 przesłał papieżowi Klemensowi, powołuje się na świadectwo swego przyjaciela Gillinusa, uczonego prawnika Ayllon i licencyata Figueroa, którzy mu opowiadali, że im pewien Indyanin lukajski zeznał i świadków dał na to, iż jego ojciec używał wody z tego źródła i w skutek tego nie tylko *virilia quaeque exercuisse*, ale i zostawił potomków (cap. 7.) Nie było rzeki i stawu w całej Florydzie, zapewnia Herrera, gdzieby się Hiszpanie nie kąpali, a i za jego jeszcze czasów nie tracono nadziei znalezienia odmładzającego źródła. (Indias Occid. Dec. I., lib. IX., cap. 12.)

nego dnia zawrócił i sterował na południo-południow-
 wschód. Tak blisko brzegu trzymali się ciągle żeglarze,
 że dopiero 28. kwietnia wpadli na ogrzane wody golf-
 stromu, wybuchające z zatoki meksykańskiej. Wkrótce
 spostrzegli, że nawet przy pełnych żaglach nie mogą zwy-
 ciężyć prądu i zarzucili kotwicę, ale w ich oczach ber-
 gantynę zerwało z liny kotwicznej i zgubiła się ona za
 horyzontem. Chętnieby byli zawiązali Hiszpanie przyjaciels-
 kie stosunki z krajowcami, ale półwysep był wówczas
 tak samo dzielnie broniony przez wojownicze ludy Mus-
 khogi przeciwko Hiszpanom, jak dziś jeszcze przeciw woj-
 skom Stanów Zjednoczonych. Krajowcy Florydy, którzy
 później walczyli nawet z małą armią Hernanda de Soto, od-
 krywcy Missisipi, tak dobrze opatrzoną w jazdę, byli zna-
 komitymi łucznikami, i bronili każdej pędzi swej ziemi. Wy-
 wiązywały się więc ciągle utarczki, z których Hiszpanie
 daleko gorzej wychodzili, niż ich przeciwnicy. D. 8. maja
 opłynięto Cap Florida, który odkrywcy daleko szczęśli-
 wiej nazwali Przylądkiem prądów. Z powodu dziwnej po-
 staci skał swoich wyspy leżące na południo-zachód od
 przylądka otrzymały nazwę Męczenników i ztamtąd po-
 płynęli żeglarze 15. maja ku zachodniemu wybrzeżu Flo-
 rydy w górę aż do 24° półn. szer., gdzie pozostawiali do
 4. czerwca. Krajowcy, którzy już przedtem usiłowali ukraść
 im linę i kotwicę, napadli na swoich łodziach na okręta
 i tylko bronią ognistą można ich było odstraszyć. Wra-
 cano koło wysp Żółwich (Tortugas), którym Ponce de
 Leon pozostawił dawniejszą ich nazwę, poczem żeglarze
 znów się błakali po archipelagu lukajskim, szukając kraju
 Bimini, a jakkolwiek nie znaleźli bajecznego źródła życia,
 to przecież odkryli wielką wyspę Bahama. W końcu po
 bezowocnem krążeniu powrócił Juan Ponce 18. września
 z jednym okrętem do Puerto Rico, wysławszy dzień przed-
 tem drugi statek, pod dowództwem wybornego sternika,

Antonia de Alaminos, który towarzyszył Kolumbowi w czwartej podróży, dla szukania raz jeszcze wyspy Bimini. Alaminos powrócił z wiadomością, że w istocie znalazł taką wyspę z uśmiechniętymi brzegami. Ale nazwy Bimini nie odnoszono wówczas do małej grupy w Lukajach, która dziś tak się nazywa, ale do Florydy, za wyspę jeszcze poczytywanej. Ponce de Leon udał się potem do Kastylli i mianowany został przez króla adelantadem Bimini, wydano mu przytem patent na zdobycie tego kraju. Znajdujemy go jednak w r. 1515 w pewnej wyprawie przedsiębranej dla ukarania kacyków na Gwadalupie, którzy zręcznymi napadami korsarskimi trapiли ciągle hiszpańskich osadników na Puerto Rico. Atoli wpadł tu adelantado w zasadzkę i utraciwszy połowę swoich ludzi, ze wstydem opuścił Gwadalupę. Dopiero w r. 1520 uskutečnił dawniejszy swój zamiar dotyczący Florydy, odpłynawszy z Puerto Rico z 200 ludźmi, 50 końmi i wielu domowemi zwierzętami. Atoli krajowcy Florydy tak groźnie natarli na wylądowujących, że Juan Ponce, raniony strzałą w udo, napowrót siadł na okręt i z rany tej wkrótce umarł na wyspie Kubie.

Wyspa ta zajęta została w posiadanie za pozwoleniem namiestnika Diega Colon, w r. 1511, przez jednego z najstarszych kolonistów hiszpańskich, Diega Velasqueza, który był przedtem w orszaku Adelantada Don Bartolome Colona. Velasquez wzbogacił się swemi plantacyami w Xaragua; był to człowiek pociągającej powierzchowności, zawsze w dobrym humorze, lubiący tłuste koncepta. Lubiono go powszechnie, więc aż 300 ludzi siadło z nim na trzy czy cztery okręta, pomiędzy nimi ówczesny świecki ksiądz a późniejszy biskup Las Casas i Hernan Cortes. Nie potrzeba tu było zdobywać, a tylko objąć w posiadanie, jeden tylko bowiem zbiegły kacyk z Espanioli, Hatuey, który przywędrował z wyspy Guahaby do Kuby

i u wschodniej kończyny tej ostatniej założył państwo, on jeden tylko stawiał nieostrożnie opór, ale został łatwo pokonany i wpadł w ręce swoim prześladowcom, którzy „buntownika“ żywcem spalili. *)

Ważną było i tu rzeczą, że wody północnego wybrzeża złoty piasek nanosiły. Wprawdzie szybko się te skarby wyczerpały, ale nim się to stało, już żądza zysku napełniła Kubę osadnikami. Szybkie wymieranie ludzi w płuczkarniach złota i plantacjach było powodem, że Hiszpanie zaczęli teraz porywać ludzi z odległych wybrzeży. Już i wyspy Bahama były w ten sposób wyludnione i potrzeba się było oglądać za innymi jeszcze nietkniętymi brzegami. Wyprawy przedsiębrane z Kuby w celu porywania krajowców sięgały aż grupy wysp Guanajes. Pewien statek z 60—80 Hiszpanami, który tam popłynął, wracał z powrotem do Santiago napełniony ludźmi, i zatrzymał się przy Kubie. Większa część służby okrętowej wieczorem wyszła na ląd. Indyanie, zamknięci w dolnych przestrzeniach okrętu, zauważywszy, że się cicho zrobiło na okręcie, wyłamali otwór, wydostali się na pokład, pokonali niewielu żeglarzy, którzy pozostali na statku, podnieśli kotwicę, ustawili żagle i puścili się na pełne morze, ku wielkiemu przerażeniu Hiszpanów, którzy na ląd wysiedli. Jeżeli ten nadzwyczajny czyn poucza nas, z jaką pojętnością przypatrywali się krajowcy europejskiemu rzemiosłu żeglarskiemu, to podziwienie nasze jeszcze wzrasta z powodu tej okoliczności, iż ludzie ci umieli na bergantynie odnaleźć swoje odległe wyspy ojczyste, gdzie dzielnie zdobyty okręt osadzili na mieliźnie. Ale Velasquez posłał wkrótce za nimi dwa inne statki,

*) Las Casas opowiada (lib. III. cap. 25 ms.), że przed straceniem namawiano go, aby się dał ochrzcić, i tym sposobem mógł dostać się wraz z chrześcianami do nieba. Hatuey zapytał bojaźliwie, czy i Hiszpanie tam idą, a otrzymawszy od księdza odpowiedź: „bez wątpienia, pobożni!“ nie zechciał chrztu przyjąć, aby się na tamtym świecie nie spotkać z Hiszpanami.

które po gorliwym szukaniu znalazły u jednej z wysp szkielet bergantyny. Znow walczono z krajowcami, pochwytano ich i pozamykano, a dla uzupełnienia ładunku ludzkiego i drugą wyspę nawiedzono. Ale i tym razem pozamykani krajowcy skorzystali ze sposobności oswobodzenia się i pokonania hiszpańskiej służby okrętowej. Kiedy się druga zjawiała karawela, byli już panami okrętu i przez dwie godziny bronili się na pokładzie, aż wreszcie europejska broń rozstrzygnęła i zwyciężonym nic nie pozostawało, jak ratować się skokiem w morze.

Podobną wyprawę przedsięwzięli trzej plantatorowie na Kubie, Francesco Hernandez de Cordoba, Cristobal Morante i Lope Ochoa de Caycedo; każdy z nich włożył do wspólnej kasy od 1200—1500 castellanos. Za te pieniądze najęli dwa okręta, a Diego Velasquez dał im jedną bergantynę pod warunkiem, że mu za to zapłacą z pieniędzy, otrzymanych ze sprzedaży niewolników, których miano przywieźć z wysp Guanajes. Zwerbowano do tej podróży 110 ludzi, między którymi byli ci, co przybyli z Pedrariasem do Daryi, ale z powodu głodu w Złotej Kastylii odprawieni zostali przez namiestnika, jak to się zdarzyło z Bernalem Diaz, rzetelnym dziejopisem zdobycia Meksyku. Ale najgodniejszym uwagi naszej człowiekiem na tej eskadrze był wspomniany już pierwszy sternik Antonio de Alaminos. On to podał dowódcy Hernandezowi de Cordoba myśl, ażeby zwiedzić nowe kraje na zachód od Kuby, gdyż kiedy towarzyszył jako sternik admirałowi Kolumbowi w podróży jego do Veragua, to wielki odkrywca gorzko się uskarżał, iż nie dano mu było zbadać morza na zachód od Kuby, w tym bowiem kierunku muszą leżeć bogate kraje. Velasquez chętnie dał pozwolenie na tę podróż odkrywczą i 8. lutego 1517 wypłynęła eskada z portu Habana czyli San Cristobal, jak się jeszcze wówczas port nazywał. Dwunastu dni potrzeba było, aby

się dostać do zachodniego przylądka Kuby, San Antonio. Dwa następne dni walczono ze złemi burzami, aż wreszcie 1. marca ujrano łód, a mianowicie Cap Catoche na Yucatanie. Jakże się zdziwili Hiszpanie, gdy z morza ujrzeli miasto z wieżami i biało świecącymi murami. W pierwszym zachwycie porównywali je z Kairem. Do okrętów zbliżyły się wielkie łodzie, mieszczące od 40 do 50 ludzi. Przywożono żywność na okręta i nawzajem Indianie pozwalali się ugasać cudzoziemcom. Ubrani byli krajowcy w bawełnianą odzież, która przyzwocie okrywała ich ciało, a szczególną chciwość obudzały w Europejczykach złote kolczyki w uszach. Kacyk czyli książę tego miasta zaprosił cudzoziemców w odwiedziny do siebie. *) Ale Hiszpanie tak byli przerażeni widokiem niespodziewanej cywilizacji, że w szyku bojowym wysiedli na zapelnione ludźmi wybrzeże. Przechodzili ulicami wielkiego miasta, którego domy budowane były z kamienia i słomą kryte. Widzieli pasieki z pudłami na pszczoły, których miód podawano im w naczyniach, studnie z murem ocebrowaniem i tarasową budowę, którą poczytali za twierdzę, ale była to jedna z owych tarasowych piramid, na szczycie której w małych kaplicach czczono bogi i opiekuńcze duchy. Tu i ówdzie spotykali Hiszpanie bożyszcza, między którymi zwróciło ich uwagę wyobrażenie wielkiego węża i lwa. Na wielu z tych bogów kamiennych były ślady krwi i żeglarze widząc w pobliżu świątyń białe pale a na ziemi ostre noże z czarnego, jak szkło twardego, *itztli*, poczytywali to miejsce za plac kary śmierci, nie przypuszczali bowiem, że to krwią ludzką częstowano te posępne bożyszcza. Zdziwienie ich dosięgło najwyższego

*) Powtarzał przytem słowa: Con escotoch, con escotoch, z czego Hiszpanie wywnioskowali, że miasto nazywa się Catoche (Bernal Diaz, cap. 2.) W samej rzeczy conex cotoch w języku Maya znaczy: „chodźcie do naszego miasta“. (Stephens, Yucatan s. 21.)

szczytu, gdy na wielu kamiennych wyobrażeniach spostrzegli wyraźne znaki krzyża. Nie był to co prawda symbol zbawicielskiej śmierci, ale tylko symbol zapłodnienia, odnoszący się do jednego z najstarszych bóstw ludu Maya, do bóstwa deszczodajnego, którego kult pod imieniem Tlaloc rozprzestrzenił się daleko po środkowej Ameryce aż do Azteków. *) Jak tylko mieszkańcy zaczęli okazywać nieprzyjacielskie usposobienie, wnet Hiszpanie opuścili Catoche i popłynęli brzegiem, naprzód na zachód a potem ku południowi. Wszędzie z morza widać było wybrzeże ożywione wieżami świątyni i murowanymi miastami. Wreszcie brak wody zmusił eskadrę do wylądowania w pewnej zatoce, która otrzymała nazwę Śgo Łazarza, ale ta nazwa wkrótce ustąpiła przed miejscową nazwą Campeche. Przyjęto ich tu gościnnie, i w pobliskim mieście, które liczyło jakoby 3000 domów, ugaszczano chlebem kukurydzianym, zającami, kuropatkami i drobiem, mianowicie indykami. Po tych dniach szczęśliwych odbywano dalej podróż wśród burz gwałtownych. W skutek popsucia się beczek zapasy wody wkrótce się wyczerpały. Dnia 2. kwietnia wylądowali żeglarze pod innem miastem, Champoton, czyli *Śmierdząca woda*. Tu doznali niegościnnego przyjęcia: krajowcy gwałtownie dawali im do zrozumienia, aby się co najrychlej zabierali z lądu. Hiszpanie powiedzieli im przez kubańskich tłumaczów, że chcą tylko nabrać wody, w skutek czego wyznaczono im pewną studnię. Noc przepędzono

*) objaśnienia do Tlaloca znajdują się u Brasseur de Bourbourg, *Histoire du Mexique*, Paris 1857 tom I. p. 300. Owiado słusznie powątpiewa o wiadomościach podanych przez Alaminosa. Bernal Diaz, który także mówi o krzyżach, wspomina zarazem o szczególnym trafie, że kapłani Azteków nazywali się papas. Ixtlilxochitl (ed. Ternaux-Compans tom. I. p. 5.) podaje rozmaite imiona boga deszczu. Ten sam opowiada (tom II. cap. 84, p. 204), kiedy się Cortes rozkwaterował u Tlaxcalteków i kazał krzyże powznosić przed swoim mieszkaniem, „to Tlaxcaltekowie byli bardzo zdziwieni, widząc, że Hiszpanie modlą się do tego samego boga, którego oni nazywali Tonacaquauhitl, czyli drzewem pożywienia“.

w niepokoju pod bronią, Indianie bowiem rozłożyli się obozem naprzeciw Hiszpanów. Nad ranem oddziały nieprzyjacielskie ciągle wzrastały, nareszcie wśród dźwięku trąb uderzyli krajowcy na przybyszów, uzbrojeni w łuki i strzały, tarcze i proce. Nie wiele pomagała Europejczykom ich broń przeciw mnóstwu odważnych nieprzyjaciół; 22 żołnierzy padło zabitych strzałami, a gdy i sam Cordoba otrzymał ranę, to dał rozkaz odwrotu do łodzi, tak że naczynia z wodą musiano pozostawić na lądzie. Nieprzyjaciel nie przestawał walczyć i na morzu, i jeden tylko żołnierz hiszpański dostał się cało do eskadry, wszyscy inni mieli po dwie lub więcej ran. Ponieważ brakło już rąk do obracania żagli, więc jeden okręt spalono. Pragnienie męczyło żeglarzy, język i usta popękały od suchości. „A gdybyście wiedzieli, woła Bernal Diaz, jakie męki przeznaczone były odkrywcom nowych krajów!“ W trzy dni potem zdawało się im, że spostrzegli rzekę, ale wysadzone łodzie znalazły tylko gorzką wodę. Wśród takich utrapień sternik Alaminos zaproponował pokierować okręt ku Florydzie, którą uważał za najbliższy brzeg, i która w istocie po czterodniowej podróży ukazała się na widnokręgu.

Alaminos i Bernal Diaz z dwudziestu żołnierzami udali się na ląd, pełni obawy, sternik bowiem w pierwszej podróży Ponce de Leona gruntownie był poznał waleczność krajowców. Już w godzinę po wylądowaniu strażę narobiły hałasu. Wszczęła się gorąca utarczka, ale hiszpańskim łucznikom i strzelcom udało się położyć sześciu nieprzyjaciół, a resztę rozproszyć. Tymczasem inni Florydańczycy napadli na łódź i zabrali ją, zadawszy rany czterem pozostawionym dla jej pilnowania majtkom. Musiano na nowo walczyć o łódź i to w wodzie, aż wreszcie nieprzyjacieł, utraciwszy 22 ludzi, puścili ją. Hiszpanie nie mogli się tylko jednego doliczyć, i jakkolwiek po-

kaleczeni wrócili jednak z zapasami wody. Pragnienie tak ich męczyło, że się jeden żołnierz na śmierć wodą zapił. Tymczasem w głównym okręcie okazała się szpara i nawet ranni musieli nieustannie pompować, aż póki wreszcie nie dojechano do Habany. Cordoba nie długo przeżył swój powrót, umarł z ran, w głębokim smutku, że owoce jego wielkiego i trudnego odkrycia miały się komu innemu dostać.

Zaledwie bowiem wiadomość o nowych krajach i nadzwyczajnem społecznieniu ich mieszkańców doszła do uszu Diega Velasqueza, zaczął on uzbrajać nową, jeszcze większą eskadrę; składała się ona z dwóch okrętów, które powróciły z wyprawy i z dwóch innych, których Velasquez własnym kosztem dostarczył. Dowódcą floty mianował swego synowca, Juana de Grijalva z Cuellar, 28-letniego człowieka o pięknej, młodzieńczej powierzchowności, łagodnego, ludzkiego i odznaczającego się sumiennością, posuniętą do pedanteryi. Pojedyńczymi statkami dowodzili: Pedro de Alvarado, wielki, rycerski towarzysz broni Cortesa, którego Aztekowie nie inaczej nazywali jak Tonatiuh, t. j. synem słońca; Francisco da Monteyo, późniejszy zdobywca Yucatanu, i Alonso de Avila, brat Gila Gonçaleza, odkrywcy Nicaragwy, i jeden ze świetnych bohaterów z orszaku Cortesa. Ci oficerowie dostarczyli zapasów żywności, podczas gdy 240 żołnierzy, cisnących się do tej wyprawy, opłacało z własnej kieszeni służbę okrętową.

D. 20. kwietnia 1518 wypłynęła flota z portu Matanzas *), 15 mil na wschód od Habany, i 1. maja dosięgła Cabo San Antonio, zachodniej kończyny wyspy. Po

*) Nazwa tego handlowego miejsca powstała w r. 1511 lub 1512, gdy zdobywcy Kuby znaleźli tam w pobliżu pewną Hiszpankę i jej ośmastoletnią córkę, które powitały swoich ziomków zupełnie nagie i liśćmi tylko przepasane. Dostały się tu one były z rozbitego okrętu, którego męską ludność krajowcy z początku gościnnie przyjmowali, ale potem w przeprawie przez pełną lagunę zatopili (Las Casas lib. III. cap. 30 ms.

trzydniowej przeprawie, pędzeni prądami dalej na południe, niż w poprzedzającym roku Cordoba, odkryli żeglarze wyspę, którą podług kalendarza nazwali Santa Cruz, ale która u krajowców nosiła nazwę Acusamil, *wyspa jaskółcza*. Dnia 5. maja wylądowano i dopełniono tradycyjnym sposobem ceremonii objęcia w posiadanie. Zwiedzono następnie budynek, którego ruiny tak się dobrze do dziś jeszcze zachowały, że miejscami można jeszcze dostrzedz fresków na murach. Była to czworokątna wieża, stała na tarasie, do którego prowadziły stopnie; przez cztery wejścia wchodziło się do wysokiej sali bogów, Acusamil bowiem, albo Coçumel, jak dzisiaj brzmi zepsuta nazwa, była świętą wyspą, do której świątyni corocznie z daleka pielęgnowały ludy Maya. Na jedną z takich wież, (naliczono ich na widnokręgu 14), weszli Hiszpanie i na jej szczycie rozwinęli chorągiew Kastylji, a kapelan Juan Diaz w obliczu bożków mszę odprawił. Jakkolwiek w wilię dnia tego wieczorem na brzegu pełno było ludzi, a w nocy dawało się słyszeć bębnienie, Hiszpanie jednak znaleźli miejsce to pustem. Dopiero bardzo późno zjawił się jakiś sługa kościelny z dwoma innymi krajowcami, aby wśród monotonnych śpiewów zapalić bogom w sali wieżowej kadzidło (copal). Kacyk czyli Calachuni kazał powiedzieć o sobie, że jest nieobecny; w ogóle zjawienie się cudzoziemców tak odstraszało wyspiarzy, że gdziekolwiek okręta się ukazywały, natychmiast ucieczka się rozpoczynała. Eskadra opłynawszy 11. maja dokoła wyspę, trzymała się ku północy, a 13. maja spostrzegła wybrzeża Yucatanu, które ciągle odtąd miała po lewej ręce. Sternik pobłądził w rachunku i żeglarze przybyli do Champoton, nie widziawszy Campeche. Brak wody tak się już dawał uczuwać eskadrze, że w ostatnich dniach gaszono pragnienie winem. W największej cichości, zaledwie zaczęło świtać, wysiadł Grijalva na ląd, ale skoro tylko dzień się zrobił,

już krajowcy w szyku bojowym stali naprzeciw Hiszpanów. Udało się jednak za pomocą tłumaczy dać zrozumieć Yukatańczykom, że przybysze pragną tylko nabrać wody. Wyznaczono więc Hiszpanom pewną studnię w polu i załeciono, aby się nie zbliżali do miasta, które było opasane silnym częstokołem wysokości człowieka. Przez cały dzień zajmowano się napełnianiem beczek, ale robota szła bardzo powoli. Jednocześnie prowadzono wymienny handel z krajowcami, którzy pomimo to od czasu do czasu groźbami a nawet strzałami wyrażali niezadowolenie z tak długiego przebywania Hiszpanów. Podczas nocy cofnęli się krajowcy do miasta, ale słychać było ciągle bębnienie i trąbki muszlowe, co było znakiem, że się mieli na ostrożności. Skorzystali też z czasu dla sprowadzenia posiłków, nazajutrz bowiem rano (27. maja) ukazały się daleko liczniejsze oddziały na brzegu lasku, który oddzielał miasto od obozu hiszpańskiego. Dwaj Indianie, jako heroldzi, zbliżyli się do Hiszpanów i żądali ustąpienia z brzegów. Jednocześnie zapalili kadzidło czyli guaymaro, tłumacząc, że gdy ten ogień zgaśnie, mają się rozpocząć nieprzyjacielskie kroki. Dopóki się jeszcze żarzyło, krajowcy obojętnie prowadzili wymianę, ale gdy ogień wygasł, wojsko nieprzyjacielskie wydało okrzyk bojowy i wypuściło grad strzał i kamieni. Grijalva, który dotychczas sumienie unikał krwi rozlewu, dał znak swoim małym armatom, które kazał na ład wysadzić, i szybko odrzucił napastników do lasku. Hiszpanie gorąco ich tam ścigali, i wywiązała się zacięta utarczka, w której jeden z żołnierzy został ubity, a większa część odniosła rany. Sam Grijalva był także ranny. Pomimo to krajowcy ustąpili z pola i zjawili się potem z pokojowym podarkiem. Hiszpanie mogli teraz bez przeszkody napełnić wodą naczynia i odwieźć je do okrętu.

Dnia 31. maja dojechali do pewnego morskigo kanału, który z początku poczytywali za rzekę, a który otrzymał znaczące imię Boca de Terminos. Dotychczas bowiem brano Yucatan za wyspę, którą niekiedy od imienia capitany czyli admiralskiego okrętu nazywano Santa Maria de los Remedios. Kanał ten morski tak był płytki, że nie posiadał nawet głębokości potrzebnej dla karawel, inaczej prędkoby się przekonano, że to co brano za cieśninę, było tylko hafem, czyli dzisiejszą Laguna de Terminos. Alaminos, jako naczelný sternik, oświadczył, że w owem miejscu kończą się odkrycia Cordoby, i że wybrzeża, które dalej leżą są „nową” ziemią.

D. 5. czerwca, naprawiwszy okręta w pewnej przystani u wysep przed laguną, znów puszczono się dawnym torem odkrywców, mianowicie ku zachodowi. 7. czerwca w tym kierunku odkryto jedno ujście rzeki, a wkrótce potem drugie, większe. Rzeka otrzymała dzisiejszą nazwę, Rio de Grijalva; nazywano ją także Tabasko, od imienia kacyka, którego tam zastano. W chwili, gdy Grijalva wpływał z czterema żaglowcami na rzekę, w mieście była silna załoga, składająca się z dwóch Xiquipiles. *) Tym razem jednak Hiszpanów spotkało lepsze przyjęcie, jak ich następców, kacyk bowiem miejscowy zjawił się na pokładzie, aby powitać hiszpańskiego dowódcę. Słudzy jego otwarli kosz, albo raczej skrzynię z wypukłym wierzchem, a wódz wydobywał ztamtąd kawałki indyjskiego uzbrojenia, które po części składały się z kutego złota. Z każdej sztuki przyniósł rozmaite wzory, które przymierzał do ciała Grijalvy, aż póki ten wreszcie nie został uzbrojony od stóp do głowy. Na nieszczęście tylko gestami można się było porozumiewać, od czasu bowiem jak opuszczono

*) Bernal Diaz (cap. 11.) powiada, że w jednym Xiquipilu było 8000 ludzi. To samo znajduje się u Tezozomoca (Hist. du Mexique ed. Ternaux-Compans. Paris 1853 tom I. p. 171.)

Yucatan, tłumacze języka Maya nie mogli już rozumieć mowy krajowców, Nahuatl, czyli aztekańskiego języka. Dnia 11. czerwca popłynięto dalej brzegiem ku zachodowi. Ukazały się teraz góry śnieżne, z których nowe już rzeki torowały sobie drogę do morza. Jedna z nich Papalohune, otrzymała i zachowała imię Alvarada, którego okręt wyprzedził był inne i odkrył tę rzekę. Dalej ku północy odkryto inną rzekę, nad którą krajowcy stojąc powiewali białymi chorągwiami i która w skutek tego otrzymała nazwę Rio de banderas. Pas nadbrzeżny, który mieszkańcy nazywali Ulua, należał już do Tierra caliente, czyli do płytkiego wybrzeża, po za którem wznosiła się wyżyna meksykańska. Nad wewnętrznemi jeziorami tej wyżyny ludne miasta i wysoko ucywilizowane ludy połączone były w związek państw, którego najwyższy zwierzchnik Mochtezoma albo Montezuma, jak brzmiało zepsute dla dźwięczności imię, nie bez słuszności nazywany był cesarzem. Posłowie pod Rio de Banderas ujrzeli okręta białych brodatych cudzoziemców, o których czynach pod Champoton oddawna już w stolicy miano wiadomości, a których przybycia oczekiwano w trwodze. Hiszpanie ani przeczuwali, że będą tak bacznie obserwowani, że hieroglificznem pismem zjawienie się ich zostanie opisane i depeszę gońcy po wielkich drogach powiozą do cesarskiej rezydencji. Tem mniej jeszcze mogli przypuszczać, że monarcha tego porządnie uorganizowanego państwa pełen niepokoju oczekiwał na te wiadomości, a to dla tego, że stare podania zagrażały mu powrotem na ziemię pewnego boga, który niegdyś żył między ludźmi, a którego powrót miał spowodzić zupełny przewrót ziemskich rzeczy. A nadto dziwnie brzmiały wiadomości o przybyściach, którzy jeździli „na węzach“, pływali skrzydlatymi okrętami, grzmot i błyskawicę mieli w broni, ażeby monarcha i jego przerażeni astrologowie nie odnieśli dawniej-

szych niepokojących zjawisk na nocnem niebie do owych niemiłych gości obcego świata.

Dnia 18. czerwca znajdowali się Hiszpanie naprzeciw dzisiejszej Vera Cruz, przy grupie wysp, z których jedna była uwieńczona piramidą z kamieniem ofiarnym; w pobliżu tego kamienia leżały świeże i dawniejsze trupy ludzi, pomordowanych, jak się dowiedziano od krajowców, na cześć ponurym bóstwom Anahuacu. Dnia 1. czerwca udał się Grijalva na stały ląd i odbył zwyczajny obrządek objęcia w posiadanie, obrządek zakończony mszą, której krajowcy z nadzwyczajnem nateżeniem ducha słuchali, gdyż, jak trafnie powiada Las Casas, nie było na całym świecie większych bigotów od Azteków. Przełożony najbliższej miejscowości wydał ucztę na cześć Hiszpanów, która podana była w malowanych glinianych naczyniach, z pedantyczną ceremonialnością, na matach, a zakończyła się wymianą podarunków. Otrzymano od krajowców złote klejnoty, których sztuczna robota o wiele czasem przewyższała wartość metalu, po mistrzowsku bowiem i z bardzo szczęśliwym smakiem umieli aztekańscy jubilerzy oprawiać drogie kamienie w kruszec. Nadbrzeżni mieszkańcy, handlując z Hiszpanami, z wielką ochotą pełnemi garściami oddawali złoto za drobiazgi europejskie bez wartości. Żądza pozostania w tym kraju wzmożła się ogromnie na eskadrze, wszystko tu bowiem świeciło jak złoto. Burzliwie domagano się od Grijalvy, aby wylądował w tym kraju dukatów, ale szlachcic ten prędzejby gotów był postradać życie, niż na włos uchylić się od instrukcyi. Posłał on 24. czerwca Alvarada z jednym okrętem i 50 ludźmi do Cuby, przesyłając cenną a łatwą zdobycz złota i nadzwyczajną wiadomość o nowych krajach. Przez siedm dni spoczywano u wysp San Juan de Ulua, gdzie moskity trapiły żeglarzy i gdzie dziewięciu ludzi uległo wpływom niezdrowego powietrza. Pomimo to

aż do 28. odbywano dalej podróż wzdłuż brzegu, na którym widać było wielkie i świetne miasta, a góry sięgały do chłodniejszych warstw powietrza. Ostatecznym kresem dla odkrywców było ujście rzeki Panuco, którą nazwali Rio de canoes, ponieważ napadło tam na nich 16 pirog indyjskich, które dopiero wtedy zaprzestały walki, gdy trzy z nich zatopiono. Tutaj sternik Alaminos usilnie doradzał, aby się zawrócić, lękał się bowiem, aby dotychczas pomyślne prądy nie utrudniały powrotu, i ażeby nie zabrakło już wyczerpujących się i po części popsutych zapasów. Kiedy z powrotem znowu się zatrzymano u wybrzeża Ulua i znowu zaczął złoty deszcz padać, to Hiszpanie tak głośno i burzliwie zaczęli objawiać chęć pozostania tam, że Grijalva 18. lipca po mszy niedzielnej surowemi karami zagroził każdemu, ktoby objawiał podobne życzenia. Z powrotem pod Campeche 5. września znowu trzeba było walczyć ze szpadą w dłoni o wodę; nareszcie 30. września zarzuciła eskadra kotwicę w porcie Habany.

Grijalva niespodzianie znalazł chłodne przyjęcie u Velasqueza, namiestnik bowiem Kuby oburzony był na swego krewniaka, że ten nie przekroczył wyraźnych jego instrukcyi i nie założył kolonii na nowo odkrytych brzegach.*) Jak tylko Alvarado przywiózł upajającą wiadomość o nadzwyczajnych odkryciach, zaraz Velasquez zaczął uzbrajać wielką eskadrę, i znalazł już był sobie człowieka, o którym mógł być pewnym, że nie zgrzeszy pedantycznym posłuszeństwem. Jak ten nowoobраниy, a nieznany dotąd z imienia Hernan Cortes z nawpół uzbrojoną eskadrą umknął od chwiejnego Velasqueza, jak w lutym 1519 z porządną flotą i armią z pięciuset czy siedmiuset ludzi nawiedził wielkie państwo aztekańskie, tego wszystkiego

*) Zaeny Grijalva znalazł śmierć 1526 podczas powstania guatemalskich Indyjan na wybrzeżu zatoki Honduras.

nie będziemy opowiadali, zadaniem bowiem naszym było tylko towarzyszyć pierwszym odkrywcom do progu przyszłych zdobyczy.

Ponieważ Grijalva dotarł był do wysokości Tampico, a Juan Ponce de Leon do zatoki Appalachie na zachodnim wybrzeżu Florydy, to w meksykańskiej zatoce pozostawało tylko do odkrycia wybrzeże, leżące pomiędzy tymi dwoma punktami. Wiadomość o nowych odkryciach doszła i do Jamaiki, gdzie rezydował, jako namiestnik z ramienia drugiego admirała, pewien Hiszpan imieniem Francisco de Garay. Dowiedziawszy się o nowych krajach, zaraz uzbroidł dwa okręta i wyprawił je pod dowództwem Diega Camargo, który od ostatecznego punktu podróży Grijalvy popłynął jeszcze sto leguas dalej brzegiem ku Florydzie. Następnie wysłał namiestnik w 1519 swoich agentów do Hiszpanii i wyjednał sobie patent na podbicie tych wybrzeży. Na eskadrę, wysłaną w tym roku, czatował Cortes, ale nadaremnie, pod Zempoala. Składała się ona z trzech czy czterech okrętów i zbadała wybrzeża od Panuco do Florydy. Rezultat tej podróży nie był mało znaczącym, Garay bowiem mógł potem posłać do Hiszpanii mapę, na której dość wyraźnie zarysowała się Floryda czyli Bimini jako półwysep, i widoczne było jej połączenie ze stałym lądem i brzegami nowo odkrytego Meksyku, który Grijalva nazywał jeszcze „bogatą wyspą za Yucatanem“ (Isla Rica por Yucatan); dość wyraźnie też uwydatniała się krzywa linia stałego lądu na północy meksykańskiej zatoki.

*) Jakkolwiek byłoby pękną rzeczą zapuścić się w historię epoki podbojów, to jednak zadanie to tak po mistrzowsku zostało rozwiązane przez Prescottta, (*The conquest of Mexico* i *The conquest of Peru*), że przez długi czas odstraszać będzie każdego historyka.



ROZDZIAŁ ÓSMY.

SPOŁECZNE ZJAWISKA W PIERWSZYCH OSADACH
NOWEGO ŚWIATA.

Stracenie Anacaony. Poddanie się Higueya. Wymieranie krajowców. Samobójstwo rasowe. Ospa. Walka Dominikanów o prawa człowieczeństwa. Ustawy dotyczące niewolnictwa. Dobywanie złota. Koniec jego. Obniżenie się wartości kruszców. Znikanie dawniejszej fauny. Wycinanie lasów. Uprawa winna. Aklimatyzacya pomarańcz, kassyi, trzciny cukrowej. Handel murzynami i ich powstanie. Dom indyjski w Sewilli. Żegluga. Zarząd kolonialny.

Czytelnik nie mógłby mieć pełnego pojęcia o czasach i czynach dotąd opisywanych, gdybyśmy mu nie opowiedzieli o tem, jak się wiodło najstarszym europejskim koloniom w Nowym świecie. Gdy Ovando przybył do Espanioli, najdalszy wschód i najdalszy zachód tej wyspy nie były jeszcze podbite. W przemysłowej Xaragua panowała nieograniczenie, od śmierci swego brata, Anacaona. Atoli smutny zgon był jej przeznaczony. Padło na nią podejrzenie, że knuje spisek przeciwko hiszpańskiej władzy. Ovando pomaszerował z 200 piechoty i 70 jazdy do jej małego państwa, gdzie go Anacaona przyjęła bez wszelkiej obawy i na cześć jego kazała odtańczyć wielki dramatyczny taniec, ostatnie igrzysko tego rodzaju na Espanioli. Następującą niedzielę obrano na spełnienie czynu, który, jak robi uwagę Las Casas, wcale nie był rzymsko-katolickim, a tem mniej chrześcijańskim. Hiszpanie poczynili przygotowania do rycerskich ćwiczeń i, jak się spodziewali, Anacaona prosiła, aby jej wolno było być tym ćwiczeniom przytomną. Pozwolono jej, ale pod warunkiem, że się zjawi w orszaku swoich wodzów. W istocie przybyła w otoczeniu 80 wazali, którzy zajęli miejsce w pe-

wnym caney, czyli indyjskim pałacu naprzeciw namiestnika i oczekiwali na jego przemowę. Tymczasem Ovando kazał obstawić budynek jazdą i żołnierzami i zauważywszy wreszcie, że nie brak już żadnej ofiary, położył palec na klejnocie swego łańcucha. Spostrzegłszy ten niemy sygnał, dobyli Hiszpanie szpad z pochw i bezbronne zgromadzenie powiązane zostało w komplecie, tak że ani jeden Indyanin nie mógł umknąć. Po oddaleniu związanej a lamentującej Anacaony, zapalono pałac i otoczono ogień, pilnując, aby się wszyscy więźniowie w nim spalili. Anacaona przez cześć dla monarchicznej władzy została powieszoną. Ażeby zbrodnia ta mogła ująć śledztwa, które jej z Hiszpanii zagrażało, kazał Ovando we dwa lata potem wytoczyć proces straconym i winę ich świadectwem oskarżycieli urzędowo jakoby stwierdzić. Przez sześć miesięcy trwała walka w zachodniej części wyspy, którą Hiszpanie traktowali jak zbuntowaną prowincję, póki zbiegłych wodzów nie powyciągano z kryjówek górskich i z wyspy Guahaba.

Odważniej broniła się ludność południowo-wschodniej kończyny czyli kraju Higuey, ponieważ była w niej przemieszka krwi karybskiej, i krajowcy tutejsi, podobnie jak Karybowie, mieli łuki i strzały. Ale nadaremnie ufali w warowność swoich wiosek, których wąskie ulicy wyborne się nadawały do boju ulicznego. Mdle ich strzały nie były niebezpieczne dla dobrze odzianych Hiszpanów, podczas gdy sami od cięć szabli mogli się tylko gołemi rękami zasłaniać. Hiszpańskie więc oddziały przechodząc z jednej wsi indyjskiej do drugiej, wszędzie rzeź sprawiały. Bez litości postępowali Hiszpanie szczególnie ze wszystkimi wodzami, których zwyczajnie razem w większej liczbie palili, czyniąc to z piekielną radością i wydając przytem straszliwy okrzyk, który odkrywa nam nieznane

strony w naturze ludzkiej. *) Ośm miesięcy trwała wojna, przypadająca na lata 1503 i 1504. Ze śmiercią wodza Cotabanama wygasł ostatni opór i krajowcy nie próbowali więcej zrzucić z siebie jarzma potężnych cudzoziemców. **)

Od tej chwili pierwotna ludność na Espanioli zaczęła zniknąć nadzwyczaj szybko. Przy pierwszym dokładnem obliczeniu w r. 1508 było ich jeszcze 60.000 głów, ***) w dwa lata później, gdy przybył na wyspę drugi admirał Don Diego Colon (1510), było już tylko pierwotnych mieszkańców 46.000, a liczba ta w latach 1511—1512 zmniejszyła się do 20.000, w r. 1513 do 13—14.000. Oviedo, wędrując w r. 1515 przez wyspę, znalazł jeszcze nad jeziorem Xaragua pierwotną ludność w stanie nieza-

*) Todo esto, powiada ubolewający Las Casas (lib. II. cap. 17 ms.) yo lo vide con mis ojos corporales mortales. Nie trzeba jednak myśleć, że do podobnych okrucieństw zdolni tylko Hiszpanie i tylko przeszłe wieki. W chwili, gdy się te stronicę drukują (pierwsze wydanie z roku 1852) Indye przedstawiają obfite pole do spostrzeżeń, jak żądza mordu może się rozbudzić w wojску europejskiem, jeżeli je ożywia chęć mszczenia się na okrutnym wrogu. Jakkolwiek podobne czyny Europejczyków, Francuzów czy Anglików, Hiszpanów czy Portugalczyków, nie zasługują na pobłażliwe ocenianie, to jednak nie trzeba zapominać, że ciągle obawa o życie, w jakiej się znajduje odkrywca i pierwszy plantator, koniecznie musi wyradzać pewną zatwardziałość serca.

**) Epizod o tak zwanym kacyku Don Henrique nie ma historycznego znaczenia. Pewien ochrzczony i przez Hiszpanów wychowany Indyanin zbiegł z powodu prywatnych zatargów w pustynie, do jezior Xaragwy i tam ze zbiegłych murzynów i krajowców utworzył bandę, która stała się niebezpieczną dla hiszpańskich osad, i z którą wojsko europejskie nie mogło nic poradzić, tak, że w końcu musiano z dowódcą Henrique, który pozostał wiernym chrześcijańskiej wierze przez wiele lat rozbójniczego życia, zawrzeć ugodę, mocą której wódz ten otrzymał od cesarza Karola V. szlachectwo i przydomek Don. Romantyczne przygody tego barona indyjskiego obszernie opowiada Oviedo (Hist. gen. lib. V. cap. 4—9). Ale „powstanie“ jego nie było bynajmniej narodem powstaniem, i tę tylko ma dla historyi ciekawą stronę, że krajowcy, nauczwszy się władać europejską bronią, mogli nieprzeparty opór stawiać w swojej od natury obronnej ojczyźnie.

***) Las Casas, lib. II., cap. 42. To samo już obala przesadne twierdzenie zacnego biskupa, że w czasie odkrycia było krajowców na wyspie 3 do 4 milionów. Prawdopodobnie ogólna suma ludności w owym czasie na Espanioli wynosiła mniej jak 300.000 a więcej jak 200.000 głów.

maconego spokoju, ale przyznaje, że w r. 1548 już ledwie 500 osób dawnej rasy znaleźć tu można było. Tym sposobem już drugie pokolenie po przybyciu cudzoziemców zupełnie wymarło. Śmiertelność na wyspach Antylskich, za wyjątkiem wysp Karybskich, szła równym krokiem ze śmiertelnością na Espanioli. Na Kubie już 1548 wygasła pierwotna ludność. Z tej wyspy i z wysp lukajskich sprowadzano od 1508 krajowców do Espanioli, której ludność bardzo się przerzedzała. Z początku płacono po 4 castellanos od głowy, jak brzmiało wyrażenie handlowe, ale później kiedy się rozwinął połów pereł pod Cubagua, płacono wprawnych nurków lukajskich po 150 castellanos i w przeciągu lat 20 więcej niż 40.000 tych nieszczęśliwych wywleczono, często w najhaniebniejszy sposób, z ojczyzny na śmierć pewną.*)

Byli wprawdzie pierwsi odkrywcy i osadnicy europejscy sprawcami tej śmierci ludów, ale cięży na nich tylko wina moralna, iż przyspieszyli ten proces, dziś bowiem spostrzegamy, w łagodniejszej żyjąc epoce, że pierwotna ludność na stałym lądzie północnej Ameryki i na wyspach Oceanu Spokojnego, mianowicie na wyspach Sandwich i Towarzyskich, bez ratunku zapada do grobu, chociaż się jej prawie nie zadaje gwałtu. To wymieranie całych ras za pojawieniem się ukształceńszych i silniejszych narodów odbywa się tak widocznie a tak bez hałasu, że przypomina to nam geologiczne epoki, kiedy natura rozważną ręką usuwała przeżyte formy istot organicznych.

*) Petr. Martyr. Dec. VII. cap. I. cap. 4. Tak naprzykład korzystano z ich wiary w wędrówkę dusz zmarłych do krain południowych. Handlarze niewolników opowiadali im, że wracają z tamtego świata i namawiali biednych Indyan, aby ci się z nimi udali na południe do kraju cieniów. Złudzeni nadzieją obaczenia drogich istot zmarłych, siadali krajowcy na okręta i zawożono ich nie na tamten świat, ale do płuczkarni złota w Cibao. Jeżeli szczególne okoliczności nie przeszkadzały, to podobne nadużycia surowo były karane przez sądy w Santo Domingo.

Ale wielkim smutkiem to nas przejmuję, że Antylczycy z rozmysłem wykonywali na sobie coś w rodzaju rasowego samobójstwa. Kobiety ślubowały nie rodzić więcej dzieci i pozbywały się płodu za pomocą dobrze znanej trucizny roślinnej. *) Ale nie tylko przyszłemu pokoleniu zamykano drogę do bytu, i teraźniejsze, często całemi gronami, skracalo sobie życie, po większej części za pomocą zabójczego soku manioli, albo też za pomocą wyziewów z jadowitych roślin, które obok hamaków zapalano. **) Od czasu, jak Hiszpanie wesółych, bez troski żyjących wyspiarzy zaprzęgli do wytężonej pracy, życie dla tych ostatnich nie miało już dość słodczy, aby się wydawało warte chylenia się nad pracą. Większa jednak część tych nieszczęśliwych pomarła nie w skutek pracy, ale w skutek klimatu, gdy ze słonecznego wybrzeża bez wszelkiej odzieży przeniesioną została do chłodnego Cibao. Tych zaś z nich, co pozostali, gdy łagodniejsze nastaly stosunki, porwała czarna ospa w r. 1518.

Obowiazkiem to bylo przedewszystkiem misyonarzy podać upadającej rasie dłoń zbawczą. Dotychczas pojawili się byli na wyspie tylko Franciszkanie, którzy tam wiedli przykladne i budujące życie, ale się odsuwali od wszelkich

*) Tego strasznego środka używały i ludy Nowej Hiszpanii po zdobyciu Meksyku.

**) Petr. Martyr (Dec. 5. cap. 9.) wylicza wiele takich wypadków z podaniem szczegółów; bardzo wzruszającym jest samobójstwo pewnej dziewczyny z powodu gwałtu, zadanego jej przez pewnego Hiszpana. Na Kubie krajowcy, że użyjemy wyrażenia Las Casasa, coraz więcej znajdowali smaku w wieszaniu się. Nie tylko rodziny, ale całe wsie zapraszały się do wspólnego samobójstwa. Pewnemu kubańskiemu plantatorowi doniesiono raz, że Indyanie jego repartimiento mają zamiar powiesić się. W czas jeszcze przyszedł do nich, ale nie mogąc ich w żaden sposób namówić do dalszego życia, prosił ich także o stryżkę, ponieważ i tak bez nich musiałby umrzeć z głodu. Ta prośba zrobiła wrażenie, zlekli się bowiem Indyanie, że jeśli ich pan zaraz za nimi na tamten świat pójdzie, to i tam będą musieli być jego niewolnikami. Żeby więc przynajmniej po śmierci mieć spokój, powrócili do swojej nędzy ziemskiej. (Las Casas lib. III. cap. 81 ms.)

świeckich rzeczy. Dopiero przy końcu 1570 przybyli do Espanioli Dominikanie, i ledwie upłynął rok od ich przyjazdu, kiedy ślubowali sobie po bohatersku bronić pierwotnej ludności od bezmyślnego ucisku. *) Był to krok śmiały, ponieważ trzeba było być przygotowanym na opór wszystkich kolonistów. Ostrożnie też przystępowali mnisi do dzieła, na piśmie przedtem swoje zasady ułożyli i uroczystie podpisali projekt. Do rozpoczęcia ataku, pierwszego dnia adwentu 1511, obrany został nieustraszony a pełen ognia zakonnik Antonio Montesino. Ponieważ usilnie zapraszano na to nabożeństwo, gmina więc bardzo licznie się zebrała. Kazanie było na temat „Ego vox clamantis in deserto“ i w istocie jak głos z pustyni zabrzmiała Hiszpanom w uszach ta potężna i wzruszająca przemowa, kaznodzieja bowiem nie zważał wcale na niebezpieczeństwo, które i owszem spotęgowało jeszcze jego wymowę. Gdy jednak opuścił kazalnicę, gmina była więcej przerażoną, jak nawróconą. Wszędzie się dawała słyszeć niechęć i za ledwie można było odprawić nabożeństwo. Pełen wzburzenia wyszedł tłum z kościoła przed pałac wicekróla Don Diega Colon i domagał się ukarania zuchwałego mnicha, który szerzył tak zgubne dla społeczeństwa nauki. Admirał wszedł w układy z wikaryuszem Dominikanów. Nie można było nakłonić Montesina, aby dla uspokojenia tłumowi odwołał swoje słowa, ale ułożono się, że zakonnik na następnej niedzieli lepiej objaśni swoje poprzednie kazanie. Ponieważ rozniosła się była pogłoska, że Fray Anto-

*) Las Casas opowiada (lib. III. cap. 3. ms.), że szlachetni ci mnisi, pobudzeni zostali do tego przez dobrze znanego sobie Hiszpana, który pojął był za córę pewną indyjską księżniczkę, zabił ją przez zazdrość, i bojąc się sprawiedliwości, żył przez kilka lat w górach, jako zbieg. Przejęty prawdziwą skrucą, zjawił się pewnej nocy w chacie Dominikanów i prosił o przyjęcie do zakonu, które w istocie później nastąpiło. Ten to braciszek, Juan Garces, wymownie odmalował Dominikanom niestłuchane cierpienia Indyan, na które własnemi patrzył oczyma.

nio formalne uczyni odwołanie, więc kościół tym razem napełnił się jeszcze bardziej jak przeszłej niedzieli. Ale wielkie było rozczarowanie wszystkich, gdy Dominikanin rozpoczął kazanie od tych słów Hioba: „Receptam scientiam a principio et operatore meum probabo justum. Vere enim absque mendacio sermones mei et perfecta scientia probabitur tibi.“*) Ponieważ bynajmniej nie odwołał swoich twierdzeń, ale je punkt po punkcie potwierdził, popierając silnymi dowodami, wywołał więc w gminie wielkie wzburzenie. Osadnicy zwrócili się ze skargami do króla a jednocześnie nalegali na Franciszkanów, ażeby ci wystąpili w obronie tego, co koloniści nazywali prawem i porządkiem. W istocie podjął się ten zakon obrony osadników i wysłał na dwór braciszka Alonsa del Espinal. Tym samym okrętem udał się także i Montesino do Hiszpanii. Wpływ osadników w radzie indyjskiej był wielki, a i dochody koronne zupełnie zależały od utrzymania dawnego stanu. Z trudem, prawie przemocą wyjednał sobie Montesino posłuchanie u króla Ferdynanda, którego w końcu umiał wzruszyć wymownymi obrazami. Szkodziło to jednak szlachetnej sprawie, że Dominikanie mało jeszcze byli obeznani z zamorskimi stosunkami i mogli być poczytywani za idealistów bez doświadczenia. Król, za którego sumienność Las Casas kilkakrotnie ręczy, zwołał sobór najlepszych teologów i prawników i zażądał ich opinii w tym względzie. Ta uczona rada uznała wprawdzie Indyan wolnymi ludźmi, ale zalecała zatrzymać ich dla umiarkowanej pracy, za którąby dzienną otrzymywali zapłatę. Tak już była rozporządziła Izabella, ponieważ tej dobrotliwej monarchini przedstawiono, że bez przymusu Indyanie nigdy nie porzucą swego próżniaczego i bezcelowego życia. Już wówczas zresztą nie brakło oziębłych

*) Job. cap. 36.

umysłów, które ciemnym rasom odmawiały natury ludzkiej.

Jak przedtem więc, tak i potem nadawano tak zwane *repartimientos*, to jest ziemie z przywiązanymi do nich poddanymi. Hiszpański pan używał przydzielonych sobie Indyan po części jako sług domowych, po części do prac rolnych w polu, po części w płuczkarniach złota. Każde ośm lub dziesięć miesięcy w roku siła robotnicza Indyana należała do jego europejskiego władcy, i dopiero na resztę roku odprawiano ich do domów, ażeby mogli uprawić swoje pola. Rocznej pracy pobierali pół castellana (4 zł.) Nowe prawo, które im wyjednali Dominikanie, pod wielu względami sprzyjało im, już choćby dla tego, że uznawało ich wolnymi; *) ale ponieważ błędnie mniemano, że Indyanie tylko dla tego tak małe czynili postępy w chrześcijańskiej wierze, że wolno im było wracać do swoich wiosek, kazano więc im osiedlić się między Hiszpanami, nie rozważywszy tego, że w wielu razach miejscowy klimat, znośny dla Europejczyków, stawał się zabójczym dla Indyan. Przed rozpoczęciem roboty każdego dnia ktoś z Hiszpanów powinien był wygłosić im Ojcze nasz, Zdrowaś Marya i Salve Regina, a to w hiszpańskim albo w łacińskim języku. Krajowcy nie rozumieli ani słówka z tych modlitw, a czasem i Hiszpan jeżeli odmawiał pacierz po łacinie, także nie rozumiał swej modlitwy. Wyznaczono im obszerne działy roli a podczas pańszczyzny i innej roboty dawano dostateczne pożywienie. **) Czas robót miał trwać tylko pięć mie-

*) Postanowienie to, jakkolwiek brzmieć może ironicznie z powodu późniejszych dodatków, miało przecież wielką doniosłość prawną, o tyle, że hiszpańscy panowie nie mogli sprzedawać swoich indyjskich niewolników jawnie, ale tylko z obejściem prawa.

**) Las Casas gani w ustawie wydanej w Burgos 27. grudnia 1512 to, że Indyanie podczas robót w polu mają mieć zwyczajnie pokarm roślinny, i tylko w niedziele i święta mięso, atoli nie wymagający ci ludzie nawet za kacyków nie widzieli nigdy kawałka mięsa. (Las Casas lib. III. cap. 15 ms.)

sięcy, a potem dawano 40 dni swobody, ciężarne zaś kobiety, wchodząc w piąty miesiąc ciąży, miały być zupełnie wolne od wszelkiej pracy. Za roboty rocznie miano im płacić jeden peso (8 zł.), ażeby sobie mogli kupić odzienie. Ale za jeden peso, dodaje Las Casas, można było na wyspie kupić tylko grzebień, lustro, chustkę na głowę lub barwną czapkę. Kacykowie nie mieli być zupełnie pozbawieni poddanych, zostawiono im po kilku dla usługiwania, mianowicie dwie osoby, jeżeli miał ich przedtem czterdzieści, trzy, jeżeli miał ich dawniej siedmdziesiąt, cztery, jeżeli miał sto, ale nigdy więcej jak sześć, jeżeli miał przeszło 150 poddanych. Na wznowione przedstawienia Dominikanów dodano jeszcze kilka punktów, które uwalniały od robót zameżne kobiety i dzieci niżej lat 14 i czas pracy ograniczały znów do dziewięciu miesięcy. Zresztą czy mniej, czy więcej łagodne prawo miano wymyśleć, nie mogło to już mieć wpływu na losy ludności, prawo to bowiem przybyło do Indyi Zachodnich 1513 roku, kiedy już wymarcie Antyleczyków nie mogło być powstrzymanem. Atoli historia zawsze wdzięcznie wspominać będzie śmiałość zacnych Dominikanów.

Jednocześnie z pierwotną ludnością znikало i złoto z Antyllów. *) Niezbędną jest dla nas rzeczą rozważyć tę okoliczność, z początku bowiem jedynie skarby kruszcowe nadawały pewną trwałość osadom europejskim, które prócz tego musiały być żywione przez rząd. Pierwszy znaczny przychód złota na Espanioli przypada na rok 1501. W następnym roku, gdy przybyła flota Ovanda, pewna Indyanka znalazła na tak zwanych złotych polach na prawym brzegu Hayny, ośm czy dziesięć leguas na północ od Santo Domingo, słynną bryłę złota, która pó-

*) Nie tylko na Espanioli odkryto złoto, ale także na Puerto Rico, na Jamaice i na Kubie, jakkolwiek w małej ilości. Nawet na wyspie karybskiej Dominica nie brakło tego kruszczu. (Oviedo, Hist. general lib. VI. cap. 13.)

źniej zatoneła z eskadrą Ovanda w wielkim tornado 1502 r. *)

W dwóch miastach, mianowicie w Concepcion de la Vega i w Buenaventura urządzono dwie mennice królewskie, dokąd kopacze złota musieli oddawać wszelką rudę. Tam ją dwa razy do roku topiono i pobierano królewski podatek, który za Cristobala Colona wynosił trzecią część, za Bobadilli dziesiątą, a później już ciągle piątą (Quint). Po przybyciu Ovandy eksploatacja roczna przynosiła 300.000 złotych piastrów czyli 6000 grzywien. Nieco później dochód ten podniósł się do 450—460.000 castellanos. Najwięcej złota dostarczały płuczkarnie około roku 1516, kiedy królewska kwinta wynosiła od 80—100.000 castellanos, a zatem ogólny przychód mógł liczyć od 8 do 10.000 grzywien. Tak prędko jednak wyczerpało się bogactwo, że pewien podróżny (Benzoni), który przybył do Nowego świata w 1541, mówi już o dobywaniu złota na Espanioli, jako o rzeczy minionej. I na Antyllach obok pełni złota rozsiadła się największa nędza materyalna. Ceny naczyń, odzieży, a przedewszystkiem żywności dosięgły niesłychanej wysokości. Bardzo więc jest rzeczą wiarogodną, że czasem kosztą zakupu narzędzi i pożywienia indyjskich płukaczy pożerały dochód, i przedsię-

*) Indyanka należała do Franciszka Garaya i Miguela Diaz i bezmyślnie grzebiąc jakimś narzędziem w ziemi, znalazła bryłę złota ważącą 35 hiszpańskich funtów, w cenie 3600 pesos albo 72 grzywien. Zawołała wnet do dozorczy w tych słowach: O cama (słuchaj) guaxeri (panie) guariquen (patrz, albo chodź i zobacz) caona (złoto) yari (klejnot albo sztuka) Las Casas lib. II. cap. 3 ms. W południowej Ameryce największą sztukę złota znaleziono pod La Paz 1730, ważyła ona 45 funtów czyli 90 francuskich grzywien. (A. v. Humboldt, Essai politique, tom IV. p. 203). „Olbrzymia bryła złota“ znaleziona 26. października 1842 w południowym Uralu nad strumieniem Taszku-Targanka, dostarczyła 36 kilogramów złota. (A. v. Humboldt Central Asien Bd. I. str. 356). Odtąd największa sztuka złota widziana była na przemysłowej wystawie paryskiej 1855. Pochodziła z hrabstwa Calaveras (Kalifornia), ważyła 160 funtów avoir du poids, z wyłączeniem 15 funtów kwarcu i miała wartość 36.916 dolarów (Ausland. 1855 S. 216).

bierca nie miał z czego zapłacić królewskiej kwinty. Jeżeli zatem po upływie sześciu miesięcy zjawili się w mennicy ci myśliwcy na złoto z 500, 800 lub 100 castellanos, to albo wychodzili ztamtąd z próżnemi rękami, ponieważ dochód ich z góry już był zastawiony, albo szli do więzienia za długi. Wszystkie więc te skarby wymykały się z pierwszej ręki i majątek robili tylko ci, którzy poważnie zabierali się do uprawy ziemi, hodowli bydła, albo do handlu wyrobami hiszpańskiego przemysłu. Ale w dawniejszych czasach targi były tak skąpo zaopatrywane, że Hiszpanie, którzy z książęcą pompą, otoczeni orszakiem sług indyjskich i z haremem wędrowali po kraju, każąc się nieść w matach, zasłaniać od słońca parasolami i orzeźwiać wachlarzami, często nie mieli więcej nad jedną koszulę i ukazywali się nie tylko bez kapelusza i obuwia, ale nawet bez spodni.

Wraz z pierwotną ludnością i złotem znikły prawie zupełnie z wyspy cztery ostatnie rodzaje zwierząt ssących, za któremi zdziczałe psy zażarcie się uganiały. *) To zubożenie świata zwierzęcego obficie zostało wynagrodzone wprowadzeniem wszystkich europejskich zwierząt domowych. Mianowicie bardzo szybko się rozwinęła hodowla koni, ale jeszcze większe wzbudza w nas podziwienie płodność mlekodajnych zwierząt. Już około połowy szesnastego stulecia zdarzało się, że chętnie zostawiano mięso rogatego zwierzęcia temu, który je zabił i zwrócił skórze właścicielowi. Inne domowe zwierzęta doznały w Nowym świecie rzadkich przemian. Świnie zdziczały i nieraz pułoszyły plantacye kukurydzy. Zmieniły nawet kolor, do-

*) Hutias, Coris, Mohuys i Quemys, które Oviedo (lib. cap. 1—5) opisuje; i swojskie psy, które Indianie zabijali dla mięsa, już za czasów Oviedo nalażały do wielkich rzadkości. Hutias (*Capromys Fournieri*) zachowały się jeszcze na Kubie, Cori (*Plagiod Aedium?*) na Espanioli. Czy szczury i myszy były na Antylach przed przybyciem Europejczyków, jest to kwestya sporna; towarzyszyse jednak Kolumba utrzymywali, że były. Oviedo lib. XII. cap. 6.

stały klów jak dziki i inną miały formę czaszki. Zdzi-
 czałe psy zapomniały szczekać i powróciły do życia wol-
 nego, podobnie jak koty zapomniały w Nowym świecie
 swego miauczenia.

Z rozwojem tej nowej kultury znikaly powoli lasy,
 w skutek czego prędko dały się uczuć znaczne zmiany
 w klimacie, opady bowiem nie były już tak obfite i znikły
 wielkie miejscowe różnice w ogrzaniu. Główną przyczyną
 tego było niedbałe podpalanie lasów i wielkie zużywanie
 drzewa w cukrowniach, i już 1548 kraj dokoła Santo Do-
 mingo tak był ogołocony, że potrzeba było sprowadzać
 drzewo z miejsc o dwanaście mil odległych. Kultura wy-
 nagrodziła do pewnego stopnia tę szkodę wprowadzeniem
 obcych drzew owocowych. Targi miast hiszpańskich były
 teraz obficie zaopatrywane w pomarańcze i cytryny, nato-
 miast usiłowania admirała Diega Colon, aby rozwinąć
 uprawę wina, nie udały się. Wprawdzie tu i ówdzie otrzy-
 mywano z hiszpańskich latorośli jagody i wino z nich
 wyciskano, ale jakkolwiek za winogrona drogo płacono, a
 wino nigdy tanie nie było, to jednak ta gałąź rolnictwa
 zawsze tam była uciążliwym i źle wynagradzającym się
 zajęciem. Daleko lepiej udały się próby z drzewem kassia,
 które dostarczało aptekarskiego środka, dziś przestarza-
 rzałego. Drzewo to wesoło dojrzewało w Vega, aptekarze
 wyżej cenili jego produkt od produktu sprzedawanego
 w Aleksandryi, i Piotr Męczennik obiecywał sobie w r.
 1520, że cassia będzie tak tania, że funt jej można bę-
 dzie kupić za te same pieniądze, które przedtem trzeba
 było dać za uncyę. Ale około tego czasu właśnie czarne
 mrówki spustoszyły wyspę, zniszczyły gaje pomarańczowe
 i prawie wszystkie plantacje kassyi.

Ale nic nie wywarło tak wielkiego i szkodliwego
 wpływu na losy wyspy i, śmiemy dodać, na etnograficzną
 fizyognomię Ameryki i jej historyczny rozwój, jak prze-

sadzenie trzciny cukrowej w r. 1493, uprawa bowiem tej handlowej rośliny zostaje w ścisłym związku z handlem murzynami i z afrykanizacją Haiti, jako też innych części Nowego świata. Sprawcą tej krzywdy, głęboko zawstydzającej nasze stulecie, był na nieszczęście szlachetny Las Casas, który spodziewał się, że przywóz etyopskich sił roboczych pewną ulgę przyniesie dręczonym resztkom pierwotnej ludności antylskiej. Sam on, pisząc przy końcu życia (1560) trzeci tom swojej historii, gorzko żałował tego nierozważnego projektu i usprawiedliwia się, mówiąc, że nie wiedział wtedy, z jakim gwałtem i pogardą praw ludzkich prowadzić się będzie handel murzynami. Do r. 1518 było na Espanioli kilkunastu tylko murzynów, którzy należeli do królewskich domenów. Ale plantatorowie kilka razy wysyłali prośby do Hiszpanii, aby im wolno było ludność indyjską, która wyginęła, zastąpić murzynami, i Las Casas, którego głos wówczas w indyjskich sprawach miał wielkie znaczenie, myśl tę popierał. Pewien kawaler flandryjski otrzymał od Karola V. monopol handlu murzynami na lat ośm, i natychmiast sprzedał swój przywilej genueńskim domom handlowym za 25.000 dukatów; ograniczono jednak wówczas przywóz murzynów na Espaniołę, Kubę, Puerto Rico i Jamaikę, do 4000. Pewien osadnik w Vega, imieniem Aguilon, wyrobił pierwszy cukier w Nowym świecie i najpierwsze próby tego wyrobu przybyły do Hiszpanii 1515 okrętem, którym dowodził dziejopis Oviedo. Wkrótce potem wynaleziono tłocznę cukrownianą, naprzód taką, którą konie obracały, a potem taką, którą siła wody poruszała. Osadnicy, którzy podobne maszyny budowali, wspierani byli publicznemi pożyczkami. Każdy taki młyn wymagał przynajmniej 80 murzynów do sadzenia trzciny, a tłocznie obracane końmi (trapiches) od 30—40 murzynów. Dla tego to pierwszy bunt murzynów, na plantacyach Don Diega Colon, wybuchnął już

1522 r. (w święto Bożego narodzenia). Murzyni, którzy powstałi, należeli do ludu Jolofów, a teatrem powstania było Niçao, leżące na wschód od Neyby. Banda, nabrzmiewając po drodze, liczyła kilkuset ludzi i przechodząc z jednej plantacyi do drugiej, wszystko mordowała i paliła, tym razem jednak była poskromiona. W r. 1545 wybuchło nowe niebezpieczne powstanie, o którym Benzoni słyszał, podróżując na stałym lądzie. Było już wówczas przeszło 7000 zbiegłych Negrów, którzy w górach prowadzili rozbójnicze życie, a których nazywano Cimarrones. „Wielu Hiszpanów“, dodaje włoski podróżnik, „utrzymuje, że Espaniola w krótkim czasie opanowaną będzie przez Murzynów“. Nie powinno to nas dziwić, że wypadek, który tak był jeszcze daleki, tak wyraźnie już wówczas przewidywano, już bowiem w połowie XVI. wieku było w ruchu 30—40 młynów cukrowych, a liczba niewolników murzyńskich 1560 r. wzrosła do 30.000. Przeciwnie hiszpańscy osadnicy byli zawsze w szczupłej liczbie. Około 1520 liczba ich wynosiła dopiero 3—4000 głów, a po zdobyciu Meksyku ludność biała masami opuszczała Antyllę, przenosząc się do nowych krain, obiecujących złoto. Już za rządów Ovandy było siedmnaście miast czyli osad, z których najważniejszymi pozostały Santo Domingo i Concepcion, ale w stolicy wyspy, Santo Domingo, ludność w r. 1548 uszczupliła się do 600 rodzin (vezinos), a Concepcion, stolica ludnego niegdyś obwodu królewskiego, już 1513 z wygaśnięciem rasy pierwotnej była w gruzach. Jeszcze szybciej pustoszały i znikały osady w pobliżu pól złotych, osadnicy bowiem budowali tam chałupy sposobem miejscowej ludności, które nie wiele trudu kosztowały, prędko się psuły i bez żalu można je było opuścić. Wybudowanie więc pierwszego domu kamiennego na Espanioli było rzeczą nadzwyczajną i nie można się dziwić, że nazwisko właściciela przecho-

wało się do naszych czasów (Fernandez de las Varas, rodem z Sewilli przed 1524).

Rząd pragnął, aby zyski kolonizacyi dostawały się przede wszystkim Kastylczykom; przynajmniej nie wolno było cudzoziemcom bez szczególnego pozwolenia udawać się do Nowego Świata. Arabom i Żydom, a także i nowym chrześcianom, to jest ochrzczonym Żydom, nareszcie wszystkim rodzinom prześladowanym i ukaranym przez Inkwizycję wzbroniono wyjazdu do Ameryki. Ponieważ korona zastrzegła sobie monopol handlu z nowymi krajami i od wszelkich dochodów pobierała piątą lub dziesiątą część, to potrzeba było wielkiej przezorności dla kontrolowania przychodzących i odchodzących okrętów. Fiskalne te sprawy bardzo wcześniej już połączone były w indyjskim domu w Sewilli, w słynnej casa de contratacion. Do casa spływały wszystkie dochody koronne z kolonii i z tych pieniędzy pokrywano wydatki. Tam zachodnio-indyjskie okręta otrzymywały swoje papiery, rozkazy dla siebie i paszporta; w archiwach składano sprawozdania odkrywców i mapy kreślone przez sterników; urzędnicy casy wypracowywali projekta nowych osad i sprawowali policję morską. Później, kiedy skarby srebra popłynęły z Meksyku i Peru, jak pszczoły dokoła miodu, zaczęły się roić w Zachodnich Indyach i na wodach atlantyckich korsarskie statki. Potrzeba więc było dawać okrętom załogę wojskową i łączyć je w większe floty handlowe, czyli morskie karawany. Jak na początki handlu, Izba indyjska w Sewilli była wzorową, a Casa de Contratacion osiągnęła zasłużoną sławę i zatrzymała ją długo po czasach, które wchodzą w zakres naszych badań. Droga, obraną przez Kolumba w drugiej jego podróży, jeździły do Zachodnich Indyi wszystkie statki indyjskie aż do odpadnięcia kolonii. W ośm dni dostawano się z San Lucar do wysp Kanaryjskich, i w trzy tygodnie z północno-

wschodnim passatem przeprawiano się przez ocean. Jeżeli celem podróży było Santo Domingo, to najchętniej przejeżdżano między Guadalupą a Antiguą. Habana zaczynała dopiero zakwitać i zawdzięczała swoje stanowisko handlowe odkryciu drogi w kanale Florydy przez sternika Alaminosa w r. 1519. *) Tym sposobem droga z powrotem znacznie się skracała. Przedtem okręta wracające do Hiszpanii potrzebowały 50 dni na przejazd, wiele bowiem czasu traciły na wydostanie się ze strefy północno-wschodniego passatu. Płynąc od Habany, korzystały z silnych prądów golfu aż do wysokości grupy Bermudów. Latem posuwano się aż do 38 lub 39° półn. szer. ku wschodowi, ponieważ tam spotykano północno-zachodnie wiatry, w zimie z początku trzymano się niższej szerokości, aż do Azorów, gdzie się zaopatrywano w świeże zapasy. Tym sposobem skracano sobie drogę do 25—30 dni; aż do otwarcia żeglugi parowej nie mogła być szybszą przeprawa przez ocean Atlantycki. Zawartość okrętów, które jeździły do Zachodnich Indyi w peryodzie przez nas traktowanym, była nadzwyczaj małą, największy bowiem z okrętów, jakie wówczas tam się ukazały, który w 1533 zarzucił kotwicę pod Santo Domingo, liczył tylko 4000 tonn.

Zarząd kolonii jeszcze za Izabelli był prawie zupełnie w rękach Don Juana Rodrigueza Fonseki, późniejszego biskupa Burgos. Ferdynand wprowadzić nie zaniedbywał królewskich domenów w Nowym świecie, ale im więcej był zajęty europejskimi sprawami, tem bardziej nieograniczenie sprawował Fonseca władzę, którą dzielił tylko

*) Słynnego żeglarza wysłał Cortes z Vera Cruz z 15 majtkami 26. lipca. Zdobywca wysyłał ludzi, którzy mieli uniewinnić jego zdradę stanu przed dworem hiszpańskim. Chodziło najbardziej o to, aby okręt nie wpadł w ręce Velasqueza, i dla tego jak można najdalej trzymał się od Kuby. Alaminos, który znał wody Florydy od czasu odkrycia jej przez Juana Ponce de Leon, obrał nową drogę przez kanał Florydy, który Herrera nazywa kanałem Bahama, dziś inną drogę oznaczającym.

z sekretarzem Lope de Conchillos. Przewodniczył stale we wszystkich sprawach indyjskich i dla tego miał także znaczenie pierwszego prezydenta indyjskiej rady. Atoli osobna władza tego imienia zaczęła istnieć dopiero od 1. sierpnia 1524, kiedy Karol V. utworzył Consejo supremo de las Indias, radę, która stanowiła samoistną gałęź hiszpańskiej administracyi i składała się stale z jednych i tych samych osób. Pierwszym prezydentem tego kolonialnego urzędu był generał Dominikanów Fr. Garcia de Loaysa. Wyjednał on to, o co jego zakon tak zaszczytnie walczył naprzód z Franciszkanami, potem z Hieronimitami, mianowicie wyzwolenie Indyan z niewoli u zdobywców. Tak więc Karol V., a potem jego następcy rozstrzygnęli tę sprawę tak sumiennie, jak tego uczucie ludzkości nakazywało, to jest stanęli w obronie wolności słabszej rasy. Jeżeli pomimo to pierwotna ludność, znajdując się w obec nierównie wyżej uspołecznionych kolonistów, zmarniała, jeżeli ludzie ciemnej rasy nie mogli być uratowani dla europejskiej cywilizacyi, to przecież na pociechę historyi i ku czci hiszpańskiego imienia epoka ta i sława chrześcijańskiej cywilizacyi wolną była odtąd od poniżającego zarzutu obracania w niewolę tych bezbronnych istot.

KSIEGA CZWARTA.

DWIE DROGI MORSKIE NA WSCHÓD.

ATLANTA, GA.

RECEIVED AT THE OFFICE OF THE

SECRETARY OF THE

STATE OF

GEORGIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

PORTUGALCZYCY W INDYACH.

Portugalscy agenci w Habeszu i wschodniej Afryce. Eskadra Vasca de Gamy. Pierwsze wstąpienie w kraje Wschodu. Mozambik. Przeprowadzenie przez zatokę bengalską. Calicut. Polityczne stosunki Malabaru. Posłuchanie u Perumala. Nieprzyjaźń Arabów. Nieprzyjacielskie kroki pod Calicut. Powrót. Cabral w Malabarze. Napad mieszkańców Calicutu. Bombardowanie. Sprzymierzeniecy w Koczynie i Cananor. Zbrojne floty kupieckie. Pierwszy fort w Koczynie. Pacheco broni go od ataków Perumala. Zwycięstwo floty egipskiej. Śmierć młodszego Almeidy. Zniszczenie mameluckiej potęgi morskiej. Klęska Portugalczyków w Calicut. Polityczne stosunki w Dekanie. Zamach na Goa. Odjęte i znowu zdobyte. Ormuz poddaje się. Portugalczycy panami wód indyjskich.

Zanim Bartholomeu Dias wrócił z wyprawy, w której odkrył Przylądek Dobrej Nadziei, król Joao II. wysłał 7. kwietnia 1487 z Lizbony Alfonsa de Payva i Pero de Covilhao, którzy mieli lądową drogą dotrzeć do Indyi i zawieść pismo królewskie do chrześcijańskich królów Habeszu, czyli jak się wówczas mówiło, do arcykapłana Jana. *) W Aden rozłączyli się z sobą dwaj Portugalczycy i Covilhao na arabskich okrętach zwiedził naprzód handlowe porty Malabaru, a potem mahometańskie miasto Sofala na wschodnim wybrzeżu Afryki i wyspę Madagaskar. Powróciwszy do Kairu, nie zastał już swego towarzysza Alfonsa de Payva przy życiu, ale zastał dwóch

*) Chrześcijańscy królowie Habeszu zostawali ciągle w stosunkach z Frankami. Najwcześniejsze znane mi poselstwo abissyńskie przybyło do Rzymu za Kalixta II. 1123. (Santarem, Recherches sur la Priorité, p. 322.) Mameluccy sułtani stali na zawadzie tym stosunkom. Tak w 1469 pewien poseł abissyński, wracający od królów frankońskich, został w Kairze schwytany i ścięty. (Makrisi u Et. Quatremère, Egypte, tom. II. p. 227.)

Żydów, którzy przywieźli mu nowe polecenia od króla Jana, nagłące do podróży do Habeszu. Przez jednego z tych Żydów, który natychmiast wracał, przesłał Covilhao królowi Janowi II. wiadomość o swoich podróżach na wschodniem wybrzeżu Afryki, a potem w istocie udał się na dwór chrześcijańskiego króla Abissynii, ale tam został zatrzymany i dopiero 1520 odnaleziony był przez swoich, kiedy portugalskie floty zapuściły się do Czerwonego morza i ztamtąd zawiązały z Habeszem stosunki.

Jakkolwiek od Covilhao miano dokładną wiadomość o nautycznem zadaniu wschodniej drogi morskiej do Indyi, to przecież siedm lat upłynęło od powrotu Diaza, zanim się obudziła chęć do dalszego szukania drogi morskiej do Indyi po pod południową kończyną Afryki. Być może, iż odkrycie drogi morskiej na wschód ciągle się jeszcze wydawało zuchwałem przedsięwzięciem. Dopiero podróże Kolumba wyrwały Portugalczyków z tej ospałości, zdawało się bowiem, że trzeba się spieszyć, aby przed Kastyleczykami dostać się do azyatyckiego świata cudów. Uzbrojenia, rozpoczęte 1494, przerwała śmierć króla Jana, i dopiero 8. lipca 1497 opuściły Tejo trzy statki o 100 do 130 tonnach i jeden okręt z zapasami, wysłane do Indyi przez króla Emmanuela. Admirał eskadry Vasco da Gama dowodził na Gabrielu, jego brat Santo da Gama drugim statkiem Rafaelem, Nicolao Coelho trzecim statkiem Berrio, a Gonçalo Nunez prowiantowym okrętem. Dnia 25. lipca dojechali do wysp Zielonego Przylądka, gdzie się zatrzymali do 3. sierpnia. Ztamtąd płynęli dalej pełnem morzem, tak że 22. sierpnia brzegi Afryki leżały o 800 leguas na wschód od nich, i tym sposobem zbliżyli się oni bardzo w tej podróży do brzegów Brazylii. Dnia 4. listopada znowu ukazał się im stały ląd Afryki, a 7. wjechano do zatoki Świętej Heleny, gdzie wysadzono na ląd astronomiczne instrumenta dla oznaczenia geogr.

szerokości. Dnia 16. listopada puszczone się na południo-południo-zachód, a we dwa dni później ujrzano południową krawędź Afryki. Przeciwne wiatry zmusiły ich krążyć przez trzy dni po morzu, tak że dopiero we środę w południe 22. listopada 1497 zdołali opłynąć przylądek. Podróży wzdłuż wschodnich brzegów ku północy przeszkadzały silne prądy mozambickiego Kanału, i dopiero 23. stycznia 1498 dostano się do jednego z ujść Zambezi, gdzie Gama przez 32 dni pozostawał, ażeby naprawić okręta i dać wyzdrowieć swojej służbie okrętowej, skorbutem nawiedzanej. Wbito słup herbowy nad rzeką, którą nazwano rzeką dobrej wróżby, ponieważ tamtejsza ludność murzyńska nosiła bawełniane barwne wyroby i rozumiała kilka wyrazów arabskich, tak że mogli być teraz pewni żeglarze, iż wkrótce staną u progu cywilizowanego wschodu. Pięciodniowa dalsza podróż zaprowadziła ich do portu Mozambik, pierwszego wielkiego miasta założonego przez arabskich osadników. Szeik, przerażony zjawieniem się cudzoziemców, dozwolił im z początku odprawić mszę na lądzie i zakupić potrzebne zapasy. Kiedy atoli trzech ludzi z oazy Habesz i poddani wiele poszukiwanego arcykapłana Jana odwiedzili okręt admirałski i w obecności Mahometanów pobożnie na twarz padli przed obrazem archaniola Gabryela, to ta scena i natarczywe dopytywania się Portugalczyków obudziły w Arabach podejrzenie i nienawiść ku chrześcijaństwu, i niebawem napadnięto łódź portugalską, gdy ta nabierała wody. Po udanem przejeździe posłał szeik admirałowi sternika, który miał go do Quilon zaprowadzić. Nie zajechano do tego portu, ponieważ w nocy przejechano mimo niego, za to 7. kwietnia przyплыnęli Portugalczycy do dalej położonego Mombas, którego migotliwym blaskiem świeące domy i płaskie dachy przypominały im ojczyście miasta. I tu trafem tylko uszli zdrady pewnego przewodnika, który chciał ich na

mieliznę wprowadzić. Połowa Portugalczyków wymarła na szkorbut, inni prędko wyzdrowieli, jak tylko dostano świeżych zapasów żywności.

Dnia 14. kwietnia przybyli do blisko leżącej Malindy, której arabski władca gościnnie przyjął cudzoziemców, może dla tego, że w sąsiednim Mombasie przyjęto ich, jak nieprzyjaciół. Cztery okręta malabarskich chrześcian (tak zwanych chrześcian Ś. Tomasza) święciły pierwsze spotkanie się z katolikami uroczystymi oznakami radości i sztucznymi ogniami. Król Malindy udzielił Gamie posłuchania na wodzie i zawarł szczere przymierze, które potem bardzo korzystnem było dla płynących do Indyi. Wziąwszy z sobą arabskiego przewodnika z Gudżeraty, na którego można się było spuścić, ruszyła eskadra 24. kwietnia z południowo-zachodnim monsunem przez ocean indyjski do Calicut, największego portu Malabaru i indyjskich wybrzeży. Przejazd trwał 23 dni, ujrzano bowiem ziemię 17. maja 1498. Zanadto jednak wysunięto się na północ i dla tego trzeba było teraz sterować ku południowi. W niedzielę (20. maja) rozwinął się na horyzoncie blisko brzegu wznoszący się Ghat malabarski i Portugalczycy podziwiali wysokość tych gór. Wieczorem dnia tego zarzucono kotwicę pod Calicut i wkrótce zaroila się dokoła eskadry pstra mieszanina różnych narodowości, właściwa portom Wschodu. Rozlegały się krzyki we wszystkich językach świata, i zadziwieni Portugalczycy usłyszeli z ust arabskich w znanym sobie języku powitanie: „Witajcie wszyscy! Chwalcie Boga, który was zaprowadził do najbogatszego kraju na ziemi!“

Vasco da Gama opuścił ojczyznę ze 148 towarzyszami, ale w drodze liczba ta znacznie się uszczupliła. Znajdował się teraz w jednym z największych portów świata, w stolicy znacznego państwa, i wszystko zależało teraz od usposobienia wschodniego władcy, w którego granice tak

nierozważnie zapuścił się śmiały żeglarz. W Malayalam, nadbrzeżnym pasie u stóp Ghatu od Mangaloi do przyładka Comorin panował cesarz (Perumal) z tytułem Tamatiri radża, czyli „pan wzgórze i fali“. Na szczęście nie wszyscy jego lennicy odznacжали się punktualnem posłuszeństwem, a najmniej posłusznym był radża półwyspu Koczyn, który się uważał niejako za duchowną głowę Malabarów, ponieważ w jego posiadłościach, w Quilon, była główna siedziba bramanów. Kapłańska kasta w państwie malabarskiem używała nietylko najwyższych przywilejów społecznych, ale dzięki pewnej chytrze obmyślanej instytucji zapewniła sobie i wpływ polityczny. Broń mianowicie nosili tylko ludzie z kasty wojowników, Najowie, którzy wyćwiczeni w szkole szermierskiej otrzymywali od radży pasowanie rycerskie i wpisywano ich następnie do zakonnego rejestru. Byli to żołnierze, którzy na rozkaz naczelnego władcy pewnym krokiem zwykle szli na śmierć. Beżenność zupełnie ich wyłączała z reszty obywatelskiej ludności, kobiety bowiem tej kasty wspólnie do wszystkich należały, przechodząc od jednego wojownika do drugiego, i dla tego majątek rodzinny nie syn dziedziczył, ale zawsze dzieci siostry. Calicut, którego Marco Polo nie wymienił, ale który był w sto lat potem sławiony przez Ibn-Batutę, jako jeden z pięciu wielkich portów świata, cieszył się dzięki starannemu sądownictwu swoich władców największem bezpieczeństwem mienia i największemi swobodami handlowemi. Wcześniej już osiedli tam byli arabscy kupcy, którym pozwolono mieć dwa meczety i własne sądownictwo. Zjednali oni sobie wkrótce taką powagę, czyli mówiąc językiem Indusów, tak wysoką kastę, że nawet Najowie dawali im swoje córki w małżeństwo. Ale ukazanie się portugalskich okrętów na tych wodach mogło być tylko złą wróżbą dla Arabów, którzy sami jedni dotychczas wzbogacali się zyskownym handlem pomiędzy Wscho-

dem a Zachodem. Tamutiri udzielił posłuchania Gamie, i admirał wyruszył z orszakiem do pałacu władcy, który się wznosił o pięć mil dalej w głębi lądu. Najowie towarzyszyli lektyce Gamy, jako straż honorowa, i dbali o to, aby w tłumach ciekawych, cisnących się do koła cesarskiego pałacu, podziwiani cudzoziemcy nie byli gnienieni i nie doznali żadnej przykrości. Malabarski Perumał, promieniejący od klejnotów, przyjął Portugalczyków z arystokratyczna łaskawie i przyrzekł wziąć pod rozwagę ich prośbę, aby ich dopuszczono do bazarów Calicutu. Tymczasem kupcy arabscy pozyskali sobie wpływowego Katuala, czyli cesarskiego ministra policyi i zatruli niedowierzaniem przychylne z początku usposobienie dla Portugalczyków. I od mieszkańców na ulicach Calicutu doznawali Portugalczycy obelg; jednakże dzięki cierpliwości udało się im zakupić ładunek korzeni. Jeżeli następnie Tamutiri kazał nagle schwytać na lądzie portugalskich faktorów, pod pozorem, że jeszcze cła wywozowe nie były zapłacone, to Gama mu za ten figiel innym odpowiedział, zatrzymując na pokładzie sześciu znakomitszych Malabarczyków. Tamutiri wydał w skutek tego Portugalczyków, ale Gama pomimo to nie puścił od siebie malabarskich więźniów i łodzie „pana fali“, które przybyły po nich, przywitał armatniami kulami.*) To wystąpienie zupełnie uzasadniło słowa Arabów, przedstawiających radży kalikuckiemu Portugalczyków, jako korsarzy, którzy mogą wkrótce zniszczyć handel pomiędzy Aleksandryą a Indyami. Gama opuścił był ze swoją eskadrą Calicut, i znajdował się na wysokości Andjediva, gdzie odparto nieszkodliwy napad piratów, gdy zjawił się na pokładzie pewien Europejczyk, który płynnie mówił po włosku. Był to Żyd z Poznania; w młodości sprzedany do Indyi, jako niewolnik, zostawał w służbie

*) Damiao de Goes, Dom Emanuel, I. cap. 43.

namiestnika w Goa, który go wysłał, jako szpiega, dla wywiadzenia się o dziwnych cudzoziemcach. Na chrzcie otrzymał ten człowiek imię Gaspara, i wszystkim flotom portugalskim wyświadczał, jako rotman, nieocenione przysługi. Nie obeznany jeszcze z porami indyjskich wiatrów, wyjechał Gama z Andjedge z powrotem do Afryki, zanim północno-wschodni monsun wiać począł i eskadra, jakby zakłeta zazdrośną sztuką czarodziejską, przepędziła trzy pełne miesiące na oceanie indyjskim pomiędzy Malabarem a Afryką. Szkorbut porywał nowe ofiary i na pokładzie było zaledwie 7 czy 8 majtków, którzy mogli pełnić służbę, aż wreszcie pomyślny wiatr powiał i popchnął eskadrę, która we cztery tygodnie potem, 2. lutego 1499 ujrzała na zachodzie ląd, a wkrótce potem portowe miasto Magadoszo albo Mugdisza. Po odświeżeniu się w Malinda dojechało 20. marca do przylądka Dobrej Nadziei, a pierwszy okręt pod dowództwem Nicolao Coelho powrócił do Lizbony 10. lipca 1499, dokąd Gama, któremu ukochany brat Paweł umarł na wyspie Terceira, przybył dopiero 29. sierpnia. Król wyniósł odkrywcę do stanu szlacheckiego, dał mu admirałski tytuł, pensję i herb sławny.

Droga morska była wprawdzie odkrytą, ale niegościnne przyjęcie w Indyach dostatecznie pouczyło Portugalczyków, że muszą siłą zbrojną zniszczyć wpływ arabski, zanim będą mogli bez przeszkody prowadzić handel ze wschodem. D. 9. marca 1500 r., a zatem dość wcześnie, aby zastać południowo-zachodni monsun, wypłynął z Lizbony Pedralvarez Cabral z 13 okrętami i 1500 ludźmi na pokładzie. Jak już wiemy, odkrył on w tej podróży Brazylię; ale burza w czasie przeprawy do przylądka Dobrej Nadziei zatopiła mu kilka okrętów i rozproszyła eskadrę, tak że tylko sześć statków 13. września 1500 r. zarzuciło kotwice pod Calicut. Arabscy kupcy z całą chytrością azyatycką przeciwdziałali tutaj portugalskim żegla-

rzom. Portugalczycy nie mogli nigdzie zakupić korzeni, i owszem ze wszystkiego widać było, że starano się ich zatrzymać, dopóki z monsunem nie przybędzie z Czerwonego morza kupiecka flota arabska w zamiarze rozprawienia się z uciążliwymi cudzoziemcami. Cabral dał się uwieść złudnym przedstawieniom pewnego cesarskiego ministra, aby zabrać okręt płynący ze słoniami z Ceylonu do Calicut. Ten rozbójniczy zamach tak rozjątrzył ludność miasta, że 16. grudnia 1500 pospólstwo uderzyło na Portugalczyków w ich faktoryi na lądzie. Sygnałowej chorągwi Cabral nie zrozumiał, a jakkolwiek Europejczycy byli w liczbie siedmdziesięciu, to jednak mało mieli palnej broni na obronę. Wzburzony lud włamał się w mury faktoryi i tylko dwudziestu Portugalczyków, i to wszyscy ranni, zdołało ująć do łodzi i do floty. Cabral za ten napad mścił się dwudniowem ostrzeliwaniem miasta, które jednak mało szkód zrządziło, a niechęć Malabarów ku Feringhom spotęgowało do najwyższego stopnia. Ale polityczna nieprzyjaźń w jednym miejscu dawała niespodzianie przyjaciół w drugim. Próbując szczęścia w Koczynie, pewnym porcie drugiego czy trzeciego rzędu, znalazł tam u radży tego nowego kraju najgorętsze przyjęcie i dostateczny ładunek pieprzu dla swoich okrętów, a to dla tego, że zadarł z „panem wzgórza i fali“. Do Koczyna za Portugalczykami wysłał Perumał liczną eskadrę z Calicut, ale obie strony mało chęci okazywały do walki i Cabral mógł spokojnie minąć Calicut, płynąc do Cananor, którego radża zaprosił go był do swego portu i gdzie Cabral mógł zakupić ładunek imbiru, poczem 16. stycznia 1501 podniósł kotwicę, a 31. lipca dopłynął do Lizbony.

Oba te porty, Koczyn i Cananor, zwiedziła i trzecia eskadra, składająca się z 4ch okrętów, która wypłynęła 5. marca 1501 pod dowództwem Joao da Nova. Gdy przepływali Portugalczycy z Cananor do Koczynu, czatowała

na nich w pobliżu Calicut nieprzyjacielska eskadra Perumala, licząca 100 okrętów, i zamknęła ich podczas nocy w pewnej przystani. Zwinne karawele portugalskie miały przewagę nad arabskimi i malabarskimi statkami, które się tylko w kierunku wiatru posuwały, taką przewagę, jaką ma na szachownicy królowa nad pionkami, i lepiej obsługiwana artylerya portugalska wszędzie zmuszała nieprzyjacielską do milczenia. Potyczka morska 16. grudnia 1501 trwała od świtu do późnej nocy, a ponieważ żaden strzał portugalski nie był daremny, więc podziurawiona flota malabarska nie mogła podążyć za europejskimi okrętami, które puściwszy się dalej w drogę, pospiesznie ładunek korzenny zabrali w Koczynie i 11. września 1502 powrócili do Lizbony. W podróży z powrotem odkryto zupełnie bezludną wyspę Ś. Heleny, prawdopodobnie w dzień tej Świętej (22. maja 1502), i z tego już można wnioskować w jakiej odległości od stałego lądu szukali żeglarze drogi z powrotem.

Jakkolwiek te eskadry, na co już zwróciliśmy uwagę, były tylko *zbrojnemi flotami kupieckimi*, to jednak na wiosnę 1502 wypłynęło pod trzema dowódcami aż 20 okrętów, z których dziesięć Vasco da Gama poprowadził do Malabaru. Znowu zbombardował Calicut, pobił dwie floty Tamutirego, i popłynął z 13 okrętami pełnymi korzeni do ojczyzny, dokąd przybył 1. września 1503. Tym razem jednak druga eskadra pod dowództwem Vicente Sodré pozostała na wodach indyjskich, i ustawiła się pod Dżard Hafun, u wschodniego rogu Afryki, aby chwytać tam arabskie statki wypływające z Czerwonego morza, zamierzano bowiem teraz zupełnie zniszczyć malabaro-alexandryjski handel. Król Emanuel roił wówczas najpiękniejsze nadzieje. Wynurzał się przed weneckimi dyplomatami, może dla ich oszukania, że spodziewa się, iż na przyszłość dość będzie ośmiu, najwięcej

dziesięć miesięcy na podróż do Indyi i z powrotem. Tak był niecierpliwy nowych wiadomości o swoich żeglarskich przedsięwzięciach, że godziny wydawały mu się często tysiącami lat. Ponieważ Perumał malabarski nic złego nie mógł wyrządzić Feringhom na morzu, wezwał więc teraz radzę Koczynu, aby mu wydał wszystkie osoby, zostawione przez Portugalczyków w ich faktoryi, chcąc tym sposobem zmusić radzę do zerwania z Portugalczykami. Ale ten książę, spodziewając się z pomocą Portugalczyków pozbyć się uciążliwego zwierzchnictwa Perumala, opierał się wytrwale, nawet gdy Tamutiri wojskiem kraj jego zalał, stolicę zajął i zmusił go do zamknięcia się w obronnym zamku na wyspie. Utrapienia radży dosięgły końca zanim nastąpiła zmiana monsunów, jeszcze bowiem przed ustaniem południowo-zachodnich wiatrów ukazało się 6. września 1503 pod Koczynem sześć portugalskich okrętów pod dowództwem Franciszka Albuquerque i załoga portugalska szybko wyparła Tamutirego z zajętych przezeń posiadłości. Jakoby dla obrony radży zbudowano fort Sant Jago w Koczynie. To był węgielny kamień portugalskiego panowania w Indjach, i przybyły później wielki Alfons d'Albuquerque tak gorliwie i śpiesznie prowadził dalej budowę fortu, że gdy w styczniu 1504 floty powróciły do Lizbony, można w nim było zostawić 40 ludzi załogi, a oprócz tego okręt, dwie karawele, i mniejsze statki z 73 żeglarzami. Portugalczycy mieli teraz przebyć pierwszą próbę, czy pozyskany kawałek ziemi potrafią utrzymać, i radzę Koczynu, który się uznał ich hołdownikiem, od potężnego zwierzchnika lennego obronił. Wprawdzie Tamutiri z Calicut potajemnie (bo się obawiał arabskich osadników w swoim państwie) układał się z Franciszkiem d'Albuquerque i wynagrodził mu zburzenie portugalskiej faktoryi, ale później Portugalczycy znów zabrali jakiś okręt z Calicut i pogardliwie odmawiali Perumalowi wszelkiego

zadość uczynienia. Można więc było na pewne oczekiwać, że Perumał uderzy z siłą zbrojną na fort portugalski w Koczynie. Sprzymierzony z Portugalczykami radza miał tylko 5000 Najów na żołdzie, podczas gdy Tamutiri ze swymi wazalami mógł wystawić 70.000 wojska, 160 żagli, 200 muszkieterów i 380 dział. Ta przewaga mało dawała się uczuć z powodu warownego położenia Koczynu na końcu cypla. Bardziej jednak niż z powodu tej okoliczności przechylała się szala na stronę Portugalczyków w skutek nadzwyczajnej odwagi ich dowódcy, Duarte Pacheco, który pierwszy nadał europejskiej broni w Indyach właściwy jej urok. Za zbliżeniem się jednak nieprzyjaciół byli Portugalczycy tak poważnie nastroszeni, że przystąpili do spowiedzi i ślubowali sobie wzajem raczej poledz mężnie, niż opuścić stanowisko. Nieprzyjacielskie kroki rozpoczęły się w marcu. Dwa razy próbowała flota Tamutirego wylądować i oba razy odparł Pacheco. 1. maja zbliżyło się wojsko lądowe, aby w bród przejść do miasta położonego na wyspie, ale ciężko okupione zwycięstwo Portugalczyków zmusiło nieprzyjaciela do odwrotu. Niebawem pokuszono się o to samo, i tym razem zjawił się sam Tamutiri, aby zagrzewać swoje wojska do walki. Portugalczycy poznali go po parasolu, atrybucie królewskiej władzy na wschodzie, i dobrze wycelowana kula, mignawszy koło głowy Perumala, i wrywszy się w szeregi jego straży przybocznej, zmusiła go do unikania wojennej wrzawy. Tym razem jednak Najowie, którzy nie znali strachu śmierci, tak blisko podeszli do portugalskich łodzi, że się wszczął gorący bój ręczny, i tylko powracający wieczorem przypływ morza ocalił fort od nacierających nieprzyjaciół. Ostatni powszechny atak rozpoczął się w dzień Wniebowstąpienia (16. maja). Portugalczycy, mający dobrych szpiegów, zatrzymali na zagrożonych punktach pożarne okręty, które przeciwko nim nieprzyjaciel był wypuścił.

Ale teraz Tamutiri wysłał naprzeciw miastu pływające, artyleryą uzbrojone wieże, które z początku stawiały opór kulom obleżonych, ale w końcu zwalone zostały i tak się ta walka skończyła. W obozie Timutirego srożyła się zaraza, która porwała mu piątą część wojska. Utraciwszy 18.000 ludzi musiał wreszcie Perumał malabarski zdjąć obleżenie (w dzień Ś. Jana). To zwycięstwo zapewniło Portugalczykom posiadanie pierwszego ich malabarskiego portu; natychmiast też odpadło od Tamutirego kilku wasalów i zaczęli układać się z Pacheco o pokój. Miasto Csanganor, gdzie rządili bramini, ogłosiło się niezależnem od Perumala, a w Calicut stronnictwo, które gotowe było zerwać z Arabami, ażeby się pojednać z Portugalczykami, nabrało znaczenia. Sprawca tych szczęśliwych przewrotów, Duarte Pacheco, za powrotem do ojczyzny wynagrodzony został przez króla Emanuela trafnie obmyślanym herbem i namiestnikostwem na Złotem wybrzeżu w Afryce, ale potem w skutek oszczerstwa dzwigał kajdany, a rodzina jego musiała żyć z jałmużny.

Tamutiri, gdy w r. 1504 armada pod dowództwem Lopo Soares raz jeszcze powitała stolicę jego bombardowaniem, szukał pomocy w Kairze. Arabowie byli tylko kupieckimi żeglarzami, i okręta ich uzbrojone były co najwyżej przeciw rozbójnikom morskim. Ale sułtanowi egipskiemu dawało się to uczuwać, że handel indyjski nie napełniał cłowych kas Aleksandryi. Przytem Wenecyanie, przeczuwając zupełny upadek egipskich targów korzennych, nalegali na sułtana mameluckiego Kanssu Ghawri, aby wypędził Portugalczyków z Indyi. *) Ale upadająca

*) O intrygach Wenecyan można się wiele ciekawych rzeczy dowiedzieć w rękopiśmiennym dyaryuszu młodszego Marino Sanudo w 58 tomach in folio. Wielki historyk, L. Kanz, który przygotował wyciągi z tego rękopisu, pisał mi listownie, że „Signoria od początku z wielką obawą śledziła odkrycia Portugalczyków i za pośrednictwem egipskich sułtanów starała się wspierać Arabów przeciw wzrastającej potędze Portugalczyków“.

mameluków nie było już zdolne ocalić aleksandryjskiego handlu, który był źródłem życia dla egipskiego państwa, owocem bowiem wszystkich usiłowań było tylko uzbrojenie jednej, jedynej, pierwszej i ostatniej floty wojennej. Portugalczycy wyjechali naprzeciw niej, w roku bowiem 1505 jeden z najznakomitszych wodzów, Dom Francisco d'Almeida, popłynął do Indyi z 22 okrętami i 1500 wojska królewskiego, zwerbowanego na trzyletnią służbę. Dopiero w r. 1507 flota egipska pod dowództwem Emir Hassana z Kurdystanu wypłynęła i ustawiła się pod Diu. Składała się z 12 galer o wysokiej krawędzi po 400 tonn z załogą 1500 żołnierzy. Ta flota zaskoczyła syna pierwszego wicekróla Indyi, D. Lourença d'Almeida, gdy ten w styczniu 1508 wpłynął pod Schaul na pewną rzekę, konwojując z 12 wojennymi okrętami (cztery były tylko o wysokiej krawędzi) malabarskie okręta kupieckie. Nazajutrz rano rozpoczęły potyczkę dwie eskadry, egipska i portugalska, nie przyszło jednak do bezpośredniego starcia się okrętów. Okręta mameluków podziurawione zostały od kul nieprzyjacielskich, ale i większa część Portugalczyków otrzymała rany wśród gradu strzał przeciwników. Okrzyk radosny na flocie emira zwiastował wieczorem przybycie nowej eskadry, którą z Diu przyprowadził mamelukom na pomoc namiestnik króla Cambai, Melik Az. Portugalczekom nie pozostawało teraz nic innego, jak wycofać się z rzeki poprzez połączonemi flotami. Nie chcieli jednak korzystać z nowej ciemności, aby tchórzliwą ucieczką nie przyćmić blasku swej sławy wojennej. Nazajutrz rano wypływały okręta, jeden po drugim, wśród ognia nieprzyjacielskiej floty. Galera Dom Lourença d'Almeidy zasłaniała odwrót. Podziurawiona od kul a opuszczona od wiatru, zanieśioną została na pale w rzece, gdzie stanęła nieruchoma. Z pomiędzy stu ludzi, zdolnych do broni na pokładzie, już dwie trzecie było rannych, między nimi Dom

Lourenço. Pomimo to rozstawił tę załogę i bronił się z nią przeciw sprzymierzonej flocie. Kłęby dymu zakrywały napadających od broniących się. Kula oderwała Dom Lourençowi udo, kazał się więc na krześle na wielki maszt wysadzić i dalej dowodził ztamtąd, póki mu druga kula nie przeszła piersi. Cztery razy wypierali Portugalczycy napadających z pokładu, i gdy wreszcie zwycięzcy weszli na zapadający okręt, to wpadło im w ręce tylko 19 Feringhów i to omdlałych.

Wrażenie tej, jakkolwiek dzielnej, porażki musieli Portugalczycy czemś zatrzeć, jeżeli nie miał osłabnąć postrach ich imienia. Z Cananor 12. grudnia z 19 żaglami i 1300 ludźmi, w liczbie których było już 400 Malabarczyków, wypłynął ojciec walecznego D. Lourença, Francisco d'Almeida i ukazał się 2. lutego 1509 pod Diu, gdzie go oczekiwały dwie zwycięskie floty, egipska i gudżeracka, wspierane statkami Tamutirego z Calicut, a pod zasłoną wysoko położonego miasta, panującego nad miejscem zarzucania kotwicy. Nazajutrz wdarł się wicekról do portu i dał rozkaz haczenia okrętów. Zdobyto egipski statek admirałski i okręt gudżerackiego namiestnika i po gorącej walce od rana do nocy opanowali Portugalczycy obie floty. Eskadra malabarska już przy pierwszym natarciu Portugalczyków uszła na pełne morze, emir mameluków ratował się ucieczką do Cambai, a chytry namiestnik [Diu zdradził swoich sprzymierzeńców i zawarł pokój z Portugalją. Po zniszczeniu egipskiej floty stracili indyjscy radźowie wszelką nadzieję na obcą pomoc, szczególnie gdy wkrótce potem państwem mameluckiem zawładnęli Turcy, którzy o wiele później przedsiębrali jedną tylko, wielką a niefortunną wyprawę w celu odebrania od Portugalczyków Diu.

W jesieni 1509, kiedy nowa flota pod dowództwem marszałka D. Fernando Coutinho powiozła do Indyi 3000

żołnierzy, urząd namiestnika przeszedł na wielkiego Alfonsa d'Albuquerque. 2. stycznia 1510 wylądował on pod Calicut z 1800 ludźmi. Coutinho, niedoświadczony jeszcze w indyjskiej sztuce wojennej, chciał koniecznie, wbrew ostrzeżeniom namiestnika, zdobyć szturmem seraj Tamutirego. W istocie dotarł przez miasto aż do cesarskiego pałacu, ale żołnierze jego plądrując rozproszyli się po rozległych gmachach, tak że Najowie mieli czas za pomocą sygnałów dawanych trąbką zgromadzić się i osaczyć nieprzyjaciół, którzy zapóźno zabrali się do odwrotu przez parambu, czyli ogrody w bujnej, podzwrotnikowej roślinności utopionego miasta. Nieustraszeni rycerze z kasty wojowników zaszli im drogę i dopiero gdy marszałek poległ, udało się Albuquerque'owi, który z drugą połową wojska trzymał się ostrożnie, mając wolne tyły, wsadzić pobite wojsko na okręt. Padło przeszło 70 oficerów i żołnierzy, wielu było rannych, między nimi sam Albuquerque bez czucia zanieiony na pokład.

Przy końcu stycznia, zaledwie przyszedłszy do siebie po tej klęsce, ruszył wicekról z 20 okrętami i 1600 ludźmi ku północy, aby napaść na Ormuz. Ale w drodze pewien dowódzca korsarzy, który połączył się z Portugalczykami, pociągnięty instynktem drapieżnych ptaków, wietrzących pobojowiska, namówił go, do uderzenia na Goę. W czasach, w których Portugalczycy przybyli do Indyi, podobnie, jak dzisiaj, panowanie nad wielkim półwyspem podzielone było między wielu książętami i wodzami, od czasu bowiem pierwszego arabskiego zdobywcy Indyi, Ghaznawidy, już pięć królewskich pokoleń nastąpiło było po sobie na tronie Delhi, który wówczas jakkolwiek pozabawiony pełnego swego blasku, dźwigał przecież na sobie silnego Iskendera z dynastyi Sodiafganów, podczas gdy Mirza Baber, Timuryda i późniejszy założyciel tak zwanego mongolskiego pawiego tronu w Delhi, który dopiero

899 (1494) ojcowskie otrzymał dziedzictwo, miał jeszcze przejść wiele cudownych przygód przed wyruszeniem przez Hindukusz do Indyi. Najpotężniejszym na półwyspie władcą po sułtanach afgańskich był bezwarunkowo Rao z Widżanagara, do którego należała południowa kończyzna Indyi od Ghatu do zatoki bengalskiej, od przylądka Comorin do rzeki Kistny. Pomiędzy Kistną a górami Windhya rozpościerało się potężne państwo Dekanu pod panowaniem dynastyi Bahmani, która przy ogólnem powstaniu południowych ludów 1347 odebrała cesarzom Toghlukidom z Delhi ich posiadłości na wyżynie Dekanu. Ale za czasów Albuquerque'a panowaniu dynastyi Bahmani groziło rozczłonkowanie państwa przez namiestników i margrabiów, i w istocie rozpadło się później to państwo na pięć związkowych królestw dekańskich. I tak Pers Jussuf, nazwany Sabayo w portugalskich źródłach, wzniósł się stopniowo w królestwie Dekanu do najwyższych godności państwowych, i założył wcale niezależne państwo w Bidżapurze, z którym za pomocą podbojów połączył zachodnie wybrzeże od Konkanu do Kanary. Tam wspomniał handlem zakwitło Goa, szczególnie od r. 1479, kiedy podczas pewnego sprzysiężenia Indusów w Hanavar (Onor) i Batucala wymordowano przeszło 10.000 Arabów, a pozostali schronili się do Goa. To miasto już od dziesięciu lat zostawało w rękach władcy Bidżapuru, i Arabowie czuli się bezpieczni pod opieką mahometańskich władców. Jussuf, założyciel państwa Bidżapur, umarł na wiosnę 1510, a po nim nastąpił syn jego Ismail Adil Szah (Hidalcao Portugalczyków), któremu sąsiedzi natychmiast zaczęli grozić wojną. Gdy zatem Albuquerque zjawił się pod Goa wśród zamętu, jaki zwykle w Azji wywołuje zmiana panującego, panowała tam taka bezradność, że miasto już 28. lutego kapitulowało. Tak bezpiecznymi czuli się Portugalczycy w tej nowozdobyczej posiadłości, że natychmiast wprowa-

dzili nowy zarząd, i wydzierżawili podatki, wyspa bowiem Goa wносиła do skarbu panujących nie mniej jak półmilion ducatów (pardoes), w tej liczbie 80.000 cła tylko od przywozu arabskich koni do Indyi. Tak cennej posiadłości wojowniczy szach Bidżapuru nie mógł dać tak łatwo wyrwać sobie. Portugalczycy nie mogli temu przeszkodzić, aby liczne wojsko szacha z nadejściem południowozachodniego monsunu nie przeprawiło się na wyspę. Albuquerque schronił się w mury miasta, ale powstanie mieszkańców zmusiło go pozostawić miasto wrogom i poprzestać na obronie cytadeli. Gdy jednak sam Ismael z 60.000 wojska rozpoczął oblężenie, przeniósł się Albuquerque (30. maja 1510) z fortu, w którym się nie można było utrzymać, na okręta.*) Ale flota aż do najbliższej zmiany monsunu nie mogła wypłynąć z portu, a pozbawiona wody do picia i żywności, wystawioną była na ogień fortu i dopiero 15. sierpnia po długich utrapieniach ujrzała przed sobą wolną do odjazdu drogę. Atoli w tym samym jeszcze roku powrócił Albuquerque do Goa, wypłynawszy z Cannanor z 34 statkami, 1500 żołnierzami i 300 najemnymi Malabarczykami. 20. listopada zarzucono kotwicę, a 25. nakazany został szturm do warownego miasta, które tym razem liczyło 9000 załogi. Dla bohaterskiego usposobienia Portugalczyków żaden nieprzyjaciół nie był wówczas za potężny, żadne mury za wysokie, żadne niebezpieczeństwo za straszne. Uderzyli naprzód na ostrokół przed murami i wpadli z uciekającą załogą w mury Goi. Wieczorem tego krwawego dnia byli panami miasta, które teraz silnie zostało obwarowane. Albuquerque zostawił tam załogę z 400 Portugalczyków i kilku tysięcy nowoutworzonych indyjskich wojsk najemnych. Wojenne igrzysko przeszłoroczne powtórzyło się ze zmianą monsunu. Wojska szacha uka-

*) Damiao de Goes (part. III. cap. 5.)

zały się raz jeszcze na wyspie, ale miasto mogło się teraz trzymać, póki nowa flota nie przybyła z odsieczą. Jednak dopiero 1512 roku udało się znów wyprzeć wojska Bidżapuru z wyspy, a Adil szacha zmusić do zawarcia pokoju. Portugalczycy posiadali ważny środek do tego, aby władców Dekanu uczynić łatwymi do ustępstw, ci bowiem dla kawaleryi swojej potrzebowali niezbędnie arabskich koni, których tylko z Goa dostać można było. Utrzymanie w rękach miasta Goa w obec potęgi Adil Szacha przejęło wszystkich innych książąt postrachem dla portugalskiego imienia. Nawet „pan wzgórze i fali“, zacięty wróg Feringhów, dobrowolnie prosił teraz o pokój, i przyrzekł pozwolić na założenie fortu w Calicut, czemu się dotychczas ciągle opierał, a przyrzekł dla tego, że wielkie portowe miasto jego zaczęło się wyludniać, ponieważ już tylko Portugalczycy lub azyatyccy kupcy z portugalskimi paszportami pojawiali się na targach indyjskich dla zakupywania korzeni.

Teraz zwrócił Albuquerque oczy na Ormuz, leżący u wjazdu do zatoki perskiej. Miasto to, które będąc położone na nagiej, bezwodnej wyspie musiało być zaopatrywane ze stałego lądu w wodę do picia i żywność, dosięgło niesłychanego bogactwa, ponieważ zupełnie panując nad drogą wodną, pobierało cła od handlu morskiego Iranu i ziem nad Tygrysem i Eufratem z Indyami. Świat, powiadało pewne przysłowie miejscowe, jest pierścieniem, a Ormuz drogim kamieniem na tym pierścieniu. Albuquerque, jeszcze zanim został wicekrólem, nawiedzał to miasto z 7 okrętami i 470 ludźmi, 25. września 1507 r. Miastem rządził wówczas pierwszy minister, Khodża, nazwiskiem Atar, który 12-letniego następcę tronu, Seifeddina II., trzymał jak ptaszka w klatce. W porcie powiewało 400 chorągiewek z kupieckich statków, które Albuquerque szorstko przywitał armatniami kulami. Po 48 godzinem

zawieszeniu broni, które bezowocnie upłynęły po pierwszym ataku, rozpoczęli Portugalczycy na nowo bitwę. Perscy strzelcy z małych łodzi sypali gradem strzał, ale kule Franków szybko zmiotły te łodzie, a kiedy Portugalczycy zapalili część okrętów nieprzyjacielskich, to Wessir Atar kapitulował w imieniu szacha ormuzkiego. Miasto przyrzekło zapłacić królowi Emanuelowi 150.000 dukatów (serafins) daniny i odstąpić Portugalczykom kęs ziemi na wybudowanie fortu. Budowa fortyfikacji rozpoczęła się 24. października 1507, ale przebiegły Kodża nie dał dojrzeć tym robotom. Znowy wybuchły nieprzyjacielskie kroki i Portugalczycy postanowili teraz ścisłą blokadą zmusić miasto do poddania się. Albuquerque dopiąłby był tym sposobem swego celu, gdyby go byli nie opuścili potajemnie kapitanowie okrętów, którym się sprzykrzyło to uciążliwe prowadzenie wojny i którzy nie lubili swego generała za jego nieugiętość i utrzymywanie ścisłej karności. Odtąd portugalscy admirałowie, ile razy z eskadrami swemi dotykali brzegów Arabii, zawsze przy tej sposobności zajeżdżali do Ormuzu i Khodża wypłacał im daninę, ale na budowę zamku wciąż nie pozwalał. Ażeby wymóć to na władcy miasta zjawił się Albuquerque 26. marca 1515 r. przed Ormuzem z flotą, na której było 1500 Portugalczyków i 700 malabarskich żołnierzy. Wprawdzie nie żył już ani Khodża, ani Seifeddin, ale nowy Wessir Ahmed, podobnie jak poprzednik, trzymał także szacha, swego pana, zamkniętego w seraju. W prawdziwie azyatycki sposób pozbył się Albuquerque tego niebezpiecznego człowieka, który zostawał w porozumieniu z Seffim perskim i chciał miasto nieznacznie wsunąć w ręce Szachinszachowi, ku czemu napełnił je najemnem perskiem wojskiem. Gdy mianowicie nie mający swej woli szach ormuzki ze swoim wezyrem odwiedzał wicekróla w jego pałacu, portugalscy kawalero-

wie rzucili się ze sztyletami na ministra i zabili go, a Albuquerque zazał sobie złożyć hołd, jako oswobodziciel króla i miasta.

Teraz byli Portugalczycy niezaprzeczonymi panami indyjskiego oceanu. Za pomocą założonych przez siebie fortów panowali nad największymi miastami portowymi, handel arabski był zniszczony, irańsko-indyjski przechodził po pod ich działami. Żaden statek nie śmiał się bez portugalskich paszportów ukazać na wodach, z każdym bowiem takim statkiem obchodzono się jak z korsarskim. W gruncie zaś rzeczy portugalska potęga w Indjach była niczem innem, jak panowaniem korsarzy, nie chodziło jej bowiem o podboje na stałym lądzie lub o zakładanie kolonii. Korona chciała tylko wyzyskiwać handel, do czego ją upoważniał tytuł nadany przez papieża, królowie bowiem portugalscy nazywali się „*panami handlu Indyi i Etyopii*.” Arabskie miasta kolonialne na afrykańskim brzegu Mozambiku musiały im opłacać daninę, eskadry ich zapuszczały się w morze Czerwone i niepokoiły Dżidde, port Mekki. Zawiązano stosunek z gorąco poszukiwanym arcykapłanem Janem, czyli chrześcijańskim królem Habe-szu, ale jego legendowe bogactwo, które tak bardzo zajmowało pierwszych odkrywców afrykańskich, znikło na widok ubogiego, przez cywilizację dotychczas prawie zupełnie zaniedbanego kraju. Europejscy kupcy mogli teraz zakupywać korzenie tylko w Lizbonie, dokąd przywożono z Calicut pieprz, z Cananor imbir, z Ceylonu cynamon. To panowanie na morzu dawało się utrzymać bez wielkich wysiłków. Od czasu bowiem zniszczenia floty egipskiej nie było wcale flot wojennych po tej stronie przyłodka Komorin, a cały wiek miał upłynąć, za nim inne państwa europejskie zaniepokoiły Portugalczyków na tych dalekich wodach. Posiadali też najśmielszych na świecie żeglarzy a naród przejęty był zapalem właściwym boha-

terskiej epoce, wspaniałe bowiem rysy charakteru i niezwykajne czyny ożywiają annale ich indyjskich zdobywczy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

PORTUGALCZYCY W MALAKKA.

Dawniejsze dzieje Archipelagu. Madżapahit. Założenie Singapuru. Wybudowanie Malakki. Rozszerzenie się Islamu. Polityczne stosunki w Orang Laut. Sequeira zawiera traktat handlowy z sultanem Mahmudem. Nieprzyjacielskie kroki. Albuquerque przypuszcza szturm do Malakki. Portugalska administracya. Wojna morska z Orang Lautem. Do Bintang wygnani. Malakka przez Malajów przyciśnięta. Zburzenie Bintangu. Serrao zwiedza Molukki. Polityczna zawiść między wyspiarskimi królami. Brito ma zająć wyspy.

Mgły zalegają dawniejszą historję malajskiego świata i tylko gdzieniegdzie przerwane, pozwalają dostrzedz niektórych widniejących punktów bez związku z sobą. Wyspa Jawa miała przywilej otrzymania wcześniej od innych krajów indo-chińskich wyższej cywilizacyi za pośrednictwem bramińskich osadników, którzy zjawili się tam na początku jawańskiej ery w r. 78 po Chr. i, jak można wnioskować z imion miast u Ptolomeusza, mających sanskryckie formy, osiedlili się na półwyspie Malacca.*) Trudnoby znaleźć gdzieindziej większą łatwość do przyswajania sobie obcych poglądów religijnych, jak u zdolnych do rozwoju ludów rasy malajskiej. Jakkolwiek na początku naszego piątego stulecia buddyjski pielgrzym Fahian w podróży swojej z Ceylonu do Chin nie znalazł wcale między Jawańczykami wyznawców Sakjamuni'ego (Buddy), to przecież później wyspa Jawa zupełnie pozyskaną została dla buddaizmu. Dawniejsze dzieje zdolnego szczepu jawańskiego nie ocalały, nie dla tego, żeby nie było chronologi-

*) Lassen, Indische Alterthümer, Bd. 2. S. 1043.

cznie na pozór uporządkowanych annalów, ale dla tego, że wszystkie osoby i wypadki romantycznie wyrwane są z rzeczywistości i oblane bajecznem światłem. Z arabskich tylko opisów podróży dziewiątego stulecia możemy powziąć dokładne wyobrażenie o tem, jak nędzne już wówczas panowały stosunki społeczne na Jawie, którym, jak to widać z ruin wspaniałych gmachów na wyspie, nie brakło kunsztownych ozdób i elegancji. Większe państwo Madżapahit, podzielone na wiele mniejszych posiadłości, powstało dopiero po powrocie Marka Pola do Europy, mianowicie w r. 1221 (1299 po Chr.). Pięciu książąt, w imionach których znać sanskryckie formy, panowało tam 179 lat; około roku 1335 (1413 po Chr.) rozszerzyli oni swoje podboje aż do Molukków. Arabowie, przyciągnięci cennymi towarami wyspiarskiego świata, wcześniej się tu osiedlili w miastach portowych. Cierpieni przez książąt miejscowych, a przewyższający Jawańczyków siłami umysłowemi, zdołali Arabowie wkrótce tak licznych pozyskać zwolenników dla nauki proroka, że w r. 1400 (1478 po Chr.) zburzyli ostatnie państwo Indusów na Jawie, Madżapahit. Ta ważna zdobycz Islamu na wschodzie przypadła zatem na 14 lat przed upadkiem Granady a na 9 przed opłynięciem południowego przyłodka Afryki przez Bartłomieja Diaz. Potem panowanie nad Jawą znowu rozdzielone było między wielu małych wodzów, i wiek cały upłynął, zanim powstało wielkie państwo pod dynastją Mataram.

Mową i obyczajami pokrewni są Jawańczykom Malajowie. Ale pod tą nazwą nie rozumiemy tych ras ludzkich, które się od wysp Wielkanocnych przez australijskie archipelagi rozprzestrzeniły ku wschodnio-azyatyckim wyspom zwrotnikowym i aż do Madagaskaru, i którzy tworzą wielką rodzinę, mówiącą pokrewnymi językami, tylko owe „bezdomne“ ludy, które się nazywają Orang-Malaju,

a których pierwotnych siedzib potrzeba szukać na wyspie Sumatra i na półwyspie Malacca. Najstarszem ich państwem jest jakoby święte Menangkabo na Sumatrze, starsze jeszcze może od Islamu. Ztamtąd, jak utrzymują najdawniejsze roczniki malajskie, przeniosła się jedna kolonia za cieśninę do południowej kończyny malajskiego półwyspu, gdzie jej dowódca Sri Turi Bhovana, któremu baśń przypisuje pochodzenie od macedońskiego czyli semickiego Aleksandra, założył prawdopodobnie 1160 r. po Chr. miasto Singapur. Pięciu królów panowało nad Singapurem; a ostatni z nich zamordowany został przez pewnego jawańskiego awanturnika Paramisura (Apramasya-sura). Ten ostatni, mocno przyciśnięty przez króla siamskiego, opuścił Singapur, i ruszył z malajskimi Orang-Laut (ludźmi morza) i Jawańczykami w górę wybrzeża, aż wreszcie w pewnem szczęśliwie obranem miejscu założył Malakkę w r. 1253. Do tego czasu żegluga z Arabii i Indyi przechodziła przez cieśninę Sunda, trzymając się południowego brzegu Sumatry i wymagała dwóch lat. Od czasu założenia nowego miasta, w którem zachodnio-azyatyccy żeglarze spotykali się z jawańskimi i chińskimi okrętami, handel azyatycki obrał sobie drogę przez kanał Malakki, a czas trwania handlowych wypraw skrócił się o połowę. Koloniści zastali na półwyspie surowe, rolnicze ludy, które mówiły po malajsku, i z którymi się Orang-Laut i Malajczycy mieszcza. Po założycielu Malakki, Paramisurze, nastąpił syn jego Iskender Szach, który się zaplątał w wojnę ze Siamem, ponieważ chcąc podnieść handlowe znaczenie Malakki, nie dawał indyjskim okrętom płynąć przez kanał do Singapuru, w skutek czego ten port zupełnie opustoszał. Wkrótce osiedli w Malakka Arabowie i mahometańscy Gudżeratowie. Mieli oni własnego konsula i za ich wpływem szerzył się Islam, który od nawrócenia się sułtana Mahometa stał się panującą w Malakka religią. Na

dwa wieki przedtem, wcześniej niż do innych krajów wschodniej Azji, przenikła nauka proroka do królestwa Aczyn na wyspie Sumatra (1206 po Chr.); na Jawie zwyciężyła ona, jak widzieliśmy, dopiero w r. 1478; na Molukki przybyła nieco wcześniej, niż Portugalczycy i Hiszpanie, na Celebes jeszcze 1512 Mangassarowie nie wyznawali Islamu, a jeszcze w r. 1640 Wugi (Buginesi) opierali się, jakkolwiek bez powodzenia, narzuconej sobie wierze. Po za Filipiny, zkąd go szybko wyparli Hiszpanie, Islam nie wysunął się dalej, a i dziś liczba jego wyznawców w Archipelagu bardzo powoli wzrasta. Jakkolwiek Malakka nie przestawała uznawać lennego zwierzchnictwa cesarzy siamskich, to jednak przejście na Islam zwolniło węzeł łączący ją z buddajskim cesarzem. Tylko sułtan Alaeddin (1447—1477 po Chr.) popadł w wielką zależność od dworu Juthii, *) zależność, z której wydobył się jego następca Mahmud szach, zniszczywszy wielką flotę wojenną Siamczyków. W czasach, gdy się ukazali Portugalczycy, miasto Malakka rozpościerało się na milowych przestrzeniach i liczyło 30 lub 40.000 ognisk domowych, a zatem miało ludności ze 150.000 głów. Malajscy Orang-Laut byli mniej zdolni, nie mieli takiego zmysłu artystycznego jak Jawańczycy, ale za to nie byli tak chciwi; odznaczeni oni awanturnictwem skłonnościami, szczególnie jako marynarze. Oba te ludy, Malaje i Jawańczycy, zwykle dobroduszni, względem cudzoziemców chętnie się dopuszczają oszustwa i zdrady. Kłamstwo zaliczają do zdolności i tylko złapany na kłamstwie według nich na wstyd zasługuje. Jako wspólną zaletę potrzeba im przyznać, że mają bardzo drażliwe uczucie sprawiedliwości; przy rozbudzonem

*) François Valentyn (Oud en Nieuw Oost Indien, Dordrecht, 1724) dziś jeszcze główne źródło, ponieważ posiadał trzy malajskie kroniki, z których później nie korzystano. Juthia, niegdyś stolica Siamu, dziś leży w ruinach. Bangkok jak wiadomo założony w nowszych czasach.

zaś uczuciu zemsty nie ma niebezpieczeństwa, któreby ich powstrzymało od zuchwałego kroku. Za broń mieli po części azyatyckie strzelby, po części dmuchawki, z których strzelali zatrutymi bolcami, po części łuki i strzały, przedewszystkiem zaś kris albo sztylety o fantastycznych formach, z klingami w kształcie płomieni, sławione w pieśniach i czczone jak świętość. Stosunki cywilne uporządkowane były z wielkim zmysłem prawniczym, własność zabezpieczoną była od despotycznych zamachów, co naturalnie przyczyniało się do handlowego rozkwitu tego wszechświatowego targowiska, gdzie wszystkie ludy handlowe Azji, Jawańczycy, Gudżeraci, Bengalczycy i Chińczycy mieszkali w osobnych kwartałach, i mieli własnego szabandara czyli konsula, a tak bogaci byli tam kupcy, że mienie swoje na beczki złota rachowali.

Władając wielkimi składami handlowymi na malabar-skim brzegu Indyi, byli Portugalczycy jeszcze daleko od krajów, gdzie dojrzewa kamfora, muszkatułowa gałka i goździki, które to zatem produkta musieli kupować z drugiej lub trzeciej ręki w Indyach. Że te i inne cenne rzeczy na wielkiem targowisku, zwanem Malakka, wywoływały ogromny handel pomiędzy arabskimi, indyjskimi, malajskimi, jawańskimi i chińskimi kupcami, o tem dowiedzieli się Portugalczycy prędko po przybyciu do Calicut. *) Jeszcze otwartą była droga do Malakki dla arabskich okrętów płynących z Dżiddy, które z Adenu kierowały się ku Malledywom, a potem przepływały poniżej Ceylonu przez bengalską zatokę i tym sposobem łatwo omijały czatujące na malabarskiem wybrzeżu portugalskie statki korsarskie.

*) Pierwszą wiadomość o tem otrzymali od żydowskiego sternika Gaspara, który zwiedzał to miasto (Molekka). (List Vespucciego z 4. czerwca w Baldelli'ego Marco Polo, Firenze 1827, tom I. p. 53) i od Bolończyka Lodovico Barthema, który powróciwszy z wielkiej podróży do Molukków przedstawił się w r. 1507 wicekrólowi Almeida. (Goes, Rey Emmanuel liv. II., cap. 24).

Dla zawarcia traktatu handlowego z owem państwem malajskiem, wyruszył z Lizbony z czterema okrętami dnia 5. kwietnia 1508 Diogo Lopez de Sequeira, w Koczynie wzmocniony został przez wicekróla Almeidę piątym okrętem i wypłynął ztamtąd za nastaniem wielkiego monsunu, 29. sierpnia 1509. Prowadzony przez przewodników płynął przez bengalską zatokę ku Nikobarom, w drodze potracił o sumatrzańskie wybrzeża Pidir i Kasé, i zabrał w tej podróży kilka obficie naładowanych okrętów kupieckich, które nie miały portugalskich paszportów. Dnia 11. września ukazała się Malakka, którą mała rzeczka dzieliła na dwie części. W północnej połowie leżały kwartały cudzoziemskich kupców, w południowej części kamienne seraje arystokracji (mantris), pałac sułtana i główny meczet, przystań zaś pokrytą była bengalskimi, peguańskimi, siamskimi, jawańskimi, luçońskimi, japońskimi i chińskimi dżonkami. Zadanie Sequeiry nie zdawało się napotykać żadnych trudności. Zawarto z Portugalczykami traktat, który ich fładze przyznawał większe niż innym przywileje, a sułtan Mahmud nie omieszkiał rozwinąć na cześć Europejczyków azyatyckiego przepychu. Atoli kapitani kilku chińskich dżonek z widoczną gorliwością cisnęli się do dowódcy Portugalczyków, którzy tu po raz pierwszy spotykali się z tym ciekawym narodem, i ostrzegali go przed zwodniczą czułością Mahmuda, przed którym miał być oczerniony Sequeira przez Arabów i szabandara czyli konsula Gudżeratów, przypominających sułtanowi losy różnych książąt, przez Europejczyków wyrugowanych. W podobnym duchu miał przemawiać także radża Utimuti, szabandar Jawańczyków w Malakka. Z ich namowy miano portugalskiego admirała otruć podczas pewnej uczty w tem mieście. Jakaś mahometanka, uprosiwszy sobie nocnego posłuchania u admirała, objawiła mu ten zdradziecki zamiar. Admirał z początku nie chciał jej

przypuścić do siebie, myśląc, że występuje w roli stręczycielki, wyśmiewał się też z początku z jej odkryć, póki mu ich nie potwierdzili Chińczycy. Gdy się w Malakka dowiedziano o zdradzie, to inny powzięto zamiar. Rój zbrojnych łodzi miał się ukryć z tyłu za dwiema dżonkami do czasu, aż słup dymu z łądu nie da im znaku do napadu na flotę; jednocześnie miano napaść na faktorye Portugalczyków w mieście i zamordować Sequeirę na pokładzie okrętu. W czternaście dni po przybyciu Portugalczyków, gdy 30 ludzi w łodziach udało się do miasta dla zabrania ładunku goździków, zjawiły się podług umówionego planu jawańskie barki z towarami koło karawel. Wkrótce na pokładzie głównego okrętu pełno było tych ludzi, między którymi znajdował się syn radży Utimuti z zamiarem zamordowania admirała. Garcia de Sousa pierwszy powziął podejrzenie i kazał oczyścić pokład z tej zgrai. Zarazem ostrzegł admirała, który, otoczony ośmiu cisnącymi się Malajami, bez wszelkiej myśli o niebezpieczeństwie siedział i grał w szachy. Sequeira z zimną krwią kazał bosmanowi wyleźć na maszt i zobaczyć, czy nie wracają łodzie z miasta. Z góry dojrzał ten marynarz, że jeden z Malayów ukradkiem wyciągał swój kris, ale przez drugiego był powstrzymany, jakoby że chwila zamordowania Sequeiry jeszcze nie nadeszła. Na zawołanie oficera podniósł się admirał i zawołał do broni, ale zanim pośpieszyli Portugalczycy, już malajscy bandyci wskoczyli do łodzi i umknęli. Gdy się ukazał słup dymu, wystąpiły przeciw flocie zbrojne barki, ale spędzone zostały przez czujnych Portugalczyków ogniem z dział. Za to większa część Europejczyków, którzy byli na lądzie, wpadła w ręce Malajów. Z początku tłómaczył się sultan nieporozumieniem, a jednak zwlekał z wydaniem jeńców. Sequeira zatem, nie chcąc utracić monsunu, zostawił ich w jego rękach i podniósł kotwicę, wypowiadając Malajom wojnę.

Groźby jego wypełnił Alfonso d'Albuquerque, który 2. maja 1511 odpłynął z Koczynu z 19 okrętami, 800 europejskimi i 400 malabarskimi żołnierzami i 1. lipca zjawił się przed portem Malakki, gdzie się natychmiast znalazło pięciu chińskich kapitanów okrętowych, i ci donieśli mu, że sułtan, przygotowany na jego przybycie, zgromadził siły zbrojne; przyprowadził mu je radża z Pahangu, którego wesele z córką sułtana przerwał przyjazd Albuquerque'a. Wicekról żądał wynagrodzenia, wydania więzionych Portugalczyków i miejsca na założenie warowni. Ponieważ sułtan, oczekując na przybycie swego laksamany czyli admirała, przewlekał rokowania, postanowiono zatem uderzyć na Malakkę, chociaż ostrożni Chińczycy doradzali, że lepiej ogłodzić miasto, które wszystkich zapasów żywności wodną drogą dostawało. Dom Alfonso czekał do 24. lipca, w którym to dniu podzielił wojsko swoje na dwa oddziały, aby jednocześnie z obu stron uderzyć na most tego podwójnego miasta. Joao de Lima, przywitany artylerią i chmurą strzał, wylądował z jedną połową wojska u południowego końca mostu, gdzie się wznosił meczet i seraj sułtana. Zburzył tam barykadę i wkrótce rozpoczął bój ręczny z przyboczną strażą sułtana, który sam wyruszył do ataku na słoni. Zwierzę to, ranne pchnięciem lancy, z bólu się zawróciło i w popłoch wprawilo swoich towarzyszy. Sułtan, który otrzymał ranę w tem zajściu, wycofał się z potyczki, która się na tem przerwała. Tymczasem Albuquerque z drugą połową wojska ruszył od mostu przez barykady wśród zaciętych utarczek główną ulicą północnej części miasta; ale nieprzyjaciele obeszli go w koło i był osaczony przez nich. Dopiero Joao de Lima z mostu utorował mu drogę do odwrotu. Portugalczycy podłożyli ogień pod najbliższe domy. Albuquerque zaś widząc, że atak przedwcześnie był wykonany, uznał za stosowne cofnąć się na flotę, tem bardziej, że

liczył już 70 rannych, z których z tuzin umarło, ponieważ nie znano jeszcze antydotów na zatrute rany, zadane przez Malajów. Upłynęły trzy tygodnie, zanim można było wznowić napad, ale korzystano z tego czasu i układano się z magnatami Malakki, mianowicie z pewnym możnym Indyaninem Ninachetu, który świadczył wielkie usługi portugalskim więźniom. Ważniejszą jeszcze rzeczą był ukryty zamysł radży Utimuti, najbogatszego w mieście kupca i szabandara Jawańczyków, który posiadał nie mniej jak 6000 niewolników. Ośmdziesięcioletni starzec potrójną gotował zdradę. Przywędrowało było wówczas do Malakki wielu Jawańczyków, aby pokonać Orang-Laut i obalić sułtana Mahmuda, jak tylko się przed Malakką, stosownie do układu z Utimutim, ukaże pewien dynasta korsarski z Japara na Jawie. Portugalczycy jawańskiemu szabandarowi dali list bezpieczeństwa, za co szabandar przyrzekł, że Jawańczycy przy drugim napadzie Portugalczyków pozorny tylko opór stawić będą. Napad można było powtórzyć dopiero z przypływem na nowiu (10. sierpnia). Portugalczycy z jedną dżonką o wysokim brzegu zdobyli most i natychmiast oszańcowali go i uzbroili działami. Tym sposobem nieprzyjacielskie siły w północnej i południowej części miasta zostały rozdzielone, i można było następnych dni słabo odtąd bronioną Malakkę zdobywać kawałek po kawałku. Sułtan uciekł z mieniem swoim w góry. Albuquerque, pan placu, kazał splądrować malajskie i gudżerackie kwartały; domy zaś Jawańczyków, Chińczyków, Siamczyków i Indusów zostawiono w pokoju, ponieważ ci przedtem kapitulowali. Królewska, piąta część łupu wynosiła 200.000 dukatów, pomimo, iż wiele mienia Malajowie ocalili, a wiele żołnierze na bok odsunęli. Zbudowawszy w południowej części miasta z kamieni dawnych grobów książęcych zamek, Albuquerque chciał pokazać, że królowie portugalscy są najwyższymi zwierzchnikami kraju,

kazał bić zwyczajem Wschodu pieniądze i wzbronił puszczać w obieg dawniejszą monetę. Radży Utimuti, jako szabandarowi, zostawił sędowniczą władzę nad mahometańskimi Jawańczykami, a wiernemu stronnikowi Portugalczyków, Ninachetu, sędowniczą władzę nad Indusami; od tych urzędów jednak można było odwołać się do portugalskiego trybunału. Z dworem Juthii zawarto wkrótce przymierze, gdyż cesarz Siamu z wielkiem zadowoleniem dowiedział się o tem, że jego odstępczy wazał, sułtan Mahmud, rozgromiony został przez Portugalczyków. Atoli Affonso d'Albuquerque zmuszony był niebawem radzę Utimuti, którego wraz z synem i zięciem zwabił był do zamku, kazać ściąć publicznie, ponieważ z Alaeddynem, synem sułtana Mahmuda prowadzili zdradziecką korespondencyę. Ażeby tę śmierć pomścić, wdowa po Utimutim pojednała się z dziedzicznym wrogiem swego domu, Pati Catir, i dała mu córkę w małżeństwo pod warunkiem, że podniesie broń na Portugalczyków. Pati w istocie wywołał bunt w jawańskim kwartale, który powznosił barykady, ale prędko ten ruch poskromiono, a sprawca musiał uciekać. Daleko gorsze wywołało wrażenie to, że podległy radzą z Campar *) powołany został do Malakki na bandarę (pierwszego ministra) z tytułem wicekróla, Ninachetu bowiem, szabandar indyjski, zaledwie się dowiedział o tym kroku, w którym zawierała się i jego dymisya, wnet publicznie kazał w Malakka wystawić stos z aloesu i drzewa sandałowego i z indyjskim spokojem śmierć sobie zadał w płomieniach, podczas gdy jego krewni śpiewali u stosu malajskie romanse o haniebnej niewdzięczności Portugalczyków. Gdy zaś następnego roku namiestnik Jorge d'Albuquerque kazał stracić w skutek fałszywego oskarżenia i nowego bandarę, to tak silnie ten krok obraził uczucie

*) Państwo malajskie na Sumatrze naprzeciw Singapur.

sprawiedliwości w mieszkańcach, że masami zaczęło się wychodzić.

W r. 1513 musieli Portugalczycy nowe odeprzeć niebezpieczeństwo. Pati Unus, pewien szczęśliwy admirał korsarski, który zdołał w Japara (na północnem wybrzeżu Jawy) założyć państwo, zbroił jeszcze za rządów sułtana Mahmuda przez całe lata flotę, ażeby napasć na Malakkę, dokąd wywędrowało było wielu Jawańczyków, którzy, podobnie jak stracony radża Utimuti, za zjawieniem się jego przyrzekali pokonać Malajów i sułtana. Pati spodziewał się jeszcze łatwiej wyrugować Portugalczyków, niż malajskiego sułtana. W istocie znalazł się on niespodzianie przed Malakką z liczną flotą, ale na żaden krok śmielszy nie zdecydowawszy się, zawrócił, a wówczas portugalska eskadra tak go zażarcie zaczęła gonić i tak celne strzały z dział dawać do jawańskiej korsarskiej floty, że z 60 dżonek o wysokim brzegu (były to statki, których kasztele sięgały do wysokości żaglowych drągów na karawelach portugalskich) 59 zatонуło.

Portugalczycy, zdobywszy Malakkę, oszczędzali wszystkich mieszkańców i tylko malajskich Orang-Laut, swoich prawdziwych wrogów, ogłosili za wyjętych z pod prawa. Nieuchwytna, jak dusza wędrująca, żywotna siła tego bohaterского narodu przedzierzgała się po pokonaniu Malakki w nowe kształty. Część wygnanych Orang-Laut wyruszyła z synem Mahmuda do Dżohor, gdzie ten jako Ahmed szach założył nowy panujący dom malajski, który dziś jeszcze żyje. Stary sułtan Mahmud, którego jeszcze wielki Albuquerque wyparł był z nad rzeki Muar, o kilka mil na południe od Malakki, gdzie się chciał usadowić, założył nowe państwo na wyspie Bintang w cieśninie Singapur i jako prawdziwy Orang-Laut znów się chwycił rzemiosła korsarskiego, porywając dżonki, które z wód chińskich płynęły do Malakki. Pod nim służył w pełnej za-

pału walce z cudzoziemskimi zdobywcami admirał Sansotea, wyborny marynarz. Korzystając ze słabości Portugalczyków, których głód i gorączka przerzedzała, którymi od czasu stracenia radży z Camparu brzydzili się krajowcy, i którzy wreszcie osłabili się w krwawych a bezskutecznych zapasach z bitnymi ludami Sumatry, korzystając z tej ich słabości usadowił się Sansotea w sąsiedztwie Malakki nad Muarem. Jak tylko monsun przerywał stosunki Malakki z Indyami, zjawiał się on 1516, 1517 i 1518 przed miastem, blokował je, odcinał dowóz, i nawet je atakował. Nadaremnie w czerwcu 1518 Dom Aleixo de Menezes przyprowadził odsiecz miastu i starał się zburzyć rozbójniczą fortecę sułtana Mahmuda nad Muarem. Zaledwie odpłynął Menezes (w grudniu 1518) z monsunem do Indyi, wnet ukazał się pod Malakką malajski admirał ze swymi Orang Laut w 60 statkach, podczas gdy na lądzie sułtan z wielką czeredą słoni oblegał 200 Portugalczyków w forcie, i zapalił okręta stojące w przystani. Wierność ich bandary i laksamany w Malakka, jako też waleczna pomoc wojsk jawańskich ocaliła Portugalczyków, którzy przez dni 17 byli oblegani. W końcu udało się Portugalczynom, gdy im Garcia de Sa przyprowadził posiłki, w 120 tylko ludzi pod dowództwem Duarte de Mello, bez krajowych żołnierzy a tylko z Jawańczykiem, służącym przez zemstę za szpiega, utorować sobie drogę aż do kryjówek malajskich nad Muarem, to jest aż do fortu Orang-Lautów. D. 1. listopada 1519 obeszl i Portugalczycy nieprzyjacielskie pozycje i zdobyli je po krwawej walce, w której samych mantris czyli szlachty padło po stronie malajskiej nie mniej 300. Spalono twierdzę sułtana, zdobyto 300 strzelb po większej części portugalskiego pochodzenia a Mahmuda na nowo zmuszono cofnąć się do Bingtang. Ale nadaremnie starał się go ztamtąd wyprzeć 1521 Dom Jorge d'Albuquerque w połączeniu z Antonio de Brito, który

prowadził eskadrę do Molukków. Atak na Bintang, jakkolwiek wykonany z 18 okrętami i 600 ludźmi, tak był zwycięzko odparty, że admirał Orang-Lautów mógł jeszcze ścigać wracającego Dom Jorge i porwać mu jeden okręt z eskadry.

W kwietniu 1523 Orang Laut znowu się rozłożyli w swojej dawnej kryjówce nad Muarem, a Sancho Henriques, który miał z 10 statkami przepędzić ich ztamtąd, gdy mu się flota rozbiła, na dwóch tylko okrętach mógł umknąć, a tymczasem 60 Portugalczyków utonęło, reszta zaś wpadła w ręce Malajom. Potęga Portugalczyków była bliską wygaśnięcia; radża z Pahangu (na wschodnim wybrzeżu Malakki) kazał wszystkich Franków, jacy byli w jego państwie, wymordować, i to samo stało się na Jawie, gdy tymczasem malajski admirał zjawił się pod Malakką i pod ogniem z dział fortecznych zapalił pewien portugalski okręt. Jako zbawca ukazał się Martin Affonso de Sousa z sześciu żaglami i 200 ludźmi z Indyi. Przy jego pomocy udało się wprowadzić odeprzeć laksamanę, który 25. marca 1525 znów trapił Malakkę i usadowił się był na pewnem przedmieściu, ale teraz zbliżył się sam sułtan Bintangu z flotą, podczas gdy pewien portugalski renegat Avelar z 4000 ludzi osaczył miasto od strony lądu i odważył się wykonać nocny napad na kwartał Indusów. Wygłodniałe miasto było nad brzegiem katastrofy, gdy z monsunem przybył 8. maja 1525 z Koczynu na pomoc oblężonym Pero Mascarenhas i przyprowadził eskadrę z 350 ludźmi i zapasami. Ale dopiero w jesieni powiódł się Mascarenhasowi napad na miasto Bintang. Z 20 okrętami, 600 krajowymi i 550 portugalskimi żołnierzami ukazał się on niespodzianie przed wyspą. Z odsieczą dla niej pospieszył wprowadzić król Pahangu z 30 statkami, ale po bitwie działowej z portugalskimi okrętami musiał się cofnąć na flocie na wpół zniszczonej. Dwunastu dni potrze-

bowali Portugalczycy dla uprzątnięcia palów z ujścia pewnego kanału, który prowadził do miasta. Odciągnawszy nieprzyjaciół udanym napadem w jakieś odległe miejsce na wyspie, z rannym zmierzchem, drogą w nocy utworowaną przez Dżangel, uderzyli główną siłą na most, główną warownię z tyłu miasta. Mahmud uciekł, podczas gdy jeszcze z wielką zaciętością walczone dokoła jego pałacu. Zwycięzcy, złupiwszy miasto, zapalili je; zdobyli też 300 dział, które po większej części należały przedtem do Portugalczyków. Sułtan Mahmud, który uszedł na stały ląd, umarł po kilku dniach, i jakkolwiek jego potomkowie, zasiadający na tronie Dżohoru, wspólnie z wojowniczymi książętami Aczynu na Sumatrze nie przestawali walczyć z Malaką, to przecież Portugalczycy pozbyli się już byli swego najgorszego wroga.

Zaraz po zdobyciu Malakki posłał Affonso d'Albuquerque z grudniowym monsunem 1511 trzy okręta ze 120 ludźmi i jedną dżonką, pod dowództwem Antonia d'Abreu do wysp Banda i do Moluków z poleceniem, podarkami i słodkimi słówkami zjednywać wszędzie krajowców dla Portugalczyków. Ich jawańscy i malajscy sternicy doprowadzili ich tylko do Ambon, gdzie Abreu kazał wbić portugalskie słupy herbowe. To samo zrobiono z powrotem na pięciu wyspach Banda, które wówczas jedyne w całym świecie wydawały kwiat i galki drzewa muskatelowego. Ztamtąd zabrała się eskadra do powrotu, ale tylko Abreu dojechał do Malakki, gdyż drugi kapitan, Francisco Serrao, którego statek już przedtem się był rozbił, i który sobie na wyspach Banda kupił dżonkę, utracił i tę dżonkę u bezwodnych wysp Lucepara i byłby nędznie zginął, gdyby go był nie napadł statek korsarski. Portugalczycy wzięli górę nad korsarzami i na ich statku powrócili do Ambon, gdzie mieszkańcy troskliwie zaopatrywali wszystkie ich potrzeby i gdzie ich odwiedzili na-

wet floty obu królów moluckich z Ternati i Tidori, którzy dowiedziawszy się o losach cudzoziemców, kazali ich do swoich państw sprowadzić. Ternatyńskie statki przybyły wcześniej i na nich Francisco Serrao dostał się na Molukki. Dowiedziawszy się o jego tam przybyciu, Ruy de Brito, namiestnik w Malakka, którego obaj moluccy królowie w naglących listach prosili o założenie warownej faktoryi na ich wyspach, posłał w r. 1513 Antonia de Miranda de Azeveda z kilku dżonkami do Ternati dla sprowadzenia Francisca Serrao i jego towarzyszy. Ponieważ każdy z moluckich królów przez polityczną zawiść chciał mieć na swojej wyspie przyszlą portugalską faktoryę, więc znów do Molukków z grudniowym monsunem 1518 wyruszyła eskadra, składająca się z jednego portugalskiego okrętu i dwóch dżonek malakańskich kupców. Dowodził tą eskadrą Dom Tristao Menezes, a towarzyszył mu Serrao. Ale i tym razem nie zaspokojono życzeń zawistnych królów wyspiarskich i nie wybudowano fortu ani na Ternati, ani na Tidori; burza rozproszyła eskadrę Menezesa, który z dwoma tylko statkami przybył na początku kwietnia 1520 do Banda, i musiał wracać do Molluków, gdzie spotkał odpędzony burzą trzeci okręt z Serraem. Później odrzuciła burza Menezesa do Ambon, tak, że nie mógł on zabrać z Ternati Francisca Serrao i jego ludzi, i przybył sam do Malakki. Portugalczycy, dowiedziawszy się, że hiszpańska korona inną drogą zamysła ować Molukkami, uzbroili eskadrę z sześciu okrętów z 300 ludźmi, która pod dowództwem Antonia de Brito z grudniowym monsunem 1521 nawiedziła wyspy. Kiedy się de Brito zatrzymał u wielkiego jawańskiego portu Agacim naprzeciw Madury, to spotkały go tam wracające z wysp Banda dżonki portugalskie z ładunkiem korzeni, którymi dowodził Garcia Henriques. Jadący na tych dżonkach opowiadali, że spotkał ich jawański statek kupiecki i udzielił

im nadzwyczajnej nowiny, iż na Molukkach ukazali się już inni Europejczycy, którzy mu w hiszpańskim języku wydali kartę bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ TRZECI.

PIERWSZA PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA.

Fernao de Magalhaens. Dawniejsze czyny. Expatriacya. Falero. Plan opłynięcia w koło ziemi. Mniemane zasługi Behaima. Globus Magalhaensa. Zawisć Hiszpanów. Odjazd. Aresztowanie Cartageny. Odkrycie Patagonii. Zaburzenie w porcie San Julian. Cieśnina patagońska. Przejazd. Krążenie po morzu południowem. Wyspy Złodziejskie. Filipiny. Magalhaens zabity. Hiszpanie w Bruni. Molukki znalezione. Powrót Wiktorii do domu. Zasadzki Portugalczyków. Wynagrodzenie Elcana.

Pomiędzy zdobywcami, którzy w r. 1506 za flotą D. Francisca d'Almeida udali się do Indyi, znajdował się i Fernao Magalhaens, potomek starożytnego rodu hidalgów, urodzony w Oporto prawdopodobnie przed 1480. Znajdujemy tego szlachcica, którego wartość wewnętrzną przyćmiewał mały wzrost i niepozorna powierzchowność, wraz z jego towarzyszem broni Francisco Serrao, jako oficera na eskadrze Diogo Lopeza Sequeiry 1509 r. pod Malakką. W r. 1511, podczas zdobycia tego miasta, służył on pod wielkim Alfonsem d'Albuquerque i wówczas to zawarł był ścisłą przyjaźń z Franciszkiem Serrao. Już 12. czerwca 1512 r. znajdujemy Magalhaensa*) z powrotem w Portugalii. Służył on wówczas jako oficer w Azamor, afrykańskiej posiadłości Portugalczyków, gdzie podczas pewnej razzii przeciw berberyjskim plemionom otrzymał pchnięcie lancą w kolano i z tego powodu kulał przez całe życie. Oskarżano go tamże publicznie, że łup wojenny sprzeda-

*) Nazwisko to, które tylko usta portugalskie mogą wiernie wymówić, brzmi mniej więcej jak: Magaliengs.

wał Beduinom. Gdy nastąpiła zmiana dowódców, opuścił Magalhaens bez pozwolenia afrykańską załogę i udał się na dwór, gdzie go Dom Emanuel niełaskawie przyjął. Kazał bowiem wrócić do Azamor i tam oczyścić się z czynionych mu zarzutów. Magalhaens usłuchał i zupełnie został oczyszczony. Powróciwszy do Portugalii zażądał od króla za swoją indyjską służbę podwyższenia małej miesięcznej płacy, jaką pobierał, z 1000 na 1200 reis (z $2\frac{1}{2}$ na 3 dukaty). Ta pensya przywiązana była do pewnego urzędu dworskiego, i nawet pół dukata miało swoje znaczenie, ponieważ stanowisko towarzyskie odpowiadało wysokości żołdu. Ponieważ prośbę jego odrzucono, więc obrażony Magalhaens publicznie, z zachowaniem zwykłych form, zrzekł się portugalskiej ojczyzny i 20. października 1517 zjawił się w Sewilli. Tymczasem, jak widzieliśmy, przyjaciel jego Francisco Serrao dotarł był aż do Molukków i opisał Magalhaensowi swoją tam podróż. Jest rzeczą nader wiarogodną to, co nam opowiada Barros, który widział część korespondencyi, mianowicie, że Serrao, jak wszyscy odkrywcy, przesadzał w opisie swego czynu i odległość pomiędzy Malakką a Molukkami podał kilka razy większą. Ale wiadomości te naprowadziły Magalhaensa na przypuszczenie, że Molukki leżą już po tamtej stronie portugalskiej linii demarkacyjnej. Z tego powodu Magalhaens wszedł w spółkę z astronomem Rui Falero, ziomkiem swoim, który również opuścił ojczyznę, i który łudził siebie i innych, utrzymując, iż posiada matematyczną formułę do oznaczania *wschodnio-zachodnich wysokości*, jak nazywano wówczas geograficzne stopnie długości. W Sewilli poślubił Magalhaens córkę znakomitego kawalera zakonu Santjago, Diogo Barbosy, Portugalczyka, który w r. 1501 jeździł z eskadrą do Indyi, jako kapitan okrętu, a potem wywędrował z Portugalii do Sewilli, gdzie w owych czasach wielu niezadowolonych Portugalczyków przemieszki-

wało. Wkrótce potem, 20. stycznia 1518, wyruszyli Magalhaens i Falero na dwór cesarski do Valladolid, dokąd przybyli przed 23. lutego i gdzie szybko zjednali dla swego planu biskupa z Burgos, Fonsekę.

Jeden z uczestników pierwszej podróży dokoła świata, rycerz Pigafetta z Vicenzy, utrzymywał, że Magalhaens widział w skarbcu królewskim mapę rysowaną przez Marcina Behaima, na której przedstawioną była cieśnina prowadząca do otwartego morza południowego. Ale od czasu podróży swojej z Diogiem Cao znika norymberski patrycyusz zupełnie z widowni odkryć, jeżeli nie jest nim ów niemiecki rycerz, który z portugalskimi żeglarzami w marcu 1487 miał wypłynąć z Azorów w celu odkrycia fantastycznej wyspy Antiglia czyli *Siedmiu miast* na atlantyckim zachodzie. *) Behaim w 1492 odwiedził rodzinne swoje miasto Norymbergę i tam jako dyletant-kosmograf, nakreślił swoje „jabłko ziemskie“, czyli globus, umarł zaś w Portugalii 29. lipca 1506 w wielkiej nędzy, zostawiając na Azorach smutną sławę mistrza w astrologicznym kunszcie.

Że Magalhaens mógł widzieć mapę morską Behaima, która pod wysoką szerokością południową u wschodniego wybrzeża południowej Ameryki obiecywała przejazd do Oceanu wschodniego, temu przeczyć nie można, od czasu jak w Norymberdze odkryto globus Jana Schonera z r. 1520, na którym dość wyraźnie w głównych zarysach występuje południowa Ameryka i pod 45° połudn. szerokości tworzy cieśninę z jakimś bezimiennym lądem, który możnaby uznać za potwornie nabrzmiałą Ziemię Ognistą; cieśninę, którą można było brać za jedno z dróg morską Magalhaensa. To złudzenie jeszcze większych nabiera pozorów prawdy, gdy czytamy w pewnej rozprawie tego samego Schonera, drukowanej jeszcze przedtem, nim

*) Memoria histor. sobre o intentado descobrimento de uma supposta Ilha ao norte da Terceira, Lisboa 1845.

się stały wiadomemi odkrycia Juana Diaza de Solis, który prawdopodobnie wiódł korespondencję z Behaimem, jakoby Portugalczycy opłynęli *Brazylię* i naprzeciw południowej jej kończyny znaleźli inny ląd stały, który od południowej Ameryki oddzielony jest cieśniną, zupełnie jak pod Gibraltarem Afryka od Europy. Przypuszczano przytem, że południowy koniec Brazylii niedaleko w zachodnim kierunku leży od Malakki. Ale to złudzenie pierzcha przy pierwszym krytycznem porównaniu z dawniejszymi dokumentami, Schonera bowiem południowa Ameryka czyli Brazylia jest tylko bardzo błędną kopią dawniejszej mapy świata z r. 1507. *) Że przypuszczano istnienie cieśniny na południu Brazylii, nie powinno to nas dziwić, wiara bowiem w cieśniny, które miały prowadzić do oceanu Indyjskiego, była powszechnym objawem gorączkowej żądzy odkryć. Kolumb szukał środkowo-amerykańskiej drogi morskiej w swojej czwartej podróży po morzu antylskim, podobnie jak po podbojach Cortesa szukano cieśniny, któraby z zatoki meksykańskiej prowadziła do morza południowego, podobnie jak Sebastyan Cabot szukał północno-zachodniego przejazdu, który jest już niecierpliwie wskazywany prawie na wszystkich mapach XVI. stulecia.

Atoli cieśnina, o której Schoner mówi, jest tą samą cieśniną, której istnienia oddawna przedtem w Hiszpanii domyślano się, i którą sternik państwa Juan Diaz de Solis postanowił zwiedzić, wypłynawszy dnia 8. października 1515 r. z Lepe z dwoma czy trzema okrętami. Śmiały ten marynarz odkrył na południe od rzeki Cananea wybrzeże, które objął w posiadanie w imieniu korony kastylskiej, następnie pod 35° połudn. szerok. odkrył port de Nuestra Señora de la Candelaria, i spostrzegł, że wybrzeże zwraca się ku północno-zachodowi. Płynąc w tym nowym kierunku

*) Schoner kopiował tylko mapę świata Ruyscha do Ptolomeusza, Rzym 1507.

dostał się pod $34\frac{1}{2}^{\circ}$ na *słodkie morze*, które, jak się potem okazało, było zlewem wód Srebrnej rzeki, zwanej przez długi czas Rio de Solis. Nie daleko ztamtąd podczas pewnego wylądowania zginął słynny ten marynarz z kilku towarzyszami, w obliczu swoich karawel, z ręki krwiożerczych ludów Charrua, a pozostali żeglarze przeżeni tym wypadkiem skierowali żagle do powrotu.

Jeżeli Magalhaens widział jaką mapę Behaima z południową cieśniną, to ta ostatnia w każdym razie podobną była do urojonej cieśniny na Schonerowskim globusie. Że zaś nie było wcale wcześniejszego odkrycia cieśniny patagońskiej, o którejby Behaim wiedział, i którąby tajono w Portugalii z zawiści względem Kastylji, o tem świadczy późniejsze zachowanie się Magalhaensa, który będąc już w połowie drogi, jego noszącej imię, wątpił jeszcze, czy to cieśnina, czy tylko zwodnicza zatoka. „Magalhaens“, opowiada Las Casas, „przywiózł z sobą pięknie malowaną kulę ziemską, na której wszystkie wybrzeża były nakreślone, nie wypełnił tylko przestrzeni w pobliżu swojej cieśniny, aby się tajemnica nie wydała. Byłem tego dnia i tej godziny w gabinecie kanclerza państwa, kiedy przyniósł tę kulę ziemską biskup Fonseca i pokazywał na niej drogę, którą Magalhaens chce popłynąć. Jegoż samego pytałem potem w rozmowie o tę drogę. Wyszuka na-przód, odpowiedział mi, Cabo Santa Maria, którą my dziś nazywamy Rzeką Srebrną (Rio de la Plata) a potem będzie płynął brzegiem tak długo, dopóki nie trafi na cieśninę morską. A jeżeli, dodałem, nie znajdzie się taki przejazd, to jak się W. M. dostaniesz do morza południowego? Jeżeli nie znajdę żadnej cieśniny, odpowiedział mi, to wówczas pojedę tędy, którą jeżdżą Portugalczycy do Indji.“

Cesarz przychylił się do projektu Falera i Magalhaensa, aby wysłać eskadrę, któraby opłynawszy połu-

dniową kończynę Ameryki, przez Ocean Cichy dostała się do wysp korzennych, i kiedy proponujący umiarkowali swoje wymagania, a mianowicie zrzekli się pretensyi do admirałskiego stopnia, to korona w Valladdolid 22. marca 1518 zawarła z nimi ugodę, w której dawała przyrzeczenie Falerowi i Magalhaensowi, że w przeciągu lat dziesięciu żaden inny odkrywca nie może się puszczać drogą przez nich obraną. Przyrzekała dalej dwudziestą część czystego dochodu koronnego z przyszłych posiadłości, prawo za opłatą pięcioprocentowego podatku wprowadzać do Hiszpanii rocznie za 1000 dukatów korzeni, piątą część czystego zysku z pierwszej podróży, prawo wybrania sobie siódmej i ósmej wyspy nowoodkrytej (po wyłączeniu przez koronę jakichkolwiek sześciu) dla pobierania z nich piętnastej części dochodu, wreszcie dziedziczny tytuł i stopień adelantadów i namiestników nowoodkrytych ziem, wszystko to jednak w przypuszczeniu, że te odkrycia leżeć będą w obrębie hiszpańskiej linii demarkacyjnej. Na pierwszą wyprawę przyrzekła korona dać pięć dobrze uzbrojonych okrętów, dwa o 130, dwa o 90 a jeden o 60 tonnach, z 234 marynarzami i zapasami żywności na dwa lata.

Jakkolwiek Magalhaens, poczytywany przez swoich ziomków za zdrajcę, nie popełniał nic karygodnego, to jednak sunęła się za nim, jakby cień, pomsta za to, że rozgniewany za upośledzenie, którego doznał, podniósł rękę przeciw własnej matce, przeciw własnej ojczyźnie. W gabinetowej radzie króla Emanuela wahano się, czy pozyskać, czy nie, jakąś nagrodą Magalhaensa. Ale ponieważ obawiano się, że to może mieć zły wpływ na moralność, jeżeli niewierność dla ojczyzny znajdować będzie niejako zachętę w nagrodzie, więc biskup z Lamego doradzał, ażeby zbiega sprzątnąć ze świata. Nie była to więc zbyt ostrożność, kiedy dwaj Portugalczycy w Saragossie z no-

nych posiedzeń u biskupa Fonseki kazali się ludziom zbrojnym odprowadzać do domu. Znajdował się też wówczas na dworze hiszpańskim pewien poseł portugalski, Alvaro da Costa, który układał się o małżeństwo swego pana z Infantką Eleonorą i silnie się użalał na tak niechęć jego dworowi wyprawę Magalhaensa. Podobny spisek, dodawał, z poddanym mocarstwa, do którego się Hiszpania chce zbliżyć za pomocą węzłów ślubnych, musi obrażać jego króla. Jeszcze na krótko przed odjazdem Sebastian Alvarez, portugalski konsul w Sewilli, próbował zachwiać postanowienie Magalhaensa i przyrzekał mu nagrody, na co żeglarz odpowiedział podejrzliwym pytaniem, czy Sebastian posiada pełnomocnictwo? Konsul musiał przecząco odpowiedzieć.

Magalhaens, wraz z Falerem mianowany rycerzem zakonu Santjago, opuściwszy dwór, przybył do Sewilli i tu w urzędnikach domu indyjskiego napotkał złą wolę. Dawna niechęć między Hiszpanami a Portugalczykami zaostrzała zawiść ku dwuznacznym cudzoziemcom, których osypano tytułami i przywilejami. Niechęć ta, którą żywili i mieszkańcy Sewilli, wybuchła 20. października 1518 roku rozruchem, kiedy Magalhaens kazał wywiesić na okręcie flagę ze swoim herbem, gdy tymczasem hiszpańskiej chorągwi nigdzie jeszcze na nim nie było widać, ponieważ przypadkowo malarz nie był jej jeszcze ukończył. Urzędnicy admiralicy z dobytymi szpadami zmusili Magalhaensa do ściągnięcia flag. *) Jeżeli sprawcy tych przykrych zająć dostali surową nagane, to jednak obudzono powoli niedowierzanie ku Magalhaensowi i jego adherentom w ministrach, którzy surowo obstawali przytem, aby z 17 zwербowanych żeglarzy portugalskich przynajmniej siedmiu odprawiono. W ostatnim tygodniu lipca,

*) Navarr. tom. IV p. 124.

na krótko przed odjazdem, Rui Falero objawił nagle, iż postanowił zostać. Wkrótce stało się jawnem, że Magalhaens był głównym motorem wyprawy, a Falero tylko jego satellitą. *) Ponieważ dwaj ci przedsiębiorcy spierali się o to, na czym okręcie ma być królewska flaga i latarnia u masztu, znak naczelnego dowództwa, a Magalhaens nigdy by się nie zgodził na to, aby to nie on miał być dowódcą, więc Falero musiał się cofnąć, otrzymawszy od dworu obietnicę, że dostanie dowództwo nad drugą eskadrą, na jego zaś miejsceznaczono Juana de Cartagena. Eskadra składała się z następujących statków: Trinidad, gdzie dowodził sam commodor Magalhaens, San Antonio pod dowództwem Juana de Cartagena, Concepcion pod Gasparem de Quesada, Victoria pod Luisem de Mendoza i Santiago pod Juanem Serrano. Na rozkaz cesarski z d. 5. maja musiał Magalhaens wygotować dla wszystkich kapitanów i sterników instrukcję z podaniem geograficznych szerokości i długości drogi, którą miano płynąć, a na krótko przed odjazdem zostawił cesarzowi opinię swoją na piśmie o matematycznym położeniu Molukków podług map morskich, które znany Reinel syn nakreślił, a Reinel ojciec wykończył. Podług tego dokumentu portugalska połowa świata zaczyna się o 22° na zachód od capverdyjskiej wyspy San Antonio, tak że przylądek Dobrej Nadziei o 65° , a Malakka $166\frac{1}{2}^{\circ}$ na wschód od pierwszego portugalskiego południka, Molukki zaś są już o $72\frac{1}{2}^{\circ}$ po tamtej stronie ostatniego portugalskiego południka.

Escadra opuściła San Lucar de Barrameda 20. września 1519 a wyspy Kanaryjskie 2. października. Okręt komodorski popłynął ztamtąd w kierunku: południe- $\frac{1}{4}$ południo-zachód. Nazajutrz rano Juan de Cartagena, ka-

*) „Gdybym tylko pozyskał Magalhaensa, to tamten pójdzie za nim“, tak pisze portugalski konsul w Sewilli do króla Emanuela (Navarr. tom. IV. p. 154).

pitan na San Antonio, kazał powiedzieć Magalhaensowi, że w instrukcyach przepisany jest południowo-zachodni kurs aż do 24° , więc jeśli wprowadza jakąś zmianę, to powinien się z nim naradzić, gdyż bez niego, Juana, jako prawnego następcy Rui Falera, nie ma prawa nic stanowić. Magalhaens odpowiedział, że instrukcye ważne są tylko na wypadek rozproszenia się eskadry, w każdym innym razie kapitanowie mają dążyć za flagą dowódcy w dzień, za jego latarnią w nocy. Wkrótce po tem zajęciu Juan Cartagena, przesyłając poranne powitanie Magalhaensowi, nazwał go tylko kapitanem. Magalhaens prosił, aby go na przyszłość nie inaczej nazywać, jak *commodor* (*capitan general*) i Cartagena w następnych trzech dniach unikał wszelkiego powitania. Kiedy następnie pewnego dnia bez wiatru kapitanowie i wyżsi oficerowie zasiadali na pokładzie *Trinidad*, jako sąd wojenny nad pewnym majtkiem i Cartagena wznowił swoje roszczenia do udziału w naczelnem dowództwie, Magalhaens schwycił go za pierś i jako aresztowanego oddał pod straż Luisowi de Mendoza. Tem energicznem wystąpieniem usunął wszelkie powątpiewania o swej władzy urzędowej. Dnia 29. listopada dojechano do przylądka *Śgo Augustyna*, a 10. stycznia 1520 znajdowano się w pobliżu przylądka *Santa Maria*.

Na południe od rzeki *La Plata* rozpoczęły się odkrycia na wybrzeżu południowej Ameryki, jeszcze nietkniętem, 24. lutego odkryto zatokę *San Mathias*, a 31. marca *Puerto de San Julian*. Tutaj Magalhaens postanowił przeczekać australską zimę, ku wielkiemu niezadowoleniu kapitanów, którzy woleliby byli zaniechać szukania cieśniny, łączącej Atlantyk z Pacyfikiem i popłynąć do Indyi dokoła południowej kończyny Afryki. W niedzielę kwietną (1. kwietnia) kazał Magalhaens odprawić mszę na lądzie i wszystkich oficerów zaprosił do stołu, ale ukazał się tylko *Alvaro de*

la Mezquita, który na miejscu Cartageny zamianowany został kapitanem San Antonio. Tej samej nocy, po pierwszej straży, zjawił się na San Antonio Gaspar Quesada, kapitan z Concepcion z wypuszczonym na wolność Juanem de Cartagena i 30 zbrojnymi i wtargnął z zdobytą szpadą do kajuty Alvara de Mezquity, kazał go okuć w łańcuchy i zamknąć w izbie notaryusza, przed której drzwiami straż postawił. Gdy następnie Elloriaga, pierwszy porucznik na San Antonio, Bask rodem, żądał uwolnienia Mezquity i kazał rotmanowi powołać służbę okrętową do stawienia oporu, to Quesada sześciu pchnięciami sztyletu położył go trupem. Na rozkaz sprzysiężonych pierwszy porucznik z Concepcion Juan Sebastian d'Elcano kazał działa na San Antonio trzymać w pogotowiu do strzelania; służbę okrętową rozbrojono, ponieważ nie dowierzano jej. Jednocześnie rozdano majtkom wina i jadła, ile tylko chcieli. Tym sposobem Magalhaens miał teraz przeciw sobie trzech zbuntowanych kapitanów: Cartagenę, który znów dowodził na San Antonio, Quesadę na Concepcion i Luisa de Mendozę na Victorii. Uwiadomili oni commodora, że chcą się zabezpieczyć od dalszych zniewag i wezwali go, aby dopełnił cesarskich instrukcyi. W takim razie gotowi będą całować go w rękę, i jeżeli go dotychczas nazywali tylko „Jego Miłość“, to nadal tytułować go będą wyższym tytułem „de senioria“. Z udaną gotowością wezwał ich Magalhaens w celu porozumienia się na statek Trinidad, ale sprzysiężeni oświadczyli, że nie czują się tam bezpiecznymi i prosili, aby commodor raczył się udać na pokład San Antonio. Gdy ta odpowiedź przybyła, commodor posłał potajemnie, na łodzi San Antonio, Alguacila Gonzalo Gomez de Espinosa z pięciu czy sześciu ludźmi do kapitana Wiktoryi, Luisa de Mendozy, z zaproszeniem do osobnej rozmowy. Podczas gdy Mendoza z przebiegłym uśmiechem odczytywał Alguacilowi odmowną odpowiedź swoją,

ten ostatni pchnął go sztyletem w gardło, a ktoś z jego towarzyszy ciosem w głowę położył trupem kapitana. *) Duarte Barbosa z piętnastu zbrojnymi owdlał teraz Wiktoryą i wywindował flagę Magalhaensa, nie spotkawszy oporu ze strony służby okrętowej. Dwaj inni buntownicy na San Antonio i Concepcion ujrzeni się teraz w najgorszym położeniu, czujny bowiem Magalhaens zarzucił kotwicę u wyjścia z portu, tak że okręta mogły umykać tylko pod działami Trinidad. Atoli następnej nocy, kiedy wszystko spało, puścił się San Antonio ku okrętowi kommodorskiemu, który go powitał salwą. Za kim się oświadczenie? zawołał Magalhaens do przerażonych majtków. „Za królem naszym panem i za Waszą Miłością“ zabrzmiała odpowiedź. Tak więc ten okręt, a wkrótce i Concepcion dostała się w ręce Magalhaensa, który Quesadę, Antonia de Coca i Juana de Cartagena kazał okuć w kajdany.

Nazajutrz rano rozkazał kapitan ćwiartować trupa Quesady, a Mendozie ściąć głowę. Przeszło 40 osób brało taki udział w buncie, iż zasługiwali na karę śmierci, ale Magalhaens tylko Juana de Cartagenę i pewnego kapełana Pedro Sanchez de la Reina skazał na wysadzenie na pusty ląd w porcie San Julian.

Dnia 22. maja 1520 okręt Santiago, na którym Juan Serrano miał zbadać dalszą drogę ku południowi, rozbił się nieco na południe od rzeki Santa Cruz (50° połudn. szer.), i żeglarze tylko życie zdołali ocalić. Jakkolwiek utrata Santiago bardzo dotknęła Magalhaensa, pomimo to dał on Juanowi Serrano główne dowództwo na Concepcion. W czerwcu i lipcu miejsce, gdzie okręta stały na kotwicy, zwiedzane było przez mieszkańców tego surowego, wówczas śniegiem okrytego kraju, którzy, przez żeglarzy wów-

*) Magalhaens za spełnienie morderstwa zapłacił, z majątku pozostałego po Mendozie i Quesadzie, Alguacilowi 12 dukatów, a jego towarzyszym po 6.

czas nazwani Patagończykami, przez długi czas, z powodu przesadnych opisów rycerza Pigafetty, uchodzili za ród olbrzymów. *) Dwóch Patagończyków zatrzymano na pokładzie, żeby ich jako ciekawość zawieść do Europy. Pewnego wieczora ujrzano ogień na brzegu. Siedmiu ludzi udało się w tym kierunku i znalazło w chatkach ze skór zwierzęcych rodzinę patagońską, która ich gościnnie przez noc zatrzymała. Atoli nazajutrz rano, zapewne w skutek nieporozumienia, wszczęła się zwada, krajowcy wystąpili w wojennym rynsztunku, natarli na Hiszpanów, którzy mieli jedną tylko broń palną z sobą i zmusili ich do odwrotu ze stratą jednego towarzysza.

D. 24. sierpnia podniosła eskadra kotwicę. Magalhaens dowodził na Trinidad, Mezquita na San Antonio, Serrano na Concepcion a Duarte Barbosa na Wiktoryi. Zostawivszy Cartagenę i kapelana ze szczupłymi zapasami żywności na lądzie, popłynęła eskadra dalej ku południowi. Prawdopodobnie koło Rio Santa Cruz, ponieważ pora była jeszcze za surową, zatrzymano się aż do 18. października i zaopatrzono flotę w ryby, wodę i drzewo.

W porcie Santa Cruz oświadczył Magalhaens kapitanom, że *eskadra ma popłynąć brzegiem aż do 75° połudn. szer.*, jeżeli przedtem nie znajdzie cieśniny, lub nie dopłynie do południowej kończyny lądu. Dopiero pod 75° zamysła on popłynąć ku Madagaskarowi i dalej we wschodnim kierunku ku wyspom korzennym. Dnia 18. października opuściła eskadra port Santa Cruz, a 21. odkryła przylądek Jedenastu tysięcy panien i wjazd do głębokiej odnogi morskiej. Magalhaens wysłał dla zbadania tej odnogi dwa statki, które przez dwie pierwsze wąskie szyje dotarły aż do południowego rozgałęzienia patagońskiej

*) Pigafetta, premier voyage autour du monde, Paris, l'an IX. p. 26. Jedynie prawdziwą rzeczą w tych wiadomościach jest to, że Patagończycy przecięciowo posiadali wzrost europejskich gwardyi grenadyerskich.

cieśniny. Gdy powróciły z tą wiadomością, ruszyła ich śladem eskadra aż do tak zwanej trzeciej przystani, która się kończy u przylądka Froward.

Cieśninę Magelańską tworzy z jednej strony dziwnie poszarpany archipelag Ziemi Ognistej, z drugiej wysunięte cyple i zwodnicze kanały obfitej w rozgałęzienia południowej kończyny Ameryki. Jest to łańcuch skalistych odnóg z wąskimi, pozaginanymi wyjściami, u których ścian ołowianka dna nie dostaje, i które często wabią żeglarza w fałszywe i zamknięte zatoki. Żaglowce, które podobnie jak eskadra Magalhaensa wjeżdżają do cieśniny przez atlantyckie ujście, muszą walczyć z przeciwnymi wiatrami, i potrzeba było nie tylko wielkiej żeglarskiej wprawy, aby znaleźć drogę w tym dziwnym labiryncie, ale i nie zwykłej stanowczości, aby się nie zleknać tych przepaści i skał o dziwnych kształtach, które fantazja, jak wszystko co nieznane, zaludniała niebezpieczeństwami. Od przylądka Froward na półwyspie Brunszwik (53° 54' p. sz.) załamuje się cieśnina nagle ku północo-zachodowi, i w tym punkcie zmienia się także i krajobraz, gdy bowiem atlantycka połowa przedstawia obszerne przystanie z wyspami i mieliznami, a brzeg ozdobiony wiecznie zielonymi krzakami z rodzaju myrtów, strona od Pacyfiku jest tylko ciasnym wąwozem, gdzie się martwe masy kamienne podnoszą aż do 7000 stóp. Z nastaniem surowej pory wierzchołki gór świecą wiecznym śniegiem a bladobłękitne lodowce zsuwają się aż na krawędź czarnego jak atrament morza. Tylko w miejscach zasłoniętych okazuje się trochę orzeźwiającej zieloności, i grozę ciszy stworzenia przerywają co najwyżej czule zabawy morsów na nadbrzeżnych ławicach tak, że, wnioskując z wszystkich opisów, dla dusz wrażliwych widok ten mógł najlepiej odpowiadać pojęciu o państwie cieniów. *)

*) Porówn. *Erdumseglung der Fregate Eugenie*. Berlin 1856. Bd. 1, S. 119. i *Wilhelm Heine, Reise um die Erde*, Leipzig 1856. Bd. 2. S. 173.

Dojechawszy do dzisiejszej *Głodowej zatoki*, jeszcze po tej stronie przylądka Froward, wysłał Magalhaens ztamtąd okręt San Antonio dla zbadania golfów, które się ku południu otwierały, ale sam był tak nieostrożny, że opuścił miejsce, gdzie stał na kotwicy, i zajął majtków połowem ryb. San Antonio, powróciwszy z wycieczki bez rezultatu, nie zastał eskadry, a ponieważ nie słyszano jego strzałów sygnałowych i kilka dni już upłynęło od powrotu, więc majtkowie chcieli wracać. Tego samego zdania był i sternik eskadry, Esteban Gomez, rodem Portugalczyk, który się znajdował na pokładzie San Antonia i już dawniej po rozpatrzeniu się w cieśninie doradzał powrót, ponieważ przewidywał brak żywności, na co mu Magalhaens odpowiedział energicznie, że gdyby nawet miał żuć skórę z powrozów okrętowych, to jeszcze dopełni przyrzeczenia danego cesarzowi.*) Zakazano wówczas pod karą śmierci wypowiadać o powodzeniu wyprawy zdania budzących niepokój, zapisano bowiem było w górze, że tylko strach przed Magalhaensem ma przepchnąć pierwszych żeglarzy przez bramy oceanu Spokojnego. Gomez wszczął zatem spór z Alvarem de la Mezquita, nożami się nawet pokaleczyli, aż wreszcie wdali się majtkowie w tę sprawę, okuli Mezquitę w kajdany i udali się pod dowództwem trzeciego oficera, Geronima Guerra, z powrotem do Hiszpanii, dokąd San Antonio przybył 6. maja 1521 i natychmiast rozgłosił najgorsze rzeczy o Magalhaensie.

Magalhaens, tracąc San Antonio, tracił najporządniejszy z okrętów, a wraz nim 60 ludzi. Gdy sześć dni przeszło na oczekiwaniu, a trzy na daremnem szukaniu, zażądał commodor 21. listopada, prawdopodobnie dla zbadania umysłów, ażeby oficerowie Wiktoryi na piśmie wy-
nurzili swoje zdania, czy warto dalej szukać przejazdu,

*) Herrera Dec. II. lib. IX., cap. 15.

czy nie. Opinia astronoma San Martina zdradza wyraźnie upadek ducha w żeglarzach, ale zarazem i bojaźń niezłomnej surowości Magalhaensa. Commodor jednak uznał za stosowne gruntownie zbić obawy: żeby się nie wyczerpały siły majtków i żeby nie zabrakło lin okrętowych, obawy, które się dawały słyszeć na flocie, ale zarazem nazajutrz (23. listopada) kazał podnieść kotwicę wśród uroczystych salw i 27. w istocie dojechał do ujścia cieśniny. Żeglarze radość swoją z tego powodu wyrazili w nazwie przylądka pięknego lub pożądanego (Fermoso, Deseado), który mieli wyjeżdżając z ujścia po lewej ręce. W przeciągu tego czasu znaleźli wprawdzie na brzegu miejsce, gdzie ciała grzebano, ale nigdzie nie było mieszkańców, i tylko na wybrzeżu po lewej ręce ukazało się w nocy kilka ogní. Kraje te z tego powodu nazwano Ziemią Ognistą (Tierra del fuego) i słusznie poczytywano za wyspy, a poczytywano dla tego, że zdawało się żeglarzom, iż słyszą szum fal po drugiej stronie skał. Teraz Magalhaens puścił się pełnem morzem ku północy i stracił na zawsze z oczu brzeg Ameryki południowej, raz tylko jeszcze ujrzawszy go z dalekiej odległości 1. grudnia pod 48° połudn. szerok. Następnie przepłynął pomiędzy wyspami Juan Fernandez i San Felix, ale nie widząc ich i od tego punktu (30°, 30' połud. szer.) z dniem 21. grudnia trzymał się w ogóle zachodnio-północno zachodniego kierunku, w skutek czego zdarzyło się, że Magalhaens przepłynawszy pomiędzy grupą Nukahiva (Marquesas) a Paumotu (Niebezpieczne), z wysp rozsianych na oceanie Spokojnym pomiędzy równikiem a południowym zwrotnikiem dostrzegł tylko 25. stycznia 1521 pod 16° 15' połudn. szerok. bezludną, koralową wyspę S. Pablo, a 4. lutego inną pustą wysepkę pod 11° 45' połudn. szerok., którą z powodu mnóstwa rekinów nazwano de los Tiburones, a której prawdopodobnie potrzeba szukać na południo-zachód od grupy Marque-

sas. *) Linia drogi Magalhaensa między 11. a 12. lutego przechodzi nieco na wschód od wyspy Christinos pod 156° zach. długości podług paryskiego południka. D. 28. lutego dostano się do 13° półn. szerok. **) i sześć dni jechano przez tę osieroconą część oceanu, gdzieindziej obfitującego w wyspy. Wreszcie 6. marca ujrzano dwie wyspy, po prawej i po lewej ręce, Guam i Santa Rosa. Krajowcy na małych szybkich łódkach z wykładaczami i trójkątnymi żaglami z mat, rojem otaczali okręta i dla tego Magalhaens nazwał tę grupę wyspami łańciskich żagli, ale daleko popularniejszą była nazwa wysp Złodziejskich (Ladrões), którą im nadali majtkowie z powodu bezczelności, z jaką nadzy, oliwkowi krajowcy przychodzili i kradli, pomimo iż kilkakrotnie spędzono ich z pokładu i na ich bezsilne strzały odpowiadano dobrze wymierzoną salwą. Kiedy się im wreszcie udało ukraść łódź okrętową, to wówczas Magalhaens przeprawił się na ląd, spalił ich osadę, i splądrował zapasy orzechów kokosowych, korzenia yams i trzciny cukrowej, czem się obezsileni majtkowie nie mało pokrzepili, ponieważ od kilku miesięcy nic nie jedli oprócz placków okrętowych, które się już na proch były starły, w których się robactwo już legło a szczury zostawiały mnóstwo nieczystości. 9. marca jechano dalej w kierunku zachodnim a 16. przybyli żeglarze do grupy Surigao ($9^{\circ} 40'$ półn. szer.) leżącej przed cieśniną tego imienia pomiędzy Mindanao i Leyte, gdzie chorym dano nieco wytchnienia na brzegu i zawiązano przyjacielskie stosunki z ludami Bisaya, które mieszkają na Filipinach

*) Berghaus, Physik. Atlas, 2 Abth., Bl. 4.

**) Jest rzeczą nader godną uwagi, że Magalhaens, który dokładnie wiedział, że Molukki leżą pod samym równikiem (Navarr. tom IV. Nr. 19. p. 189), wybrał się przecież tak wysoko na północ. Pigafetta (Voyage p. 57) utrzymuje, że pod 12° półn. szer. szukano Ptolomeuszowego przylądka Cattigara, ale jest rzeczą prawdopodobniejszą, że Magalhaens polował na wyspę Zipangu, jak to miało miejsce z Wiktoryą 1526 (Navarr. tom V. Nr. 26. p. 407.)

pomiędzy Luçon a Mindanao. 28. marca zatrzymali się odkrywcy w cieśninie Surigao przed wyspą Limasagua, której radża dobroduszenie ich wgaszczał i ofiarował się towarzyszyć im, jako przewodnik, do wyspy Cebu, gdzie mogliby znaleźć obfitość zapasów żywności, co się im dotąd nie udało. Poprowadził on eskadrę zachodnim brzegiem Leyty ku północy aż do grupy Camotes, a potem bezpiecznie wwiódł ją do kanału pomiędzy Cebu a małą wyspą Mactan. Przed miastem Quebu 7. kwietnia zarzuciono kotwice, i radża Limasagvy pouczył radzę z Cebu, swego krewnego, o przychylnych zamiarach przybyszów. Wnet się zawiązał pokojowy stosunek i Europejczycy pozwolili krajowcom podziwiać działanie swej broni ognistej, bussolę i pancerze stalowe, które włożyli na siebie do pojedynku, umyślnie dla krajowców urządzonego. Radża chętnie by był na cudzoziemców nałożył cło portowe, ale pewien siamski żeglarz, który był wówczas w porcie Cebu, oznajmił radży, iż ma on do czynienia z takimi ludźmi, co to już Calicut i Malakkę zdobyli. Pospieszono więc zawrzeć traktat pokojowy. Radża dostarczył zapasów żywności, obdarował hiszpańskich posłów i kazał ich ugościć następcy tronu, który im wszystkie cztery córki swoje, zupełnie nagie, w tańcu okazał. Następnej niedzieli (14. kwietnia), gdy Hiszpanie odprawiali mszę na brzegu, radża z następcą tronu, z królową i kilkuset poddanymi dał się ochrzcić, przyrzekając porzucić bogów i krzyż czcić odtąd. Jakkolwiek dusze te kontrabandą były jeszcze dla królestwa niebieskiego i nie można ich tam było tak łatwo przeszwarcować, przecież eskadra święciła to nawrócenie się hukiem dział i sztucznymi ogniami. Gdy radża złożył przysięgę wierności dla Karola V., to Magalhaens w nagrodę za to chciał zmusić czterech innych wodzów na wyspie, aby ochrzczonego radzę uznali za swego zwierzchnika. Dwaj z nich udali, że chcą być posłusznymi; dwór a

innym, krnąbrnym, spalono wieś, nie napotkawszy oporu. Ale powoli wszyscy niezadowoleni z cudzoziemców wynosili się na wysepkę Mactan, leżącą na wschód od Cebu. Jeden z tamtejszych naczelników wezwał w zdradzieckim zamiarze hiszpańskiego generała, aby ten przybył na wyspę Mactan i pomógł mu do podbicia radzów tej wyspy. Głuchy na wszelkie ostrzeżenia swoich i radzy Cebu, kazał Magalhaens uzbroić trzy łodzie okrętowe i z resztą zdrowych ludzi w liczbie 60—70, wzięwszy przytem z sobą ochrzczonego radzę z tysiącem jego wojowników na 20 do 30 barkach przeprawił się do Mactan w nocy d. 27. kwietnia 1521. Łodzie Hiszpanów nie mogły się zbliżyć do brzegu, więc nie wysadzając dział, puścił się Magalhaens o świcie w bród do brzegu z 55 towarzyszami. Z nagannem lekceważeniem wyprosił się generał od pomocy swoich miejscowych sprzymierzeńców, którzy zdaleka mieli tylko podziwiać cuda chrześcijańskiej broni. Rozpoczęto od podpalenia opuszczonej osady nadbrzeżnej. Wkrótce atoli ukazało się 1500 Maktańczyków w trzech bandach, które natarły na Hiszpanów z frontu i z obu boków. Magalhaens ustawił swoich towarzyszy tak, aby mogli stawić opór potrójnemu natarciu, ale muszkieterywie jego i łucznicy napróżno wystrzelali swoją amunicję, gdyż nieprzyjaciel dobrze był zasłonięty. Skoro Hiszpanie musieli zaprzestać ognia, Maktańczycy zaczęli bliżej podchodzić. Magalhaens nie chciał się cofać, ale tymczasem kamień rzucony z procy zerwał mu hełm stalowy, a bambusowa włócznia przeszła prawe udo. Teraz Hiszpanie zawrócili do łodzi, a w ręcznych zapasach, które się przytem wywiązały, Magalhaens otrzymał pchnięcie włócznią w głowę i padł bez duszy na ziemię. *) Taki sam los

*) Rzecz godna uwagi, że imię jego głęboko jest czczone na Filipinach, mianowicie na Cebu, a na Maktańczykach i dziś jeszcze spoczywa hańba, że ich przodkowie zabili tego znakomitego człowieka. (Crawford, Dictionary of

spotkał Cristobala Rabelo, kapitana Wiktoryi i sześciu innych Hiszpanów. Chrześcijański radża pośpieszył na pomoc swoim sprzymierzeńcom, gdyż walka trwała jeszcze w wodzie, aż póki artylerya z łodzi nie zaczęła być czynną, poczem flota się cofnęła.

Eskadra obrała teraz naczelnym dowódcą Duarte Barbozę, a kapitanem Wiktoryi Portugalczyka Luisa Alfonso. Ale porażka na wyspie Mactan zmieniła usposobienie zdradliwych chrześcian na Cebu, szczególnie od czasu, gdy zwycięzcy Maktańczycy zagrozili im wojną, jeżeli nie owdadną cudzoziemcami i ich okrętami. Radża z Cebu zaprosił Hiszpanów 1. maja na wielki bankiet do swego miasta, na którym miał im ofiarować cenny klejnot, jako pożegnalny podarunek. Juanowi Serrano zaproszenie to wydawało się podejrzanem i nie chciał jechać, ale kiedy mu Duarte Barbosa zarzucił tchórzostwo, pierwszy wskoczył do łodzi; za nim poszedł dowódca i 22 Hiszpanów. Na spokojnie uczujących napadli krajowcy i krzyki śmiertelne dochodziły aż do eskadry, która natychmiast zaczęła ostrzeliwać nadbrzeżne budynki. Wówczas ukazał się na brzegu, rozebrany do koszuli, poraniony i związany Juan Serrano i prosił, aby przez wzgląd na niego powstrzymano ogień i wykupiono go od nieprzyjaciół. Ale na eskadrze nikt już nie dowierzał podstępnyim Cebuańczykom, a kiedy eskadra podniosła kotwice, to jęczącego Serrano napowrót odciągnięto z brzegu i z daleka słyhać jeszcze było jego śmiertelne skargi, gdy tymczasem radujący się krajowcy w oczach Hiszpanów obalali na brzegu powznoszone krzyże.

the Indian Islands London 1856, p. 236). W tym samym roku umarł i jedyny syn Magalhaensa, a gdy następnego roku (1522) i matka poszła za nim do grobu, to przywileje wielkiego odkrywcy odziedziczył, nie bez procesu ze skarbem, naprzód teść Magalhaensa, Diogo Barbosa, a po jego śmierci bracia Dioga (Navarr. tom IV. p. XC.).

Po zamordowaniu Barbosy generałem zamianowano Juana Carvalho, sternika z Concepcion, a kapitanem Wiktoryi Gonzala Gomeza de Espinozę. Statek Concepcion spalono w kanale pomiędzy Cebu a Pojol albo Pohol, ponieważ liczba marynarzy, uszczuplona do 150 ludzi, wystarczała już tylko na dwa okręta. Te szukały drogi dookoła wyspy Mindanao, którą nazywały Quipit albo Quepindo, dotknęły małej wyspy Kagayan w przejeździe do Palawan, gdzie w mahometańskich i pogańskich osadach mogły nieco zapasów ryżu sposobem wymiany zakupić. Po krótkiej przeprawie od południowego końca tej wyspy do Borneo stanęły tam okręty 8. lipca w wielkim porcie Bruni, od którego pochodzi nazwa wyspy. Tu osiedlali się Malajowie jeszcze od połowy 13 wieku, zanim Islam przeniknął do nich. To miasto, w ktorem Hiszpanie spodziewali się znaleźć przewodnika do Molukków, liczyło wówczas 20—25.000 domów, i było pod władzą pewnego mahometańskiego radży. W złożonych łodziach przybyli jego urzędnicy do okrętów, i 15. lipca poprowadzili hiszpańskich posłów na słoniach przez ulice napełnione żołnierzami do pałacu monarchy, który, jaśniejący zbytkiem Wschodu, siedział w zakratowanej łoży i przez trąbę akustyczną rozmawiał ze swymi szambelanami, a za ich pośrednictwem z cudzoziemcami, którym dał pozwolenie na pobyt. Ale 29. lipca takie przerażenie zapanowało na okrętach na widok trzech wojennych eskadr, które wypływały z miasta, że Hiszpanie, zostawiając nawet jedną kotwicę, puścili się na pełne morze i tam zabrali dwie dżonki, na których pokładzie pojмали pewnego księcia z Luçon, sułtańskiego admirała z Bruni. Carvalho, prawdopodobnie przekupiony, puścił go na wolność. Jakkolwiek Bornueńczycy zapewniali, że wojenne eskadry wysłane były przeciw jakiemuś dalszemu nieprzyjacielowi,

nie przeciw Hiszpanom, to jednak ci ostatni nie chcieli dłużej pozostać.

Z Bruni musieli naprzód powrócić do Quipit (Mindanao) przepłynąwszy po pod Palawan, Kagayan i Solo. W drodze schwytali na pewnej dżonce Tuana Mahmuda, namiestnika sułtana z Bruni w Palawan, który im 7. października bogaty okup pieniężny wypłacił w naturze. Na innej znów dżonce schwytano rotmana, który im pokazywał drogę aż do wysp Serangani u południowego cypla Mindanao, gdzie po niebezpiecznej burzy 28. października schwytali Hiszpanie innego przewodnika, który atoli wraz z pierwszym umknął koło wyspy Sangir. Z tego nowego kłopotu wybawił jeden z uprowadzonych Malajów, który przyrzekł zaprowadzić okręta do Molukków, i w istocie tak je poprowadził w kierunku południowo-wschodnim, koło wysp Sian, Paginsara, Meio, że 6. listopada 1521 ukazały się im cztery moluckie wyspy a 8. listopada przed wschodem słońca oba okręta stały już na kotwicy przed Tidori. Generałem od września był Gomez de Espinosa, a kapitanem Wiktoryi Juan Sebastian de Elcano; Portugalczyka bowiem, Juana de Carvalho, złożyli majtkowie z urzędu jakoby dla tego, że nie zważał na królewskie rozkazy.

Tegoż samego rana zjawił się na pokładzie sułtan Almanzor, radża Tidori, objawił swoją radość z przybycia Euuropejczyków, kazał sobie pokazać chorągiew hiszpańską, przypatrywał się pilnie stemplowi monety i na koran przysiągł być wiernym lennikiem cesarza Karola V., pod warunkiem, że Hiszpanie podbiją mu Ternati. Ale boleśnie oddziaływała na odkrywców wiadomość, że w tym samym czasie, kiedy na Mactan zginął Magalhaens, to jest przed siedmiu miesiącami, umarł także jego towarzysz broni, Francisco Serrao, i to, o czem się później dowiedziano, otruty przez Almanzora. Ponieważ szczupłe tylko zapasy gwoździków były na Tidori na sprzedaż, więc radża do-

radzał, aby czekać na nowe żniwo; ale Hiszpanom spieszyło się w drogę. Było to więc ważną rzeczą, że brat radży z Ternati zwiedzał 11. listopada okręta, przyczem portugalski faktor tej wyspy Pedro Affonso de Lourousa dał się przekupić i zgodził się umknąć na hiszpańskich okrętach do Europy. Zawarłszy tedy przyjacielskie traktaty z Ternati 17. grudnia, z Jussufem, sędziwym radzą z Dzeilolo na Halamahera, a potem z radzą z Baczianu i zabrawszy z tych wysp ładunek korzeni, okręta hiszpańskie mogły już 18. grudnia opuścić wyspy moluckie, gdy na Trinidad spostrzeżono szparę, z powodu której okręt musiał wrócić do portu, gdzie go czekała przynajmniej trzymiesięczna naprawa. Postanowiono zatem, że Espinosa z Trinidadą pozostanie i szukać będzie potem przez morze południowe drogi do Panamy, a tymczasem Elcano 21. grudnia 1521 z Wiktoryą, na której było 47 Europejczyków i 13 krajowców, po części jeńców, po części ochotników, odpłynie do ojczyzny.

Mahometański przewodnik, rodem Tidoryjczyk, poprowadził Wiktoryę naprzód na południe, między wyspami Latta, a potem na wschód koło grupy Xula przez cieśninę Buru do Ambon. Potem kazał sterować ku południowi przez cieśninę Ombai do Timor. Do północnego brzegu tej wyspy dojechano 26. stycznia 1522 i trzymano się tego brzegu aż do zachodniego cypla wyspy, który utracono z oczu 9. lutego. Następnie sterowano na południo-zachód, aby stanąć na geogr. szerokości Przylądka Dobrej Nadziei. D. 18. marca, gdy sternik Francisco Albo oznaczył szerokość na $37^{\circ} 35'$, na pół drogi między Australią a Afryką ukazał się skalisty grzbiet bezludnej wyspy Nowego Amsterdamu, do którego nie przybijano wcale. Nareszcie 8. maja dostano się do Afryki o ośm mil od Rio do Infante (Rzeka Buszmanów). Dopiero 20. maja Przylądek Dobrej Nadziei był od nich na południo-wschód,

a 9. lipca podług rachunku sternika stanęli nasi żeglarze na kotwicy przed Riogrande, portem capverdyjskiej wyspy Santiago. Liczba żeglarzy wynosiła już wówczas tylko 30, dwóch bowiem ludzi uszło pokryjomu pod Timor, a 15. Hiszpanów i 6 Tidoryczyków z głodu umarło podczas przeprawy, reszta zaś tak była osłabioną, że niektórzy, przybywszy do Rio do Infante, woleliby byli zamiast opływać Przylądek Dobrej Nadziei, popłynąć do Mozambiku, najbliższej osady portugalskiej. Plantatorowie wyspy Sant-Jago z początku uprzejmie przyjęli Hiszpanów, ale kiedy 14. lipca łódź hiszpańska za ładunek ryżu ofiarowała zapłatę w goździkach, to Portugalczycy spostrzegli, że Wiktorya powraca z Indyi Wschodnich i pochwycili łódź wraz z 12 hiszpańskimi majtkami i jednym Tidoryczykiem. Wiktoryę nazajutrz rano wezwali Portugalczycy do poddania się i w porcie śpiesznie żbroili cztery statki, w skutek czego Elcano, pomimo iż zmęczona służba okrętowa cały dzień i noc musiała przy obu pompach pracować, kazał rozwinąć wszystkie żagle. D. 6. sierpnia znów umarł jeden majtek. Nareszcie 6. września 1522 trzech Azyatów i 13 Europejczyków, których wszystkich imiona się przechowały (w tej liczbie oprócz Elcana sternik Francisco Albo i Antonio Pigafetta) przybyli po pierwszej podróży dookoła ziemi do San Lucar de Barrameda i boso w koszuli udali się procesyą do katedry sewilskiej, aby tam podziękować Bogu za wybawienie z niebezpieczeństw.*) Cesarz, żądny wiadomości, natychmiast powołał na swój dwór do Valladolid szesnastu europejskich i azyatyckich żeglarzy**). Juana Sebastyana Elcano, sternika Albo i gór-

*) Zdobyecz, którą przywieźli z sobą, składała się z 533 cetnarów (Quintales) goździków, które razem kosztowały 213 dukatów, a tymczasem podług Crawforda w Londynie wówczas płacono za cetnar goździków 336 dukatów, tak że ten ładunek korzeni reprezentował wartość przeszło 100.000 dukatów, kiedy koszt eskadry Magalhaensa wynosił tylko 22.000 dukatów.

**) Pierwsza wiadomość, jakiej zaciągnął jeden z Tidoryczyków zaraz

nego rotmana Miguela Rodas obdarzył dożywotnią pensją; pierwszy otrzymał 500 dukatów rocznie, dwaj ostatni po 133. Prócz tego nadał Elcanowi herb, w którym był wyobrażony zamek z kastylskiego herbu, a w drugiej połowie gałki muszkatołowe, kora cynamonowa i goździki w złotem polu, hełm zaś ozdobiony kulą ziemską z napisem: *Primus circumdedisti me* (pierwszy okrażyłeś ziemię). Podobne, ale mniej znaczące herby otrzymali: sternik, rotman, płatniczy, Martin Mendez i balwierz (chirurg) Hernando de Bustamente.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

SPÓR O MOLUKKI.

Opis pod względem fizycznym. Dawniejsze dzieje. Islam. Walki między Ternati a Tidori. Portugalczycy biorą stronę Ternatinów. Eskadra Loaysy. Hiszpanie na Tidori. Walki między Hiszpanami a Portugalczykami. Tidori zdobyte. Podróże Florydy. Stracenie zarządcy państwa Ternati. Bunt krajowców. Krytyczne położenie Europejczyków. Powrót Hiszpanów do domu. Junta kosmografów w Yebes. Sprzedaż Molukków.

Pięć wysp korzennych Ternati, Tidori, Mortir, Mackian i Baczian, które w r. 1504 zwiedził pierwszy Europejczyk, Lodovico Barthema z Bolonii, leżą przy zachodnim wybrzeżu Halamahery (Gilolo) bardzo blisko równika po jednej i po drugiej jego stronie. Największa, ale i najmniej urodzajna ze wszystkich Molukków, a właściwie Malukków, Baczian, ma 800 mil kwadr. powierzchni, największa po niej i najżyźniejsza, Ternati, ma tylko 11, i składa się, podobnie jak i pokrewne wyspy, z wulkanicznego, wiecznie czynnego i wiecznie chmurą zakrytego.

po przybyciu do Hiszpanii była: ile realów jest w dukacie, ile marawedi w realu. Potem chodził od jednego sklepu korzennego do drugiego i wywiadywał się o ceny korzeni (Oviedo, tom II. p. 32).

ostrokregu, u stóp którego rośnie w wiecznie zielonych lasach drzewo goździkowe (*Caryophyllus aromaticus*, L.). trochę podobne do olbrzymich myrtów. W jego to kwietnych baldaszkach tkwią owe pączki, które przed rozpęknięciem zerwane i wysuszone znane są w handlu pod nazwą goździków i już w pewnej rzymskiej taryfie cłowej z 176—180 po Chr., a jeszcze wyraźniej u Pliniusza są wspomniane. Pielęgnować i oszczędzać to cenne drzewo nauczyli się krajowcy na niedługo przed przybyciem Europejczyków. Krajowcy ci poprzestawali na tak mało rozwiniętych stosunkach, że Barthema porównywa ich do Pulajów, najbardziej wzgardzonej kasty na Malabarze. Z ich dawnych annalów z niejaką pewnością można wywnioskować, że wyspy te zaludnione zostały po części z Halamahera i przez długi czas król z Dzeilolo miał coś w rodzaju naczelnego zwierzchnictwa nad Molukkami, dopóki ta rola nie przeszła do Ternati, którego radzowie na znak wyższości politycznej nosili poczwórny parasol. I w tem należy wierzyć podaniom, że przed czasami królewskimi każda wieś rządzona była przez naczelników, którzy później, nawet już za panowania Holendrów, po śmierci każdego monarchy obierali następcę z rodziny zmarłego. Gdy Serrao przybył do Ternati, panował tam dwudziesty Colano czyli król z szeregu panujących, którego chronologia miała sięgać aż do 1257. Jakkolwiek wyspy te leżą tak blisko siebie, że z jednej widać drugą, to jednak na każdej mówiono innem narzeczem, i tylko malajski język, w skutek wczesnego tu przybycia Orang-Malaju, używany był do wzajemnego porozumiewania się. Nie tylko Malajowie osiedlili się na wyspach, ale i Arabi i Jawańczycy. Arabi przynieśli pismo do archipelagu, udoskonallli budowę okrętów, i nawrócili na swoją wiarę nie jednego z pogańskich mieszkańców, jak to można wywnioskować z arabskich nazw dawniej-

szych książąt. Ale najdawniejszy król z Ternati, którego imię mahometanie w swoich modlitwach kościelnych za czasów Valentyna wspominali, Djenalabdina (Zeinulabedin), dziewiętnasty z ternatyńskiej dynastyi, dopiero 1495 udał się do Giri na wyspie Jawa, ażeby tam w arabskiej medreseh przejść naukę Koranu. On pierwszy na dobre zajął się nawróceniem swoich ludów, wysyłając mahometanśkich kapłanów z Jawy na Molukki, i ich to wpływowi należy zawdzięczyć, że mieszkańcy tych wysp, których musimy sobie wyobrazić, jako mieszczaninę Jawańczyków, Chińczyków, Malajów a nawet Indusów, nałożyli odzież na siebie, gdy przedtem nosili tylko przepaski na biodrach. Zdaje się, że i na Tidori zaczął się Islam zakorzeniać w tym samym czasie, gdyż dopiero na 50 lat przed ukazaniem się Hiszpanów rozpoczęli tam mahometanie dzieło nawracania, a jeszcze i wówczas było wielu pogan na wyspie. Zaledwie zatem o jedno pokolenie ludzkie przed podróżą Vasco da Gamy przybywał Islam do Archipelagu i bardzo niewiele tedy wyprzedzał pospieszające za nim chrześcijaństwo.

Następca pierwszego mahometanśkiego króla, Bajang Ullah (cień boży po malajsku), dwudziesty z ternatyńskiej listy królów i ten sam, za którego Lodovico Barthema przybył na Molukki, prowadził dalej dzieło nawrócenia. Jeszcze dwunasty król Ternati przy pomocy arabskich żeglarzy zdobył jakoby 1350 roku wyspy Xula, i oddał je w zarząd swoim namiestnikom; teraz pod dowództwem Samarau, głowy potężnego ternatyńskiego rodu Tommagola, wypłynęła z Ternati flota na zdobycze do Ambon czyli Hitu. Ten bohater morski przywiózł pierwszy do Molukków wiadomość o rozbiciu się okrętu Serrao (1512). Między królami Tidori i Ternati panowała wówczas ciągła niezgoda, ale król Almanzor z Ternati musiał uznać w końcu przewagę Ternatyńczyków, oddając swoją córkę, Boksze

radża czyli królownę Nijai Czili „Bożemu cieniowi“ za żonę, chociaż i ten związek pozornie tylko przywrócił dobre stosunki. Łatwo teraz zrozumiemy, dla czego Almanzor i Bajang Ullah tak gorliwie starali się w Malakka u namiestników o założenie portugalskiej faktoryi, każdy bowiem z rywalów spodziewał się zaćmić swego przeciwnika, zawarłszy przymierze z Europejczykami. Portugalczycy dotychczas ciągle dawali pierwszeństwo Ternatyńczykom i Francisco Serrao bawił na dworze Bajang Ullaha. Tymczasem zdarzyło się, że mahometanie, zaniepokojeni chrześcijańskim wpływem, otruli Franciszka Serrao (w marcu 1521), jak głoszono, z namowy Almanzora, a we dwa tygodnie później i samego króla, z powodu jego predylekcyi dla Kafirów czyli niewiernych. Almanzor, król Tidori, usilnie prosił Hiszpanów, aby zostali, ale Trinidad, naprawiwszy okręt, odплыnęła 6. kwietnia 1522 w kierunku Panamy i zostawiła na Tidori tylko sześciu swoich ludzi, jako faktorów. Tymczasem Njai Czili, wdowa po otrutym „Cieniu bożym“ a córka Almanzora, stosownie do testamentu mężowskiego powołała na zarządcę państwa i opiekuna małoletniego następcy tronu jawnego nieprzyjaciela ojcowskiego Ceczyła czyli księcia Taruwes. D. 13. maja 1522 ukazał się pod Tidori Antonio de Brito z eskadrą. Almanzor na pierwsze słowo wydał mu Hiszpanów, którzy zostali u niego jako faktorzy, a portugalski dowódca oświadczył, iż teraz chce uszczęśliwić Ternati fortem i pod Gama Lama 24. czerwca uroczystie położył kamień węgielny. Tymczasem Trinidad, na której dowodził Gonzalo Gomez de Espinosa, napróżno usiłowała wyjść ze strefy wschodnich passatów i nawet pod 42° półn. szer. nie znalazła zachodnich wiatrów, któreby jej na wschód płynąć pozwoliły. Przebywszy w połowie lipca pięciudniową burzę, która jej główny maszt obaliła, zmuszoną była do spieszego powrotu. Przy końcu sierpnia zarzuciła była

kotwicę przy małej wyspie, prawdopodobnie jednej z Maryańskich, a wpółtora miesiąca potem dojechała do wyspy Morotai, leżącej na północ od Halamahera, zkąd dała znać Portugalczykom znajdującym się na Ternati o swoim smutnym stanie. De Brito wysłał natychmiast parę statków i sprowadziwszy Hiszpanów, których liczba z 50 zeszyła na 23, odesłał ich jako jeńców do wicekróla indyjskiego, który ich przez dwa lata zatrzymywał, tak, że w ogóle tylko trzech majtkowie i jeden ksiądz powrócili (1526) do Hiszpanii.*)

Zaledwie stanął port portugalski na Ternati, wnet królowa wdowa Njai Czili wespół z ojcem swoim Almanzorem zaczęła knuć plany przeciw Portugalczykom i ich sprzymierzeńcowi, zarządcy państwa Taruwesowi. Antonio de Brito, uwiadomiony o tych zamiarach przez Ceczila, owładnął małoletnim następcą tronu, a tymczasem królowa uszła do swego ojca Almansora. Taruwes zamierzył teraz podbić Tidori, a namówiony przezeń namietnik portugalski dodał mu europejskich żołnierzy. Stolicy Tidori nie mogli sprzymierzeni zdobyć, ale udało się Ternatyńczykom, po wielu niefortunnych atakach, zdobyć szturmem wysoko na wulkanie położoną i dobrze obwarowaną osadę Mariaco, dawną siedzibę książęcą tidoryjskich radzów, która, oddana na pastwę płomieniom, daleko nad Molukkami świeciła jako sygnał zwycięski. W skutek tego Tidori utraciło połowę wyspy Makian, i Almansor, głęboko upokorzony, prosił o pokój, ale prośbę jego odrzucono.

*) Herrera, *Indias Occidentales*, Dec. III, lib. IV., cap. 2. Navarrete tom. IV., Nr. 40, p. 378—388. Że Portugalczycy umyślnie zatrzymywali Hiszpanów, świadczą o tem następujące słowa w depeszy Antonia de Brita: „O poruczniku okrętowym (Trinidad), notaryuszu i sterniku pisałem do generała, że wyświadczy wielką przysługę Waszej Wysokości, jeżeli im głowy postrąca, zamiast odsyłać do Europy. Zatrzymałem ich na Molukkach, pragnąc, aby ich niezdrowy klimat zabił; nie śmiałem skazać na śmierć, nie wiedząc, czyby podobne postępowanie W. Wysokość aprobować.

W kilka miesięcy po tych wypadkach ukazał się na Molukkach latem 1525 nowy namiestnik, Dom Garcia Henriques. Ponieważ znalazł on fort w połowie tylko obronnym a Portugalczyków bardzo przerzedzonych chorobami, więc zawarł pokój z królem Almansorem pod korzystnymi warunkami, ale niebawem otruł króla przez lekarza Europejczyka, którego był sobie chory Almanzor uprosił. Następnie napierał na Tidoryczyków, ażeby jeszcze przed upływem ustanowionego terminu wypełnili pewne warunki pokoju, mianowicie zwrócili zdobyte działo, a gdy ci prosili o zwłokę z powodu pogrzebowych uroczystości na cześć Almansora, to namiestnik wśród pokoju napadł na bezbronne Tidori i spalił je do szczytu. Ten łotrowski napad zupełnie odstręczył od Portugalczyków ich sprzymierzeńców na wyspach korzennych, jakkolwiek bowiem nieobyczajne i wiarołomne były te ludy, szanowały przecież traktaty jako świętość.

Po powrocie Elcana cesarz Karol V. uzbroił nową eskadrę z siedmiu statków, która pod dowództwem Fray Garcia Jofre de Loaysa, opuściła Corunhę 24. lipca 1525, a 24. lutego 1526, utraciwszy jeden z większych okrętów, który się rozbił, wjeżdżała do cieśniny magellańskiej. Karawela San Lesmes, którą dowodził Francisco de Hoces, przed wjazdem do cieśniny dotarła była aż do 55° połudn. szerok. i przywiozła wiadomość, że *widać tam już było koniec lądu*. Niestety nie zwrócono wówczas zupełnie uwagi na to odkrycie przylądka Horn, tak że do roku 1616 niebezpieczna droga Magalhaensa uważaną była za jedyny przejazd do morza południowego. Dopiero po trzech miesiącach, 26. maja 1526, wjechał Loaysa, ale tylko z czterema statkami na morze południowe, a odłączony burzą od swoich towarzyszy, ujrzał się na oceanie spokojnym sam ze swoim statkiem admirałskim Santa Maria de la Victo-

ria. *) Dnia 30. lipca umarł Loaysa, a 4. sierpnia 1526 Juan Sebastian d'Elcano, który przez kilka dni był po Loaysie głównym dowódcą. Jak w pierwszej podróży Magalhaensa, tak i teraz chciał wypadek, że archipelagi morza południowego pozostały ukryte dla żeglarzy i d. 21. sierpnia widziano tylko wyspę San Bartolome. D. 4. września dojechano do wysp Złodziejskich, a 13. września, gdy trzeci kapitan Toribio Alonso de Salazar także umarł, poruczono dowództwo drogą wyboru Martinowi Iniguez de Carquizano, Baskowi z Elgoybar. Od Mindanao skierowano okręt na południe i 29. września stanął okręt pod Halamahera, gdzie Hiszpanie u radży miasta Dzeilolo i zaświadocy pństwa Tidori, Ceczyła Rade, który od śmierci Almansora rządził za małoletniego następcę tronu, znaleźli najlepsze przyjęcie. Umknąwszy przed czatującą na nich flotą Portugalczyków i Ternatyńczyków, zarzucili kotwicę pod Tidori 31. grudnia 1526. Wyspa była zupełnie spustoszoną, a mieszkańcy schronili się na lesiste stoki wulkanu, ale wszyscy, nawet kobiety pomagały do sypania wałów, które wznoszono dla obrony miejsca, gdzie okręta stały na kotwicy, i uzbrojono działami. Hiszpanie w liczbie 105, czterdziestu bowiem umarło przedtem, przy pomocy swoich sprzymierzeńców, wodzów z Tidori i Dzeilolo, mogli szczęśliwie wytrzymać połączony napad Portugalczyków i Ternatyńczyków, których flotyła ukazała się pod Tidori i 17., 18. i 19. stycznia 1527 ostrzeliwała Wiktoryę, już i tak nieudolną do podróży morskiej.

D. 31. maja 1527 przybył do Ternati nowy namiestnik, Dom Jorge de Menezes, który chciał oszukać Hiszpanów pokojowymi propozycjami, ale ci niebawem spostrze-

*) Dwa okręta zawróciły do domu z przed cieśniny magellańskiej, z trzech innych jeden zniknął bez śladu, drugi wylądował po długim błędzeniu na morzu południowym pod Tehuantepec, trzeci rozbił się koło Filipinów.

gli, że „najlepiej się ubezpieczą, prowadząc dalej walkę.“ *) Wśród Portugalczyków na Ternati wkrótce wybuchła jawna niezgoda, nowy i odchodzący namiestnik kazali okuwać siebie wzajem w kajdany, stosownie do tego czyje stronnictwo brało górę. Każdy nowy namiestnik przyjeżdżał z rozkazem rządowym, aby z handlu korzeniami zrobić monopol korony, ale wszelkie usiłowania w tym względzie nie mogły przełamać oporu osadników, którzy nie chcieli dać sobie wyrwać z rąk tak zyskownego handlu. I między Hiszpanami nie było zgody od czasu, jak umarł Carquizano (11. lipca 1527) otruty przez Portugalczyków, i dowódcą obrany został Hernando della Torre, ku wielkiemu niezadowoleniu Hernanda de Bustamente. Portugalczycy nie zawsze mieli przewagę liczebną nad Hiszpanami, bo jakkolwiek okręta z Malakki przywoziły nowych ludzi, to za to wielu dawniejszych osadników opuszczało Ternati. Nie było tygodnia bez jakiejś wycieczki zbrojnej, które po większej części tak korzystnie wypadały dla Hiszpanów, że rozprzężone państwo Tidori i Dżeilolo na Halamahera znów przyszły do równowagi w obec Ternatyńczyków, bo trzeba wiedzieć, że wyspiarscy ci królowie, dalecy od tego, ażeby się uważać za wazalów państw europejskich, zdawali się raczej posługiwać Hiszpanami i Portugalczykami w swoich domowych walkach.

Niespodziewane posiłki przywiozła Floryda, hiszpański statek, który z 45 ludźmi 28. marca 1528 r. zarzucił kotwicę pod Tidori. Okręt ten z dwoma innymi, Santiago i Espiritu Santu, z rozkazu cesarza uzbrojony został przez namiestnika Nowej Hiszpanii (Meksyku) i wyprawiony do Molukków. Eskadra pod dowództwem Alvara

*) Navarr. tom V. p. 291. W pewnej potyczce wpadła Hiszpanom do rąk instrukcja jakiegoś oficera portugalskiego, w której Dom Jorge de Menezes zalecał, ażeby nikomu z Hiszpanów nie darowywać życia, ale wszystkich mordować, a trupy zawinięte w żagiel spuszczać na dno morza, aby się w Kastylii nie dowiedziało, co się stało na Molukkach.

de Saavedra 31. października 1527 opuściła Zacatule, port na morzu południowym ($17^{\circ} 38'$ półn. szer.) i płynęła przez dni 60 w kierunku zachodnim, *nie widząc ani jednej wyspy*, aż póki 29. grudnia nie dojechała do wysp Złodziejskich. Ztamtąd skierowano drogę na południo-zachód, a u wysp Filipińskich spotkano kilku Hiszpanów, którzy należeli do okrętu Galleon Porrel, co się odłączył od Loaysy na morzu południowym i koło tych wysp się rozbił. Floryda, zabrawszy w Tidori ładunek korzenny, odpłynęła 3. czerwca 1528 z powrotem przez ocean Spokojny do Meksyku. Ale wschodnie passaty, które już Trinidad zmusiły do powrotu, były przyczyną, że i Saavedra musiał od Filipinów wrócić się do Tidori (19. listopada), gdzie oddał okręt w naprawę, i zkład w maju następnego roku znów puścił się przez ocean Spokojny we wschodnim kierunku, nie dawał się bowiem namówić do powrotu drogą dokoła Afryki.

Dom Jorge Menezes w tym czasie ponownie ofiarował zawieszenie broni, ale Hiszpanie nie byli już panami swoich postanowień, a ich sprzymierzeńcy, naczelnicy państw Tidori i Dżeilolo, mało dbali o pokój. W październiku 1529 umarł małoletni król Ternati, a ponieważ było świętym zwyczajem na Molukkach, że podczas 40-dniowej żałoby po królu poddani nie wyruszali na żadną zbrojną wyprawę, więc Cecyl Rade z Tidori i Catabruno, rządca państwa Dżeilolo, zmusili Hernanda de la Torre do pożyczania im ośmnastu ludzi i dziewięciu śmigownic na dni 40 w celu wyprawy przeciw pewnej ternatyńskiej osadzie na wschodnim brzegu Halamahery. I w istocie 20. października 1529 wyruszyli sprzymierzeńcy z europejskimi posiłkami na wyprawę, tak, że w Tidori zostało tylko 37 Hiszpanów. Tymczasem Menezes, przez zdradę Hernanda de Bustamente dowiedziawszy się o ogołoceniu Tidori z ludzi, a przez Cecyla Taruwes wbrew zwyczajowi za-

opatrzoney wojskiem posiłkowem, zgromadził wszystkich swoich ludzi i potajemnie, o zmroku, wylądował z nimi pod Tidori 28. października 1529. Miasto nie mogło się bronić i natychmiast wpadło w ręce Portugalczykom, którzy je zapalili. Następnie ruszyli zwycięzcy pod zamek, do którego cofnęli się byli Hiszpanie, i wezwali ich do poddania się, skierowując działa swoje na ich fortyfikacye. De la Torre chciał bronić się do ostatka, ale Bustamente i jego stronnictwo nalegali, aby się poddać, a puszkarze nie chcieli przykładać lontów. Nastąpiła więc kapitulacya. Dwunastu Hiszpanów, między nimi Bustamente weszło w służbę portugalską, inni uzyskali wolne odejście z trzema działami i bronią do Samafo na wybrzeżu Moro, *) ale musieli przysiąc, że do otrzymania dalszych rozkazów z Europy nie będą walczyć w służbie królów moluckich. Małoletni król Tidori musiał odstąpić wszystkie swoje zdobycze Ternatyńczykom i zaprzysiąc wierność Portugalii, a zarządca państwa Cecyl Rade, wypróbowany przyjaciel Kastyleczyków i narodowy bohater Tidori, musiał tę wyspę opuścić i przenieść się na Halamahera wraz z Hiszpanami. Tam gromadzili się Hiszpanie powracający z wycieczek po morzu moluckiem i zebrało się ich pod dowództwem de la Torre sześćdziesięciu. Byli w tej liczbie majtkowie Florydy, która pod 8° półn. szer. odkryła grupę wysp Karolińskich, następnie dotarła na północ aż do 31°, ale ztamtąd, po śmierci Saavedry, gdy wszędzie spotykano wschodni passat, powróciła z jakimi dwudziestu osobami 8. grudnia 1529 do Samafo.

Portugalczycy zdawali się być teraz panami Moluków, a małe Ternati zupełnie zadowolone było z wielkich zdobyczy, które zawdzięczało przymierzu z Portugalczy-

*) Halamahera (Gilolo) składa się, jak wiadomo, z czterech w jednym węźle połączonych półwyspów. Półwysep na północ zwrócony nazywa się w portugalskich i hiszpańskich źródłach Moro.

kami. Deyal, najstarszy syn Bajang Ullaha, którego Portugalczycy trzymali w swoim forcie, jak w klatce, i w imieniu którego rządził Ceczyl Taruwes, w połowie października 1529, gdy miał właśnie dojść do pełnoletności, otruty został przez regenta, a królem obwołano młodszego jego brata, Bohejata. Menezes starał się teraz osłabić zbyt potężnego Taruwesa, protegując jego przeciwnika, Ceczyla Vajako, ale ten ostatni, bojąc się zasadzek regenta, a nie dowierzając opiece Portugalczyków, zadał sobie śmierć, skacząc z wieży portugalskiego zamku. Wkrótce potem kazał namiestnik uwięzić naczelnego kapłana muzułmańskiego z powodu jakiegoś błahego podejrzenia. Kiedy go miano już puścić na wolność, pewien Portugalczyk, człowiek z gminu, na pożegnanie posmarował mu twarz słoniną, i ten czyn bohaterski bardzo się podobał kolegom, którzy się ogromnie śmiali z tego, nie domyślając się, jak głęboko ta religijna obelga utkwi w sercu obraźliwych mahometan. Arcykapłan, który pochodził z krwi królewskiej, na dobrowolne skazawszy się wygnanie, wędrował od wyspy do wyspy i ze łzami w oczach opowiadał swoją hańbę, a oburzeni krajowcy nie pojawiali się odtąd z żywnością w fortecy. Portugalczycy radzili sobie na to, plądrując sąsiednie wioski, a kiedy im krajowcy ten gwałt odpłacili, to Menezes kazał sobie wydać Orang Kaja i dwóch Orang Tuwas, czyli wójta i starszyznę zuchwałych osad, obciąć im ręce i poszczuć ich psami. Portugalczycy, pobłażliwi zkadinał dla zbrodni popełnianych przez swoich ziomków, jednogłownie potępiają ten czyn, plamiący ich narodową sławę. Aż do tej chwili Ceczyl Taruwes oddany był Portugalczykom, którym on swoją władzę, a Ternatyńczycy swoją wielkość polityczną zawdzięczali, tak, że nawet wyspa Ambon po raz pierwszy wówczas zaczęła płacić im daninę. Ale wszystkie te dobrodziejstwa stały się tak nieznośnemi, że Taruwes musiał się ruszyć, jeżeli

nie chciał ściągnąć na siebie powszechnej nienawiści. Potajemnie dał znać Ceczylowi Catabruno, rządzącemu w Dzeilolo, ażeby i on, gdy otrzyma wiadomość z Ternati, że wybiła ostatnia godzina Portugalczyków, pomordował swoich Hiszpanów; tym sposobem jednocześnie pozbędą się niewiernych ciemiężycieli. Ale zanim zamiar dojrzał, Dom Jorge de Menezes wezwał do siebie Ceczyla Taruwesa, który nie przeczuwając niebezpieczeństwa udał się i został uwięziony. Kastylijczycy, uwiadomieni o wspólnem niebezpieczeństwie, chwycili za broń, ale wkrótce się porozumieli z regentem w Dzeilolo. Dnia 13. października 1530 ksiązę Taruwes z rozkazu Menezesa został publicznie ścięty w Gama-Lama na rusztowaniu przed fortem. Był on ulubieńcem swego ludu i uchodził, jak zapewniają źródła hiszpańskie, za najbardziej bohaterskiego dowódcę na Molukkach, przebaczano mu zaś to, że wschodnim sposobem truł swoich monarchów, gdy się chciał ich pozbyć. Stracenie Taruwesa tem większe wywarło wrażenie na Molukkach, że tam największą karą było wygnanie. Królowa matka, której znaczenie zaćmiewał dotychczas wpływ Taruwesa, zakazała natychmiast pod najsurowszemi karami dostarczać żywności Portugalczykom, i ci w skutek tego znaleźli się w najtrudniejszym położeniu, z którego wyzwoliło ich przybycie nowego namiestnika Gonzala Pereiry 3. listopada 1530. Natychmiast zjawił się jeden z mantris czyli urzędników dworu, aby w imieniu królowej podać nowemu namiestnikowi warunki, pod którymi zgoda była możliwą. Dom Jorge de Menezes za swoje haniebnne czyny okuty w łańcuchy, oddany został portugalskim sądom, młodego króla uwolniono, wyspie Tidori darowano wszystkie daniny a z Hiszpanami w Dzeilolo wznowiono dawniejsze traktaty. Ale gdy Pereira dokończył budowy zamku, to i on uwięził młodego króla, aby rządzić w jego imieniu. Wówczas kilku mantrych królowej przysięgło, że

wślizną się do zamku, zamordują Pereirę i oswobodzą króla. W istocie wkradli się sprzysiężeni z ukrytą bronią do zamku w nocy 27. maja 1531 i dostali się aż do mieszkania namiestnika, który miał czas pochwycić miecz i tarczę, ale po dłuższej obronie padł pod sztyletami morderców. Na krzyk pewnej murzynki straż portugalska zawarła bramę, zanim sprzysiężeni mogli byli dać hasło swoim towarzyszom, czatującym w mieście. Morderców namiestnika strącono z okien wieży, do której się dostali, chcąc uwolnić króla i król pozostał w rękach Portugalczyków. Nie wydał go królowej nawet Fonseca, w zgiełkliwy sposób obrany namiestnikiem, pomimo, iż był przyrzekł. D. 26. listopada 1533 zjawił się nowy namiestnik, Tristao de Taide, który Fonsekę za jego zbrodnie w łańcuchach wysłał do Indyi i zamierzał siłą zbrojną pokonać mieszkańców moluckich. Z początku wiodło mu się w drapieżnych wycieczkach, ale w końcu królowa matka pokonała zwyciężcę, zupełnie wyludniając wyspę, na jej bowiem rozkaz wszyscy Ternatyńczycy schronili się do Dżeilolo i powrócili dopiero po przybyciu nowego namiestnika, Antao Galvao, którego szlachetność i surowa sprawiedliwość szybko zjednała mu serca wyspiarzy, i którego rządy są jasną stronicą w ciemnych annalach portugalskiego panowania.

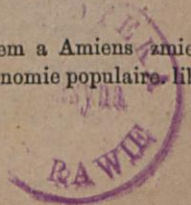
Tymczasem Hiszpanie w Dżeilolo cierpieli wielki niedostatek i często groziło im niebezpieczeństwo utraty życia. W końcu za żywność musieli regentowi państwa oddać w zastaw działa. Gdy do Ternati doszła wiadomość o sprzedaży Molukków, to Portugalczycy musieli ich siłą z Dżeilolo uwolnić, krajowcy bowiem, bojąc się by Hiszpanie nie wstąpili w portugalską służbę, nie chcieli ich puścić. Tylko siedemnastu Hiszpanów w styczniu czy lutym 1534 opuściło Molukki i na rozmaitych portugalskich okrętach dopiero w lipcu 1536 dojechali do Lizbony.

Zaraz po powrocie Elcana z podróży dokoła świata rozpoczęła się korespondencya z dworem portugalskim w sprawie posiadania Molukków, ponieważ każde z tych dwóch państw utrzymywało, że wyspy korzenne leżą w obrębie jego demarkacyjnego koła. Postanowiono wreszcie zwołać sąd polubowny uczonych, a tymczasem nie porysować okrętów do Molukków, ani cokolwiek przedsięwziąć takiego, coby mogło zmienić położenie prawne. Strony ułożyły się, że wyślą po trzech prawników, trzech astronomów i trzech marynarzy, jako sędziów polubownych, w maju 1524, którzy się zjadą na moście Bibery de Caya między Badajoz a Yelbez i po części tam, po części kolejno w Badajoz i Yelbes będą odbywali posiedzenia. W gronie hiszpańskich astronomów i sterników znajdujemy Don Fernanda Colon i Juana Sebastiana d'Elcano. Towarzyszyli też sędziom polubownym, ale bez prawa głosu, wielki Sebastyan Cabot i Juan Vespucci, synowiec Ameriga a przyjaciel Piotra Męczennika. Wprawdzie usiłowanie oznaczenia linii granicznej zasługuje na nasze uznanie, ale nie mogło ono przynieść dojrzałych owoców, jak to było do przewidzenia. Potrzeba było mianowicie nakreślić południk o 370 leguas odległy na zachód od wysp Zielonego przylądka i zbadać, czy Molukki należą do wschodniej czy do zachodniej, do portugalskiej czy do hiszpańskiej połowy świata, w myśl owej światodzielnej bulli Aleksandra VI. Jeżeli się odliczyło 370 leguas od S. Antao najbardziej zachodniej z wysp capverdyjskich, to portugalska połowa, licząc $17\frac{1}{2}$ leguas na jeden stopień największego koła, poczyniała się trochę na wschód od Para w Brazylii, czyli od 30° zachodniej długości połudn. Ferro i rozpóścierała się zatem po za zachodnie krawędzie Nowej Gwinei, tak że Molukki leżały o pięć stopni od koła granicznego wewnątrz portugalskiej połowy, jakkolwiekby tłómaczono wątpliwe wyrażenia bulli.

Atoli wówczas nie tylko nie miano narzędzi do astronomicznego oznaczenia długości pewnego miejsca, ale spierano się nawet o to, ile geograficzny stopień ma w sobie mil zawierać. *) Don Fernando Colon mógł zatem trwać przy zastarzałym poglądzie swego ojca, że jeden stopień zawiera w sobie $56\frac{2}{3}$ miglie czyli $14\frac{2}{3}$ leguas, i tym sposobem dowodzić, „że nie tylko Molukki, ale Indye, Persya i Arabia“ leżą na hiszpańskiej półkuli. Do oznaczenia zachodnich lub wschodnich odległości miano wówczas albo klepsydrę, która dawała najmniej wiarogodne rezultaty, gdyż mały błąd w czasie sprowadzał znaczną różnicę w długości geograficznego stopnia, albo sternicy gołym wzrokiem oceniali odległość i to jeszcze *do czasu najlepszą było metodą*, bo logów prawdopodobnie nie znano; albo można było matematycznie wyprowadzić długość z różnicy między przebywanemi szerokościami, jeżeli okręt nie płynął wprost na wschód lub na zachód, ale nieco na południe lub na północ, przypuszczając, że wiatry są wszędzie i zawsze jednakowo silne i że prądy morskie nie wywierają wpływu na bieg okrętu. Oprócz tego były jeszcze astronomiczne wyliczenia na podstawie różnicy czasu w różnych miejscach podczas tak zwanych zaćmień słońca i księżyca i na podstawie odległości planet.

Narady na moście rozpoczęły się 14. kwietnia i dotyczyły po większej części ważnej pod względem prawnym kwestyi uti possidetis Molukków, ponieważ nie mogły się strony porozumieć, kto jest oskarżycielem, a kto obżalowanym. Spierano się następnie o to, która z wysp capverdyjskich, S. Antao, jak chcieli Hiszpanie, czy Sal i Boavista, jak chcieli Portugalczycy, ma leżeć o 370 leguas na wschód od pierwszego południka. Portugalsey pełno-

*) Dopiero w r. 1669 przez Picarda między Paryżem a Amiens zmierzona została długość geograficznego stopnia. Arago, *Astronomie populaire*, lib. XX. cap. 2, Paris 1856, tom III. p. 11.



mocnicy pokazali z początku jakiś dawniejszy globus, którego dane okazały się sprzyjającemi dla roszczeń hiszpańskich, znikł on jednak na późniejszych posiedzeniach i zamiast niego przedłożono nowsze karty morskie, które zawierały w sobie tylko kilka ważniejszych pod względem nautycznym punktów, a gdzieindziej były niewypełnione. Przeciwnie Hiszpanie rozwinęli jakąś dawną portugalską mapę morską, na której capverdyjska wyspa S. Antao leżała 22° na wschód od pierwszego portugalskiego południka; przylądek Dobrej Nadziei pod $57^{\circ} 50'$; przylądek Comorin 134° ; Malacca 161° ; a Molukki 184° na wschód od S. Antao, a zatem 26° wewnątrz hiszpańskiego demarkacyjnego koła. Podług map portugalskich, które się bardziej do prawdy zbliżały pod względem odległości, odległość Molukków od wysp capverdyjskich Sal i Boavista wynosiła tylko 137° , tak że na podstawie tych danych wschodnia demarkacyjna linia portugalskiej połowy przypadała na 21 stopień za Molukkami. Ponieważ tedy między portugalskimi a hiszpańskimi mapami okazała się różnica 46° długości, więc międzynarodowa junta w Badajoz rozjechała się, nie doszedłszy do porozumienia, portugalscy zaś pełnomocnicy oświadczyli, że muszą wstrzymać się z wydaniem wyroku aż do chwili, gdy geograficzna długość Molukków na drodze astronomicznej zostanie oznaczoną. Można się było spodziewać takiego rezultatu, w obu bowiem krajach z tak namiętne wyteżeniem śledzono za zbiegiem narad, że czy to portugalscy, czy hiszpańscy sędziowie polubowni bodaj czyby się mogli pokazać w swojej ojczyźnie, gdyby odstąpili od mniemanego prawa swego państwa.*)

*) Gomara (Hist. gen. cap. 100) opowiada o tym przedmiocie nie bardzo przyzwrotną anegdotę, która jednak po ludzku nas naucza, jak nawet prosty lud poruszony był tym zatargiem prawnym. Kiedy pewnego razu dwaj z pomiędzy najznakomitszych polubownych sędziów portugalskich Francisco

Dopiero po niefortunnych wyprawach Loaysy i Saavedry nastąpiło 22. kwietnia 1529 w Saragossie podpisanie traktatu, którym cesarz Karol V. miał zamiar sprzedać portugalskiej koronie swoje roszczenia do Molukków, ale który był tak zredagowany, że miał pozór zastawu i tak też wówczas przez samychże Portugalczyków był uważany. Za 350.000 dukatów zrzekł się cesarz nie tylko Molukków, ale i wszystkich ziem i krajów, leżących na przestrzeni 17° na wschód od tej grupy i przyrzekł na uwierzytelnionych mapach morskich (padron real) nową, odpowiednią temu zrzeczeniu się pociągnąć linię demarkacyjną. Natomiast król portugalski zastrzegł sobie, żeby ludzie z obu narodów znający się na rzeczy przy sposobności zbadali wschodnią odległość Molukków. Jeżeli się okaże, że podług bulli Aleksandra VI. Molukki są własnością Portugalii, wówczas Kastylia obowiązana zwrócić zapłacone jej pieniądze. Gdyby zaś wyrok wypadł na korzyść Hiszpanii, to musi ona również oddać sumę wziętą, zanim jej wyspy będą zwrócone, — zastrzeżenie, z którego nigdy nie zrobiono użytku.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

WRAŻENIE ODKRYĆ NA ÓWCZESNĄ EUROPE.

Pierwsze wiadomości o odkryciach. Najstarsze druki. Piotr Męczennik. Zmysłowy dowód kulistości ziemi. Spostrzeżenia meteorologiczne. Wędrówki roślin. Choroba weneryczna. Powaga starożytnych obalona. Umysłowe przebudzenie się wieku XVI.

Historia wieku odkryć nie uniknęłaby zarzutu samowolnego zakończenia, gdyśmy ją przerwali na pierwszej

Melo i Diogo Lopez de Sequeira przechadzali się nad Gwadianą, pewien chłopak, pilnujący schnących na murawie szmat swej matki praczki, zapytał: „czy to są ci panowie, którzy z cesarzem mogą świat podzielić“. Gdy mu powiedziano: tak, podniósł koszulę i z nieprzyzwoitym ruchem zawołał: „Pues echad la raia por aqui enmedio!“

podróży dokoła ziemi, znano bowiem wówczas dopiero oblicze Ameryki zwrócone do starego świata, i to oblicze jeszcze nieortograficznie ukazywało się na dawnych mapach, gdzie pojedyncze części lądu zwodniczo nabrzmiewały, podczas gdy silnie występujące rozgałęzienia linii brzegowej bojaźliwie były zaznaczane. Jeszcze tajemnicza zasłona zakrywała wnętrze nowego świata, gdzie wciąż jeszcze spodziewano się znaleźć ukryte cuda, rajskie ogrody z krynicami młodości i miasta ze złotymi murami. Ale dla Hiszpanów od czasu wylądowania Cortesa pod Vera Cruz rozpoczyna się, po niebezpiecznej pracy odkryć, bohaterska epoka Conquisty czyli podboju Ameryki. Znano też od czasu powrotu Elcana, przynajmniej w głównych zarysach, podział wód i lądu stałego na kuli ziemskiej. Jeżeli o wzajemnym ich stosunku nie miano jeszcze dokładniejszego pojęcia, to jednak już wiadano, że pomiędzy Europą a Azyą istnieje nowy ląd stały, rozciągający się od najdalszej północy do Ziemi Ognistej i że drugi wielki ocean dzieli ten nowy świat od Azji. Z Malakki 1517 wyjechał okrętem Fernao Peres de Andrade na czele poselstwa do Chin czyli Kathaju, tak gorliwie poszukiwanego przez Kolumba i jego następców i już w pierwszej połowie 16 stulecia miewano regularne wiadomości od jezuickich misjonarzy w Japonii. Wielkie zadanie odkrycia drogi morskiej do Indyi rozwiązała wyprawa Magalhaensa *z taką zręcznością żeglarską ani przedtem ani potem nieprześcignioną*, że odtąd żadnego brzegu nie można było uważać za niedostępny dla żeglugi i od tego czynu datuje się wszechobecność europejskich flag u wszystkich zamieszkałych wybrzeży ziemi.

Pierwsza wiadomość o odkryciu Nowego świata szerzyła z początku mętne wyobrażenia w Europie. W Londynie, gdzie odkrycie poczytywano „bardziej za cud boski, niż za czyn ludzki“, wiedział o niem dwór wcześniej,

niżeli brat odkrywcy. Do Genui przywieźli wiadomość posłowie Grimaldi i Marchesi. Autor roczników syeneńskich, który pisał do 1496, dowiedział się o odkryciu z listów handlowych i od podróżnych, którzy z Hiszpanii przybywali. Pewna kronika rodzinna opowiada, że w marcu 1494 signoria florencka otrzymała piśmienne uwiadomienie o odkryciu dokonaniem przez hiszpańskie okręta na oceanie, gdzie znaleziono wyspy z nagimi mieszkańcami, którzy za jedną szpilkę oddawali złoto ważące kilka dukatów.

Daremnie szukamy w tym dokumencie imienia odkrywcy, jeżeli zaś Piotr Męczennik, wielką nowość zwiastując hiszpańskim grandom, późniejszego admirała nazywa „*pewnym* Cristobalem Colon z Liguryi“, to wyrażenie to, bardzo naturalne w owej chwili, wskazuje nam, jak mało Hiszpanie wiedzieli o odkrywcy i jego przedsięwzięciu, zanim to ostatnie zostało uwieńczone powodzeniem. Szlachetny Pomponio Laeto przyznał się swemu przyjacielowi, Piotrowi Męczennikowi, że na pierwszą wiadomość o odkryciu skoczył z radości i ledwie mógł powstrzymać łzy cisnące się z oczu. „A i ja“, dodaje zacny Piotr, „uczuwam błogi dreszcz, ile razy mi się zdarzy rozmawiać z człowiekiem, który powrócił z Nowego świata“. List Kolumba, pisany po pierwszym powrocie jego w marcu 1493 z Lizbony do kanclerza skarbu Rafaela Sanchez, w maju przełożony został na język łaciński, i w latach 1493 i 1494 dwa razy był drukowany w Rzymie, raz w Medyolanie, a raz w Ulmie. Dopiero 1497 ukazał się w niemieckim przekładzie w Strassburgu pod tytułem: „Eyn schön hübsch lesen von etlichen insslen, die do in kurtzen zyten funden sind“ (Piękne czytanie o niektórych wyspach, które niedawno zostały odkryte). Następnem drukowaniem pismem, które przynosiło wiadomości o Nowym świecie, był list Vespucciego o brazylijskiej podróży, po którym w cztery lata później nastąpiły

„*Cztery podróże*“. Do śmierci Florentczyka (1512) nie mniej jak dziesięć razy przedrukowano je, albo w dziełach zbiorowych lub w ulotnych broszurach; z tej liczby więcej niż połowa przypada na Niemcy. Włosi jednak bez zaprzeczenia największą mają zasługę pod względem wyszukiwania wiadomości o nowym świecie i rozpowszechniania ich za pomocą druku. Weneccy dyplomaci mieli szczególne polecenie dostarczania podobnych objaśnień. Widzieliśmy, że starali się zbliżyć do Kolumba i Piotra Męczenika, aby wydostać od nich mapy i wiadomości o Nowym Świecie. Jeden z tych dyplomatów, Angelo Trivigiano, przełożył wiele opisów podróży portugalskich żeglarzy, zebrał listy handlowych domów włoskich w Lizbonie i pośredniczył 1507, na rok przed śmiercią Kolumba, w wydaniu porządnego zbioru najwcześniejszych wiadomości o odkryciach. *) Znakomici medyolańscy miłośnicy ziemioznawstwa polecieli Archangelowi Madrignano przełożyć ten zbiór na język łaciński dla świata uczonego, 1508 r. jednocześnie zaś wyszedł w Norymberdze niemiecki przekład przez Jobsta Ruchamera „wolnych sztuk i lekarstw doktora“. Ponieważ nie było jeszcze wówczas dzienników, więc funkcję ich, oprócz listów pisanych przez kupców i politycznych agentów, **) pełniły tylko ulotne pisemka. Było to atoli nieocenionem szczęściem, że już 1494 pewien włoski uczony zostający w służbie hiszpańskiej, mianowicie

*) Są to często już wspomniane Paesi novamente ritrovati. Trivigiano był sekretarzem posła Domenico Pisani. O jego zasługach około wydania zbiorowego wicentyńskiego dzieła patrz Foscari, Letteratura veneziana, 1854. p. 453.

**) Na takich listach polega Rerum Indicarum narratio Franciszka Chaldiera, Rzym 1513, które zawiera już opowiadanie o zdobyciu Malakki. Jak szybko świat europejski uwiadamiany był o dalekich wypadkach widać ztąd, że w Isolario di Benedetto Bordoni, Wenecja 1534, wydrukowaną jest przy końcu wiadomość o wzięciu do niewoli Inki Atahualpy, wiadomość datowana z Peru 15. marca 1533.

Piotr Męczennik z Anghiery, postanowił zebrać wszystkie ustne i piśmienne wiadomości, nadbiegające z Nowego Świata. Wyborny ten pisarz, którego imienia żaden z późniejszych dziejopisów nie wymawia bez jakiegoś czułego epitetu, połączył w sobie czyste zamięlowanie w postępie odkryć z nieporównaną żywością stylu. Słuchał on opowiadań prawie wszystkich powracających żeglarzy, których gościnnie przyjmował w swoim domu; jako członek rady indyjskiej czytywał ich sprawozdania, natychmiast zapisywał wiadomości tak, jak one przychodziły, i przez ostrożność nie przemazywał rzeczy napisanych, chociaż późniejsze wiadomości niejeden błąd z nich usuwały. Tak więc te ułamki, uporządkowane w dekady i stylistycznie oczyszczone przez wielkiego filologa Lebriję, dają nam zupełnie świeże wrażenia i wierne odzwierciedlenie się wypadków w umyśle, żywiącym czyste zamięlowanie nauk. Kto kosztował tego skarbu, ten mógł się oddać słodkiemu złudzeniu, iż odmłodził o trzy stulecia. Do ogłoszenia tego dzieła zachęcał uczonego listownie papież Leon X., który w wigilię Św. Michała 1514 późno w noc odczytywał siostrze i kilku kardynałom rękopism Dekad, które zawierały już w sobie wiadomość o odkryciu morza południowego.

Każdy rok przynosił wrażliwemu i wdzięcznemu stuleciu coś ważnego, co rozszerzało wiedzę. Gdy Wiktorya, powracając z pierwszej podróży dokoła świata, zarzuciła kotwicę u capverdyjskiej wyspy Santiago, to Hiszpanie ze zdziwieniem spostrzegli, że u Portugalczyków był czwartek 10. lipca 1522, kiedy podług ich rachunku powinna była być dopiero środa 9. lipca. Wiadomość, że im jednego dnia zabrakło, wprowadziła pobożnych żeglarzy w wielkie przerażenie, ponieważ tym sposobem fałszywie święcili dnie Najśw. Panny i w dnie postne jedli z mięsem. Za powrotem nie chciano im wierzyć, gdy opowiadali o *dniu utraconym* i obwiniano ich o pomyłkę w rachunku.

bie czasu. *) Piotr Męczennik mówił o tem z najślawniejszym z ówczesnych weneckich posłów. Contarini odgadł natychmiast, że Wiktorya poruszając się w kierunku słońca dokoła ziemi musiała jeden dzień utracić, podczas gdy odwrotnie zyskałaby jeden dzień, gdyby żeglowała naprzeciw słońca z zachodu na wschód. Piotr Męczennik wątpił jeszcze, podczas gdy inni śmiali się z tego objaśnienia, jakkolwiek wypadek ten oddawna był zapowiedziany. **) Zawierał się już w tem *pierwszy podpadający pod zmysły dowód* kulistości ziemi, a potrzeba nakreślenia linii dzielącej świat na połowę portugalską i hiszpańską skłoniła do rozmyślenia nad nowemi metodami wyszukiwania geograficznych długości. Nie tylko na nowo próbowano zmierzyć krokami wielkość geograficznego stopnia, ***) ale jeszcze bardziej tracono głowę, mówiąc z Barrosem, nad zadaniem mierzenia długości stopni, do czego nie tylko brakowało należytej metody, ale i udoskonalonych instrumentów mierzących czas i kąty, to jest dobrych zegarów i kwadrantów. Czasami w ich zastępstwie opierano wyliczenia na zbaczaniu igły magnesowej od północnego kierunku. Rozmaite recepty ogłaszano w tej mierze, przy czem zawsze przypuszczano, że linie jednakowego zboczenia odpowiadają matematycznym południkom, aż póki Portugalczycy nie odkryli, że izogony z pewnych punktów opisują krzywe linie. Z większą jeszcze uwagą śledzono rozmaitość rozdziału ciepła na powierzchni ziemi. Jeżeli

*) Mniemano mianowicie, że opuścili dzień przybyszowy 1520. Ale gdyby tak było, to musieliby mieć jeden dzień więcej, ale nie mniej, i zresztą zawsze środa musiałaby się zejść ze środą.

**) Abulfeda (ed. Reinaud, Prolegomènes, tom II. p. 4) na dwa wieki przed Magalhaensem robi uwagę: „Jeżeli przedstawimy sobie, że dwóch ludzi odbywa podróż dokoła ziemi, to za powrotem do wspólnego punktu wyjścia ten, co dążył na zachód, będzie liczył jeden dzień za mało, ten co na wschód, jeden dzień za wiele.

***) Próbował tego mianowicie uczony Lebrija, patrz Navarette, Hist. de la Nautica, Madrid 1846 p. 106.

błędna nauka o spalonej i bezludnej strefie zachwiała się jeszcze w skutek odkrycia przylądka Zielonego, to przy wiadomości o lodowcach, leżących nad zwrotnikowem wybrzeżem palmowem, po raz pierwszy wypowiedziano tę prawdę, że tak zwana linia śnieżna, im bliżej równika, tem wyżej nad morzem musi leżeć. Ale w największe zdziwienie nas wprawia to, co słyszymy od Barrosa, że antarktyczna Ameryka zawdzięcza większą surowość swego klimatu wodnemu okryciu południowej półkuli. I dawniej jeszcze uznawano regularność pewnych prądów powietrza wewnątrz kół zwrotnikowych. Każdy arabski przewodnik mógł objaśnić Portugalczyków, przybywających do Indyi, o szczególnej a zawisłej od stanowiska słońca zmianie monsunów, i z dat odjazdów eskadry Pedralvaresa Cabrala widzimy, że się już wtedy stosowano do tej punktualnej instytucyi powietrzkokregu. Nieco później zaznajomiono się z pasatami, jednakże Oviedo robi uwagę już 1525, że okręta wracające do Europy dwa razy więcej czasu potrzebują na powrót, niż na drogę do Ameryki, prędko też przyjęto za zasadę żeglarską, ażeby z powrotem szukać wiatrów zachodnich w wysokich szerokościach atlantyckich, tak że dowcipny Jezuita Acosta mógł nie tylko opisać zjawiska atlantyckiego passatu, ale i zwrócić uwagę na podobne objawy na morzu południowem. Jeszcze Kolumb przeczuwał, że pod zwrotnikami prądy morskie dążą za pozornym ruchem słońca i księżyca, a widzieliśmy, jak bezpośrednio po odkryciu Florydy i kierunek ciepłego zachodniego golfstromu dostrzeżony i wyzyskany został w żegludze przez sternika Alaminosa.

Zwiedzono szczyty trzech wulkanów: na meksykański Popocatepetl wszedł Montario (1521), do krateru Massayo — Castillo (1537), na Wulkan Ternati namiestnik Galvao. Nie brakło też geologicznych spostrzeżeń dotyczących niedawnego podniesienia się skorupy ziemskiej

w pewnych miejscach. Przywożono do Europy ciekawe zwierzęta i rośliny *) lub ich wizerunki i opisy, jakkolwiek bez systemu zwracano uwagę na przypadkowe cechy. Ale tylko jednym zwierzęciem domowem, mianowicie indykiem, mógł nowy świat wzbogacić stary. Ubogą też była Ameryka w rośliny, będące przedmiotem uprawy, i nie wiele ich mogła użyczyć innym częściom świata. Dopiero w naszym stuleciu wanilla i kakao zaaklimatyzowały się w Afryce, a oset figowy, na którym się rozplądza koszenilla, na atlantyckich archipelagach i w Algierze; kartofle przywiózł do Europy Franciszek Drake bardzo późno i dopiero około połowy XVI. stulecia zaczęto w europejskich portach widywać majtków palących tytoń. Przeciwnie kukurydzę przywiózł Kolumb do Europy za pierwszym czy drugim powrotem, gdyż już 1500 gorliwie uprawiano tę roślinę w Hiszpanii.**) Ale i choroby ciała miały zostawać w związku z odkryciem Nowego świata. Wiadomo, że dopiero po przybyciu Europejczyków do Meksyku żółta febra zaczęła się rozwijać epidemicznie, która to zaraza pelzająca brzegiem morza, i dawniej jakby zaklęta między zwrotnikami, w przeszłym już roku (1856) przemknęła na północ i południe, do Nowego Yorku i Montevideo, a w tym roku (1857) przez atlantycki ocean zakradła się aż do Lizbony. I na syfilityczną zarazę zwróciła się po raz pierwszy powszechna uwaga w r. 1494 we Włoszech, kiedy najemne francuskie i hiszpańskie woj-

*) Piotr Męczennik opowiada nam, z jaką ciekawością spoglądano na dworze hiszpańskim na pierwsze gałązki goździków, przywiezione z Molukków; podawano je sobie kolejno z rąk do rąk i wąchano, a Piotr zabrał ich kilka, aby je przesłać Jego Świątobliwości. (Dec. V. cap. 7.)

**) W nowszych czasach zaprzeczano kukurydzy amerykańskiego pochodzenia, p. Schleiden, Studien, Leipzig 1855, str. 24. Nie jestem wprawdzie dostatecznie poinformowany, abym mógł twierdzić, że owocu tego nie znano w Azji przed odkryciem Ameryki, ale mogę zapewnić, że pierwsi odkrywcy, tak Hiszpanie, jak Włosi, bez wyjątku opisują amerykańską kukurydzę jako zupełnie im nieznaną roślinę.

ska przeciągały przez półwysep, zmuszony ulegać cudzym panom. Nie mamy żadnego wiarogodnego pod względem chronologicznym świadectwa, *) że zaraza ta panowała w Ameryce przed przybyciem Europejczyków, ani też żadnego niepodważanego dokumentu, że była znana w Europie przed odkryciem Ameryki. Dla tego historyczne badania w kwestyi pierwotnej siedziby tej zarazy i dziś jeszcze nie dojrzały do jakiegoś pewnego rezultatu. Nagłe rozpowszechnienie tej choroby w Europie nie przeczy temu, że to ją Hiszpanie przywieźli do Nowego świata, gdyż z równą szybkością dostała się ona na najdalszy wschód, **) i owszem zdaje się przemawiać za tem ta okoliczność, że były w Ameryce specyficzne lekarstwa przeciw tej chorobie i że krajowcy je znali. Dopiero znacznie później zaczęto łączyć tę chorobę z odkryciem Ameryki, przeciwnie zaraz po wybuchu zarazy włoscy lekarze na soborze ferrarskim zadecydowali, że zaraza wywiązała się w Rzymie w skutek wylewu Tybru.

Jeżeli w Europie bawiono się z początku idyllą, którą przedstawiali wyspiarze mieszkający w łagodnym klimacie, chodzący nago, nie mający potrzeb i gotowi za szpilkę oddawać złoto, to w Niemczech odkrycie zachodniego świata, rościągającego się po obu stronach równika, poprowadziło do rostrzygnięcia staromodnej kwestyi średniowiecznej kosmografii, mianowicie czy mogą istnieć

*) Da się, mianowicie dowieść, że ustęp Fray Ramona (cap. 7.) u Don Fernanda Colona *Vida del Amirante*, gdzie jest mowa, że mytologiczny protoplasta Vaguoniońa cierpiał na *mal Francés*, wstawiony był przez włoskich tłumaczy, którzy sobie często pozwalali podobnych rzeczy, jak to widać z porównania z Piotrem Męczennikiem i Las Casasem. Natomiast Ximenez (Origen etc. ed. Scherzer, Wien 1857 str. 157) utrzymuje, że w czasach pogaństwa indyjscy baronowie Guatemali uważali podobną chorobę za oznakę wyższości (*grandeza*) i swoim bogom dawali nazwy, w związku z nią będące.

**) Pigafetta (Voage p. 215) znalazł już tę zarazę rozpowszechnioną na wyspach Banda w r. 1522, pomimo iż do tego czasu bardzo niewiele Europejczyków tam się udało było. Zwano ją „chorobą Franków“.

antypody, czemu z teologicznych powodów zaprzeczył był Św. Augustyn, za którego czasów niezachwiana jeszcze była teoria o bezludności gorącej strefy. Już Amerigo Vespucci tryumfująco obwieszczał, że są antypodzi, że gorąca strefa ma mieszkańców. Wprawdzie nie wiele na tej wiadomości zależało, ale chodziło tu o *nieomyślność starożytnej mądrości*, nieomyślność, która całkowicie tym sposobem została obalona. Nieliczni tylko pocieszali się tą myślą, że starożytni posiadali przecież pewne wiadomości o krajach atlantyckich, ale już sama nazwa *Nowego świata* co innego mówiła. Jeszcze żyło pokolenie, które tak po uczniowsku lękało się powagi Ptolomeusza, że ta cześć i bojaźń dla Aleksandryjczyka omal że nie udaremniła wielkiego zamiaru Kolumba, a w trzydzieści lat później pewien szczęśliwy żeglarz mówi już tonem pobłażliwego krytyka o *łatwych do przebaczenia* błędach starożytnych geografów. Było to największem moralnem zwycięstwem odkryć, że powoli uczniowie stawali się nauczycielami, a nauka mistrzów zaczęła być przestarzałą. Wielki autor Kosmosu wskazuje nam, że w roku śmierci Kolumba Kopernik znajduje swój system astronomiczny, i że w tym samym miesiącu, w którym Hernan Cortes po zwycięstwie pod Otumba kroczył oblegać Meksyko, Marcin Luter spalił papieską bullę w Wittenberdze. Równie zuchwałym był pobożny Cortes, maszerujący do stolicy potężnego cesarstwa, jak mnich niemiecki, wypowiadający wojnę najstarszej i najwyższej władzy świata chrześcijańskiego. Gdyby Kolumb nie był dojechał do wyspy Guanahani, to pomimo to Brazylia byłaby odkrytą przez Cabrala lub przez jakiego innego żeglarza portugalskiego, płynącego do Indyi Wschodnich. Tak samo rzecz się ma i z ruchem ziemi dokoła słońca, który musiał być odkrytym po wynalezieniu teleskopu, kiedy mogły już być widziane księżycowe odmiany Wenery i trabynty Jowisza. Najwyższym tryumfem tej cie-

kawej epoki jest to, że Kopernik na sto lat przed wynalezieniem teleskopu odkrył porządek świata, a hiszpańskie okręta na lat ośm przed Portugalczykami, jadącymi do Indyi Wschodnich, w podróży, umyślnie przedsięwziętej na zachód, odkryły zachodnie wybrzeża Atlantyku. A że się czyn od czynu zapala, każdemu więc wolno, albo wielki ruch umysłowy szesnastego stulecia uważać za następstwo wielkich odkryć, albo też wyprawę Kolumba poczytywać za pierwszy świt nadchodzącego wieku szesnastego.

K O N I E C.

Od Niomacza.

Dzieło niniejsze, owoc olbrzymiej pracy, obciążone jest w oryginale mnóstwem przypisów, z których znaczna część może mieć jakiekolwiek znaczenie tylko dla uczonych pracowników w dziedzinie historii geograficznych odkryć. Ponieważ tacy uczeni, gdyby się u nas znaleźli, powinni znać dzieło w oryginale, ponieważ zatem przekład polski do popularnego tylko miał służyć użytku, z przypisów więc wciągnąłem do przekładu to tylko, co może dawać jaką pożyteczną wskazówkę, lub budzić jakiekolwiek zajęcie w wykształconym czytelniku, który pragnie obeznać się z dziejami odkryć geograficznych, ale nie jest samodzielnym badaczem dziejowym na tem polu.



SPIS RZECZY.

KSIEGA PIERWSZA.

DOJRZEWANIE WIELKICH ODKRYĆ.

1. *Stosunki ze Wschodem w starożytności.*

Aryjczycy na Sokotorze. Kanał między Nilem a morzem Czerwonym. Chrześcijaństwo w Indyach. Stosunki Chin z Indyami. Arabowie w Chinach. Zachodnie mocarstwa morskie w wiekach średnich. Wojny krzyżowe i kolonie syryjskie. Mongołowie. Drogi karawanowe Azji środkowej. Misyjonarze w Pekinie. Rozkwit Aleksandryi. Egipska blokada handlowa. Wyczerpanie szlachetnych kruszców w Europie. Kompas. Budowa okrętów. Upadek państw Śródziemnego morza. Osmańskie str. 5

2. *Pierwsze wyprawy na Atlantyk.*

Saga Brandana. Maghrurin. Niezeglowność oceanu. Związki portugalskiej potęgi morskiej. Oceaniczne drogi handlowe. Grupa kanaryjska; Madeira; odkrycie Azorów. Guanchowie. Pierwsza kolonia chrześcijańska. Stosunki lądowe z Sudanem str. 26

3. *Portugalczycy docierają do Przylądka Dobrej Nadziei.*

Henryk Żeglarz. Opłynięcie przylądka Bojador. Przylądek Zielony. Teorya stref. Systematyczne przygotowania do odkryć. Stare mapy. Kolonizacya wysp Azorskich. Wybrzeże złote. S. Jorgo de la Mina. Diogo Cao i Behaim w południowej Afryce. Astronomiczna Junta. Dias opływa południową kończynę Afryki str. 37

4. *Układy Krzysztofa Kolumba z Portugaliją.*

Zwiedzenie Islandyi. Normandzkie odkrycia w Ameryce. Bracia Zeni. Wpływ na projekta Kolumba. Małżeństwo jego. Toscanelli. Kolumb opuszcza Lizbonę str. 60

5. *Projekt Kolumba.*

Kulista postać ziemi. Grawitacya. Odległość zachodniego brzegu Europy od wschodniego Azji. Ptolomeusz i Marinus Tyryjczyk. Wpływ arabskiej wiedzy. Marka Pola i jego następców. Zipangu. Antiglia. Toscanellogo mapa świata. Dawny wymiar stopni geograficznych. Przygotowanie umysłów. Wiadome znaki innych lądów. Szanowność zdań przeciwnych str. 68

6. *Kolumb w służbie kastylskiej korony.*

Poniżenie królewskiej władzy. Wojna o następstwo tronu. Potęga arystokracji. Hermandady. Zmiana obyczajów. Walka z Arabami. Inkwizycja. Charakterystyka królewskiej pary. Kolumb u andaluzyjskich grandów. Miłostka. W klasztorze La Rabida. Przywileje. Martin Alonso Pinzon str. 83

KSIEGA DRUGA.

ODSŁONIĘCIE ATLANTYCKICH WYBRZEŻY NOWEGO ŚWIATA.

1. *Przeprawa przez Atlantyk.*

Długość drogi. Morze trawiaste. Zboczenia igły magnesowej. Uspodobienie żalugi okrętowej. Fałszywe odkrycia lądu. Zmiana drogi. Wskazówki bliskości lądu. Okrzyk: „ziemia!“ str. 103

2. *Spółeczne stosunki na Antyllach.*

Brak zwierząt domowych. Rolnictwo. Rybołówstwo. Budowle. Przemysł. Fizyczna wartość. Języki. Bóstwa i kosmogoniczne bajki. Małżeństwo. Podział polityczny. Despotyzm. Kapłani. Poezya i igrzyska. Karybowie. Zdolności żeglarskie. Język męski i żeński. Ludożerstwo. Wycieczki drużynne. str. 112

3. *Odkrycie Antyllów.*

Położenie Guanahani. Cuba. Obrazy natury przez Kolumba podane. Poselstwo do chana tatarskiego. Oddalenie się Pinzona. Haiti. Handel złotem. Rozbicie się okrętu. Pierwsza osada. Połączenie się z Pintą. Wiadomości o stałym lądzie. Powrót do Hiszpanii. Burze. Nieprzyjacielskie kroki u wysp Azorskich. Przybycie na rzekę Tejo str. 127

4. *Podział świata na hiszpańską i portugalską połowę.*

Kolumb i Jan II. Śmierć Martina Alonsa Pinzona. Przyjęcie Kolumba w Hiszpanii. Fonseca. Papież dzieli kulę ziemską. Dyplomatyczne groźby Portugalii. Nowa linia podziałowa. Uzbrojenie wielkiej armady str. 144

5. *Pierwsza próba podróży na około ziemi.*

Wędrówka zwierząt domowych i roślin uprawnych. Wyspy karybskie. Losy osady Navidad. Budowa Izabelli. Bunt. Obwód królewski. Myny złota. Jamaika. Wyspy ogrodowe przy Kubie. Powrót do Jamaiki. Błędne oznaczenie długości. Choroba Kolumba. Powstanie krajowców na Haiti. Don Bartolomé Colon. Caonabo pojmany. Podbicie Indyan. Zatargi z Aguado. Powrót Kolumba do Hiszpanii str. 154

6. *Sebastyan Cabot.*

Jego pochodzenie. Wylądowanie na Labradorze. Odsłonięcie zachodnich krajów północnej Ameryki. Północno-zachodni przejazd str. 181

7. *Odkrycie stałego lądu Południowej Ameryki.*

Rozszerzenie przywilejów Kolumba. Oburzenie królowej. Kolumb przejeżdża w pobliżu równika. Trinidad i Paria. Perły. Kolumb w ziemskim raju. Bartolomé zakłada Santo Domingo. Odkrycie Xaragwy. Spisek Roldana. Bunt w Vega. Niezadowolenie osadników. Dwuznaczne układy Kolumba z buntownikami. Rozkwit kolonii. Biali kacykowie str. 186

8. *Podróże morskie mniejszych odkrywców.*

Pochodzenie Ameriga Vespucci. Hojeda na ujściu Amazonki. W Venezueli. Obserwacya księżycowych odległości. Hojeda i Roldan. Per Alonso Nin o odkrywa wybrzeże Perłowe. Lądowe szczepy Karybów. Pinzoni u wschodniej kończyny południowej Ameryki. Rozbicie się okrętu. Podróże Diega de Lepe i Mendozy do Brazylii str. 203

9. *Odkrycia Portugalczyków.*

Ziemia sztokfiszów. Cortereaes. Instrukcyje dane przez Vasco da Gama Cabralowi. Odkrycie Brazylii. Ludy Tupi. Vespucci w służbie portugalskiej. Podróż brzegowa. Niebo australskie. Dosięga wysokich szerokości południowych. Wyprawa Coelho. Odkrycie Fernao de Noronha str. 217

10. *Usunięcie Kolumba z namiestnictwa.*

Niepopularność kolonizacyjnych usiłowań. Gorszący handel ludźmi. Pełnomocnictwo Bobadilli. Bogaetwa Haiti. Nowe niepokoje. Terorystyczne sądy admirała. Kolumb i jego bracia uwięzieni. Ich zemsta. Ovando wysłany na śledztwo. Jego armada. Przygotowania Kolumba do czwartej podróży. Środkowo-amerykański przejazd. Zapewnienia dworu str. 225

11. *Podróże Kolumba w celu wyszukania środkowo-amerykańskiej cieśniny.*

Do S. Domingo nie dopuszczony. Zatrata wielkiej floty. Odkrycie Honduras. Jukatańskie statki kupieckie. Costa Rica. Pierwsza wiadomość o oceanie spokojnym. Burzliwa pogoda. Veragua. Porwanie Quibii. Zemsta krajowców. Kolumba sen gorączkowy. Powrót. Osadzenie się na mieliźnie pod Jamaiką. Mendez udaje się do Espanioli. Bunt. Zaćmienie księżyca. Ovando zwiastuje ocalenie. Pierwszy przelew krwi hiszpańskiej przez Hiszpanów. Przyjęcie Kolumba w Santo Domingo. Powrót str. 239

12. *Śmierć Krzysztofa Kolumba.*

Królowa Izabella umiera. Kolumb nie jest w łaskach u Filipa. Dzień jego śmierci. Jego zasługi. Jego słabe strony. Jego błędne mniemania. Jego kości. Losy jego syna. Wygaśnięcie męskiej linii. Proces spadkobierców . . . str. 256

13. *Jak powstała nazwa Ameryki.*

Vespucci hiszpański sternik rządowy. Rok śmierci. Spadkobiercy. Literacka działalność. Sprostowane ustępy w jego pismach. Waldseemüller. Niemieczeni uczeni wymyślają nazwę Ameryki. Najstarsza mapa z tem imieniem. Późniejsza popularność tej nazwy str. 266

KSIEGA TRZECIA.

PRZEDARCIE SIĘ DO OCEANU CICHEGO.

1. *Zbadanie Karybskiej zatoki.*

Bastidas w zatoce Daryjskiej. Osada w Venezueli. Kupieccze wyprawy Guerri i La Cosy. Opłynięcie Kuby. Pinzon i Solis nad rzeką Srebrną . . str. 277

2. *Pierwsza osada na Daryjskim przesmyku.*

Kolonizacya Daryi. Diego de Nicuesa. Złota Kastylia i Nowa Andaluzya. Hojeda napada Cartagenę. Trucizna w strzałach. Zemsta Karybów. Zamordowanie La Cosy. Pośmiertna ofiara dla poległych. Założenie San Sebastian.

Głód. Korsarze zasilają. Hojeda sprowadza pomoc. Przygoda na Kubie. Obraz Maryi Panny. Zgon Hojedy. Franciszek Pizarro. Opuszczenie San Sebastian. Spotkanie się z Encisem. Balboa. Przesiedlenie się do Daryi. Zwycięstwo i założenie Santa Maria. Enciso złożony z urzędu. Colmenares przybywa z pomocą. Wezwanie Nicuesy str. 285

3. *Przesmyk i Ocean Wschodni.*

Nicuesa zdradzony przez Olana. Rozbicie się okrętu i błaganie się. Cierpienia osadników Veragwy. Ocalenie Nicuesy. Przesiedlenie się do Nombre de Dios. Zmiana szczęścia. Nieostrożność Nicuesy. Sprzysiężenie Balboi. Nicuesa wypędzony z Daryi. Fizyczny charakter przesmyka. Polityczne ustawodawstwo krajowców. Szlachta i poddani. Sprawiedliwość. Kapłani i religia. Balboa pokonywa Caretę. Pochód przez Sierra. Wieści o morzu południowym. Łupieżcza wyprawa w Atratodelta. Związek kacyków. Odkrycie sprzysiężenia str. 299

4. *Objęcie Oceanu Wschodniego w posiadanie.*

Balboa jest zagrożony procesem o zdradę stanu. Bezdrożność przesmyka. Balboa rusza w dolinę Chucunaque. Dzika sprawiedliwość. Psy krwiożercze. Pierwszy widok Oceanu Wschodniego. Pochód nad Savannami. Formuła zajęcia w posiadanie. Ocean. Perły i archipelag perłowy. Powrót przez dolinę Chucunaque. Poskromienie Tubanamy str. 316

5. *Śmierć Balboi.*

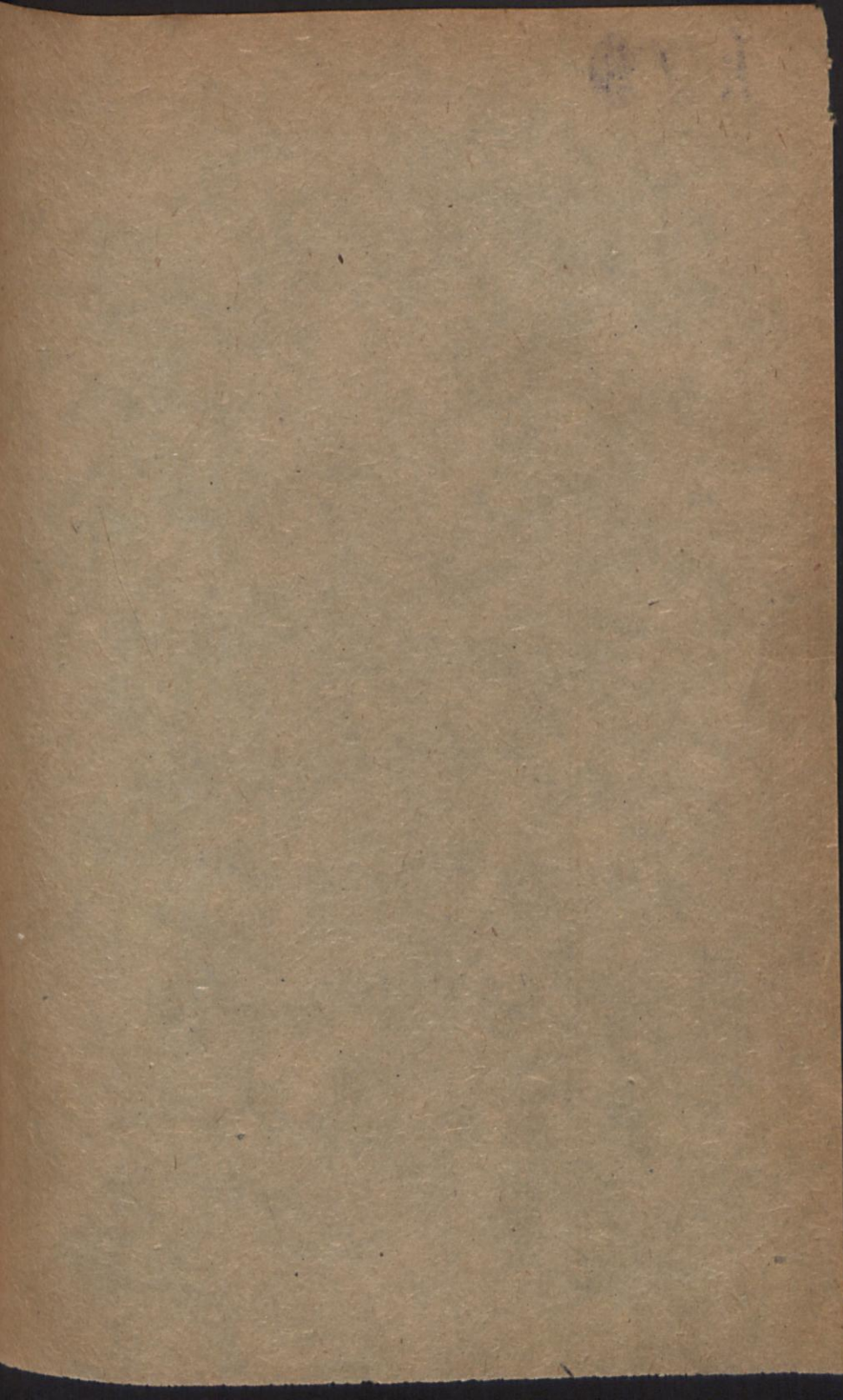
Pedrarias mianowany namiestnikiem. Wielka eskadra. Balboa pod śledztwem. Głód. Balboa pobity nad Atrato. Powstanie Indyan Cueva. Wyprawa Moralesa do Terarequi. Upajająca wiadomość. Zemsta krajowców. Fatalne położenie Hiszpanów. Zaręczyny Balboi. Budowa okrętów na morzu południowym. Podejrzenia Pedrarias. Aresztowanie i ściganie Balboi. Jego zasług i zbrodnie str. 329

6. *Odkrycie Nicaragwy.*

Wyprawa Badajoz do Nata. Pobity przez Cutaturę. Fatalny odwrót. Espinosa obławia się zdobyczą. Zbadanie wybrzeża aż do zatoki Nicoya. Przedsięwzięcie Gila Gonçaleza. Wylądowanie pod Nicoyą. Rzut oka na Nicaraguę pod względem fizycznym. Mieszkańcy. Miasto. Ustawodawstwo. Pojęcia prawne. Zepsuta cywilizacja. Religia. Objęcie słodkiego morza w posiadanie. Napad Diriaja. Nadbrzeżna podróż Nina do zatoki Fonseca . . . str. 341

7. *Odkrycia w Zatoce Meksykańskiej.*

Krynica młodości. Florida i jej mieszkańcy. Prąd zatokowy. Kolonizacyjne usiłowania Ponce de Leona i śmierć. Kolonizacja Kuby. Porywanie ludzi na wyspach zatoki Honduras. Wyprawa Cordoby. Odkrycie Yucatanu. Kultura Indów Maya. Niegościnne przyjęcie koło Champoton. Przygody na wybrzeżu Florydy. Grijalva odkrywa Cozumel. Bitwa pod Champoton. Stosunki z Indyanami Tabasco. Chorągwianna rzeka. Pierwsze zetknięcie się z urzędnikami Azteków. Grijalva zawraca. Garay uzupełnia odkrycia w Golfe. Zupełne odsłonięcie atlantyckich brzegów Ameryki aż do rzeki Srebrnej str. 353



179

Księgozbiór BP



10085525

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

